PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY ÓSMY. — TOM CXII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1911.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1911.

Z OKAZYI OSTATNIEGO UTWORU DEOTYMY[1].

Wielu było poetów, którzy dopiero po śmierci doczekali się uznania i zdobyli sobie nieśmiertelną sławę; za życia zaś żyli w nędzy i zapomnieniu. Zdawało się nawet, że to ogólny los wielkich ludzi, że trzeba, iżby przeszli próbę czasu, iżby z oddali naród całokształt ich ducha lepiej mógł objąć i ocenić zanim wawrzynem uwieńczy ich skronie.

Ale tak było do XIX wieku. Ubiegłe stulecie wprowadziło zmianę na korzyść wybitnych talentów i zdolności, którzy długo już na uznanie czekać nie potrzebują, a sławę zdobywają łatwiej i prędzej. Dziś bodaj grozi nam hyperprodukcya geniuszów. Społeczeństwo zbyt szybkiem tętnem żyje, zbyt namiętnie nowości pragnie, a im te nowości jaskrawsze, tem skwapliwiej gotowe do stóp ich stare swe rzucać bogi.

Głównie się do tego przyczyniła prasa. Dziennikarska reklama rozdmuchuje nieraz kiełkujący zaledwie talent do rozmiarów geniuszu. Entuzyastyczna krytyka nie czeka rozwoju talentu pieśniarza, jeśli ten umiał choć raz za serce ją chwycić, ale go już za życia na wiekopomnego wieszcza narodu pasuje.

Zdarzyło mi się czytać przed laty odezwę o Wyspiańskim, wówczas jeszcze żyjącym, której autor zawstydzał tych, co jeszcze się wahają z wręczeniem berła największemu wiesz-

[1] »Na Jasnej Górze. W dzień jubileuszu pięciowiekowego podsłuchane przez Deotymę«. Warszawa. 1910. Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie.

czów narodu naszego, grożąc, że kiedyś wobec potomności rumienić się będziemy musieli, jak owi krytycy i recenzenci warszawscy, którzy się na Mickiewiczu poznać nie umieli, a którym on tak znakomitą dał odprawę.

Zdarza się jednak, że w szalonej za nowością pogoni, nie znajdując przed sobą nowych koryfeuszów pióra, krytyka literacka cofa się w przeszłość i z niej wydobywa mistrzów zapomnianych, w których zdaje się upatrywać własnych poglądów odbicie.

Takim objawem jest próba wskrzeszenia kultu Cypryana Norwida, któregośmy dotąd za fantastę i dziwaka uważali. Nie wchodząc w to, czy i o ile Norwid na kult zasługuje, chcę zaznaczyć fakt, że nawet grubą warstwą zapomnienia przysnuty poeta może stać się przedmiotem uwielbienia dla współczesnych, skoro ci odnajdą w duszach swoich jednakowo brzmiące struny.

Zdarza się też i odwrotnie, że mając wśród siebie talent niepośledniej, z geniuszem graniczącej miary, przechodzimy koło niego obojętni i trzeba jakiegoś szczęśliwego trafu lub wybitnego faktu, abyśmy nań uwagę zwrócili.

Taką niepospolitą zdolnością, mającą wszystkie warunki do tego, aby się stać wieszczką narodu, była Jadwiga Łuszczewska, znana bardziej w piśmiennictwie polskiem pod imieniem Deotymy.

Jakkolwiek od pierwszej chwili pojawienia się swego na polskim parnasie, stale mieszkała w Warszawie (z paroletnią tylko przerwą czasu, który spędziła z ojcem swym Wacławem na wygnaniu w głębi Rosyi), jakkolwiek tworzyła dużo, przez ogół była i pozostała do śmierci nieznaną.

Imię Deotymy, nawet w szczupłem gronie tych, co jej dawniejsze utwory czytali, wywołuje obraz czegoś chłodnego, napuszonego, wyrozumowanego raczej niż odczutego — jednem słowem czegoś, co nikogo porwać nie może, zwłaszcza dziś, kiedy w poezyi przedewszystkiem nastrojów szukamy. Takiemi też istotnie były pierwsze utwory poetki w 1854 roku, pod tytułem »Improwizacye i poezye Deotymy«. Dziś książka ta niemal do rzadkości bibliograficznych należy, ale jest nowy »Wybór poezyi«, który pojawił się 1898 u Konstantego Treptego w Warszawie, w którym

każdy utwór, opatrzony datą, pozwala nam wyśledzić drogi, któremi kroczył w rozwoju talent autorki.

Jeżeli dziwnem było zjawisko 16-letniej dzieweczki, improwizującej publicznie na zadany temat po kilkaset wierszy, tem większy podziw wzbudzał sam wybór przedmiotów i sposób ich traktowania.

Przedmioty te były po większej części czysto abstrakcyjnej natury, jak »Kamienie«, »Rzeźbiarstwo«, »Malarstwo«, »Architektura«, »Rzeczywistość i wyobraźnia«, »Taniec«, »Góry«. Traktowane z niepospolitą (względnie do wieku poetki) erudycyą, ale raczej jako rozprawy filozoficzne rymowane, z dodatkiem tylko bogatej fantazyi.

Tak w improwizacyi »Kamienie«, do tysiąca wierszy obejmującej, a następnie dopełnianej i poprawianej, po ogólnych uwagach nad istotą kamienia, mówi autorka o poszczególnych jego rodzajach: o kamieniu filozofalnym *(sic!)*, kamieniu wszechprawdy, kamieniu mądrości, nad którym astrologowie i alchemicy mózgi swe suszyli. Następnie przesuwają się przed nami: Bazalt, Alabaster, Porfiry, Marmury, Kwarce, Mika, Granity. Prowadzona przez Geniusz Milczenia, wprowadza nas młodziutka poetka do podziemnego Grodu Klejnotów, gdzie spotykamy Kryształ Górny, Korale, Bursztyn, Kocie Oko, Kornalinę, Krwawnik, Beryle, Lapis Lazuli, Malachit, Chryzolit, Agaty, Jaspis, Onyx, Ametyst, Topaz, Szmaragd, Szafir, Rubin, Turkus, Opal, Brylant i Perły.

Samo ich wyliczenie już nieco nam czasu zajęło, a trzeba wiedzieć, że w improwizacyi poetka o każdym coś mówi, każdego charakterystykę daje, każdemu kilka wierszy (a turkusowi nawet dwie stronice) poświęca, cytując podania i legendy symboliczne, jakie do nich fantazya narodów przywiązała.

Improwizacya ta była odtworzeniem w rymowanej szacie wykładów mineralogii, jakie młodziutka autorka w owym czasie od Antoniego Wagi pobierała, a z drugiej dowodem bujnej fantazyi, która suchą nomenklaturę potrafiła w szatę symboliczną przyodziać.

Podobnie w innej improwizacyi: »Góry« roztacza poetka

obok jeszcze bogatszej wyobraźni niepospolitą erudycyę historyczną. Oto wstęp:

Co się wznosi, to cześć budzi:
Świętość, geniusz pośród ludzi
A pośród natury
Góry.
Panie świata! Ziemia nasza
Czołem bije na Twem niebie,
Za człowieka Cię przeprasza,
Za swem dzieckiem błaga Ciebie.

Wpół miłośna, wpół wylękła,
Morską falą zalzawiona,
Dolinami swemi klękła,
Góry wzniosła jak ramiona,
I dopóty skamieniała
Będzie ręce wyciągała,
Aż przyciśniesz ją do łona.

Tu daje się słyszeć odgłos gór, które w szeregu symbolicznych obrazów nazywają siebie »uwitym z kamieni zawojem świata«, »ziemi koroną«, »pierwiosnkiem świtu«, »dolin zegarem«, »paziami słońca«, »łzawicami niebios«, »oazą życia«, »matką potoków«, »Boskimi organami«, »warownią orłów«, »namiotem marzeń«, »hełmem zniszczenia«, »mogiłą wieków«, »księgą stworzenia«, »szkatułą ludów«. Schodząc na pole dziejowe poetka czyni wzmiankę o górach Syonu, Ramy, Watykanu, Wawelu, o górze Araratu, Moria, Karmelu, Alwernii, Monte Cassino, Synai, Taboru — kończy wreszcie, padając na twarz u stóp góry, wobec której najwyższe szczyty są tylko nizinami — u stóp Golgoty.

Zdumiewać się trzeba nad orlim polotem i głębią myśli, która coraz nowych poetce dostarczając barw i obrazów, czytelnika za sobą porywa.

Jednego tylko brak, słuszność przyznać każe. Deotyma ówczesna nie znała jeszcze życia realnego, materyał swój czerpała wyłącznie ze skarbnicy wiedzy abstrakcyjnej, na skarby poezyi, w sercu ludzkiem złożone, mało zwracając uwagi.

To też pierwsza faza twórczości Deotymy to wspaniała i misternie wykończona świątynia — nie bez Boga, jak się wyraził Mickiewicz o poezyach Słowackiego — lecz bez człowieka.

Poezya jej nas podnosi, ale nie unosi — serce nasze pozostaje chłodnem.

Oto wrażenie, jakie ogarnia czytelnika i na tem wrażeniu oparty sąd tak literatów, jak ogółu, że utwory Deotymy są nudne, napuszone, chłodne, czyli innemi słowy, że brakuje im jednego

z najbardziej istotnych elementów prawdziwej poezyi — ognia, serca i zapału.

Ta cecha twórczości, przyznać trzeba, pozostała i w dalszych jej utworach lirycznej treści. Kocha się ona w symbolach i rada używa formy, która do tego najszersze daje pole — formy ody i hymnu. W powyżej wymienionym »Wyborze poezyi« znajdujemy opatrzone blizką nam datą ody: do Czynu, do Przyrody, do Pokoju, do Przyjaźni; hymny na cześć Wiary, Nadziei, Miłości — zawsze głębokie, wzniosłe, przepiękne, ale nie ogrzane szczerem uczuciem.

Taką pozostała Deotyma dla ogółu po dziś dzień — świetnym meteorem, który nie ziścił pokładanych w nim nadziei.

Rzeczywiście tego za mało, żeby być wieszczką narodu, a taką się ona stała, taką ją przeczuł ten, któremu tytułu wieszcza nikt dotychczas zaprzeczyć się nie ośmielił — Adam Mickiewicz. Mówię przeczuł, bo zmarł w trzy lata po pierwszym publicznym występie Deotymy w salonie rodziców, a w rok po pierwszem ukazaniu się jej utworów w druku. W tych poezyach nic jeszcze nie zdradzało nowej doby rozwoju jej talentu, którym miała zabłysnąć i wiekopomną zdobyć sławę, a jednak tak o nich się wyraża[1]:

To nie marnej błyskawicy,
To natchnienia ogień szczery,
Nie skowronka drżące kręci,
Co tam kwili gdzieś, wysoko.
To silny polot orlicy,
Co pewna swojej potęgi,
W nadchmurne szybuje sfery
Zajrzeć słońcu oko w oko.
To nie pozory zachwytu,
To nie martwa forma bytu,
Tam coś nieziemskiego wieje,
Tam Duch zewsząd promienieje.

A zwracając się do poetki, tak do niej przemawia:

Uwierz więc w siebie, natchniona,
I niech z piersi twej ogniska
Duch, którymeś nawiedzona,
Na wsze strony jędrnie tryska!
Lecz pamiętaj, wróżko młoda,
Że do sławy ścieżek wiele,
Że są duchy kusiciele;
Bacz który ci rękę poda.
Nie w każdego wierzaj ducha,
Lecz doświadczaj, czy jest z Boga.
W pośród wszechświata obszarów
Pała Słońce wiekuiste,
Zawsze święte i ogniste;
Z niego twórczy ogień bucha.

[1] Wiersz »Do Deotymy«. Ze względu na to, że nie we wszystkich wydaniach poezyi umieszczony, pozwalamy sobie zacytować w całości.

I jest lutnia duchów-Ducha:
Strun ma siedem, z siedmiu darów,
Z tych strun wieczna pieśń wybrzmiewa,
Pean chwały i żywota,
A na ich ton zgodnie śpiewa
Chór: Prawda, Piękność i Cnota.
Co nie iskra tego Znicza
To wszystko mara zwodnicza,
To nie lutni prawe brzmienie,
To wszystko fałsz i złudzenie.
Tyś tej wyżyny dostojna,
W tobie ogień święty płonie,
Imię twoje — B o g o b o j n a...
Widzę jak się chwila zbliża,
Gdzie uwieńczy twe natchnienie
Najpiękniejsze przeznaczenie,
Gdzie cię nazwie pokolenie
Deotymą — wieszczką krzyża!

Czuć w tych słowach jak u zmierzchu złotej epoki naszej poezyi romantycznej, kiedy Słowacki już od kilku lat nie żył a Mickiewicz i Krasiński już przestali tworzyć i wkrótce sami mieli ledz w mogile, największy bard polski lutnię oddawał w ręce młodej poetki, pasując ją niejako na spadkobierczynię swoją, na wieszczkę narodu.

Snać ona sama tak pojęła to wysokie posłannictwo, kiedy raptem nawiązała nową na swej lutni strunę, przerzuciwszy się na pole dziejów ojczystych.

Ten, co chce przodować swemu narodowi, zwłaszcza takiemu jak nasz, który tylko przeszłością żyje i z niej siłę do życia czerpie, musi tę przeszłość umiłować, z nią się niejako zespolić, w siebie ją wchłonąć, iżby duchem jej żyjąc, naród swój ożywiać i podnosić zdołał. Tem się tłumaczy doniosłość i znaczenie narodowego eposu, tem także tak szybkie, niesłychane powodzenie Wyspiańskiego, którego utwory tak bardzo duchem swoim odskakują od współczesnej mu maniery i gustu.

Jakkolwiekbądź powstał już wcześnie w głowie Deotymy plan całego cyklu poematów mających odtworzyć całokształt epopei dziejowej, od pierwszych zamierzchłych zaczątków Polski, aż do naszych czasów, pod ogólnym tytułem: »Polski w pieśni«.

Już w 1859 ogłosiła drukiem pierwszy tej epopei rapsod »Lech«, a wkrótce potem »Dwunastu wojewodów i Wyszymir«.

Ale na jej i na nasze nieszczęście rozpoczynała się wówczas epoka wysokiego napięcia ducha narodowego, którego owocem było styczniowe powstanie. Teraźniejszość zbyt silnie zajmowała umysły, iżby one spokojnie zamierzchłą przeszłość badać mogły, to też utwory bez echa przebrzmiały.

Zawierucha polityczna przerzuciła w głąb Rosyi Wacława Łuszczewskiego, a nasza poetka pojechała dzielić z nim chleb wygnania w Czembarze, Jadryńsku i Symbirsku, a chociaż w parę lat wróciła do Warszawy, po stracie rodziców zamknęła się w ciasnym obrębie domowego zacisza, rzadko bardzo ukazując się na widowni literackiej — zupełnie szerokim warstwom narodu nieznana.

Nie przestawała ona tworzyć dzieła wedle nakreślonego z góry planu »Polski w pieśni«, który nie pilnując się chronologicznego porządku, powoli wypełniała. Tak na krosnach natchnienia wykwitły, oprócz już wymienionych, następne poematy: »Uczta u Ziemomysła«, »Wanda«, »Gonitwy w dolinie Prądnika«, »Bolesław Chrobry«, »Narzeczona z Ogrodzieńca«, »Jadwiga«, »Kordecki«, »Kościuszko«, »Sobieski pod Wiedniem«. Do liczby tej należy też przepiękna powieść z czasów nawały tatarskiej »Branki w jasyrze«, zawierająca obok przepysznie odtworzonej epoki św. Kingi i niezmiernie zajmujących dziejów niewoli dwóch przyjaciółek, bardzo ciekawy, a (jak wszystko u Deotymy) na sumiennych studyach oparty opis cywilizacyi tatarskiej w Azyi, i zaginionego ich stołecznego miasta — Karakorum.

Szczupłe tylko grono przyjaciół, zgromadzających się u Deotymy we czwartki, miało sposobność podziwiać woń i krasę kwiatów prawdziwie podniosłej i podnoszącej poezyi, słysząc te utwory, odczytywane przez autorkę — pozostawały one bowiem całe dziesiątki lat w rękopiśmie.

Wyjątkowo tylko pojawił się na szpaltach *Tygodnika Ilustrowanego* dramat z epoki Bolesława Krzywoustego p. t. »Narzeczona z Ogrodzieńca«, a w *Kłosach* »Wanda« i »Branki w jasyrze«, a chociaż to były rzeczy przepiękne, zwłaszcza »Branki w jasyrze«, nie były jak należało ocenione przez publiczność.

Społeczeństwo nasze przeżywało wówczas epokę pozytywizmu, jako reakcyi przeciw romantyzmowi, pozytywizmu specyficznie warszawskiego, aczkolwiek importowanego z Zachodu, który nawoływał nie tylko do pracy produkcyjnej, do cyrkla i do kielni, ale do rozbratu z pieśnią, wiarą i tradycyą. Deotyma zaś

nie tylko tradycyą narodową żyła, nie tylko katoliczką się czuła, ale wiarę swą bardzo dobitnie podkreślała.

Dopóki trwała walka obozu quas-ipozytywnego z katolicyzmem, walka ślepa i zażarta, o porozumieniu się myśleć nie było można. Społeczeństwo, które przestało w Krasińskim smakować, a Mickiewicza poczytuje za burżuja, za zacofańca, nie mogło wznieść się na wyżyny, na które Deotyma podnosić się starała swój naród, a na których sama, jak orlica, przebywać lubiła.

Nie pozostawało nic innego, jak przechowywać wiarę świętą w głębi domowego ogniska, czekając chwili kiedy pochodnię, u tego ogniska zapaloną, można będzie wynieść na świat i naród blaskiem jej oświecić.

Tak też i uczyniła Deotyma. W ciszy i odosobnieniu rósł i potężniał jej talent, z wiekiem nabywała coraz lepszej znajomości życia i serca ludzkiego, coraz większej łatwości w kreśleniu scen realnych, czego jej w pierwiastkowych utworach brakowało, ale nie spieszyła z ogłaszaniem ich drukiem, a to dla dwóch powodów. Raz dlatego, że nie mogły one przypaść do gustu sferom rządowym w Królestwie i z pewnością nie uzyskałyby aprobaty cenzury, powtóre dlatego, że miała dziwne poszanowanie dla tego, co jako spuściznę swą literacką narodowi zostawić pragnęła. Kilkakrotnie ją sama przepisywała i poprawiała, dopóki nie doprowadziła do tego stopnia doskonałości, która ją samą zadowalniała, a zdarzało się, że poemat zupełnie wykończony, przeglądając po latach dziesięciu, dwudziestu, na nowo z gruntu przerabiała, jak to było z »Wandą« i »Sobieskim«.

Kiedy zwracano jej uwagę, aby skarbów swoich nie trzymała tak długo w ukryciu, zwykła była odpowiadać, że jeśli te utwory mają istotną wartość, to takowej nie stracą i w sto lat po jej zgonie.

Od czasu jednak do czasu, Deotyma udzielała się szerszej publiczności warszawskiej, a było to wówczas, kiedy napisawszy coś nowego, imiennymi biletami zapraszała na tę umysłową biesiadę niemal wszystkich swoich bliższych i dalszych znajomych. Wówczas recepcya odbywała się w wielkim, żółtym salonie, mo-

gącym pomieścić kilkadziesiąt osób, i nosiła charakter quasi-publiczny.

Otóż na jednym z takich rautów objawił mi się geniusz poetycki wieszczki w nieznanym mi dotąd a wspaniałym blasku.

Było to w 1883 roku, w którym Częstochowa obchodziła pięćsetlecie przeniesienia tam cudownego obrazu Matki Boskiej i powodem rautu literackiego u Deotymy był poemat »Na Jasnej Górze«, poświęcony temu jubileuszowi, z którym pragnęła nas zapoznać.

Szkielet poematu przedstawia opis szczegółowy dnia 8 września, przeżytego w tak wyjątkowo podniosłym jubileuszowym nastroju, niezmiernego zbiegowiska ludu, nabożeństw odprawiających się na zewnętrznym krużganku, obozowiska wiernych pod otwartem niebem, iluminacyi miasta i fajerwerków puszczanych z wierzchołka wieży jasnogórskiej.

Był to więc materyał do wiersza okolicznościowego, i takim w zarodku swym musiał być, ale jak »Pan Tadeusz« z prostej sielanki urósł do rozmiaru narodowego eposu, tak i opowieść tego, co się działo na Jasnej Górze w owym dniu pamiętnym, pod piórem Deotymy stała się szczytnym i wzniosłym ludowo-narodowym poematem, jakiegośmy dotychczas nie posiadali.

Jakkolwiek rozkwit poezyi naszej zawdzięczamy pierwiastkom ludowym, jakkolwiek począwszy od »Wiesława« Brodzińskiego dużo poetów wprowadzało lud na widownię literacką, nie potrafiliśmy się jednak zdobyć na epopeję ludową. »Pan Balcer w Brazylii« mógłby stać się takim, gdyby po pierwsze nie egzotyczny teren, na którym się akcya rozwija, a który nie daje możności autorce opisywać ziemi i przyrody ojczystej, chyba w obrazach wspomnień i tęsknoty, a powtóre tak wyjątkowy i tak mało sympatyczny temat dobrowolnego wygnania. Serce się kraje czytając opisy tego, co ci biedni ludziska przecierpieć musieli w obcym kraju, gdzie ich żarła tęsknota za domową zagrodą, ale jednocześnie nie można się opędzić myśli, że oni po części sami sobie winni, kiedy w pogoni za chlebem, tak lekkiem sercem ojczystą porzucili ziemię.

Przy demokratyzacyi społeczeństwa poeci nasi winniby, zda się

częściej sięgać w głąb serca i pojęć ludu, częściej jego życie brać za przedmiot swoich utworów.

W istocie jednak Młoda Polska traktuje lud, jako okaz psychologiczny lub etnograficzny, jako temat do rodzajowego obrazka lub zwrotki socyalistycznego hymnu, nigdy jako integralną część większej całości narodu.

Deotyma w poemacie swoim »Na Jasnej Górze« dała nam pierwszą próbę utworu, który l u d o w y m w tym sensie nazwać można, że przedmiotem jego jest wielka manifestacya religijna, w której lud wyłączną niemal gra rolę, w której swoje pojęcia wyraża właściwym sobie sposobem, przemawia językiem swoich legend, podań i pieśni.

Na tem tle jednak pogodnej wiary i pobożności ludowej porusza poetka wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne biedy i bolączki narodu, aczkolwiek tylko pobieżnie, mimochodem.

Tak w samym początku poematu, nad Jasną Górą, pokrytą krociami pątników, zjawiają się trzy drapieżne ptaki: sęp, jastrząb i kruk, w których nietrudno odgadnąć owych »trzech myśliwych, co zabrali nieżywym orzełka, którego sam Pan Jezus po kawałku z ziem polskich ulepił«.

Widząc mnóstwo zebranego ludu, z chorągwiami na czele, oni, co wszędzie węszą tylko bunty i spiski, cieszą się, że »będzie bitwa mordercza, szalona« i dostarczy im na cały miesiąc żeru. Wprawdzie Ostróżka, śmiejąc się z nich, próbuje przekonać, że się mylą — bo to wojsko pielgrzymie — że

Nikt nie myśli tu o wojnie,
Te tłumy idą niezbrojnie,
W górę myśli, na dół głowę,
Mężnie a spokojnie,
Jak dusze czyścowe.

Jednak Jastrząb, Sęp i Kruk nie dają wiary Ostróżce; oni twierdzą, że niewidziana rzecz, by krocie tysięcy ludu mogły rozejść się bez boju, oni są pewni, że niebo, do którego na Jasnej Górze ma być furta, jest puste, oni przekonani, że światem »rządzi tylko siła« — i zawiedzeni w oczekiwaniach swych, narzekają, że ich nieszczęściem to zbiorowa modlitwa ludu.

Sępy, Kruki i Jastrzębie mniej strasznymiby były, gdyby dusza narodu zabezpieczoną była. Niestety, trucizna wciska się głęboko do duszy. Poetka żali się na deprawacyjny kierunek szkoły i na

tych uczonych fałszerzy,
Którzy trują pierś młodzieży,
Zaufanie w przyszłość gaszą
I bezczeszczą przeszłość naszą.

a w usta STUDENCIKA w mundurku wkłada tę skargę:

Z tą nauką ciężka troska:
Pan profesor tak tłumaczy,
A w domu słyszę inaczej.
Zmiłujże się Matko Boska,
Bo już mi się w głowie myli,
Spraw, abyśmy do ostatka
Przy macosze nie zabyli,
Czego uczy matka.

Szczęście, że tego, czego uczy matka, nauczyć się można i na Jasnej Górze. MĄŻ DOJRZAŁY przemawia tam do pacholęcia:

Dobrze mówi twe serce, choć język twój chroma,
I dobrze, iż tu jesteś, o biedne pachole!
Tu ci się otwiera w Jasnogórskiej szkole
Nauka myślom twoim dotąd nieznajoma:
Geografia ojczysta. Spojrzyj na to pole,
Co od ubiorów tylu farbami aż kapie,
Jakby się tutaj przeszłość bawiła pędzelkiem,
Na tem polu wielkiem,
Jak na małej mapie.
Pokażę ci odwieczne twej ziemi granice,
Wszystkie jej województwa i jej tajemnice;
Bo tu się cudem zeszli ludzie zamieszkali
Od Dźwiny i Porohów do Elby i Sali,
Od brzegów Bursztynowych do wód Carogrodu
A wszyscy mówią mową jednego narodu.

Ten widok wspaniały ludu, zebranego z całej Polski, zastanawia i tych »panów«, którzy nie przypuszczali,

Aby masa narodu jeszcze u nas była
Tak bardzo nabożna.

Tak, to masa, ale przeważnie tylko ludu! Nie idą z nim razem i również masą inne warstwy narodu i KOŃ, przy chłopskim wózku, żując siano, zauważa:

Dla mnie jedna rzecz tylko jest tutaj zagadką:
Dużo tu widzę chłopstwa a niezmiernie rzadko
Ludzi ubranych z pańska i mówiących gładko.
Aż wstyd, jak ich mało.

i tylko OSIOŁ objaśnia go, że zawsze tak bywało:

Aniołom na zgorszenie, nam osłom na śmiech.
Wszak i tam w stajence
Przy świętej Panience,
I Boskiem Dziecięciu,
Pastuchów gdy się zeszło to kilkudziesięciu,
Mędrców tylko trzech!

Ale wszystkie te rozdźwięki nikną wobec ogólnego nastroju szczerej a gorącej wiary ludowej. O! bo ta wiara, to wspólna wszystkim gleba duchowa, to cement, który ściśle zjednoczyć może ludzi rozmaitego stanu, wykształcenia i zajęcia.

Kto sam wierzący klęczał wśród tłumu wiernych w wiejskim kościółku i modlił się przed ołtarzem, z którego Chrystus Ukrzyżowany nad ludem swoim wyciągał ręce, a z tłumu piersi, sukmaną czy surdutem pokrytych, wzbijał się ku niebiosom odgłos pieśni naszej, bardzo starej, bo pamiętającej epokę potężnej, rycerskiej a tak szczerze katolickiej Polski, tak, iż cała świątynia, także starodawna, modlić się zdawała, ten musiał odczuć czar i wielkość tego choćby chwilowego zespolenia się serc i myśli całego narodu. To istotne braterstwo i równość wobec Boga, wspólnego Ojca ludzi i narodów, nigdy tak namacalnie, jak w owej chwili czuć się nie daje, i z pewnością łatwiejby w zatargach domowych i społecznych do porozumienia dochodzili, gdyby się częściej na wspólną zgromadzali modlitwę.

Wprawdzie uczucie przywiązania do tego, co o j c z y z n ą zwykliśmy nazywać, do ojczystej mowy, ziemi, kultury, piśmiennictwa, przeszłości dziejowej, dziwnie silnie wiąże ludzi, ale dopiero wspólna wiara nadaje mu trwałość i niespożytość.

Wiara i tradycya religijna to kość pacierzowa, to krew organizmu narodowego; po usunięciu jej musi on się rozpaść na kółka

i stronnictwa. A któż pilniej tę wiarę przechowuje, kto jej wytrwalej broni, za nią heroiczniej cierpi i życie daje, jak nie lud? Wiara jest to ten złoty róg Wernyhory z »Wesela« Wyspiańskiego, z którego dziś w ręku szlachty »ostał się jeno sznur«, ale on się przechował wśród ludu i szlachta powinna dopomódz do odszukania takowego, i pójść za jego odgłosem.

Innego hasła darmo naród czekać będzie!

Ale wróćmy do samego poematu. Pod względem formy jest to dyalog mistyczno-liryczny, w którym oprócz pątników i pątnic, wraz z nimi przemawia cała natura kraju naszego, nasze ptaki, zwierzęta, owady, nawet kamienie, dzwony, chorągwie, a przemawia naiwno-pobożną formą naszych kolęd i pieśni kościelnych. Spotykamy parafrazy »Modlitwy Pańskiej«, »Pozdrowienia Anielskiego«, »Stabat Mater«, »U drzwi Twoich«, »Przed oczy Twoje Panie«. Jakaś jasełkowo-kościelna atmosfera unosi się nad całym poematem, wciąż serce i myśl czytelnika podnosząc do nieba, powołując Maryę na świadka tego, co się na tej ziemi dzieje.

Tak dzwon z wieży kościelnej zwołuje pobożnych na Jutrznię dnia jubileuszowego:

Serce moje, choć ty spiżem,
Ach! i ty się krusz!
Oto zeszło się pod krzyżem
Pół miljona dusz,
Nie dla szkody, lecz dla zgody,
Nie dla bitwy, lecz modlitwy;
Skrucho, serca krusz.
Pół miliona dusz
W pół tysiąca lat, —
Wieść dziwiąca świat.

KWIATY POLNE CHÓREM

Wystrojone skłońmy głowy,
Zaśpiewajmy hymn tęczowy
Na wiązanie dla Królowy.
Świta w roku dzień jedyny,
Pani naszej narodziny.
Pani kwiatów to dziedziczna,
Róża mistyczna, prześliczna!

Za pierwszym promykiem wschodzącego słońca, ozłacającego wierzchołek krzyża, na wieży dzięcioł wybijając takt dziób-

kiem, zachęca gromadę ptaków, iżby na »Dzieńdobry« jako kapela Jasnej Pani powitała Ją rajskim polonezikiem i podczas gdy ptaszki śpiewają, wchodzą pątnicy, a widząc »Zamknięty zewsząd pałac Króla Niebieskiego« — widząc naokoła niego nie śpiące warty, troszczą się, »jakim sposobem przesłać prośbę aż na ten świat«, »żeby jej w drodze nie schwycił jakiś szatan — szpieg«.

Chór pątnic dodaje im otuchy:

Tylko nie traćmy serca, oj nie traćmy głowy,
Kiedy Król nie chce słuchać, idźmy do Królowy.

Kiedy, jak się to zwykle dzieje, przy licznem zbiegowisku ludzi, kościół pomieścić wiernych nie może, Msza św. odprawia się pod gołem niebem na zewnętrznym krużganku kościoła, GŁOS DZWONU zapowiada tę uroczystą chwilę:

Chwała! Polska cała
Kościołem się stała:
Z ludzkich piersi mury,
Z niebiosów sklepienia,
Okrąg Jasnej Góry
Na ołtarz się zmienia.
Ołtarz to rodzimy,
Relikwie w nim czcimy.
Tu sam grunt, o dziwo!
Jest relikwią żywą.
Rękami prawemi
Ściśnij garść tej ziemi,
Każda nową ranę
Zdradzając w ojczyźnie,
Jak ciało skrajane,
Krwią męczeńską bryźnie.
Chwała! Polska cała
Kościołem się stała!

Msza św. odprawia się, dzwonek mszalny oznajmia Podniesienie. Nastaje długa chwila ciszy, po której z piersi pątników i pątnic płynie następna modlitwa, cudna swą prostotą i rzewnością:

Zatroskani, zapłakani
U drzwi Twoich stoim Pani.
Gdy nas niebo zapomniało
Komuż się poskarżyć? Komu?
Idziemy gromadą całą
Na podwórzec Twego domu.
Dzisiaj z Ciebie wielka Pani,
Dzisiaj mieszkasz przy Dziedzicu,
Aniołowie Ci poddani,
Nóżkę trzymasz na księżycu,
Masz jutrzenkę za posłankę
I ze siedmiu gwiazd równiankę.
Jednak my — Twoje rodzeństwo,
Bo i Ciebie — dziś niebiankę
Porodziło człowieczeństwo,
Wspomnij sobie, że przed chwilą
W chałupinie żyłaś nizkiej,
I z glinianej jadłaś miski,
I płakałaś, ach, niemało.
Wyjdź na ganek Twój książęcy
Do zbiedniałej Twej rodziny,
Spojrz raz jeden, raz jedyny!
Cóż Ci mamy gadać więcej?
Z bólu język u nas niemy,
Ty wiesz dobrze czego chcemy!...

Jednym z najbardziej efektownych a z wielką siłą uczucia napisanych ustępów jest druga modlitwa pątników, chwila, w której pod niebem odbywa się kazanie:

Widzę kaznodzieję — mówi lilia —
Oto podnosi ręce, twarz ma bardzo bladą,
Jak człowiek, co duszą płacze,
Już kończy — błogosławi — szlochają słuchacze,
Krzyżem na ziemię się kładą.

PĄTNICA-LUTNISTKA (sama poetka)
Pyszna chwila! Tak musiał przed wieki siedmioma
Wyglądać Piotr Pustelnik, mowca orlopióry,
Gdy rzesze nawoływał do tej innej góry,
Skąd Bóg nas przebitemi uściskał rękoma.
Ludzie porwani, skruszeni,
Wycinali sobie krzyże,
Z własnych szat wycinali.
Krzyż jest i między nami, tylko tu się kładzie
Nie na serce, lecz w serce, i nie jest on z sukna
Ani z królewskiego włókna,
Ale krwią napiętnowany,
Bo to są na krzyż dwie rany
Niezabliźnione choć stare
Za ojczyznę i za wiarę,

JEDNA Z KOMPANII
Ach tak, za wiarę wszystko, wszystkośmy oddali:
Chałupy — dzieci — życie. I cóż będzie dalej?
Na nas to zbór szatański spiknął się najzgubniej:
My nie chrzczeni, my nieślubni,
Świętą ziemią nie przykryci,
Paleni, głodzeni, bici...
Matko! w Tobie nasza siła!
Czemuś Ty nas opuściła?
Wszak my Twoi, my Unici!...

Ta modlitwa nie tylko serca, ale i kamienie porusza, ale oto druga mocniejsza, rzewniejsza, wkońcu s t r a s z n a:

Pomnij, o Matko zbolała,
Jaki to był dzień straszliwy,
Gdyś pod krzyżem we łzach stała.
Teraz on już daleko... długiemi ogniwy
Już się do niego wiąże dwutysiączne lato;
Ale i teraz jeszcze w rozkosznym Edenie,
Musisz czuć jakieś wzdrygnienie
Kiedy wspomnisz na to.

Więc dziś Jasna, Przejasna, Najjaśniejsza Pani,
Z niebieskiej wychyl się bramy,
Zobacz, jak my wyglądamy.
Do nagości obdzierani
Z naszych praw i naszej mowy,
Z tej nieszytej, jednolitej
Sukni narodowej.
Z krzywymi świadkami gnani
Po Pretoryach ludzkich sądów,
Jak do słupa uwiązani
Do kamiennych rządów.
O patrz! My rozkrzyżowani,
Rozprężeni we trzy strony,
Przez granice i kordony,
Od których ojczyźnie krwawej
Rozchodzą się stawy.

. . . . . .

Może Cię tym obrazem Golgoty rozbroim?
Równać my się nie chcemy z Boskim Synem Twoim
Ludzie, myśmy nagrzeszyli —
Bo któż czysty przed Panem? Któż czoła nie schyli,
Jeśli Bóg zechce w ścisłe wchodzić z nim rachuby?
Ależ chyba do tej chwili
Dość już kary, czy też próby.
O nie! To nie jest kara. To próbna choroba
Prawego Hioba.
I jego zachwiać chciała przewrotność doradcza,
I jemu przymawiali gorzcy przyjaciele:
»Przyznaj się, słusznie cierpisz, zawiniłeś wiele«.
A on: »Pan mię nie karze, tylko mię doświadcza«.
Czyżby Pan chciał powtórzyć moc tego przykładu?
Ach, jeśli w przedsięwzięciu dla nas niezbadanem,
Założył się o naszą cierpliwość z szatanem,
O Maryo! Ty przynajmniej bądź sędzią zakładu,
Zlituj się, a wczas, nad sługą,
Przerwij grę przed spełnieniem ostatnich obrotów,
Bo jeśli potrwa za długo,
Już za nic nie ręczymy... Szatan wygrać gotów.

I znowu nadzieja wypływa z wiary, bo:

...wszystkie cnoty z kolei
Trzymają się, jak jednej budowy wiązanie,
...tylko póty nadziei,
Póki wiary stanie,

a bez nich nie będzie i miłości:

Miłość ojczyzny jeszcze tęga w tym narodzie,

Lecz i o nią truchleję... Są już serca chore.
Gdyby naród się wyrzekł wiary i nadziei,
Prysłaby i ta miłość, jak bańka na wodzie.
Bo kto zwątpi o jednej z przewodnich idei
Musi pójść dalej.

Jedną z wielkich trudności dla poety w traktowaniu kwestyi religijnych lub z religią związanych, jest ścisłe trzymanie się teologii i nie naruszenie w niczem dogmatu wiary. Muza poetyczna w utworach o silnem napięciu patryotyczno-religijnego uczucia, a takim jest w wysokim stopniu »Na Jasnej Górze«, łacno porywa natchnionego wieszcza i skłania już to do ubóstwiania ojczyzny, robiąc ją Chrystusem narodów, albo do skarg i bluźnierstw na Boga, który na nią takie prześladowania dopuszcza.

Deotyma z przedziwnym taktem i poczuciem katolickiem potrafiła szczęśliwie uniknąć tego szkopułu. Kiedy w drugiej modlitwie pątników, o której sama mówi, że była »straszna«, i »boi się czy pokora ją wpuści przed oblicze Boże«, wykazuje podobieństwo między męką Chrystusa a Polski, zastrzega się zaraz, że tu o porównaniu, o paraleli mowy być nie może, bośmy »ludzie« a więc »nagrzeszyliśmy«, bo »nikt nie jest czysty przed Panem«, więc cierpimy słusznie. Ale czy kara nie trwa za długo? Pokusę tę odpiera wspomnieniem, że cierpienie nie zawsze jest karą, bywa też czasem próbą cnoty i czerpie otuchę w tem przeświadczeniu.

Zapewne, tak sądzić można, bo Bóg nie odkrył przed nami tajników swoich rządów nad narodami, sumienie jednak historyczne a nawet własne spostrzeżenia nad błędami, z których nawet po stukilkudziesięciu latach niewoli nie umieliśmy się poprawić, nie dozwala nam dać sobie tak pochlebnego świadectwa, że cierpimy jak Hiob niewinnie.

Lepiej byłoby dla naszej duszy narodowej, gdyby wieszczowie nasi wciąż nam, jak Skarga stawili przed oczy rachunek sumienia, abyśmy pamiętali, że pokuta i ekspiacya jest zawsze najpewniejszą drogą do wybawienia.

Jako w poemacie, trzymanym w stylu i tonie ludowym, musiały być ustępy, które rażą ucho nasze rubasznością i zdają

się ubliżać Majestatowi Bożemu, stawiąc niejako orędownictwo Maryi ponad Dobroć i Miłosierdzie i Serce Boga.

Takiemi są n. p. wyrażenia:

Kiedy Król nie chce słuchać, idźmy do Królowej.

albo

Jeśli Pan założył się o naszą cierpliwość z szatanem,
O Maryo! Ty przynajmniej bądź sędzią zakładu,
Zlituj się, a wczas nad sługą,
Przerwij grę.

albo kiedy w nieco rubaszny sposób lud wyraża swoje pojęcie o wstawiennictwie Maryi i Jej wpływie na wolę Bożą:

Kto wie co się dzieje
W najtajniejszych komnatach Niebieskiego Króla?
Nim Królowa tam pójdzie, nim się z Nim rozprawi,
Nim Go łzami porozczula
I nim na swojem postawi,
Nim Król podpisze prośbę i t. d.

A jednak pomimo uśmiechu, jaki te słowa na usta czytelnika sprowadzają, niemasz w nich nic, coby dogmatowi interwencyi, orędownictwa Matki Boskiej się sprzeciwiało. Wprawdzie pogodzenie zupełne tej interwencyi z Wszechmocą i Wszechmiłością Bożą pozostanie dla naszego biednego rozumu tajemnicą, ale równie niewruszoną pozostanie prawdą dogmatyczną, że nie ubliżamy Bogu udając się do Jego Matki, owszem On sam do Niej uciekać się kazał, boć nie na darmo dał nam Ją za Matkę i przez Jej ręce najobfitsze łaski zwykł na nas zlewać.

Jedno tylko znaleźliśmy słowo, które, pomimo naiwności tonu, w jakiej trzymany jest cały ustęp, razi nasze pobożne uczucie. Oto gdy gwiazda narodu polskiego opowiada o Matce Boskiej, że na głos modlitw i próśb ludzkich, które pędząc jak nawałnica uderzyły o »Wieżę ze słoniowej kości«:

Wyszła pośpiesznie z wieży na gwiazdzisty ganek.
U łona Jej spoczywał tajemny Baranek —
Przechyliła się wdzięcznie przez kratę poręczy,
Co jest pleciona z księżycowej tęczy,
I wpatrzyła się w otchłań, w której ludzkość jęczy.
Słuchała. — Niepostrzeżenie

W twarzy Jej zaszło zaćmienie,
Skroń oparła na ręku, jak Jej Syn w Ogrojcu,
Potem głaszcząc baranka ową ręką cudną
Rzekła: »No, moja baziu, dłużej czekać trudno.
Już teraz powiemy Ojcu.

Spuścizna po Deotymie wielorakie skarby literackie zawiera, a wolą zmarłej było, aby ją uważać za własność narodu, aby dochód z jednego dzieła szedł na koszta wydawnictwa następnego.

Przedewszystkiem dalsze pieśni »Sobieskiego pod Wiedniem«, tej łabędziej pieśni Deotymy, nad którą jeszcze na łożu boleści do ostatniej chwili życia gorączkowo pracowała, oczekują wydawcy. A śmiało rzec można, że ogłoszenie drukiem utworów Deotymy będzie nie tylko wzbogaceniem ojczystego piśmiennictwa, lecz zarazem zacnym czynem podniesienia i pokrzepienia serc.

Trafnie ktoś powiedział, że każda prawdziwie piękna książka powinna duszy czytelnika przyprawić skrzydeł i nową w niej gwiazdę zapalić. O jakże bardzo potrzebuje takowej naród nasz, a zwłaszcza młodzież, ta przyszłość jego, która tak powszechnie na anemię ducha, na niezdolność zachwytu i zapału choruje!

I nie dziw. Skądże ona ma ten zapał czerpać, kiedy współczesna literatura karmi ją albo beznadziejnym pesymizmem, wiejącym z liryk prawie wyłącznie egotycznych, albo ponuremi obrazami skandynawskiej i rosyjskiej dramaturgii, albo mglistym mistycyzmem symbolicznych nastrojów, nie mówiąc już o brudnym erotyzmie domowym i importowanym, którym niebacznie wrota naszego ducha otwieramy.

Mam przekonanie, że bliższe zapoznanie naszego ogółu, a zwłaszcza młodzieży naszej z Deotymą, z duchem jej utworów, nie jest tylko hołdem oddanym jej pamięci, ale będzie i przysługą rzetelną tej Ojczyźnie, której ona służyła, którą pieśnią swą unieśmiertelnić starała się przez całe życie.

W. Czeczott.

WALKA PRZECIW ALKOHOLOWI W IRLANDYI.

Jak to zauważyliśmy przy innej sposobności, Irlandczyk ma charakter zacięty, pomimo pozorów niekiedy temu przeciwnych; jak nie uległ asymilacyi w walce z Anglią, jak nie dał sobie wydrzeć wiary i zadać śmierci moralnej — tak też nie pozwala teraz zniszczyć się przez alkohol.

Mamy tu właśnie do zanotowania bardzo pocieszające zjawisko, które pozwala nam o Irlandyi żywić najlepsze nadzieje, mianowicie zwycięstwo, i to, jak się zdaje, zupełne nad alkoholicznym wrogiem.

Irlandczycy wskutek swej skłonności do picia, smutną sobie wyrobili sławę od wieków. Nawet protestanci angielscy, mimo że sami nie mniej pili, sami brali to za złe katolikom irlandzkim i podnosili jako zarzut przeciwko katolickiemu klerowi. »Chociaż czystość obyczajów w Irlandyi prawdziwie cudów dokonywa i niewątpliwie należy ją zawdzięczać wpływowi kleru — pisali Anglicy — to przecież smutnem jest, kiedy trzeba stwierdzić, że nie udało się temuż samemu klerowi, mimo wszelkich usiłowań, wykorzenić u swoich owieczek pociągu do wódki«. — Księża irlandcy robili co mogli, ale czas długi, z powodu wielorakich względów, pracowali bez skutku.

Byłoby za dużo twierdzić, idąc za niektórymi autorami, iż dawniej Irlandya była wzorem wstrzemięźliwości, i że na zdobywcę Anglika spada cała wina wprowadzenia na Zieloną Wyspę nadużywania alkoholu, ale bądź co bądź, alkohol był nową i może

najstraszniejszą bronią, która służyła Anglikom w walce zdobywczej przeciw biednym i uciemiężonym Irlandczykom.

Czy Irlandczyk w istocie więcej pił od innych? Bynajmniej. Belgijczyk i Niemiec, licząc przeciętnie ile wypada na głowę, używa daleko więcej alkoholu, że nie wspomnimy już nic o Anglikach i Szkotach, którzy jeszcze więcej piją. Ale ponieważ Irlandczyk jest biedny, źle odżywiany i niewytrzymały na trunki, przeto alkohol, nawet w mniejszych używany ilościach, więcej mu szkodzi, albowiem pozbawiony silniejszych pokarmów, doznaje zbyt silnych zaburzeń, a system nerwowy w stanie osłabionym tem łatwiej bywa na szwank narażony.

Z drugiej znów strony im więcej człowiek czuje głodu oraz im więcej zaznaje nędzy, tem bardziej czuje pokusę do picia, aby o swej biedzie zapomniał. To jest tak prawdziwe, że nawet matki chcąc uciszyć dzieci swoje drobne od głodu płaczące, zanoszą je na własnych rękach do szynków, i przemocą wlewają dzieciom do ust wódkę, aby je tylko odurzyć. Szczęście przecież, że wyszła nowa ustawa, zabraniająca podobnych nadużyć.

Chcąc znaleźć prawdziwe lekarstwo przeciw alkoholizmowi, trzeba było podnieść ogólny dobrobyt kraju, ale i zarazem tłumaczyć nieuświadomionym masom, jak zbytecznym, szkodliwym i wprost zgubnym jest alkohol; bo sam dobrobyt złemu jeszcze nie zaradzi, a ludzie mogliby łatwo użyć przyrostu dóbr materyalnych na to, aby coraz więcej pili i to jeszcze silniejsze trunki.

W istocie od kilku lat podniósł się dobrobyt kraju tak, że niesłusznem a nawet daremnem byłoby temu przeczyć. Tu i ówdzie zaczął się przemysł ożywiać, trzeba było tylko postarać się o środki do uświadamiania ludu; otóż kler skorzystał z tej sposobności i odniósł tryumf nad pijaństwem.

Ażeby ruchu antyalkoholicznego w Irlandyi nie osądzić fałszywie, trzeba pamiętać, że Irlandczyk lgnął do picia, party siłą atawizmu odziedziczonego po przodkach. Już od lat młodzieńczych był do alkoholu przyzwyczajony, a niekiedy nawet, jak to wspomnieliśmy wyżej, jeszcze jako niemowlę ssał wódkę wraz z mlekiem matki. Ażeby tak silnemu prądowi opór stawić, niewystarczającemi były wszelkie środki zwykłe i łagodne. O doradzaniu

umiarkowanego używania alkoholu w Irlandyi nie mogło być na razie mowy. Trzeba było więc konsekwentnie albo odstąpić od wszelkiej walki i dozwolić, aby całe społeczeństwo zniszczało — albo też chwycić byka za rogi i wystąpić od razu ze stanowczym zakazem używania trunków alkoholicznych. Wszelkie środki połowiczne nie mogły doprowadzić do celu. Ażeby osiągnąć ten skutek — niewątpliwie zupełnie radykalny — nie można było dążyć do niego, za wzorem Stanów Zjednoczonych, drogą ustawy, ale trzeba było wpłynąć wpierw na opinię publiczną i apelować do dobrej woli ludzi. Przedewszystkiem jednak należało zwrócić się do części społeczeństwa niezepsutej, t. j. do młodzieży. Pijacy bowiem nałogowi, zwłaszcza w wieku starszym mogą wprawdzie w jaśniejszej chwili życia lub niezadowolenia ze swego losu pod wpływem jakiejś wymownej zachęty lub żarliwej modlitwy powziąć to iście heroiczne dla nich postanowienie, aby więcej nie pić. Ale na jak długo? Zresztą takie niezwykłe porywy nie trafiają się codzień, ani też nie są zbyt trwałe.

Niegdyś pod wpływem ognistych i porywających słów sławnego Kapucyna O. Mathew, tysiące ludzi zobowiązywały się nie pić już więcej nigdy trunków alkoholicznych. Lecz skutki tych wspaniałych objawów niebawem znikały, aż do czasu, kiedy lat temu 30 udało się OO. Kapucynom to dzieło znowu wskrzesić, ale na nowych fundamentach oprzeć.

Ostatnie wykazy statystyczne stwierdzają dwa następujące fakta:

1. zmniejszenie się liczby skazanych za pijaństwo, oraz
2. zmniejszenie się ilości destylarni.

Do tych dwóch objawów trzeba jeszcze dodać mniejszą ilość koncesyi na otwieranie szynków, oraz, iż odtąd szynkarze nie mogli tyle ofiarować za czynsz, ile dawniej płacili.

Kiedy liczba skazanych za pijaństwo w r. 1908 wynosiła 74.267, to w rok potem spadła na 68.749; a więc w ciągu jednego roku możemy zanotować zmniejszenie o 5.518 czyli blizko 8%. W samym Dublinie liczba tych skazańców spadła w tym czasie z 4.111 na 3.477. W Limerick z 1.545 na 1.045 czyli o 32.6%. W Belfast z 4.328 na 3.904. W Derry z 1.702 na 1.293. Tylko

miasta Cork i Waterford wykazują wzrost skazanych za pijaństwo z 1.999 na 2.043, względnie z 845 na 903.

Może ktoś osądzi, że ten zwrot na lepsze należy zawdzięczyć podrożeniu napojów alkoholicznych? Lecz dlaczegóż miasta Cork i Waterford stanowią wyjątek? Zresztą ruch antyalkoholiczny rozpoczął się jeszcze przed podniesieniem ceny alkoholu. Wcale nie przeczymy, że to podniesienie ceny mogło pod pewnym względem pomódz ruchowi antyalkoholicznemu, albowiem niekiedy wywiera ono ten zbawienny skutek, jak to miało miejsce np. w Belgii. Gdyby jednak wyłącznie tej okoliczności zawdzięczać należało omawiane przez nas wypadki, to zmniejszenie się pijaństwa przedewszystkiem musiałoby nastąpić w wioskach, miasteczkach lub terytoryach o ludności ubogiej, gdzie pieniędzy niewiele. Tymczasem stwierdzamy fakt przeciwny. Oto wielkie miasta wykazują na 10.000 mieszkańców zasądzeń 1·4% w r. 1908 (zamiast 2·9% w r. 1899); podczas gdy w wiejskich powiatach na 10.000 mieszkańców w r. 1908 było 1·6% skazanych, a w r. 1899 — 1·9%. Z czego widać, że zwrot przeciw alkoholowi stosunkowo daleko znaczniejszy jest tam, gdzie ludność jest więcej nagromadzona; czyli innemi słowy, tam, gdzie słowa propagatorów wstrzemięźliwości dochodzą do uszu i serca ludności. Zobaczymy zresztą wkrótce, że obecnie apostołowie wstrzemięźliwości także mniejszych miejscowości nie opuszczają, owszem niema już prawie teraz wioski, do którejby oni nie dotarli.

Ruch antyalkoholiczny rozpoczął się w pierwszych latach XIX wieku. Pierwsze stowarzyszenie zostało założone w Skibbereen w r. 1817, drugie w New Ross w r. 1829, trzecie zawdzięcza swój początek sławnemu apostołowi O. Teobaldowi Mathew w r. 1838 Ten wielki i sławny Kapucyn urodził się w r. 1790 a umarł r. 1856 Właśnie r. 1838 rozpoczął on swoją, tak obfitującą w owoce działalność na polu wstrzemięźliwości. Przebiegał Irlandyę i Anglię obudzając wszędzie szalony entuzyazm antyalkoholiczny, przejmując nim tysiące stowarzyszeń, zakładanych i kierowanych przez jego Braci zakonnych.

Wszelkie dzieła wielkie muszą przejść czas próby; nie inaczej też było z dziełem O. Mathew, które zrazu przybierało rozmaite

formy, aż wreszcie doszło do »wstrzemięźliwości zupełnej«. Członkowie tego stowarzyszenia zobowiązują się nie do umiarkowanego używania alkoholu, ale do zupełnego wstrzymywania się od wszelkich trunków alkoholicznych, wyjąwszy jedynie wypadku, w którymby lekarz nakazał ich komu używać. Lecz i ten ostatni wyjątek jeszcze za życia O. Mathew prawie zupełnie zniknął, albowiem był tylko furtką dla znacznej liczby tych, którzy przynajmniej w ten sposób próbowali powrócić do szynków, z którymi dopieroco postanowili na zawsze się pożegnać.

Któżby jednak przypuścił, że jedną z wielkich trudności, jakie ruch zupełnej wstrzemięźliwości miał do zwalczenia, była trudność teologiczna?... A trudność zwłaszcza w Irlandyi, jako w kraju silnej wiary, bynajmniej nie była drobnostką, którą możnaby było ignorować. Utrzymywano bowiem, że wstrzemięźliwość zupełna jest zmodernizowaną herezyą manicheizmu, że zatem zupełnych abstynentów należało skłonić do odstąpienia od złożonego wyrzeczenia się alkoholu. Jeszcze po dziś dzień krzewiciele zupełnej abstynencyi muszą ludziom tłumaczyć, że Manichejczycy uważali wino i napoje fermentujące jako rzeczy s a m e w s o b i e złe, podczas gdy zupełni abstynenci potępiają tylko n a d u ż y w a n i e alkoholu, a wstrzymują się zupełnie od jego używania ze względów tylko osobistych.

Do ruchu tego należą obecnie ludzie wszelkich klas i wszystkich prowincyi, każdego wieku i płci, bez względu na różnicę religii. Niemożebnem byłoby wyliczać wszystkie rodzaje podobnych stowarzyszeń; ograniczamy się tylko do wspomnienia o najważniejszych, poczem zastanowimy się szczegółowo nad ich stosunkiem do siebie. Wszystkie posiadają zupełny samorząd i osobne nazwy, a niektóre tylko wyróżniają się z pomiędzy innych większem znaczeniem lub lepszą organizacyą.

I tak, istnieje zorganizowane stowarzyszenie albo lepiej cały kompleks stowarzyszeń wstrzemięźliwości, zależnych od Mathew Hall w Dublinie, pod dyrekcyą OO. Kapucynów. Oprócz tych istnieją znowu pod kierunkiem OO. Jezuitów inne stowarzyszenia, których środowiskiem jest St. Francis Xavier's Hall. Nadto istnieje jeszcze tak zwana »Rada wstrzemięźliwości« w hrabstwie

Wexford oraz »Liga św. Patryka« na zachodzie (Connaught). Oprócz katolickich stowarzyszeń znajdują się w Nord (Ulster) stowarzyszenia protestanckie, cieszące się znacznem powodzeniem, a znane pod nazwą »Catch my Pal movement«. Pastor Patterson d'Armagh, wiedziony przykładem i powodzeniem katolickiego kapłana, wikarego Sheerin'a, postanowił spróbować założyć u protestantów to, co się tak znakomicie powiodło katolikom. Spotkawszy sześcioro ludzi leżących u progu szynkowni, jak to się często zdarzało, zabrał ich ze sobą, przemówił im do serca, i to u nich wskórał, że w jakiś czas potem wszyscy wyrzekli się wódki. Postanowili znowu zejść się na oznaczonem miejscu następnej soboty, a zarazem każdy z nich zobowiązał się pozyskać do tej ligi znowu jednego członka. Odtąd schodzą się tak przez lat 12. Zaraz w następny poniedziałek liczba ich doszła do 31, poczem to zbożne dzieło zaczęło się coraz bardziej rozszerzać także w innych miejscowościach protestanckich w Nord. Jest nadzieja, że jak od razu i na seryo się rozwinęło, tak i wieki całe dalej rozwijać się będzie. To stowarzyszenie w wielu miastach spodziewa się zagarnąć pod swój sztandar całą ludność męską, a już istnieją takie miejscowości, w których na 160 mężczyzn 140 należy do tego związku.

Kościół episkopalny w Irlandyi, metodyści i wszystkie inne sekty pracują także na swoją rękę; stowarzyszenia wstrzemięźliwości kobiet, dzieci i robotników rozwijają się odpowiednio do swoich warunków i środków, jakimi rozporządzają. Wreszcie potężna »Gaelic League« spieszy ze skuteczną pomocą i rozwija wielką działalność wśród swych członków na korzyść wstrzemięźliwości. Sieć podobnych organizacyi obejmuje kraj cały i wywiera nań swój wpływ dobroczynny, którego drogocennym rezultatem jest zupełne pozyskanie dla swych celów opinii publicznej. Odtąd alkohol jest powszechnie uważany za nieprzyjaciela kraju, a niewiele brakuje do tego, że przy wyborach będzie się wymagało od kandydatów stanowczego oświadczenia się przeciw alkoholizmowi.

Przypatrzmy się teraz szczegółowo funkcyonowaniu dwóch niewątpliwie najważniejszych stowarzyszeń wstrzemięźliwości; ich

regulamin służyć może z pewnością, z małymi chyba wyjątkami, za wzór wszystkich innych podobnych stowarzyszeń.

A. Stowarzyszenie pod nazwą: »Le Father Mathew O. S. F. C. Hall«, mieszczące się przy Church street w Dublinie, koncentruje w sobie większą część ruchu antyalkoholicznego. Każdy tu doznaje najlepszego przyjęcia, pełnego prawdziwej życzliwości, a zarazem franciszkańskiej prostoty ze strony O. Alojzego, głównego przełożonego całego dzieła.

Znajdujemy tam dużą salę, mogącą pomieścić więcej niż 1000 osób. Każdego poniedziałku wieczorem odbywa się w niej konferencya literacka, artystyczna, naukowa lub zawodowa; we wtorki i czwartki znowu koncerty lub inne zabawy. Jest także biblioteka stopniowo powiększana oraz czytelnia z dziennikami i czasopismami; w porze zimowej urządzają tu kursa wieczorowe.

W lecie znowu udają się członkowie za miasto do willi, zakupionej przez stowarzyszenie, jużto na ćwiczenia gimnastyczne, odbywające się tam wieczorem, już też by odetchnąć świeżem powietrzem. W miejscowej restauracyi, należącej również do stowarzyszenia, można się posilić, a także i zagrać w bilard, w szachy, w domino lub w warcaby (jednych tylko kart nie widziałem).

Biuro umieszczeń pośredniczy w szukaniu zajęcia lub ofiaruje takowe, jest tam także klub dramatyczny, cyklistów, kompletna orkiestra i inne zawodowe kółka. Doroczna wycieczka zgromadza razem wszystkich członków stowarzyszenia, jego organem jest pismo co miesiąc wydawane. Rekolekcye, które się co roku odbywają, krzepią siły duszy. Nagrody konkursowe utrzymują młodzież w zapale, a znowu orkiestra złożona z młodszych członków stowarzyszenia, matche oraz wszelkiego rodzaju gry sportowe wyrabiają ich muskuły, płuca a nawet talenta artystyczne.

Tak się przedstawia zewnętrzna organizacya stowarzyszenia wstrzemięźliwości, kierowanego przez OO. Kapucynów. Nie byłaby ona jednak tyle dokazała, gdyby jej nie ożywiał duch gorliwości i poświęcenia, który jest duszą całego tego zbożnego dzieła, oraz gdyby nie przyświecała jej idea moralna i religijna, która całą organizacyę wspiera i czyni ją skuteczną.

Zaraz na pierwszy rzut oka widzimy, że cel, do którego OO. Kapucyni dążą, i który, możemy zaraz dodać, w rzeczywistości osiągają, jest oddalenie od dziecka, młodzieńca i dorosłego pokusy picia, a danie im sposobności, do odpowiedniej rozrywki oraz podniesienie ich ducha i serca do celu wyższego. Wpływ umoralniający i pouczający konferencyi oraz kursów wieczornych jest niezaprzeczony. Całe to katolickie dzieło wstrzemięźliwości opiera się na religii i w istocie z niej czerpie swą siłę. Założone przez O. Mathew Stowarzyszenie zupełnej wstrzemięźliwości, o którem dopieroco mówiliśmy, jest poświęcone »uczczeniu Męki pragnienia Chrystusa na krzyżu«. Ono ma za cel, jak to dewiza jego nam głosi: »uczynić ognisko rodzinne szczęśliwem, Irlandyę wielką i opływającą w dobrobyt, a to wszystko z miłości ku Bogu« *(For happy homes, for Ireland and for God).*

Przyjrzyjmy się teraz wzrostowi tego dzieła na podstawie sprawozdania z roku 1909.

Ażeby mieć pojęcie, jak to stowarzyszenie się rozwinęło, wystarczy zaznaczyć, że w czasie wielkiej manifestacyi w Armagh, odbytej pod przewodnictwem kardynała prymasa Irlandyi, aż 20.000 samych delegatów różnych grup stowarzyszenia defilowało w orszaku. Kiedy znów lord major Dublina w dzień swojej instalacyi wydał bankiet, to kto z biesiadników żądał wina, mógł je wprawdzie otrzymać, ale oficyalnie zastawiano tylko napoje niealkoholiczne... Jest to zaprawdę wyraźny postęp idei wstrzemięźliwości w kraju, w którym wspólna praca biskupów i obywatelstwa, oraz szlachetność i entuzyazm ludu formalnie aż do przesady występuje przeciw alkoholowi. — Wielka sala uroczystości została zupełnie zmieniona, powiększona i upiększona, scena odnowiona, kinematograf elektryczny zainstalowano, a według uwagi sprawozdawcy, o ile to było możebne, użyto do tego wyłącznie materyałów irlandzkich. Nadmienić jeszcze wypada, że willa Stowarzyszenia wraz z ogrodem jest tak położona, iż można się do niej dostać dwoma liniami tramwaju, jazda kosztuje 10 centymów.

Przez zaprowadzenie konkursów czyli właściwie igrzysk w r. 1909, stworzono rzecz nową dla dzieła, działającą w kierunku pozytywnym. Samo zniszczenie alkoholizmu nie byłoby

jeszcze czemś wielkiem, gdyby na jego miejsce nie wprowadzono czegoś innego — łatwo burzyć, ale trudniej budować. Postawiono za zasadę udowodnić faktami, że wstrzemięźliwość od alkoholicznych napojów nie przeszkadza bynajmniej rozrywce i zabawie, ale przeciwnie — prawdziwy wypoczynek i prawdziwa, zdrowa i stała wesołość jest wypływem harmonijnego rozwoju władz oraz zdolności ducha i ciała i najlepszego sprzymierzeńca znajduje właśnie we wstrzemięźliwości. Na igrzyska składały się konkursy literackie i muzyczne, trwające cały tydzień, w czasie których uczestnicy ich rywalizowali nawzajem w zdobywaniu sobie nagród i powinszowań. Przedmiotem ich były: taniec irlandzki, gra na fortepianie, na skrzypcach, na instrumentach dętych, śpiew solowy, śpiew irlandzki, śpiew chórowy, chór uczniów, tercety i kwartety, konwersacya irlandzka, historya Irlandyi, dykcya, wygłoszenie powieści irlandzkiej, rysunki praktyczne, rysunki artystyczne, gospodarstwo, pasztetnictwo, konfekcye, znajomość flory irlandzkiej i t. d. Ubiegający się o nagrody byli podzieleni na odrębne klasy, młodszych i starszych, a liczba uczestników wynosiła około 300.

Promotorzy Dzieła, zachęceni wielkiem powodzeniem, postanowili natychmiast ogłosić wezwanie do następnego konkursu, którego zakres będzie jeszcze większy.

Wiadomo, że sławni misyonarze, jak n. p. św. Franciszek Ksawery w swej pracy posługiwali się bardzo roztropnie małemi dziećmi. OO. Kapucyni poszli za ich przykładem i utworzyli z młodzieży osobne oddziały. Właśnie od najmłodszych z nich pochodzi ta wymowna nazwa całego stowarzyszenia: »Krucyata maluczkich w Irlandyi«; występują oni do walki z biedą i nędzą świata, uzbrojeni w dobrą wolę i pomoc z nieba. Sprawozdanie dodaje, że »zwróciliśmy się do maluczkich, ażeby zapewnić sobie pomoc przez ich modlitwy, aby się nią posługiwać jako potężną bronią w walce, wypowiedzianej nieprzyjacielowi ogniska domowego, czci naszej ojczyzny i wiary. Ale nawet nie spodziewaliśmy się, aby propozycya nasza takiego doznała przyjęcia i ten entuzyazm wywołała u dzieci, ich wychowawców i rodziców. Z miesiąca na miesiąc Stowarzyszenie zaczęło nader szybko wzrastać·

Aby wyrobić sobie sąd należny o znaczeniu moralnem i wpływie dobroczynnym tej ligi maluczkich, wystarczy zauważyć do czego się te dzieci zobowiązują:

1. pozostać wiernym swej wierze i ojczyźnie,

2. pilnie wypełniać praktyki religijne,

3. powstrzymywać się od wszelkich upajających trunków, oraz nakłaniać rodzeństwo, przyjaciół i towarzyszy do wstrzemięźliwości zupełnej,

4. starać się o ile można, aby w domu rodzicielskim było schludnie, wesoło i pięknie,

5. czcić i szanować swoich rodziców,

6. przyzwyczajać się do zaparcia siebie i do wykonywania uczynków miłości bliźniego,

7. okazywać szczególny szacunek i uprzejmość starcom, chorym i ubogim.

Zaiste w postulatach powyższych przebija coś rycerskiego, a wiara św. po wszystkie wieki domagała się od ludzi mniej więcej tego samego.

W Dublinie, głównej siedzibie Stowarzyszenia, mali jego promotorowie rywalizowali nawzajem w gorliwości co do pozyskiwania nowych członków, rywalizacya ta dopiero wtedy ustała, kiedy wszystkie dzieci zostały dla Stowarzyszenia pozyskane

Po 12 miesiącach ustawicznej pracy, godło »nowych krzyżowców« zawisło na piersiach 100.000 irlandzkich dzieci, a każdy z tych małych odmawiał codzień 1 Ojcze nasz, 3 Zdrowaś, 1 Chwała Ojcu za pomyślność propagandy antyalkoholicznej... Nieprawdaż, że jest to przykład, za którym mogło pójść wiele krajów w celu wykorzenienia panujących błędów, czyto pijaństwa, czy bluźnierstwa, czy też czytania złych książek i czasopism? Ależ czy łatwo znaleźć na świecie drugi kraj, posiadający taką wiarę, jak Irlandya?!

Odczyty poniedziałkowe są bez wątpienia ogromnie pouczające, bywają miewane jużto dla dorosłych, już też dla dzieci, najczęściej jednak dla wszystkich; prelegentami są zakonnicy lub ludzie świeccy. Oto przedmioty kilku takich odczytów: »O wieszczach«, »Ruiny Messyny«, »Joanna d'Arc«, »Przemysł nowożytny

i jego rodzaje«, »Historya skrzypiec«, »Św. Kolumban i mnisi«, »Trzy rewolucye w Irlandyi«, »Klęska narodowa«, »Walka o byt«, »Awiatyka«, »Dwór londyński« i t. p., widać z tego, że obierane bywają tematy bardzo różne oraz interesujące.

Organ Stowarzyszenia został dopiero niedawno założony, lecz jego powodzenie nie ulega wątpliwości; podaje nowe wiadomości o Irlandyi, Stanach Zjednoczonych, Australii i Nowej Zelandyi. Kilka stron jest zawsze poświęconych sprawom »małych krzyżowców«, także konkursy mają dział osobny. Ostatni numer n. p. zajmuje się kwestyą, czy należy się zająć propagandą języka irlandzkiego, czy też podniesieniem przemysłu narodowego. Z wielkiem zajęciem czyta się o tem, jak młodzi współpracownicy pisma usiłują dowieść, że obie powyższe kwestye tak bardzo są z sobą związane, że niepodobna rozwiązać jednej z nich bez pracy nad rozwiązaniem drugiej. Przyszłość zależy od młodzieży, wiedzą o tem dobrze Ojcowie, bo mimo to nie przestają się wcale zajmować dorosłymi a osobliwie wyrobnikami. Osobny komitet w tym celu się zawiązał, aby szerzyć ideę wstrzemięźliwości wśród ludności robotniczej; wchodzi doń po dwóch członków z trzech różnych korporacyi, rzemieślników, handlowców i członków stowarzyszenia wstrzemięźliwości. Do celu ogólnego dochodzi się dopiero stopniowo, albowiem zło było bardzo zakorzenione. I tak np. cała walka w latach 1908 i 1909 postawiła sobie do osiągnięcia tylko ten jeden cel szczególny, skłonić stowarzyszenia handlowe oraz ich członków do wyprowadzenia się z tych domów, w których sprzedawano napoje alkoholiczne. Oto podajemy w przekładzie tekst odezwy wspomnianego komitetu do ludności roboczej.

»Towarzysze pracy! Pieniądze wydawane na trunki odbierają Irlandyi siły żywotne do pracy, pozbawiają wasze mieszkania światła i dobrobytu, a dzieci wasze — zdrowia i szczęścia! Poświęcać pieniądze na picie, znaczy dostarczać środków rządowi, starającemu się o podniesienie wpływu rządu angielskiego, ale obojętnego na wasz dobrobyt... podczas gdy grosz wasz będzie napełniał kasy bogaczów. Pomnijcie, ilu piekarzy nie ma pracy, ile dzieci płacze z głodu! Ilu szewców i krawców bez zatrudnienia, a całe masy dzieci chodzą boso i w łachmanach; ilu

murarzy i cieśli bez zajęcia a tysiące ojców, matek i dzieci nagromadzonych po norach i lochach.

Towarzysze! Zauważcie, że 20 centymów dziennie wydanych na picie uczyni 73 franków na rok. Jeżeli wasze familie liczą po 5 głów, a na każdą wypada ta niewielka sumka na dzień, to na rok cały uczyni to 365 franków... a więc 333 miliony na całą Irlandyę!...

Zakładanie magazynów i biur stowarzyszeń na piętrach domów, w których na parterze sprzedają napoje alkoholiczne, nastręcza złą okazyę i niebezpieczeństwo zwłaszcza dla młodszych. Należcie do różnych stowarzyszeń, ale nigdy do takich, których lokale znajdują się w pobliżu składów alkoholu lub szynków«!

W tej kampanii przeciw alkoholowi co roku występuje na teren jakaś nowa kwestya praktyczna, która, jeśli w najbliższym roku nie zostanie w zupełności pomyślnie załatwiona, to przynajmniej zwraca się na nią uwagę ludowi, aby go przed złem ustrzedz.

Już wspominaliśmy o rekolekcyach dorocznych oraz o wspólnej wycieczce, w której przeciętnie 5000 osób uczestniczy. O dobro duchowne stowarzyszenia czynią się jeszcze większe starania, zaprowadzone są mianowicie częstsze Komunie św. generalne, oraz wspólne nabożeństwa. OO. Kapucyni wystarali się o różne odpusty dla członków Stowarzyszenia i tak: odpust zupełny na dzień wstąpienia do Stowarzyszenia, na dzień miesięcznej Komunii generalnej, w uroczystość M. B. Anielskiej, 1 stycznia, Wielkanocy, Bożego Narodzenia, w dzień patrona kraju św. Patryka, a nadto w 3 i 4-ą niedzielę kwietnia i października. Odpust 300 dni za uczestniczenie w modlitwach wspólnych na intencyę stowarzyszenia odprawianych, oraz 300 dni za każdy dobry uczynek, ofiarowany za pomyślność Stowarzyszenia.

Wiele jeszcze dałoby się powiedzieć o znakomitej działalności dzielnych OO. Kapucynów w Dublinie, ich program znalazł wielu naśladowców. Ponieważ tu niepodobna szczegółowo oceniać ich działalności, przeto tyle tylko zaznaczamy, że przyszłość najlepiej okaże, jak wiele im zawdzięczać należy. Na jednem publicznem zgromadzeniu Stowarzyszenia O. J. A. Cullen, Tow. Jez.

oddał im słuszność zupełną, kiedy zawołał: »Mówiąc o szczęśliwie uskutecznionem założeniu »Stowarzyszenia wstrzemięźliwości« korzystam ze sposobności, aby OO. Kapucynom publicznie dać wyraz naszego uznania i czci z powodu rozpoczęcia tak zbożnego dzieła i wskazania mu kierunku na przyszłość. Same stowarzyszenia wstrzemięźliwości istniały już dawniej w Irlandyi i dalej istnieć będą, ale przedziwnie obmyśloną sprawę koncertów, odczytów i zabaw w tychże stowarzyszeniach zawdzięczamy OO. Kapucynom i nigdy im się za to dosyć nie wywdzięczymy. Jeżeli naśladownictwo jest czemś bardziej pochlebnem aniżeli największe pochwały, to sądzę, że najbardziej pochlebię dziś O. Alojzemu, oraz innym OO. Kapucynom, jeżeli wyznam, że Stowarzyszenie św. Franciszka Ksawerego zawdzięcza w wielkiej mierze swoje istnienie zachęcie i przykładowi danemu przez tych Ojców. Urządzenie Stowarzyszenia tak świetnie się powiodło O. Alojzemu, że nie bez uzasadnienia wyrażam pewną obawę, że zapatrzeni w jego owocną działalność, pełni podziwu, zdołamy tylko zaledwie na małą skalę naśladować go w tej pracy w naszem stowarzyszeniu«.

Ten hołd braterskiej miłości zakonnej syna św. Ignacego, okazany dzielnemu synowi św. Franciszka z Asyżu, niechże nam posłuży za przejście do działalności antyalkoholicznej Jezuitów w Irlandyi, a zwłaszcza w Dublinie. Środowiskiem ich pracy jest Stowarzyszenie św. Franciszka Ksawerego, sposób działania Jezuitów jest podobny do sposobu Kapucynów, nic więc nowego nie powiemy o działaniu pierwszych, jak to, co się dopiero co rzekło o pracy OO. Kapucynów.

B. Dziełem macierzystem wszystkich stowarzyszeń, założonych przez O. Cullen'a Tow. Jez. jest stowarzyszenie pionierów, którego urzędowa kompletna nazwa brzmi: »Stowarzyszenie pionierów zupełnej wstrzemięźliwości, założone ku czci Najśw. Serca Jezusowego«. Założone 28 grudnia 1898, zostało obdarzone odpustami przez Piusa X. 27 października 1905. Jego głównym celem jest przysposobić żarliwych i energicznych pracowników dla sprawy wstrzemięźliwości.

To stowarzyszenie tem się różni od stowarzyszeń zostają-

cych pod kierunkiem OO. Kapucynów, iż nie zajmuje się poprawą pijaków nałogowych. To też konsekwentnie do tego przyjmuje na członków tylko takich, którzy już przestrzegali wstrzemięźliwości dotychczas, a pragną wstrzemięźliwymi pozostać i nadal, przez całe swe życie, i gotowi są zachęcić drugich do pójścia za ich przykładem. Członkowie tego stowarzyszenia ćwiczą się w modlitwie i w przystępowaniu do Sakramentów św. i z tych praktyk czerpią odwagę i siłę do dochowania wierności heroicznemu zobowiązaniu się.

Może kto powie, że słowo »pionierzy« jest nadto pretensyonalne jako nazwa stowarzyszenia? Tymczasem członkowie dlatego tylko nazywają się »pionierami«, ponieważ ich zadaniem jest przygotować drogę innym i tworzą jakby przednią straż armii zbawienia, osiąganego przez wstrzemięźliwość. Nazywają się też dlatego, ponieważ obowiązują się czoło stawiać i mężnie zwalczać wszelkie trudności, jakie będą napotykać w wykonywaniu swego postanowienia. Wreszcie dlatego, że zobowiązali się wytrwać za łaską Bożą aż do śmierci przy swojem niezłomnem postanowieniu, t. j. nigdy za życia nie złożyć swej broni. To zobowiązanie się dożywotnie do nieużywania przez ciąg życia napojów alkoholicznych, zowie »ofiarą heroiczną«; trzeba jednak wprzód zachowywać wiernie to zobowiązanie przez dwa lata, zanim się zostanie dopuszczonym na członka Towarzystwa; na krótszy czas, niż całe życie nie można być przypuszczonym do złożenia »heroicznej ofiary«, a ci, którzy chcą ją złożyć, muszą ukończyć lat 16. Oto dlaczego w tego rodzaju stowarzyszeniach niema »małych krzyżowców«.

Godłem, które »pionierzy« zawsze mają jawnie nosić, jest brelok, szpilka lub broszka z oznaką N. Serca Jezusowego. Ta oznaka ma oprócz reklamy także ten cel praktyczny, iż broni członków od wszelkich niepotrzebnych nagabywań ze strony znajomych do picia na ich zdrowie. Zaraz po przypuszczeniu do Stowarzyszenia, każdy członek otrzymuje kartę legitymacyjną wraz z datą przyjęcia i swoim adresem, a zarazem także dają mu godło Stowarzyszenia. Te szczegóły co do adresu i daty przy-

jęcia są także uwidocznione w ogólnym spisie członków, przechowywanym w siedzibie Stowarzyszenia.

Oprócz właściwych »pionierów« Stowarzyszenie przyjmuje także »kandydatów«, którzy mając w przyszłości zostać pionierami, przez 2 lata przedtem muszą ściśle stosować się do przepisów zupełnej wstrzemięźliwości. Kandydaci winni mieć 14 lat skończonych i dzielą się na dwie klasy: na postulantów młodszych i starszych, ci drudzy dlatego pozostają w postulacie, ażeby przez ten czas złożyć dowód swojej wstrzemięźliwości. Na znak swojej chęci i dobrej woli noszą zawsze i jawnie godło kandydatów, t. j. szpilkę, brelok lub broszkę, na których jest wyrażony czerwony znak krzyża. Formalności przy wpisie i przyjęciu na członka są te same, jak dla pionierów właściwych.

Sekcya »promotorów« składa się z najbardziej gorliwych »pionierów«, którzy się łączą w 33 grup, na pamiątkę 33 lat które Chrystus Pan spędził na ziemi. Wszędzie tu przebija idea religijna. Każdy promotor otrzymuje osobny dyplom i dostępuje osobnego odpustu za pozyskanie nowego członka. Oczywista, że w wyborze takich promotorów postępuje się nader oględnie i przyjmuje się do ich liczby tylko ludzi pełnych poświęcenia, gorliwości, roztropności i prawego charakteru. Z pośród nich zostaje wybrany prezes, sekretarz i kilku radców i oni stanowią wydział sekcyi. Wyboru wydziału dokonywa się z wielką skrupulatnością, ponieważ od jego szczęśliwego składu zależy przeważnie pomyślna działalność całego dzieła. Na posiedzeniach wydziału bowiem zapada ostateczna decyzya co do przyjęcia lub wykluczenia członków; oznaczenia zatem wydziałowych powinny się odznaczać trzeźwością, niezwykłą roztropnością i bezstronnością zupełną, nie kierującą się nieuzasadnionemi podejrzeniami. Prośbę o przyjęcie na członka wnosi się do rady wydziału, lecz dopiero na drugiem posiedzeniu zapada odnośna uchwała. Po miastach i więcej ludnych miejscowościach, w których są klasztory, posiedzenia stowarzyszenia kobiet odbywają się zwykle w jakimś klasztorze, a doświadczenie uczy, że jest to najpraktyczniejsze.

Skoro z powodu przepisu lekarza użycie alkoholu staje się wprost konieczne, to wtedy chory a względnie rekonwalescent

nie może nosić na sobie oznaki Stowarzyszenia i to tak długo, dopóki nie zaprzestanie używać wskazanego lekarstwa.

Nakoniec trzeba się z tem liczyć, że nawet ludzie wstrzemięźliwi są także ułomni. Jeżeli przeto ktoś z »pionierów« złamie »przyrzeczenie heroiczne«, natychmiast przestaje nosić oznakę i pod żadnym pozorem nie wolno mu jej znowu założyć, jak dopiero po powtórnej dwuletniej próbie, jeżeli, ma się rozumieć, rada wydziału nie wykluczy go wogóle ze Stowarzyszenia. Gdy złamanie obietnicy nastąpiło u kandydata, wtedy albo go wyklucza albo mu pozwala na powtórne zaczęcie 2-letniej próby, licząc dokładnie od dnia nowego przyrzeczenia.

Używa się odpowiednich środków ostrożności, ażeby liczbę łamania przyrzeczeń zredukować *ad minimum*. To też kiedy ktoś nieznany zgłasza się o przyjęcie, powinien postarać się wprzód o świadectwo członka Stowarzyszenia należącego do kleru świeckiego lub zakonnego, zapewniające, iż petent posiada odpowiednie kwalifikacye. Promotorowie mają surowy nakaz, aby nigdy nie przedstawiali na członków osób, których usposobienia wstrzemięźliwego nie znają sami na pewno.

Każdy członek odmawia rano i wieczór następujący akt ofiarowania się: »Dla Twojej większej chwały i pociechy, o Najświętsze Serce Jezusa, oraz w celu dania dobrego przykładu umartwienia się oraz dla zadośćuczynienia za przestępstwa drugich, postanawiam przez całe moje życie wstrzymać się od wszelkich upajających trunków!« Jest to modlitwa przypominająca swoją prostotą modlitwę pierwszych czasów Kościoła, o jakiej nam Dzieje Apostolskie wspominają; modlitwa pełna wiary i miłości, jak wogóle wszystkie modlitwy liturgiczne.

Pionierzy mają zalecone wyrabiać w sobie przekonanie o niesłychanej doniosłości dzieła, którego się podjęli, t. j. aby przez pozyskiwanie dobrych pracowników dla sprawy wstrzemięźliwości podnieść naród irlandzki moralnie, społecznie, fizycznie i przemysłowo. Pionierzy bowiem winni pociągać naród swemi wzniosłemi ideami, czystością życia, przykładem dobrym we wszystkiem i wszędzie, a przedewszystkiem starać się to osiągnąć przez swoje modlitwy, pobożność — przez ducha ofiary i miłości bliźniego.

Jakież rady praktyczne — pyta katechizm wstrzemięźliwości — dałbyś »pionierom« i »promotorom«?

Odpowiedź: Pokładać ufność w św. Sakramentach, w modlitwie do Najśw. Serca Jezusowego, do N. Maryi P. naszej Matki, do św. Józefa, św. Patryka, św. Brygidy oraz innych świętych i Aniołów Stróżów i modlić się do Nich o pomyślność dla naszego dzieła i wytrwałość w niem. Wystrzegać się zbytecznej natarczywości w przekonywaniu drugich o swoich zasadach i w stosowaniu zasad wstrzemięźliwości do nich, albowiem więcejby przez to zdziałali złego, niż dobrego. Niech się wystrzegają przedstawiania »zupełnej wstrzemięźliwości« jako karty wstępu do nieba, która już sama przez się zapewnia każdemu wieczną szczęśliwość. Niech się nie wynoszą z powodu swego umartwienia i niech się nie uważają za lepszych od innych, którzy miernie używają trunków. Niech więcej działają czynem i przykładem, aniżeli słowem. Niech się starają o dobry humor i wesołość w postępowaniu z bliźnim, w rodzinie i poza nią. To, co zaoszczędzili na alkoholu niech chowają na przyszłość i niech nigdy nie zapominają przytem o ubogich. Wreszcie niech w swoich modlitwach a zwłaszcza przy różańcu, odmawianym wieczorem wraz z rodziną oraz po Komunii św. rano, nigdy nie zapominają modlić się za nieszczęsne ofiary trunków, które same za siebie się nie modlą. (Słowa katechizmu wstrzemięźliwości). Takie są ustawy tej potężnej organizacyi, oraz taki duch, który ją ożywia.

Rezultaty osiągnięte odpowiadają zupełnie wielkości zadania — w lipcu roku 1910 Stowarzyszenie liczyło 160.000 członków. Utworzono nadto sekcyę dla tych, którzy nie byli jeszcze na razie zdecydowani do zobowiązania się na całe życie. Ci zobowiązują się na różny przeciąg czasu i tworzą jakby szkołę przygotowawczą; pod żadnym jednak warunkiem nie są członkami właściwego »Stowarzyszenia«.

Niestrudzony O. Cullen T. J. oprócz wzbudzenia i założenia »Stowarzyszenia pionierów«, których sam jest głową duchowną, ma jeszcze inną zasługę około publicznego dobra. Oto na 56 stronicach, pod nazwą »Katechizmu wstrzemięźliwości« streścił wielki zasób praktycznych nauk i objaśnień. Byłoby bardzo do życzenia,

żeby porozumiano się z autorem lub wydawcą w sprawie przekładu tego »katechizmu« na inne języki.

Ograniczam się na razie na podaniu spisu przedmiotów, o których traktuje to arcydzieło w swoim rodzaju.

Dzieli się na 2 części: 1-sza (10 stron) zawiera część ogólną, 2-ga właściwy katechizm i podręcznik; kwestye omawiane są następujące: natura alkoholu, wstrzemięźliwość zupełna, złudzenie pod względem trunków, zobowiązanie się do wstrzemięźliwości (pledge), zwyczaj picia z powodu uroczystości familijnych, jak: chrzest, wesele, pogrzeb; z powodu uroczystości społecznych, jak święta narodowe, wizyty przyjaciół, powroty z podróży; z powodu interesów, jak kontrakty, jarmarki, kupna. Skutki przebrania miary w napojach: śmierć, zubożenie częściowe lub zupełne, zbrodnie, obłąkania, złe prowadzenie się, hańba. Zdania sławnych lekarzy o alkoholu. Alkohol jako posiłek, jako środek ogrzewający, pokrzepiający, pomagający do trawienia oraz pobudzający. Skutki, jakie alkohol wywiera na serce, wątrobę, nerki, płuca i krew. Alkoholizm dziedziczny. Czy przemysł alkoholiczny otwiera nowe źródło pracy i zarobku? Wydatki, jakie pociąga za sobą używanie alkoholu. Pismo św. i wino. Alkoholizm w Afryce oraz w Indyach. System Gothemberski. Związek »Pionierów«. Odpusty nadane związkowi »Pionierów«, Wskazówki dla »Pionierów«.

Tych kilka wierszy daje pojęcie o tem, jak pożyteczną jest ta mała książeczka, wystarczy raz przeczytać ją z uwagą, aby ocenić jej wartość.

C. Oprócz tych dwóch najważniejszych stowarzyszeń, o których dotąd mówiliśmy, posiadających cechę i kierownictwo wybitnie religijne, istnieje jeszcze trzecia silna organizacya: »Stowarzyszenie irlandzkie w celu wykorzenienia pijaństwa«. Jest to stowarzyszenie, które do pewnego stopnia skupia w sobie wszelkie inne podobne stowarzyszenia. Założone r. 1878 liczyło już w r. 1909 20 stowarzyszeń, które się doń przyłączyły, pomiędzy temi znajduje się także stowarzyszenie OO. Kapucynów. To trzecie stowarzyszenie znajduje się pod kontrolą komitetu, złożonego z księży i ludzi świeckich, posiada kilku wiceprezesów, wziętych z księży i ludzi świeckich, prałatów katolickich i protestantów.

Ze względu na różne wyznania członków, podzieliło się to stowarzyszenie na poszczególne filie; wszystkie działają w porozumieniu ze sobą ilekroć idzie o walkę przeciw alkoholizmowi.

Cel stowarzyszenia wyrażony jest w jego programie, a zatem ma ono:

1. Przestrzegać zachowywania istniejącego rozporządzenia co do zamykania szynków w niedziele i starać się o rozszerzenie go na 5 wielkich miast, które częściowo przynajmniej są z pod niego wyjęte.

2. Dążyć do zmniejszenia ilości godzin, w których wolno sprzedawać napoje alkoholiczne (głównie idzie tu o soboty).

3. Uzyskać prawo wzbraniające powiększenia ilości szynków.

4. Wystarać się o rozporządzenie zmniejszające ilość szynków już istniejących.

5. Kontrolować za pośrednictwem władz kompetentnych wszelkie zmiany co do szynkowni.

6. Przeprowadzić, aby koncesye na wszelką publiczną sprzedaż napojów alkoholicznych nie inaczej dawano, jak tylko za zgodą mieszkańców.

7. Za pośrednictwem książek, obrazków oraz innych środków uświadamiać ludność o zgubnych własnościach i skutkach alkoholu, oraz przyczyniać się do szerzenia idei wstrzemięźliwości.

Jak to można osądzić z celu, do którego ta trzecia organizacya zmierza, apeluje ona nie do dobrej woli jednostek, ale do prawa; ucieka się nie do perswazyi, ale do siły; a ponieważ pod względem religijnym zajmuje stanowisko neutralne, przeto wszystkie inne stowarzyszenia mogą się do niej przyłączyć, a tak zjednoczyć wszystkie swe siły, aby wspólnie wymódz na rządzie to, czegoby z osobna nigdy nie zdołały uzyskać. Oto racya, dla której wspomniemy coś jeszcze o tej trzeciej organizacyi.

Powodzenie stowarzyszeń antyalkoholicznych jest wielkie i zasłużone. Jest zatem czego powinszować tym wszystkim, którym je po P. Bogu zawdzięczamy: a więc — akcyi biskupów, usiłowaniu propagatorów zakonnych i świeckich, pracy członków stowarzyszeń odnośnych, przykładowi danemu przez kler katolicki (którego trzecia część zachowuje zupełną wstrzemięźliwość)

oraz przez ludzi wpływowych, wreszcie wychowawcom i młodzieży obojga płci.

Każdego roku w listach pasterskich, wydawanych z okazyi wielkiego postu, mówią biskupi o nieszczęściach wyrządzanych przez alkohol, ostrzegając w ten sposób swe owieczki przed zakusami strasznego uwodziciela. To też surowo zakazują używania napojów mocno alkoholicznych oraz piwa z okazyi czuwania przy zmarłych lub po pogrzebach; a nadto przy bierzmowaniu zalecają młodzieży zobowiązanie się (pledge) do wstrzemięźliwości zupełnej aż do 25-go roku. Na mocy rozporządzenia biskupów prowincyi kościelnej Ouest, misyonarze i kaznodzieje przez cały miesiąc ze wszystkich ambon wystąpili z formalną krucyatą przeciwko pijaństwu i osiągnęli przez to nawrócenia całych mas.

Klęski spowodowane przez nadmierne używanie alkoholu przez setki lat, zaalarmowały opinię publiczną tem skuteczniej, że wykazali je przedewszystkiem lekarze. Wielu z nich i to takiej sławy jak dr. sir F. R. Cruise, poświęciło się zupełnie tej sprawie. Alkohol już stracił swój cały urok i już nie zostaje przepisywany za lekarstwo, jak to jeszcze się przed trzema laty trafiało. Potępiony przez medycynę, wychodzi także z użycia u wielu rodzin; zamiast kieliszka Porto lub Sherry podają teraz wszędzie z najspokojniejszą miną kawę lub herbatę. Na każdym kroku, przynajmniej w miastach, spotyka się restauracye bez alkoholicznych napojów oraz herbaciarnie »Tea et cafee rooms«.

Zapewne, że nieprzyjaciel nie jest jeszcze pokonany zupełnie, albowiem szynków jest jeszcze dosyć, ale w każdym razie zadano mu już cios śmiertelny. Wielu domaga się od parlamentu silniejszej pod tym względem akcyi. Niestety byłoby tylko naiwnością liczyć coś w tym względzie na rząd centralny; przecież alkohol i jego przywileje zasilają kasę państwową; usunięcie zatem zupełne a nawet i znaczne zmniejszenie tych dochodów byłoby dla niego dotkliwą ofiarą.

O. Cullen T. J. w swojej świetnej mowie, wygłoszonej o tym temacie, utrzymuje, że walkę przeciw alkoholowi najwięcej utrudniają niesłychanie nędzne mieszkania, w których szukają schronienia robotnicy i uboga ludność, oraz bardzo wygórowane czynsze

za nie. »Twierdzę to po dokładnej rozwadze, wyraża się O. Cullen, że kto nie zaszedł do ciasnych uliczek i zaułków, leżących tuż przy najwspanialszych ulicach miasta, kto osobiście nie zwiedził ogromnej liczby mieszkań położonych w wilgotnych i cuchnących piwnicach, gdzie więcej niż 22.000 rodzin Dublina mieści się w pojedynczych izbach, kto na własne oczy nie ujrzał tej nędzy i brudu, ten nigdy nie zrozumie do jakiego stopnia taki stan rzeczy sprzeciwia się zdrowemu i uczciwemu życiu; ten nie będzie mógł nawet pojąć, że stworzenia Boskie i dzieci wielkiej rodziny Ojca Niebieskiego takie pomieszczenie znalazły! Kto temu nie wierzy niech tylko zejdzie po walących się schodach do tych lochów, czarnych od dymu, z wypadającemi oknami bez szyb, w których za podłogę służy tylko gruba warstwa brudu, a jedna wiązka słomy, rzucona na ziemię, ma być posłaniem dla całej familii! A teraz niech powie, czy to nie jest czemś zupełnie naturalnem, że mieszkańcy takich lochów usiłują alkoholem zapijać swoją biedę, aby tylko zapomnieć o swem życiu, pełnem nędzy i smutku, z których śmierć tylko może ich wybawić?! Czy to nie jest zadziwiającem, jak może robotnik płacić 3 fr. 50, 3 fr. 75 a nawet 4 fr. 20 tygodniowo za mieszkanie, skoro nie zarabia więcej jak 15 do 22 fr. na tydzień, a musi utrzymać z tego rodzinę z 4-ech do 6-ciu osób? Czyż można się potem dziwić, że z takich jaskiń wychodzą kobiety brudne i w łachmanach, wzdychające tylko za wódką? Gdzie tu znaleźć miejsce dla krzewienia naszych poglądów w sprawie alkoholu? Jak możemy się spodziewać, aby z tego steku nędzy i grzechu podniósł się kiedyś głos przeciwko alkoholowi, skoro na razie słyszy się tylko stamtąd wołania o chleb, o okrycie oraz opiekę przeciw wszystkim żywiołom.

Najpierw zatem trzeba zaradzić niedostatkowi pod względem mieszkań i zmusić władze publiczne do zwołania ankiety. Przeprowadzić ankietę będzie wprawdzie trudno, trzeba krzyczeć głośno i doniośle, ale zapewniam, że byłoby to budującem. Jeżeli się to stanie, znów o tem napiszę.

Ks. Ch. Schoonjans.

STANNICA.

OBRAZEK.

Lato zbiorów obfitych schodzi z pól, zabrawszy z sobą rzędy gęste półkopków. Dni idą po sobie bardzo jednakowe i bardzo pogodne nad krainą stepów i łagodnych zboczy. Atmosfera przepełniona drobniuchnym, niewidzialnym pyłem, o który słońce, zatrzymując się, nakrywa kraj cały płowem ciepłem rozpyleniem, kolorem przypominającym południowy wschód.

Po dniach tych idą wieczorne długie zmroki, biorąc w rozpyleniu tem przedziwną miękkość liliową, która dziwnie koi i ucisza duszę a oczy wypoczywa i pokojem, słodyczy pełnym, napawa. Niebo bardzo miękkie schyla się nad polami patrzącemi w zmrok cichy, złotawem światłem ściernisk świeżych. Na niebie tem pławi się i topi ogromny, złoty księżyc, obchodząc wolnym, cichym chodem milczące, słodkie państwo swoje. Ciche i ciepłe bywają wieczory, jak zwykle w sierpniu. Wieczory pełne ciepła miękiego, bezpiecznego, za którem nie stoi żaden surowy, wilgotny podmuch, gdyż długie, gorące lato przegrzało stepowy kraj aż do dna.

Na stawie, w którym gra drobną łuseczką złotą słup księżyca, kołysze się uśpiona gromadka białych gęsi. Na cichym brzegu piaszczystym zamierają iskierki złote światła księżycowego — z szuwarów czasem odezwie się obudzony krzyk ptaka jakiego. Wieś milczy — milczy każda chata, wsparłszy się cieniem długim na sąsiada chacie.

Dwór stary, rozłożysty bielą ścian oświetlonych księżycem, błyszczy w głębi dziedzińca cichego. Wkoło stanęły kręgiem wysokie straże topoli, tkwiące w cichem niebie, z którego wynurzają się jedna za drugą gwiazdeczki drobniuchne, czyste i wilgotne, drżące, jak żywe łzy złote.

Majaczy sad w dali, uciszony, uśpiony i tajemniczy. Od sadu idzie zapach dojrzałych jabłek, wraz z ciepłem tchnieniem, jakie wchłaniane przez dzień cały, promieniuje teraz z niego.

Na ścianach domu leżą wyraźnie wykrojone a nieruchome cienie drzew.

Taki »swój« ten dwór i sad i topole i wszystko!

Takie swoje, blizkie sercu, złączone z życiem, takie... takie nieodzowne!

A pod skrzydłem dworu tego spokojni dworu mieszkańce siadują i patrzą w gwiazdy, po trudzie dziennym spoczywając w ciszy i słodyczy wieczoru. U siebie są ich dusze i swojsko im. Dziady, pradziady tu żyli, umierali. Z dziadów pradziadów przywiązany tu ród i wrosły. Siedzą i patrzą w gwiazdy i zwolna rozmowa się toczy. W ciszy słychać głos męski, mówiący nieco wolno i z namysłem, mimowoli uciszony cichym wieczorem, i szybsze, dźwięczniejsze głosy kobiece.

Tak bywało wieczorami lat wiele, tak bywa i teraz. Aleć w tym roku poczynają w spokój zaglądać niepokoje, w ciszę dalekie pomruki wzbierającego, wielkiego morza.

Co wieczór, gdy zmrok zapadnie, wybiega na mroczne, łagodne niebo łuna ognista. To od wschodu, to od południa, czy północy, ale niema wieczoru, by nie zaglądnęła ona, milcząca, podnosząca się i opadająca, kołysząca się na niebie, czasem blizka, że widać języki ogniste, liżące niebo, czasem daleka, że można ją wziąć za blask wstającego księżyca. Codzień łuny Przypominały się tatarskie zagony i Dzikie Pola, czasy dawne, prawie już bajki, czasy klechdy, poczynały nabierać realnego, groźnego znaczenia. Zaglądały wspomnieniem w oczy koliszczyzna, rzeź!

Śpią chłopcy w łóżeczkach. Janeczek, różowy, zarzucił rączkę nad główką i wdzięczny profilek jego taki we śnie, że oczu trudno oderwać; śpi Franeczek i Wojteczek, utulony po swojemu, no-

skiem do poduszki. Śpią dzieci. Urok i spokój czuwają nad niemi wraz z aniołami stróżami.

A tam daleko wzbiera ogniste, groźne morze i raz wraz łuna wybiega na niebo ciche, wieczorne i kołysze się i wzdyma, jak fala gotowa runąć.

Tatuś posiwiał trochę, że aż Franek zachodzi w głowę.

— Mamusiu, czemu u tatusia rodzą się białe włoski teraz?

I mamusia czegoś nie taka, nie chce się śmiać, i tak się długo patrzy na dzieci, że aż Frankowi niemiło, a Janek, przylipeczka, tuli się instynktowo i rączkami za szyję obejmuje i gładzi po twarzy.

— Mamusia biedna? — pyta z porozumieniem mały Wojtek, stojący obok, szarpiąc ją z lekka za rękaw, by uwagę wraz z matczynemi oczyma zwrócić na siebie.

I nietylko to: pogłoski dochodzą coraz groźniejsze. Oto w sąsiednich Farsach nie tylko podpalono sterty ze świeżo złożonem zbożem, ale chłopi z rewolwerami pilnują, by nikt nie gasił. Oto dochodzą głosy o rozbojach po traktach, a trakty w tych stronach stepowych szerokie a długie, że godzinę jechać można, a na horyzoncie nic, chyba na wyższem miejscu, grzebień dalekiego, o mil kilka leżącego lasu. Od zmroku wieczornego do zmroku rannego nikt nie śmie się za kołowrot wiejski wychylić. Wieś zamienia się w rodzaj twierdzy oblężonej.

A po wsi włóczą się jacyś podejrzani przybysze, ubrani z wiejska, w haftowanych kolorowo koszulach. Chłopi w niedzielę zbierają się przed karczmą, rajcując hałaśliwie. Przejeżdża ktoś od dworu, jeden po drugim spojrzy, żadna głowa się nie odkryje. Niejeden parobek stoi nad drogą tuż, czapka na bakier, ręce w kieszeni. Czasem nawet który podchmielony rzuci zuchwałe jakie słowo, którego się nie podnosi naturalnie, — co z pijanym ugadasz? — ale, które głęboko utkwi w sercu. Co u trzeźwych w głowie, to u pijanego na języku. On tylko mówi to, co gromada myśli, choć nie mówi, bo jeszcze nie śmie. Przezorność pierwszą przecież wódka usypia, zuchwalstwo, pod jej strażą zamknięte, junaczy się wtedy.

Po miedzach polnych kartki drukowane się walają, podrzu-

cone ręką gościa jakiegoś. W wiejskich szkołach przecie po rosyjsku czytać uczą, jakiś lektor się znajdzie! Na nich stoi, co już ustnie dawno chłopom wiadomo, że ziemię dostać mają od panów, tylko, że panowie dać nie chcą. Niechęć chmurna idzie od wsi na dwór. Już i baby po leki nie przychodzą. Zły to znak, widać, że dyplomatyczne stosunki z dnia na dzień zerwane być mogą. Twierdza się kurczy: Nie jest nią już wieś wśród stepu, po którym krążą zbóje. Jest to już tylko dwór z folwarkiem. Folwark to fortyfikacye, które się najprzód zdobywa. »My choczem do toho paniw dowesty, szob nam zemlju peredały«. Gdy zbiór pójdzie, pójdą i panowie. Jakaż broń? A ot! paczka zapałek, trochę kłaków w nafcie umoczonych! Ochotnik się zawsze znajdzie! Czyż to mało komu konie w zbożach co rok zajmują? Fantazya w Ukraińcach jest i »serdytość«! swego nie zapomni! a przecież wiadomo, bo już przysłowie wstało: »co twoje to moje« i »my pański i lis pański i chlib pański — to wsi swoje«!

A gdyby ta serdytość górę wzięła, jak ongi? Twierdza: dwór, załogi liczy, jeśli do pana i oficyalistów dodać paru parobków, którzy są pewni, ludzi kilkunastu wobec czterotysięcznej wsi! B y ł a koliszczyzna a j e s t ten sam lud!

Z tego sobie jasno »pan« zdaje sprawę. W domu żona i dzieci. I cóż robić? Policyę nienawistnego rządu wzywać. Stosunki z wsią dobre były.

Ot! nie tak dawno, przed rokiem, pokazywał stary Poliszuk przy chacie swojej gruszę gatunkową. Bat'ko opowiadał mu, jak to »did panskij« sam własnoręcznie uczył na niej, jak szczepić trzeba.

Niejedna chata w liliach a irysach »ze dwora«. Niejeden polski pacierz krąży w ustach kobiet. Matka dziewczyną we dworze sługiwała, pani ją pacierza nauczyła, to i został w chacie, rozchodził się w ustach przybywających dzieci. A ot! te dachy żółtsze, świeższe od drugich, ten rząd dachów, to pamiątka niedawnego pożaru: budulec dwór dał i słomę na strzechę, bo im wszystko zgorzało, odbudował im chaty, ludzi karmił z własnych kotłów, bydełko przezimował. I teraz na tych wszystkich policyę cudzą wzywać? Toż dwór ze wsią znały się, zanim oni nad

wszystkimi, na wspólną niedolę, na jątrzenie i drażnienie, na mącenie wody nastali.

To pamiętał i wiedział dobrze.

Więc obwarować się o ile możności przed tą pierwszą falą: przed ogniem, a reszta? reszta może nie przyjdzie.

Zbliżyła się noc ostatnia przed spisaniem aktu ubezpieczenia od ognia. Dotąd nie ubezpieczał tu nikt plonów. Upierał się dwór ufać sąsiadom, choć różnie na ufności tej wychodził, ale teraz przecie ubezbieczyć trzeba. Dzień cały chodził pan Andrzej, z agentem, wieczór wrócił bardzo zmęczony, z gryzącym niepokojem i gorączką w nerwach.

»Ach gdyby te parę godzin jeszcze! tę jedną noc! — myślał wieszając czapkę na kołku i przejechał ręką po gęstej, siwiejącej trochę czuprynie — gdybyż tę noc jedną przetrzymać. Ach łotry!« — wyrwało się przez zaciśnięte zęby.

Na toku, wśród grupy stert, stał maleńki stożek z pszenicą, co została po wywierszonej stercie (nie obliczyli się układalnicy — niema jak ten Trochim, którego odprawić trzeba było, pijak, bo pijak, ale majster do stert). Dla porządku i ten stożek obmierzyć kazał. Dostrzegł jakiś podejrzany zwitek. Schylił się, patrzy — motek kłaków pachnących naftą, zatknięty w słomę od strony skąd wiatr ciągnął — motek nadsmolony. Jakim sposobem zgasł? Dziwne to, ale zgasł. Bóg ustrzegł. Szybkim ruchem wsunął zwitek do kieszeni. Obejrzał się. Szczęściem nie widzieli ludzie zajęci mierzeniem. Miał wrażenie, że to on złoczyńcą, który się kryć musi i panować nad sobą, by się nie zdradzić. Przykre, poniżające uczucie podejrzenia i nieufności opełzło mu duszę. Spojrzał po chłopcach, schylonych ku ziemi, obmierzających stertę sąsiednią.

»A kto mi powie, że to żaden z nich? Może to ten Hryćko? Może ten: Matwij, którego żona w tyfusie leczyła, nie dbając, że ma w domu dzieci, którym zarazę zawlec może? Kto wie?«

— No, chłopci żywano żywo! — miał wrażenie, że jest obłudnikiem, przemawiając właściwym sobie otwartym, przyjaznym tonem.

— Żebyż ta jedna noc jeszcze minęła szczęśliwie; potem niechby już wreszcie palili... stanęła mu w oczach stodoła, stawiana przez dziadka. Stodoła, jakiej dziś w okolicy niema i nie będzie. Nie dziś się buduje takie stodoły-olbrzymy zamczyste, z dębowych bali, z dachem rozłożystym, okapiastym, schodzącym prawie do ziemi, o dziesięciu bramach, które tęgi parobek podparłszy co sił, otwierać ledwo był zdolny. Pamiętał, jak go w dziecinnych latach lęk i podziw brał, gdy stawał na progu tego tajemniczego, półciemnego państwa, gdzie ludzkie postacie pracowały około szumiącej rzeki złotego ziarna. W głębi z piekielnym klekotem i hałasem szedł potwór fantastyczny, młocarnia pierwotna, obracana dwunastokonnym kieratem. Z niej sunęły same, niewidzialną pchane siłą z ciemnej czeluści, podrzucane i drgające ogromne kupy słomy, chwytane w lot i przerzucane, roznoszone widłami, by się znaleźć w stercie poza obrębem stodoły. Z młocarni inną drogą sypała się rzeka ziarna, brana potem na młynki hałaśliwe. Jeszcze ma w oczach ten obraz postaci ludzkich w ruchu, wynurzających się z cienia, to rozpływających się w tumanach pyłu, to znów błyskających bielą płótna lub czerwonemi spodnicami w złotych smugach słońca, przedzierającego się sparami we wrotach, a to wszystko zatopione w hałasie tak mocnym, że się już nikt inaczej porozumieć nie mógł, jak na gesty. Jak on wtedy, tak Franek i Janek dziś, stają z podziwem i trwogą nad paszczą ciemnej stodoły. Choć młocarnia zębata dawno przestała się obracać i stodołę przeważnie cisza zalega nad wielkiemi, sypkiemi mogiłami ziarna z młocarni parowej — takiej roboty poczciwej młocarni nie wytrzymałoby dziś żadne gospodarstwo. Nie takie to złote czasy spokojnego, szlacheckiego gospodarstwa! Dziś dobrze się zwijać trzeba, rachować i sprężyście iść a i tak... Papiery stoją haniebnie, przeszły rok ze strajkami kosztowny był, a mało wydatny... ten rok ot! niezły sobie »karaj Boże takim po wik«, jak chłopi mówią. Stodoła pełna, sterty jeszcze stoją...

— A jeśli nie wytrzymają? — Dreszcz nim wstrząsnął. — A jeśli tej nocy pójdzie wszystko?

Wieczór był ciężki i parny, niebo ciemne, na które zgonił prąd jakiś wysoko idący stada chmur, zwierających się ku zachodowi w jednolitą ławę. Nad ziemią zaś było cicho i duszno. Z sąsiedniego stawu porywał się czasem chór żab, jak to i w późne lata burzliwym wieczorem bywa. Wieś leżała cicha, cichsza może jak kiedy, przynajmniej tak się zdawało Andrzejowi. Jakiś niepokój jednak był w tej ciszy. Nie zaszeleściał liść żaden, ciemność szła z ogrodu przykra i ciężka, lelek czasem przemknął nad głowami. Siedzieli przed gankiem. Z zachodu podnosiła się zwolna ława chmur, błyskawica czasem drgnęła w ciszy, odbijając się na topolach przed niemi.

— Burza będzie — rzucił Andrzej i myślał: — Tfu! jak można być tak zdenerwowanym!

— Na pewno będzie — potwierdziła żona. — Pewno to dlatego tak mi coś nieswojo — dodała w myśli.

Andrzej podniósł się nagle i rzucił papierosa.

— No! ja idę czytać — rzekł krótko. — Może znośnej mu czas zejdzie, trzeba myśl oderwać.

— Chodźmy — dodała żona — przykry dziś wieczór, tak duszno!

* *

Światło spokojne lampy i zaciszność zamkniętego pokoju wywarły wpływ uspokajający.

Był to tak zwany pokój narożny. Stare, mahoniowe meble empire. Pośrodku stół owalny, mahoniowy, na czarnej, palisandrowej nodze z szeroką podstawą. Przy ścianie kanapa mahoniowa, głęboka, o prostopadłym, wysokim grzbiecie i wygiętych poręczach. Etażerka w kształcie liry, na niej trochę starych, rzniętych kryształów, trochę saskiej porcelany. Kolumna z postacią Kościuszki z bronzu, któremu niestety złamała się szabla, ale rękojeść zawsze równo mocno w garści ściska. Pod ścianami proste, wysokie szafy dawnej roboty, z gęstemi półkami książek, wśród nich tomy z siedemnastego i szesnastego wieku. Ściany bielone, na ścianach komplet przygód Paska w kolorowym sztychu. Białe firanki zapusz-

czone, odbijając łagodną falę światła, koncentrowały je, odgraniczały ten kącik cichy od reszty świata.

Realność cicha i dotykalna koiła podniecone, rozbujałe nerwy. »Tak było i tak będzie«, mówiła dawnem, bezpiecznem, poważnem, uczciwem otoczeniem: tradycyą.

Z ciemnego, głębokiego salonu obok mignęła czasem błyskawica, odbijając się na jego gładkiej posadzce. Z jadalni półmrocznej, oświeconej teraz jedną tylko ścienną lampą, dochodziło równe cykanie wielkiego zegara.

»Tak było zawsze! dlaczego niema tak być?« — mówiły rozprężające się, trzeźwiejące nerwy. — »Dlaczego niema tak być?... et, strachy na lachy!... Dlaczegoby nie miało tak być nadal?«

— Chcesz Anulo poczytamy? — zagadnął Andrzej raźniejszym głosem.

I czytali Mohorta.

Trzeba im było kąpieli tej swojskości, w której wyrośli, a która się pod ich stopami chwiała, trzeba im było przygarnięcia się do tego świata, bo czuli się osieroceni w tej fali wzburzonej, oddzieleni od reszty ich świata. Czuli się stannicą, trzeba im było odzewu stannicy drugiej, trzeba im było tego długiego, swojskiego »czuwaj!«, które uświadamiało ich, że nie są ogniwem zgubionem, lecz zawsze jeszcze należą do łańcucha wiązanego z ogniw wielu, przez czas i przestrzeń przykuwającego ich do rzeczy wielkiej i stałej. Dobrze im robił ów urok szlachetczyzny, wiary jarej aż pod siwym włosem, — urok, którego trudno wyrazić i wytłumaczyć obcym, a tłumaczący się tak jasno swoim, jak przywiązanie do rysów rodzinnych — nasza krew i nasza dusza, — nasz świat! Zródło, z którego w czasie powstali, którego sami przejawami są, którego rysy noszą na twarzach, a temperament w sercu, którego mową mówią, a ruchem się noszą. Hej! nie wyrozumieć tej tęsknoty i jedności serdecznej, acz wypruć ją chyba z żyłami i opuścić z krwią.

Więc też i Mohort był na to zbyt czuły,
Co dla rycerstwa niósł obyczaj stary...
. . . . . .

Pod lampą świeci w rękach pani Anieli biała bielizna i błyska igiełka, prędko, prędko i równo. Mogło tak być i dawniej, dawno, dawno.

Że nic świętszego w Polsce, jak granica,
A strzedz granicy, to rycerska sprawa.

Tknęło ich to oboje, lecz nie spojrzeli na siebie, jedno przed drugiem się zamknęło.

Mogło to być i teraz... mogło to przyjść i na tę głowę siwiejącą »młodego« pokolenia. Tylko, że coś nerwy słabsze, a kłopotów, może rozwagi w kłopotach więcej, dlatego siwiejemy przed czasem.

Chrzest to sakrament niczem niezmazany.
Ja na chrzcie świętym wyrzekłem się czarta
I krzyż przyjąłem, krwią Boga oblany.
. . . . . .
Więc po raz wtóry nie mogę wziąć krzyża.

Czytał dalej Andrzej to, co Mohort odpowiadał królowi darzącemu go orderem. I nagle dziwnie mu się zrobiło. Własny głos wydał mu się nie jego głosem. Ten sam głos, czytał te same słowa, z tej samej książki i na tem samem miejscu... i ujrzał przed sobą te tak znajome, najdroższe, a dawno niewidziane rysy, śmiało zarysowane, z marsem na czole, o sumiastym wąsie, z dostojnością jakąś na białem, wysokiem czole, odbijającem od ogorzałej twarzy. Siła w niej była i uczciwość:

A rysy były tak piękne, surowe,
Że więcej prawie podobny z daleka
Był do posągu, niźli do człowieka.

wróciło mu na myśl.

A co do ziemi, to jej mam niemało,
A jeśli zresztą w życiu jej nie stało...

Czytał ten sam głos ongi. A słowa te butnej odmowy wynagrodzenia za służbę wierną tak były na miejscu w ustach czytającego wtedy, tak wyraziste w tonie i przekonaniu i spojrzeniu

śmiałem oczu, uderzających prosto z pod siwych brwi, że zdawały się własnemi jego słowami:

A jeśli zresztą w życiu jej nie stało,
To jej dodadzą po śmierci i stanie...

Ten sam głos to czytał, głos, który wziął w spadku po ojcu... dziś pod napięciem nerwowem raz pierwszy to spostrzegł tak jasno. Rzewność odczuł w duszy ku temu depozytowi i poprzysiągł sobie raz jeszcze wiernym być rycerstwu temu rolnemu, które w spadku wziął: Bogu i Ojczyźnie, jako że ojczyzna ta, przez Boga dana. rozdrobiona i rozdarta, cząstką swą każdą na wierności pojedynczych serc oparta, innej się opieki spodziewać nie miała skąd, Jemu jego część zawierzona, drugiemu inna. Swojej, polegającej na nim strzegł będzie do końca, jak strzegł jej ojciec w cięższych może czasach.

I mimo wiedzy nabierał pokoju,
Powagi, hartu i serca do boju,
Boć to naprawdę miała być szkoła.

Takie to myśli wstawały mu w głowie, gdy wędrował z Mohortem po własnych stepach, pasiekach i pod własnem niebem.

Ranek jesienny był bardzo pogodny,
Ale od wschodu pociągał wiatr chłodny,

kończył się rozdział.

Czas do domu czas!
Zabawili nas!

Czas do domu z tego Mohortowego świata! Ten dom, własna jego skóra, tak dziś niewygodny, żrący niepokojem, a taki j e g o, że i żony swej doń wprowadzać ani może, ani chce.

Ha! strzymać trzeba! Gdyby to tak szablą uderzyć na tę burzę zbierającą się, na tę zmorę, na tego wroga, jak ongi szablą ojce na wroga uderzali! Kłopotuby nie było... Nie te czasy, trudno! i milczeć i czekać i strzymać! wszystko co przyjdzie, strzymać!

Cisza przykrem swojem, niepokojącem obliczem zaglądnęła do cichego, jasnego pokoju, przejrzała ich dusze do dna i wstrząsnęła niemi. Słychać było jednostajny, wolny chód zegara. Na

chwilę zdało się, że się chód wstrzymał, zegar cyknął i z namysłem począł wolno, równo wybijać godzinę.

Dziesiąta.

— Idźmy! — rano wstać trzeba jutro... tak jutro!... co jutro będzie?... razem przyzwyczaili się myśleć. Rozeszli się w milczeniu.

W dziecinnym pokoju było cicho. Pani Anna stanęła na progu, osłaniając świecę ręką. Cicho. Tylko cień łóżeczek obudzony światłem, rzucił się po ścianie, jakby umykał, a potem stanął nieruchomo. Śpią dzieci, nie będzie ich budzić, choć w sercu wezbrała ochota spojrzeć na nie. Serce jej zaniepokojone czuło potrzebę po prostu schronić się do bezpieczeństwa dziecięctwa tego niefrasobliwego i pewnego jutra, posłuchać oddechu równego, lekkiego, zobaczyć te rumieńczyki ciepłych twarzyczek... ale budzić ich przecie nie będzie! Cofnęła się do sypialni swojej i zbliżyła do otwartego okna.

Burza szła bokiem, grzmotu już słychać nie było. Natomiast od południa wschodu drgnęła czasem cicha błyskawica, szybka jak oka mgnienie. Powietrze się odświeżyło, czuć w niem było zapach deszczów, spadłych niedaleko. Noc cicha. Księżyc zniżając się, nakryty w tej chwili chmurą o rąbkach cudnie wysrebrzonych, przy nich błękit dziwnie się pogłębiał. Górą płachta lekkich chmur ściągnęła się i błyszczały wilgotne, jakby omyte świeżo gwiazdy. W szczytach olbrzymiej topoli srebrnej spał wiatr, budzący się napół w szum senny, by znów się w ciszę zapaść.

Tą ciszą świeżą i wilgotnem powietrzem pławił się głos młody i dźwięczny, choć przyciszony:

Dał mi na waletę
Gałązkę jaśminu.
O Jasiu, Jasieńku!...

doleciało jej uszu wyciągnięte długo. A po chwili, jako odpowiedź Jasia:

Żenię się, serce, czekałem długo,
Oj długo, długo byłem twym sługą.

Zawodził głos młody z sentymentem szczerym, trochę przez nos.

To dziewczęta garderobiane na ganeczku swoim używają wczasu wieczornego po upalnym dniu. Pani Anna słuchała machinalnie tej piosnki, przyniesionej gdzieś z zaścianka, przez młodą, różową dziewczynę.

Po chwilowej ciszy podchwycił głos drugi, dziewczęcy, tym razem przekorny:

Chodzi po sieni
Ręce w kieszeni!

i już oba głosy:

Co mi ty za pan,
Że cię czekać mam?
Cała twoja sukencyja [1]
Czapka i żupan!

Pani Anna słuchała. Ile to lat taka piosnka pokutowała w zaścianku wioski szlacheckiej katolickiej, zgubionej w morzu Rusinów prawosławnych. Te piosnki, to przy wierze, papierach szlacheckich i mowie spuścizna polskości. Wzięły one może od otoczenia rusińskiego ową przewlekłość w przeciąganiu nadmiernem. Powstała wioska taka czynszowników z chorągiewki jakiej, którą, po potrzebie, osadzał pan na ziemi własnej. To szczepy naszej krwi, sadzone ongi... ongi... a potem zapomniane nieraz i zaniedbane tak, że nierzadko oznacza się ta ludność właśnie zacofaniem i nieochędóstwem i niezaradnością... Hej bracia szlachta! bracia szlachta zszarzała i zciemniała, ruszczejąca, po której kwitną kwiatki, polskie piosenki dawne... dawne... jak te nogietki staroświeckie i malwy i ruta i rozmaryn, hodowane przez ich dziewczęta.

Pani Anna westchnęła. Z ciemnej otchłani nieb patrzyły na nią gwiazdy, niezliczone wojska gwiazd. Jedne bliższe, złote lub różowawe, inne dalsze, mdłe i drobne i niezliczone, jak miałki jakiś błyszczący piasek, rozsypany po przepaściach czarno-szafirowych nieba. Światy... światy... światy bez końca... Jedne z tych bliższych tkwiły nieruchomo, inne chwiały się, drżały jabby

[1] Sukcesya.

rozżarzone, to tłumione, drżące, jakby chwiejąc się na jakimś podmuchu olbrzymim, idącym za światami.

Dobrze jej było zawsze w towarzystwie tych światów, nie trwożyła jej otchłań, oddychała w tej wielkości, powagi uroczystej pełnej, jak się oddycha w każdej prawdzie wielkiej. Wstępowała od świata do świata, do tego który je stworzył ręką swoją, obraca w otchłani ciszy niebios. A im się mniejszą czuła, tem bezpieczniejszą w ręku Tego, który panuje światom i za gwiazdami stojąc o robaczku każdym pamięta.

Uklękła do pacierza w oknie otwartem, jak to zwykła czynić była. Tu, gdzie kościoły daleko, z konieczności kościołem staje się ta nieb olbrzymia kopuła. Okoliczności, Boga w kościele trwać chcącego w Hostyi przenajświętszej uczyniły jeśli nie dalszym, to mniej dostępnym, mniej codziennym. Codzienniejszym stał się On przez światów cudne oblicze patrzący. Ale dziś ciężar prawie nie do zniesienia tłoczył jej duszę. Z mężem dzieliła w milczeniu tę straszną mękę wyczekiwania, a teraz widok dzieci nowy jej kamień zwalił na duszę.

A piosnki dziewcząt umilkły... słychać było tylko przyciszoną rozmowę, potem długa chwila ciszy... I im też w duszę poczęła patrzeć wieczność, i one postawione na brzegu morza tego cichego, otchłani niebieskich otwartych nad niemi, poczynały pić z wód onych cudownych. To też po chwili głos cichy podniósł się z ciszy na wolnych, łagodnych skrzydłach:

Wszystkie nasze dzienne sprawy

a drugi podchwycił:

Przyjm litośnie, Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali
Niech Cię nawet sen nasz chwali.

Czuła się zbyt zmęczoną i przybitą, by modlić się sama zacząć, więc tylko dała się nieść fali dobrze znanej i drogiej, pieśni, co jak szeroki oddech zaświatów kołysała jej skołataną duszę:

Twoje oczy obrócone
Dzień i noc patrzą w tę stronę,

Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunkn czeka.

Umilkło — cisza gwiezdna patrzała jedna w duszę:

Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka.

Podniosła się zwrotka głosami dziewczęcemi, dziecinnemi prawie, które niezwykłej słodyczy i łagodności w pieśni tej dobrej nabrały.

(Dok. nast.)

Krystyna Saryusz Zaleska.

FALSYFIKACYE I PRAWO BIOGENETYCZNE HAECKLA.

Dokończenie.

Paralelizm właściwy istnieje tylko pomiędzy rozwojem postępującym jednego albo kilku organów homologicznych embryona wyższego w porównaniu do zwierząt niższych. Serye systematyczne polegają właśnie na stopniowaniu tych narządów homologicznych i mają znaczenie tylko naukowe, nie zaś genealogiczne. A filiacya rzeczywista gatunków nie jest rzeczą systematyki, lecz głównie paleontologii. Stąd też nie należy mieszać rozwoju monofiletycznego (darwinistycznego, haecklowskiego) z rozwojem polifiletycznym (umiarkowanym, w obrębie gatunków naturalnych) z jednej strony, a z drugiej rzeczywistego rozwoju wogóle z rozwojem funkcyonalnym narządów (w szeregu rodzajów), należących do różnych rozgałęzień nie związanych żadnem bliższem pokrewieństwem. Typowym przykładem takiego rozwoju funkcyonalnego jest szereg — nie konia, lecz jego nogi tylko. Mówię »nie konia całego«, gdyż badania Graugera (1908) wykazały, że znane dotąd gatunki familii konia »nie dadzą się wcale uporządkować w jakiekolwiek połączone ze sobą szeregi«. Pojmowanie paleontologicznego szeregu przodków naszego konia to tylko schemat, pokazujący jak sobie wyobrazić możemy przeobrażenie w rozwoju funkcyonalnym nóg u form niekoniecznie pokrewieństwem związanych. »Faktem niezbitym« ma być ten »sze-

reg konia«[1] zwłaszcza w umysłach zupełnie darwinizmowi oddanych, pomimo że znamy aż pięć różnych genealogii konia. A być może, że złączono w tym szeregu dwie różne od siebie grupy form, których początku a względnie końca dotąd jeszcze nie znamy; Merychippus bowiem uważany za najważniejszą formę przejściową i łączącą Equinae (Equus, Pliohippus, Protohippus) z Palaeotherinae (Miohippus, Mesohippus) znany jest tylko z zębów i z nazwy łacińskiej. Milczeniem pomijam już to, że z szeregu filogenetycznego konia wyrzucono Hippariona, potem Hippidimua (któremu Marsh nadał nową nazwę »Pliohippus«), potem Auchitherium (Schlosser). Mesohippus wiele ma różnic w budowie szkieletu w przeciwstawieniu do nowszych gatnnków (Scott). Zdaje się, że nie ulega wątpliwości, że ostatni Palaeotherium wygasł był już dawno nie transformując się, kiedy zjawił się pierwszy auchitherium, który znowu znikł bez modyfikacyi zanim nastąpiły hippariony[2]. Rodzaje Equus, Pliohippus, Protohippus żyły równocześnie obok siebie[3]. Formy z eocenu są wątpliwe. Trzeba też i o tem wiedzieć, że nazwy jak Eohippus, Orohippus i t. d. w drzewie genealogicznem konia to nazwy naukowe, oznaczające rodzaje a służące do oznaczenia większej lub mniejszej liczby poszczególnych gatunków, a nie do oznaczenia pewnego i określonego gatunku konia a tem mniej osobnika. I tak n. p. termin Proto-hippus oznacza pięć różnych gatunków; termin Equus oznacza prócz dzisiaj żyjących 8 gatunków jeszcze 14 kopalnych; za słowem »Meso-hippus« kryje się aż 11 różnych gatunków, a za słowem »Hipparion« aż 20 i t. d. Ażeby drzewo genealogiczne konia było prawdziwem i »faktem niezbitym«, należałoby wykazać, jak z ogromnej tej liczby gatunków, których pokrewieństwo jest nam nieznane, jeden z drugiego się rozwijał; a niełatwa to to rzecz. W Ameryce n. p. istnieją dwa różne gatunki leniwca (Bradypus tridactylus i Choloepus didact.); pierwszy z nich ma

---

[1] *Equus, Pliohippus, Protohippus, Merychippus, Miohippus, Mesohippus, Orohippus, Hyracotherium*, oto szereg północno-ameryk. konia.

[2] R. D. *La loi biog. fond. Revue de Phil.* (1910), nr. 9, 10, p. 407.

[3] H. Muckermann: *Paleont. Urk. u. d. Problem der Artbild. Laacher-St.* (1909), H. 1, p. 40.

9 kręgów szyjowych i 3 palce na nodze, drugi zaś tylko 7 kręgów i 2 palce, a jednak dwa te gatunki nie są ze sobą genetycznie związane[1]. Dlaczego Equinae, Palaeotherinae i Hyracotherinae mają być genetycznie złączone? Zresztą wszystkie znane nam paleontologiczne drzewa rodowe poddał A. Fleischmann ostrej krytyce, która, jak powiada Rádl[2], do dnia dzisiejszego pozostaje niewzruszona. Jakiejże bowiem ścisłości domagać się może drzewo genealogiczne zbudowane na podobieństwie kilku kości, pyta tenże Rádl.

Powiedzieliśmy wyżej, że nie wszystkie narządy mogą się składać na ten paralelizm, jaki zachodzi pomiędzy rozwojem organów homologicznych zarodka formy wyższej w porównaniu do form zwierzęcych niższych, lecz tylko narządy mogące się rozwijać postępująco (jak system nerwowy, system wydzielniczy, serce). Narządy bezpośrednio się rozwijające (n. p. oko, odnóża) nie przypominają prostych organów form niższych. Do narządów rozwoju postępującego, przypominających stopniowanie systematyczne, należą narządy embryonalne, służące bezpośrednim potrzebom zarodka; tłumaczy je konwergencya spowodowana przystosowaniem się do tego samego sposobu życia. Prawdziwe skrzela zewnętrzne u larw płazów n. p. funkcyonują podczas całego ich życia wodnego. Do narządów rozwoju postępującego należą dalej narządy substytucyjne, służące zarodkom w przejściach od stanu przygotowawczego do form definitywnych bądź to co do położenia topograficznego bądź to co do funkcyi histologicznej. Tak struna grzbietowa n. p. położeniem swojem oddziela elementa nerwowe od brzusznych, zapoczątkowując tem samem konstytucyę typu kręgowego. A następstwo tkanek nabłonkowych, chrząstkowych i kostnych odpowiadą potrzebom histologicznym. Zarodek bowiem nie ma jeszcze tak bogatego systemu naczyń krwionośnych, aby wprost i bezpośrednio tkankę nabłonkową zamienić na kostną. Dlatego też występują najpierw u zarodka łuki chrząstkowe (rzekome »łuki skrzelowe«), by później zamienić się

[1] Fleischmann: *Descendenzth.* (1901) 78.

[2] *Gesch. d. biol. Th.* (1909) II, 365.

na kości. Nadmienić wypada, że dowody z embryologii, mające przemawiać za związkiem genetycznym pomiędzy grupami odległemi, opierają się bardzo często na tych narządach substytucyjnych (n. p. szczeliny »skrzelowe« a mówiąc poprawnie »szczeliny gardzieli«).

Do narządów rozwoju postępującego a przypominających stopniowanie systematyczne, należą wreszcie narządy regresywne i szczątkowe, oczywiście w znaczeniu narządów, których rozwój zatrzymał się w zakresie pewnych gatunków, podczas gdy postępował u innych, a nie w znaczeniu suponującem descendencyę monofiletyczną, t. j. w znaczeniu narządów odziedziczonych po przodkach niżej stojących, gdyż najpierw należałoby wykazać, że u tych przodków dany narząd funkcyonował należycie.

Narządy embryonalne, nie spełniające żadnej funkcyi, potrzebne być mogą dla formacyi innych przyszłych organów; Vialleton[1] n. p. utrzymuje, że zawiązki zębów u zarodka ważną odgrywają rolę w rozwoju szczęk, wobec czego możnaby porzucić tłumaczenie, jakoby embryonalne uzębienie wielorybów przypominać miało dawny stan ich przodków. A zresztą czyż można więcej dowodzące wnioski ciągnąć z narządów embryonalnych, aniżeli z homologicznych?

Jeszcze słów kilka o narządach szczątkowych. Mówią wiele o narządach szczątkowych u zarodków i u form dorosłych, lecz w wielkiej pozostajemy niepewności, kiedy chodzi o ich rzeczywiste oznaczenie. Narządy szczątkowe u form dorosłych (pojmowane w myśl skrajnych teoretyków descendencyi) straciły zupełnie swoją siłę dowodową najpierw wobec lekkomyślności, z jaką mnożono te rzekome rudimenta, a powtóre wobec tego, że wiele typowych narządów szczątkowych trzeba już było wykreślić z listy rudimentów; okazało się bowiem, że te rzekome narządy szczątkowe to prawdziwe narządy, spełniające funkcyę swoją na korzyść ustroju. Tak stało się z gruczołem tarczykowym, z thymus, z gruczołem nadnercza, z gruczołem szyszkowym, z wyrostkiem

[1] *Un problème de l'évolution* (1909), 182.

robaczkowym. W »niezliczoną liczbę organów« pozostałych po narządach u zwierząt, w »setki szczątków w organizacyi człowieka i zwierząt«, w te »niezbite dowody descendencyi« wlicza ten sam prof. Nusbaum gruczoł szyszkowy i wyrostek robaczkowy »całkiem zbyteczny człowiekowi«, który gdzieindziej powiada: »... jakże więc ostrożni winniśmy być przy wypowiadaniu stanowczego twierdzenia, że ta lub owa właściwość nie ma żadnego znaczenia biologicznego. Co dziś wydaje nam się obojętnem, to jutro okazać się może ważnem, w miarę jak coraz to dokładniej i gruntowniej poznawać będziemy machinę żyjącego ustroju« [1]. Jakie znaczenie fizyologiczne ma gruczoł szyszkowy, wykazał to fizyolog E. de Cyon, a jakie wyrostek robaczkowy, wykazali to J. Koch, L. Aschoff, Macewen, Klemm, E. Albrecht i inni [2]. Wyrostek robaczkowy jest gruczołem limfatycznym, który zwłaszcza w wieku dziecięcym wielką odgrywa rolę (niszczenie szkodliwych bakteryi jelitowych), a którego amputacya według zeznań lekarzy nie jest bynajmniej bez złych skutków dla pacyenta. Więc bądźmy na przyszłość ostrożni przy wypowiadaniu stanowczego twierdzenia jako też i przy podawaniu go szerszym kołom w książkach popularnych!

Pomijam już milczeniem sprawę z ogonem, który ma się pojawiać u zarodka ludzkiego i przemawiać za prawem biogene-

---

[1] »Idea ewolucyi w biologii« (1910), 105, 106, 399. Wiele podobnych sprzeczności znaleźć można w dziele prof. Nusbauma. I tak np. co do gatunku na str. 21 powiada, iż nauka o descendencyi wykazuje, że owe nieprzebyte rzekomo szranki między gatunkami nie istnieją (?), a na str. 339 mówi o urządzeniach celowych w budowie i czynnościach, które służą do zachowania życia osobnikowego i gatunkowego. Próbując teoryę mutacyi pogodzić z teoryą selekcyjną wpada prof. Nusbaum w wiele sprzeczności; wskażemy choćby tylko na jedną. Na str. 518 chwali de Vriesa, że najzupełniej dokładnie zrozumiał działanie doboru naturalnego, że pod tym względem zgadza się z zapatrywaniem Darwina na znaczenie zasady doboru naturalnego, a na str. 541 odrzuca prof. Nusbaum pogląd de Vriesa na działanie doboru naturalnego, jako niewytrzymujący krytyki. Więcej o tem przy danej sposobności.

[2] III. *Vereinsschr. der Görresges.* (1908) 85; L. Härtig: *Mediz. Klinik.* Berlin (1910), nr. 46.

tycznem. Ranke [1], nestor antropologów niemieckich powiada, że większa część tego tworu podobnego do ogona jest nierozwiniętą jeszcze dolną częścią kadłuba, że zawiązek kościstego zakończenia kręgosłupa nie jest dłuższy aniżeli u dorosłego i nie ulega żadnej redukcyi, że charakter kręgowy poszczególnych kręgów ogonowych inny jest u zarodka ludzkiego a inny u zarodka zwierząt. Zresztą liczba kręgów ogonowych u zarodka zwierzęcego jest stale większa aniżeli u zarodka ludzkiego; możliwe jednak jest patologiczne pojawienie się nadliczbowych kręgów ogonowych, jak to ma miejsce i na innych miejscach kręgosłupa [2]. Nie istnieje więc żaden rudiment ogona u człowieka. Końcowe kręgi kręgosłupa, t. zw. kręgi ogonowe zrastają się w jedną na wewnątrz zakrzywioną kość krzyżową (os coccygis) mającą podtrzymywać części wewnętrzne prosto chodzącego człowieka.

A miękki ów wyrostek ogonowy u »osobników ogoniastych« niczem innem nie jest jak tylko nadmiernie rozwiniętem i patologicznem przedłużeniem struny grzbietowej (wyzigi), która według badań Hisa i Eckera wybiega w życiu embryonalnem poza kręgosłup; świadczą o tem miękka konsystencya tego wyrostka jako też i towarzyszące mu przeważnie inne potworne twory (Virchow).

Jak z jednej strony zupełne zgoła wykluczenie narządów szczątkowych byłoby chybione [3], tak z drugiej strony trzeba dopiero wykazać, że dane narządy są rzeczywiście szczątkowymi, zanim poczyna się używać ich jako dowodów. To też, skoro u człowieka n. p. znajdziemy narząd, chociaż mniej rozwinięty, ale podobny do narządu u zwierząt, nie jesteśmy jeszcze bynajmniej uprawnieni do wnioskowania, jakoby człowiek pochodził od zwierząt; narządy bowiem szczątkowe nie potrzebują wcale być odziedziczone po przodkach zwierzęcych. Wszak na-

[1] *Mensch*[2], 183, 184, 185.

[2] Ranke, l. c. 164, 165, 184.

[3] Tak zw. atawizmy (jak np. nadliczbowe brodawki sutkowe i nadliczbowe sutki, to nader powierzchowne podobieństwo do zwierząt, wedle słów Rankego, nadliczbowe palce i t. p.) będące właściwie zboczeniami rozwoju organicznego bywają zgoła usuwane z materyału dowodowego a to przez poważnych badaczy, jak n. p. przez Kohlbruggego (*Atawismus*, 1897).

rządem szczątkowym i to w całem tego słowa znaczeniu jest to taki narząd, którego rozwój zatrzymał się u pewnych gatunków, podczas gdy postępował u innych, nie związanych wcale genetycznie z tamtymi. Więc jeżeli człowiek posiada mięśnie, jakie u zwierząt służą do poruszania muszli usznej, czyż potrzeba je koniecznie uważać za atawizmy i wnioskować z tego zaraz o zwierzęcem pochodzeniu człowieka? Wcale nie; człowiek mógł dawniej jako taki poruszać uszami, co dostatecznie tłumaczą dawniejsze odmienne warunki jego życia.

Z tem wszystkiem trudno jednak przypuścić, by człowiek miał być najdoskonalszą formą ustroju żywego i zarazem zlepkiem odziedziczonych po zwierzęcych przodkach narządów szczątkowych, do których dołączyły się nie wiadomo skąd wielka czaszka, chód prosty i rozum.

Po tem wszystkiem cóż więc sądzić należy o stosunku ontogenii do filogenii? Ażeby nasamprzód stwierdzić fakt istnienia jakiegokolwiek stosunku zachodzącego pomiędzy ontegenią a filogenią, nie wystarczy oprzeć się li tylko na morfologii porównawczej i historyi rozwoju indywidualnego; znaczyłoby to bowiem stanąć w naukach przyrodniczych na czysto spekulatywnem stanowisku, jak to już Reinke [1] podnosił. Potrzeba tedy koniecznie uwzględnienia geologii i paleontologii, potrzeba metody historycznej. Dopóki nie znamy jako tako na podstawie paleontologii drzew genealogicznych, dopóty uniemożliwione jest praktyczne oznaczenie granic pomiędzy cenogenezą a palingenezą i zestawienie naukowo uzasadnionych szeregów genetycznie ze sobą związanych. Słusznie powiedział był Vogt: skoronie znamy historyi dziejów jednego gatunku, jakżeż możemyw dziejach rozwoju indywidualnego dopatrywać się historyi całego rodzaju.

Jeżeli istnieje jaki stosunek pomiędzy filogenią a ontogenią, to jakość jego zależeć będzie od faktycznej jakości descendencyi a przedewszystkiem od jej rzeczywistego zakresu, zakreślonego przez badania paleontologiczne.

Chcący absolutnie a priori obstawać za istnieniem związku

[1] *Nat. u. Kultur.* 1907/8, 290.

zachodzącego pomiędzy ontogenią a filogenią, oczywiście rzeczywistą a nie urojoną, muszą wprzódy wykazać, że rekapitulacya filogenii wogóle odbywać się musi. A czynniki zdające się a posteriori przemawiać za istnieniem tegoż związku są nieliczne, niepewne, co najwięcej prawdopodobne i niewykluczające wcale innych tłumaczeń. Weźmy np. uzębienie występujące w embryonalnem rozwoju wielorybów. Z przejściowego pojawienia się zębów u zarodków wielorybich wnioskuje się na ogół, że u przodków ich uzębienie to dochodziło do zupełnego rozwoju, że wieloryby nieuzębione pochodzą od wielorybów uzębionych. Otóż embryologia sama kwestyi tej z całą pewnością rozstrzygnąć nie może. Lecz skoro uwzględnimy fakt, że w trzeciorzędzie wale nieuzębione geologicznie następują dopiero po walach uzębionych tak, iż ostatnich możnaby uważać za prawdopodobnych przodków, wtedy możnaby tu poniekąd mówić z Wasmannem i Reinkem o związku, jakiby zachodził, oczywiście w ciasnym zakresie, pomiędzy ontogenią a filogenią wielorybów. Lecz na nieszczęście rzecz cała o uzębieniu zarodków wielorybich nie jest jeszcze zupełnie wyświetlona. Zeuglodonty bowiem z pokładów trzeciorzędowych mają wyraźne stożkowate zęby sieczne i wielo kończaste zęby trzonowe, podczas gdy zęby zarodków wielorybich są zaokrąglone i czarkowate. Taka zaś różnica morfologiczna nie może przecież przemawiać za bliższem pokrewieństwem tych grup. Nadto gruntowne chemiczne i mikroskopiczne zbadanie natury tych rzekomych zębów u zarodków wielorybich, oraz ich składu i struktury wykaże może, że to właściwie zawiązki przyszłych płyt rogowych. A zresztą i wieloryby nieuzębione gotowe znaleźć się jeszcze w pokładach trzeciorzędowych obok uzębionych.

Podobna niepewność przypada też mniej lub więcej w udziale innym czynnikom, mającym przemawiać za istnieniem związku zachodzącego pomiędzy ontogenią a filogenią (n. p. Termitoxenia Wasmanna)[1]. Stąd też samo istnienie takiego związku nie może być zaliczane do rzędu faktów pewnych.

---

[1] Por. R. Handmann S. I.: *Zur Anwendung der Entwickelungsgesch. auf den Menschen in körp. Beziehung. Theol.-prakt. Quartalschr.* (1911), II, 341.

A dajmy na to, że istnienie to jest pewne, to stosunek ontogenii do filogenii o tyle będzie dla nas pewny, o ile potwierdzony zostanie przez wyniki paleontologii, mogącej stosunek ten jedynie normować, o ile rozciągać się będzie na granice, w jakich odbywała się najprawdopodobniej descendencya gatunków systematycznych w obrębie gatunków naturalnych czyli innemi słowy, w jakich odbywała się descendencya polifiletyczna, za którą prócz paleontologii oświadczają się paleontologowie Steinmann, Koken, Diener i inni, przyrodnicy Boveri, O. Hertwig, O. Wasmann, R. v. Wettstein i wielu innych.

Jednej uwagi co do descendencyi w obrębie gatunków naturalnych pominąć tu nie można, a mianowicie tej, że byłoby to sprzecznością chcieć teoryę rozwoju przenieść na gatunki naturalne, gdyż pojęciu naszemu »gatunków naturalnych« (różniących się pomiędzy sobą cechami istotnemi w znaczeniu filozoficznem) oznaczającemu coś stałego i niezmiennego odpowiadałyby »gatunki naturalne« zmienne; gatunki bowiem naturalne schodzą się co do rzeczy z gatunkami paleontologicznymi, jakie nie uległy zmianie, właśnie dlatego, że były naturalne[1].

Kończymy rozprawkę. Falsyfikacye popełniane przez Haeckla celem skuteczniejszego rozszerzenia darwinizmu i podkopania religii pokazują, jak roztropnie przyjmować należy i teorye jego, o których Rádl[2] powiada: »Czyż i teorye Haeckla nie mogły powstać w ten sam sposób przez przykrajanie i schematyzowanie myśli prawdziwych?« Haeckel to »fantasta, wprowadzający tłumy w błąd, przedstawiający z uderzającą pewnością za prawdę rzeczy dawno już jako błędy lub fałszywe twierdzenia wykazane i obrażający w sposób niesłychany swoich przeciwników«. Są to słowa radcy nadwornego J. Wiesnera, wybitnego botanika[3]. A gdybyśmy chcieli trzymać się zasady: et uno disce omnes, wy-

[1] O »gatunkach trwałych« pisał dr. A. Schmitt w swem dziełku p. t. *Das Zeugniss der Versteinerungen gegen den Darwinismus.* 1908.

[2] *Geschichte der biol. Theorien,* II (1909), 296.

[3] *Zeit,* 4 März, 1908.

padałoby nawet nie przyjmować za dobrą monetę wyników badań naukowych. Byłoby to oczywiście stanowisko skrajne i zbyt pesymistyczne; aczkolwiek i uczeni ludźmi są i jako tacy owiani duchem czasu, w którym nie tyle w słowach może, jak raczej w czynie widnieją zasady: »wiedza bez wiary«, »wykształcenie bez prawdy«, »wolność bez równości«. Sapienti sat. Nie chcę atoli tego, aby mnie źle zrozumiano. Ostrożność, o jakiej mowa, zwłaszcza jeżeli jest mniej lub więcej uzasadniona, nie jest bynajmniej tamowaniem rzetelnej oświaty, tamowaniem mówię choćby i tego rodzaju, w jakim zaświecił przykładem prof. zoologii Plate, następca Haeckla w Jenie, kiedy to niczego nie zaniechał, byleby tylko radcę tajnego, prof. Reinkego nie dopuścić w Jenie do odczytu [1], albo kiedy w r. 1909 (11 czerwca) wygłosił był odczyt na temat: »Reinke i Wasmann, przeciwnicy nauki rozwoju«, w którymto nagłówku już uderza znawcę rzeczy jawna nieprawda i pomieszanie pojęć, przypominające dyskusyę lutową w Berlinie (1907). Tyle co do falsyfikacyi Haeckla.

A co powiemy o jego teoryi rekapitulacyi? Fuit ilium. Nadzieje darwinistów pokładane w prawie Haeckla zawiodły zupełnie. Prawo biogenetyczne Haeckla traci swoje znaczenie dla dziejów całego rozwoju; hipoteza powtarzania się w ontogenii form filogenetycznych jest nic nie mówiącą, owszem zdolną do sprowadzenia badań naukowych na manowce. Przyczyną szkodliwej jednostronności, jaka ujawnia się (Wiedersheim) i ujawniała w sposobie myślenia anatomów i embryologów oraz i w tłumaczeniu wyników badań naukowych, jest właśnie po większej części prawo biogenetyczne. Że wiedza prawdziwa nie może zaiste godzić się na prawo biogenetyczne w znaczeniu Haeckla, do tego przekonania doszli poważni badacze, jak n. p. O. Hertwig. Innego przekonania są szersze koła, które czerpiąc swe wiadomości z pism popularnych i wpatrzone w prawo biogenetyczne, sądzą, że nauka o rozwoju jest systematem faktów, nie zaś hipotez i teoryi. Mylą się atoli grubo. Trzeba bowiem wyznać

[1] Teudt: *Im Interesse der Wissenschaft.* (1909), 103.

z antropologiem Kohlbruggiem[1], »że właściwie nic pewnego jeszcze nie wiemy o wielkim problemie ewolucyi«, że »wszystko na nowo trzeba będzie budować«, albo też z P. Chalmersem[2]: »Nasuwa się jedno spostrzeżenie: lubo bieg życia jest faktem pewnym, to jednak tej samej pewności przypisywać nie można aktualnym i poszczególnym genealogiom istniejących form«. »Ani dla jednej jedynej formy, nie wyjąwszy bynajmniej człowieka, miejsce w historyi organizmów nie jest ustalone«, powiada Rádl[3].

Descendencya, za którą nie tyle monistyczne postulaty przemawiają jak raczej wyniki badań paleontologów, polegałaby na silniejszem zróżniczkowaniu się cech to przez redukcyę, to znowu przez podniesienie ich tak, iż tego rodzaju procesu wykwitem byłyby nowe gatunki systematyczne, rodzaje a nawet i familie. Jest to t. zw. descendencya polifiletyczna czyli postępująca (bez zmiany stopnia organizacyi) w przeciwstawieniu do descendencyi monofiletycznej, albo inaczej wstępującej, jaka zawarunkowana jest zmianą a raczej podwyższeniem stopnia czyli wysokości organizacyi ustroju. Wszystkie n. p. formy otrzymywane w hodowli sztucznej należą do rozwoju postępującego. Doświadczenie eksperymentalne różnego rodzaju dokonywane na ustrojach żyjących, jako też i wyniki badań paleontologicznych przemawiają przeciw descendencyi wstępującej, monofiletycznej, która zresztą do niepoznania obwieszoną została niemożliwymi postulatami monistycznymi i materyalistycznymi. A ponieważ do istoty przyrodniczej teoryi descendencyjnej należy wykazanie zmienności naturalnych stosunków pokrewieństwa gatunków systematycznych zoologii i botaniki, przeto descendencya polifiletyczna jest descendencyą w całem tego słowa znaczeniu.

Ramy tej pracy atoli nie pozwalają na szersze rozprowadzenie descendencyi polifiletycznej i jej stosunku do kwestyi o pochodzeniu człowieka.

Ks. Ferdynand Chmura.

---

[1] *Morphol. Abstammung des Menschen* (1908), 88.
[2] *Encyclopaedia Britannica, Evolution.*
[3] L. c. 328.

PRZEŻYCIA ESTETYCZNE A MORALNOŚĆ.

(Dokończenie)

Byłoby to jednostronnem i nieprawdziwem chcieć przypisywać ujemny wpływ na moralność przeżyciom estetycznym jedynie takim, w których naturze leży dążność sprzeczna z wymaganiami moralności. Bez wątpienia, przeżycia estetyczne tego rodzaju, które, jakąś żywiołową rozkoszą szarpiąc wnętrzem człowieka, porywają go tam, dokąd rozum iść mu zabrania a głos sumienia i religii wstrzymuje, ogółem mówiąc, szkodzą moralności i nie mogą być czynnikiem dla moralności pożądanym, tak, jak dla lotnika nie jest pożądanym wicher, swem szarpaniem poważnie zagrażający jego bezpieczeństwu i życiu. Niejeden znalazłszy się w nich wśród prądu moralności przeciwnego, upada, jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej z grubemi uszkodzeniami swego aparatu moralnego.

Tego rodzaju przeżycia estetyczne są więc jakby burzą gwałtowną, powstałą wśród atmosfery psychicznej, skierowaną przeciw interesom moralności. Ich wpływ jest gwałtowny, nagły, doraźny i bezpośredni. Od razu, natychmiast usiłują strącić z wyżyn postępowania moralnego i przywieść do upadku. I dlatego ich szkodliwa działalność narzuca się w oczy nawet takim, którzy nie zwykli zwracać uwagi jak na bardzo jakrawe tylko fakta a zresztą mało są obeznani ze subtelnemi zawiłościami sumienia Przeciwko niektórym z nich występuje nawet policya, a walka z pornografią w przeróżnych jej formach, z literaturą kryminalną,

z kabaretem i t. d. jest zrozumiałym zupełnie objawem moralnego odruchu społecznego, oryentującego się w grożącem dla moralności społecznej położeniu, kiedy pewne jednostki lub nawet całe grupy ludzi bez sumienia dla spekulacyi lub innych gorszych celów narzucają się społeczeństwu z dostarczaniem przeżyć estetycznych, których bezpośrednim skutkiem jest publiczna deprawacya obyczajów, widoczna, dająca się już ująć w rubryki statystyczne.

Ale i te przeżycia estetyczne, w których interesy moralności nie są bezpośrednio dotknięte, owszem wydają się całkiem niewinne, jak rozkoszowanie się pięknymi widokami, poddawanie się pod pieszczotliwe działania muzyki, interesowanie się losem osób dramatu i przeżywanie wraz z niemi różnych kolei ich życia, oddawanie się lekturze belletrystycznej i t. p. nie są zupełnie dla moralności obojętne, nie są bez d a l s z e g o, pośredniego wpływu na postępowanie moralne.

Co więcej nawet przeżycia estetyczne, które, ze względu na ich dobre tendencye, etyka musi tylko pochwalać, mogą dla niej stać się niepożądane. Mimo tego, że są dobre i same z siebie pochwały godne, mieszczą w sobie pewne niebezpieczeństwo dla moralności. Raczej nie tak one, jak sposób używania ich związany jest z tem niebezpieczeństwem. Wpływ ich ujemny najłatwiej okazuje się wtedy, gdy one przestają być tem, czem być powinny, — świętem i jakąś uroczystością w życiu, — a stają się dla ustawicznego zżycia się z niemi czemś zwykłem, powszedniem, przechodzą niejako w stałe zajęcie człowieka. Wtedy mianowicie zjawia się charakterystyczne osłabienie woli, brak chęci do poważnego zajęcia się, omijanie trudności, wyszukiwanie zajęcia, które najmniej wymaga wysiłku, przerzucanie się ciągłe od jednego do drugiego, jakaś typowa bierność charakteru, która w następstwach swych do smutnych prowadzi rezultatów nie tylko już dla moralności, ale nawet dla fizycznego życia człowieka.

Trudno przypuścić, żeby upadek obyczajów w środowiskach o wysokiej kulturze estetycznej powstał jedynie pod wpływem przeżyć estetycznych o charakterze niemoralnym. Moralność jest

przecież przyrodzoną zaletą człowieka, jego najcenniejszą ozdobą; głos sumienia mimo rozmaitych stopni kulturalnych w głównych zarysach taki sam zawsze pozostał i odzywa się we wnętrzu każdego normalnego człowieka, przestrzegając go przed złem, w jakiejkolwiekby szacie się zjawiało. Niemoralność jest czemś człowiekowi tak przeciwnem, że nawet w przeżyciu estetycznem nie bez pewnych trudności wchodzi do duszy, znajdując w niej gotowy wyrok na siebie — a wyrok potępiający. Choćby ubrała się w najpiękniejsze szaty i wywołała najżywsze zainteresowanie, przecież gdzieś w głębiach duszy odezwie się protest, zabraniający jej wstępu. Nawet najsilniejsze wrażenia zmysłowe nie zdołają początkowo usunąć tego protestu duszy przeciw wkraczającej nie moralności. Mogą go one na chwilę zagłuszyć, człowieka oszołomić, ale tylko na chwilę; kiedy chwila upojenia przeminie, odezwie się w człowieku głos ten tem silniej i dokuczliwiej, im bardziej w owej chwili wypuszczono go z uwagi i zlekceważono. I niesie on w sobie nie tylko gryzącą naganę za to, co się stało, ale też znaczącą przestrogę na przyszłość przed ułudnemi ponętami przedmiotów, które stawiają żądania niezgodne z wymaganiami sumienia i wywołują takież wczucia.

Ten głos sumienia — rozumowy, na prawie przyrodzonem i bożem oparty protest przeciw złemu wciskającemu się do duszy, — zjawiający się przy nadciąganiu złego w każdym człowieku, stanowi dostateczną przeszkodę i tamę dla przeżyć estetycznych o charakterze niemoralnym, aby na nie nie zwalać całej odpowiedzialności za obniżenie i upadek obyczajów. Nie! One nie są ani jedyne, ani przeważnie nie pierwsze ze swym ujemnym wpływem dla moralności. Jesteśmy zatem zmuszeni dla dopełnienia obrazu koniecznie sięgnąć poza nie i w zakres naszych uwag wciągnąć przeżycia estetyczne o charakterze dla moralności jeśli nie przychylnym, to przynajmniej obojętnym.

Od tych ostatnich zwykły się zaczynać przeżycia estetyczne, i im przypada rola przygotowania duszy do łatwiejszego przyjęcia przeżyć estetycznych nieuczciwych.

Wrażenia, przy których poczucie moralne człowieka nie do-

znaje żadnych obrażeń, wchodzą do duszy łatwo. Nic im nie stoi na zawadzie, nic im wstępu nie broni. Nie wnoszą żadnej rozterki do duszy. Z tem większem zaufaniem zwykł się im człowiek oddawać, im mniej w nich widzi niebezpieczeństwa dla swej uczciwości i godności, im wyższą dostrzega w nich zawartość moralną i pomoc do podwyższenia tej wartości w sobie.

A jednak przy tej bezpośredniej obojętności, albo nawet przychylności dla strony moralnej człowieka, przy rzeczywistych usługach, jakie oddają w szerzeniu i podnoszeniu wszechstronnej kultury jego duchowej, zawierają w sobie pierwiastek, który dla nieoględnych prawdziwe przedstawia niebezpieczeństwo pod względem prawidłowego rozwoju ich psychiki, a w następstwie i dla ich moralności.

Tym zasadniczym pierwiastkiem, który z natury rzeczy znajduje się w przeżyciach estetycznych i znajdować musi, to nieodłączne od nich upodobanie i przyjemność, jaką człowiekowi sprawiają. Wszystko, co estetyczne uczucia wnoszą do duszy, jest owiane przyjemnością. Wszystkie przeżycia wśród nich wzbudzone czyto przedmiotowe, czyto tylko nastrojowe, w jakimkolwiek odcieniu i zabarwieniu występują, zawsze mają jedną cechę wspólną — że się podobają, że są przyjemne. Nawet uczucia, które w powszedniem życiu przygniatają i dręczą człowieka jak smutek, strach, rozpacz, w przeżyciach estetycznych są przyjemne i pożądane. I ten to właśnie pierwiastek przyjemności, dla którego przeżycia estetyczne są pożądane, zarazem też kryje wyżej wspomniane niebezpieczeństwo.

Mianowicie za częste, nad miarę oddawanie się im nieznacznie, ale stale, przesuwa punkt ciężkości życiowej z powinności na przyjemność, usuwa z pod kierownictwa rozumowego, a poddaje pod władzę zmiennych, kapryśnych i nieobliczalnych nastrojów chwilowych.

Życie przyjemne, na które składają się same tylko działania i czynności przynoszące zadowolenie i rozkosz człowiekowi jest i pozostanie zawsze ideałem dla człowieka. Ideał ten, którego realizacyi domyśla się rozum, pożąda serce a stwierdza i zapewnia religia objawiona, staje się dopiero rzeczywistością

w życiu pozagrobowem. Obecne rzeczywiste życie nie jest i nie może być pasmem samych tylko wydarzeń i czynności przyjemnych.

Owszem na życie składa się cały szereg mozolnych prac, znojów, wysiłków. Aby człowiek spełnił rozległe zadanie swego życia, sięgające w daleką przyszłość własną, dotykające losów nie tylko najbliższego swego otoczenia, ale i dalszego społeczeństwa, w które wchodzą interesy przedewszystkiem i plany boże, musi wypełnić swe istnienie ziemskie obowiązkowym trudem i pracą. Maksyma poważnego zapatrywania się na życie jest: *per aspera ad astra*, przez znój i trud dążyć do gwieździanych, ostatecznych celów i ideałów życia, i tego tylko życie posiada rzeczywistą, przedmiotową wartość, kto z okiem zwróconem na obowiązek i powinność przechodzi przez nie, mało zwracając uwagę na przyjemność lub nieprzyjemność napotykaną, nieraz wyrzekając się jej i gardząc jej ponętami.

Tymczasem przeżycia estetyczne wkraczają w życie z charakterem odmiennym: wchodząc do duszy, łatwo wnoszą w nią pieszczotę przyjemności. Dają jej zajęcie niepowszednie przy przedmiocie interesującym, zajęcie, którego cały przebieg odbywa się bez trudu i wysiłku, łatwo, jest jakby wesołą igraszką. Słowem przeżycia estetyczne tego rodzaju dogadzają człowiekowi wszechstronnie, upajają przyjemnością.

I dodać należy, że ta przyjemność, upajanie się nią, głównie zwraca na siebie uwagę, o nią głównie chodzi w przeżyciach estetycznych, ona jest najbliższym celem tych przeżyć. Upodobanie, przyjemność wysuwa się na pierwszy plan w przeżyciach estetycznych i wskutek tego bledną wobec niej wszystkie inne wartości, jakie się w nich jeszcze zawierają. Nawet moralna zawartość wobec przyjemności estetycznej usuwa się na dalszy plan, podporządkowuje pod uczucie przyjemności i o tyle jest cenioną o ile jest zarazem czynnikiem estetycznym, t. j. przyczynia się do podniesienia przyjemności.

Wskutek tego psychicznego oddziaływania przyjemności na człowieka, punkt ciężkości przesuwa się na nią i na niej spoczywa;

wszystkie inne momenty przeżyć estetycznych podporządkowują się pod nią. Ona zajmuje stanowisko dominujące.

Nie, żeby człowiek teoretycznie zaprzeczał objektywnej wyższości moralności, ale praktycznie, ale *de facto* w przeżyciach estetycznych dzieje się to siłą przyjemności samej, która usiłuje pochłonąć całą uwagę człowieka.

I dzieje się tak nie tylko na moment, na chwilę samą estetycznego przeżycia, ale ta przewaga przyjemności przeciąga się w przyszłość. Rozkosz estetyczna pozostawia po sobie głębokie ślady, pozostawia po sobie pamięć, tem wyraźniejszą i żywszą, im zupełniej przeżycie estetyczne zwykło było obejmować duszę, im głębiej ją było poruszyło przyjemnością. Pamięć zaś taka jest zarazem nasieniem tęsknoty i nowych pożądań powrotu tych chwil błogich, jest zarzewiem nowej ich reprodukcyi. Jeżeli odosobnione przeżycia estetyczne pozostawiają po sobie wzmożoną grawitacyę ku przyjemności, to oczywiście cały ich szereg, zwłaszcza ich nadmiar wyżłobi w duszy pewien stały kierunek, stałe nachylenie ku przyjemności, oglądanie się za nią, oczekiwanie jej i wyszukiwanie. Wtedy to, co było bądź co bądź przejściowem tylko zjawiskiem, utrwala się jako pewien nabyty rys charakteru, a równowaga umysłu nie tylko zostaje zachwianą, ale także stale przechyloną na stronę wartości sprawiających przyjemność. W ten sposób przeżycia estetyczne, nawet dla moralności bezpośrednio przychylne, na dalszym planie okazują się jednakowoż dla niej niebezpieczne wskutek faktycznego a ustawicznego przechylania kierunku życiowego w stronę przyjemności. Kiedy bowiem to przechylenie nastąpi, wtenczas człowiek już nie zwykł się liczyć ze stroną moralną estetycznych przeżyć, ale jest już dostatecznie przygotowany na przyjęcie nawet moralnie najoczywiściej szkodliwych, byleby tylko dojrzał w nich jakąś przyjemność, byleby dogadzały jego chwilowym, nieraz bardzo niewybrednym zachciankom.

Przeżycia estetyczne przechylając ustrój duszy w stronę przyjemności, sprowadzają i to w swem następstwie, że umniejszają znaczenie i należytą przewagę pierwiastka intellektualnego w działaniu człowieka.

Kiedy w przeżyciach estetycznych przychodzi do głosu przy-

jemność, to ona tak dalece zwraca na siebie uwagę, że pochłania niemal całą świadomość człowieka. Niema w nich miejsca dla mozolnych rozumowań, badań, zastanawiań się. Prawda czy fałsz, dobro czy zło, wogóle każdy przedmiot narzuca się człowiekowi bezpośrednio, od razu wchodzi do oka, ucha, fantazyi, bezpośrednio uderza w strony uczuciowe. Można się nad tym przedmiotem zastanawiać później, i roztrząsać rozumowo jego rozmaite wartości, można w dziełach sztuki brać pod uwagę koncepcyę, wykonanie, technikę, zgodność z naturą i wierność w jej odtworzeniu — czyto w słowie, w mowie wiązanej lub niewiązanej, na płótnie lub w rzeźbie, w tonach lub ruchach i t. d., ale takie zastanawianie się odbywa się poza estetycznem przeżyciem, jest raczej analizą naukową piękna, która może posłużyć i przyczynić się do wzmożenia estetycznych przeżyć, ale upodobania estetycznego nie stanowi. Estetyczne przeżycia nie zamykają w sobie tego wszystkiego; w nich przedmiot »uderza« nas, one są patrzeniem rozkosznem, czuciem, świadomością przyjemności, związanej z przedmiotem. Nie wykluczamy z nich zupełnie pierwiastka rozumowego, ale przyznać należy, że działania rozumowe w estetycznych przeżyciach stosunkowo mały tylko biorą udział. Estetyka wczuciowa wprost wyklucza z przeżyć estetycznych wszelką refleksyę, jakiekolwiek zastanawianie się. Lipps np. posuwa się do twierdzenia, że nadejście jakiekolwiek refleksyi oznacza koniec estetycznego przeżycia i wyjście z niego, — słowem zasadniczo odmawia rozumowi niejako prawa działania w estetycznych przeżyciach. Jeżeli w tym poglądzie chodzi o zasadę, to, zdaniem naszem, wykluczać z nich zupełnie pierwiastka rozumowego niepodobna, ale przyznać należy fakt, że działanie rozumowe jest bardzo w nich ograniczone, cofnięte na dalszy plan, a za to przeważa działanie zmysłowe, wrażenia, odczucia, które tem będą milsze i przyjemniejsze im bardziej odpowiadają obecnemu, zresztą zmiennemu usposobieniu człowieka, jego nastrojowi, pożądaniom, które mało mają styczności z pierwiastkiem rozumowym, często nawet są z nim sprzeczne, a oznaczają stan psychiczny w zmysłowej części człowieka. Niechże tedy przeżycia estetyczne, choćby nawet zupełnie godziwe, zaczną przeważać w życiu, to wraz z niemi przewagę

bierze także w ustroju psychicznym pierwiastek zmysłowy na niekorzyść pierwiastka rozumowego. Postępowanie człowieka staje się nieobliczalne, zmienne, zależne od ciągle zmieniającego się humoru, usposobienia chwilowego, które powoli staje się normą postępowania. Rozum wtedy już nie stanowi pochodni rozświetlającej drogi życia, nie jest stałym doradcą i kierownikiem postępowania, ale spełnia rolę jakby chwilowego najemnika, mającego posłużyć do łatwiejszego wyszukania i zdobycia wrażeń pożądanych przez zmysły.

Nie może pozostać bez ujemnego wpływu na rozwój moralności jeszcze inna okoliczność, którą stwarzają przeżycia estetyczne, jako takie. Chcę mianowicie wrócić do owej »bezinteresowności« przeżyć estetycznych, o której często mówią estetycy, uważając ją za jedną z najcharakterystyczniejszych cech, któremi odróżnia się od innych podobnych przeżyć. Mówi się: człowiek w chwilach estetycznych przeżyć nie interesuje się rzeczywistością, żyje życiem wnętrznem, a nie ma zamiaru, nie odczuwa potrzeby, żeby praktycznie zająć się tem, co w sobie odczuwa wśród nich. Żyje w oderwaniu od rzeczywistości. On wewnątrz siebie przeżywa rozmaite koleje życiowe: od radości narodzenia aż do okropności skonu, wszystkie możliwe stany, sytuacye życiowe przechodzi i w sobie doświadcza. Staje się biednym, to znów czuje się zamożnym; teraz cierpi, za chwilę radość rozpiera mu piersi; czuje się opuszczonym, to znów w towarzystwie sympatycznem; przeżywa najróżniejsze niebezpieczeństwa, sili się z nich wydostać, nieraz rozpaczliwie ginie wśród nich, to znów ze zdwojoną energią powstaje — i tak bez końca wszystko to człowiek przeżywa w sobie, kiedy siedząc przy stoliku czyta jakąś powieść, słucha deklamacyi na scenie, wpatruje się w obraz. On myśli, czuje, rozumuje, mówi, działa, wytęża się, pracuje, spoczywa po pracy — słowem zupełnie żyje tak, jak żyje przedmiot, w który się wpatruje, wsłuchuje, nad którym się zastanawia. Tymczasem w postępowaniu rzeczywistem tego wszystkiego nie znać. Podczas gdy wnętrze przeżywa te sytuacye życiowe, położenie zewnętrzne i zewnętrzne postępowanie zupełnie jest inne. Człowiek siedzi, patrzy, przysłuchuje się tylko. Oczywiście różnica między wewnętrznem

usposobieniem a zewnętrznem postępowaniem zupełna. Rzeczywistość najzupełniej nie odpowiada wewnętrznemu stanowi, uczuciom, myślom. Stąd wniosek oczywisty: przeżycia estetyczne są bezinteresowne, nie wpływają na rzeczywistą działalność podmiotu, który ich w sobie doświadcza, nawet się tą rzeczywistością nie interesują.

Wyżej powiedzieliśmy, że ta bezinteresowność nie jest taka zupełna, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Uczucia wzbudzone wewnątrz są prawdziwemi uczuciami i jako takie zamykają w sobie podnietę do odpowiednich działań i nieraz nawet te działania wywołują. W tem właśnie, że uczucia można uważać jako wnętrzny początek uzewnętrzniającej się czynności, upatrywaliśmy zaród wpływu przeżyć estetycznych na moralność. Ale teraz warto przyjrzeć się temuż samemu obrazowi, tylko z odwrotnej strony.

W przeważnej części estetycznych przeżyć ta bezinteresowność istnieje. Uczucia, mimo tego, że w nich leży dążność do wypowiedzenia się na zewnątrz w odpowiednim czynie, zostają tylko w duszy, jako uczucia a rzeczywistość idzie swoją drogą, nie stosując się do nich. Nie stosuje się najczęściej dlatego, że to niemożebne. Człowiek przecież zdaje sobie sprawę, że te koleje życiowe, jakie w sobie odczuwa, przechodzi ktoś inny; że chociaż czuł np. śmiertelną trwogę, czytając opis ostatnich chwil konającego, jednak sam rzeczywiście jest zdrów i cały, że niepodobna mu się zachowywać tak, jakby umierał. Więc też i postępowanie jego nie będzie się zgadzało z doznanemi uczuciami; uczucia pozostaną oderwane od swego naturalnego gruntu, od rzeczywistego odpowiedniego postępowania. I tak zwykle powstawać będą przeżycia wnętrzne bez swego odpowiednika na zewnątrz: życie wnętrzne pójdzie swoją drogą, a zewnętrzne postępowanie swoją.

Ale w tej właśnie bezinteresowności przeżyć estetycznych kryje się nowy rodzaj niebezpieczeństwa dla moralnego postępowania człowieka. Mianowicie umniejszają one energię potrzebną człowiekowi do postępowania moralnego.

Uczucia w życiu ludzkiem odgrywają rolę sprężyn, poruszających cały aparat do działania. Miłość, nienawiść, bojaźń,

odwaga, wesele, zazdrość, smutek, duma, tęsknota, nadzieja, gniew, i co tylko jest uczuć, wszystkie one pchają do działania. Działanie to będzie różne, jak różne są uczucia, które do nich popychają; w każdym razie one nie zostawiają człowieka obojętnym, ale wyważają go z obojętności, przymuszają, żeby tak lub inaczej sobie postąpił. I w działaniu etycznem znaczenie ich jest wielkiej doniosłości. Rozum, który wytyka drogę prawego postępowania, nie ma w sobie siły, żeby to postępowanie zainicyować, rozpocząć. On tylko rozświeca drogę, ale nie potrafi pchnąć na nią. Tę siłę inicyatywy posiadają uczucia. Uczucia więc, skierowane rozumnie, właściwie na dobrą drogę, są tym czynnikiem, na którym psychologicznie opiera się dobre postępowanie moralne. I tem bardziej należy dbać o należytą sprawność uczuć, im większe zwykł był człowiek napotykać trudności w postępowaniu moralnem, im mniej ponętne znajduje spełnienie swych wielorakich obowiązków. Każde uszkodzenie i osłabienie ich sprawności musi się też odbić na moralnem postępowaniu człowieka.

Otóż przeżycia estetyczne, nawet o charakterze moralnym, (a może i te przedewszystkiem), jak z jednej strony wpływają na zmianę psychiki człowieka na niekorzyść pierwiastka rozumowego, tak z drugiej wywierają wpływ osłabiający na uczucia szlachetne, zwolna odbierają im naturalną ich dzielność i pozbawiają zdolności wyważania z bezwładności aparatu wykonawczego w człowieku. I winę w tem ponosi właśnie ich bezinteresowność. Wzbudzają się uczucia w człowieku, poruszają go do głębi, obejmują wszystkie jego władze, opanowują świadomość, wytwarzają stan najkorzystniejszy do działania, stan entuzyazmu, w którym można dokonywać dzieł heroicznych. Tymczasem z tego napięcia energii uczuciowej rzeczywisty skutek — żaden. Rzeczywistość była inna, aniżeli stan uczuciowy, powstały trudności, lub coś innego stanęło na przeszkodzie — jakakolwiek była przyczyna, dość na tem, że w rzeczywistości nic nie zostało spełnione pod wpływem uczuć w przeżyciach estetycznych. Nastąpił gwałtowny rozdział między uczuciem a odpowiedniem uczuciu działaniem. Myśli i uczucia oddzieliły się od czynów i postępowania. Cały bogaty zapas nagromadzonej energii został zmarnowany, mniejsza o to dlaczego,

ale nie ruszył tej bezwładności, którą mógł był ruszyć, której poruszenie było jego naturalnem przeznaczeniem, poszukał sobie ujścia w kilku może wykrzyknikach, westchnieniach, łzach i tym podobnych objawach bez etycznej wartości.

Jakkolwiek tego rodzaju wezbranie uczuć i ich wolny upust bez wprzągnięcia ich do jakiejkolwiek poważniejszej pracy przychodzi lekko, jest przyjemny i przeto pożądany, — jakkolwiek przynosi ulgę w ciążącem zaskorupieniu i wystudzeniu duszy, jak się Arystoteles wyraża, oczyszczenie κάθαρσις, a nawet wprost ubogaca duszę w cały szereg przeżyć, powiększa ich różnorodność, rozszerza zakres działań wnętrznych, — może nigdy nie realizowanych w rzeczywistości, ale, mimo to, zawsze cennych — jakkolwiek więc nawet sama ta bezinteresowność estetyczna ma swoje wielce dodatnie strony, to jednak nie należy też przeoczać, że jest ona zarazem czemś nienaturalnem, jakiemś jakby skrzywieniem naturalnego rozwoju w działalności ludzkiej, kiedy wezbranym uczuciom zabiera możność wykonania właściwej im pracy i oddziela, odrywa od siebie życie wnętrzne od zewnętrznego postępowania.

Pojedynczo występujące oderwanie to żadnej szkody nie przyniesie; ale gdy pocznie zbyt często powtarzać się w życiu, wytworzy głęboki wyłom w ustroju psychicznym, przez który ze szkodą dla życia wogóle, a przedewszystkiem dla moralności upływać będzie energia potrzebna. Estetyczne przeżycia, występujące zbyt często, odzwyczajają człowieka od pracy i wysiłku, pozwalają mu zadowalniać się życiem czysto wnętrznem, a nie myśleć, ani się troszczyć o odpowiednie postępowanie. Ten, który często na widok walk i zapasów bohatera na scenie, albo przy lekturze przeżywał estetycznie razem z nim chwile spotęgowanej energii wobec piętrzących się trudności, czuł się gotowym stawić czoło wszystkim przeciwnościom życia i radował się z odniesionego zwycięstwa wtedy, kiedy jemu samemu nic w drodze nie stawało, ten niemal na pewno cofnie się przy spotkaniu się z rzeczywistą trudnością, wymagającą wysiłku, poświęcenia swych przyjemności. Dlaczego? Czy mu brak uczuć szlachetnego męstwa? — Nie! Uczucia mu nie brak, on już je miał tyle razy, że już się przyzwy-

czaił do niego, ale przyzwyczaił do uczucia jałowego, bez czynu, tak, że teraz, kiedy się wzbudziło wskutek rzeczywistej potrzeby, przybierze ono charakter estetyczny, będzie bez siły praktycznej. Rozdział między uczuciem a życiem w czynie, wytworzony wskutek estetycznych przeżyć, wystąpi na wierzch, tem prędzej, że obecnie nie towarzyszy uczuciu przyjemność, ale przykra sytuacya wymaga przykrej ofiary. Łatwem było odczuwać zwycięstwa i potężnieć wnętrznie, gdy silił się i walczył inny, ale, gdy brzemię ciężaru rzeczywiste zwali się na własne barki, wtedy sił zabraknie do jego podtrzymania i odepchnięcia. Kto w estetycznych przeżyciach zwykł był odczuwać w sobie dumę, potęgę i męstwo lwa, bywał burzą, huraganem niszczącym wszystko, co śmiało stanąć w poprzek jego pochodowi, ten w rzeczywistości zwykł bywać tylko czułkiem, mimozą, co za najlżejszem dotknięciem, drżąca, zwija się i kurczy, — niezdolny do męskiego czynu, do poważnego nawet wysiłku woli.

Do tego oderwania się czynu od myśli, postępowania od uczuć, które nazwiemy rozdziałem podmiotowym, dołączmy jeszcze rozdział przedmiotowy — odrębność świata estetycznego, od świata rzeczywistego i stosunków w nim panujących.

Człowiek stając w przeżyciach estetycznych przed przedmiotami, nie przyjmuje ich w siebie tak, jak o to stara się wiedza, całkiem przedmiotowo, jak są w sobie. O objektywność w przeżyciach estetycznych nie dba; staje przed niemi, by je pojąć na swój sposób. Nie chce być płytą fotograficzną bez żadnego przekształcenia odtwarzającą własności przedmiotowe, ale pozwala sobie zabarwiać je niemal dowolnie; na niektóre strony nie zwraca uwagi, opuszcza je ze swej świadomości, inne znowu podkreśla, potęguje, upiększa, czyli, jak się zwykło mawiać, idealizuje, i — stojąc wobec przedmiotu, patrząc nań i rozważając go, widzi nie świat rzeczywisty, ale świat jakiś inny, zmieniony na lepsze, upiększony, — świat, w którym wszystko jest doskonalsze, większe, świat wymarzony, idealny. W tym świecie estetycznym nic niema niepodobnego: zwierzęta w nim rozmawiają, skały, wody, pola, lasy, gwiazdy, wichry zachowują się jak ludzie: czują, myślą, weselą się, smucą, wszystko jakieś sympatyczne. I ludzie inni. Nie

tacy, jak ich znamy z codziennego pożycia, zwyczajni, w których mnóstwo stron dobrych miesza się z mniej dobremi i wytwarza jakąś szarzyznę charakteru, niewiele interesującą zwyczajność; w przeżyciach estetycznych każdy rys przerasta zwykłą miarę, olbrzymieje. Przy przekształcającem działaniu podmiotu oglądającego się za zaletami przyjemnemi w przedmiocie, jedne z nich zatracają się zupełnie dla jego świadomości, a inne występują za to potężniej w swem osamotnieniu, uwydatniają się lepiej, olbrzymieją estetycznie. Każda istota wskutek tej zmiany, tego wyjęcia z rzeczywistości staje się typową, przybiera rozmiary posągu o olbrzymich wymiarach. Wszystko w nich nadzwyczajne, wszystko wielkie, interesujące. Wielka cnota i wielka podłość, wielki geniusz i wielki kretyn, nawet miernota będzie typową, nawet zwyczajność nadzwyczajną. Słowem w świecie idealnym nie istnieją wymiary ani stosunki rzeczywiste.

I ten świat, na którego wytworzenie złożyły się wczucia estetyczne własne, jak również za pośrednictwem dzieł sztuki, wczucia artystów — świat bardziej uroczy i czarowny, ale zupełnie odmienny od rzeczywistego, zajmuje człowieka bardziej i nęci ku sobie silniej; w nim człowiek chętnie lubi przebywać, za nim tęskni i wzdycha, a rzeczywistość znajduje nieinteresującą, szarą — nie lubi jej, odgranicza się od niej, chciałby od niej usunąć się, a że nie może tego wykonać, nienawidzi jej. *Odi profanum vulgus et arceo.* On chciałby, żeby w rzeczywistości tak wszystko się odbywało, jak się odbywa wśród przeżyć estetycznych w świecie idealnym i, mierząc rzeczywistość miarą wyśnionych światów, dochodzi tylko do pogardy rzeczywistości, do lżenia i plucia na nią, jako na niedorastającą nawet w części do wysokości ideałów, wypielęgnowanych w przeżyciach estetycznych. Że i moralność ten sam los spotyka, to już łatwo sobie wystawić. Wszak ona najbardziej liczy się z rzeczywistością. Jej całem dążeniem jest, żeby oddać, co się każdemu należy. Jej chodzi o to, żeby w niczem nie przesadzić, właściwą miarą odmierzyć każdemu jego prawa i obowiązki, i skrupulatnie pilnuje, żeby ich dochowano aż do najdrobniejszych szczegółów. Więc też umysłom wciąż estetycznemi przeżyciami karmionym, nie smakują te przepisy; prawa

moralne wydają się czemś drobnostkowem, małomieszczańskiem, parafialnem, głupiem, czego trzeba się wstydzić, co należy ukrywać lub raczej pozbyć się co prędzej tak, jak zwykło się pozbywać śmieszności. Uczuwają potrzebę zadokumentowania swej wyższości ponad tę ograniczoność ostentacyjnem lekceważeniem moralnych praw, oraz wyrazami wzgardy dla podłego tłumu filistrów, którzy się ich trzymają. Kiedy umysł filozoficzny a przewrotny stara się teoretycznie podkopać powagę moralnych zasad, atakując ich wartość absolutną — to umysł przeżytego estety tyle trudu sobie nie zadaje, on tylko śmiechem, ironią, dosadnem, a brzydkiem słowem je piętnuje, poczytując sobie za ujmę więcej zastanawiać się nad niemi.

Tak ludzie na przeżyciach estetycznych wyhodowani, którym literatura i sztuka zajęły najwięcej miejsca i czasu w życiu, tracą poczucie rzeczywistości, tracą kierunek, oryentacyę w stosunkach rzeczywistych, niezdolni się stają do sprawiedliwej oceny wartości życiowych; zwłaszcza gdy chodzi o nich samych, gdy należy spełnić ten zwykły, szary obowiązek codzienny, nie mający w sobie rozgłośnego blasku, a wymagający zaparcia i ustawicznego poświęcenia, wtedy szczególnie nasuwa się im przed oczy urojona norma wielkości estetycznych i żywiołowego rozbujania, która ich mami urojonemi wartościami, pod której wrażeniem każdy obowiązek, każda powinność wydaje się im podłem i nieznośnem skrępowaniem, ciasnotą, więzami niedozwalającemi rozwinąć się szerokiemu rozpędowi życiowemu. Nie chcą zgodzić się z życiem, szukają tylko sposobu wyrwania się nawet z pod najprostszych obowiązków życiowych, a zwracają się tam, gdzie ich wabi jakaś nadzwyczajność, jakaś wyszukana przyjemność, spodziewając się w niej znaleźć przynajmniej okruchy z tego świata, który sobie w wyobraźni wytworzyli pod wpływem estetycznych przeżyć. Jeżeli warunki pozwalają na wyszukiwanie sobie nadzwyczajności, jeżeli starczą środki po temu, idzie się tą drogą coraz dalej i dalej i dochodzi się do typu, którego przedstawicielem i teoretykiem wybitnym był Nietzsche. Do niego zbliżonych duchem, czy raczej wykrzywieniem ducha, ale nie tak potężnych w słowie, w bezwzględności i cynizmie napotkać można w każdem społeczeństwie przede-

wszystkiem między tymi, którzy się obracają w świecie sztuki, w kołach, w których pierwiastek estetyczny przeważne zajmuje stanowisko.

Ze wzrastającą kulturą estetyczną pojawiają się coraz częściej okazy tego typu ludzi z przewagą estetycznego pierwiastka i wytwarzają się nawet całe grupy w społeczeństwie estetycznie przerafinowanych, a niedojrzałych życiowo, słabe charaktery, nie zdolne do obowiązku ani do poważniejszego zajęcia. Kobieta współczesna, spędzająca życie między fortepianem a rozmarzającą lekturą powieści, wciąż znudzona i niewiedząca, co ze sobą zrobić, wciąż spragniona i tęskniąca za nieokreślonemi, urojonemi przyjemnościami, sensacyjnemi sytuacyami, to także roślina wypielęgnowana na nadmiernym podkładzie estetycznych przeżyć.

U nas w Polsce, wskutek naszego charakteru i usposobienia żywego, rozszerza się ten typ jałowego estetyzmu z ogromną łatwością. Nie tylko w życiu prywatnem, ale w objawach społecznych przebijają się jego ślady. Działalność organizacyjna, spokojna, wytrwała, systematyczna, mimo usiłowań i prób podjętych, nie zwykła się udawać, a przecież zapału nie brak, tylko, że ten zapał ma charakter estetyczny. Na »słomiany ogień« w naszem życiu ciągle powtarzają się lamenty w prasie. Chcielibyśmy, żeby wszystko działo się łatwo, za jednym zamachem, z dużą dekoracyą, przyjemnie, jak na scenie. Gdy coś trzeba rozpocząć bez dekoracyi, z cichym trudem obliczyć na dłuższą metę, gdy nie można paradować na czele, ale wymagają od nas, aby stanąć i zniknąć w szarych tłumach zszeregowanych pracowników, tam zwykło nas brakować.

Nie chcemy innymi konkretnymi przykładami z życia lub literatury illustrować naszych twierdzeń, ograniczamy się do ogólnego, teoretycznego wskazania, dlaczego to upadek moralności zwykł był towarzyszyć wysokiej kulturze estetycznej. Tłumaczy się to zjawisko głębokim przewrotem, jaki się zwykł dokonywać w duszy pod wpływem estetycznych przeżyć, jeśli ktoś nieoględnie, za często im się oddaje i przez to przyzwyczaja się oceniać wszystko wartością estetyczną, a odwyka od tężyzny postępowania moralnego. Wtedy nie tylko te przeżycia są zgubne

dla moralności, które noszą na sobie charakter wybitnie z nią sprzeczny, ale szkodliwy wpływ na moralność posiadają również i te, które są bezpośrednio dla niej neutralne. Niebezpieczeństwo to uchyla i zmniejsza w wielkiej części życie samo. Nie każdy znajduje się w tem dogodnem położeniu, żeby nie potrzebował pracować, a znajdował czas, sposobność i środki oddawać się bez przeszkody estetycznym przeżyciom. Dlatego też nie należy się bardzo obawiać ich niedobrych następstw tam, gdzie istnieje przymus pracy, nawet pracy artystycznej, jak u zawodowych artystów. Ale gdzie go niema, gdzie warunki materyalne dozwalają oddawać się im do woli, tam niebezpieczeństwo trwa w całej pełni, tam trzeba się mieć na baczności, by przy używaniu ich nie przekroczyć tej granicy, poza którą działanie ich przestaje być dodatnie i pożądane.

Estetyczne przeżycia są więc jak promienie słoneczne. Nieocenioną posiadają doniosłość dla życia, ale grzejąc ustawicznie mogą też grunt wysuszyć i wypalić. Pod ich dobroczynnem działaniem na gruncie duszy, wyrasta całe mnóstwo myśli, uczuć, upodobań, tęsknot, niby całe pola przecudnych kwiatów o najrozmaitszych barwach i nieprzeliczonych kształtach. Prawda, że nie wszystkie kwiaty pod ich działaniem zawiązują się w owoc ale wśród pól i łanów zboża, przynoszących ziarna, potrzebne są także ogrody i ogródki pełne kwiecia, z którego nie oczekuje się owocu. Dla człowieka jedne i drugie są pożądane. I uczucia nie dochodzące do granicy praktycznego życia posiadają także wartość życiową. Dają zakosztować duszy takich momentów życia, których skądinąd nigdyby nie zaznała, rozszerzają skale uczuć, ubogacają jej życie wnętrzne, przyswajając łatwo ogromny zasób objawów życiowych cudzych, które przeszli i doświadczyli inni. Zleby tylko było, gdyby pod wpływem estetycznych przeżyć grunt duszy poprzestał wydawać także owoce, gdyby wysechł i wyjałowiał. Do tego łatwoby przyjść mogło, ale rzeczą gospodarza pilnować pola i niedopuścić do jego wyjałowienia. Nie może siać samych kwiatów; on musi uprawiać łany zbożowe, a następnie dopiero urządzać kwiatowe ogródki. Życie i postępowanie moralne i troska o nie jest rzeczą główną, estetyczne przyjemności stoją na drugim planie.

Tamte stanowią treść, te tylko formę, tamte są pokarmem dla życia posilnym, te słodką przyprawą. I przyprawa ma znaczenie, ale zawsze nie w niej leży siła dla życia główna. Kultura estetyczna jest dobrą i ważną rzeczą i zasługuje na wszelkie poparcie, ale, broń Boże, gdyby miała iść przeciw moralności, albo uzyskiwać przewagę w życiu.

Byłby już czas najwyższy rozpocząć walkę z przesadnym estetycyzmem naszych czasów.

Ks. L. Rudnicki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Elekcya Zygmunta I. Sprawy dynastyi Jagiellońskiej i unii polsko-litewskiej. *L. Finkel.* Kraków. 1910. Akad. Umiejętności. Nakł. Funduszu N. Bucewicza. Str. VII, 286.

Ustaloną pomiędzy historykami opinią było, że elekcya Zygmunta Starego odbyła się bez jakichkolwiek trudności, chociaż żył jeszcze właściwy kandydat, jego brat starszy Władysław, król czeski i węgierski. Ale tutaj zaraz spotykamy trudność: unia litewsko-polska z r. 1501 w art. I stanowi, że odtąd ma być wybierany jeden król wspólnymi głosami i w czasie oznaczonym w Polsce; tymczasem wiemy, że Zygmunt został naprzód wyniesionym na tron litewski w Wilnie (d. 20/X 1506 r.) a o wiele później, bo dopiero d. 8/XII t. r. obrano go królem polskim w Piotrkowie.

Dlaczego tak się stało?

Przyczyną tego był fakt, że Jagiellonowie nie uznali unii z r. 1501, uważając ją — całkiem słusznie — za nadużycie uwłaczające ich prawom, jako dziedzicznym panom Litwy. Skoro byli dziedzicami na Litwie, nie mogli pozwolić, by ciż Litwini oddawali na nich swe głosy, jako wyborcy.

Na wiadomość o chorobie swego brata Aleksandra natychmiast wyrusza Zygmunt na Litwę i tutaj w porozumieniu z potężnym Glińskim zajmuje dziedziczny tron litewski. Zawładnięcie zaś Litwą było krokiem bardzo politycznym ze strony Zygmunta dlatego, ponieważ w Małopolsce groziła Zygmuntowi opozycya szlachty, ale opozycya zaskoczona obiorem litewskim, musiała przy współdziałaniu innych

jeszcze czynników, jak interwencya węgierska i napad wołoski, zgodzić się z myślą postawienia Zygmunta na tronie polskim. Na czas elekcyi przypada też spór między Glińskim a Zabrzezińskim — spór, którego nie chciał rozstrzygać drogą sądową Zygmunt, świadom wypadków, spór, którego skutkiem było morderstwo Zabrzezińskiego i bunt Glińskiego.

Taką jest, wedle konstrukcyi prof. Finkla, prawda historyczna.

Późniejsze zaś legendy o Glińskim i o zbrodniczych jego zamiarach po śmierci króla Aleksandra powstały — wedle przypuszczenia prof. Finkla — dzięki samemu Glińskiemu, który w niepohamowanej zemście szalał formalnie, sprowadzał na Polskę największe nieszczęścia, stał się jej demonem i bądź sam rozszerzał wieści, bądź przytakiwał wieściom o wszelkiego rodzaju zbrodniach przeciwko dawnej swej ojczyźnie. Że te właśnie wiadomości znalazły potwierdzenie w kronikach, tłumaczyć można w ten sposób, iż wszystkie ówczesne kroniki powstały właśnie wtedy, gdy Gliński już zerwał z krajem, a skazany na więzienie, był doszczętnie zgniecionym. Więc dlatego można było wycofać pierwsze wydanie Miechowity »dla pewnych przyczyn« a w drugiem zmienić niektóre ustępy »z rozkazu senatu polskiego« (cf. *Przew. Nauk. Lit.* r. 1884, str. 13) i wsunąć wiadomość o nieprawdziwej przyczynie elekcyi, obciążyć niesłusznie pamięć Glińskiego, tem bardziej, że należało usunąć od osoby królewskiej nawet cień podejrzeń o naruszenie unii litewsko-polskiej. Z wszelkiem prawdopodobieństwem można nawet wnioskować, że autorem tych poprawek był kanclerz Łaski. Nadworny historyograf Zygmunta I, Wapowski, podaje nieco w podejrzenie te wszystkie zarzuty, aczkolwiek nie uwalnia od nich Glińskiego. On też dodaje, że »Rusini stanowili największą część wśród jego przyjaciół«, co dało podstawę do nowej bajki Herbesteina, że Gliński był greckiej wiary, a więc schyzmatykiem. Kromer, chociaż nie powtórzył bajki o greckiej religii Glińskiego, powtarzał jednak inne i dzięki swej poczytności rozszerzał je w Polsce. Inni kronikarze czerpali już całkiem spokojnie błędne wiadomości i kategorycznie potępiali Glińskiego. Tylko sumienny badacz ks. Kojałowicz, Jezuita, a za nim Niesiecki bronił Glińskiego przed ogólnem potępieniem w historyi, ale dotąd bezskutecznie.

Podobnież i ruscy dziejopisowie, z wyjątkiem jednego Hruszewskiego, mylą się w swych sądach, uważając Glińskiego za greckiej wiary bojownika, chcąc go uczynić swym narodowym bohaterem. A wszyscy opierają się na kronikach, wziętych bez należytego kryty-

cyzmu. Stąd to przyczyna, że wieści te zyskały już u nas prawo obywatelstwa.

I tutaj zasługa prof. Finkla, że w niniejszem studyum stara się sprostować tę opinię; przez tę pracę rozjaśnił także kwestyę unii litewsko-polskiej, kwestyę, nad którą się bardzo wiele, z coraz lepszym skutkiem pracuje. Obok tych wyników są niektóre sprostowania i wyjaśnienia, podawane przez autora w notach, wykazujących błędność niektórych poglądów czy zdań co do ówczesnych i wypadków i ludzi.

Ks. K. Konopka.

Miłość w życiu Zygmunta Krasińskiego. Studyum biograficzne. *Hoesick Ferdynand.* Kraków 1909. Str. XXIV, 596.

Wielkich rozmiarów dzieło p. Hoesicka zajmuje się odmalowaniem szeregu jednorodnych zjawisk w życiu Krasińskiego, t. j. stosunków jego z kochanemi kobietami w przeciągu całego życia poety. Najpierw tedy do r. 1829 miłość ku pani Amelii Załuskiej, potem w roku 1830 miłość ku pannie Henryce Willan w Genewie, następnie w latach 1834—1835 miłość ku pani Joannie Bobrowej, nareszcie w latach 1838—1841 miłość ku pani Delfinie Potockiej, zanim poetę skrępował związek małżeński w 1844 roku z panną Maryą Branicką. Pan Hoesick uzbroił się wybornie do wykonania tego dzieła. Przeczytał wszystko, co dotychczas w tej sprawie ukazało się w druku. Sam różnymi czasy opracowywał cząstkowo wyżej wymienione epizody z życia wielkiego poety i wydał w 1899 pod tymże tytułem książkę. Szczerze we wstępie przyznał się do pięty achillesowej swej pracy: nie znał mniej więcej sześciuset listów Krasińskiego do Delfiny Potockiej, które Pini nazwał »najdokładniejszym i najwierniejszym pamiętnikiem duszy poety«; nie znał trzech albumów Delfiny Potockiej; nie znał listów poety do ojca. Co się tyczy listów, możnaby to »nie znał« znacznie rozszerzyć: nie znał listów ani Willan, ani Załuskiej, ani Bobrowej, ani Potockiej do poety, a przecież one nie były obojętne, gdyż do zupełnego obrazu miłości potrzeba relacyi dwóch osób. Ale to nie zarzut. Znał wszytkie listy, jakie były dostępne, oraz prawie wszystkie opracowania.

Nie można też zaprzeczyć, że p. Hoesick był kompetentny w danym przedmiocie. Traktowanie spraw tak poufnych, jak miłość wielkich ludzi, wymaga dyskrecyi, subtelnego przeniknienia i bystrości w odgadywaniu, aby z ułamkowych wiadomości złożyć całość. Dlatego to jasny obraz miłości Maryli i Mickiewicza dopiero się może wy-

świetli po ogłoszeniu korespondencyi filomatycznej. Pan Hoesick dotychczasowym szeregiem studyów w tym kierunku przygotował się należycie i jest może jedynym pośród dzisiejszych krytyków, któryby tę właśnie stronę życia Zygmunta mógł w zupełności wyświetlić. Książka też jego nie jest obojętna dla literatury. Zanim się szczegółowiej zajmę jej znaczeniem, pozwolę sobie zauważyć, że owo dzieło prawie wolne od błędów faktycznych, nie może jednak służyć za zwierciadło prawdzie, dzięki metodzie wykładu. Błędów zauważyłem zaledwie parę. Na stronie 87 opowiada Hoesick o spotkaniu Krasińskiego z Odyńcem i Mickiewiczem w Genewie w 1830 roku. Tegoż roku w listopadzie Krasiński pojechał do Włoch, w połowie grudnia (na str. 104 mówi Hoesick, że 16 listopada, lecz uważam to za błąd druku) dowiedział się o wybuchu powstania, przeniósł się w połowie lutego 1831 roku do Florencyi, gdzie napisał »Wygnańca« (o czem w dziele ani wzmianki), w marcu zaś był z powrotem w Genewie, gdzie, jak powiada Hoesick, bawili Ankwiczowie i Mickiewicz. Ale Mickiewicz w marcu 1831 roku w Genewie wcale nie bawił. Był on jeszcze we Włoszech, z końcem kwietnia jeszcze żegnał się z towarzystwem polskiem we Florencyi, drugiego maja dotarł do Parmy, z Genewy zaś pisał d. 16 maja do Szymanowskiej: »ledwie teraz dostałem się do Genewy, skąd za parę dni wyjeżdżam« [1]. W istocie zaraz przez Paryż podążył do Poznańskiego, aby się przedrzeć na Litwę.

Na str. 159, opowiadając o pobycie Zygmunta w Petersburgu w końcu 1832 roku, cytuje słowa poety: »wstaję, chodzę, piszę trochę...« i korzystając z okoliczności, że w tym liście do Reeve'a nie wymienia co pisze, domyśla się, że to był »Agay Han« ostatni rozdział, w którym znalazły się liczne rzekome reminiscencye miłości ku Załuskiej. Ale przeciwko temu świadczy list Krasińskiego do Reeve'a z 20 stycznia 1833 r., bardzo dokładnie mówiący o umysłowej i pisarskiej pracy Zygmunta w zimie 1832—3 roku w Petersburgu. Mówi o sobie: »Już to nie są owe zaklęcia i odruchy wściekłości, które przetrawiły me zdrowie i wydały jako nierozumną poezyę: »Adama«; jest to raczej męski smutek bez uroku, bez szału, dosyć spokojny, a silniejszy, trwalszy, niż wszystkie radości, jakie pomnę. Czytałem tej zimy Ballanche'a, Damiroua, Quineta, a potem Biblię i pomyślałem, że filozofia warta tyle, co miłość; można być Werterem

[1] Kor. I. 83.

w obu rodzajach. Potem napisałem coś, co podobne jest do czegoś, co tkwi we mnie, t. j. do rozkładu i do kilku myśli dość głębokich. Tytuł jest dość dziwny: »Irydion Amfilochides«; jest to Grek w Rzymie *et dulces moriens reminiscitur Argos*... To moja pierwsza próba dramatyczna; całość jest napół dramatem a napół opisaniem i opowiadaniem«. Że w Petersburgu napisał »Irydiona«, wspomina też w r. 1833 z Rzymu w liście do ojca: »Czy pamięta papa treść myśli mojej jednej, którą opowiadałem papie w Petersburgu i którą papa znalazł piękną? Zwała się Irydion, działa się przed wiekami w Rzymie. Napisałem był jej połowę w Petersburgu, w Warszawie podarłem, bo nędzną była«... Mniejsza o to, jakieby można wysnuć wnioski z zestawienia tych dwóch listów, to pewna atoli, że nie »Agay Han« zajmował Krasińskiego w Petersburgu, lecz mistycy francuscy, »długie, długie« rozmowy z ojcem o powstaniu listopadowem i »Irydion«. W liście do Reeve'a mówi, że napisał całość: część opisu i opowiadania, część dramatu, tak właśnie, jak zredagowany »Irydion« w ostatecznej postaci; w liście zaś do ojca mówi o połowie. Przyjmując prawdziwość drugiej wersyi, musimy jednak uznać, że nawet połowa takiego dzieła jak »Irydion«, zupełnie wystarcza na półtrzeciamiesięczną pracę (listopad, grudzień, pół stycznia), jeżeli się doda wymienioną przez poetę lekturę i trudność dramatyzowania po raz pierwszy. O tem wszystkiem p. Hoesick przemilcza w tym celu, aby módz silnie zabarwić miłość poety ku Załuskiej, choć przecież 1 grudnia 1832 roku już poeta na zawsze żegnał swą kuzynkę. Stanowczo błędnem wydaje mi się także przejaskrawienie kolorytu karnawału rzymskiego z 1835 roku w dziejach uczuciowych poety. Hoesick powiada, że Krasiński bywał uczestnikiem zabaw i szaleństw, że dał się porwać zawrotnemu wirowi, że »doskonale się czuł w tym bachicznym żywiole« (str. 247). Lecz oto mamy dwa dokumenty Krasińskiego, oba znane Hoesickowi. W liście z 21 stycznia 1835 Krasiński pisze: »W tym steku nud i odrętwiałości napadło mnie wielkie obrzydzenie do wszystkich figur, kołujących naokoło mnie«. A oto w kilkanaście dni potem, d. 8 lutego pisze do Gaszyńskiego, że nad głową jego wisiała jakaś »noc rozumu« i czuł, że »serce mu się obróciło w garść prochu«, że »siły nędzne i przyszłość nikczemna«, że go »coraz częściej takie noce rozumu napastują«. »Codzień bardziej odstrycha się od życia, świat zewnętrzny mu ciężyć«. »Dogorywa w piersiach zapał, w głowie myśl, w sercu uczucie«. »Chciałby zakończyć tę marną grę kilku myśli

i kilku żywych popędów i kilku chorób, która się zowie życiem jego, radby gdzie zasnął na wieki«... i t. d.

Pytam tedy, czy naprawdę »doskonale się czuł w tym bachicznym żywiole« i czy to są dowody doskonałego czucia? Cóż znaczy, że w późniejszych listach z lat 1841, 46 i innych przypomina przyjaciołom »błogie dni 1835 roku«? Błogimi nazwał je z i c h punktu widzenia — nic więcej. Ale p. Hoesickowi trzeba było takiego właśnie oświetlenia ducha poety ze względu na zasadę główną, udowodnić którą ma za zadanie całe dzieło. Jakaż to zasada? Szan. autor uważa miłość ku kobietom w życiu i twórczości Krasińskiego za czynnik najważniejszy. Raz pisze: »Bez żądzy wrażeń romansowych nie czułby się sobą, a więc nie byłby poetą. Bo tylko wtedy, gdy się kochał, mógł pisać. Bez miłości nie miał natchnienia. Jeżeli tworzył wiele, to dzięki temu jedynie, że kochał wiele i ciągle« [1]. Niebawem znów przytacza słowa Krasińskiego w liście do Reeve'a, parafrazujące okrzyk Ryszarda III: *My kingdom for a love,* i od siebie dodaje, że w tem »streszczała się c a ł a p s y c h i k a Krasińskiego, gdy na początku listopada przyjechał do Genewy« [2]. Ale ten okrzyk powtórzył Krasiński 8 stycznia 1830, przyjechał zaś do Genewy 3 listopada 1829 roku. Nie można psychiki poety, zakochanego w H. Willan utożsamiać z psychiką poety, który niedawno prawie tragiczne przebył walki wewnętrzne. Potem znów Hoesick powiada: »sprawy, związane z sercem poety, jeżeli nie w rzeczywistości, to przynajmniej w imaginacyi autora »Agay Hana«, z a w s z e wysuwały się na pierwszy plan« [3].

Tymczasem takie postawienie kwestyi miłości w życiu i twórczości Krasińskiego jest błędne, jakkolwiek nie przeczę, że można znaleźć poparcie tego nawet w zeznaniach samego poety. I tak n. p. w liście do Reeve'a z 6 grudnia 1832 r. mówi, że Henryka Willan miała być »poetycznym punktem wyjścia d l a c a ł e g o j e g o ż y c i a«; to znów w liście do Gaszyńskiego z 12 czerwca 1836 r. pisze: »są miłości, które duszą się pod ciężarem czasu i przestrzeni; są inne które sił nabierają tem samem, że ciągle pracują wyobraźnią w niedostatku upragnionej rzeczywistości. Ja się w tym drugim przypadku znajduję« [4]. Ale oba te dokumenty z pozoru tylko są ważne. Pierwszego nawet zbijać nie potrzeba. Któżby mógł utrzymywać, że miłość

---

[1] Str. 3. [2] Str. 25.
[3] Str. 166.
[4] Listy I, str. 81.

ku Willan była poetycznym punktem wyjścia dla »Nieboskiej«, »Irydiona«, »Przedświtu«, »Psalmów«? Co z temi dziełami ma wspólnego angielska mieszczanka? Drugie zaś twierdzenie odnosi się do pewnego tylko momentu, do czerwca 1836 r. nie zaś do całego życia poety. Z drugiej atoli strony Krasiński już w 1834 odkrywa tę prawdę, że »moc nad sobą samym jest poezyą dojrzałości, rozpasanie wszystkich uczuć jest poezyą młodości« [1]. W tym samym roku jak mickiewiczowski »Farys«, »myśli duszy wytęża gdyby ramion tysiąc, w które objąć chce świat cały« [2]. A w kilka lat później w 1840 roku analizuje siebie Krasiński w zupełnie odmienny i z pewnością prawdziwy jedynie sposób. »Noszę głęboką nędzę wszędzie w sobie: choć jak król w pewnych chwilach potrafię się ubrać w purpurę wieczorów, w księżyce nocy, w błękity i muśliny pian mórz włoskich, coś mi pod temi szaty serce wyjada«. Nie jego osobiste biedy z pewnością, gdyż w tym samym liście zeznaje: »posępne lice świata, ogółu smutek moje indywidualne uniesienia gasi, zabija i niszczy« [3]. Nie tylko zaś miłości ku kobietom nie uważał za wyłączne źródło natchnień, lecz stwierdzał, że »zawsze i wszędzie ducha męskiego niewieści zbezsila« [4]. Niepodobna przeto uznać równorzędności dwóch czynników twórczych w poezyi Krasińskiego: miłości ojczyzny i miłości kobiety [5]; drugi trzeba podporządkować pierwszemu.

Obok zasadniczej idei, t. j. zbytniego zgeneralizowania miłości ku kobiecie w psychice Krasińskiego, pan Hoesick w swej książce dał zbytnią folgę swemu żywemu temperamentowi, swej wyobraźni i swej swadzie narracyjnej, skąd wynikło, że metoda naukowego badania i naukowego stylu nieraz minęła się ze spokojnem, objektywnem i ścisłem przedstawieniem rzeczy. Nie postępuje się naukowo, gdy się wyjątkami z dzieł poety objaśnia jego życie. Wprawdzie sam Krasiński powiedział raz, że »trzeba mieć w s o b i e e l e m e n t a postaci, które się przedstawia, jak Bóg w dniu stworzenia miał w sobie zarody żywiołów« [6], ale stąd zgoła nie wypływa, iżby godziło się zawsze i wszędzie identyfikować poetycznego bohatera i twórcę poematu. Dość pod tym względem krytyka nasza nagrzeszyła względem Słowackiego. Co innego

[1] Listy I, str. 51. List z 10 lipca 1834.
[2] Listy I, str. 59. List z 29 list. 1834.
[3] Listy III. List do E. Jaroszyńskiego z 4 sierpnia 1840.
[4] Listy III. List do Andrzeja Koźmiana z 10 stycznia 1847.
[5] Wstęp, str. XXI.
[6] List do Reewe'a z 4 kwietnia 1833 r.

są elementa, a co innego cała psychika. Jakże słusznie n. p. wnuk poety, Adam Krasiński, zestawiając Hrabiego Henryka ze swym dziadem powiada: »Hrabia Henryk jasno wyobraźni objawić się musiał, gdyż wszystko, co poeta wie o swej słabości i sile zarazem, to dziedzictwem złoży bohaterowi »Nieboskiej« — prócz wiary w Opatrzność, z której czerpie dla swej duszy otuchę i prócz pokory, przeciwniczki pychy. Gdyby mu pokorę odjąć i wiarę niezwalczoną w Bożą przyszłość, gdyby mu odjąć dobrą wolę, a pozostawić namiętności, byłby Krasiński Hrabią Henrykiem« [1].

Tymczasem p. Hoesick szeregami cytatów z różnych dzieł Krasińskiego dokumentuje psychiczne nastroje poety. Często bierze nawet domyślniki za rzeczy pewne. Proszę czytelnika wynaleźć n. p. na stronicy 19 i 20 lub 56 wszystkie »z pewnością«, »można być pewnym«, »niewątpliwie«, »oczywiście«, »jedno jest pewnem« i t. p.; proszę wmyślić się w nieuzasadnione posądzanie poety na podstawie listu do ojca [2], czasem nawet połączone z wyrafinowaną rachubą w guście modernistycznym [3] podług zasady: niech ona cierpi, bylem ja miał przedmiot do powieści; proszę wmyślić się w sposób komentowania przez autora nieostrożnych wyrażeń poety, jak owo tłumaczenie wyrażenia: *Je venais tout demander et ne rien promettre*, wyrażenia, prawie przysłowiowego, ale w zastosowaniu do miłości jak szerokie wrota otwierającego dla domyślników...[4]

Do właściwości stylu naukowego p. Hoesicka należą dowcipne słówka lub powiedzenia, zawsze z zakresu salonowej erotyki, które od biedy uszłyby jeszcze w słowie, lecz rażą w piśmie roszczącem pretensyę do naukowej powagi. Obszernie drwi sobie autor z tego, że Krasiński i pannie Willan i pani Załuskiej wyznaczał *rendez-vous* na tamtym świecie [5]; z aplombem doświadczonego znawcy utrzymuje, że w kobiecie trzydziestoletniej zaczyna się budzić jakieś nieuświadomione pragnienie *de l'inconnu*, oczywiście w miłości [6]; mąż zwykle łudzi się i krótko widzi, gdy mu żonę uwodzą — tak też było i z mężem Bobrowej [7]; »są sytuacye — zapewnia autor — w których kobieta niemal wymaga od mężczyzny, o ile ma do czynienia z prawdziwym mężczyzną, a nie z niedołęgą, ażeby skorzystał z jej miłości, z jej słabości i bezbronności« [8]; »generał w rzeczach, mających

---

[1] *Bibl. warsz.* 1901, str. 217. [2] Str. 123. [3] Str. 57.
[4] Str. 62—4. [5] Str. 164. [6] Str. 189. [7] Str. 212.
[8] Str. 282.

związek z uwodzeniem mężatek, miał dużo doświadczenia życiowego« [1]. Przypuszczam, że te i tym podobne kwiatki, jakby żywcem wyjęte z przepisów uwodzicielskich Owidyusza czy Balzaka, nie były przez autora przeznaczone ani na ubarwienie ani na pogłębienie dziejów kilku miłości Krasińskiego. Dostały się one do dzieła niechcący i utkwiły w niem skutkiem przeoczenia. Niemniej przeto z całego tomu dzieła widać, że p. Hoesick skłonny jest do lekkiego traktowania cnoty niewieściej. Fatalnie na tym usposobieniu krytyka wychodzi Delfina Potocka, choć godzi się przyznać, że właśnie obraz tej miłości Krasińskiego uzyskał najpełniejsze oświetlenie.

Książka p. Hoesicka pomimo tych niedomagań, właściwych i dawnym pracom tego pióra, i boję się, że nieuleczalnym, stanowi ważny przyczynek do badań nad życiem a nawet nad twórczością poety, najmniej z pośród trzech wieszczów opracowanego.

Przedewszystkiem uzyskuje pełniejsze oświetlenie indywidualność Zygmunta Krasińskiego, charakter jego, jako człowieka i jako talentu, niedostatecznie dotąd rozpoznany pomimo znakomitej pracy Tarnowskiego, traktowany tam bowiem cokolwiek *cum studio*. Książka p. Hoesicka rozpoczyna świadomie nowy w tej mierze kierunek. Mnóstwo rysów o człowieku — poecie rozsypał na kartach dzieła [2]. Z tych wyciągów korespondencyjnych i z tych sądów autora o poecie wyłania się ku nam fizyognomia trójlicowa. Jedną poeta ukazywał ludziom: błyskotliwą, świetną, czasem ironiczną, czasem dowcipu i natchnienia pełną; inną objawiał ojcu, ogromnie ukochanemu, oraz niektórym wybranym przyjaciołom, jak Sołtan, Danielewicz, Gaszyński, Małachowski; inną wreszcie krył dla siebie w długich godzinach samotnych rozmyślań. Jest rzeczą przedwczesną wydawać o tej skomplikowanej i zawiłej duchowej strukturze sądy apodyktyczne, brzmiące jak pewniki. Na dziś można jedno powiedzieć: natura to głęboka, pełna świateł i cieni. To samo mówił Danielewicz lat temu siedemdziesiąt. Poczekajmy ogłoszenia listów do ojca, do Delfiny i innych; one nam prawdę niewątpliwie odsłonią. Zdaniem mojem niektóre sądy p. Hoesicka za ostro ferowane. Wyrażenie, że »wogóle nie szedł drogą prostą« (str. 560), albo takie insynuacye, jak te, że »nie powiedział Elizie, że stosunek z Delfiną trwa w całej sile« (532) lub całe to wykazywanie fałszów (str. 533)

---

[1] Str. 380.

[2] Ob. str. 186, 194, 229, 266, 267, 289, 290, 325, 348, 350, 392, 532, 555, 560 i w. innych.

w sposób zgoła bezwzględny a ostry i inne zarzuty charakterowi czynione, dopuszczalne są tylko wówczas, jeżeli się gromadzi wszystkie dowody faktyczne i psychologiczne, czego dotąd w braku korespondencyi uczynić się nie da. Wydaje się rzeczą niezawodną, że fizyognomia poety oświetli się inaczej, niżeśmy ją znali dotąd — i temu innemu oświetleniu daje książka p. Hoesicka dobry początek; jednakże uważam za przedwczesne twierdzenie, że »Krasiński nie zyskuje na bliższem poznaniu« (XVI), choćby dla tego, że nie wyłącznie miłostki dają klucz do bliższej znajomości człowieka i że duch tego poety poza sferą uczuć erotycznych zawiera bogate a mało zbadane pokłady [1]. Jego czynami stwierdzane uczucia patryotyczne, jego głęboka miłość ku ojcu, jego niezrównane, gotowe zawsze do ofiar, uczucia przyjaźni, jego podziwu godna żarliwość w poszukiwaniu prawdy religijnej, tak pięknie wreszcie uwieńczona gorącem wyznawstwem katolicyzmu, nie mówiąc już o intellekcie, szerokie ogarniającym horyzonty myśli, lub o talencie poetycznym, mocą wyobraźni porywającym — wszystko to dowodzi potęgi duchowej, nie bojącej się obniżenia przy szczegółowem rozpoznaniu.

Powtóre dzieło p. Hoesicka zawiera wcale bogaty i piękny wkład do badań nad liryką Krasińskiego. Genezę »Przedświtu« z szeregu wielkich poematów, genezę dużej ilości erotyków i wogóle liryków, w dziele lepiej się poznaje. I tu atoli z pewnością jeszcze rok jubileuszowy nowe przyniesie szczegóły, choćby dla przykładu wskazać wiersz, drukowany w lipcowym zeszycie *Biblioteki warszawskiej,* napisany do Delfiny Potockiej w 1842 roku:

Aniele mój, bądź mi aniołem,
Jaką cię w pierwszym zachwycie
Na całe życie
Mym duchem pojąłem:
Jasną, przeczystą, bez skazy cienia.
Bądź niebiańskiego promienia
Złocistem nade mną kołem,
Bądź moim Stróżem Aniołem..... [2]

---

[1] Nadzwyczajnie cennego materyału w tym względzie dostarcza już ogłoszona korespondencya czterotomowa poety. Proszę porównać sądy poety o sobie w t. I: 9, 21, 23, 25, 34, 41, 51, 54, 56, 59, 70, 75, 79, 85, 100 i t. d.; w t. II: 17, 18, 19, 29, 61, 77, 81, 85, 86, 96, 99, 111 i t. d.

[2] *Bibl. warsz.* r. 1911, lipiec.

Ale związek między liryką a uczuciami poety zawsze w pracy p. Hoesicka trafnie, czasem bardzo subtelnie pojęty i wskazany.

Ogółem mówiąc, dzieło o miłości Krasińskiego czyta się z zajęciem coraz rosnącem w miarę postępu lektury. Znać na każdym kroku skwapliwe starania się o autentyczne dowody na poparcie szczegółowych twierdzeń; staranie się owo ułatwione znajomością całej odnośnej dostępnej literatury. Swada, potoczystość i lekkość stylu ułatwiają lekturę dużego dzieła. Rozwidnia ono w niemałym stopniu charakter wielkiego poety, prawie wyczerpuje niektóre fragmenty jego stosunków miłosnych, wychodzi na pełniejsze, niż dotąd światło — inne, nie dające się w zupełności rozwidnić z powodu braku materyału, bada związek twórczości z dziejami serca poety, przez co odsłania genezę liryków — jednem słowem, mimo metodycznych braków, wydaje mi się książka Hoesicka o Krasińskim nie tylko zajmującą i potrzebną, ale i pożyteczną.

Antoni Mazanowski.

Z piśmiennictw obcych.

Pädagogische Grundfragen. Von Dr. Phil. et Theol. *Franz Krus S. J.* Fel. Rauch. Innsbruck 1911. 8-o, IX und 450 S.

Publikacyą swoich wykładów o pedagogice wyświadczył ks. dr. Krus wszystkim, którzy się zajmują pedagogiką nader wielką przysługę.

Książka ta zawiera bogaty materyał tak pod względem teoretycznym, jak i praktycznym. Daje ona o wiele więcej, niż skromny jej tytuł zapowiada. Oprócz gruntownego i głębokiego opracowania tych zasad, które dla nauki o wychowaniu po wszystkie czasy stanowić muszą niewzruszony fundament, znajdujemy tutaj w niektórych odczytach doskonałe pouczenie w najbardziej palących kwestyach pedagogicznych, a równocześnie ich rozwiązanie według powyższych zasad. Między innemi omawia książka szczegółowo n. p. spór o typ szkoły: gimnazyum czy szkoła realna, — kwestyę nadzoru szkolnego, — sloidy, najnowsze kierunki pedagogiki doświadczalnej i wychowania do sztuki.

W innych rozdziałach przedstawia autor gruntowny pogląd na historyę pedagogiki; nadto znajdujemy na wielu miejscach cenne wskazówki z zakresu literatury wychowawczej. Dla teoretyka będą przedstawiały szczególną wartość tu i ówdzie przez autora włączone a do-

brze obmyślone zestawienia schematyczne (n. p. pogląd ogólny na całe pole pedagogiczne, na zakłady leczniczo-wychowawcze, na systemy szkolne).

Przedewszystkiem jednak chlubnie zaznaczyć trzeba, że autor zbudował swoją pedagogikę na zasadach chrześcijańskiego światopoglądu. W dowodach swoich filozoficznych wykazuje, iż zasady podstawowe pedagogiki nie mogą się różnić od fundamentalnych zasad życia chrześcijańskiego. Jako takie zasady przytacza następujące prawdy: »Cel człowieka jest nadprzyrodzony. W o b e c e t y c z n e g o, a s t ą d r e l i g i j n e g o c e l u w y c h o w a n i a m u s z ą w s z y s t k i e i n n e p r a c e w y c h o w a w c z e u s t ą p i ć j a k o d r u g o r z ę d n e i p o d p o r z ą d k o w a n e, n i e t r a c ą c p r z y t e m n i c z e g o z e s w o i c h p r a w. Natura dziecka, z którą wychowawca ma do czynienia, nie jest ani na wskróś zepsuta, jak to niekiedy mylnie twierdzono, ani też zupełnie doskonała, jak to utrzymywał nieobeznany z życiem optymizm. Prawdziwe w tej mierze wyjaśnienia zawiera nauka katolicka o grzechu pierworodnym. Ważniejszymi niż wszystkie, najbardziej nawet niezbędne n a t u r a l n e środki wychowawcze, pozostaną na zawsze dane nam przez Chrystusa środki nadnaturalne, oświecające i wzmacniające duszę«.

Wobec dzisiejszych różnorodnych a rozbieżnych kierunków pedagogiki stanowią powyższe zasady silny i pewny punkt oparcia; wskazując nań podaje niejako autor chrześcijańskiemu wychowawcy ważną przestrogę *Tene quod habes.* »Tylko ten pedagog«, czytamy między innemi, »który sam nie wie co począć ze swem życiem, będzie miał wątpliwość co do celu wychowania. W tem właśnie położeniu znajduje się człowiek niewierzący. W y c h o w a w c a c h r z e ś c i j a ń s k i b ł ą d z i ł b y, s z u k a j ą c d o p i e r o c e l u w y c h o w a n i a«.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje także gruntowne i jasne przedstawienie stosunku nauki i wychowania, które podaje autor w rozdziale czwartym.

Nawet pobieżny rzut oka na dzieło niniejsze, zachęca do dokładnego przestudyowania go. I rzeczywiście zasługuje ono na to, jako owoc długoletnich i głębokich badań kwestyi pedagogicznych.

Tak ze względów wyżej wymienionych, jak z powodu owej przejrzystości i metodycznego układu, warto tę książkę polecić jako podręcznik dla wyższych zakładów naukowych, zajmujących się pedagogią. Trudno znaleźć dziełko, któreby lepiej wprowadzało czytelnika w dziedzinę pedagogiki.

H. W.

Ethik und Aesthetik. Von *P. Dr. Magnus Künzle O. M. Cap.*, Professor der Philosophie am Lyceum St. Fidelis in Stans. Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung 1910. 4-o. S. 380.

»Stoimy przed zagadnieniem, które od dawien dawna było nader zawikłane, ale teraz stało się niem jeszcze bardziej z powodu ducha obecnego czasu«. Tak pisał jeden z poważniejszych estetyków niemieckich, rozpoczynając swe studyum o stosunku sztuki do moralności, a dodać należy, że pisał to jeszcze z początkiem zeszłego wieku. Przez wiek miniony duch czasu się nie zmienił, nie doszedł do bardziej jednostajnych zapatrywań. Zamiast skupienia, rozbieżność w nich i awanturniczość poglądów staje się jeszcze większą. Literatura nader obfita czyto przygodna czy też systematyczna, powiększyła tylko zawikłania i wytworzyła większą chaotyczność. Niemal niemożliwą stało się rzeczą przedostać przez ten chaos dowolnych zapatrywań lub więcej uzasadnionych lub śmiało tylko rzuconych.

Książka, którą mamy pod ręką, w drobne szczegółowe dochodzenia nie wiele się zapuszcza. Ona całą tę sprawę traktuje zasadniczo, z góry. Nie tak uważa na rzeczywistość, jak *de facto* kształtują się stosunki między etyką a estetyką, ale z natury rzeczy wychodząc, pokazuje, jak się kształtować powinny. Autor oparł się zupełnie na podstawie filozofii scholastycznej w swych dowodzeniach. Zarówno w etyce jak i w estetyce przewodnikami są mu wielcy przedstawiciele tego kierunku filozoficznego, który w Kościele katolickim cieszy się wielkiem uznaniem i poparciem. Każdy wybitniejszy rozdział zaczyna od wyłożenia pojęć i zasad, porobienia rozmaitych rozróżnień i zastrzeżeń żeby, określiwszy swe stanowisko, módz się zająć przeprowadzeniem dowodzenia. Metoda i ten sposób ujęcia przedmiotu właściwy metafizykom, nie jest dość przystępny dla czytelnika, mimo usiłowań, żeby go przystępnym a nawet zajmującym uczynić.

Jeżeli autor opierał się w swych wywodach na gruncie filozofii św. Tomasza, Bonawentury, Suareza i t. d., to nie znaczy jakoby pominął milczeniem prace estetyków, stojących na odmiennem od niego stanowisku. Jeżeli wertował pożółkłe od starości karty starych i średniowiecznych doktorów, to robił to w tem przekonaniu, że oni mu dostarczą »jasnych i doniosłych zasad« nie tylko do etyki, ale także do estetycznych badań staną się punktem ich wyjścia, wytyczną, w jakim kierunku należy postępować. Ale materyału do badań dostarczają mu rezultaty nowszych badaczy na tym polu. Przez nie przedziera się pracowicie i konstatuje z zadowoleniem, że jeśli chodzi o teoryę, to

stare zapatrywania dawnych, wcale nie stoją w sprzeczności do nowszych poglądów w rzeczach istotnych, owszem »zgoda między nimi panuje w wysokim nawet stopniu«. I ciekawe te zestawienia pojęć dwóch światów wykazują, że mimo odmiennego sposobu myślenia w gruncie rzeczy różnice, jakie zachodzą między niemi, dadzą się wyrównać i jakąś zgodę zaprowadzić. Dr. Künzle więc stoi na stanowisku pojednawczem; nie chodzi mu o wyszukiwanie i podkreślanie różnic i przeciwieństw, o różniczkowanie zapatrywań, jak to zwykli byli czynić autorzy zbyt analizie hołdujący, ale o zestawienie i podkreślenie tych momentów, które są wspólne w różnych systemach, przy różnych sposobach badania o jednoczenie poglądów dla dobra samej prawdy. To też wykazanie tej zasadniczej harmonii między poglądami starych i nam współczesnych, uważa on za niepośledni dorobek w swej pracy, jako »przyczynek do historyi estetyki i do rozwiązania wielu systematycznych zagadnień«.

Dzieło podzielone na dwie części. W pierwszej omówione są oddzielnie wartości etyczne i estetyczne; druga część poświęcona oświetleniu związków między temi dwoma dziedzinami psychicznego życia. Przewodnią jego myślą jest, że jakkolwiek te dwie dziedziny są odrębne, odmien nemi rządzą się prawami, jednakowoż odrębność ich nie do chodzi aż do zupełnego ignorowania się wzajemnego. One muszą się wzajem uwzględniać. Dlatego odrzuca on zarówno kierunek, usiłujący te dwie dziedziny zlać i stopić w jedno, a któremu nadaje miano panestetycyzmu, jak również i kierunek nie uwzględniający w estetyce zupełnie wymagań moralności, który nazwał aetyzmem.

»Nasze zapatrywania i nasz system, różni się od obydwu zapatrywań krańcowych. Nie jest on ani aetyzmem z jego absolutnem odłączeniem estetyki od etyki, ani nie utożsamia się z panestetycyzmem. Nie jest aetyzmem, bo wartości estetyczne, jako wogóle wartości kosmiczne w ostatecznej swej racyi bytu zależą od Istoty absolutnej, Boga; tak samo od Niego zależy i artysta i używający dzieła sztuki. Dlatego podpadają każdy z nich pod prawo Boże i w Bogu mają swój ostateczny cel. Aetyzm jest tak niedorzeczny jak i ateizm.

System nasz nie ma nic wspólnego z panestetycyzmem, bo wartości etyczne i estetyczne różnią się formalnie między sobą. Zapewne wszystko etyczne wykazuje także wysokie wartości estetyczne, ale bynajmniej nie wszystko co estetyczne, — a odnosi się to do człowieka — jest przez to samo etycznem.

Nasz system zajmuje miejsce pośrednie między dwoma temi

ekstremami. Wyznajemy zależność wszystkich wartości od Boga, więc i estetycznych; i cele wszechrzeczy znowu w Nim upatrujemy. Nie chcemy twierdzić, żeby celem estetycznych wartości była moralność, wyrażamy jednak żądanie, żeby widz, korzystając z estetycznych wartości, wznosił się od piękności stworzonych do niestworzonej; żeby sztuka zaciągnęła się w służbę ogólnych celów wszechświatowych: podnoszenia człowieka do jego Stwórcy i Pana.

Nasz system jest umiarkowanym teleoetyzmem albo lepiej synetyzmem«.

Tak krótko zbiera dr. Künzle przy końcu rezultat swych roztrząsań. A były one rozległe, bo obejmowały osobno najrozmaitsze odnośnie zachodzące między wartościami etycznemi a estetycznemi: w licznych rozdziałach przesuwał przed oczyma nie tylko objektywne łączniki między pięknem i dobrem wogólności, pięknem i dobrem moralnem w szczególności, pięknem w naturze jak w sztuce, ale także momenta subjektywne, moralność indywidualną przy estetycznych upodobaniach, oraz przy pracy artystycznej, twórczej. W szczególności szeroko rozbierał odnośnie między etyką a estetyką na terenie płciowym, jako sprawę nader palącą, i potrzebującą zasadniczego wyświetlenia, wreszcie poddaje roztrząsaniu łączniki między etyką a estetyką na podstawie celów i zadań, jakie etyka i estetyka mają spełnić. Wogóle mówiąc, książka dr. Künzle'go omawia zawikłaną kwestyę wielostronnie, wszechstronnie. Wolna od przesady, stronniczości agitatorskiej, daje jasne, spokojne omówienie nieraz dla niejednego drażliwych kwestyi, i doskonale może się przyczynić do wyrobienia sobie trzeźwego sądu o rzeczach, o których sąd trzeźwy a jasny nie należy do zjawisk powszednich.

Ks. L. Rudnicki.

The yellow van by *Richard Whiteing*. I vol. Tauchnitz ed. Str. 319.

Dziwnem jest bardzo, że atmosfera wieku XIX na XX, niwelująca ludzkość strychulcem dość nizkiej mierności i dławiąca w zawiązku wszelką indywidualność, mogła równocześnie wydać wrogą sobie teoryę Nietzschego. Być może, iż ta ostatnia była wprost owocem reakcyi przeciw rozpowszechnionym dziś prądom, i że *Uebermensch* wyrósł jako naturalny acz potworny kontrast z szarym tłumem ludzkości równie potwornie wygolonym z wszelkiej wielkości na Madejowem łożu, stanowiącem dziś ogólnie uwielbiany ideał. Autor powieści *The yellow*

van (Żółty wóz) bliższym jest Madejowego łoża, niż Nietzschego; porusza jednak kwestyę nie ogólno-ludzką, ale czysto angielską. Nam przywykłym na kontynencie do przeróżnych podziałów ziemi, od wielkich latyfundyów do jednego zagona, przywykłych również do uchylania głowy przed angielską wolnością, bogactwem i potęgą, trudno uwierzyć, iż w tym pod tylu względami szczęśliwym kraju drobna własność ziemska prawie nie istnieje. Są tylko większe obszary podzielone na różnych rozmiarów *farmy* czyli dzierżawy, czasami tak znaczne, iż potrzeba mieć kilkakroć sto tysięcy kapitału naszej monety, by je módz wziąć w posesyę; czasem znów składające się ledwie z domku z ogródkiem lub nawet bez niego. Co prawda w wielu miejscowościach czynszownicy uprawiają ten sam kawałek ziemi z ojca na syna od wielu pokoleń; zawsze jednak zależni są od właściciela, mogącego podnosić czynsz do nieuczciwych wysokości, jak to Anglicy czynili w Irlandyi, lub po upływie kontraktu wyrzucić ich, wprowadzając nowego dzierżawcę. Wynikiem tego urządzenia jest pewna atonia moralna angielskiego ludu a zarazem ciągła styczność między farmerem a właścicielem lub — co mniej korzystne — z tegoż zastępcą. Właściciel większego obszaru, zwłaszcza gdy jest z dawno osiadłej szlachty, czuje się w obowiązku roztaczać ciągłą opiekę nad otaczającym go ludem, od niego bowiem zależy stan domów mieszkalnych, studni i t. p., pod jego dozorem pozostają szkółki wiejskie a nawet i niedzielne kazania pastora. Słowem to samo i więcej, niż było u nas przed uwłaszczeniem włościan. Nie cierpi na tem dobrobyt chłopa angielskiego, przewyższający ogółem przeciętny stan naszej ludności wiejskiej; nie cierpi oświata ni przemysł, gwoli którego część ludności wiejskiej przenosi się do miast. Co prawda pewien procent tejże ginie, jak to autor dramatycznie wykazał w osobie Jerzego Heriona, wypędzonego z wynajmowanej w rodzinnej wiosce chaty za polityczne »wolnodumstwo« i zwalczenie w wyborach do komitetu kościelnego kandydatury urzędnika dworskiego. Herion wynosi się z młodą żoną do Londynu, gdzie oboje »marnieją«. Sam właściciel wioski, ostrzeżony przez żonę, uznaje niesłuszność popełnioną wobec Herionów i usiłuje ją naprawić; dobre chęci jego wszakże obijają się bezsilnie o bierny opór podwładnych. Sam nie wie, iż przedmiejskie, niezdrowe mieszkania, gdzie umiera żona Heriona, są jego własnością, za drogie pieniądze wynajmowaną ubogim. Historya Herionów jest jednym z epizodów powieści. Tytułu jej dostarcza żółty, kryty wóz,

rodzaj budy, w jakich jeżdżą wędrowni kuglarze, ale która tym razem wozi młodego agitatora, rozsiewającego po kraju nowożytne zasady społeczne. Na wiele z tych możnaby śmiało się zgodzić; mianowicie na ustęp, w którym stare urządzenia feudalne, nakreślające każdemu obowiązki obok przywilejów, wynosi ponad stan dzisiejszy, kędy magnat bez owych obowiązków posiada tęż samą fortunę i, dzięki wpływom, niemal tę samą potęgę co ongi. W powieści uosobieniem kasty magnackiej jest młody książę Allonby, ożeniony z miłości z przecudną dziewczyną, której dziad wyemigrował niegdyś do Ameryki, gdzie na krańcu lasów zdobył majątek, który syn jego utracił, a trzecie pokolenie na nowo odrabia: »bardzo zdrowe ćwiczenie«, wyraża się o tem brat pięknej Augusty. Młoda księżna zna Anglię tylko z historyi i z poetów; jedzie do kraju praojców z gorącem uwielbieniem pielgrzyma dochodzącego do Mekki. Rozrzewnia ją widok historycznych pamiątek, olśniewa wspaniałość przyjęcia w starem zamczysku męża, wśród tłumów wiwatującej ludności, łuków tryumfalnych, deputacyi, kwiatów i huku moździerzy. Toż nie inaczej przyjmują królowę! Krewni i znajomi męża przyjmują ją z zaciekawieniem, którego ona nie dostrzega wcale, tak jest sama zaciekawiona nieznanym światem, w jaki wstępuje; wielka prostota i zupełne zapomnienie o sobie ratuje ją od onieśmielenia i wynikającej zeń niezgrabności. Królowa jednak ma nie tylko prawa lecz i obowiązki. Gwoli tym wzywa miejscowego pastora, by ją oprowadził po ubogich najbliższej wioski i w istocie pastor-dworak pokazuje jej szereg ładnych domków, zamieszkałych przez ubogich »wzorowych«, stare baby i dziady przyzwoicie odziane, kłaniające się przyzwoicie i również przyzwoicie uczęszczające na nabożeństwa — wszystko z łaski dworu. Wielkiem jest wszakże zmieszanie pastora, gdy księżna niezadowolona tą paradą, wnika dalej w głąb wioski, gdzie odkrywa różne nieporządki i braki tak moralnej, jak i materyalnej natury — skutki niedostatecznej opieki dworu. Wszystko opiera się o dwór, wszystko zależy od dworu, który za swych drobnych dzierżawców myśli i działa. Taki możnowładca wszakże jak młody książę Allonby, nie jest w stanie sam o wszystkiem myśleć, za wszystkich działać i wszystko widzieć; podwładnym zaś jego chodzi o to, by widział tylko to, co mu chcą pokazać. Księżna zrazu nie może pojąć struktury podwalin, na jakich opiera się olbrzymi gmach angielskiej potęgi; zaczyna przeciw stanowi rzeczy walkę, w której wkrótce widzi się zwyciężoną. Podobnie zwyciężonym jest

pokrewny jej duchem pastor sąsiedniej wioski, szlachcic pracujący nad przebudzeniem ludu. Aliści z Ameryki przyjeżdża brat księżnej, młodzian z najczystszej anglosaksońskiej rasy, ale pojęciami należący całkowicie do Nowego Świata. Ten ma też majątek ziemski »po tamtej stronie wody«, jak mówią w Anglii; ma na nim osadników, ale ani jemu nie śni się jakąkolwiek nad nimi rozciągać opiekę, ani oni takowejby nie znieśli: każdy musi własnemi siłami los swój zbudować. Młodemu przybyszowi jednak nie dość pracy na drugiej półkuli: ma zamiar zacząć amerykanizować W. Brytanię, nie tylko przez fabryki, koleje żelazne i t. p., ale przez zakupno wielkich przestrzeni ziemi, mających służyć za wzór reszcie kraju. Mają tam być wzorowe drobne gospodarstwa, wzorowe szkółki, wzorowe szpitale, wzorowe stosunki handlowe. Dworów tylko nie będzie, bo to »niepotrzebna ozdoba« czyli »zbytek«. Słowem kraj ma wyglądać, jak nasze wierzby na wiosnę, gdy im, w wielce użytecznych celach, obetną gałęzie. Taki stan rzeczy wydaje się być ideałem autora. Zdaje się atoli, iż byłby inny mniej radykalny sposób zapobieżenia brakowi drobnej ziemskiej własności, to jest, aby właściciele zmuszeni wyzbywać się z ojcowizny (co nie tylko u nas się zdarza) rozparcelowali ją choćby po części zamiast oddawać ją w ręce przemysłowych awanturników, zbogaconych lichwiarzy i t. p., których wdzieranie się w szeregi ziemian jaskrawo wykazane jest w książce. Być może, iż kiedyś do tego przyjdzie, choć autor tej ewentualności zupełnie nie bierze w rachubę. W swym entuzyazmie dla amerykanizmu zapomina również, iż nigdzie w Europie niema takiego ucisku słabszych przez mocnych, jaki wywierają na tysiące ludności wszechwładne »trusty«, t. j. syndykaty przemysłowo-handlowe. Nie tam szukać nam ideału swobody, gdzie tak robotnik jak drobny przemysłowiec jest faktycznie niewolnikiem miliardera lub, co gorzej, bez osobowej firmy akcyonaryuszów. Czy ludzkość znajdzie kiedy stan rzeczy idealny, gdzie każdemu będzie dobrze o ile sobie sam losu nie popsuje? Nie wiadomo — a tymczasem z jękiem obraca się i długo jeszcze obracać będzie, jak chory, szukający ulgi na łożu boleści. Autor powieści *The yellow van* upatruje dla swego kraju szczęście w wyswobodzeniu ludu z pod ciągłej opieki większych właścicieli; u nas znajdują, że tej opieki jest zawsze za mało — jakże tu wszystkim dogodzić. To jedno pewne, że Anglia jest obecnie najpotężniejszem i najszczęśliwszem mocarstwem świata. Czem będzie gdy się zamerykanizuje — nie wiemy.

T. Wodzicka.

The Necromancers by *Robert Hugh Benson.* I vol. Tauchnitz ed.

Jeśli kto czytał *The Image on the Sand* F. E. Bensona, niepodobna nie dostrzedz tożsamości idei wyrażonej przez obu braci w sposób odmienny — przez jednego z przymieszką kolorytu egipskiego Wschodu a w *Necromancers* przez X. Bensona na swojskiem tle wyobrażeń i zwyczajów europejskich. U obu wynik jednaki: potępienie praktyk spirytystycznych, w których ponętą jest ciekawość albo bunt duszy przeciw wyrokom Bożym a dopełnieniem bezpośrednie działanie szatana. X. Benson, podobnie jak brat, nie bierze zupełnie w rachubę praktyk szalbierskich; te bywają wykonywane dla zysku, ale o nich mówić nie warto, bo zazwyczaj fałsz rychło wychodzi na jaw a »wróżbitów« policya bierze pod swoją opiekę. Chodzi tu o próby używania magnetyzmu dla uchylenia zasłony, jaką Bóg między życiem ziemskiem a pozagrobowem zawiesił, o wywoływanie duchów, o »materyalizowanie ich« czyli o rzekome zmuszanie ich do przybrania na chwilę dotykalnych kształtów ciała, jakie posiadali przed zgonem. Rzecz rozpoczyna się od banalnego kręcenia stołu, potem następuje poniewolne kreślenie posłuszną ręką zdań, dyktowanych przez jakąś niewidzialną siłę, dalej ukazanie się formy zrazu mglistej, nabierającej wyrazistości w miarę napięcia woli obecnych a wkońcu rozmowa z nią i uścisk dłoni lub nawet chwilowe uściśnienie w objęciach opłakiwanej istoty. W ślad za tem idzie niekiedy pomieszanie zmysłów, prawie zawsze odstępstwo od prawd wiary, a nieraz pomiędzy młodzieżą rozstrój nerwowy, wiodący wprost do samobójstwa. Bohater X. Bensona, młody Anglik, nawrócony na katolicyzm, raczej przez zmienność niż przez szukanie prawdy daje się wciągnąć w kółko spirytystów przez chęć wejścia w styczność z niedawno utraconą narzeczoną. Z pierwszego posiedzenia wynosi dość przykre uczucie, że przez przeszło godzinę duch zmarłej pisał jego ręką i jego ustami przemawiał. Po trzeciem zaś, gdzie ją ujrzał, usłyszał i dotknął się jej ręki, wychodzi jakoby opętany z szatańską złośliwością w zazwyczaj poczciwych oczach, z zaciśniętemi ustami z rzadka tylko rozwartemi okropnym śmiechem potępieńca. Takim wraca do domu matki, która leżąc w gorączce widzi przez chwilę u drzwi bladą twarz jego z tym obcym wyrazem, i myśli, że to majeczenie choroby. Biedny chłopiec blizkim jest szaleństwa lub śmierci. Szczęściem dlań czuwa nad nim serce innej kobiety, kochającej go miłością zdrową i szczerą. Ta modlitwą i suggestyą stacza istną walkę z dręczącym go szałem czy też

demonem, zmusza go, by padł na kolana i wezwał pomocy Bożej. Wtedy czar pryska, powraca spokój a kilkogodzinny, cichy sen zaciera niemal pamięć przebytych burz.

X. Benson stawia swe przekonanie, widocznie z doświadczenia wyrosłe, nie jako pewnik, ale jako hipotezę — najprawdopodobniejszą ze wszystkich.

Powieść jego brata jest z większym może napisana talentem, jest bardziej obrazowa i przejmująca, jest jednak mniej poważna i na ludziach myślących mniej wywiera wrażenia. Treść zaś a raczej teza obu utworów jest do najwyższego stopnia na czasie. W epokach, gdzie wiara blednie, wyrasta zawsze w jej miejsce zabobon — jak chwast na ugorze. Z zabobonu zaś korzysta szatan, »umieszczający się zawsze — jak mawiał O. Maryan Morawski — na kresach wiedzy ludzkiej«. Wiedza za dni naszych doszła daleko: na szczycie jej zasiadła »pycha żywota« i patrzy gniewna w zaporę, jaka przed nią z woli Boskiej stanęła. Usiłuje więc rozeprzeć ją, lub przynajmniej uchylić, bodaj za cenę zdrowego rozsądku! Dość przeczytać dzieła Huysmansa, by się dowiedzieć o satanistycznych praktykach, uprawianych podskórnie we Francyi. Strindberg pisze w swojem *Inferno*, że po kilku latach niebytności w uniwersyteckiem mieście Lund, gdzie był przeważnie bezwyznaniowców zostawił, zastał samych spirytystów zatopionych po uszy w rzekomo pozagrobowym świecie. W Polsce rzeczy te dzieją się pokryjomu, co chwila jednak słyszy się o tym lub owym domu zarażonym manią spirytyzmu. Pewien lekarz, badający bardzo poważnie w celach medycznych nieznane dotąd pola magnetyzmu zwierzęcego, opowiadał z żalem o przeszkodach stawianych nauce przez skrzywienie jej w zakazanych kierunkach, kędy wysiłki ludzkie nigdy konkretnego nie osięgną wyniku i kończą się zazwyczaj rozstrojem nerwów lub zboczeniem umysłowem. Tenże lekarz przypisywał po części spirytyzmowi zwiększającą się z każdym rokiem liczbę samobójstw. Znamy wprawdzie człowieka, którego spirytyzm przywiódł do wiary: »Przekonałem się — mówił tenże — iż szatan istnieje a przez to samo przekonałem się, że jest i Bóg«. Opatrzność zdoła każdą drogą trafić do serca ludzkiego, ale za tego jednego, który przez poznanie piekła doszedł do Boga, wieluż jest takich, którzy zacząwszy od żartów, od prostej zabawy w magnetyzm, doszli stopniowo do kręcenia mebli, wywoływania duchów a wreszcie samego szatana? Trudno rozeznać o ile grała tu rolę własna ich wyobraźnia, grzech w każdym razie pozostał ten sam, grzech rozpoczynający się od nieposłuszeństwa i ciekawości,

podobnie jak grzech pierworodny. Najtrudniej jest z osobami, u których spirytyzm przybiera formę religijną. We Lwowie istnieje dama, która przedewszystkiem żąda od swego ołówka, aby nakreślił znak krzyża a następnie za jego pośrednictwem wypisuje istne homilie górnym stylem, do którego pono nie byłaby osobiście zdolną. Nie potrzeba dodawać, że na podobnej pobożności dyabeł nic nie traci...

Czy złemu w Anglii zdołają po części zaradzić książki w rodzaju utworów obu braci Bensonów? Spirytystów już nie nawrócą ale być może, że zdołają przed nim ustrzedz niektóre młode umysły — i to byłby skutek nie do pogardzenia, który pragnęłoby się widzieć osiągniętym i u nas.

Na jedno jeszcze w tej powieści zwrócić warto uwagę, mianowicie na uskarżanie się X. Bensona co do słabości neofitów. Nie to, aby przeszedłszy na katolicyzm wracali się ku dawnej swej wierze, ale niejeden po krótkiej żarliwości pierwszych chwil nawrócenia chłodnie i obojętnieje, niektórzy zaś niedość ustaleni, z początku chwieją się i obok praktyk katolickich chwytają się pobocznych wierzeń i mrzonek. Takim jest właśnie bohater z *Necromancers*. Jest jeszcze trzeci rodzaj katolików angielskich, bardzo gorliwych i bardzo wiernych, ale mieniących się być czemś innem i lepszem od reszty synów rzymskiego Kościoła. To jednak jest częścią szowinizmu narodowego, zrozumiałego wobec potęgi W. Brytanii i nie do tego rodzaju konwertytów stosują się żale X. Bensona.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Współczesna Polska w cyfrach i faktach. *Grabiec J.* »Życie«. Wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych. Tom XX. Kraków. Str. 264, in 4-to.

Tytuł poważny i obiecujący wiele, w każdym razie więcej, niż książka daje.

»Cyfry« — to statystyka uwzględniająca przedewszystkiem stosunki ekonomiczne ziem dawnej Polski: równorzędnie prawie idzie też i statystyka szkolnictwa; trzeba przyznać, że jedna i druga daje dobry pogląd na ten stan rzeczy, przedewszystkiem w Królestwie. W innych dzielnicach i w innych kwestyach szwankuje to przedstawienie mocno, może dlatego, że szan. autor nie uważał za stosowne— nie śmiemy twierdzić że nie znał — posługiwać się odpowiedniemi źródłami. Reszta rozdziałów »Fakta« — to właściwie artykuły agitacyjne, zaprawione poglądami socyalistycznymi na dzieje Polski i stan jej obecny, a nie

mające nic wspólnego ze statystyką i wogóle z nauką, chyba jako objaw patologiczny.

Ale i część pierwsza, statystyczna, szwankuje.

Przy kontrolowaniu cyfr zawsze znajdzie się pewną różnicę, bo nie wszędzie wiadomo dokładnie, jakie to źródła mógł brać autor za podstawę: a samo zasłanianie się frazesem: »wedle statystyki urzędowej«, nie licuje z powagą książki naukowej. Często brak zdefiniowania, co należy uważać za przedmiot obliczeń. Szkoda też, że nie uwzględniono w literaturze prac d-ra Caro i Kumanieckiego dla statystyki wychodźtwa, a wogóle dla Galicyi sprawozdań Biura statystycznego przy Wydziale krajowym.

Ponadto zdradza szan. autor w niektórych kwestyach zupełną ignorancyę. Pomijam już kwestye kościelne, które są mu zupełnie obce i w których naraża się aż na śmieszność, np. gdy mówi na str. 66, że w Poznańskiem »kaplice i kościoły są obsługiwane przez 800 przeszło księży i 400 zakonnic«. A zaraz potem »klasztorów niema wcale«, gdy zdradza na str. 76, iż nie wie, ile jest dyecezyi w Galicyi, albo gdy liczbę katolików w dyecezyi mohylewskiej podaje tylko na 347 tysięcy, a w tej liczbie ma być 400 tys. Polaków. Pomijam kwestye społeczne i narodowe, związane z kościołem katolickim, jak np. zupełne zignorowanie działalności społecznej czy oświatowej lub humanitarnej osób z pośród duchowieństwa, nawet tak wybitnych jak w Poznańskiem. Całem swem wygadywaniem na klerykalizm we wszystkich dzielnicach polskich autor stwierdza, jak jego umysłowość jest obcą duszy polskiej. Robi on wrażenie człowieka, który przypadkowo tu się zabłąkał, a daje programy obcemu sobie duchem narodowi! Dziwnem jest również zupełne niezrozumienie kwestyi sporu polsko-ruskiego (nazywa go autor »ukraińskim«), gdzie kamieniem potępienia rzuca na Polaków, a pod względem ekonomicznym stawia ukraińców również nad Polakami (str. 86, 87). Podobneż błędy spotykamy w zapatrywaniach na stosunki w Brazylii czy Ameryce, — nic dziwnego, bo wszystko to musi być brane z punktu widzenia »demokratycznego«. I dziwićby się może tylko należało, dlaczego wydawnictwo »Życia« zaliczyło tę rzecz do »dzieł polityczno-społecznych«? Raczej przystałby tytuł broszury agitacyjnej, takiej samej, jakich mnóstwo śmie wyliczać na końcu omawianego dzieła. Wypisuje tam je na kilkunastu kartkach i powtarza ich »naukowe« recenzye, ogłaszane... w *Naprzodzie, Prawie ludu, Przedświcie* i t. p. »naukowych« pismach.

C. K.

Obwiniam prasę polską. Historya t. zw. rewolucyi okresu 1905—1907 roku oraz uwagi o obecnej polityce kraju. *Adam Wolberg.* Lwów—Częstochowa 1910.

Jest to wielki akt oskarżenia prasy polskiej. Nie obejmuje jednak w rzeczywistości całej prasy polskiej wszystkich zaborów, lecz tylko jeden odłam prasy Królestwa Polskiego. Przedmiotem oskarżenia jest w pierwszej części stanowisko tej prasy w sprawie t. zw. wielkiego lokautu w Łodzi. Autor zupełnie słusznie wykazuje, że stanowisko prasy polegało na pomieszaniu i odwróceniu pojęć zasadniczych, że prasa przez zajęcie takiego stanowiska, popierając postawę robotników przyczynić się mogła do

upadku, a przynajmniej zastoju w naszym przemyśle.

W drugiej części przechodzi autor z dziedziny ekonomicznej na polityczną. Krytykuje kooperacyę Koła polskiego z Kadetami, współudział w opozycyi. I znów nie można odmówić racyi autorowi. Koło polskie a raczej prasa uzasadniała taki stosunek względami na przyszłość. Okoliczności prą do konstytucyonalizmu, demokratyzacyi: to przyjść musi, a wtedy, przy takim ustroju państwa Kadeci obejmą rozstrzygającą rolę. To stanowisko (uzupełniamy zarzuty autora) czysto doktrynerskie; a doktryna, stawianie z góry pewnych wyrozumowanych tez, to rzecz najniebezpieczniejsza w polityce.

Wypadki kilku lat, które upłynęły między powstaniem artykułów o polityce kraju a chwilą pisania niniejszych uwag, wykazały dowodnie, że parcie do wolności, do demokratyzacyi, do konstytualizmu nie miało źródła w zbiorowej woli społeczeństwa, że najwpływowsze grupy były temu przeciwne, a masy wobec tego prądu obojętne. Pokazało się też, że reakcya potrafiła opanować te prądy wolnościowe i na długo, zdaje się, ugruntować swoje panowanie.

A do tych wyników przyczyniło się w znacznej części i stronnictwo Kadetów, które zdawało się powołane do odegrania decydującej roli w budzącym się ruchu, do zapewnienia mu zwycięstwa, a Rosyi odrodzenia. Stronnictwo to jednak przez swą doktrynerską koncepcyę i prowadzenie polityki nie liczącej się z realnymi warunkami doprowadziło do zwycięstwa reakcyi. Z jego klęską nastąpiła i porażka zaprzągniętej do jego rydwanu polityki Koła polskiego. Gdy Koło to nadało inny kierunek swej polityce, było już za późno.

O ile autor w części krytycznej wypowiada poglądy, na które można się pisać, o tyle jego wskazania pozytywne nie zdają się liczyć z realnymi warunkami. Nie wiem, czy wstrzymanie się od udziału w pracach Dumy, jakiekolwiekby one były, jest dobrem wskazaniem politycznem. Zapewne niejednokrotnie będzie obojętne, czy członkowie Koła polskiego wezmą w nich udział, czy się od niego uchylą. Czasem może lepiej będzie, gdy się od nich wstrzymają. Doświadczenie jednak, przypomnijmy choćby Czechów w początku ery konstytucyjnej w Austryi, uczy, że stawiać abstynencyę jako zasadę na dobre nie wyjdzie.

To jest mniej więcej rdzeń ogólnych zapatrywań autora, to co w niej przedstawia najwięcej trwałą wartość. W pracy jednak ta jej część przedstawia się tylko jako tło, na którem wspiera oskarżenie przeciw prasie. A zarzuca jej nie tylko to, że przez szerzenie przeciwnych wprost opinii zaszkodziła prasie polskiej, ale że nie dopuszczała do głosu zapatrywań przeciwnych, nie chciała umieszczać zebranych w omawianej pracy artykułów autora, a o ile który z nich ujrzał światło dzienne, przez przemilczanie wpływ jego niweczyła. Takie postępowanie największą wyrządziło szkodę, bo społeczeństwo politycznie niewyrobione, jednostronnie kierowane przez »królowę opinię« szło w fałszywym kierunku.

W momencie ogłoszenia książki, gdy epoka t. zw. rewolucyi należy do przeszłości, książka ta ma znaczenie przeważnie tylko historyczne, choć może niejedno z wskazań w niej zawartych nie jest pozbawione wartości aktualnej.

Dr. A. B.

Wiedza i wiara. *Ks. dr. Fr. Barda.* (»Głosy na czasie«, nr. 25). Poznań. Nakładem księgarni św. Wojciecha. 1910. Str. 124.

Dawne i nowe badania Haeckla nad zagadnieniem o człowieku. *Ks. Eryk Wasmann.* Z niem. przeł. R. W. Nakł. księg. »Kroniki Rodzinnej«. Warszawa 1911. Str. 84.

O zwierzęcem pochodzeniu człowieka. *Ks. dr. Kaz. Wais.* Lwów 1911. Str. 48.

Poza Kościołem niema zbawienia. *Ks. Stan. Wesołowski.* (»Głosy na czasie« nr. 29). Poznań. Nakł. księg. św. Wojciecha. 1911. Str. 142.

Religia nowoczesna. Stanisławów. Nakładem księg. Jasielskiego. 1911. Str. 43.

Do niezbyt bogatej naszej literatury apologetycznej przybyła wiązanka broszur. Pierwsza z wymienionych ze ścisłością teologiczną a zarazem popularną dostępnością zajmuje się wzajemnym stosunkiem wiedzy i wiary, kreśląc najpierw historyę tego stosunku, jak on się uwydatnił w zabytkach piśmiennictwa chrześcijańskiego różnych epok, a następnie wykładając zasady do określenia tego stosunku, prostując wreszcie mylne a pospolite określenia wiary, odpierając zarzuty rzekomo ze stanowiska wiedzy wierze wogóle stawiane. Broszura ta zjawia się bardzo na czasie, gdy wśród inteligencyi potrzeba wyrobienia jasnego poglądu na wiarę, jej pobudki, przedmiot, pewność.

Przyswojona polskiemu językowi broszura znanego Jezuity-przyrodnika zaznajamia nas z fałszerstwami honorowego prezesa monistów niemieckich, osławionego Haeckla, bałwana i wyroczni naszych niedouczków. Opowiedziana jest tu historya słynnych trzech reprodukcyi jednej i tej samej kliszy, mających świadczyć o podobieństwie embryonów człowieka, psa i małpy; dowiadujemy się o sztuczkach jenajskiego »uczonego«, by z Linneusza zrobić swego poprzednika, wreszcie omówiony najnowszy, zmyślony bujną fantazyą sekciarza »szereg przodków człowieka«. Broszurka zasługuje na szerokie rozpowszechnienie zwłaszcza wśród młodego pokolenia, bałamuconego u nas dotąd rzekomo naukowym pewnikiem o zwierzęcem pochodzeniu człowieka.

Temuż przedmiotowi poświęcony jest odczyt ks. d-ra Waisa, wykazujący nie tylko bezpodstawność teoryi o pochodzeniu człowieka od małpy, ale i niemożliwość przyjęcia tej hipotezy tak ze względów biologicznych, jak zwłaszcza psychologicznych.

Zasada, która jest tytułem broszury ks. Wesołowskiego, bywa kamieniem obrażenia dla tych, którzy nauki kościelnej nie znają: gorszą się nietolerancyą i bezwzględnością Kościoła. Autor więc wyjaśnia właściwy sens formuły: poza Kościołem niema zbawienia, i wykazuje, jak szeroko tę formułę można i trzeba rozumieć. Nie goni autor za oryginalnością wykładu, dlatego czerpie całe strony z dzieł innych pisarzy katolickich, np. z ks. M. Morawskiego. Na systematykę pojęć tu i ówdzie, np. w rozróżnieniu »ciała« i »duszy« Kościoła, możnaby się nie zgadzać z autorem, ale to jest rzecz fachowa teologów, w każdym razie rzeczowo nauka Kościoła została przedstawioną dokładnie. Zwłaszcza rozdziały o tajnych i opatrznościowych drogach zbawienia bardzo pięknie zostały napisane. Cała broszura oddać może wielką przysługę naszej inteligencyi.

Nieznany autor w krótkiej, bardzo popularnej broszurze wymienionej na ostatniem miejscu, odpiera fałszywe pojęcia pochodzenia religii, mówi o cudach, tajemnicach, o wszystkiem krótko. Wybiera znane skądinąd szeregi uczonych wierzących

i religijnych, wspomina o zgubnych skutkach etyki niezawisłej i t. d. Jako broszura ulotna, łatwa do przeczytania, może zwrócić niejednemu uwagę przynajmniej na poruszone zagadnienia.

J. U.

Nowe szkice literackie. Przez *Stan. Krzemińskiego.* Warszawa—Kraków. Gebethner i Spółka. 1911. Str. XII+344.

Wydany tom zawiera wybór drukowanych już dawniej (1873—1907 r.) artykułów z zakresu historyi i literackiej krytyki. Wybitny krytyk, przy trzeźwości sądu władający ciętem piórem, dotyka najważniejszych zarówno epizodów historycznych, jak i fenomenów literackich. Znajdujemy tu krytyki pierwszych utworów Sienkiewicza, obszerniejszy szkic życiorysu Kraszewskiego i inne. Książkę poprzedza wstęp prof. I. Chrzanowskiego, podający daty z życia autora i spis jego prac literackich.

J. U.

Polska nieśmiertelna. *Gabryel Dauchot.* Przekład Małgorzaty Starzyńskiej. Przedmowa L. Włodka. Brody 1910.

W ostatnich czasach szerzyć się zaczyna za granicą znajomość Polski, kraju, literatury, stosunków. Mimo to jednak dzieła o rzeczach polskich, prace owiane sympatyą dla nas, są jeszcze ciągle rzadkością: to też twórcom ich należy się tem większa wdzięczność.

Dauchot, młody pisarz francuski, zna, jak widać z omawianego dzieła, nasze dzieje, naszą literaturę, poznał nasz kraj. Przez pracę swą chce swych rodaków z tem zapoznać. Zamiast jednak spełniać swe zadania w formie mniej lub więcej suchych traktatów, ubiera swe opowiadanie w formę opowieści i na jej tle maluje Kraków i jego okolice, mniej dokładnie Lwów, opowiada o naszych poetach: Brodzińskim i trójcy wieszczów.

W jego opowiadaniu, zwłaszcza stronie geograficznej, można napotkać pewne błędy, zapomnienie, nieuniknione przy krótkim pobycie w naszym kraju i wynikłej stąd pobieżności spostrzeżeń. Błędy te znikają jednak, każą polskiemu nawet czytelnikowi zapomnieć o sobie wobec zapału, niejednokrotnie entuzyazmu, jaki w nim budzi nasz kraj, jego dzieje, jego pamiątki, jego poeci. Oby to dzieło spełniło zadanie, dla którego zostało poczęte; przypomniało Europie, że żyjemy, rozwijamy się, nie zostajemy w tyle. A zapoznanie się z niem polskiego inteligentnego ogółu nie będzie bez pożytku. Może niewiele się zeń dowie, szczegóły tam zawarte znane są każdemu oświeconemu Polakowi. Pozna jednak, jak obcy patrzą na naszą Polskę, jak ją oceniają. A dzieła takie mogą być zachętą, by nie tylko tworzyć, pracować, ale owoce swego rozwoju, swej kultury pokazać obcym.

Dr. A. B.

Wespazyan Kochowski na tle współczesnem jako poeta. *Dr. Stan. Turowski.* Lwów 1908.

Samuel ze Skrzypny Twardowski i jego poezya na tle współczesnem. *Tenże.* Lwów 1909.

Literatura wieku XVII nie mogąca dorównać bezspornie temu, co nam pozostawił złoty wiek piśmiennictwa, nie pociągała też zbytnio badaczy. Opracowanie tedy jej pozostawiało dotąd wiele do życzenia.

Obecnie lukę tę znaczną w historyi literatury zapełniają w części dwie prace, przytoczone na wstępie. Omawia w nich autor działalność dwóch

wybitnych tej epoki poetów, daje wyczerpujący obraz całokształtu ich twórczości. Wątpliwości biograficznych, tak licznych szczególnie w żywocie Twardowskiego, nie sili się nawet rozwiązywać. To nie było założeniem prac, mających omówić tylko twórczość poetów. Ta strona natomiast przedstawienia jest wyczerpująca: daje całkowity obraz działalności poetyckiej obu.

W pracy o Kochowskim daje autor przy końcu przegląd dotychczasowych opracowań twórczości Kochowskiego: wykazane braki tych opracowań są zarazem uzasadnieniem potrzeby jego dzieła.

A. B.

Zarysy literacko-historyczne. *A. Kraushar.* Warszawa 1911. Gebethner i Wolff. Str. 118.

Krótki zarys o dziejach krytyki literackiej w Polsce, poprzedza autor jeszcze krótszym rzutem oka na rozwój krytyki literackiej wogóle. Naturalnie że i w tak krótkim zarysie znaleźć się musiało miejsce na rzucenie epitetu dla średniowiecznej ciemnoty!

Rozprawka ta łączy się nieco z drugą o »naukowości polskiej w trzydziestoleciu 1831—1861«. Kraushar, specyalista do tych czasów, zebrał tutaj w całość luźne notatki o objawach polskiej nauki w owej epoce, wyszczególnił każdą jej cechę, i wszystkich co najważniejszych pracowników.

Szkic to poważny do dziejów Polski porozbiorowej, przedstawiający rozwój polskiej umysłowości a nauki jednego okresu: 1831–1861.

K.

Kartki z pamiętnika Alkara. Kraków 1910. Gebethner i Sp. 8-o, str. 187.

Pamiętniki te omawiają stosunki w Królestwie, specyalnie zaś w Warszawie, przed r. 1861. Przynoszą nieco szczegółów do życia ówczesnej uczącej się młodzieży. Szkoda tylko, że pisane w późniejszym już wieku nie mają tej świeżości, co pamiętnik kreślony z dnia na dzień, tak, jak biegną wypadki.

To samo możnaby powiedzieć o wspomnieniach »z dziejów prasy podziemnej 1863 r.«, chociaż tutaj znajduje się dużo nowych objaśnień i wytłumaczenia autentycznego, bo przez współpracownika tej prasy. Ostatnie kartki pamiętnika są poświęcone J. I. Kraszewskiemu, i kreślą dokładnie dzieje jego uwięzienia w r. 1883. Tutaj przynoszą też wiele nowości.

K. K.

Die Legende der drei Lebenden und der drei Toten und der Totentanz, nebst einem Exkurs über die Jakobslegende im Zusammenhang mit neuerem Gemäldefunden aus dem Badischen Oberlanden. *Dr. K. Künstle.* Freib. i. B. 8-ka, str. 116 z tabl.

Średniowieczne malowidła kościelne dały autorowi temat do wcale poważnej pracy. Abstrahując zupełnie od tej części rozprawy, która zajmuje się wyłącznie przedmiotem obranym ze stanowiska historyi sztuki, pragnęlibyśmy tutaj zwrócić uwagę na wywody historyczno-literackie. Tak często powtarzający się napis na głazach grobowcowych: »Quod fuimus, estis; quod sumus, vos eritis« — zwraca mimowoli myśl ku t. zw. *dance macabre.* Zdaniem autora, teksty, zwyczajnie dyalogowane, są pod względem powstania późniejsze od obrazów tejże treści. Czy jednak rzecz nie ma się wręcz przeciwnie, naodwrót, to jeszcze wielka kwestya, o którą możnaby się dużo spierać, zwłaszcza że o wiele prawdopodobniejszem wydaje się, iż rozmowy

średniowieczne pomiędzy śmiercią a bogaczem dały bodźca twórczości malarskiej na takiż sam temat. Że dalej na umysły prostaczków działa najsilniej przykład, tedy, pragnąc wykazać znikomość życia ludzkiego wobec nieubłaganej dla każdego bez wyjątku śmierci, wprowadzono zarówno w dyalogach wspomnianych, jak też w obrazach, przedstawicieli stanów uprzywilejowanych, a zatem: kardynała, biskupa, króla, księcia i t. d. w pląsach ze szkieletami, albo też błagających wszechwładną śmierć na klęczkach o darowanie życia.

St. Z.

Jahrbuch der Zeit- und Kulturgeschichte. 1909. Dritter Jahrgang. Herausgegeben von Dr. F. Schnürer. Herdersche Verlagshandl. (8-a, str. 439).

Mamy przed sobą corocznie wychodzącą *Zeit- und Kulturgeschichte* z r. 1909, wydaną przez Schnürera przy współpracownictwie specyalistów. Wydawnictwo to jest prawdziwą chlubą Niemców, którego im można pozazdrościć, a o które i w naszej literaturze pokusićby się opłaciło. Byłby to najprostszy i najlepszy sposób uprzystępnienia oświaty dla szerokich kół. Cały ten gruby tom doskonale oryentuje o wynikach i najnowszych zdobyczach wszystkich cywilizowanych narodów na polu nauk historyczno-filologicznych: życie kościelne (I), życie polityczne (II), kwestye socyalne i gospodarcze (III), umiejętność (IV), literatura (V), sztuka (VI). Wszystkie odnośne prace wypłynęły z pod pióra ludzi fachowych, obeznanych ze swym przedmiotem, a umiejących w przystępnej formie zniżyć się do przeciętnego ogółu, tak, iż każdy bez wielkich zachodów może śledzić rozwój tych nauk i stać na wysokości bieżącej nauki i wiedzy. Pomiędzy współpracownikami są i polscy nasi uczeni. Doskonały jest dodatek końcowy, obejmujący krótki spis najważniejszych wypadków całego świata, jakie się dokonały w każdym miesiącu i spis wypadków śmierci ludzi znakomitych każdej narodowości, z krótkiem określeniem ich właściwego znaczenia i głównego pola działania.

B. L.

Zur innerkirchlichen Krisis des heutigen Protestantismus. Eine Orientierung über moderne Evangeliumsverkündigung. Von *Dr. Karl Rieder.* Gr. 8-vo (XVI u. 236). Freiburg 1910. Herder'sche Verlagshandlung.

Praca niniejsza jest nowym przyczynkiem do psychologii rozkładu protestantyzmu wogóle, a w szczególności jego kaznodziejstwa. Ma ona być, jak sam autor we wstępie zaznacza, dalszym ciągiem w ściśle określonym kierunku pracy Ph. Hupperta p. t. *Der deutsche Protestantismus zu Beginn des XX Jahrhunderts* (Köln 1902). Na podstawie własnych wynurzeń wybitniejszych protestanckich teologów i kaznodziei z obozu liberalnego, rozsianych po czasopismach i w ich rozprawach naukowych, odsłania nam autor smutny obraz dzisiejszego ich kaznodziejstwa. Zdążają oni z nieubłaganą koniecznością do całkowitego zaprzeczenia Boskiego charakteru nauki Chrystusa. Wśród warstw wykształconych znajdują ich poglądy poklask, ale wśród ludu wiejskiego, który trwać pragnie przy tradycyjnej, czystej ewangelii, napotykają na poważne trudności i niepowodzenie. Ciekawym i bardzo pouczającym jest rozdział, poświęcony zapatrywaniom tychże teologów i kaznodziei, wyrażanem często i z ambony, na naukę i instytucye katolickie. Przebija z nich zupełna niezna-

jomość ducha katolickiego i tendencyjne przekręcanie faktów, obliczone chyba na to tylko, by wśród swych słuchaczy i wyznawców podtrzymać i spotęgować nienawiść i fanatyzm religijny. Dziwić się doprawdy trzeba, jak wśród protestantów, którzy przecież zawsze się chełpią przodownictwem w cywilizacyi i nauce, cierpianą być może tego rodzaju propaganda. Rzecz cała, dobrze i sumiennie napisana, jest zarazem przestrogą dla katolików, szczególnie w okręgach mieszanych, by się mieć na baczności przed tak zgubną nauką, a dla liberalnych teologów i kaznodziei protestanckich groźnem memento.

B. L.

Lehrbuch der Philosophie auf aristotelisch-scholastischer Grundlage. Vierter (Schluss-)Band: »Moralphilosophie«. 2. verb. u. verm. Aufl. Freib. 1909. Herder. 8-o (XX u. 354).

Drugie wydanie filozofii moralnej Lehmena doznało pewnego uzupełnienia w rozdziałach o przeszkodach wolnej woli, o normie moralności, o sankcyi prawa, o sumieniu i stosunku państwa do religii. Możnaby sobie jeszcze życzyć szerszego uwzględnienia wielu kwestyi aktualnych, jak kwestyi seksualnej, kwestyi kobiecej, etyki niezależnej i t. d. Nawet wyżej wymienione dodatki o przeszkodach wolnej woli, opracowane na tle prac Hubera i Bessmera T. J. zbyt są ogólne.

Główną zaletę dzieła stanowią jasne i jędrne uzasadnienie twierdzeń, ściśle logiczny i rzeczowy podział, i treściwe odpowiedzi na zarzuty, czynione etyce scholastycznej. Jako podręcznik służy książka Lehmena wybornie do pierwszej oryentacyi w etyce, ma zatem praktyczną wartość dla szerszych warstw inteligencyi świeckiej oraz dla duchowieństwa miejskiego i katechetów gimnazyalnych, którzy znajdą w niej zwięzłą a systematycznie opracowaną książkę pomocniczą dla wykładów etyki w VII klasie szkoły średniej.

E. M.

Czariwna diwczyna i **Na chytkij dorozit.** *Hirnyczenko Jarema.* Lwiw 1909. Nakładem W. Hołuba. Str. 16.

O rzeczach wymienionego autora obszerniej mówimy na innem miejscu. Książeczka niewielka zawiera aż dwa szkice powieściowe. Pomysły wcale nie najgorsze. Niestety, wykonanie pozostawia aż nadto dużo do życzenia.

Turecka bajka p. t. »Czarowna dziewczyna«, ma być odbiciem stosunków galicyjskich. Gdyby nie ta okoliczność, że sfery radykalno-socyalistyczne prowadzą agitacyę wśród ludu małoruskiego właśnie zapomocą takich broszurek, nie zwracalibyśmy na wymienioną uwagi. Trudno nawet określić ściśle, do jakiej gałęzi piśmiennictwa należy właściwie to opowiadanie?...

Syn nieba, sułtan Izhamet, rządził sposobem, utwierdzonym tradycyą odwieczną. Jego przemądre rozporządzenia przyjmowali pokornie wezyrowie i dygnitarze do wiadomości, dodając z własnej zapobiegliwości do jego postanowień rozmaite poprawki, mające sprawić mu tem większą radość. Że zaś ustawy nakazywały wieszać dla postrachu opornych woli sułtańskiej, więc dygnitarze używali często szubienicy. Pragnąc sprawić swojemu władcy przyjemność w dniu jego imienin, wydali rozkaz dostarczenia pięćdziesięciu co najurodziwszych dziewcząt do haremu sułtańskiego. Nie obeszło się bez gwałtów, gdyż nieraz trzeba było przemocą zabierać dziewczęta, ukryte w piw-

nicach i komórkach. Lud zaczął szemrać. Pewnego razu niedługo potem zjawiła się przed następcą proroka prześliczna dziewczyna z prośbą o zaliczenie jej w poczet dam haremowych. Historya kończy się zamordowaniem sułtana we śnie przez ową, za krew i łzy nieszczęśliwych. Tegoż wieczora w całem państwie panowała radość. Harem jedynie tonął w smutku i łzach.

Drugie opowiadanie ma za przedmiot wyzysk pracy kobiet i mężczyzn. Tłem jest romans dwojga ciężko na chleb pracujących. Akcyi tu właściwie niema. To też niepodobna odgadnąć, czem kończy się historya.

Za pomocą takich broszurek ma się uświadamiać lud małoruski.

St. Z.

Neo-Confessarius practice instructus auctore *P. J. Reuter S. J.* Cura Augustini Lehmkuhl S. J. Editio altera. Friburgi 1910. Herder. 8-o, XIV u. 498.

Wyborne dzieło ks. Reutera w opracowaniu O. Lehmkuhla zdobyło sobie uznanie w kołach duchowieństwa tak, iż nowe wydanie w stosunkowo krótkim czasie stało się potrzebnem. Nieznaczne tylko poprawki zostały uczynione — zresztą wartość dzieła powszechnie już jest znana. *E. M.*

Struna. Poeziji. 1883—1908. *Kononenko Musij.* Wydawnyctwo »Ranok«. Kijów 1908. Str. 63.

Małoruski Parnas nie ma, niestety, szczęścia do poetów. Po upływie lat 25-ciu wystąpił jubilat ze zbiorkiem, liczącym aż... 30 utworów. Pół biedy jeszcze byłoby, gdyby »utwory« te można zaliczyć do rzeczy chociażby odrobinę wartościowych! Cóż, kiedy poza rymami nie dopatrzeć się w nich niczego wspólnego z poezyą. Rozmaitość za to rodzajów ogromna. Są tu: liryki, satyry, rzeczy historyczne i t. d. A na nich wszystkich znać echa Szewczenki przy nieudolności formalnej, czasami zaś nawet trudno zrozumieć, o co autorowi chodzi, zwłaszcza, gdy zapragnie dać jakiś obraz. Oto malenka próbka: »W ruinach czernieją, jak oczy mary (?!) wysokie okna i drzwi, za oknami puhacz huka co noc, jakby we własnem mieszkaniu« (!) I tak dalej do końca. Papier i druk wcale niejubileuszowe.

St. Z.

De la méthode dans les Sciences. Paris 1909. 8-ka; str. 412.

Wydawnictwo to jest czemś w rodzaju warszawskiego »Poradnika dla samouków«, z tą różnicą, że dr. Feliks Thomas, jako redaktor jego naczelny, postawił sobie za cel stworzenie podręcznika dla użytku uczniów i profesorów wyższych zakładów naukowych francuskich, a powiedzieć można śmiało — nawet dla badaczy samodzielnych. Poszczególne działy zostały opracowane przez znakomitości świata naukowego współczesnego. I tak: o nauce wogóle pisze tutaj członek Akademii Emil Picard, o matematyce czystej Jules Tannery, członek L'Institut de France, o mechanice P. Painlevé, prof. Sorbony, o fizyce ogólnej profesor wydziału filozoficznego w Tuluzie H. Bonasse, o chemii profesor tegoż wydziału A. Job, o morfologii prof. Sorbony Giard, o fizyologii T. le Dantec, o naukach lekarskich profesor wydziału medycznego w Paryżu R. Debet, o psychologii Th. Ribot. Ponadto mamy tutaj osobne rozdziały, poświęcone naukom historycznym i socyologicznym.

St. Z.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

Najprzewiel. ks. biskup sufragan dr. Edward Likowski.

26 września zakończył przewiel. ks. biskup-sufragan poznańsko-gnieźnieński, dr. Edward Likowski 75 rok życia obfitego w pracę i zasługi, ale także w ciężkie przejścia i trudne zadania. Za rządów czterech arcypasterzy zajmował wybitne w dyecezyi stanowiska. W roku 1866 powołany przez arcybiskupa Przyłuskiego na profesora historyi kościelnej i prawa kanonicznego w seminaryum poznańskiem, wnet został jego regensem za arcybiskupa Ledóchowskiego. Z arcybiskupem Ledóchowskim bawił jako teolog w roku 1869 w Rzymie na soborze watykańskim, gdzie skrzętnie korzystał z archiwów watykańskich dla swoich późniejszych prac naukowych. Wnet po powrocie do kraju musiał przechodzić kulturkampf w Niemczech, którego pierwszą ofiarą padło seminaryum poznańskie. On, jako profesor tego seminaryum, pozbawiony został posady. Miało nawet przyjść gorzej, bo za to, że nie chciał zdradzić wyznaczonego przez Stolicę św. administratora dyecezyi, został skazany na trzy miesiące więzienia. Za następcy wygnanego arcybiskupa Ledóchowskiego, arcybiskupa Dindera, dr. Likowski został kanonikiem, a w rok później biskupem-sufraganem. Po śmierci arcybiskupa Dindera przez siedm miesięcy zawiadował archidyecezyą, tak samo jak podczas długoletniej, ciężkiej choroby arcybiskupa

Stablewskiego. Po śmierci tego ostatniego w roku 1906 stał się prawdziwą opatrznością dla osierociałej archidyecezyi, gdyż wiadomo, z jakiemi trudnościami spotkało się jej nowe obsadzenie. Obok tych prac profesorskich i pasterskich słynie sędziwy biskup-sufragan z prac naukowych, które przeważnie tyczą się historyi unii ruskiej Cerkwi. Krytyka niejednokrotnie z wielkiemi pochwałami uznała zalety gruntownych jego prac i Cerkiew ruska posiada w nim jednego z najlepszych swych historyografów. Ponieważ ks. sufragan Likowski jest także długoletnim prezesem poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dlatego też w dniu 20 września uroczyste posiedzenie Towarzystwa zamieniło się w świetną owacyę dla sędziwego biskupa-historyka. Wielka liczba gratulantów, między którymi znajdowali się oprócz Ojca św. także wielcy dygnitarze kościelni i świeccy różnych krajów, najlepiej pokazuje jak ogólną sympatyą i wielkim szacunkiem cieszy się obecny administrator starej archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej.

Przegląd Powszechny ma szczególne powody przesłać na tem miejscu Dostojnemu Jubilatowi najszczersze życzenie błogosławieństwa bożego dla dalszych prac i wielkich zadań wysokiego urzędu. Łączymy się z wszystkimi, którzy z okazyi 75 rocznicy urodzin Dostojnego Administratora archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej, z czcią dla Jego licznych zasług i z głębokim szacunkiem dla Jego Dostojnej osoby, ze serca mu życzą: *Ad multos annos!*

Kurs przygotowawczy dla rekrutów.

Niebezpieczne pod wieloma względami lata służby wojskowej nasunęły w ostatnich czasach katolikom myśl, aby otoczyć lepszą opieką rekrutów — myśl, która zajęła także umysły na ostatnim kongresie katolików niemieckich w Moguncyi. Opieka ta, dotychczas głównie ograniczająca się na rekolekcyach dla rekrutów po domach rekolekcyjnych, weszła w nową fazę rozwoju i znalazła znakomite uzupełnienie w t. zw. kursach przygotowawczych dla rekrutów. We wrześniu urządzono za inicyatywą biskupa taki kurs w Hildesheimie. Ponieważ o nim mamy lepsze doniesienia, dlatego będzie mógł nam posłużyć za

illustracyę wyglądu podobnych kursów, według t. zw. systemu akwisgrańskiego.

Wydział lokalny dla opieki nad rekrutami w Hildesheimie, otrzymawszy od komendy okręgowej spis nazwisk rekrutów, rozesłał do nich zaproszenia na kurs, a zaproszenie to ogłoszono także z ambon wszystkich kościołów. Miejscem zebrań był katolicki dom czeladników, w którym zaraz w pierwszym dniu zeszło się około 100 rekrutów. Po wspólnej pieśni prezes związku czeladników powitał zebranych rekrutów i wskazał na doniosłe znaczenie kursów przygotowawczych. Po nim przemówił miejscowy katolicki proboszcz wojskowy, Wiederholt, na temat: »życie religijne żołnierza«. Następnie zabrał głos porucznik obrony krajowej, Kollibay, i rozwodził się nad tematem: »o posłuszeństwie, koleżeństwie i animuszu w służbie wojskowej«. Na tem skończył się pierwszy wieczór. Na drugi dzień, w którym już było około 120 rekrutów, między nimi i kilku jednoroczników, rozpoczęto od pieśni patryotycznych. Obecny był sam biskup Hildesheimu. Prezes powitał arcypasterza i podziękował mu za inicyatywę do tego zbawiennego kursu. Po nim zaraz sam biskup zabrał głos i w dłuższem przemówieniu wskazał na wysokie znaczenie dobrej armii dla ojczyzny i na pożytki służby wojskowej dla pojedynczego żołnierza, i nieomieszkał zaznaczyć, że katolicy nie dadzą się wyprzedzić innym w wierności swojej dla króla i w miłości dla ojczyzny. O. Hartmann T. J. w dłuższej mowie omawiał niebezpieczeństwa dla wiary i moraluości podczas służby wojskowej.

W trzeci i ostatni dzień kursu rano przystąpili wszyscy rekruci w swoich kościołach parafialnych do Komunii św. Wieczorem udział w kursie był znowu nader liczny. Pierwszy mowca przedstawił moralne obowiązki żołnierza, następnie lekarz Hölscher ze stanowiska lekarskiego zwrócił uwagę w swym odczycie na smutne skutki pijaństwa i niemoralności. Ostatni zakończył prezes. Gorącymi słowy złożył podziękę dla mówców a zwracając się do rekrutów, wyraził zachętę, aby z nauk i przestróg kursu sumiennie skorzystali w czasie swej służby wojskowej.

Miłość chrześcijańska przemyślna jest, i w nowych warun-

kach nowe umie znaleźć drogi, aby dojść do upragnionego celu uszlachetnienia i poratowania dusz. Wielu z rekrutów, którzy brali udział w kursie, nie byłoby się może zdecydowało na to, aby odprawić przed wstąpieniem do służby wojskowej rekolekcye w jakimś domu rekolekcyjnym. Nowa ta forma opieki nad rekrutami przychodzi i takim z pomocą i musi być uważana za wyborny surrogat rekolekcyi w zbawiennem przygotowaniu rekrutów na obowiązki i niebezpieczeństwa służby wojskowej. Niewątpliwie znajdzie też ona szersze uznanie, a zapewne także i zastosowanie, — a dałby Bóg, ażeby znalazła także i u nas. Błędnem byłoby chcieć przenosić na nasz grunt żywcem urządzenie niemieckie, ale ta sama rzecz w ramach stosunków naszych niezawodnie błogie odniosłaby skutki i byłaby krokiem naprzód do szerokiej i skutecznej opieki nad wiekiem najwięcej zagrożonym od szkoły do koszar.

20 września w Rzymie.

Po preludyach zeszłorocznych można się było spodziewać, że dzień 20 września, jako pamiętny zajęciem Rzymu w roku 1870 przez wojsko włoskie, nie przejdzie w tym roku jubileuszowym bez większej demonstracyi przeciw Watykanowi. Pomimo głośnych protestów całego świata chrześcijańskiego przeciw zeszłorocznym napaściom żyda-burmistrza rzymskiego, Nathana, na Kościół i papiestwo, pozwala sobie tenże reprezentant Wiecznego Miasta w tym roku na nowe urągania z papiestwa przy Porta Pia. Jest to niezbitym dowodem smutnej prawdy, że rząd włoski znajduje się w rękach masonów. Było nawet w planie, aby pochód w tym dniu odbył się do dzielnicy watykańskiej, gdzie miała być umieszczona tablica na pamiątkę uwolnienia miasta »z niewoli rzymskiej«. Cała ta demonstracya była sprawą stowarzyszenia Giordana Bruno, założożonego w roku 1889, które już nieraz dało dowody swego antykościelnego fanatyzmu. Rząd byłby może się nie sprzeciwiał i tej złośliwej demonstracyi przeciw Watykanowi, gdyby go do tego nie zmusił energiczny protest wszystkich związków katolickich i deklaracya związku młodocianych, że zamierzają gwałtem niedopuścić do planowanych demonstracyi. Ręka w rękę z maso-

neryą idą metodyści, którzy kilka dni przed 20 września zwołali Kongres do Rzymu i olbrzymie sumy obracają na pracę przeciw Kościołowi rzymskiemu. Są oni z pomiędzy wszystkich sekt protestanckich najzaciętszymi wrogami Kościoła.

Tak więc dzień 20 września przemienił się ze święta patryotycznego na dzień orgii i walki przeciw papiestwu i Kościołowi. Położenie Ojca św. w Rzymie staje się z dnia na dzień nieznośniejszem i wszystko wskazuje ku temu, że masonerya przygotowuje ostatni atak na Watykan, aby i temu schronisku papieża raz na zawsze koniec położyć. Fikcya Cavoura wolnego Kościoła w wolnem państwie dziś już stała się ironią. Stosunki tak się układają, że wcale nie trzeba być pessymistą, aby z trwogą oczekiwać nowej ery dla Rzymu bez papieża, a także bez króla.

Bezczelność bandytyzmu włoskiego, gotowego na wszystko, oświetla obecna wojna przeciw Turcyi o Tripolis. Nibyto w imię kultury wzniecają Włochy wojnę, która pociągnąć może za sobą nieobliczalne skutki dla całej Europy. Tymczasem cały świat wie, jak fatalna gospodarka panuje w samych Włoszech. Może obliczenie polityków-masonów włoskich pokaże się fałszywem, wtedy winę naturalnie poniesie papiestwo, które było zawsze nieszczęściem Włoch.

W tych trudnych warunkach tem więcej zasługuje na uznanie odwaga i praca katolików włoskich, którzy usilnie pracują nad wydoskonaleniem organizacyi swoich i nad wspólnym, jasnym programem akcyi. Wobec trudnego położenia politycznego działalność ich ogranicza się głównie na pole socyalne. Dnia 24 września rozpoczął się w Assyżu 6-ty »tydzień socyalny«, w którym brali udział najwybitniejsi wodzowie akcyi katolickiej we Włoszech: Toniolo, Boggiano, Nechi, Tini aż do najmłodszych jej reprezentantów: Chiriego i Colomba. Zjechali się delegaci z wszystkich części Włoch. Głównym tematem były chrześcijańskie związki zawodowe a we wszystkich mowach imponowały głębokie, katolickie przekonania i cześć dla Stolicy św. W walce rośnie siła i odwaga; prawda ta sprawdza się obecnie na katolicyzmie włoskim. Można tylko wyrazić życzenie, aby wszyscy szermierze idei katolickiej dzielnie wytrwali na swojem stanowisku.

Zwrot w kwestyi wieców katolickich.

W prasie katolickiej niemieckiej coraz więcej odzywa się głosów, że owoce z dorocznych wielkich wieców katolickich nie odpowiadają kosztom i zachodom wyłożonym na ich urządzenie. Zwykle interesują się wiecem najbliższe okolice i popularyzacya prac i wniosków wiecu jest niedostateczna. Dlatego powstała myśl urządzania mniejszych, ale częstszych kongresów i kursów w pojedynczych miastach i myśl ta znalazła wielkie uznanie, a nawet częściowo już ją przeprowadzono w praktyce, i to, jak się okazuje, ze skutkiem. Tak zresztą urządza się całe szeregi kongresów i zebrań bez wielkich kosztów, jak o tem donoszą gazety. Myśl ta z pewnością zasługuje na najwyższą uwagę. Nie wyklucza ona urządzania dorocznych wielkich wieców katolickich. Uważa za potrzebne i imponujące manifestacye katolików całego narodu lub kraju, ale z góry jest tego przekonania, że kurs lub kongres urządzony na mniejszą skalę nie tylko łatwiej i wszędzie da się przeprowadzić, lecz także umożliwia gruntowne zastanowienie się nad najważniejszemi kwestyami akcyi katolickiej i nad sposobami ich praktycznego rozwiązania. Kwestya pracy, organizacyi i jej centralizacyi, całe pola kwestyi społecznych i t. d. tyle domagają się uwzględnienia lokalnych stosunków, że wiec ogólny nie może dać dokładnego obrazu stanu rzeczy, ani energicznego zastosowania odpowiednich środków. Dlatego tworzą się już po licznych miastach niemieckich, włoskich, francuskich, amerykańskich, angielskich lokalne komitety, których zadaniem jest urządzanie częstych kursów czy kongresów w swojem mieście i wykonanie na nich powziętych uchwał. Nie może być żadnej wątpliwości, że dla samej akcyi katolickiej kongresy takowe z komitetem miejscowym wykonawczym nierównie większe mają znaczenie, aniżeli z wielkimi kosztami i zachodami urządzone wiece ogólne.

Ks. A. Starker.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1910.

(Ciąg dalszy).

Takich wyżyn rozwoju, na jakich znalazło się w roku prezesury prof. d-ra K. Twardowskiego *Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych* dotąd nigdy jeszcze nie osiągnęło. Rozrost nieoczekiwany, wprost żywiołowy zarówno dawnych, jak i nowoutworzonych agend jest wprost zdumiewający. Fakt nader znamienny i bliższej uwagi godny — rozrost ten datuje się od chwili, kiedy przed dwoma laty z Tow. wystąpiło gremialnie kilkudziesięciu członków-Rusinów, którzy pragnęli wprowadzić w stowarzyszeniu polskiem metodę walki za pomocą browningów i pałki. Pomimo tej gremialnej secesyi, za którą tylko Panu Bogu gorąco podziękować należy, jako za wyleczenie ciężkiej choroby wewnętrznej, liczba członków nie zmalała wcale, gdyż wzrosła o 122 do cyfry ogólnej 1869 zwyczajnych i 10 honorowych. Również ilość kół prowincyonalnych wzrosła o 5 (w Białej, Cieszynie, Łańcucie, Trembowli i Żółkwi), tak, że liczba ich wynosi 37 a wszystkie, jak się okaże, bardzo czynne.

Przedewszystkiem z najwyższem uznaniem należy podnieść inicyatywę, daną przez T. N. S. W. w sprawie uczczenia rocznicy grunwaldzkiej przez młodzież szkolną, któreto hasło znalazło wszędzie echo. Dzięki energii krakowskiej komisyi reformy szkolnej, reforma szkół realnych doszła do tej fazy rozwojowej, w której od ostatecznego urzeczywistnienia dzieli ją tylko jeszcze sankcya monarsza. W sprawie zamierzonego zaprowadzenia nauki obowiązkowej strzelania w dwu najwyższych klasach szkół średnich nie powzięto jeszcze decyzyi ostatecznej. Celem uprzystępnienia ogółowi nauczycieli ustaw z lat 1905 i 1907, na których opiera się organizacya Rady szkolnej kraj., ogłoszono je wraz z objaśnieniami. Co się tyczy zaś »Spisu nauczycieli szkół średnich« — wydać go ma niebawem Rada szk. kraj., T. N. S. W. brało udział przez trzech delegatów w VI Zjeździe Związku państwowego austr. Tow. szkół średnich w Lublanie i zorganizowało oddział polski na III Kongresie międzynarodowym hygienistów szkolnych w Paryżu, a nadto wydało z tej okazyi rozprawę d-ra E. Piaseckiego p. n. *Les écoles polonaises et leurs conditions hygiéniques,* napisaną na podstawie materyałów, dostarczonych przez licznych referentów ze wszystkich trzech zaborów.

Miesięcznik Tow. *Muzeum* doszedł pod redakcyą tyle zasłużo-

nego a niestrudzonego i zapobiegliwego prof. dra B. Mańkowskiego do takiego rozwoju, o jakim marzyć nie może żadne z czasopism pedagogicznych nie tylko słowiańskich, ale — nie ryzykuję bynajmniej — niemieckich. Taki *Paedagogisches Archiv, Oesterreichische Mittelschule* czy *Zeitschrift f. oesterr. Gymnasien*, pomimo nieporównanie hojniejszego uposażenia finansowego nie mogą iść żadną miarą o lepsze z naszym miesięcznikiem, który obejmował w r. ub. 127 arkuszy druku i był odbijany w 2100 egzemplarzach. Podpisanemu, który lat temu dziesiątek wstecz miał sposobność patrzeć z blizka na »syzyfowe prace« nigdy niestrudzonego redaktora, miło dziś zaświadczyć publicznie, kiedy go nie wiążą żadne stosunki z *Muzeum*, że gdyby wypełnianie przyjętych na się obowiązków pojmował każdy z nas — czy to z wielkich, czy z szaraczków — jak je rozumiał i uczył pojmować prof. Mańkowski, moglibyśmy bez lęku spoglądać w przyszłość.

W administracyi wydawnictw reforma planów szkolnych spowodowała żywszy ruch wydawniczy podręczników, przyczem starano się nie tylko o nową treść ich, ale nie mniej uwagi poświęcono stronie typograficznej. W r. ub. wydano książek 10 i zajmowano się przygotowaniem kilku nowych. Oddano wreszcie do druku d-ra Z. Batoskiego »Norblin«, Jachimeckiego »R. Wagner« oraz 2-gie wydanie pracy Witkiewicza o Matejce. Ostatnie trzy wejdą w skład seryi *Nauka i Sztuka*. Z odczytów, wygłoszonych na posiedzeniach kół wymieniamy Brzozów: (posiedzeń 5) J. Lorenz »Nauka zręczności«, dr. St. Pająk »O egzaminowaniu i klasyfikacyi w szkołach średnich«; Buczacz (pos. 7) J. Palek »Poglądy metafizyczne na kwestyę istnienia materyi i ducha«; Bochnia (p. 6) St. Fischer »O odniemczeniu Galicyi«; Brody (p. 5) Gładyszowski »Sprawa suplencka«, Bernhaut »Przyczynek do historyi prawa wołoskiego i jego stosunku do prawa niemieckiego«; Brzeżany (p. 8) dr. Zadęcki »Stosunek substancyi do świata zjawiskowego w metafizyce Spinozy«, Glazor »Uwaga ze stanowiska psychologicznego i jej zastosowanie w nauce i wychowaniu«, Wilusz »Budzenie uczuć jako środek do wyrobienia indywidualności w młodzieży«; Czortków (p. 3) dr. K. Nittmann »Spostrzeżenia ze szkół szwajcarskich«; Dębica (p. 6) J. Wyrobek »O braku znajomości form towarzyskich u młodzieży gimn. i o potrzebie przeciwdziałania temu«; Gorlice (p. 5) L. Sikora »Wpływ nauki ogrodnictwa na rozwój fizyczny i intelektualny młodzieży szkół średnich«, R. Pollak »Ze studyów nad Piotra Kocha-

nowskiego przekładem Jerozolimy wyzwolonej«; Jarosław (p. 20) B. Jurkowski »O filozofii średniowiecznej«, Gonet »O karności w szkole i poza szkołą«, Missona »Karność a społeczeństwo«; Jasło (p. 8) Kramarczyk »Z podróży do Hiszpanii«; Kołomyja (p. 13) St. Zaczek »Szkoły w Polsce w czasie reformacyi z uwzględnieniem dziejów szkolnictwa polskiego przed reformacyą«; Kraków (p. 19) Koch »Z kolonii wakacyjnej w Porębie«, Łopuszański »Rzut oka na rozwój myśli wychowawczej«, Marcinkowski »Poglądy wychowawcze Kanta«, Dyakowski »Pestalozzi«, Bobrzyński »Filozoficzne przygotowanie w szkole a życie«; Krosno (p. 8) dr. Kozak »Chlorofil i hemoglobina«, Probulski »O zasadzie względności w fizyce«, Pyzek »Pierwiastek ludowy w poezyi Konopnickiej«; Lwów (p. 12) dr. M. Janik »Nauka o ustroju politycznym i społecznym w VIII kl. gimn.«, dr. Wł. Lenkiewicz »Nasza młodzież poza szkołą«, B. Błażek »Wychowawcze znaczenie zajęć warsztatowych«, Cyga »Sprawozdanie z wycieczki pedagogicznej do Niemiec i Francyi«, sekcya neofilologiczna odbyła 2 posiedzenia, pedagogiczna zaś, zawiązana z końcem r. ub. 1; Mielec (p. 6) G. Dubiel »O kształceniu samodzielności u młodzieży«; Nowy Targ (p. 5) J. T. Dziedzic »Wrażenia z wycieczki do Dalmacyi i Bośni«; Rawa (p. 6) Br. Duchowicz »Powietrze w szkołach rawskich«, J. Jachiewicz »Kilka myśli o ekskursach geograficznych«; Rzeszów (p. 6) J. O. Sędzimir »Legenda Młodej Polski Brzozowskiego«, S. Jasiewicz »Rozwój czasownika na podstawie psychologii«; Sanok (p. 4) dr. K. Sośnicki »Ideały logiczne«; Nowy Sącz (p. 8) Rzepiński »Granice archeologii w szkołach średnich«, Wzorek »Charakter i szkoła«; Sokal (p. 5) Schreiber »O dramacie Słowackiego »Mindowe«, dr. Wł. Kocowski »W sprawie kursów uzupełniających dla maturzystów«; Stanisławów (p. 9) dr. Z. Dembitzer »O szkolnictwie dzisiejszej Grecyi«, Tynelski »O organizacyi bakteryi«; Stryj (p. 7) Zabielski »O zmianach w nauczaniu matematyki«; Tarnopol (p. 8) A. Stopka »Kurs nauki zręczności w Wiedniu«, Sadowski »Badanie siły wzroku u uczniów«; Tarnów (p. 10) Szwarc »Nauka rysunków jako czynnik wychowawczy«, ks. dr. Lubelski »Religia a szkoła«; Wadowice (p. 10) Doroziński »O zasadach wychowania«, Klima »O kształceniu charakteru«, Kawecki »Powstanie Tatr w świetle najnowszych teoryi«; Zaleszczyki dr. F. Mandybur »Historya Zaleszczyk i Podola«; Złoczów (p. 6) A. Freilich »Kilka uwag o woli i wychowaniu«, T. Garlicki »II międzynarodowy Kongres archeologiczny

w Kairze«; Żywiec (p. 5) I. Stein »Systematyka w nauce gramatyki polskiej w szkołach średnich«.

Dochody wynosiły 27.603 kor. Z wydatków wyszczególnić należy 14.517 kor. na *Muzeum*, które otrzymało oprócz tego subwencye z ministerstwa oświaty 1600 kor. i od sejmu kraj. 2000 kor. Na sam druk i papier tego czasopisma wydano 8.896 kor., na honorarya autorskie 4.894 kor. Administracya wydawnictw T. N. S. W. może się pochlubić skromną sumą 140 tysięcy koron za sprzedane książki. Ale też i wydatki były niemałe, bo na druk książek wydano 64.234 kor., na ich oprawę 14.014 kor., a na honorarya autorskie 40.617 koron. Są to cyfry, o jakich przed kilku jeszcze laty nie można było marzyć!...

Fundusz żelazny T. N. S. W. wynosił 32.281 kor., fundusz im. A. Mickiewicza na wsparcia dla wdów po członkach Tow. 41.866 kor., fundusz pośmiertny 2.836 kor. Kolonia wakacyjna pozyskała dom własny, dochody zaś jej, prawie zupełnie wydatkowane, wynosiły 10.884 kor.

Istniejące przy T. N. S. W. ale posiadające zupełną autonomię *Polskie Muzeum Szkolne* może zaliczyć r. ub. do najpomyślniejszych. Dzięki zabiegom zarządu uzyskano dla 10 uczestników galicyjskich w kursie nauczycieli pracy ręcznej w Bazylei subwencyę z ministerstwa oświaty w wysokości 200 kor. dla każdego z nich. Warsztaty jordanowskie wzięły udział w wystawie urządzonej z okazyi kongresu hygieny szkolnej w Paryżu, wystawione zaś okazy zyskały uznanie prasy zagranicznej. Urządzono też dwudniowy zjazd kierowników warsztatów, na którym wygłosili referaty pp. B. Błażek »Badania doświadczalne nad wartością wychowawczą warsztatów jordanowskich«, dr. E. Piasecki »Hygiena pracy ręcznej w szkole«, A. Łukasiewicz »Rozpowszechnienie warsztatów jordanowskich w Galicyi i w Królestwie Polskiem«, T. Orszulski »O sposobie praktycznego nauczania rzemiosła«, L. Sikora »Stacye ogrodniczo-pomologiczne w szkołach średnich«, dr. J. Olszewski »Warsztaty studenckie a przemysł krajowy«, J. Paczowski »Konstrukcya i celowość moich warsztatów«. Referaty te ogłoszono w dodatku lutowym r. 1911 *Muzeum*. Z biblioteki korzystało 124 osób; książek wypożyczono 341. Zbiory wzrosły w r. ub. o 1080 pozycyi, t. j. liczą obecnie 9436 numerów. Biblioteka otrzymywała 92 czasopism; dział map i atlasów pomnożył się o kilka cennych pozycyi, tak samo dział modeli i pieczęci, w dziale ilustracyjnym szczególnie wartościowy nabytek stano-

wią materyały z wystawy paryskiej; również dział rękopisów wzrósł o kilka numerów. Dochody wynosiły 6.418 kor. (w tem subwencya ministerstwa wyz. i ośw. 1500 kor., sejmowa 1500 kor., Tow. pedagogicznego 750 kor. T. N. Szkół Wyż. 500, m. Lwowa 300 i Przemyśla 100 kor.) Sumę tę pochłonęły prawie w zupełności wydatki, z których największy był czynsz za lokal, bo 2.810 kor. Największą obecnie troską jest to, że dotychczasowe umieszczenie *Muzeum Szkolnego* jest wobec wzrostu zbiorów niewystarczające. Już teraz brak miejsca na należyte umieszczenie biblioteki, obrazów, tak, że w najbliższej przyszłości wypadnie chyba dary magazynować, co byłoby równoznaczne z zatamowaniem dalszego rozwoju instytucyi. Wypadałoby, iżby rada m. Lwowa, która w tej instytucyi posiada już dziś ważny posterunek kulturalny i narodowy, z którego może w przyszłości wytworzyć się prawdziwa chluba grodu stołecznego, pomyślała o zapewnieniu *Muzeum Szkolnemu* własnego dachu nad głową. Na taki wydatek jednorazowy a produktywny znalazłyby się z pewnością fundusze.

Dla ilustracyi, jak wielce rozległe były agendy *Polskiego Tow. Pedagogicznego* wystarczy jeśli nadmieni się, że poza zarządem pracowało 14 komisyi! Zarząd główny otrzymał poza uchwałami Walnego Zjazdu cały szereg wniosków oddziałowych, zawierających poszczególne sprawy z niedomagań szkolnictwa samego oraz bolączki zawodowe nauczycielstwa. Wolą Zjazdu było, iżby Zarz. Gł. w pracy swej objął szersze tereny pracy obywatelskiej, jak również, by nauczycielstwo polskie, pracujące na kresach wschodnich, czuwało pilnie nad rozwojem i oświatą ludu polskiego. Na planie pierwszym stanęła kwestya szkół dla mniejszości polskich. Celem dania nauczycielstwu dat dokładnych w sprawie ilości młodzieży polskiej w okręgach mieszanych, pomieszczono w organie Tow. *Szkole* pracę d-ra N a d o b n i k a p. t. »Szkoły dla mniejszości polskich«, zawierającą dokładne omówienie kwestyi, tabele cyfrowe i mapy. Na jej podstawie mogło nauczycielstwo w każdym powiecie zoryentować się co do stosunków, jakie tam zachodzą. Ponadto wydano okólnik w sprawie dat co do ilości nauczycieli pod względem narodowościowym, celem pozyskania dokładnego obrazu czy i w jakim stopniu grozi młodzieży polskiej, danej miejscowości, wynarodowienie? Prace nad pragmatyką służbową postępowały w dalszym ciągu. Na wydanie broszury, przedstawiającej dorobek polski na polu hygieny szkolnej, ofiarowano sto koron, a do utrzymania *Polskiego Muzeum Szkolnego* przyczyniono się kwotą

500 koron. Administracya wydawnictw zapoczątkowała ogłoszeniem broszurki p. Królińskiego projektowane dawniej już wydawnictwo dla ludu i młodzieży wiejskiej. Ponownie wydano mapę ziem dawnej Polski p. St. Majerskiego, uzupełniając ją granicami politycznemi. Wyczerpane wydania książek szkolnych uzupełniono nowymi nakładami. Organ Tow. *Szkoła* rozwijał się prawidłowo. Oddziały prowincyonalne w liczbie 45-ciu rozwijały się przeważnie prawidłowo. Do najżywotniejszych należały: buczacki, chrzanowski, kołomyjski, przemyski, samborski, sieniawski, sokalski, tarnowski i złoczowski. Z pomiędzy odczytów wygłoszonych w oddziałach, wymieniamy: Buczacz: inspektor Lewicki »O zbieraniu materyałów do geografii pow. buczackiego«, prof. Kowalczewski »Układ geologiczny pow. buczackiego«; Dobromil: p. Puchalik »Pierwiastek estetyczny w wychowaniu szkolnem«; Kołomyja p. A. Wirski »O zasadach nauki dzieci jąkających«, p. H. Liebhart »Polonofile w literaturze niemieckiej«; Nowy Sącz: p. Koch »Dzieje szkolnictwa ludowego w Nowym Sączu«; Sieniawa: p. Myszkowski »Arytmetyka w wiekach starożytnych, średniowiecznych i obecnych«, p. Wisłocki »O alkoholizmie«; Złoczów: p. A. Maksymczuk »O wychowaniu narodowem«, wreszcie Kraków: »O teatrach ludowych« i »O nowych prądach w nauce rysunków«. Z zamknięcia rachunkowego wyjmujemy następujące cyfry: fundusz obrotowy wynosił 8.031 kor., budowy własnego domu 34.858 kor., im. St. Badeniego 1238 kor., Burs naucz. 2.492 kor., na czasopismo *Szkoła* wraz z *Praktyką szkolną* wydano 12.876 kor. (w tem subwencya sejmowa 1400 kor., prenumerata 5.345 kor.). Fundusz kolonii wakacyjnej w Hucie korostowskiej wynosił w dochodach i wydatkach 13.537 kor., obrót w Administracyi wydawnictw dosięgnął wysokości 94.808 kor. (w tem honorarya autorskie 5.199 kor. a koszta druku 31.924 kor.); fundusz Zarządu Gł. wynosił 27.307 kor. Ogólny zaś majątek Tow. przedstawia się wcale poważnie, bo aż w 280 371 kor.

O *Towarzystwie pedagogicznem* i o *Związku rodzicielskim* brak nam wiadomości ściślejszych z winy wymienionych stowarzyszeń.

* * *

Towarzystwo prawnicze nie ma podstaw uzasadnionych do wyrzekań, jakie pomieszczono w sprawozdaniu. Chodzi mianowicie o to, że urządzenie zjazdu prawników i ekonomistów polskich w Warszawie nie mogło być uskutecznione. Aleć w tem nie ponosi winy najmniejszej Tow., skoro podjęte starania w sprawie powyższej nie po-

wiodły się z przyczyn, których podłożem były stosunki polityczne tamtej części ziem polskich. To też Zjazd odbędzie się we Lwowie, Tow. zaś należy się wdzięczność za zorganizowanie komitetu, w skład którego weszli pp.: dr. J. Milewski, prof. dr. W. Abraham, St. Przyłuski i prof. dr. J. Makarewicz oraz za otworzenie kredytu w wysokości 1200 kor. W r. ub. urządzono 10 wykładów, z pośród których wymienić należy: prof. d-ra St. Starzyńskiego »O obecnem stanowisku prawno-państwowem Bośni i Hercegowiny«, prof. d-ra Wł. L. Jaworskiego »O podstawach pracy naukowej nad reformą gminną«, d-ra A. Benisa »O przemyśle w Galicyi«, prof. d-ra P. Stebelskiego »O projekcie nowej ustawy karnej«, wreszcie d-ra Z. Pazdry »O spisie ludności«. Starania, ażeby wzrastający stale zbiór dzieł naukowych pomnożyć także w r. 1910 w takim samym stosunku jak w latach minionych, natrafiły na trudności natury finansowej, gdyż same zaległe wkładki przenosiły kwotę 400 koron, która w stosunku do wielkiego obrotu stanowi w Tow. poważną rubrykę. Członków liczyło Tow. 187 (+ 6 w porównaniu z rokiem p.). Biblioteka powiększyła się o 24 dzieła. Wypożyczono z niej wszelako zaledwie 70 dzieł. Czasopism prenumerowano 5. Niestety nie dopisała strona finansowa, bo podczas gdy dochód dał 3.265 kor., to wydatki przewyższyły tę sumę o 219 kor., gdyż sama tylko prenumerata *Przeglądu prawa i administracyi* dla członków wynosiła 1.761 kor., a na bibliotekę wydano 501 kor. Deficyt pokryto z funduszu rezerwowego, który wynosi obecnie 1494 kor.

* * *

Z działalności *Towarzystwa lekarzy galicyjskich* w r. 1910 zasługują na wzmiankę następujące szczegóły: w r. ub. weszła w życie nowa ustawa, nadająca Tow. lekarskiemu lwowskiemu i krakowskiemu prawa autonomicznych oddziałów T. L. G. a wszystkim członkom prawo otrzymywania *Przeglądu lekarskiego* i *Tygodnika lek.* Z końcem r. ub. liczyło Tow. 830 członków (w tem 20 oddziałów prowincyonalnych z 361 członkami). Dochody z opłat członków oddziałów prowincyonalnych wynosiły 8260 kor.; zaległości w tym dziale wynoszą 10.709 kor. Z darów wpłynęło 2663 kor. Fundusze pensyjne dla wdów i sierót wzrosły o kwotę 28.981 kor. Czysty majątek Tow. wynosił 611 tysięcy koron. W tej cyfrze, osiągniętej mrówczą pracą lat szeregu, leży siła instytucyi, której równych w Polsce całej na palcach dorachować się można.

Działalność *Towarzystwa hygienicznego* nie była w r. ub. taką, jakiej życzyćby sobie należało. Powodem tego były z jednej strony trudności finansowe, z drugiej zaś brak poparcia ze strony kół powołanych do zajmowania się hygieną, która w dobie obecnej wysunęła się siłą konieczności na czoło większości zagadnień społecznych. Wobec niedomagań, krępujących szerszą działalność, poświęcono sporo pracy poprawie i uzdrowieniu tych stosunków, celem stworzenia podstawy dla przyszłej właściwej i skutecznej działalności Tow. Dążenia te uwydatniły się przedewszystkiem w kierunku naprawy położenia finansowego, skonsolidowania wydawnictwa organu Tow. i ustalenia określonych kierunków dalszej działalności. Na szczęście fundusze Tow. wzrosły przez napływ zaległych należytości. Liczba członków wzrosła do 240 osób.

Również wydawnictwo *Przeglądu hygienicznego* zmuszone ograniczyć swoje łamy do najskromniejszych rozmiarów, wymagało poprawy, co udało się uskutecznić pozyskaniem tyle cennego współpracownika, jakim jest dr. Bron. Kaczorowski. Na podniesienie zasługuje również fakt niebywały, iż c. k. Namiestnictwo zakupiło cały nakład broszury d-ra Blummenfelda »O chorobach płciowych« za ryczałtową sumę 540 kor. (aż!) t. j. tyle ile kosztował nakład, ale autorowi nie przyznało ani grosza honoraryum. Widocznie zdaniem c. k. Namiestnictwa autorowie polscy żyć powinni manną niebieską i prace swoje oddawać za darmo, gdyż Wys. Rząd jest za biedny na honorowanie prac uczonych polskich!...

Jeżeli *Przegląd hygieniczny* nie stanął na tej wyżynie, na jakiej stać powinien, fakt ten usprawiedliwiony jest brakiem współpracowników w szerszych kołach lekarskich w Galicyi, w Królestwie bowiem stan rzeczy przedstawia się w tej mierze zupełnie inaczej, o czem można się przekonać ze świetnych wyników prac *Warsz. Tow. Hyg.* oraz oddziałów jego prowincyonalnych, dzięki którym w szczególnie trudnych warunkach politycznych zdołano stworzyć wiele dobrych rzeczy. Dlaczego u nas inaczej?... Jedynie Kółka rolnicze wyciągnęły rękę ku T. H., wzywając do szerzenia kultury hygienicznej w najszerszych kołach włościańskich. Wezwanie zaszczytne, dające możność lekarzom oddziaływania dalekonośnego. Aby jednak praca ta była rzeczywiście skuteczną, potrzeba silnego i świadomego celu skupienia w T. H. pewnych, nigdy niezawodzących współpracowników w *Przeglądzie hyg.* i w dodatku popularnym, mającym obok niego wychodzić. Praca ideowa nie przynosi zysków — to prawda. Lecz gdy w nie-

dalekiej przeszłości dla idei ojcowie nasi oddawali to, co mieli najdroższego — życie własne, to czyżby lekarze polscy w dzisiejszych czasach nie mogli złożyć w ofierze na ołtarzu nauki i dla dobra społeczeństwa części wiedzy swojej?

Dochody Tow. Hyg. wynosiły 3356 kor., wydatki 2322 kor.

Towarzystwo gal. lekarzy weterynaryjnych utrzymywało się nadal na tym samym poziomie. Liczba członków, wynosząca 182, powiększyła się w porównaniu z r. 1909 o 2. Wydział zajmował się pomiędzy innemi: sprawą wydawnictwa polskich podręczników naukowych i uchwalił, aby Tow. przystąpiło w poczet członków założycieli z dziesięcioma udziałami, płatnymi w kilkuletnich ratach, oraz, aby w przyszłości przeszło to wydawnictwo na własność wyłączną Tow. Zastanawiano się też nad sprawą przemiany *Przeglądu weterynarskiego* z miesięcznika na dwutygodnik. Posiedzeń naukowych odbyło się cztery z następującymi referatami: dr. T. Hołobut »Metody i próby najnowsze służące do rozpoznawania nosacizny u koni i gruźlicy u bydła«, dr. H. Lang »Dwa wypadki nosacizny u koni rozpoznanej drogą reakcyi próbnych i potwierdzonych przez sekcyę«, dr. M. Dalkiewicz »Trzy wypadki gruźlicy u bydła, wykrytej drogą szczepienia wśródskórnego a potwierdzonych sekcyą«, oraz p. Wł. Guzek »Zastosowanie sondy żołądkowej Marka przy kolce z przeładowania żołądka u koni«. Fundusz administracyjny wykazuje w dochodach 2.372 kor. (w tem subwencya Sejmu na czasopismo 700 kor.); wydatki były mniejsze o 23 kor. Fundusz zapomogowy, z którego wydatkowano 200 kor. zmalał do 495 kor. Fundusz im. D. Herasymowicza, z którego nic nie wydano, wzrósł do wysokości 22.584 kor., stypendyjny im. prof. d-ra J. Szpilmana wynosił 1494 kor., fund. wydawnictwa polskich podręczników naukowych weterynaryjnych 1.052 kor. Wydawnictwo *Przegl weter.* pochłonęło 3.647 kor. Liczyło 358 prenumeratorów.

* *
* *

Panowie technicy są widocznie nałogowymi pesymistami. Wystarczy przeczytać pierwszą stronicę sprawozdań *Towarzystwa Politechnicznego*, rojącą się od wyrzekań, iżby przekonać się o ich bezpodstawności. Ale lepiej zamiast wdawać się w polemikę, przytoczyć cyfr garstkę. Członków liczyło Tow. 960, czyli osiągnęło cyfrę, o jakiej nie śniło się żadnemu stowarzyszeniu specyalnemu w Polsce, po *Tow. pop. nauki polskiej* zaś, a zatem instytucyi skupiającej w sobie osoby naj-

rozmaitszych zawodów, jest najsilniejszem liczebnie zrzeszeniem naukowem. Toż samo należy powiedzieć o działalności Tow. na polu naukowem. Wszak odbyto 20 posiedzeń, na których, między innemi, wygłoszono następujące odczyty: prof. A. Rothert »O najnowszych systemach pracy robotniczej«, p. A. Weber »O aeromotorach«, p. K. Drewnowski »Nowsze centrale elektryczne w Szwajcaryi«, p. Rutkowski »Charakterystyki motorów kolejowych«, p. A. Adamczyk »Sprawozdanie z I. Kongresu drogowego w Paryżu«, p. Z. Platowski »Stosunek techników do rozwoju przemysłu«, p. K. Drewnowski »O elektryzacyi kolei żelaznych na podstawie doświadczeń szwajcarskich«, p. L. Ebermann »Konstrukcya maszyn o parze przegrzanej«, p. St. Dzbański »O zużytkowaniu wynalazków«, p. A. Zimmermann »O turbinach parowych«, prof. E. Hauswald »Zasady kształcenia techników«, p. T. Gajczak »Niebezpieczeństwo prądu elektrycznego i środki zaradcze«, p. B. Stefanowski »Dział mechaniczny na wystawie brukselskiej«, prof. M. Huber »Kwestye sporne w nauce o wytrzymałości«, p. G. Sokolnicki »Przykład rachunku rentowności zakładu elektrycznego«, p. W. Jakimiak »Zanieczyszczanie wód publicznych ropą i odpadkami z rafineryi nafty«. Według tematów rozdział zebrań odczytowych przedstawia się następująco: ogólne 9, mechaniczne 5, elektrotechniczne 3, inżynierskie 2. Zadziwiającym jest brak zupełny w. r. ub. odczytów z zakresu: inżynieryi wodnej, górnictwa i architektury. Byłoby to poniekąd usprawiedliwionem gdyby w Tow. istniały sekcye hydrotechniczna lub górnicza. Tymczasem tak nie jest, podczas gdy mechanicy i elektrotechnicy, mający własne sekcye, zasilają przeważnie zebrania odczytowe (14 na 20).

Czasopismo techniczne wzrosło do $48^1/_2$ arkuszy druku. Rysunków w teksie zamieszczono 343, a tablic osobnych dołączono 31. Na pismo wydano 12.515 kor. Nakład pisma wynosił 1.150 egzemplarzy. O ile to leżało w możności redakcyi, starano się o dobór prac z różnych dziedzin wiedzy technicznej. Lecz tak samo, jak w latach ubiegłych, siła faktów była możniejszą, to też nie uchroniono się przed pewną jednostronnością w treści pisma. Wszelako pocieszającym objawem był fakt, że redakcya przestała walczyć z brakiem artykułów. A że ten objaw trwa już przeszło rok trzeci, można przypuszczać, że w przyszłości redakcya będzie mogła dowoli wybierać w materyale. Budżet pisma, oparty nie tylko o wkładki członków, ale też o subwencye: rządową i krajową (obie po 1000 kor.), dozwolił na należyte ilustrowanie artykułów, zarówno rycinami w tekscie zamieszczanemi, jak też

tablicami rysunkowemi. — Czytelnia Tow. otrzymywała 66 czasopism (w r. 1909 — 54). — Biblioteka znajduje się w stanie porządkowania. Wydatki na nią wynosiły 514 kor. (o 225 kor. więcej aniżeli w r. 1909). Działalność Sekcyi elektrotechników skierowana była do ukończenia przekładu »Przepisów bezpieczeństwa« i wydania ich, oraz »Słownika elektrotechnicznego«, który miał pierwotnie stanowić składową część »Przepisów«. Okazało się jednak praktyczniejszem wydanie jego w osobnej odbitce. Planowany jest podręcznik dla monterów elektrotechnicznych, którego brak daje się uczuwać dotkliwie nie tylko u nas ale i w Król. Polskiem. Kwestya słownictwa elektrotechnicznego została załatwiona wydaniem słowniczka niemiecko-polskiego wyrazów najczęściej w elektrotechnice używanych, jako podstawy do dalszych prac w tym kierunku.

Działalność Sekcyi mechaników skierowała się ku sprawom zawodowym przeważnie. Poza tem urządzono odczyty: prof. St. Anczyca »O wystawie w Brukseli 1910«, prof. E. Hauswalda »O wycieczce słuchaczów politechniki do Szwajcaryi i Bawaryi«, p. M. Dziewońskiego »O turbinie parowej«.

Wreszcie Koło architektów polskich pozyskało w mieście wielki wpływ, którego dowodem ogłoszenie pięciu konkursów na budowę gmachów i na pomnik Smolki, z czego trzy rozstrzygnięto już. Poziom konkursów — w zestawieniu z dawniejszymi — wzrósł znacznie. Zdaje się, że jedynie drogą konkursów da się budownictwo nasze wprowadzić na szersze tory i nauczy liczyć się z wymaganiami estetyki, wreszcie wyzwoli się z pod przewagi budowy spekulacyjnej.

Dochody, prawie całkowicie wydatkowane, wynosiły 32.662 kor. (w tem same wkładki członków 17.506 kor., dochód z własnego domu 5.721 kor.) Fundusz żelazny wynosił 340 kor., konkursowy im. R. barona Gostkowskiego 2.945 kor.

Oddział przemyski odbył cztery posiedzenia z odczytami; stanisławowski czternaście; z ostatnich wymienię: p. K. Czechawicza »Budowa portu na Dniestrze pod Haliczem«, p. Z. Szpora »O lotnictwie«, p. M. Westwalewicza »Techniczny sposób zużytkowania azotu z powietrza«, prof. M. Syniewskiego »Drobnoustroje w technice«, p. B. Tokarskiego »Motory gazowe«, wreszcie p. Westwalewicza »O wodach źródlanych z szczególnem uwzględnieniem stosunków lokalnych«. Wycieczek naukowych odbyto pięć.

* * *

Zasługą niezaprzeczoną pp. prof. d-ra J. G. Pawlikowskiego oraz p. Z. Wasilewskiego jest nie tylko pozbawienie *Związku naukowo-literackiego* owej barwy politycznej, jaka przeważała w pierwszych latach istnienia jego, ale nadto wyprowadzenie go na te wyżyny, na jakich znajduje się obecnie, kiedy stał się poniekąd regulatorem prądów umysłowych i literackich we Lwowie. Wogóle *Związek* skupił co najwybitniejsze siły umysłowe, gdyż nie uprawia ani gry przy zielonym stoliku, ani nie wydaje bankietów z szampanem, ani wreszcie nie nalepia na sobie etykiety politycznej, jak to uczyniły i czynią pokrewne im dwa inne stowarzyszenia, z których *Klub społeczno-naukowy* ma w sobie wszelkie znamiona bóżnicy socyalistycznej, zaś *Koło literacko-artystyczne* najlepiej dysputuje przy dźwięku kieliszków i nad pulą preferansową.

Dane szczegółowe zresztą upewnią każdego o prawdziwości słów powyższych. Na ogół odbyto 23 wieczorów, na których między innymi mówili: dr. W. Moraczewski »O współczesnej literaturze rosyjskiej«, W. M. Floryański »O żegludze powietrznej«, p. A. Zagórski »O zagadnieniach teatralnych«, M. Gawalewicz na temat powyższy, A. Łada-Cybulski »O Pawle Guauguinie«, W. Strusiński »Powieść polska ostatniej doby«, E. L. Wagner »Edmund Rostand a tradycye francuskie literackie i narodowe«, E. S. Naganowski »Religia a postępowanie«, prof. dr. St. Grabski »Arystokracya — demokracya — tłum«, T. Dąbrowski »Wyspiański Król Zamczyska«, J. Stokłosa »Śpiż, jego etnografia i zabytki«, dr. B. Biegeleisen »O monizmie«, L. Wołłowicz »O zasadzie zachowania energii w zastosowaniu do zjawisk fizycznych i psychicznych«, T. Dąbrowski »Zagadnienia osobowości«, L. Skoczylas »Źródła stylu modernistycznego«, O. Ortwin »O literackiem ujmowaniu zagadnień narodowych«, prof. dr. St. Grabski »O koncepcyach energetycznych w socyologii«, prof. dr. J. G. Pawlikowski »Styl, jako zjawisko społeczne«.

Tak znacznej różnorodności poruszonych tematów napróżnoby szukać u stowarzyszeń pokrewnych, jak niemniej równie poważnej dyskusyi, jaka rozwijała się po każdym wykładzie, z których niejeden ukazał się następnie w druku. Spełnię tylko obowiązek sumienia, jeżeli wyrażę z tego miejsca kierownikom instytucyi, tyle ważnej i poważnej, uznanie, dla którego wyrażenia słów braknie dość wymownych, za trudy ich bezcenne.

Zarzut, uczyniony powyżej *Kołu literacko-artystycznemu*, do-

maga się pewnego zmodyfikowania, skoro rok ubiegły zaznaczył się w zestawieniu z dawniejszymi i widoczną, a zasługującą na poklask zmianą na lepsze we wszystkich kierunkach. Fluktuacya w przypływie i odpływie członków była stosunkowo nieznaczna: z początkiem r. ub. było członków 409, ubyło w ciągu roku 88, przybyło 114, zatem z końcem r. ub. liczba ich wynosiła 435. Główną troskę wydziału stanowiło trudne zadanie uporządkowania finansów. Pomimo niesprzyjających warunków — a to niezupełnie udałej pod względem kasowym pewnej części wieczorków i koncertów i bardzo znacznych wydatków na lokal i oświetlenie i pomimo znacznej stosunkowo kwoty na opłacanie procentów za dawne długi, spłacono tych długów 7568 kor. W kilkudziesięciu koncertach i wieczorach artystycznych wzięły udział najwybitniejsze siły miejscowego świata muzycznego. Niektóre z koncertów bywały poprzedzane prelekcyami, z których wymieniamy: p. J. Pietrzyckiego »O najstarszej polskiej kolędzie« i »O Konopnickiej pieśniarce«, G.. Zapolskiej »Pomnik Szopena«, L. Różyckiego »O lwowskich muzykach-kompozytorach«, M. Gajewskiego »O kolędach«, E. Waltera »O operze R. Straussa »Kawaler z różą«. Poza tem urządzono 12 odczytów na tematy aktualne, dotyczące najnowszych dzieł, twórczości literackiej lub wypadków na tle życia społecznego, jak: M. Gawalewicza »O teatrze i literaturze dramatycznej Japończyków«, J. Styki »Czem ma być Grunwald w Barbakanie?«, d-ra Wł. Lenkiewicza »O istocie sztuki«, d-ra A. Czołowskiego »O rabunkach dzieł sztuki i kultury w Polsce«, E. Waltera »O muzyce Szopena«, A. Schrödera »O Chłędowskim i jego Rzymie«, St. Przybyszewskiego »Potęga muzyki«, St. Maykowskiego »Poeci dzisiejsi Lwowa«, J. Pietrzyckiego »Noc listopadowa w dramacie Wyspiańskiego a w historyi«, A. Zagórskiego »O Peer Gyncie«, J. Żuławskiego »Umarłe miasto«, E. Łuskiny »Genesis z ducha Aryów«, d-ra L. Gradera »O »Zmierzchu bogów« Wagnera«, wreszcie J. Pietrzyckiego »Szopka krakowska, jej satyra i pierwowzory literackie«. Dokładano też starań około powiększenia biblioteki Koła, dotując ją 500 kor., tak, że z końcem r. 1910 liczyła ona 710 dzieł. Korzystało z niej 112 członków, na których użytek wydano dzieł 1908 w 2420 tomach. Czytelnia liczyła 62 czasopism, w tem 42 polskich. Niepodobna wreszcie nie wyjąć cyfr kilku najważniejszych z zestawienia rachunkowego, które w dochodach wykazuje 64.448 kor. (same wkładki

członków 28.357 kor., zabawy 8.556, odczyty 7.721 kor.) Stan majątkowy Koła wynosił kor. 24.924.

Klub społeczno-naukowy stał w przeciwieństwie do Związku i Koła na stanowisku wybitnie partyjno-politycznem, będąc czemś w rodzaju kuźnicy ideałów wyznawanych przez pseudo-demokracyę polsko-żydowską z pp. d-rem Askenazym, Lisiewiczem i Śliwińskim na czele. Że zaś z przeglądu naszego wykluczone są instytucye politykujące pod płaszczykiem literatury więc Klub sam przez się usuwa się z pod dyskusyi.

(C. d. n.)

Dr. St. Zdziarski.

Z wydawnictw katolickich.

Tom IX »Amerykańskiej Encyklopedyi Katolickiej« jest z dotychczasowych jednym z najbogatszych w treść, tak, iż w znacznej części nadaje się nawet do czytania. Być może, że autorowie poszczególnych artykułów, litując się nad umysłami prostych śmiertelników, pisali umyślnie dla nich a nie tylko dla uczonych, potrzebujących chwilowo informacyi w tym lub owym szczególe. Po opisie katedry laterańskiej i noszących jej nazwę soborów, widzimy z podpisem H. Leclercq zajmujący szkic losów, jakie język łaciński w ciągu wieków przechodził, jęgo chwilowe uleganie greczyźnie, wpływ obopólny obu języków a wreszcie ustalenie się pomimo walących się na ziemie łacińskie i powoli wsiąkających w nie ław różnojęzycznych, barbarzyńskich ludów. W inne zupełnie sfery przenosi życiorys kardynała Lavigerie, apostoła nowoczesnej Afryki, założyciela Białych Ojców, wyruszających ze stolicy św. Augustyna na obronę czarnych synów Południa. Co prawda artykuł *Law* (prawo) p. Joseph I. Kelly, jest ściśle fachowy acz z natury rzeczy obszerny, kładący główny nacisk na prawodawstwo rzymskie i kodeks Justyniana, z którego miały wszystkie europejskie kodeksy z biegiem czasu wyrosnąć. Zaraz potem atoli następują życiorysy świętych Wawrzyńca męczennika, Laurentego Justyniana, pierwszego patryarchy Wenecyi i Laurentego arcybiskupa z Canterbury z VII w. Przy pierwszym z tych najpopularniejszym, jaśniejącym od wieków aureolą świętości, męczeństwa i młodości, autor I. P. Kirson zaznacza, że faktem dowiedzionym jest jego

stosunek z papieżem Sykstusem II, jego godność dyakona i śmierć męczeńska 10 sierpnia 258 r. Reszta zaś jego historyi, nawet rodzaj śmierci i tejże narzędzie, według którego przecież zbudowano zamek w Escorialu, stwierdzonem być nie może i winno być zapisanem pomiędzy legendy. Z legendami zaś Encyklopedya a raczej autor artykułu o nich Heinrich Günter nie zbyt czule się obchodzi. Nazwa sama pochodzi od c z y t a n i a a mianowicie od czytanych ludowi przy nabożeństwach nasamprzód modlitw a następnie opisów zgonu męczenników lub żywotów świętych. Do tych autentycznych faktów wszakże przywarło z biegiem czasu wiele ludowej fantazyi, wiele upiększeń niby cudownych a wręcz nieprawdziwych i nieprawdopodobnych. Taki los n. p. spotkał żywoty św. Barbary, św. Symeona Styllity i wielu innych. Średnie wieki zwłaszcza zdziałały dużo w tym poetycznym kierunku, Reformacya zaś odrzuciła zrazu same dodatki a za nimi wogóle cześć świętych. Dopiero w XIX w. protestanci angielscy przypomnieli sobie ich istnienie, dzięki próbom Ferd. Pipera wprowadzenia na nowo w użytek ludowego kalendarza.

»W Kościele katolickim — pisze autor, podpisując się z niemiecka Heinrich Günther — legenda odgrywa obecnie tąż samą rolę, co w średnich wiekach, to jest, że jak wtedy tak i teraz nauka wskazuje jak należy rzeczy rozróżniać. Uznano mianowicie, że nie wszystkie legendy równą posiadają wartość i że zwłaszcza wydania żywotów świętych zostawiają wiele do życzenia. Pierwszy Heribert Roseweyde T. Jez. z Utrechtu przedsięwziął pracę zaradczą wyszukiwaniem najstarszych tekstów i następnem śledzeniem deformowania faktów a natomiast tworzenia się legendy. Po nim pracę tę podjęło na szerszą skalę Towarzystwo Jezusowe, szukając w przykładach świętych broni przeciw atakom heretyków. Tak powstały *Acta Sanctorum* Bollandystów, stanowiące punkt wyjścia dla nowoczesnych poszukiwań w tym przedmiocie. Obecnie rozróżnienie prawdy od legendy leży zupełnie w rękach dziejopisarstwa: historyk nie potrzebuje wyrzekać się wiary we wszechmoc Bożą a zatem i w cuda; jego zadaniem jest tylko zbadanie faktów o ile są na dowodach oparte, wyszukiwanie źródła tradycyi, ustalenie autentyczności rzeczywistych podań a odrzucenie wymyślonych dodatków. W ten sposób dużo cudów jest teraz historyą nie stwierdzonych. Za to odpada mnóstwo dziwactw z wyobraźni ludowej na tle religijnem wykwitłych. Badając te sprawy — pisze autor — dochodzi się do podwójnego wyniku: 1-o, że nadzwyczajność nie jest koniecznie złączoną z życiem świętych, a 2-o, że

niektóre jej objawy jak n. p. cudowne uleczenia, objawienia, proroctwa i t. p. nie są świętości przeciwne. Obok tego jednak historyk winien pamiętać, że krom stygmatów, które są czysto chrześcijańskim objawem, wszystkie takie dziwy znane już są z czasów pogańskich. Starożytna Grecya wykazuje pomniki i zapisy, świadczące o zjawieniach mitologicznych. Dzieje mówią nam, że Aristeas z Prokonensus, Hermotimus z Klazomeny i Epaminondas z Krety wiedli życie ascetyczne i wpadali w ekstazy tak silne, iż dusza ich odłączała się od ciała, zostawiając je daleko od siebie i ukazując się w różnych miejscach. Nie jest również wykluczonem, że mistycyzm średniowieczny był pokrewnym hieromanii starożytnych: tu i tam działanie duszy mogło być podobnem. Pomimo liczby i różnorodności legend jasnem jest, że wszystkie wyrosły z paru źródłowych pojęć. Wobec legendy, święty jest władcą żywiołów przyrody, rozkazuje płomieniom, wodzie, wichrom, deszczom, górom i skałom; przekształca, powiększa lub zmniejsza przedmioty, lata w powietrzu, uwalnia ludzi z więzień i galer, bierze udział w bitwach, nietknięty nawet w męczeństwie, bywa obsługiwany przez najdziksze zwierzęta [1]; chwila jego urodzenia uświetniona jest cudami, w potrzebie głos lub listy z nieba świadczą o jego tożsamości, dzwony same dzwonią, niebianie wchodzą z nim w osobiste stosunki, rozmawia z umarłymi i odwiedza czyściec, niebo i piekło, zmusza czarty do zwolnienia ludzi od zawartych paktów, zwalcza smoki i t. p. O tem wszystkiem autentyczne opowiadania chrześcijańskie milczą absolutnie. Skądże więc te fantazye się rodzą? Dość spojrzeć na przedchrześcijańskie religijne opowieści. Spotykamy je wszystkie u starych kronikarzy greckich, u zbieraczy ciekawych zdarzeń i twórców mitów, w neo-platonizmie i neo-pitagoryzmie. Dość wspomnieć Ἑλλάδος περιήγησις Pausaniasza lub przejrzeć zebrane przez Focyusza kodeksy, by się przekonać, jaką w starożytności wagę przywiązywano do cudownych wydarzeń i to zarówno wśród kulturalnych, jak wśród niekulturalnych ludzi. »Legenda powstaje z reguły tam, gdzie prosty lud usiłuje sam wytwarzać religijne pojęcia — główne jej rysy bywają więc zawsze te same. Celem legendy jest stwierdzenie istnienia opiekuńczej siły nadprzyrodzonej i ukazania ludziom »zbawcy« w każ-

[1] Tu jest w nawiasie przytoczonym, jako fakt, bajeczny niedźwiedź noszący ciężary. W Polsce jednak nieraz wyuczano tak niedźwiedzie: w Chrząstowie n. p. u hr. Michała Potockiego żył około r. 1830 niedźwiedź chowany, który nosił wodę do kuchni; raz porządnie przetrzepał chłopaka, który mu nasypał śmieci do wiadra.

dej potrzebie... Hellenizm spostrzegł już był tę stronę charakterystyczną religijnej bajki i byłby zapewne usiłował otrząsnąć się z niej z biegiem czasu, gdyby walka z chrześcijaństwem nie zmusiła go do przeciwstawienia fantastycznych szczegółów mitologii cudotwórczej potędze Chrystusa. Tą drogą wiele wytworów wyobraźni ludowej dostało się z hellenizmu do chrystyanizmu, wydającego w ciągu pierwszych trzech wieków tak wielką moc prawdziwych heroów. Pierwotne Akta Męczeńskie nie zawierają żadnego popularnego opisu cudów. Dopiero po prześladowaniach, gdy już nie miano punktu porównania dla mierzenia wielkości bohaterstwa męczenników, poczęto stopniowo oblekać ich we właściwości, przypisywane przez pogan półbogom. Stało się to głównie tam, gdzie święci chrześcijańscy zastąpili pogańskie bożyszcza a kult ich zajął miejsce kultu pogańskiego. Tak się tłumaczy mnóstwo podobieństw między świętymi a niejednem bóstwem, Rzekoma zaś metamorfoza bogów w świętych, o której często mówiono, nie może być żadnym dowodem stwierdzoną. Pierwszymi świętymi katolikami byli męczennicy i około nich nasamprzód uwiły się legendy, przechodząc do wyznawców a wreszcie przenosząc się z amfiteatrów i stosów na pole walki o zbawienie dusz«.

»Jak dokonało się to przejście legend z pojęć pogańskich w chrześcijańskie?« pyta dalej autor i zauważa, iż musiał to być ogólny prąd umysłowy; też same opowieści napotyka się równocześnie w Talmudzie, jak n. p. o człowieku, który podał swemu wierzycielowi kij wydrążony, w którym ukrytą była pożyczona mu kwota a potem przysiągł, że mu te pieniądze oddał do ręki. Fakt ten zapisuje Connon Grammatyk w Rzymie za czasów Cezara, Haggeda Talmudu (Nectarim 25 a) i Wincenty z Beauvais spisujący w XIII w. chrześcijańskie legendy. Te z biegiem czasu rozszerzały się po całym chrześcijańskim świecie, przybierając nowe barwy, według kraju i okoliczności. Tak n. p. wiek XII stworzył dużo legend o Najśw. Pannie, w XIII zaś ustanowienie (1264 r.) święta Bożego Ciała dało assumpt do mnóstwa opowiadań o cudach dotyczących Hostyi. Legendę o zaślubinach Najśw. Panny z tym lub owym świętym uważa autor za czysty symbol; przypomina przytem, że w trzecim w. przed Chr. Callimachus opisał tę samą historyę o bogini Artemis i o człowieku zwanym Antoninus Liberalis. Talmud również traktuje ten przedmiot z różnemi zmianami...

Pytanie czy autor nie idzie trochę za daleko i czy w niejednem sercu zburzenie wiary w zakorzenione legendy nie wstrząśnie wiarą w samą istotę dogmatów? Tenże sam sceptycyzm rozszerza się i na

historyczne lub literackie »legendy«. W jednych i w drugich może być wiele fantazyi, musi jednak tkwić i rdzeń prawdy. Tradycye burzyć wolno z dokumentem w ręku, nie wolno jednak jej przeczyć jedynie dla tego, że nie jest na dokumentach oparta.

Pod literą L zaznaczyć jeszcze wypada życiorysy papieży Leonów, obejmujące Leona XIII i illustrowane jego portretem i podobizną kolorowaną obrazu Leona X przez Rafaela. Następnie artykuł o liberalizmie, długą rozprawę o zajmujących przedmiotach życia *(Life)* i światła *(Light)*, oraz rzecz o Lituanii, której autor, Joseph Lins, poświęcił trzy szpalty zwięzłej ale jasnej i dokładnej treści. O wielkim uczonym Littre wyraża się Encyklopedya (Louis N. de la Marre) bardzo przychylnie, podnosząc fakt, że nie był nigdy stanowczym wrogiem Kościoła, za jakiego uważała go partya liberalna i masoni, dla których wstępna jego mowa po przyjęciu do loży była wielkim zawodem; że wreszcie, dzięki staraniom żony, umarł na łonie Kościoła. Niepodobna zatrzymywać się nad długimi artykułami *Liturgic, Logos, London,* ani nad życiorysami królów Francyi Ludwików i t. d. Życiorys Lutra przez H. G. Ganss i rzecz o luteranizmie przez A. M. Mac' Hugh mogłyby same stanowić dość sporą a bardzo zajmująco, jasno i bezstronnie napisaną broszurę.

Przechodząc do litery M spotykamy wyraz Magi, t. j. wyczerpującą wiadomość ze wszystkiego, co wiedza kościelna zdobyć mogła o trzech mędrcach ze Wschodu, którzy przybyli pokłonić się Dzieciątkowi Jezus. Autor Walter Drum po dłuższem roztrząsaniu historycznych dowodów samego faktu oraz czasu przybycia trzech »Króli« podnosi okoliczność, że według najpoważniejszych pisarzy rzymskich cała ludzkość znajdowała się wówczas w stanie oczekiwania czegoś nadzwyczajnego, jakiegoś zbawcy ludzkości, że zwłaszcza w Babilonie oczekiwanie to podniecali osiedleni tam Żydzi, a wkońcu, że gwiazda wiodąca mędrców nie mogła być ani zwykłą, gwiazdą ani kometą, ale raczej światłem nadprzyrodzonem, o czem nikt z nas nigdy nie wątpił, ale przeciwko czemu niejeden podniósł się protest. Dopiero przeglądając Encyklopedyę można zdać sobie sprawę, jaką armią owych protestów otoczony jest każdy fakt z Ewangelii. Zdawałoby się, że ludziom chłodnym w wierze powinno być obojętnem, czy było tak czy owak, czy n. p. Marya Magdalena była lub nie siostrą Marty i Łazarza, wiele razy namaściła nogi Chrystusa Pana i t. p. Ale nie! wiodą o to zacięte spory, mimo wyraźnego świadectwa św. Jana,

przeczą aby przeczyć, sprawdzając słowa Mefistofelesa, wyrzucone Faustowi: *Ich bin der Geist der stets verneint.*

Przewróciwszy kilka stronic IX tomu, napotykamy artykuł *Malabar* pióra J. Brücker'a a w nim arcyzajmujące sprawozdanie z działalności apostolskiej O. Nobili T. J. w XVI wieku, wynikłego z niej sporu, intryg w Rzymie, dekretów Stolicy św. i, dzięki temu wszystkiemu, powstrzymania świetnie rozpoczętego dzieła nawrócenia Hindów. Spór poszedł stąd, iż O. Nobili widząc, iż inni misyonarze a mianowicie Portugalczyk Fernandez, drażnią tubylców pogardą dla ich obyczajów, postanowił jąć się wręcz przeciwnego systemu. Przebrany za Brahmina, żyjąc powierzchownie jak Brahmin, ściągnął na siebie uwagę wyższych sfer hinduskich. Przy zetknięciu z nimi, okazał gruntowną znajomość ich języka oraz ksiąg świętych, przez co zyskawszy ich zaufanie, jął ich w prawdach wiary oświecać. Nie wymagał przytem od neofitów żadnych zmian w obyczajach, o ile te nie sprzeciwiały się chrystyanizmowi lub moralności. Powodzenie zyskał ogromne i kto wie czy idąc tą drogą, nie byłby on i jego następcy doprowadzili do nawrócenia całego kraju. Niestety zazdrość współzawodników dopatrzyła się w niewinnych koncesyach odstępstwa od wiary na rzecz bałwochwalstwa; posypały się oskarżenia przed Stolicę św. Tu spór toczył się długo, a gdy wreszcie się skończył było już za późno — sposobność zyskania Indyi dla Krzyża była straconą. Dziś tak brahminizm jak i buddaizm są prostemi skorupami, oficyalnemi formami pokrywającemi brak wiary. Jedyną, która istotnie panuje w tych stronach, jest według arcyb. Zaleskiego kult szatana — piekło dopięło swych celów, ale daj Boże! na krótko.

W drugiej połowie tomu IX zwraca między innemi uwagę artykuł: *Man* (człowiek) zawierający wszystkie hipotezy uczonych wszelkiego odcienia co do stosunku duszy i ciała na tym świecie i w tamtym, wobec ostatecznego orzeczenia w tym względzie katolickiego Kościoła. Autor (Francis Aveling) dotyka też kwestyi jeszcze spornej, mianowicie chwili wstąpienia duszy w ludzki zarodek. Jest to punkt delikatny, w którym wartoby lepiej oświecić sumienia. Zbyt często bowiem napotyka się mniemanie, acz policyjnie wzbronione, że zniszczenie zarodka nie jest grzechem, dopóki nie ma jeszcze objawów życia. Jest się nie raz przerażonym, słysząc podobne i inne absurda, wychodzące z ust poważnych matron, których zadaniem jest pouczać córki i wnuki. Widocznie ich własne matki swojego nie spełniły zadania i dlatego takie herezye z pokolenia na pokolenie przechodzą niepostrzeżenie wśród

osób dalekich od wszelkich innych herezyi.... O parę stron za artykułem *Man*, mamy właśnie rozprawę o jednej z najpotężniejszych herezyi — o manicheizmie (P. Arendzen), ciekawą zwłaszcza dla miłośników pism św. Augustyna, który przez całe życie walczył z błędami, jakie dziś wydają się być czystem dziwactwem. Zapominamy, iż mniej złemi może były ówczesne błąkania się po krzywych ścieżkach od braku wiary czasów dzisiejszych. *Anciennement il y avait des doutes — maintenant il y a le doute,* napisał Julian Klaczko w jednym ze swych francuskich utworów. Bardzo zajmującym jest życiorys kardynała Manninga (W. H. Kent), jednej z najwybitniejszych osobistości w ruchu nawrócenia Anglii w XIX w. Encyklopedya podaje jego portret z obrazu Edwina Longe'a R. A., twarz o czysto angielskich rysach, ogromnie spracowanych, o słodkich ustach i bardzo zamyślonem spojrzeniu. A czytając życiorys dziwić się przychodzi, że twarz nie bardziej znużona i nie bardziej zamyślone oczy — taki bowiem nawał pracy, walki i trosk, jaki zmieścił się w życiu tego jednego człowieka mógłby życie kilkudziesięciu ludzi zapełnić. Przeszłej jesieni pisma angielskie podały wizerunek przepysznej katedry w Westminster, której pierwotnym założycielem był kard. Manning. Bardzo bogato illustrowanym jest artykuł *Manuscripts* a raczej szereg artykułów o manuskryptach różnego rodzaju. Złożyło się na nie kilku uczonych, każdy w swoim fachu skrupulatnie dokładny. Sam przedmiot wszakże nie jest dla wszystkich czytelników dostępny; im zaś kto jest sam bardziej nieukiem, tem sceptyczniej wyraża się o wiedzy drugich, tem pogardliwiej spogląda na trud badaczy pism egipskich lub assyryjskich. A nawet gdy wyniki tych badań przejdą jako historyczne zdobycze do podręczników dla młodzieży, przyjmie je, nie pomnąc, że były starym manuskryptom wydarte. Za to przedmiotem wzbudzającym ogólną ciekawość jest masonerya. Rozprawa zaś o niej podpisana: Hermann Gruber, może być nazwaną ukoronowaniem całego tomu. Nigdzie dotąd nie spotkaliśmy tak jasnego, tak dokładnego i pouczającego sprawozdania z początku rozwoju i działalności sekty masońskiej. Autor trzyma się prawie wyłącznie pism byłych lub aktualnych masonów, kronik i czasopism masońskich, nie może więc być podejrzany o stronniczość i katolicki fanatyzm. Aż żal bierze, iż artykułu tego nie można wyciąć z ksiąg Encyklopedyi, aby go szerszej publiczności przedstawić. Streszczać go nie ma sposobu, gdyż treść jest zbyt nabita faktami. Jedno tylko podnieść można jako szczegół nie ogólnie znany, t. j. opozycya jaka w lożach Ameryki i W. Brytanii okazała się przeciw jawnej bezwyzna-

niowości W. Wschodu francuskiego i stopniowa, podskórna praca podkopywania tejże opozycyi zapomocą solidarności poszczególnych członków. Autor dochodząc do najnowszych czasów mianuje słusznie ostatnią rewolucyę w Turcyi dziełem masońskiem. Tem ciekawszem jest widzieć dziś masoński rząd włoski powstający przeciw masońskiemu rządowi młodo-tureckiemu, a jeszcze ciekawszem byłoby módz znać działanie zakulisowych czynników.

Spiesząc do artykułu o masoneryi przeoczyliśmy życiorysy mnogich Maryi (Najśw. Panny tu niemasz), zacząwszy od świętych a skończywszy na królowych i założycielkach zakonów. Maryi Stuart jest 5 czy 6 portretów; jest też i portret Maryi Tudor mniej sympatycznej ale dość nieszczęśliwej, aby ks. Benson o niej napisał swe dzieło: *The tragedy of a Queen.* Słowem tyle jest materyału w tym IX tomie, że trzeba prędko zamknąć księgę, aby sprawozdania nie przedłużyć do nieskończoności.

T. Wodzicka.

Druk ukończono 14 października 1911.

NOWA KOBIETA.

Zaczęło się to u nas w Polsce około r. 1870-tego mniej więcej.

Rok 1863 zamknął naszą barwną epopeę rycerską, szlachecką a otworzył szary dramat walki o byt z jej materyalistycznemi dążeniami, celami i poglądami.

Uwłaszczenie włościan w Królestwie Polskiem wypłoszyło z licznych »białych dworków« beztroskę o swobodne jutro; zbrojne powstanie przetrzebiło młode pokolenie męskie (polegli na polach bitew, zesłani na Sybir); odjęcie urzędów ludności polskiej pozbawiło tysiące ojców możności zabezpieczenia losu ich córek.

Który »biały dworek« był słabszy — padł; ostały się tylko majątki większe, silniejsze.

Nagle, z roku na rok, znalazł się cały legion panien — zrazu setki, wkrótce tysiące — bez własnego dachu nad głową i bez nadziei zdobycia sobie tego dachu za pośrednictwem małżeństwa. Dorosłej młodzieży zostawiło powstanie niewiele, młodych urzędników z gotowym chlebem zabrakło.

Najlepszym kucharzem jest głód — mówiono dawniej. Dziś trzeba dodać i najenergiczniejszym, najhałaśliwszym agitatorem. Gdyby Anglia nie miała przeszło miliona starych panien, nie byłoby sufrażystek. Gdyby nagły przewrót ekonomiczny po r. 1863 nie był wyrzucił w naszym kraju kilku tysięcy panien z brutalnością katastrofy z utartych przez tradycyę kolei i nie zmusił ich do samodzielnej walki o byt, o prawo do życia, nie mielibyśmy

t. zw. emancypacyi. Pomógł jej nasz pozytywizm, jej gorliwy rzecznik, wzmocniwszy ją doktryną ewolucyjną.

Zaczęło się to zrazu bardzo niewinnie. Nasza emancypacya niewieścia domagała się w swoich początkach tylko prawa do pracy. a ponieważ do pracy potrzeba odpowiedniego przygotowania, czyli nauki niższej lub wyższej, przeto prosiła także o prawo nauki, Prosiła, w pierwszej bowiem chwili nie była jeszcze śmiałą, do przodu się tłoczącą bojowniczką. Prosiła nasza emancypacya niewieścia o prawo naturalne, nie zawierające nic zdrożnego, bo o chleb i o środki do zdobycia tego chleba, a mimo to przyjęła ją opinia danej chwili urągliwym sykiem drwin i potępienia. Do ogniska domowego wracaj, mężowi bądź wierną towarzyszką, dzieciom troskliwą, kochającą matką! — ofuknięto ją zewsząd. Dość długo trwało, zanim opinia zrozumiała, że trudno wracać do ogniska domowego, które nie istnieje, do męża i dziecka, których się nie posiada. A żyć przecież trzeba...

Dziś nie przyjdzie nikomu na myśl odmawiać prawa do pracy zarobkowej i do nauki kobiecie, pchniętej koniecznością położenia na twardą drogę walki o byt, lub łaknącej wiedzy.

Powoli zapełniły się sklepy, kancelarye adwokatów, biura poczt, telegrafów, telefonów, fabryk, gazet, tłumem: panien sklepowych, sekretarek, pisarek na maszynie, buchalterek, ekspedyentek, urzędniczek.

Tryumfowały »emancypantki«. Zdobyły sobie prawo do pracy, zmogły wroga i opinię...

Tryumfowały niedługo. Bo oto okazało się, że ta praca zawodowa, do której wyciągały ręce, jak do czegoś bardzo drogiego, upragnionego, jak do wyzwolenia, nie otwierała wcale bram do raju swobody i dobrobytu. Ośm do dziesięciu godzin, przepędzonych w biurze, w sklepie, pod czujnem okiem pryncypała, pracodawcy, zwierzchnika, nie zawsze uprzejmego, dobrze wychowanego, bardzo często brutalnego egoisty, groszoroba albo nudnego, oschłego biurokraty, pedanta — nie należą do rozkoszy życia. Bywają pryncypałowie tak pyszni, iż nie uważają za potrzebne powitać swoich podwładnych zdawkowem: dzień dobry! Pieniądz bywa gruboskórym...

I gdyby jeszcze te ośm, dziesięć godzin, przeharowanych w nieprzyjemnem otoczeniu, wynagrodziły pracownicę dostatnim bytem Ale za 20 do 30 rubli miesięcznie (zwykła pensya buchalterek, ekspedyentek, sekretarek i t. d.), może jedna osoba dziś zaledwie opędzić najniezbędniejsze koszta ubogiego utrzymania. Lepszej sukienki, ładniejszego kapelusza, bucika, biletu do teatru, na koncert i t. d. za taką »gażę« kupić sobie ani sposób.

Gdy rozważymy, że dziewięćdziesiąt procent tych naszych, wyzwolonych z pod jarzma przesądu emancypantek pochodziły w Królestwie z »białych dworków«, czyli ze sfery, która przez szereg wieków królowała swobodnie prawie u siebie pod dachem własnego odziedziczonego domu, na własnym szmacie ziemi, nie trudno zrozumieć, że tego rodzaju gorzkie owoce zdobytego wyzwolenia nie mogły zachwycić tryumfatorek.

Tryumf zaczął się zmieniać w żal do życia, w rozczarowanie do pierwszych haseł emancypacyi, nawołujących bezustannie: pracuj, zarób sobie sama na kawałek chleba!

Nauczyły się, odczuły pierwsze emancypantki, że »zarabiać somodzielnie na chleb« nie jest ani tak łatwą, ani tak przyjemną rzeczą, jak im się zdawało. W biurach przy lampach wieczornych tracą oczy blask, więdną róże na licach, żółknieje biała cera, tworzą się przedwczesne zmarszczki. Pracować zresztą usilnie trzeba lubieć i umieć, a nasza rasa słowiańska nie bardzo lubi i umie pracować.

Więc co ładniejsze, zręczniejsze, sprytniejsze wracały czemprędzej pod jarzmo Hymenu, spieszyły obu nóżkami na kobierzec ślubny, jeśli im się udało złowić jakiego »tyrana«. Zawsze to wygodniej pozwolić komuś drugiemu na siebie pracować, aniżeli borykać się samej z przykrą zawsze, często okrutną walką o byt. A te, które Hymen pominął, brzydkie, zwiędłe przed czasem, albo mniej zręczne, zostały na placu, podniecone do dalszego boju goryczą rozczarowania.

Gdy się ma żal do życia, szuka się zwykle przyczyny tego żalu nie w sobie samym, lecz poza sobą. Ktoś musi być winnym, ktoś musi być sprawcą rozczarowania...

Szukać tego winowajcy nie potrzebowały nasze rozgoryczone

panie wyzwolone. Wskazały im go postępowsze od nich bojowniczki Zachodu. Oto on, ten samolubny mężczyzna, ten tyran, którego brutalna przemoc spętała kobietę barbarzyńskiem prawodawstwem, jest winien wszystkiemu! On zagarnął dla siebie całą swobodę ruchów, władzę, wybitne, złotodajne stanowiska, sławę i pełnię życia, on rzucił pod stopy swoje niewiastę jako niewolnicę! Z nim trzeba rozpocząć walkę, wydrzeć z jego drapieżnych rąk jaśniejsze jutro dla t. zw. płci słabej.

Po spokojnym, rozumnym debiucie naszej emancypacyi niewieściej, domagającym się pod komendą Elizy Orzeszkowej (»Kilka słów o kobietach«) prawa pracy i nauki, podkreślającym konieczność zmiany dotychczasowego wychowania płci pięknej, zastosowania go do nowych warunków ekonomicznych — odziały się niedobitki pierwszej formy ruchu niewieściego w przyłbicę i zbroję bojowca i rzuciły się z wielkim animuszem na »tyranamężczyznę«. »Feministkami« nazwano te amazonki. Główną rolę w tej grupie odgrywa Iza Moszczeńska.

Przyszedł modernizm literacki, przyszedł socyalizm, przyszła anarchia rewolucyjna, rozszerzając program feminizmu.

Z tych wszystkich pierwiastków (emancypacya, feminizm, modernizm, socyalizm, rewolucya), zmieszanych w jedną miksturę, wytworzył się typ naszej nowej postępowej kobiety.

II.

Typ naszej nowej postępowej kobiety stanął tak buńczucznie, tak hałaśliwie na arenie walki, jak gdyby się dopiero on pierwszy »przebudził z letargu«. A tymczasem przebudzały się już przed nią kobiety inne.

W Grecyi np. w chwili największego rozkwitu sztuk pięknych, literatury i filozofii, w świetnej epoce Peryklesa, przebudziły się, czyli żyły samodzielnie: Aspazye, Diotymy, Lastencye, Leoncye, Teodaty, Laise, Fryny, Leany, Bakhise — przyjaciółki: Peryklesów, Sokratesów, Arystypów, Diogenesów, Harmodiusów, Platonów, Epikurów i innych. A przebudziły się w ten sposób, że wyszedłszy ze stanu niewolniczego, łaknąc wolności, złota,

wpływu, władzy, płaciły za te dary ziemi niezwykłą urodą. Piękne, zręczne, wykształcone, zdobywszy sobie środki, otwierały »salony« literacko-artystyczne, jakbyśmy się dziś wyrazili, i przyjmowały u siebie kwiat inteligencyi w pięknie rozmiłowanych Aten. Ponieważ w »salonach« takich dam było niewątpliwie weselej i swobodniej, niż w poważnych gineceach, a literaci i artyści trącą zawsze i wszędzie potrosze cyganeryą, są zawsze i wszędzie »wolnymi synami Apolina«, nielubiącymi się krępować »filisterską« moralnością i wszelakiemi »formami« wogóle, przeto nie miały emancypantki greckie powodu skarżyć się na puste salony. Były one zawsze pełne, rojne.

Pomiędzy temi heterami znajdowały się podobno mądre głowy i niezwykłe zdolności (Diotyma), jak zapewniają ich wielbiciele, w historyi jednak nie został żaden ślad tych głów, tych zdolności. Gdyby nie wzmianki o nich w dziełach współczesnych autorów, byłyby niewątpliwie i nazwiska ich wsiąkły w mroki przeszłości, jak wsiąkło tyle innych lepszych, czystszych nazwisk. Jeden tylko ślad talentu niewieściego Grecyi przechował się dotąd — fragmenty erotyk Safony, ale Safona nie była heterą i zdobyła się zresztą tylko na lirykę.

Z tego więc przebudzenia się geniuszu greckiej kobiety nie miały córy Hellady wielkiej pociechy. Było ono zabawką gromadki heter, zdobywających sobie w ten sposób niezależność osobistą i rozgłos. Prawdziwa wolna kobieta grecka, matka i żona, nie opuściła gineceum, stosując się do wskazówek Ksenofonta, który uczył: »jak królowa pszczół nie opuszcza nigdy ula, by mogła wysyłać pracownice i porządkować i rozdzielać w swoim czasie ich zbiory, tak samo powinna dobra gospodyni pilnować swojego domu, nadzorować niewolników i rozporządzać oszczędnie i rozsądnie dobytkiem, by go pomnożyć«.

Wielką gromadą wystąpiła kobieta wyzwolona w Rzymie, nie w tym ubogim, który Filip Macedoński nazwał urągliwie drewnianym, a który wydał cnotliwe matrony, czyste westalki i wielkie bohaterskie obywatelki, jak Lukrecyę i Wirginię, Kornelię, małżonkę Pompejusza, Helwię, matkę Seneki, Marcyę, Paulinę, Arryę, Mallonię, Tercyę Aemilię, matkę Gracchów i cały

szereg jasnych postaci, lecz w tym »złotym, wiecznym, świętym Rzymie« *(aurea, aeterna, sacra Roma)* Cezarów, lśniącym białymi marmurami, kąpiącym się w skarbach, wydartych całemu ówczesnemu »światu«, bawiącym się w cyrkach i teatrach.

W tym bujnym, świetnym kwiecie, budzącym podziw i zazdrość cudzoziemców, pracował już robak zniszczenia. Nie widzieli go Cezarowie, olśnieni blaskiem wielkości swojej i państwa, nie przeczuwał go przeciętny obywatel rzymski, szczęśliwy, że do jego stóp kładły się posłusznie: Europa, Azya i Afryka. Jego robotę tajemną dostrzegały tylko bystre oczy obserwatorów i psychologów — oczy Horacyuszów i Tacytów.

Z rozkładającej się Grecyi szły do Rzymu rozpustne legendy mitologiczne, bezecne komedye, zmysłowe poezye i powieści (milezyjskie) i nicująca wszystko filozofia, z Afryki zaś nadchodziły: bogate łoża biesiadnicze, kosztowne tkaniny, śpiewaczki, tancerki, rozpusta i zniewieściałość.

Z tego błotnistego podłoża wylęgła się emancypacya kobiety rzymskiej. Zatoczyła ona koło szersze, niż w Grecyi, bo nie garstka heter ją stworzyła, lecz cały prawie »wielki świat damski« złotej Romy, a za tym »wielkim światem« poszły klasy zamożniejsze.

Ruchowi emancypacyjnemu kobiety sprzyjała postępowość Cezarów. Zdjęli oni z Rzymianki pęta prawodawstwa, ograniczającego jej swobodę. Dawniejsze małżeństwo, uświęcone obrzędami religijnymi, zmienili w zwykłą cywilną umowę, żonie pozwolili rozporządzać jej osobistym majątkiem według woli. W ten sposób usamowolniona bogata Rzymianka skorzystała skwapliwie ze swobody.

Zaczęła od tego, że przypomniała sobie »prawa serca« i zmieniała mężów, jak tuniki. Były w »złotej Romie« damy, które miały po pięciu, po dziesięciu mężów, znalazła się nawet jedna tak odważna, iż wyszła za mąż aż 32 razy. W owym to czasie stał się w Rzymie ulubionem przysłowiem cyniczny aforyzm któregoś z greckich poetów, że: w małżeństwie bywają tylko dwa dni szczęśliwe — dzień zaślubin i dzień pogrzebu żony *(in thalamo vel in tumulo)*. Nie Lukrecye, Wirginie i Kornelie wydała wy-

zwolona miłość rzymska, lecz... Agrypiny, Messaliny, Faustyny, Lepidy, Poppee, Berenice i t. p. potwory lubieżności.

Zrzuciwszy z siebie pęta dawnych przesądów matron, postanowiła kobieta rzymska zrównać się z mężczyzną w nauce, w wymowie i sztuce. Otoczywszy się gromadą retorów, gramatyków i filozofów greckich, uczyła się łapczywie wszystkiego: literatury, filozofii, muzyki, języków, nawet prawa i historyi naturalnej.

Zaroiło się w Rzymie od sawantek. Gawęda literacko-artystyczno-naukowa należała do koniecznych przypraw każdej biesiady i była w »salonie« ozdobą damy »światowej«.

Musiały te mądre damy dokuczyć Juwenalisowi, znudzić go śmiertelnie, kiedy się jego talent satyryczny do nich zabrał. Drwi on (Satyr. VI, 434—456):

O wiele nieznośniejsza, gdy za stołem siedząc,
Dopieroż ci wychwalać Wirgilego będzie,
Dydony śmierć tłumaczyć, a w wielkim zapale
Zestawiając poetów, kładzie na tę szalę
Wirgilego; Homera położy na drugą,
I wydaje krytykę uczoną a długą.
Gramatyk wnet zamilknie, retor milcząc słucha,
Milczą i biesiadnicy, nadstawiając ucha,
I adwokat, choć zawsze gotowy do słowa,
Nie piśnie i wraz z woźnym w tłum gości się chowa,
Nie odezwie się nawet i inna kobieta:
Takie wielkie słów mnóstwo z ustek ich wykwita,
A w uszach aż ci dudni...

I Martialis (10—68) podrwiwa z jakiejś mądrej Galli.

Niewiele pożytku wyniosła kobieta rzymska wogóle z emancypacyi swoich mądrych sióstr. Wprawdzie wykwitło prawdopodobnie z tego ruchu kilka autorek, poeci bowiem i historycy z czasów Cezarów mówią tu i owdzie o kobietach, zajmujących się literaturą i sztuką, ostateczny jednak wynik tej działalności musiał być bardzo niewielki, kiedy nie pozostało po nim żadnych śladów. Tylko nazwiska dwóch córek senatora Honoryusza, dwóch wymownych adwokatek, przetrwały wieki.

Nie tylko pożytku nie przyniósł ruch emancypacyjny Rzy-

miankom, lecz przeciwnie, skrzywdził je. Za rozpustę pewnej kategoryi zamożnych i oświeconych dam, uczyniła opinia owego czasu i historya odpowiedzialną kobietę rzymską wogóle. Sprzykrzywszy sobie swawolę emancypantek, ścisnął znów rząd imperatorów niewiastę kleszczami nieprzychylnych dla niej ustaw, odjął jej nadane przywileje.

Przyszło chrześcijaństwo. Zrównało ono wszystkich przed Bogiem, wielkich i małych, wolnych i niewolnych, płeć mocną i słabą, nauczyło miłości bliźniego — wskazało słowem człowiekowi drogę, jaką miał posuwać się naprzód, rozwijać się dalej. Gdyby człowiek był szedł tą drogą konsekwentnie, usilnie, byłby był zmienił w przeciągu kilkuset lat ziemię w raj, w którymby się i dla kobiety było znalazło miejsce wygodniejsze, odpowiedniejsze.

Ale człowiek zboczył z drogi, wskazanej mu przez naukę Chrystusową, z chwilą kiedy krzyż błysnął na kościołach i sztandarach symbolem zwycięstwa, władzy, i zaczął znów pamiętać głównie o sobie, o swoich doczesnych potrzebach, pożądaniach i celach. Siła przed prawem stała się znów jedyną racyą państwa, a gdzie siła rządzi, tam nie może być oczywiście miejsca dla równouprawnienia słabszych.

Jakiś czas zdawało się, że rycerstwo średniowieczne, wsłuchane w melodyjne rymy trubadurów, podniesie kobietę na piedestał, należący się matce, żonie i obywatelce. Trubadurowie wynieśli w istocie szlachciankę średniowieczną na piedestał, ale było to tylko krzesło prezydentki owych *cours d'amour*, na których roztrząsano sprawy miłości i — orzeczono, że prawdziwą miłość znaleźć można tylko poza małżeństwem. Doktryna dzisiejszego kultu wolnej miłości tryska z tego źródła.

Swobodniejszych obyczajów albo weselsze damy średniowieczne jeździły po turniejach, upajały się liryką trubadurów, zasiadały i dysputowały na *cours d'amour*'ach, a wielka masa kobiet wszystkich stanów modliła się i przędła. Przędły, haftowały szlachcianki, przędły i tkały mieszczanki, przędły i pracowały na roli chłopki. Na cmentarzach, na nagrobkach w owych czasach spotyka się często napis pochwalny: była pobożna i przędła.

I po raz drugi, w epoce renesansu, zdawało się, że geniusz niewieści błyśnie nareszcie gwiazdą pierwszorzędną. Odrodzenie wydało przecież tak wysoko wykształcone damy, jak Katarzyna Cornaro (Wenecya), Isottę Malatesta (Rimini), Emilię Pię (Mantua), Izabellę d'Este, Weronikę Gambarrę (Bolonia) i długi szereg zawodowych uczonych, profesorek, doktorek, adwokatek (Nowella d'Andrea, Magdalena Buonsignoria, Isotta Nogarella, Isacretta Monte, Emilia Brembatti, Wiktorya Colonna i t. d.) Należałoby się spodziewać, że te uczone panie zajmą się gorliwie, całą duszą sprawami swojej płci, walczyć będą o prawa kobiety jako kobiety. Tymczasem wszystkie ubiegały się tylko o uznanie mężczyzn, dumne, gdy powiadano o nich: męski umysł, męska siła, męski dowcip. Jedna tylko Krystyna de Pisan, historyografka Karola V Mądrego, uprzedziła dzisiejsze emancypantki, polemizując w swojej broszurze p. t. *La cité des dames*, z płcią mocną, żądając od niej różnych praw dla kobiety. Ale uboga Krystyna de Pisan, owdowiawszy młodo, zmuszona pracować na dzieci, była inteligentną proletaryuszką, z której wołała, skarżyła się gorycz przykrego zarobkowania. Nie o ideę jako taką jej chodziło, lecz więcej o jej własny, osobisty ból.

Właściwe emancypantki w rozumieniu XIX stulecia wyrzuciła na wierzch dopiero rewolucya francuska, jak wyrzuciła tyle innych pojęć, doktryn, pragnień, pożądań, niepokojących dotąd nowoczesnego człowieka.

III.

Ściśle mówiąc, nie rewolucya francuska, lecz amerykańska. »Za wielkim stawem« wykwitła z ruchu powstańczego idea równouprawnienia kobiety. Ujęły ją w energiczne ręce panie: Mercy Olis Warren, przyjaciółka Jeffersona i Abigail Adams Smith, żona prezydenta Stanów Zjednoczonych, która pisała w roku 1776 do swojego męża: Jeśli przyszła konstytucya nie uwzględni naszych zasadniczych potrzeb, to gotowe jesteśmy do buntu, gdyż nie uważamy się za zobowiązane do szanowania

praw, które nie zapewniają nam głosu w naszych sprawach i przedstawicielstwa naszych interesów.

Pierwsze Amerykanki odezwały się śmiało, stanowczo. Za niemi poszły Francuzki, raczej Francuzi, grunt bowiem do ruchu emancypacyjnego podczas rewolucyi przygotowali: margrabia de Condorcet (w *Journal de société* w r. 1789), margrabia de Villette (w Zgromadzeniu Narodowem) i ksiądz Fauchet (na trybunie agitatorskiej).

Skwapliwie rzuciły się kobiety francuskie do emancypacyi. Prowadziły je trzy bojowniczki: Thèrvigne de Mèricourt (właściwe nazwisko Anna Tevragne z Marcourt), Olimpia de Gouges (właściwe nazwisko Marya Gouze) i Róża Lacombe.

— Pokażmy mężczyznom — wołała Thèrvigne de Mèricourt dnia 25 marca w r. 1792 w *Société fraternelle de Minumas* — iż nie jesteśmy od nich niższe ani cnotami, ani odwagą, pokażmy Europie, że mamy swoje prawa i że stoimy na wysokości oświaty XVIII stulecia, gardząc przesądami, które dlatego, że są przesądami, są absurdami, często niemoralnymi. Francuzki! W chwili kiedy postęp oświaty zaprasza was do rozmyślania, porównajcie, czem jesteśmy, z tem, czem być powinnyśmy w porządku społecznym. By poznać nasze prawa, musimy wziąć za przewodnika rozum i prowadzone przez niego, odróżnimy słuszne od niesłusznego. Francuzki! Powtarzam raz jeszcze, podnieśmy się do wysokości naszych przeznaczeń, skruszmy nasze kajdany. Przyszedł nareszcie czas, żeby się kobiety wydostały z hańbiącej nicości, w której je nieuctwo, pycha i niesprawiedliwość męska trzymają od tak dawna.

Olimpia de Gouges piorunowała z trybuny: Czyż nie jest już i na nas pora, abyśmy podniosły rewolucyę? Nie weźmiemyż nigdy udziału w kształtowaniu społeczeństwa? Kobieta urodziła się wolną i pod względem prawnym równą mężczyznie... Z mężczyzn i kobiet, złączonych wspólnymi węzłami, składa się naród, na których opiera się państwo, prawddawstwo więc powinno być wyrazem woli całej społeczności. Wszystkie obywatelki powinny w niem brać udział, dla obu płci prawa jednakowe. Stosownie do swoich zdolności powinny być obywatelki dopuszczone na równi

z obywatelami do urzędów i stanowisk publicznych, do wszystkich zawodów i odznaczeń. Obudźcie się, kobiety! Pochodnia prawdy rozproszyła chmury głupoty i ucisku.

To samo mniej więcej wygłaszała z trybuny klubu Jakobinek *(Société des femmes républicaines et revolutionaires)*, którego była prezeską, Róża Lacombe.

Oto już wyraźny ton bojowy, ten sam, którym posługują się współczesne sufrażystki i feministki w walce z »samolubnym, pysznym, brutalnym tyranem« i ten sam program: bezwzględnie równe prawa dla obu płci.

Nie chodzi nam tu o różniczkowanie słuszności czy niesłuszności pewnych postulatów, ale raczej o charakterystykę psychologicznego podłoża, z którego te postulaty płynęły. Z tego względu możemy słusznie zapytać: kimże były te pierwsze w Europie bojowniczki feminizmu? Może poważne matrony, nie splamione brudem życia, albo niezwykle utalentowane, wysoko wykształcone filozofki i społeczniczki?

Thèrvigne de Mèricourt, córka chłopa, z początku służąca, następnie kochanka jakiegoś Anglika, dalej prostytutka w Londynie, w Paryżu, wkońcu furya rewolucyjna, biorąca na czele rozjuszonego motłochu udział we wszystkich burdach ulicznych, mordująca własną ręką swoich przeciwników.

Olimpia de Gouges, córka sklepikarza, prostytutka paryska, dalej aktorka bez powodzenia, literatka, której nikt nie czytał, wkońcu apostołka emancypacyi kobiecej.

A Róża Lacombe, prezeska Jakobinek? Była przekupką.

Żadna z tych reformatorek nie umiała nawet ortograficznie pisać, żadna z nich nie posiadała nawet elementarnego przygotowania naukowego.

Skądże więc u nich ta dźwięczna frazeologia, ten potok głośnobrzmiących słów?

O dźwięczną frazeologię nie było trudno podczas rewolucyi francuskiej. Wystarczyło przeczytać, przesylabizować pierwszy lepszy zadrukowany świstek jakobiński lub wysłuchać kilku mów sejmowych, by módz nabrać pełną buzię efektownych słów i jaskrawych frazesów. Te bojowniczki zresztą miały tak samo, jak

hetery greckie, »licznych przyjaciół« i to nie byle jakich, bo takich, jak: Mirabeau, Desmoulins, Chénier, Brissot, Clootz, Barnave, Saint-Just, Mercier. W takiej kompanii mogła się każda sprytna analfabetka nauczyć w krótkim czasie frazeologii rewolucyjnych.

Emancypacya niewieścia nie miała aż do końca XVIII wieku szczęścia do swoich koryfeuszek. W Grecyi hołdowały jej hetery, w Italii wcielały ją najrozpustniejsze kobiety »gnijącej« Romy we Francyi przewodziły jej wykolejone awanturnice. Uczciwe żony, wzorowe matki, troskliwe wychowawczynie nie uważały za potrzebne wysuwać się, tłoczyć się po prostu na arenę bojową.

Wiadomo, że rewolucya francuska, zmieniwszy się w teroryzm, który nie znosił najmniejszej krytyki, odtrąciła od siebie kobietę. Sprzykrzywszy sobie zbyt hałaśliwy współudział Jakobinek, rozwiązał Konwent wszystkie związki niewieście i wypędził wszystkie amazonki i klakierki z trybun i klubów politycznych. Wracajcie do ogniska domowego, tam wasze miejsce! — odpowiedział jeneralny prokurator Komuny paryskiej, Cheaunette, kiedy deputacya »obywatelek« stanęła pod komendą Róży Lacombe przed jego obliczem, protestując przeciw dekretowi Konwentu.

IV.

»Z dymu pożarów i z kurzu krwi bratniej« rewolucyi francuskiej urodziła się »nowa kobieta«. Już Jakobinki paryskie zbudowały dumny gmach jej programu: równe jesteśmy mężczyźnie pod każdym względem i dlatego należą się nam równe prawa we wszystkich kierunkach.

Do tego gmachu dodał wiek XIX dwie przystawki: t. zw. pełnię życia *recte* wolną miłość i nienawiść do chrześcijaństwa.

Wprawdzie piły już i hetery greckie i emancypantki rzymskie i wielbicielki trubadurów i uczone damy renesansowe i rewolucyonistki francuskie chciwie z szumiącego kielicha »pełni życia«, ale nie zdobyły się one jeszcze na teoryę artystyczną i naukową, na apoteozę i uzasadnienie wolnej miłości, jako »naturalnego prawa, wyższego od obłudnej miłości w małżeństwie«.

Sztuki tej dokonała dopiero słynna powieściopisarka fran-

cuska George Sand. Ona to stworzyła w swoich powieściach ową niewieścią »zapomnianą, niezrozumianą duszę«, która, szukając »duszy bratniej«, leci na oślep w objęcia pierwszego lepszego lowelasa, co umiał ją zręcznie omotać lepkiemi słowami zdawkowej frazeologii romantycznej, aby ją rzucić, gdy go znudzi. Ona to skleciła doktrynę wolnej miłości.

Wychodząc z zasady, że miłość płciowa jest nie tylko prawem natury, lecz prawem najwyższem, najważniejszem, najpotężniejszem, George Sand potępiła w swoich najpoczytniejszych powieściach *(Indiana, Valentina, Jaques)* społeczeństwo za to, że krępuje to prawo najwyższe pętami małżeństwa. Wolną, według niej, powinna być miłość; serce (czytaj zmysły) nie powinno podlegać żadnej kontroli, żadnemu przymusowi. Serce nie grzeszy nigdy, choćby się jego ukochanie sto razy zmieniało. Trzeba zostawić miłości pełną swobodę i zniszczyć małżeństwo, które tę swobodę tamuje.

Wiadomo, że George Sand korzystała sama bardzo skwapliwie z »naturalnego prawa wolnej miłości«.

Teoryę Francuzki, George Sand, wcieloną w formę artystyczną, rozwinęła i uzasadniła »naukowo« Szwedka, Ellen Key, w swojem rozchwytanem, wprost pochłoniętem przez kobiety »dziele« p. t. »O miłości i małżeństwie«.

Tak samo, jak George Sand, broni także Elllen Key wolności zmysłów z tą tylko różnicą, iż zamiast operować plastycznymi obrazami sztuki, posługuje się argumentacyą »naukową«. I z tą jeszcze różnicą, że przepojona już nieznaną jeszcze autorce »Walentyny« mądrością pozytywistyczną, nie nazywa miłości (jak George Sand) »siłą, wskazaną przez Boga«, lecz po prostu instynktem, istniejącym dla utrzymania i pomnożenia życia.

Dla tego życiodawczego instynktu żąda Ellen Key pełnego zadowolenia w małżeństwie lub bez niego, jak kto woli, jak komu z taką lub inną formą wspólnego pożycia wygodniej. Etyki małżeństwa chrześcijańskiego nie rozumie ona, nie odczuwa, etyki bowiem chrześcijańskiej, jako »uczona pozytywistka«, nie uznaje. Celem życia jest, według niej, życie samo (tu powtarza Goethego), a nie jakieś tam doskonalenia się duchowe i t. p. zwiędłe majaki.

Ponieważ zaś każdy mędrzec wynajduje dla swojej teoryi jakieś głębokie określenie, przeto nazwała swoją teoryę bardzo uczenie, bo aż »erotycznym monizmem«.

Rozumie się, że bałwochwalczyni życia doczesnego, jako celu samego w sobie zamkniętego, skończonego w ramach kołyski i trumny człowieka, że apologetka zmysłów nie może być wyznawczynią nauki Chrystusowej, odwracającej człowieka właśnie od tych zmysłów i od tej pełni życia ziemskiego.

I oto główny zarys typu t. zw. nowej kobiety końca XIX stulecia i początku XX-tego naszkicowany: równe prawa płci mocnej i słabej pod każdym względem i we wszystkich kierunkach — swoboda, wolność zaspokojenia potrzeb płciowych, a nawet zmiennych ich upodobań z pominięciem obowiązków legalnej żony i matki — usunięcie z życia niewygodnych zasad chrześcijańskich, jako krępujących pełnię życia.

(Dok. nast.).

Teodor Jeske-Choiński.

KWESTYA DROŻYZNY.

W ostatnich paru latach drożyzna wysunęła się we wszystkich niemal krajach cywilizowanych na czoło aktualnych zagadnień gospodarczych. I z góry należy zaznaczyć, że stanowi ona obecnie problemat pierwszorzędnej doniosłości, znacznie więcej skomplikowany, a tem samem i o wiele trudniejszy do rozwiązania, aniżeli w jakiejkolwiek innej epoce. Niegdyś, nawet niezbyt jeszcze dawno, drożyzna stanowiła klęskę może nawet bardzo ciężką, lecz w każdym razie chwilową i dotykającą pewne tylko, stosunkowo niezbyt liczne warstwy ludności — dzisiaj coraz wyraźniej występuje w drożyźnie charakter stałości i powszechności. Jest to więc w gruncie rzeczy problemat nowy, któremu nadajemy jedynie starą nazwę, problemat, który najściślej wiąże się z całym naszym rozwojem gospodarczym, kulturalnym, społecznym i politycznym. Stąd też nie od rzeczy będzie zająć się dokładniej określeniem jego istoty i przyczyn, ażeby na tej podstawie znaleźć odpowiedź na pytanie, jakich środków zaradczych należy nam użyć.

Przedewszystkiem musimy ściśle oznaczyć pojęcie drożyzny, bo niejednokrotnie ujmuje się tym wyrazem dwa zjawiska zupełnie odmienne. Ekonomicznie bowiem biorąc możemy mieć drożyznę naturalną i drożyznę wymienną. Drożyzna naturalna występuje we wszystkich wypadkach, w których uzyskanie wytworów, służących naszym potrzebom, staje się trudniejszem, t. zn. gdy produkcya wymaga większych wysiłków, albo też jest mniej

wydajna niż dawniej i to z powodów leżących poza sferą gospodarczą. Tutaj przeto należy każde podrożenie, wywołane przyczynami przyrodniczemi lub ograniczeniami prawnemi, bo stanowią one warunki od gospodarza niezależne, które decydują o jego działalności. Jeżeli n. p. wskutek zmiany klimatu rolnictwo dostarcza mniejszej ilości płodów, albo gdy mniej mamy węgla, bo kopalnie zaczynają się wyczerpywać, wtedy przyczyną drożyzny są czynniki przyrody; jeżeli natomiast zabrania się pewnej działalności ekonomicznej, jak przy monopolach, albo niedopuszczając pewnej kategoryi osób — n. p. nieletnich — do pracy, zmniejsza się ilość sił działających w produkcyi, wówczas przyczyną drożyzny jest prawo. Drożyzna naturalna przeto jest zjawiskiem w procesie wytwórczym a nie wymiany, jest po prostu zmniejszeniem ilości przedmiotów, którymi mamy zaspokajać nasze potrzeby, istnieje więc nawet, gdyby ceny towarów się nie podniosły. Wyobraźmy sobie, że pomimo tych utrudnień i ograniczeń ceny pozostaną w dawnej wysokości. W takim razie w potocznej mowie będziemy mówili o braku towarów, nie o drożyźnie, ekonomicznie jednak powstanie drożyzna, bo drogi, w ekonomii znaczy tyle, co trudny do uzyskania, a trudność zaspokojenia potrzeb pojawi się niewątpliwie.

Jasną jest rzeczą, że drożyzna naturalna, która w myśl poprzednich wywodów jest niczem innem, jak tylko pogorszeniem stosunku pomiędzy zapotrzebowaniem i pokryciem, może powstać także bez zmniejszenia się wyników produkcyi, jeżeli tylko w szybszem tempie wzrosną potrzeby. Słynna teorya Malthusa, przedstawiająca w tak czarnych kolorach ekonomiczną przyszłość ludzkości, opiera się właśnie na założeniu, że rozwój produkcyi nie będzie mógł sprostać wzrostowi zaludnienia. Brak środków na zaspokojenie potrzeb, jest tu również wynikiem warunków przyrodniczych, tylko że w tym wypadku działają one na potrzeby, a nie na wytwory. Wynik jednak, który zależy od stosunku pokrycia do zapotrzebowania, jest w obu wypadkach identyczny: pogorszenie położenia gospodarczego.

Ekonomia nie ma i nie może mieć środków zaradczych na drożyznę naturalną z tej prostej przyczyny, że powody jej leżą poza

sferą gospodarczą. Historya dowodzi całym szeregiem smutnych przykładów, że skoro tylko drożyzna naturalna trwale się w jakimś kraju usadowiła, doprowadzała do wyludnienia, t. zn. do usunięcia braku przez redukcyę potrzeb. Bogate i gęsto zaludnione, przodujące niegdyś cywilizacyi kraje, jak Mezopotamia i północne wybrzeża Afryki, dziś są w znacznej części pustkami właśnie dlatego, że mahometańskie państwa, zniszczywszy dorobek starożytnego świata, odebrały człowiekowi siłę w walce z przyrodą. Tu tylko nowe zdobycze nauk przyrodniczych, o ile chodzi o opór natury, i działalność prawna tam, gdzie prawo jest przyczyną niedostatku, mogą oddziałać skutecznie: gospodarstwo samo jest bezsilne.

Drugim rodzajem drożyzny jest drożyzna wymienna, powstająca wtedy, gdy dla jakiegokolwiek powodu podnosi się cena środków zaspokojenia naszych potrzeb. Drożyzna wymienna jest zjawiskiem wymiany i fenomenem czysto gospodarczym, zasadniczo nie mającym żadnego przyczynowego związku z jakimikolwiek warunkami produkcyi. Bez względu na to, jak gospodarz wytwarza, ile w wytwór wkłada pracy i kosztów, może on żądać za swój towar wyższej lub niższej ceny, taniej lub drożej go oddawać. O drożyźnie decyduje tutaj nie produkcya, lecz tylko targ, t. j. cena towaru, która się ułoży. I nawet bezwzględna jej wysokość nie określa bynajmniej stopnia drożyzny. Cena towaru może być wyższa niż dawniej, a mimo to nie będziemy uważali go za drogi, może być na odwrót niższą, a pojawią się skargi na drożyznę. Bo cena nie jest zjawiskiem jednolitem, jest złożonem, nie chodzi nam o koszt jednego towaru, lecz o ogół wydatków na zaspokojenie naszych potrzeb. Skoro łatwiej nam je pokryć niż dawniej, choćby więcej na nie wypadło wydać, drożyzny nie odczuwamy; odczujemy ją, choćbyśmy poszczególne towary otrzymywali po niższej cenie, jeżeli nasze środki nie zdołają nam zaspokoić naszych potrzeb do tego samego, jak dawniej, stopnia.

Oczywistą jest rzeczą, że każdy posiadacz jakiegokolwiek towaru — producent czy pośrednik handlowy — stara się przy wymianie zarobić jak najwięcej, t. zn. zmierza do osiągnięcia możliwie najwyższego zysku. Tendencya ta nie musi bynajmniej pro-

wadzić do podnoszenia cen jednostkowych. Gospodarzowi nie chodzi o podwyższenie swego zysku proporcyonalnego, lecz ogólnego, a wzrost cen nie zawsze do tego prowadzi. Ideałem jego będzie tak oznaczyć cenę, ażeby jego dochód był jak najwyższy; drożyzna, jeżeli zmniejszy mu zanadto zbyt, jest dla niego szkodliwa; obniżenie się cen może być korzystne, skoro powiększy jego obroty w takim stopniu, iż podniesie się ogólny czysty dochód. Jeżeli n. p. wyrób danego przedmiotu kosztuje jedną koronę, a przy cenie dwóch koron sprzedaje się go w ilości stu tysięcy, zysk wyniesie 100.000 kor. Skoro cena podniesie się do trzech koron, pewna liczba odbiorców, np. piąta ich część, już nie będzie mogła kupować tego towaru. W takim razie osiągnie się dochód brutto 240.000 kor., koszta produkcyi wynoszą 80.000, zysk przeto 160.000 kor. Idąc w ten sposób dalej i przypuszczając, że podniesienie ceny o jedną koronę zmniejsza o 20% poprzedniej cyfry ilość konsumentów, przekonamy się, że zysk byłby najwyższy przy cenie 5 lub 6 koron, podczas gdy cena 8 koron byłaby mniej korzystną niż cena 4 kor., a cena 10 kor. dałaby znacznie mniej dochodu od ceny 3 koron. Widoczne to jest z następującego zestawienia:

Cena jednostkowa koron	Ilość pozbytych towarów	Dochód surowy koron	Koszta produkcyi koron	Czysty zysk koron
4	64.000	256.000	64.000	192.000
5	51.200	256 000	51.200	204.800
6	40.960	245.760	40.960	204.800
7	32.768	229 376	32.768	196.608
8	26.214	209.712	26.214	183.498
9	20.971	188.739	20.971	167.768
10	16.777	167.770	16.777	150.993

Naturalnie właściciele towarów pragnęliby wobec tego utrzymać cenę na wysokości 5 lub 6 koron. Dalsze podrożenie przedstawia się dla nich już niekorzystnie, potanienie dałoby im większe zyski jedynie pod warunkiem bardzo wielkiego spotęgowania się zbytu. W życiu praktycznem jednak producent lub pośrednik handlowy do niedawna jeszcze nie miał możności doprowadzenia ceny do tej najidealniejszej dla siebie wysokości. Nie miał bowiem dostatecznych materyałów, ażeby oznaczyć siłę kupna konsumen-

tów, a zarazem, przy każdej podwyżce ceny musiał się liczyć z ewentualnością straty pewnej części swej klienteli na rzecz konkurenta, który cen nie podwyższył. Innemi słowy, konkurencya na targu uchylała możność jakichś ściślejszych obliczeń, które jedynie mogą zabezpieczyć gospodarza podnoszącego ceny przed stratami, a może i ruiną.

Ta niepewność, można powiedzieć niemożliwość dokładnego poznania stosunków targowych, skończyła się z chwilą powstania i rozszerzenia się karteli i pokrewnych im związków. Główny powód, dla którego kartele przyczyniły się w tak wysokim stopniu do wywołania drożyzny nie polega bynajmniej na ich tendencyi do osiągnięcia możliwie największych zysków. Tendencya ta istnieje w każdem gospodarstwie i związki kartelowe ani jej nie stworzyły ani nawet nie spotęgowały. Rola ich, utrudniająca konsumentom zaspokojenie potrzeb, polega na zupełnie czemś innem, mianowicie na dostarczeniu producentom i kupcom najdokładniejszych wiadomości o rozmiarach zapotrzebowania i sile kupna konsumentów, jako też na uzdolnieniu ich do wyzyskania tych wiadomości na swą korzyść. Konsumenci ani nie posiadają tych wiadomości ani nawet mając je, nie mogliby — wobec swego rozbicia — z nich korzystać, stąd też w społeczeństwie nastąpiło zasadnicze przesunięcie sił gospodarczych na niekorzyść spożywców.

Dzisiaj można śmiało twierdzić, że wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z kartelami — a jest ich obecnie tysiące — główną przyczyną drożyzny są właśnie te związki produkcyjno-handlowe. Uzasadnić to bardzo łatwo. Kartel rozdziela zapotrzebowanie pomiędzy poszczególne przedsiębiorstwa i uchylając w ten sposób konkurencyę, monopolizuje niejako dla stowarzyszonych w nim pokrycie potrzeb danej kategoryi. Odpada przeto obawa, że podwyżka ceny przysporzy odbiorców rywalowi, bo wysokość zbytu dla każdego z członków kartelu jest oznaczona z góry. Wskutek tego główną troską kartelu jest wyszukanie ceny, przy której ogólne zyski byłyby najznaczniejsze. Przychodzi mu to łatwo, gdy się uwzględni, że kartel kierując produkcyą i zbytem danego towaru w całym kraju, zbierając informacye od wszystkich swych członków, może dokładnie poznać tak zapotrzebowa-

nie jak i siłę kupna społeczeństwa. Konsument jest wobec niego bezbronny, u nikogo bowiem nie dostanie taniej, gdyż kartel normuje ceny dla całego kraju — albo więc musi ją zapłacić, albo wyrzec się nabycia potrzebnego towaru. A jasną jest rzeczą, że kartel oznaczy ceny w interesie dostawców, a nie odbiorców, t. zn. doprowadzi je do takiej wysokości, przy której zysk jego członków będzie najznaczniejszy. Stanowi on organizacyę, której zadaniem jest zapewnienie możliwie najświetniejszych dochodów dla swoich członków, która więc kierując się wyłącznie materyalnemi tendencyami, wyzyskuje w tym celu wszystkie okoliczności społeczne. Podaję poniżej najważniejsze czynniki, które ułatwiają kartelowi jego zadanie, zaznaczając z góry, że i bez organizacyi kartelowej mogą wyzyskać je producenci i pośrednicy handlowi. Jeżeli jednak przypatrzymy się przedsiębiorcom skartelowanym, to korzystanie we własnym interesie, bez względu na skutki dla innych i całego społeczeństwa, występuje najwyraźniej, związek ich bowiem daje im dość siły, ażeby swoje zamiary istotnie przeprowadzić.

Otóż najważniejsze okoliczności, z których korzysta się w kartelu dla podniesienia cen, dadzą się podzielić na przyczyny czysto-gospodarcze i ogólno-społeczne. Przyczyną gospodarczą podrożenia będzie każda okoliczność, która łącząc się ściśle z aktem dostarczania dóbr — produkcyą i wymianą — podnosi koszta tej działalności. Zwyżka w takim razie jest tylko naturalną i uzasadnioną konsekwencyą zmiany stosunków ekonomicznych, to też jeżeli swymi rozmiarami odpowiada wzrostowi kosztów, nie można uważać jej za niesprawiedliwą lub antyspołeczną. Inaczej natomiast należy się zapatrywać na przyczyny społeczne. Należą tu wszystkie okoliczności, które pozwalają właścicielowi podnieść cenę swego towaru, jakkolwiek warunki wytwarzania i obrotu nie uległy zmianie. Tutaj następuje już wzrost zysku dostawcy kosztem straty odbiorcy, wypadkowa walki dwóch interesów materyalnych — sprzedającego i nabywcy — przesuwa się na korzyść pierwszego. Innemi słowy, wzrasta zysk producenta lub pośrednika handlowego, a pogarsza się położenie konsumenta. Wzrost ceny w tym razie byłby więc społecznie tylko o tyle usprawie-

dliwiony, o ile dawniejsze zyski dostawców byłyby za nizkie. We wszystkich innych wypadkach jest to objaw ujemny, któremu należy przeciwdziałać.

Przejdźmy teraz po kolei najważniejsze przyczyny drożyzny, rozpoczynając od czynników czysto-gospodarczych.

1. Najważniejszą niewątpliwie zmianą w stosunkach gospodarczych jest trwały i ciągły wzrost wartości pracy ludzkiej, wskutek czego podnoszą się koszta produkcyi. Nie chodzi tu tylko o płacę robotników, lecz wogóle o dochody wszystkich warstw społecznych. Wskutek rozwoju kulturalnego i materyalnego przejawia się na każdym szczeblu drabiny społecznej wzrost potrzeb tak ilościowy jak i jakościowy. Człowiek odczuwa coraz liczniejsze pragnienia, a zarazem dawniejsze chce zaspokajać lepiej i wykwintniej. Przypatrzmy się sposobowi zaspokajania najważniejszych potrzeb — środkom żywności, odzieniu, mieszkaniom, a przekonamy się, że we wszystkich warstwach nastąpiła pod tym względem bardzo daleko idąca zmiana w kierunku pewnego komfortu, który w porównaniu ze stosunkami dawniejszymi posiada cechy zbytkowne. Nie znaczy to, ażebyśmy dziś zaspokajali te potrzeby w sposób nadmierny, tylko że pojęcia o tem, jak żyć się powinno, o t. zw. stopie życiowej podniosły się; człowiek żąda dziś dla siebie więcej niż dawniej. Do tego dołączył się cały szereg potrzeb nowych, głównie kulturalnych, które dawniej nie miały prawie żadnego znaczenia. Wszystko to musiało decydująco wpłynąć na wartość pracy ludzkiej. Bardzo znaczna część każdego społeczeństwa żyje wyłącznie z pracy, — w pozostałej reszcie mieści się znowu wielki procent gospodarzy, którzy posiadają wprawdzie pewne dochody z majątku, lecz za nizkie, ażeby wystarczyły na utrzymanie, tak, że konieczną jest rzeczą uzupełniać je pracą indywidualną. Otóż dla obu tych kategoryi — a tworzą one razem stanowczą większość społeczeństwa — sprawa odpowiedniego oszacowania wartości pracy, t. zn. po prostu podniesienie wynagrodzenia — jest kwestyą bytu. Ponieważ skala życia podniosła się, i rozmiar potrzeb, których zaspokojenie uważa się za niezbędne, jest dzisiaj znacznie szerszy, przeto i płaca musiała pójść odpowiednio w górę, bo cenę pracy ludzkiej, o ile chodzi o naj-

niższą jej granicę, nie normuje wytwórczość pracy, lecz koszt utrzymania, które w danym czasie i miejscu uchodzi za konieczny.

W gospodarstwie społecznem jednak istnieje pewne ustosunkowanie wartości różnych rodzajów pracy pomiędzy sobą, jako też wysokości płacy z jednej, a dochodów z innych źródeł z drugiej strony. Podwyższenie zarobków wskutek podniesienia skali życia, występuje oczywiście z konieczności w warstwach najmniej zamożnych, które bez tej podwyżki nie mogłyby się utrzymać. Inne klasy ludności możeby takiego wzrostu nie potrzebowały niezbędnie, bo i dawniejsze ich dochody wystarczają im na zaspokojenie potrzeb. Lecz takie stanowisko, można powiedzieć taka rezygnacya ekonomiczna, pogorszyłaby względne ich stanowisko materyalne, zmniejszyłaby przedział dobrobytu pomiędzy niemi a grupą najniższą. Na to nikt zgodzić się nie chce, tak, że u zamożniejszych występuje tendencya ku podniesieniu ich wynagrodzenia, ażeby ustosunkowanie dochodów nie przesunęło się na ich niekorzyść. Zupełnie takie same czynniki wpływają i na gospodarzy, czerpiących swe dochody z własności, tak, że w społeczeństwie stwierdzamy ogólną dążność ku powiększaniu dochodów poszczególnych gospodarzy. Czy w życiu praktycznem, w danym czasie i miejscu, ten ruch rozpocznie się od klas najbardziej potrzebujących czy od innych, jest rzeczą obojętną; dla naszej kwestyi wystarczy stwierdzić, że tendencya ku powiększeniu indywidualnych dochodów staje się ogólną.

W produkcyi i wymianie wywołuje taki stan rzeczy ogólne podniesienie kosztów produkcyi. Robotnik staje się droższy, bo chce więcej zarabiać, surowce nabywa się po wyższej cenie, bo właściciel ich domaga się wyższych dochodów, przedsiębiorca liczy sobie wyższe wynagrodzenie za kierownictwo, kupiec za pośrednictwo. Wszystko to prowadzi siłą rzeczy do podrożenia towarów, o ile nie przeciwdziałają tym objawom zmiany w kierunku zmniejszenia kosztów wytwarzania, np. postęp techniki, nowe wynalazki, koncentracya produkcyjna, umożliwiająca oszczędność w wielu kierunkach. Lecz nawet i w takim razie mamy do czynienia z podrożeniem towarów teoretycznem, jakkolwiek nie występuje ono w rzeczywistości. Po prostu wszystkie te ułatwienia

techniczne i gospodarcze umożliwiłyby konsumentom znacznie tańsze zaspokajanie potrzeb, gdyby nie było zwyżki płac i dochodów. Skoro ona jest, neutralizują ją w całości lub w części, ale nie wychodzą na korzyść spożywców w całej swej wysokości, tak jakby to było, gdybyśmy nie żyli w czasie, w którym każdy domaga się dla siebie więcej, niż dawniej.

Jakkolwiek ten rozwój gospodarczy podnosi najczęściej ceny towarów, a tem samem zmusza do przeznaczenia większej ilości środków na zaspokojenie tych samych potrzeb, należy uznać go za dodatni, za korzystny postęp w dziedzinie ekonomicznej. Zwyżka płac i wogóle ceny pracy podnosi bowiem stanowisko człowieka w stosunku do martwych środków produkcyi, z drugiej zaś strony zwiększając jego siłę kupna, stwarza dla gospodarstwa narodowego lepsze warunki i przyczynia się do wzrostu kultury, pozwalając używać większej części ogólnego dochodu społecznego do zaspokajania potrzeb o charakterze cywilizacyjnym. Inna rzecz jest z tendencyą podniesienia dochodu z kapitału, t. zn. podwyższenia procentu, która, jak zaznaczyłem poprzednio, pojawia się jako korelat zwiększenia wartości pracy ludzkiej. Gospodarstwo jest przeznaczone dla człowieka, bez potrzeb lub przy możliwości darmego ich zaspokajania, nie miałoby żadnej racyi bytu. Stąd też przesunięcie granicy przy rozdziale rezultatów gospodarczych na korzyść człowieka, jest zgodne z zasadniczym celem ekonomicznej działalności. Tymczasem podwyższenie dochodu z kapitału może się odbyć tylko w sposób dla człowieka niekorzystny, albo bowiem procent będzie wyższy dlatego, że obniży się płaca, albo dlatego, że podwyższy się cenę wytworów. W obu wypadkach zaspokojenie potrzeb staje się coraz trudniejszem, a więc w obu mamy do czynienia z rezultatem, który można nazwać anty-społecznym. Tymczasem dążność do utrzymania dawnego stosunku dochodu różnych kategoryi prowadzi do tego, że posiadacz kapitału wobec zwyżki płac chce mieć także wyższy procent, a nie mogąc zmniejszyć wartości pracy, podnosi cenę swych wytworów, sprowadzając w ten sposób drożyznę. Przychodzi mu to tem łatwiej, że wyższe zarobki zwiększają popyt, stwarzając nowych lub silniejszych konsumentów.

Skutki takiego rozwoju nie wszędzie jednak są równe. Jeżeli kapitał w znacznej części jest rozdzielony na małe kwoty, t. zn. jeżeli mamy do czynienia z wielką ilością drobnych kapitalików, wzrost procentu zbliża się w swych skutkach bardzo wybitnie do wzrostu płac. Mały przedsiębiorca czy kapitalista lepiej, obficiej zaspokaja swe potrzeby, mające w przeważnej swej ilości charakter potrzeb przeciętnych danego społeczeństwa, podnosi swą skalę życia podobnie jak robotnik, idzie więc po drodze racyonalnego rozwoju. Jeżeli jednak panuje koncentracya kapitałów — a dzisiaj widzimy ją w bardzo wysokim stopniu we wszystkich niemal krajach — wyniki są zupełnie inne. Dochody rosną w ogromnym stopniu, a ponieważ dawniejsze wystarczały już na wszystko, przeto cała nadwyżka służy albo dalszej kapitalizacyi, tak że tworzenie i zwiększanie dochodów przestaje być środkiem, a staje się celem, albo budzi potrzeby zbytkowne, bardzo często nieracyonalne i wprost niezdrowe. Podwyższenie stopy procentowej z 4 na 6, daje posiadaczowi paru tysięcy koron, kilkadziesiąt koron więcej, które może on zużyć na lepsze odżywienie się, mieszkanie lub kształcenie. Staje się on wskutek tego silniejszym konsumentem, nie zmieniając zasadniczo swego trybu życia, może urządzić je sobie lepiej czy dogodniej. Jeżeli jednak posiadacz n. p. 10 milionów otrzymuje 2% więcej, stanowi to już kwotę 200.000, która służy albo jako środek nowego powiększenia dochodu, albo budząc w nim pragnienie użycia tej sumy za każdą cenę dla swej przyjemności, stwarza potrzeby nieraz wprost szalone. A ponieważ ten wzrost dochodów jest wynikiem zwiększenia ceny towarów, przeto utrudnienie zaspokojenia potrzeb ogółu jest środkiem do uzyskania zasobów, które, z punktu widzenia racyonalnej organizacyi społecznej, służą celom zbędnym lub szkodliwym.

Kartele, jakkolwiek się zowią i w jakikolwiek są zorganizowane sposób, nader często właśnie do takich prowadzą rezultatów. Grupując największych przedsiębiorców, w dodatku prawie zawsze pod egidą potężnych banków, rozporządzających setkami milionów, z łatwością wyzyskują konjunkturę na rzecz stowarzyszonych, t. zn. tych wielkich gospodarzy. Fakt powiększenia dochodów z pracy, a więc wzrostu siły kupna u szerokich warstw

jest im dokładnie znany, dążą więc do tego, ażeby z tej przemiany jak najwięcej skorzystać. Zamiast żeby wyższe zarobki miały posłużyć różnorodniejszym potrzebom i umożliwiły nabycie liczniejszych dóbr, służy ten wzrost pod wpływem karteli głównie do tego, ażeby umożliwić ustalenie wyższych cen. Dzięki temu mimo znaczniejszych dochodów warstw mniej zamożnych, niema dla nich bardzo często możności polepszenia bytu, bo kartel tę zwyżkę eskontuje dla siebie, podnosząc odpowiednio cenę towarów. Wszak powszechnie wiadomą jest rzeczą, że w miastach o znacznej liczbie urzędników, podwyższenie ich płac w nieznacznym tylko stopniu podnosi ich dobrobyt. Skoro tylko wyjdzie taka ustawa, natychmiast podnoszą się ceny artykułów przez urzędników konsumowanych, żywności, mieszkań, ubrania i t. p. Zamiast żeby taki urzędnik wynajął sobie n. p. obszerniejsze mieszkanie, płaci on wyższy czynsz za dawniejsze, zaspokojenie dawnej potrzeby staje się droższe. Otóż to samo, co wobec jednej warstwy ludności, której dochody są znane, bo prawem określone, mogą zrobić nawet mniejsi i zindywidualizowani dostawcy, robi kartel w stosunku do całego społeczeństwa. Dzięki temu wzrasta dywidenda wielkich przedsiębiorstw, lecz położenie ludności nie polepsza się, a gospodarczo — nawet gdyby wzrost cen nie przewyższał stosunkowo zwyżki dochodów — pogarsza się zawsze, bo na zaspokojenie tych samych potrzeb zużywa się więcej środków niż dawniej.

2. Drugim czynnikiem ogólno-społecznym jest trwały wzrost ludności w krajach cywilizowanych i połączone z nim skupienie się ludności w wielkich miastach. Wzrost ludności jest objawem niewątpliwie dodatnim, bo z jednej strony wynika z polepszenia warunków hygienicznych, z drugiej zaś zwiększa w każdym niemal kierunku siły społeczeństwa. Szczególniej wzrost ludności, który obserwujemy obecnie w Europie, można uważać za jedną z najważniejszych zdobyczy nowoczesnej cywilizacyi. Idzie on bowiem w parze ze stosunkowem zmniejszaniem się liczby urodzeń, polega przeto jedynie na obniżeniu się śmiertelności, na przedłużeniu życia ludzkiego. Mimo to wzrost ludności musiał zaciężyć na społeczeństwach, jako objaw utrudniający w wielu wypadkach zaspokojenie potrzeb życiowych. Przedewszystkiem ułatwił on zna-

komicie pojawianie się drożyzny naturalnej, o ile bowiem rozwój produkcyi nie dotrzymywał kroku wzrostowi zaludnienia, ilość wytworów służących człowiekowi stawała się stosunkowo mniejsza. Jasną jest rzeczą, że gdyby wytwórczość utrzymała się trwale w pewnej wysokości, a ludność, t. zn. zapotrzebowanie wzrastało, musiałby się okazać brak na wszystkich polach. Otóż w tym wypadku usiłowania ludzkie musiałyby zmierzać do usunięcia tego niedostatku, a o ile gospodarstwo narodowe miałoby urządzenie planowe, rozpoczętoby od wysiłków powiększenia produkcyi w gałęziach najważniejszych, a więc tych, w których odczuwano brak najdotkliwiej.

W rzeczywistości jednak rozwój poszedł innym torem, znacznie gorszym. Wpływ wzrostu ludności pojawił się oczywiście najpierw w kategoryi najpierwszych potrzeb życiowych, a więc jako powiększenie zapotrzebowania środków żywności. Naturalnym tego skutkiem powinna była być akcya około podniesienia wytwórczości rolniczej, jako głównego źródła dostarczającego pożywienia. Niestety cały szereg czynników, którymi zajmę się w dalszym ciągu, nie dopuścił w przeważnej części krajów europejskich do takiego rozwoju, a nawet wręcz przeciwnie oddziałał na rolnictwo w kierunku stosunkowego obniżenia jego roli w gospodarstwie społecznem. To, czego nie dostawało w produkcyi rolniczej krajowej, a co było jednak niezbędnem dla utrzymania ludności, zaczęto sprowadzać z krajów młodych, słabo zaludnionych, a nader żyznych, z Ameryki i Australii. Usunięto wprawdzie w ten sposób drożyznę naturalną, lecz usunięto ją prowizorycznie tylko, bo nie produkcyą, ale wymianą — rolę producenta objął pośrednik handlowy.

Skutki tego postępowania musiały być ujemne. Rolnictwo, nie rozwijając się, musiało upadać, a tem samem musiała się zmniejszyć ilość osób, oddających się zawodom rolniczym. Wobec wzrostu ludności odbyło się to w ten sposób, że ludność rolnicza zaczęła emigrować, najpierw do miast, wytwarzając koncentracye miejskie, potem nawet za granicę. Wskutek tego produkcya rolnicza mogła mieć tylko coraz mniejszy udział w zaspokajaniu potrzeb, handel zdobywał coraz większe znaczenie. Powtóre koncen-

tracya ludności po miastach, oddalając się coraz bardziej od wytwórców, uzależniała ją tem więcej od handlu, a tem samem nadawała mu decydujące stanowisko w regulacyi ceny. Ceny płodów rolniczych przeto coraz mniej miały związku z warunkami produkcyi, w ustanawianiu ich pośrednictwo stawało się coraz bardziej wolnem.

Dzięki temu nie tylko konsument, ale i rolnik stali się prawie zupełnie zależni od kupca, który regulując ceny — tak przy nabyciu, jak i przy pozbyciu — stosownie do swego materyalnego interesu, zmierzał do kupowania płodów rolniczych jak najtaniej, sprzedawania jak najdrożej. Rolnik, nie znajdując dostatecznych korzyści przy uprawie ziemi, opuszczał ją, szukając w przemyśle lub handlu zyskowniejszego zawodu, to też coraz mniej rąk pracowało na roli, produkcya krajowa stawała się coraz mniejszą. Wreszcie zaczęto dostrzegać w tym procesie gospodarczym poważne niebezpieczeństwo społeczne, zaczęto się obawiać zupełnej zależności od pozaeuropejskiej wytwórczości właśnie w dziedzinie najważniejszych potrzeb. Ażeby do tego nie dopuścić, państwa europejskie poczęły chronić krajowe rolnictwo, powróciły do zniesionego poprzednio systemu ceł zbożowych. Celem ich było zapewnienie rolnictwu odpowiednich dochodów, ażeby w ten sposób podtrzymać je od upadku. Jasną jest jednak rzeczą, że polityka tego rodzaju musiała przynajmniej na razie spotęgować drożyznę. Ponieważ dotąd ceny zboża, bydła i innych wytworów gospodarstwa wiejskiego, wobec przeważnej konkurencyi zagranicznej były za nizkie, więc cła i inne wszelkiego rodzaju utrudnienia dowozu miały je podnieść do odpowiedniej wysokości. Jeżeli jednak poprzednio handel nabywał u rolników bardzo tanio, bo normą ceny były koszta dowozu z zagranicy, to obecnie, gdy one się zwiększyły, podniósł on wprawdzie ceny dla konsumentów, lecz zmierzał do zabrania tej zwyżki w jak największej części dla siebie, ofiarowując z niej możliwie najmniej rolnikowi. Stąd też nowa polityka gospodarcza przyniosła rolnictwu niezbyt wielkie korzyści, okazała się za słabą, ażeby w krótkim czasie można było odzyskać to, co się straciło poprzednio. Krajowe rolnictwo mimo zwiększonej nad niem opieki rozwijało się i rozwija powoli, słyszymy i teraz

jeszcze jego skargi i to w znacznej mierze uzasadnione. To też stosunki zaogniają się coraz więcej, bo konsument wskutek ochrony rolnictwa płaci drożej, rolnik mimo to jest niezadowolony, a produkcya krajowa i nadal nie wystarcza.

Łącznie z powyższymi czynnikami występuje przemiana w ilościowem stosunkowaniu poszczególnych grup zawodowych. Każdy ustalony i kulturalny ustrój społeczny posiada w swych początkach charakter przeważnie rolniczy. Z czasem jednak rolnictwo ustępuje coraz bardziej miejsca innym zawodom, a mianowicie gałęziom przemysłowym i handlowym, które wskutek ciągłego różniczkowania i doskonalenia się potrzeb stają się rentowniejsze od rolnictwa. Rozwój ten jest zupełnie naturalny i z punktu widzenia ogólno-społecznego pożądany, doprowadza jednak do utrudnienia warunków życiowych, jeżeli postępuje zbyt szybko, albo też przechodzi właściwą miarę.

Otóż właśnie w naszej epoce to uprzemysłowienie było w wielu krajach niewątpliwie zbyt pośpieszne. Nie mogę tu wchodzić w dokładne omówienie przemian, przez jakie przeszło gospodarstwo europejskie i amerykańskie w ostatnich kilkudziesięciu latach, stwierdzam jednak, że wszędzie zaznacza się coraz silniej przewaga zawodów przemysłowo-handlowych nad rolnictwem. Co gorsza pomiędzy rozmaitymi krajami zachodzi bardzo wielka różnica pod względem tego, czy ta przemiana ma charakter raczej uprzemysłowienia czy też uhandlowienia kraju. W niektórych społeczeństwach, głównie zachodnio-europejskich, rozpoczął się ten proces już wcześnie, z końcem XVIII i w pierwszej połowie XIX stulecia. Zaczęły one przechodzić z rolnictwa do przemysłu, t. zn. z jednego rodzaju produkcyi do innego. Wyprzedzając pod tym względem inne narody, mogły one liczyć na zbyt swych wytworów przemysłowych nie tylko u siebie, ale i za granicą, mogły więc znakomicie rozwinąć swoją wytwórczość. Handel był u nich jedynie pomocnikiem przemysłu; miał mu ułatwić stosunek z konsumentem i zdobywać nowe rynki zbytu w miarę tego, jak podnosiła się wydajność narodowej produkcyi. Przejście z gospodarstwa rolniczego w przemysłowe było tu istotnie równoznaczne z podniesieniem dobrobytu narodowego, bo pozbywanie za granicą

po wysokich cenach swych towarów, nie tylko umożliwiło nabycie tam brakujących w kraju płodów rolniczych, lecz pozostawiało jeszcze znaczną nadwyżkę, która zwiększała bogactwo narodu. Najklasyczniejszego przykładu dostarcza Anglia. Już w drugiej połowie XVIII w. staje się Anglia dostawcą całego świata licznych artykułów przemysłowych, których nie wyrabia się wcale, względnie w dostatecznej ilości lub równej jakości w innych krajach. Wskutek tego przemysł jej rozwija się szybko; zatrudnia coraz więcej rąk i kapitałów, a handel spełnia nader użyteczną funkcyę uzupełniającą, wyszukując coraz nowych odbiorców angielskich towarów. Równocześnie upada powoli rolnictwo, bo coraz znaczniejszy procent ludności i zasobów zwraca się ku przemysłowi, dającemu znaczniejsze zyski. Lecz gospodarstwo angielskie nie tylko nic na tem nie traci, lecz wręcz przeciwnie osiąga wielkie korzyści. Prawda, że wydobywane w kraju płody rolne nie wystarczają, lecz zagranica, posiadająca przeważnie charakter rolniczy, płaci za towary angielskie swem zbożem i mięsem Ponieważ jednak płody ziemi i gospodarstwa wiejskiego są stosunkowo tańsze od wytworów przemysłowych, więc Anglia otrzymuje dostateczną ilość pożywienia, za cząstkę swego wywozu, podczas gdy cała reszta pozostaje jej jako czysty zysk, zwiększający zasobność całego społeczeństwa.

W zupełnie innem jednak znalazły się położeniu te kraje, które później dopiero wstąpiły na drogę uprzemysłowienia. I w nich głównym motywem przemiany była dążność jednostek do osiągnięcia większych zysków, lecz warunki były już odmienne, tak, że osiągnięcie tego celu nie zawsze pokrywało się z interesem całego społeczeństwa. Przedewszystkiem nie można już było liczyć w tak wysokim stopniu na zagranicę, tak, że dla przemysłu główne znaczenie musiał mieć targ krajowy, który też należało chronić odpowiednim ustrojem celnym. Zasadniczo jest to rzecz zupełnie właściwa, że pragnie się, ażeby krajowe zapotrzebowanie zaspokajano krajową produkcyą. Tylko w tym wypadku zabezpiecza się warunki rozwoju własnemu gospodarstwu i co ważniejsza jeszcze, ekonomiczną niezależność od zagranicy, której interes może właśnie na tem polegać, ażeby dany kraj doprowadzić do upadku

materyalnego, nie dostarczając mu potrzebnych przedmiotów, albo sprzedając je po zbyt wygórowanych cenach. To też ochronie celnej racyonalnej, która opiekuje się krajową produkcyą, dla społeczeństwa niezbędną lub posiadającą odpowienie warunki rozwoju, a tylko na razie nie zdolną walczyć skutecznie z przeważną konkurencyą zagraniczną, nie można niczego zarzucić. Niestety ochrona ta, sama w sobie słuszna, niejednokrotnie wywołuje inne jeszcze, już niekorzystne rezultaty. Przemysł rozwijając się stale, a nie mając żadnych naturalnych granic dla rozmiarów swej wytwórczości, musi z czasem doprowadzić do tego, że po pokryciu krajowego zapotrzebowania, pozostanie pewna nadwyżka, którą można sprzedać tylko za granicą. Wskutek tego żądanie jego zwiększa się: chodzi nie tylko o zapewnienie rynków krajowych, lecz i o ułatwienie konkurencyi na targach obcych. Wobec tego, że z wyjątkiem jednej Anglii wszystkie kraje wprowadziły ochronę celną, zdobycie dostaw zagranicznych możliwem jest tylko przy bardzo znacznem obniżeniu cen, bo walka konkurecyjna jest nader gwałtowna. Wskutek tego wytwarza się nowa doktryna, która różniczkuje ojczyznę producenta i zagranicę i to na niekorzyść kraju ojczystego. Mianowicie przemysł zadowalając się z konieczności za granicą małymi stosunkowo zyskami, pragnie tem większe osiągnąć u siebie, innemi słowy, ażeby mógł sprzedawać tanio obcym, stara się utrzymać wysokie ceny w kraju. To też domaga się, ażeby cła ochronne zachować, a nawet podnieść jeszcze, chociażby obca konkurencya nie mogła mu odebrać krajowego zbytu, o ileby sprzedawał swe wytwory po cenach wprawdzie korzystnych, lecz niezbyt wygórowanych. Protekcya celna ma więc stworzyć już trwałą drożyznę w kraju, ażeby ułatwić konkurencyę za granicą. Konsument krajowy płaci więc za towar wyższą cenę, ażeby tem taniej można było sprzedawać obcym; rozwój przemysłu bogaci wprawdzie społeczeństwo lecz zarazem, wpływając na podrożenie dóbr, utrudnia zaspokojenie potrzeb.

Wreszcie mamy do czynienia z trzecim jeszcze wypadkiem, najgorszym, a dla nas najważniejszym, bo właśnie w naszym kraju ewolucya gospodarcza doprowadziła do jego pojawienia się. Zachodzi on wtedy, gdy w społeczeństwie objawia się dążność

do zwiększenia indywidualnych dochodów, a uprzemysłowienie kraju natrafia na poważne przeszkody. Wówczas zwraca się znaczniejsza liczba gospodarstw nie do przemysłu, bo ten rozwija się powoli, ale do handlu, jako do zawodu co najmniej równie zyskownego, a znacznie łatwiejszego. W istocie wzrost przemysłu w krajach, które pozostały w tyle poza innymi, jest nader utrudniony. W dzisiejszych czasach przemysł wymaga bardzo znacznych wkładów, wielkiej doskonałości technicznej i gospodarczej jako też obszernych targów zbytu. Kraj, który dla jakichkolwiek powodów nie umiał wytworzyć przedsiębiorstw przemysłowych w czasie, gdy wogóle gospodarstwo narodowe zaczęło się opierać silniej na przemyśle, nie rozporządza najczęściej dostatecznymi kapitałami, nie ma sił wyszkolonych, a co najważniejsza, oddał już swe rynki obcym dostawcom. Zapotrzebowanie towarów przemysłowych istniało zawsze, a ponieważ nie było odpowiedniej rodzimej produkcyi, więc niezbędne towary przychodziły z zewnątrz. Młody przemysł krajowy, który już i tak ma do zwalczenia bardzo wielkie trudności przy wewnętrznej swej organizacyi, spotyka na targu przemożnego, od dawna tam panującego konkurenta obcego, spotyka w publiczności długoletnie przyzwyczajenie kupowania obcych wyrobów. Nic przeto dziwnego, że niejedno przedsiębiorstwo krajowe upada, że każde prawie w początkach popełnia szereg błędów, że wyroby nieraz są jakościowo gorsze od obcych, że ceny, wobec wydatków na zdobycie zbytu, niedoświadczenia w produkcyi i braku kapitału, który zastępuje się częstokroć drogim kredytem — są wysokie. Wszystko to sprawia, że w społeczeństwie niewielkie na razie jest zaufanie do krajowego przemysłu, a jednostki nie bardzo kwapią się do zakładania nowych przedsiębiorstw, bo niebezpieczeństwo strat jest rzeczywiście znaczne. Przytem dawniejsi dostawcy z całą siłą zwracają się przeciw nowym swym rywalom, chcąc za każdą cenę utrzymać nadal swą klientelę. Nie cofają się przeto przed żadnym środkiem walki i zwyciężają w niej często, jako zręczniejsi, doświadczeńsi i zasobniejsi.

W takich stosunkach tworzenie nowych przedsiębiorstw przemysłowych odbywa się powoli, a równocześnie wielka liczba

osób, pragnie polepszyć swój byt materyalny. Nie mogąc tego osiągnąć w dziedzinie przemysłowej, zwraca się do handlu, gdzie niema ani takich trudności, ani takich niebezpieczeństw. Nowy fabrykant jest wrogiem producentów pozakrajowych, nowy kupiec raczej ułatwia im utrzymanie się na targu, bo we własnym interesie stara się o szerzenie pomiędzy publicznością towarów, w których obrocie pośredniczy. Handel, jak powszechnie wiadomo, jest zajęciem bardzo zyskownem, a zarazem nie wymaga ani wielkich nakładów, ani zbyt wielkiego wykształcenia zawodowego. Jest zawodem zyskownym, gdyż licząc na zaspokajanie indywidualnych potrzeb, może niejednokrotnie z łatwością żądać ceny w stosunku do własnych kosztów bardzo znacznej, a więc otrzymywać wielkie zyski. Przy nabywaniu potrzebnych nam środków, zwracamy uwagę na ogólny wydatek, a nie na ceny jednostkowe. Choćby one były bardzo wysokie, nie odczujemy tego, jeżeli kupujemy tak mało towarów danego rodzaju, że ostateczna różnica ceny jest drobna. Podrożenie masowych towarów odbija się natychmiast na położeniu konsumenta, bo potrzebuje on ich dużo, dlatego np. słyszymy skargi na drożyznę, jeżeli np. chleb lub mięso pójdą w górę choćby o jeden lub dwa halerze. Natomiast znacznie większe podrożenie kapeluszy, rękawiczek, albo oprawy książek, nie wywoła u odbiorców silniejszej reakcyi, bo jednostka tak mało tych towarów nabywa w ciągu roku, że wyższa cena wpływa na jej budżet w minimalnych tylko rozmiarach. Właśnie dlatego kupiec w stosunku do swych odbiorców posiada w wielu razach wielką swobodę w oznaczeniu ceny. Dla niego zwiększenie jej o drobną nawet kwotę przedstawia poważny interes, bo tych towarów sprzedaje bardzo wiele; dla konsumentów, z których każdy kupuje drobną ich ilość, jest to prawie obojętne. Jest więc można powiedzieć atak, a niema obrony, kupiec oznacza ceny niemal jednostronnie, uwzględniając jedynie swoją własną korzyść.

Wobec tego że obrót handlowy jest krótkoterminowy, kupiec potrzebuje stosunkowo nieznacznego kapitału i to tem więcej, że kredyt handlowy jest nader rozwinięty. Podczas gdy większe przedsiębiorstwo przemysłowe wymaga wkładów bardzo dużych i co ważniejsza trwale uwięzionych, głównym wydatkiem w han-

dlu są koszta nabycia towarów, które jednak w krótkim czasie wpływają z powrotem, bo towar służy do obrotu, a więc sprzedaż jego zwraca natychmiast kapitał nań wyłożony. Ze względów majątkowych przeto bez porównania jest łatwiej zostać kupcem, aniżeli przemysłowcem. Wreszcie i rozmiar wiadomości zawodowych jest znacznie mniejszy. Najpierw odpada cała strona techniczna wykształcenia fachowego, a raczej jest ona stosunkowo tak łatwa i prosta, że nabywa się ją bardzo szybko. Powtóre przy dzisiejszej specyalizacyi handlowej, towaroznawstwo nie przedstawia poważniejszych trudności, wkońcu kupiec licząc głównie na zbyt miejscowy lub okoliczny, a zaopatrując się w towary u firm, które przez swych ajentów zgłaszają się do niego, nie ma potrzeby zapoznawać się ze stosunkami na odległych targach, z czem musi się liczyć wielki przemysłowiec.

Naturalnie, wywody te odnoszą się przedewszystkiem do handlu średniego i małego, bo wielki posiada inne znaczenie i od mienne właściwości. Lecz najpierw dla konsumenta, który nabywa z każdego rodzaju nieliczne tylko towary, decydującym jest handel detajliczny, a powtóre szybkie mnożenie się dostrzegamy tylko przy małych i średnich zakładach handlowych. Polega ono, jak zaznaczyłem poprzednio, na stosunkowej łatwości osobistego i materyalnego opanowania takiego przedsiębiorstwa, przy równoczesnem prawdopodobieństwie znaczniejszych zysków. Do tego dołącza się jeszcze jeden moment, występujący już po stronie publiczności, a który możnaby określić jako tendencyę wygody. Nowy sklep, otwarty w miejscu, w którem dotychczas nie było takiego zakładu, zbliża towar do konsumenta i dlatego przedstawia się dla publiczności jako nowe ułatwienie. Stąd też z jednej strony może z góry liczyć na pewną klientelę — np. najbliżej mieszkających — z drugiej zaś wpływa na powiększenie ogólnego zbytu towarów, gdyż zmniejsza trud i stratę czasu przy zakupnie. Nowy sklep zachęca po prostu do nowego lub liczniejszego zaopatrywania się w rozmaite środki, co uznała już dawno praktyka, domagając się ograniczeń w tworzeniu takich lokalów, gdy chodzi o obrót towarami, których użycia nie uważa się za pożądane, jak np. przy szynkach i sprzedaży gorących napojów. Wiemy do-

skonale bowiem, że większa ilość szynków potęguje alkoholizm — po prostu dlatego, że ułatwia nabycie spirytualiów. Otóż takie rozszerzenie zbytu, pod wpływem tworzenia nowych sklepów, pojawia się przy wszystkich artykułach.

W ten sposób handel oddziaływa z podwójną siłą na podrożenie towaru. Nowy sklep wprowadza pomiędzy producenta a konsumenta nowego pośrednika, który za swą działalność domaga się odpowiedniego wynagrodzenia. Na towar więc nakłada się nowy ciężar — zysk jeszcze jednego gospodarstwa handlowego — który musi opłacić albo wytwórca albo spożywca. Gdzie producenci są zorganizowani w kartele, kupiec nie może obniżyć ich żądań, bo jest od nich słabszy, musi więc przerzucić cały ciężar swych zysków na publiczność konsumującą. Podobnie będzie i tam, gdzie wytwórcy zarabiają mało, gdzie więc zmniejszenie ich dochodów nie da się przeprowadzić, ze względu na tendencye wyrównawcze zysków, o których już poprzednio była mowa. Tu znowu tylko konsument, płacąc więcej niż dawniej, może handlowi dostarczyć dostatecznego zarobku. Odnosi się to przedewszystkiem do środków pożywienia, dostarczanych przez rolnictwo i wyjaśnia w znacznej mierze dlaczego różnica ceny, którą otrzymuje rolnik, a którą potem płaci za te same płody konsument, jest tak znaczna. Powtóre nowe przedsiębiorstwo handlowe rozszerzając rozmiary obrotu, bez zwiększenia, przynajmniej na razie, produkcyi, działa podobnie jak wzrost ludności, t. zn. zmienia niekorzystnie stosunek zapotrzebowania i pokrycia, potęgując drugie, nie podnosząc pierwszego. Wskutek tego powstaje nowy powód dla podrożenia, bo przy wyższym popycie, mamy dawniejszą tylko podaż.

W ten sposób rozszerzanie się handlu działa wybitnie w kierunku podrożenia towarów. I nie można przeciw temu podnosić ewentualności, w której nowe sklepy nie przedłużałyby drogi od produkcyi do konsumcyi, ani też nie powiększałyby ogólnego zbytu. Taki wypadek jest wprawdzie możliwy, jakkolwiek należy do wyjątków, lecz nawet gdy się pojawia, nie zmienia w niczem wyżej nakreślonego obrazu. Musimy bowiem pamiętać o ogólnem dążeniu do podwyższenia wartości pracy ludzkiej, a w ślad za

tem i innych źródeł dochodu. Skoroby więc nowy sklep musiał się podzielić pracą z dawniej już istniejącymi, tak, że ani nie podniósłby się obrót, ani nie powstał nowy przedział produkcyi i konsumcyi, wszyscy kupcy podnieśliby odpowiednio cenę za swe usługi, bo nie zgodziliby się na zniżkę swych dochodów. A ponieważ do poprzednich handlów dołączyły się nowe, przeto ceny towarów wzrosłyby progresywnie, ażeby i tym świeżym uczestnikom pośrednictwa zapewnić dostateczny zarobek. Inne więc byłyby środki i przyczyny, ale skutek pozostałby niezmieniony: podrożenie towarów, pod wpływem powiększenia ilości pośredników.

(Dok. nast.)

Dr. Wł. Czerkawski.

NOWE PRĄDY W SOCYALIZMIE FRANCUSKIM.

(Ciąg dalszy).

Po ukonstytuowaniu się ostatecznem Związku Pracy (C. G. T.) na kongresie w Montpellier 1902 r. występują od razu w łonie jego dwa odcienia i kierunki, reformatorski i rewolucyjny, które zwalczając się z gwałtowną zaciętością przez lat kilka, zlewają się ostatecznie w t. zw. syndykalizm rewolucyjny. Na kongresie w Bourges 1904 r. przedewszystkiem zawrzała burza, która skończyła się zwycięstwem kierunku rewolucyjnego. W gruncie rzeczy oba kierunki do jednego i tego samego zmierzają celu, t. j. zupełnego usunięcia pracy najemnej i co za tem idzie przebudowy całego ustroju polityczno-ekonomicznego. Różnicę stanowi tu głównie taktyka.

Reformiści wzięli sobie za wzór taktykę dawnych tradesunionów w Anglii. W ich rozumieniu syndykaty mają za zadanie starać się o powiększenie płacy i skrócenie czasu pracy. W jaki sposób? Przedewszystkiem drogą pokojową: przez porozumienie się z przedsiębiorcami, przez wytworzenie specyalnych wydziałów, złożonych z przedsiębiorców i robotników i stale funkcyonujących rad robotniczych, przez zawieranie kontraktów taryfowych. W tym celu korzystać należy z instytucyi państwowych, mających na celu dobro robotników i w razie potrzeby z interwencyi władzy państwowej i nie uchylać się od udziału czynnego w najwyższej radzie pracy *(Conseil superieur du travail)*.

W syndykatach zaś, ażeby utrzymać masy robotnicze w karbach porządku i uchronić je przed nieopatrznymi strajkami, na-

leży przeprowadzić ścisłą centralizacyę, dbać o wykształcenie roztropnych i doświadczonych urzędników syndykalnych i powiększenie środków finansowych. W ten sposób zapewni się robotnikom pomoc materyalną a kapitałom przedsiębiorców przeciwstawi poważną siłę finansową, jak to się praktykuje w Anglii i Niemczech.

Wogóle ażeby polepszyć położenie robotników trzeba, zdaniem reformistów, przedewszystkiem wzmocnić rozwichrzoną we Francyi wskutek wybujałego indywidualizmu organizacyę robotników i ująć w silne dłonie kierownictwo całego ruchu.

Postulaty słuszne i uzasadnione należy o ile możności przy pomocy opinii i władzy publicznej forsować i dopiero wówczas gdy droga rokowań wskutek bezwzględności i oporu przedsiębiorców nie osiągnie celu, wejść na drogę walki za pomocą strajku lub bojkotu. »Metoda tak zwana reformistów, mówi Keufer, jeden z przywódców tego kierunku, nie polega na tem, żeby czekać na sposobną dla rewolucyi porę, lecz na stawianiu postulatów i przeforsowaniu ich za pomocą strajku, gdy rokowania zawodzą i przedsiębiorcy ich słuszności uznać nie chcą« [1].

Taki jest program i taktyka reformistów, do których zaliczają się wielkie związki zecerów, kolejarzy, handlowców, mechaników pod wodzą Keufer'a, Guérard'a i Niel'a.

Kierunek rewolucyjny, przeciwnie, uważa syndykaty za posterunki bojowe, które mają podtrzymywać i rozszerzać w dzisiejszem społeczeństwie bezustanną walkę klasową. Syndykaty, zdaniem zwolenników tego kierunku, nie są biurami prawnemi, żeby zawierać korzystne dla robotników kontrakty z przedsiębiorcami i bronić ich interesów czysto materyalnych. Dążenie do wytargowania i wywalczenia sobie lepszej płacy i skrócenia czasu pracy to zadania drugorzędne, stojące na dalszym planie programu syndykatów zawodowych. Głównym ich celem to organizacya walki klasowej i sprawienie szeregów robotniczych do nieprzejednanej walki ze społeczeństwem burżuazyjnem. I ten cel zawsze przyświecać powinien zorganizowanym robotnikom i wycisnąć swe piętno na ich polityce zawodowej.

---

[1] *Mouvement socialiste,* 1905, I, str. 18.

A więc najprzód syndykaty względem państwa i jego polityki socyalnej powinny z zasady zająć zawsze niechętne i nieprzejednane stanowisko. Wszelkie bowiem ustawy ochronne i opieka państwowa prowadzą zawsze do nowego rodzaju pańszczyzny i zabijają inicyatywę i tłumią tylko szlachetne porywy socyalne wśród robotników. Dalej wszelka interwencya rządowa w walkach ekonomicznych robotników z kapitałem, wszelkie przywileje prawne instytucyi syndykalnych szerzą tylko demoralizacyę wśród robotników i ich wodzów i poddają cały ruch robotniczy w służbę różnych partyi politycznych.

Powtóre wewnętrzna praca i polityka w łonie syndykatów nie powinna zmierzać ani do wzmocnienia organizacyi przez silną i sprężystą centralizacyę ani do oparcia jej na silnych podstawach finansowych. W miarę bowiem jak syndykaty zawodowe wzrosną w siłę i zrosną się silnie z dzisiejszemi instytucyami burżuazyjnemi i kapitalistycznemi, w miarę jak powiększać się będzie liczba urzędników robotniczych, cały ruch syndykalistyczny przeobrażać się będzie niepostrzeżenie w ciężką biurokracyę konserwatywną, pozbawioną zapału bojowego. I solidarności robotniczej nie należy, zdaniem rewolucyonistów, opierać na sile finansowej syndykatów — to solidarność społeczeństwa kapitalistycznego. Prawdziwa solidarność socyalistyczna zadzierzga się i podtrzymuje w zapale bojowym, który ma w razie potrzeby się budzić i zapalać po warsztatach i stowarzyszeniach i spontanicznie ogarnąć kraj cały.

Za zwycięstwem kierunku rewolucyjnego na kongresie w Bourges idzie zwyż wspomniany postulat taktyki rewolucyjnej, według którego każdy syndykat niezależnie od liczby członków rozporządza jednym tylko głosem na kongresie ogólnym. Postulat ten, urągający zasadzie słuszności i sprawiedliwości, przyjęto w Bourges ogromną większością głosów. Zasługuje tu na szczególną uwagę uzasadnienie i oświetlenie tego postulatu, które nam kongres podaje.

Zasada ta zwyciężyła, mówi główny wódz syndykalizmu Hubert Lagardelle, bo ona jedna jest zgodna z faktycznym stanem rzeczy, bo ona jest objawem i wyrazem kierującej elity,

która się zawsze w każdym ruchu masowym wśród ognia walki wyrabia. To iluzya bowiem, że robotnicy są sobie równi. »Oni się różnią pod względem uświadomienia klasowego i energii i zapału bojowego. Walka wytwarza wśród klasy robotniczej naturalny stosunek hierarchiczny: na czoło wysuwają się odważni i »pod względem klasowym uświadomione mniejszości« i wskazują drogę innym. Tak drogą selekcyi wytwarza się elita, obejmująca wszystkich, którzy wybijają się z szarej masy siłą przedsiębiorczą, poświęceniem się i inteligencyą. W ten sposób wśród syndykalistów francuskich wytworzyło się t. zw. nowe hasło i nowa zasada polityczna proletaryatu, polegająca na tem, żeby kierownictwo moralne klasy robotniczej oddać w ręce grup robotniczych w ogniu walki wypróbowanych« [1].

W świetle tej zasady też równe i powszechne i proporcyonalne wybory do parlamentu i instytucyi społecznych, które demokracya wprowadziła, są iluzyą tylko słuszności i sprawiedliwości, opierającą się na pojęciu abstrakcyjnem fikcyjnego obywatela. Demokracya bowiem w miejsce rzeczywistego człowieka zawsze stawia abstrakcyę jednostki politycznej i na tej abstrakcyi buduje teoryę o równości politycznej. Natomiast syndykalizm opiera się zawsze na konkretnem pojęciu robotnika i trzyma się rzeczywistości. Punkt wyjścia w jego rozumowaniu nie jest abstrakcyjny typ obywatela ani producenta, ale poprostu producent.

Z innych uchwał rewolucyjnych kongresu w Bourges, wyciskających charakterystyczne znamię na fizyognomii ruchu syndykalistycznego, zasługuje jeszcze na wzmiankę uchwała, tycząca się 8-godzinnego dnia roboczego i stosunku do socyalizmu parlamentarnego.

»Zważywszy, brzmi pierwsza uchwała, że robotnicy w usiłowaniach swoich polepszenia warunków pracy tylko na własne siły liczyć mogą, że agitacya za ośmiogodzinnym dniem roboczym wiąże się ze sprawą ostatecznego wyzwolenia robotników, poleca kongres, żeby Związek pracy rozwinął silną i szeroką

[1] *Archiv.* str. 136.

agitacyę w tym kierunku, by robotnicy z dniem 1 maja 1906 r. wprowadzili sami w życie 8-godzinny dzień roboczy«.

Myśl kongresu, jak z toku obrad poprzedzających uchwałę ośmiogodzinnego dnia roboczego wynika, była ta, żeby masom robotniczym stawić przed oczy cel ponętny bardzo i na pozór blizki urzeczywistnienia, któryby ich połączył w bitną armię i rozniecał i podtrzymywał w nich ognie energii i zapału twórczego. »Walka podjęta w celu zdobycia 8-godzinnego dnia roboczego, pisze bezpośrednio po kongresie jeden z wodzów w *Mouvement Socialiste*, jest że tak powiem hasłem bojowem, mającem wytworzyć pomiędzy robotnikami porozumienie i utorować drogę do wspólnej akcyi. Akcya ta polegać będzie na tem, żeby od przedsiębiorców o ile możności jak najwięcej wymusić... Ruch w sprawie 8-godzinnego dnia roboczego, gdziekolwiek się rozniesie, przyniesie owoce. Zasada fizyczna: »nic nie ginie, nic nie powstaje samo ze siebie« ma tu swoje zastosowanie. Usiłowania podjęte w tym celu nie przejdą bezowocnie: czyn rodzi nowy czyn« [1].

Że zaś ruch masowy w porę zapoczątkowany zdoła osiągnąć zawsze rezultaty, o tem delegaci kongresu mieli sposobność naocznie się przekonać. Otóż kilka miesięcy przed kongresem w Bourges robotnicy paryscy rozwinęli żywą agitacyę przeciwko prywatnym biurom pracy, które ogromnie utrudniały czy uniemożliwiały pośredniczenie w szukaniu zarobku agendom robotniczym. Ruch ten wziął w swoje ręce Związek pracy i rozniósł go z płomiennymi odezwami po całej Francyi. Wśród robotników uczyniła się burza, która popchnęła rząd do przedłożenia projektu ustawy, zabraniającej i zamykającej wszystkie zarobkowe biura pracy. Ustawę przyjęto od razu w parlamencie. Tak robotnicy za pomocą agitacyi w porę rozpoczętej i umiejętnie zorganizowanej osiągnęli w ciągu niewielu miesięcy, czego domagali się bezowocnie przez szereg lat.

Co do parlamentaryzmu zaś, to na kongresie przedewszystkiem kładziono nacisk na akcyę bezpośrednią, *action directe*, ro-

---

[1] Emil Pouget w *Mouvement Socialiste* z dnia 15 marca 1905 r.

botników w przeciwieństwie do akcyi pośredniej wyborców i posłów. Co więcej syndykaty stanowczo odrzucają wszelkie kierownictwo ze strony parlamentarnego socyalizmu. »Uważam parlament za narzędzie woli proletaryatu, woła jeden z mowców, całe jego zadanie polega na tem, żeby sankcyonować porządek rzeczy, przez ruch robotniczy uprzednio wytworzony«. Partye parlamentarne niczem nie są i być nie powinny, wybija się z toku dyskusyi zdanie, jak echem, organami i tłumaczami woli proletaryatu. Twórcza praca i rola kierująca im zgoła nie przysługuje. »Socyalizm parlamentarny, woła Hubert Lagardelle, posługiwał się oczywiście zawsze frazeologią rewolucyjną. Przy każdej sposobności i bez powodu powoływał się na walkę klasową. Wskazywano bezustannie na pojedynek, który toczy się na życie i śmierć pomiędzy proletaryatem a kapitalizmem, ale ograniczono się na owej dyplomacyi, która w gruncie rzeczy jest taktyką parlamentarną i pod pozorem, że walka klasowa jest walką polityczną — uczyniono z niej walkę wyborczą«.

Po świetnem zwycięstwie na kongresie w Bourges, syndykalizm rewolucyjny zmienia swoją metodę wobec mniejszości i podaje rękę do zgody. Ale bo też zwycięstwo jego było stanowcze i niecofnione.

W dwa lata później na kongresie w Amiens 1906 r. za przyczyną Guesdistów usiłowano raz jeszcze wzniecić dawne spory ale bezskutecznie. Rezultat tego postulatu, natchnionego przez socyalistów, był ten, że uwydatniły się tylko wyraźniej i pogłębiły główne rysy programu rewolucyjnego, a odłam nielicznych reformistów stopił się zupełnie z przeważającą większością.

»Kongres potwierdza, czytamy w uchwałach jego, artykuł II statutu C. G. T., który brzmi: Związek pracy (C. G. T.) obejmuje w łonie swojem wszystkich robotników, zdających sobie sprawę z walki, która ich doprowadzić musi do zniszczenia wogóle przedsiębiorców i pracy najemnej... W tej walce codziennej dąży syndykalizm do zrealizowania wszystkich wogóle postulatów robotniczych, zmierzających do podniesienia stopy życiowej przez natychmiastowe wprowadzenie w życie różnych ulepszeń, jak zmniejszenie czasu pracy, podwyższenie płacy i t. d.

Ale postulaty te stanowią tylko jedną stronę syndykalistycznego programu. Ostatecznym celem jego jest zupełne wyzwolenie stanu robotniczego, które nie inaczej jak drogą ekspropryacyi kapitału da się przeprowadzić. Środkiem zaś zmierzającym do tego celu jest strajk generalny. Syndykalizm mniema, że sydykaty, które dzisiaj spełniają rolę obronną, w przyszłości jako organy produkcyi i rozdziału dóbr stanowić będą podstawę reorganizacyi społecznej«.

Stosunek zaś swój do socyalistycznej partyi parlamentarnej określa kongres w Amiens w ten sposób: »Ażeby osiągnąć swój cel ostateczny winien syndykalizm prowadzić walkę ekonomiczną przeciwko przedsiębiorcom. Połączone organizacye w charakterze grup syndykalistycznych nie powinny się troszczyć ani o partye (socyalistyczne) ani o sekty (anarchistyczne), które obok i równolegle z niemi zupełnie oddzielnie zmierzają do społecznego przeobrażenia«. A więc tu już syndykalizm porzucił wrogie swoje stanowisko wobec socyalizmu parlamentarnego. Wszyscy bowiem równolegle i syndykaliści i socyaliści parlamentarni i anarchiści, owiani sekciarskim fanatyzmem, do jednego zmierzają celu, choć odmiennemi drogami.

Wogóle walka z socyalizmem parlamentarnym na pozór zasadnicza i nieprzejednana trwała tylko dopóty, dopóki syndykalizm rewolucyjny nie odniósł zwycięstwa nad reformistami. Ale z chwilą gdy kierownictwo ruchu robotniczego spoczęło w rękach jego, od razu zmieniła się polityka i taktyka wobec socyalistów. Już na kongresie w Bourges (1904) rzucił jeden z wodzów syndykalizmu, Latapie, hasło za przyzwoleniem kongresu: »Poza syndykatem ma każdy prawo zajmować się lub nie parlamentaryzmem«. A inny z wodzów tłumaczy słowa te w ten sposób: »my nie potępiamy polityki ani jej nie polecamy, my ją ignorujemy«.

W codziennej też walce ekonomicznej o polepszenie warunków życiowych ima się coraz częściej syndykalizm metody dużo łagodniejszej, nie licującej bardzo z nieubłaganą metodą rewolucyjną. Na kongresach zaś jego wodzowie czuwają starannie nad tem, by nie poruszać kwestyi zasadniczych i drażliwych, mogą-

cych rozniecić na nowo ognie namiętności i partyjne zawiści. Tak na kongresie w Marseille (1908 r.), gdy poruszono drażliwą kwestyę antymilitaryzmu, wiążącą się ściśle z antypatryotyzmem, wodzowie właśnie rewolucyjnego syndykalizmu łagodzą charakter antypatryotyczny narzuconej im rezolucyi oświadczeniem, że nie kierują się duchem antypatryotycznym, lecz tylko chcą zaznaczyć swoje stanowisko wobec wojny, którą syndykalizm w interesie własnego rozwoju winien na wszelki sposób zwalczać.

I te ustępstwa właśnie sprawiły, że pomiędzy syndykalizmem a socyalizmem wytworzyło się niebawem przyjacielskie porozumienie, pod warunkiem wszakże, że syndykatom przyznano bez narzucania im jakiegokolwiek kierownictwa politycznego zupełną autonomię. Co więcej, zasady rewolucyonizmu syndykalistycznego przeniknęły i do pewnego stopnia socyalizm parlamentarny, czyniąc z niego tłumacza syndykalistycznych prądów i poglądów. Odtąd już wobec postulatów syndykalizmu ustępuje na dalszy plan i w mroczną dal najgłówniejszy pogląd zasadniczy socyalizmu o zdobyciu władzy politycznej.

Tyle co do historyi i historycznej genezy syndykalizmu. A teraz przypatrzmy się bliżej najgłówniejszym rysom jego programu.

Najprzód jaki stosunek jest syndykalizmu do anarchizmu?

Syndykaliści usiłują skruszyć jarzmo wszelkiej władzy publicznej, zburzyć państwo dzisiejsze i znieść wszelką pracę najemną i uwolnić klasę robotniczą od wszelkiej zawisłości społecznej i ekonomicznej. Czyż to nie czysty anarchizm? Socyaliści z Guesdem na czele z tego właśnie powodu zarzucają im anarchistyczne tendencye i cele. Syndykaliści natomiast bronią się namiętnie przed zarzutem anarchizmu. Zdaniem ich, przepaść wielka dzieli syndykalizm od anarchizmu i tylko ignorancya albo zła wola miesza dwie rzeczy te różne i odrębne od siebie. Czy słuszna?

Wódz syndykalizmu, Hubert Lagardelle, takie daje nam określenie psychologiczne anarchizmu: »Anarchiści, choć wielką odznaczają się odwagą osobistą, są sentymentalnymi burzycielami, indywidualistami najskrajniejszymi i czystymi ideologami. Oni

nie zajmowali się nigdy ekonomicznemi sprawami i zbywało im zawsze na tem, co stanowi podstawę syndykalizmu, t. j. na zmyśle do życia ekonomicznego. Oni żadnego nie wyrobili sobie pojęcia o istocie klas ani o walce klasowej — przeciwnie oni zajmują stanowisko pozaklasowe i zwracają się bez różnicy do wszystkich ludzi, do ich serc, logiki i myślącego rozumu. Oni nic innego nie widzą, prócz działania indywidualnego. Nawet ci, którzy się komunistami zwali, zakładali zawsze swoje nadzieje na rozwoju osobowości ludzkiej, na wychowaniu ludzi za pomocą książek, na ich całej kulturze ideowej, słowem domagali się od indywidualnego wykształcenia jasnej przyszłości, podczas gdy syndykalizm buduje na pracy solidarnej i wspólnem dźwiganiu się ku lepszej przyszłości. Owi wrogowie burżuazyjnych wartości zawsze byli dziwnie nielogiczni. Nikt z większym niż oni entuzyazmem nie uwielbiał myślicieli indywidualistycznej burżuazyi i z dzieła, jak *The man versus the state* Herberta Spencera, oni uczynili swoją biblię. Nawet wówczas, gdy przeczyli temu, oni dumnie wysuwali jednostkę naprzeciw całemu społeczeństwu ludzkiemu i ta walka gigantyczna wydawała się im być najwspanialszym giestem buntu« [1].

Anarchiści, mówią syndykaliści, to marzyciele, ideologowie lub cynicy, którym niedobrze wśród dzisiejszej cywilizacyi i którzy radziby powrócić na łono czystej natury.

Punktem wyjścia w ich rozumowaniu, mówi jeden z teoretyków syndykalizmu, Berth, »to jednostka, to moje ja, uważane za coś niezłożonego, absolutnego, za rodzaj monady Leibniza, która nie ma ani drzwi ani okien na zewnątrz i która konsekwentnie z natury swej jest czemś niewymiernem i istotą niespołeczną«. Tą drogą oczywiście z jednostek, żyjących wyłącznie dla siebie, ze skrajnych indywidualistów nie powstanie społeczeństwo. W rozumieniu anarchistów wszelka władza i spójnie państwowe kłócą się z nieprzedawnionemi prawami jednostki i nienaruszalnymi postulatami wolności. A więc wszystkie na tych podstawach wyrosłe instytucye są złe i szkodliwe. W oczach anar-

[1] *Archiv.* str. 621.

chisty wszystkie nadużycia i nieporządki społeczne, wszelka nędza i nieprawość, trapiące ludzkość, są owocem cywilizacyi, która znieprawiła człowieka i włożyła nań ciężkie jarzmo pracy. Cywilizacya, zdaniem ich, przyniosła ludzkości tylko despotyzm i cierpienia i zmusiła człowieka do zadawania gwałtu naturze i tłumienia przyrodzonych instynktów. I stąd ta pogarda i nienawiść u anarchistów do wszystkiego, co cywilizacya wytworzyła. »To bunt leniwca, człowieka pierwotnego, spoczywającego na łonie przyrody, który się oburza na ten porządek żelazny, naginający go do twardej dyscypliny pracy«. I dlatego on rzuca przekleństwo na ten porządek i zowie go barbarzyńskim i widzi w nim potworne narzędzie tylko ucisku i cierpień wszelkiego rodzaju.

Syndykaliści przeciwnie na całkiem przeciwnych budują zasadach i odmiennej trzymają się metody i do innych zmierzają celów.

Syndykaliści budują na zasadzie solidarności *viribus unitis*, opierają się na doświadczeniu i mają zawsze cele praktyczne i pozytywne na oku. Skrajny indywidualizm zarówno im wstrętny jak władza państwowa. Cel, jaki sobie syndykalizm wytknął, to usilne dążenie do spotęgowania i udoskonalenia produkcyi do stopnia o ile możności najwyższego zapomocą asocyacyi i na szeroką skalę zorganizowanych warsztatów kolektywnych.

Syndykalizm wychodzi z zasady, że człowiek jest *animal sociale* i że życie społeczne jest podstawą i nieodzownym warunkiem zupełnege rozwoju jego sił intelektualnych i moralnych i bogatego dobrobytu materyalnego. Zdaniem jego, z rozwojem postępu i cywilizacyi forma i więzy asocyacyi, z dniem każdym coraz spoistsze i szersze ogarniającej kręgi, staną się podstawą budowy przyszłego społeczeństwa, gdzie wszechwładnie panować będzie zasada: jeden za wszystkich a wszyscy za jednego wśród zażyłego braterstwa i równości.

Syndykalizm kształcił się w szkole dzisiejszej cywilizacyi i wielkiego kapitału, który jest owocem tej cywilizacyi. I dlatego on ma cześć dla kapitału, »który, dzięki odwadze, razem z inicyatywą osobistą i kooperacyą zdołał z łona pracy społecznej wydobyć z uśpienia nieskończoną ilość produkcyjnych sił ludzkich

W chwili obecnej wszelako, w mniemaniu syndykalizmu, gdy geniusz socyalny podniósł się z uśpienia, gdy ludzie zostali zmuszeni do pracy kolektywnej a robotnik wyrwany z izolacyi, skończyła się rola jego historyczna. Robotnicy zorganizowani w grupy produkcyjne, którzy w długich walkach przeciwko panom swoim wykształcili w sobie ducha odwagi i inicyatywy i równocześnie zmysł asocyacyi dobrowolnej, mogą teraz dalej prowadzić robotę kapitalizmu bez jego opieki i rózgi. W ten sposób odbędzie się w łonie grupy produkcyjnej transfuzya ducha inicyatywy i odpowiedzialności szefa przedsiębiorstwa prywatnego na robotników a równocześnie siła ich kolektywna usamodzielni się i wyzwoli z sideł i ze służby na rzecz jednego«.

Również dzisiejsze instytucye społeczne, zdaniem syndykalistów, już się przeżyły. »Władza, mówi Berth, była do tej chwili konieczną. Ona była tym biczem, dzięki któremu cywilizacya mogła się rozwijać i z pracy ludzkiej wydobyć te bogactwa, które z niej wyciągnęła. Słowem, posłuszeństwo, jak mówi Hegel, jest szkołą panowania. Uznanie, jakie syndykalizm żywi względem kapitalizmu autorytatywnego nie ogranicza się tylko do bogactw materyalnych, które on wytworzył, ale nadto przedewszystkiem do owych przeobrażeń moralnych, które pod jego wpływem się dokonały. Pod jego dyscypliną żelazną dźwignęły się masy robotnicze ze swego lenistwa pierwotnego i anarchizmu indywidualistycznego i stały się zdolnemi do pracy kolektywnej, coraz więcej się udoskonalającej. Syndykalizm przyznaje najzupełniej, że w początkach cywilizacyi panował i musiał panować przymus i że ten przymus był zdrowy, dobroczynny i twórczy. I jeżeli spodziewać się można porządku wolności bez opieki patrońskiej i państwowej, to tylko dzięki temu samemu porządkowi, opartemu na przymusie, który wychował ludzkość w karności i powoli uczynił ją zdolną do wzniesienia się na stopień wyższy, gdzie praca jest wolna i dobrowolna«.

Wkońcu taktyka i metoda syndykalizmu jest całkiem różna i odmienna od taktyki anarchizmu.

Anarchizm buduje zawsze na ideologii apryorycznej i daje się popychać idei. Cała jego analiza bystra i nieubłagana niedo-

magań społecznych opiera się na marzeniach i gubi w abstrakcyach, cała jego siła polega na robocie burzycielskiej i negacyi idei socyalnej. Całe jego rozumowanie, upstrzone strzępami filozofii moralnej lub metafizycznej, humanistycznej lub sentymentalnej jest po największej części tylko parawanem, poza którym kryje się egoizm i lenistwo, zamiłowanie do życia wygodnego i wstręt do wszelkiego przymusu, przesyt i nieokreślone i chorobliwe aspiracye.

Anarchizm nic nie ma wspólnego z ruchem robotniczym, on nawiązuje w mniejszym lub większym stopniu do filozofii Rousseau'a i usiłuje wywołać rewolucyjny ruch humanistyczny. On nie zna ani różnicy klas ani żadnej walki klasowej, bo wszyscy ludzie mają te same prawa i dziedzictwo rewolucyjne nie jest przywiązane do żadnej klasy ani grupy społecznej. Większość zwolenników anarchizmu to ludzie wykolejeni z klasy mieszczańskiej i dlatego też oni nie wierzą ani w ruch, ani w przyszłość syndykalizmu.

Syndykalizm natomiast opiera się zawsze na doświadczeniu i ma wstręt do wszelkich dogmatów i formułek dogmatycznych. On wyznaje filozofię czynu i po czynie dopiero buduje teoryę działania. Syndykalizm, mówią, wyrósł z bezskuteczności akcyi politycznej: co zdobył socyalizm parlamentarny dla robotników we Francyi, jak pracuje i jakie jego znaczenie w parlamencie, jak walczy z kapitalizmem, jakie ma widoki w tym względzie na przyszłość?

Odpowiedź na te pytania zrodziła syndykalizm, czyli innemi słowy bezskuteczność i beznadziejność akcyi socyalistycznej w parlamencie i na arenie walki klasowej wytworzyła syndykalizm.

Co uczyniliście z walki klasowej, pyta się jeden z wodzów syndykalizmu, socyalistów? »Pod pozorem, że walka klasowa jest walką polityczną, uczyniliście z niej walkę wyborczą«. A na kongresie w Nancy, rzuca socyalistom Hubert Lagardelle charakterystyczne te słowa: »Dajmy na to, że dobierzecie się do władzy, że dzierżyć będziecie całą władzę, która wczoraj należała do burżuazyi, że nagromadzicie stosy dekretów i praw, ale cudu tego nie dokażecie, żeby robotnik od razu był zdolny zająć miejsce

kapitalistów. W jaki sposób, pytam się, ujęcie steru rządu przez kilku socyalistów-polityków ma przeobrazić psychologię mas, zmienić ich uczucia, uzdolnić je, stworzyć nowe drogi życia i sprawić, że zamiast społeczeństwa złożonego z panów i niewolników, powstanie społeczeństwo złożone z wolnych ludzi?

Nie, nie od prostej zmiany osób w rządzie zależy przeobrażenie świata. To byłoby naprawdę zbyt łatwem, pochód historyi ma inne wymagania. Społeczeństwo socyalne nie powstanie inaczej, jak tylko drogą powolnego przygotowania. I ten jest punkt wyjścia syndykalizmu, który obdarzony zmysłem więcej realistycznym, wam przeciwstawia inny socyalizm, który nazwałbym socyalizmem instytucyi. On przypomina robotnikom, że zmiana będzie możliwą tylko wówczas, gdy wytworzą własnemi rękoma szereg instytucyi, zdolnych zająć miejsce instytucyi burżuazyjnych«.

Syndykalizm więc pod względem teoretycznym i praktycznym różni się od anarchizmu, dowodzą syndykaliści, i płonne są obawy Guesdistów, którzy tak namiętnie zwalczali i głośno przestrzegali przed »niebezpieczeństwem anarchizmu«, tającego się w łonie ruchu syndykalistycznego. Wprawdzie niektórzy anarchiści i jakiś odłam anarchistów, *anarchisme ouvrier*, w początkach ruchu przyłączyli się do syndykalizmu, ale ci nowi członkowie »anarchistycznego jak socyalistycznego pochodzenia wyzuli ze siebie zupełnie starego człowieka i zastosowali się do potrzeb nowego *milieu*. Zwolna pierwotne przekonania jednych i drugich stopiły się ze sobą i uczyniły miejsce nowym ideom: życie, które zawsze wszystko odnawia i odmładza, było tu czynne« [1].

Ale bo też syndykalizm jest »nową teoryą socyalną... niezawisłą od doktryny socyalizmu i anarchizmu«, mówi były anarchista Latapie, sekretarz potężnego związku metalowców na kongresie w Amiens.

(Dok. n.)

Ks. Leonard Lipke.

---

[1] Hubert Lagardelle: *Archiv.* str 620.

Z TEKI POŚMIERTNEJ ELIZY ORZESZKOWEJ.

MAŁŻEŃSTWO.

Co myślę o małżeństwie wogóle? Instytucya wspaniała, mająca niezmiernie wzniosłą podstawę: połączenie się związkiem ścisłym dwu dusz ludzkich i stanie na straży życia, zdrowia, wzrostu nowych pokoleń ludzkości. Ale wszystkie instytucye i idee doskonałe w samych swych podstawach, bezwyjątkowo psute są przez niedoskonałość tych, którzy wprowadzają je w życie, przez wielką niedoskonałość ludzi. Trzeba było spojrzeć, co ludzie potrafili uczynić z takich idei, jak religia, patryotyzm i t. p. Idea małżeństwa jest mącona i psuta przez mnóstwo pierwiastków szkodliwych, które wymienić i rozebrać można tylko w obszernym traktacie. Tu uwagę zwrócę tylko na jedno. Ludzie zawiązujący małżeństwo przystępują do tego aktu z myślami — balowemi. Do życia rodzinnego wstępują, jak do sali balowej. Ma tam być samo światło jarzące, sama muzyka czarująca, samo wesele i szczęście. Niestety życie stanowczo sprzeciwia się temu pojęciu i rozbija je na drzazgi. Bańka mydlana szczęścia doskonałego pęka, bo pęknąć musi w podmuchach naszej biednej ziemi i — pozostaje znowu sam tylko zawód, samo jedno cierpienie, nieszczęście. Czy to prawidłowe? Wcale nie. Czy z tych absolutów szczęścia i nieszczęścia nie można wypośrodkować czegoś, coby czyniło życie — pomimo jego smutnych konieczności — nie tylko znośnem, ale pełnem zadowoleń, będących dla nieuniknionych cierpień zbawiennem anty-

dotum? Naturalnie, że tak; że wyrzekając się mirażu szczęścia doskonałego, można z żywiołów życia wypośrodkować znaczną sumę szlachetnych korzyści i trwałego zadowolenia. Jakim sposobem? Trzeba zapatrywać się na małżeństwo nie tylko jako na źródło szczęścia, lecz także, jako na pole do spełnienia zadania bardzo wysokiego. Zadanie to posiada stron wiele, ale ja chcę dziś wskazać jedną tylko, mianowicie: wzajemne ulepszanie się, udoskonalanie się małżonków. Bo tu, jak wszędzie na ziemi, o doskonałości marzyć nie należy. Oblubieniec bywa zwykle dla oblubienicy ideałem wszystkich przymiotów dobrych i pięknych. Ale to złudzenie. Zawsze łuski z oczu spaść muszą i oczy dostrzedz braki, przywary, to i owo złe, albo niemiłe. Albo umysł, albo charakter, albo jedno i drugie, obejście się także, przyzwyczajenia i t. d. szwankują. Cóż wtedy czynić? Załamać ręce nad grobem szczęścia? Zrazić się do istoty niedoskonałej? Jej i swoje życie napełnić rozstrojem? Cóż z tego wynika? Pchanie dalej po drodze ułomności i zła tej istoty i samej siebie — tylko. Jedyny ratunek powiedzieć sobie: »Obojeśmy ludzie biedni, ułomni, niedoskonali, obojeśmy wystawieni na złe wichry, wiejące na zewnątrz nas i z wewnątrz, istoty słabe, zmuszone do ciężkiej walki z materyą i z duszami własnemi. Los nas połączył, jesteśmy kamieniem węgielnym domu, więc jednego z ogniw społeczeństwa, dwoma skrzydłami rozpostartemi nad gniazdem, z którego wyłania się przyszłość społeczna, więc zamiast zrażać się do siebie, znienawidzić się, poić się goryczą, bądźmy sobie litościwi, pobłażliwi i nawzajem, nad wyplenieniem u siebie zła, nad rozszerzeniem roli dla dobra, pomocni. Czyli usiłujemy ulepszać się, wzmacniać się, jedno drugie, nawzajem. Jeżeli mam czegoś dobrego więcej, niż on, to się z nim dzielić będę, pilnie patrząc, czy on nie ma jakiejś zalety, cnoty, której mnie brak, a którą wziąć mogę od niego«. I pracować nad tem, aby uczynić jego lepszym czy wyższym przeze mnie, a siebie lepszą czy wyższą od niego. Zadanie cudne, pełne zasługi przed Bogiem i społeczeństwem, a w dodatku, jeżeli pełnione dobrze i skutecznie, to takie czarodziejskie, że jak różdżce Aronowej, może na niem odkwitnąć zwiędły kwiat szczęścia. Tylko warunek jeden: zadanie to inaczej pełnionem być nie powinno, jak tylko

z duchem miłości i litości, skromnie i wytrwale. Pychy nie mieć, ułomności i niedostatki własne widzieć tak samo, jak strony drugiej, a ciągle mieć na myśli, że świat ten — morze, życie — burza, my — dwie jednako biedne, walczące łódki, które los związał i które przez morze, przez burzę płynąc, nawzajem dopomagają sobie, aby je otchłań nie pochłonęła. Gdy zamiast pomagać sobie, potrącać się będą — otchłań je pochłonie i co gorsza, wraz z niemi pochłonie, co one niosą, co przez morze i burzę przenieść powinny: ogniwo i gniazdo.

A druga rzecz: strona majątkowa życia. Zabiegi i nieustanne trudy około majątkowych spraw, którym oddaje się mąż, są nieraz źródłem bólu i smutku. Tak być musi, jeżeli oddaje się on im z pominięciem wszystkich innych stron i zadań życia, egoistycznie, a broń Boże i, co już najgorsze, z krzywdą ludzką. I to właśnie jest, od czego żona towarzysza życia swego strzedz powinna, w czem ulepszać go, rozszerzać mu horyzonty, nie dopuszczać zaniku serca, uczciwości, dążeń społecznych. Bo rzecz sama w sobie: praca około zabezpieczenia bytu teraz i na przyszłość, sobie i rodzinie, jest słuszną i dobrą. Nie jestem fantastyczną zwolenniczką systemu kapitalistycznego, myślę, że w następnej ewolucyi rozwoju ludzkości zostanie on przez coś wyższego i sprawiedliwszego zastąpionym, lecz dopóki nie przeżył swego czasu i panuje, jednostka musi się stosować do jego urządeń, czyli pracować nie tylko na dziś i na kawałek chleba fizycznego, ale na jutro, to jest, na starość, wolną od nędzy i żebraniny, swoją, na przyszłość dzieci z największą możliwie ich oświatą, z ułatwionem wstępowaniem na kolejne drogi pracy. Pomyślność majątkowa poręcza godność moralną rodziny, daje jej możność wpływania i działania na sprawy publiczne, pozwala jej domowi wzbijać się na wyższy szczebel wiedzy, społecznych czynów i dobrego smaku. Z pomyślności rodzin, jako ogniw, powstaje pomyślność społeczeństwa, jako łańcucha. Lazaroni poetyczni są na obrazach — w rzeczywistości podobno złodzieje. Więc w zasadzie mąż, dbając o majątkowe interesy rodziny, czyni słusznie, dobrze i niech mu żona będzie w tem pomocną przez rozsądne rządzenie środkami przez niego wytwarzanymi. Ale zarazem niech będzie w tem jego pochod-

nią i jego sumieniem; pochodnią, aby nie zapadł w ciemności fachu i rutyny, sumieniem, aby na polu swojej pracy nie zrywał krzywdy ludzkiej. Gdy żona posiada miłość męża i wyższe od niego wykształcenie, niechże ta miłość jego i ta oświata będą orężami, którymi ona od duszy jego odegna szatanów samolubstwa i nieprawych zysków. Zawody męskie, zawód kupiecki w szczególności, najeżone są pokusami; niech żona te pokusy zaklina, ścina jego przywiązaniem do siebie, swemi wyższemi pojęciami, nadewszystko dobrocią, tą dobrocią prawdziwą, która dla zła nieubłagana, temu, kto je popełnił, umie być wyrozumiałą i usuwa go z drogi złej — nie odtrącając od serca swego — naprawia, nie raniąc. Wiele też żona może nad mężem przez macierzyństwo, bo mężczyzna, byle trochę dobry i honorowy, zrobi zawsze wiele dla matki swoich synów.

HARNACK I GEFFCKEN

W KWESTYI AKTÓW MĘCZEŃSKICH [1].

I.

Już od kilku lat toczy się między uczonymi zacięta walka o autentyczność *Acta Martyrum*. Punktem wyjścia są tu nowo odnalezione akta męczeńskie Apoloniusza. Jedyną pewną wiadomość, jakąśmy do roku 1893 posiadali o Apoloniuszu i o jego procesie i mowie przed senatem, podaje nam Euzebiusz w swojej historyi kościelnej [2]. Pisarz ten zauważa najpierw, że w początkach panowania cesarza Aureliusza Commoda (180—192) nastąpiły dla Kościoła spokojniejsze czasy. Szatan jednak, nie mogąc tego znieść, rozpoczął na nowo walkę z Kościołem. »I tak [3] przyprowadził w Rzymie, mówi dalej Euzebiusz, Apoloniusza — męża, który z powodu swojej nauki i filozofii u współczesnych chrześcijan w wielkiem był poważaniu — przed sąd, pobudziwszy do oskarżenia jednego z liczby tych sług swoich, którzy do tych celów byli odpowiedni. Ale nieszczęsny w niewczasie podjął się tej roli. Ponieważ według cesarskiego edyktu tego rodzaju oskarżycielom

[1] *Acta martyrum* — opis sądu i śmierci męczenników. Są trzy gatunki: *a)* właściwe *Acta martyrum*, odpisy z protokółów sądowych; *b) Passiones* — samodzielny opis męczeństwa; *c)* legendy o męczennikach.

[2] Euseb.: *Eccl. Hist.* l. v, cp. 21.

[3] Przekład z tekstu greckiego; tłumaczenie łacińskie Rufina jest nieco odmienne.

nie było wolno żyć, więc za wyrokiem sędziego Perenniusza połamano mu natychmiast kości. Bogu miły męczennik zaś, proszony bardzo przez sędziego, żeby się bronił przed senatem, wygłosił przed wszystkimi wspaniałą obronę tej wiary, którą wyznawał; następnie został jakby z rozkazu senatu ścięty, ponieważ istniało stare prawo, na mocy którego ci, którzy raz stawieni przed sądem nie chcieli w żaden sposób zdania swego odmienić, nie mogli być uwolnieni. Ktoby zaś chciał poznać jego słowa wypowiedziane przed sędzią, jego odpowiedzi na pytania Perenniusza oraz i całą jego apologię przed senatem, ten może to poznać z mojego zbioru opisów dawnych męczenników« [1]. Jak z ostatniego zdania widać, miał Euzebiusz przed sobą obszerne akta męczeństwa Apoloniusza, z których czerpał i które wcielił w swój zbiór historyi dawnych męczenników.

Ta wzmianka o męczeństwie Apoloniusza zwracała na siebie uwagę uczonych nie tylko przez swoją wyjątkową treść, ale głównie z powodu ważnych pytań i trudności, jakie nasuwała. Wiadomość, że koło roku 180 chrześcijanin może się bronić przed senatem [2]; że sędzia chce tego chrześcijanina uwolnić i tylko zmuszony zdaniem senatu, skazuje go na śmierć; że oskarżyciel i oskarżony ukarany jest śmiercią: to wszystko są szczegóły, które z prawem rzymskiem trudno pogodzić. Hieronim, wspominając w swoim katalogu [3] o Apoloniuszu, jako o pisarzu chrześcijańskim, pisze: »Apoloniusz, senator rzymski, za panowania cesarza Commoda od sługi oskarżony, że był chrześcijaninem, wyprosił sobie, żeby mógł przed senatem się bronić; ułożył więc wielką księgę [4], którą przed senatem czytał; mimo to został za wyrokiem senatu dla Chrystusa ścięty, ponieważ było stare prawo, żeby chrześcijanie,

[1] Euzebiusz zebrał akta męczenników w jedną całość; niestety zbiór ten zaginął.

[2] Fakt ten jest jedyny z tych czasów.

[3] *Hieron. de viris illustribus* cp. 42; cf. l. c. cp. 53: *Tertullianus presbyter nunc demum primus post Victorem et Apollonium Latinorum ponitur.* Migne l. 23, col. 691 i 698.

[4] *Insigne volumen.* Ze względu na to *Volumen* zalicza Hieronim Apoloniusza do pisarzy łacińskich. Protokół aktów Apoloniusza był w języku łacińskim i ta mowa była w języku łacińskim, ale Hieronim miał przed sobą grecki tekst Euzebiusza.

którzy stawieni raz przed sąd, nie wyparli się wiary, nie byli uwolnieni«. Hieronim czerpał jak w ogóle, tak i tu, z Euzebiusza; ale jako znawca stosunków rzymskich widział, że wiadomość podana przez Euzebiusza połączona jest z wielkiemi trudnościami. Dlatego to, żeby je usunąć, zrobił Apoloniusza senatorem i w ten sposób usprawiedliwił jego wprowadzenie do senatu. Ukaranie zaś oskarżyciela całkiem milczeniem pominął.

Mimo to uczeni późniejszych czasów, jak Scaliger, zwłaszcza wieku XIX, jak Mommsen i Harnack, uważali wiadomość Euzebiusza za prawdziwą, połączone zaś z nią trudności starali się jako tako wytłumaczyć. W roku 1893 zaczęto się ponownie zajmować męczeństwem Apoloniusza. Uczony angielski Congbeare znalazł w tym roku w zbiorze ormiańskich aktów męczeńskich, wydanych w r. 1874 przez Mechitarzystów, tekst ormiański opisujący nam proces i męczeństwo Apoloniusza. Congbeare przetłumaczył ten tekst na język angielski [1], a w tym samym roku 1893 wydał go Harnack w języku niemieckim [2]. Akta te, zestawione z wiadomością podaną przez Euzebiusza, wykazały, że Euzebiusz przy całej swojej zwięzłości wiernie referował i uwydatnił istotne rysy męczeństwa Apoloniusza. Ale tem samem powróciły już wyżej wspomniane trudności. Harnack, chcąc je rozwiązać, mówi o nich długo i szeroko, nie umie jednak nic nowego dodać do tego, co już przed nim Th. Mommsen [3] powiedział na wytłumaczenie tych trudności. Aczkolwiek wszystkie te usiłowania spełzły na niczem, to jednak ze względu na powagę Euzebiusza, uważano te akta i nadal za autentyczne. Nie wszyscy jednak okazywali taki pietyzm względem tego zabytku literatury męczeńskiej. Jan Geffcken, prof. uniwersytetu w Rostock, znakomity filolog i znawca starochrześcijańskiej literatury greckiej, poddał te akta gruntownemu badaniu i wywołał przez to ostrą, do dziś dnia trwającą polemikę z Harnackiem [4]. Punktem wyjścia były akta Apolloniusza;

---

[1] Wydał go w *The Guardian* 18 czerwca 1893.

[2] *Sitzungsberichte der kgl. preuss. Akad. d. Wissensch. zu Berlin.* 1893. Zweiter Halbbd. pg. 721—746.

[3] Th. Mommsen: *Röm. Staatsrecht.* III (1888) 1066 ff.

[4] Artykuły polemiczne Geffckena znajdują się: w *Nachrichten d. kgl.*

atoli sama walka toczy się o autentyczność aktów męczeńskich wogóle, oraz o metodę, jakiej się trzeba trzymać w badaniu tych aktów.

II.

Harnack [1] wychodzi z dzieła św. Augustyna *De civitate Dei.* Augustyn opowiada [2] tu o 25 cudownych uzdrowieniach, które miały się dokonać w ostatnich latach jego życia w Afryce Północnej przy memoryach (relikwiach) św. męczenników, głównie zaś przy relikwiach św. Szczepana. Za staraniem Augustyna musiał każdy, który doznał tej łaski cudownego uzdrowienia, opisać to dokładnie i oddać biskupowi, który ze swojej strony sumiennie badał prawdziwość opisanego faktu. Opisy te, *libelli* nazwane, czytano publicznie w czasie nabożeństwa. Z tych i innych opisów Augustyna, gdzie św. ten biskup wielką radość z tych cudów okazuje, konkluduje Harnack: Augustyn mówi o tych cudach i o ich opisach jako o czemś bardzo ważnem. Dlaczego? Miały one dla Augustyna i dla współczesnych wiernych rzeczywiście wielkie znaczenie. Poganie drwili sobie z chrześcijan i z ich cudów, opisanych w ewangeliach, pytali się ich: jeżeli religia chrześcijańska jest prawdziwą, dlaczego się obecnie te same cuda nie dzieją, jakie się działy przedtem? W dziełach swoich powraca Augustyn raz po raz do tego zarzutu, nie znajduje jednak innej odpowiedzi, jak tę, że cuda były potrzebne w czasach wprowadzenia religii chrześcijańskiej w świat, *ad hoc ut crederet mundus,* teraz zaś, kiedy Chrystus Pan swoje boskie posłannictwo udowodnił, już nie są potrzebne. Ale Augustyn czuł, rozumuje dalej Harnack, że ta odpowiedź nie wystarczy. Jeżeli w religii chrze-

---

Gesellsch. d. Wissenschaften zu Göttingen, filol.-histor. oddział (1904) str. 262—284; *Zwei griechische Apologeten.* Leipzig 1907. *Hermes* Bd. 45 (1910) str. 483—505.

[1] Cf. *Deutsche Literaturzeitung,* Jahrg. 25, 15 Okt. 1904; *Sitzungsberichte der Berliner Ak. d. Wissensch.* 1910; *Philos.-hist. Klasse* VII; 1 Halbbd. pg. 106 ff.

[2] *De civitate Dei,* l. 22, cp. 8.

ścijańskiej żyje duch Chrystusa Pana i moc Boża, to i cuda muszą się dziać, jak się działy za czasów Apostołów. Przez długi czas nie pojawiały się cuda, dlatego z pewnem ociąganiem się mówi Augustyn o cudownym charakterze religii chrześcijańskiej. Teraz zaś, pod koniec swego życia, mógł dać wrogom niezbity dowód, że w Kościele żyje duch Boży, jak żył za czasów Apostołów; mógł odpowiedzieć poganom: Patrzcie, jakie cuda się dzieją przy relikwiach świętych naszych męczenników. Ponieważ, rozumuje dalej Harnack, cuda dziejące się za czasów Augustyna były dla współczesnych chrześcijan niezbitym dowodem, że duch Boży w Kościele żyje i działa (jak tego były dowodem cuda opisane w ewangelii dla ówczesnych wiernych i pogan), dlatego i Augustyn i inni biskupi tak czuwali nad tem, żeby te opisy cudownych uzdrowień zgadzały się z prawdą; sam Augustyn opowiada, że wiele takich opisów nie przyjął z tej przyczyny, że nie mógł ich dostatecznie stwierdzić. Wskutek tego proste, rozmyślne fałszowanie tych *libelli* było, jeżeli nie wykluczone, to przynajmniej bardzo utrudnione.

Z opisów cudów przechodzi Harnack do opisów męczeństw[1]. Augustyn, rozumuje Harnack, z upragnieniem wyglądał cudów, żeby na nich wykazać wrogom boskość religii chrześcijańskiej; pod koniec życia swojego doznał tej pociechy i mógł ze Symeonem zawołać: »Teraz puszczasz sługę Twego, Panie, w pokoju«. Ale i przed Augustynem oczekiwano cudów; w czasach bezpośrednio po Dyoklecyanie nie działy się cuda, dlatego chrześcijanie byli w niemałem zakłopotaniu, nie mając w ręku dowodów na boskość swojej religii. Natomiast posiadał Kościół przed Dyoklecyanem namacalne, niezbite dowody (w obfitej mierze), że w nim duch Boży mieszka i działa: to ci liczni męczennicy, których ten Kościół aż do Dyoklecyana włącznie z łona swojego wydał. Chrystus sam mieszkał w takim świadku, wyznawającym go przed światem pogańskim, Chrystus przemawiał przez jego usta; wyznawca i Chrystus już tu na ziemi są to samo. Cudów tu już nie potrzeba; odwaga i ochota, z jaką męczennik przed sądem

[1] *Sitzungsbericht* l. c. pg. 114 ff.

i w oczach śmierci się zachowuje i mówi, jego zwycięska walka z szatanem — to największy cud. Takie znaczenie miały męczeństwa dla Kościoła. A zatem, wnioskuje dalej Harnack, i opisy tych męczeństw — akta męczeńskie — były w oczach ówczesnych wiernych kontynuacyą ksiąg Nowego Testamentu. A zatem największą wagę kładziono na autentyczność tych opisów. Jak się zachował wyznawca przed sądem, zwłaszcza co i jak sędziemu na pytania odpowiadał, jak Chrystusa wyznawał, jak się sam Chrystus w swoim wyznawcy przejawiał — to wszystko było największej wagi w tych opisach, bo to stało na tym samym poziomie, co opowiadania ewangelii; kto tu fałszował, ten, pominąwszy, że mu to łatwo można było wykazać, narażał się na najcięższy zarzut, że fałszował słowa Ducha św., ewentualnie słowa Chrystusa. Bardzo więc zależało ówczesnym chrześcijanom na tem, żeby posiadać jak najautentyczniejszy przebieg procesu, głównie zaś mowy wyznawcy. W tym celu starano się, żeby przy tych procesach być obecnym, lub z więzień wydostać notatki samych wyznawców.

Stąd wyprowadza Harnack wielkiej doniosłości wniosek[1], że akta męczeńskie z pierwszych trzech wieków w ogólności są autentyczne. Fałszerstwa, dodatki są i tu możliwe, ale Harnack zna z tych czasów tylko jedne akta męczeńskie — św. Ignacego — sfałszowane; wszystkie inne fałszerstwa są dziełem późniejszych wieków. Takiem jest mniej więcej stanowisko Harnacka względem aktów męczeńskich.

Wspomniałem już wyżej, że nie wszyscy podzielają względem aktów męczeńskich ten przesadzony pietyzm Harnacka. Prof. Geffcken jest tu głównym przeciwnikiem[2]. Wychodząc z aktów Apoloniusza, powtarza i formułuje Geffcken już przez poprzedników podniesione a dostatecznie nierozwiązane trudności: ukaranie oskarżyciela i oskarżonego; Apoloniusz wprowadzony jest do senatu, żeby bronić swojej religii; senat wydaje wyrok śmierci, choć

---

[1] *Sitzungsbericht* l. c. pg. 116.

[2] Geffcken: *Die Acta Apollonii. Nachrichten d. kgl. Gesellsch. d. Wiss. zu Göttingen. Philol.-hist. Klasse.* 1904, pg. 263 sqq.

nie posiada władzy sądowniczej; Apoloniusz i Perenniusz, sędzia, dysputują ze sobą, obydwaj obracają się w tych samych ideach Filona; w mowie zaś o Logosie uzupełniają się nawzajem. To wszystko są zarzuty, które trudno pogodzić z prawem rzymskiem i owoczesną procedurą sądową. Żeby te trudności rozwiązać, daje Geffcken swoim badaniom szerszą podstawę. Najpierw zestawia akta Apoloniusza z innymi aktami męczeńskimi i dochodzi do wniosków, że w aktach męczeńskich, zwłaszcza późniejszych czasów, odczuwa się brak indywidualności w pytaniach sędziego i w odpowiedziach wyznawcy. W mowach męczenników przed sądem panuje widoczna szablonowość. Wyznawca, wezwany przez sędziego do złożenia ofiar bogom, oburza się na to wezwanie; następnie zwalcza bogów pogańskich, wykazuje ich ludzkie pochodzenie, ich słabości, miłostki, wielkie występki, śmierć; proroctwa, wypowiadane niby przez bogów, pochodzą w rzeczywistości od demonów. Zwalczając pogańską religię, cytuje wyznawca greckich pisarzy i filozofów: Homera, Herakleta, Sokratesa i innych. Po kolei wykłada oskarżony przed sądem naukę chrześcijańską, wykazuje wyższość religii chrześcijańskiej nad pogańską, zbija zarzuty czynione przez pisarzy pogańskich; udowadnia boskie pochodzenie religii chrześcijańskiej i wyższość Chrystusa nad bogami pogan. W tym celu cytuje proroctwa żydowskie i pogańskie o Chrystusie. Wyznawca nie boi się śmierci, ale i żyć pragnąłby; grozi śmiercią i sądem Boga prawdziwego i życzy sędziemu i innym, żeby się nawrócili do Chrystusa.

Oto schemat, twierdzi Geffcken, według którego skonstruowane są mowy wyznawców przed sądem. W najstarszych aktach (jest ich bardzo mało) są to mowy krótsze, skromniejsze, może więcej indywidualne; ale wnet nabierają ci wyznawcy więcej odwagi, wdają się z sędzią w długie dysputy i rozmowy. Dalej rozpatruje Geffcken te akta męczeńskie w świetle ówczesnej procedury sądowniczej [1]. Forma sądów rzymskich była prosta jak i dziś, twierdzi Geffcken. Sędzia pytał się oskarżonego o nazwisko, czy jest chrześcijaninem i czy chce bogom ofiarować;

[1] Geffcken: *Die christl. Martyrien. Hermes.* Bd. 25 (1910) 488 sqq.

na te pytania oczekiwał od oskarżonego odpowiedzi; na długie dyskusye i rozmowy apologetyczne nie było miejsca i czasu. Jeżeli czasem sędzia był względny, to namawiał oskarżonego, żeby miał wzgląd na korzyści materyalne i ofiarował bogom, ale nie wdawał się z nim w długie dysputy. Tymczasem przechowane nam akta męczeńskie sprzeciwiają się tej procedurze. Według nich często dopiero po długich dysputach, kiedy już kilka razy oskarżonego po nazwisku wymienił i namawiał go, żeby złożył ofiarę bogom, pyta się oskarzonego, jak się nazywa i czy jest chrześcijaninem. Trudno przypuścić, wnioskuje Geffcken, żeby w czasach, w których cesarze coraz surowsze wydawali przeciw chrześcijanom prawa, sędziowie byli dla nich coraz bardziej pobłażliwi, wdawali się z nimi w dysputy religijne, pozwalali na długie wywody, obrażające osobę władcy i religię państwową. Po kolei porównywa Geffcken akta męczeńskie ze współczesną literaturą apologetyczną. W tej literaturze zachowany jest mniej więcej ten sam schemat, jak w aktach męczeńskich; te same idee, te same cytaty i przykłady wzięte ze świata pogańskiego, które czytamy w aktach męczeńskich, znajdujemy u najstarszych apologetów, jak u Focyana, Atanagorasa, Justyna. Stąd wnioskuje Geffeken, że te piękne mowy, zachowane nam w aktach męczeńskich, nie były mówione przed sądem, lecz sztucznie ułożone w celach apologetycznych, że zatem i same akta męczeńskie wogóle nie są autentyczne, lecz z małymi wyjątkami są podrobione. Zresztą, zapytuje Geffcken [1], jak i kiedy mogliby chrześcijanie tak dokładnie akta tych procesów spisać? W czasie procesu nie mogli pisać. Wprawdzie uważali chrześcijanie na to, żeby przy procesach zawsze niektórzy z nich byli obecni; ale wtedy cała ich uwaga wytężona była na ważniejszą rzecz: wyznawca Chrystusa staje przed sądem, na progu śmierci; on ma dać przed światem pogańskim świadectwo Chrystusowi, Chrystus przez niego przemawia; uważano więc pilnie, żeby każde słowo tego świadka Chrystusowego uchwycić, dobrze zrozumieć; na pisanie w czasie trwania procesu brak było odpowiedniego spokoju. Dopiero powróciwszy do domu,

[1] *Hermes* l. c. pg. 492.

pisano z pamięci; chodziło im zaś o to, żeby wyznawcę jak największym nimbem otoczyć, a ze sędziego zrobić największego okrutnika.

Po kolei zestawia Geffcken chrześcijańskie akta męczeńskie z odnośną literaturą pogańską i dochodzi do wniosku, że między aktami chrześcijańskimi i aktami męczeńskimi filozofów pogańskich zachodzi ścisły związek. Filozof przed trybunałem tyrana broni swoich przekonań religijnych i cierpi za nie, jest więc prawdziwym męczennikiem przynajmniej w oczach swych współwyznawców. Sokrates i Anaxarchos to pierwsi filozofowie-męczennicy. Postacie tych dwóch wytrwałych myślicieli, otoczone nimbem i ubóstwiane przez ich współwyznawców, grają wielką rolę w późniejszych aktach chrześcijańskich i pogańskich. Późniejsi męczennicy, jak pogańscy tak i chrześcijańscy, jakich nam opisują »akta«, powołują się przed sądem na tych dwóch filozofów, cytują ich mowy. W czasach rzymskich ciężyła przez dłuższy czas niełaska cesarska na filozofii.

Wielu filozofów, zwłaszcza z obozu stoickiego, zostało skazanych na śmierć lub wygnanie. W tym czasie to główni przedstawiciele tej filozofii akcentowali w pismach swoich niezależne stanowisko mędrca, jego wszechstronną wyższość nad wszelką władzą. Seneka w pismach swoich raz po raz zwraca na to uwagę, że jak strzały niebu, tak władca doczesny nie potrafi zaszkodzić mędrcowi [1].

Ale głownie Epiktet przejęty był tą ideą wielkości filozofa. Zatapiając się w aktach męczeńskich [2] swoich współwyznawców,

---

[1] W »Listach moralnych« rozwodzi się Seneka szeroko nad tą kwestyą. »Quid mihi gladios et ignes ostendis et turbam carnificum circa te frementem? tolle istam pompam, sub qua lates et stultos territas: mors es, quam nuper servus meus, quam ancilla contempsit. Quid tu rursus mihi flagella et eculeos magno apparatu explicas? quid singulis articulis singula machinamenta, quibus extorqueantur, aptata et mille alia instrumenta excarnificandi particulatim hominis... iube conticescere genitus et exclamationes et vocum inter lacerationem elisarum acerbitatem: nempe dolor es, quem poedagricus ille contemnit, quem stomachicus ille in ipsis deliciis perfert, quem in puerperio puella profert«... Cf. ep. 24, 14.

[2] Akta męczeńskie pogańskich filozofów zaginęły prócz jednych; sąd

ułożył z mów podanych w tych aktach jakby zbiór przepisów, określających zachowanie się filozofa wobec tyrana: Władca doczesny nie może mimo swojej potęgi wpłynąć na żadne wewnętrzne wzruszenie, na żaden zamiar filozofa; chociaż władcę doczesnego jeszcze tak wielu otacza i pochlebia mu, to jednak nigdy nie dojdzie do wielkości Sokratesa; chce mię władca doczesny ściąć, to mu wolno, ale przez to nie szkodzi mi więcej jak zła febra [1]; więzów władcy nie trzeba się bać; Zeus nie pozwoli na to, żeby jego syna obrócono w niewolnika [2]; tyran może się stać panem tylko mojego trupa. Przy tem wszystkiem raz po raz zwraca Epiktet uwagę na słowa Sokratesa powiedziane przed sądem: »Anytos i Meletos mogą mię zabić, zaszkodzić mi nie mogą« [3].

Do tych opisów Seneki i Epikteta, przedstawiających nam filozofa przed trybunałem tyrana, można dodać przechowane do nas rzeczywiste akta sądowe filozofa Apoloniusza z Tyany. Dwa razy wołany jest ten cudowny mąż przed sąd; w czasie pierwszego procesu dzieje się cud: pismo zawierające skargę zamienia się nagle w czysty papier. Filozof podczas sądu okazuje największą pogardę cesarzowi i jego otoczeniu; gwałtowne zdania filozoficzne padają jedno po drugiem; sędzia czuje swoją nicość i boi się z bogiem walczyć (θεομάχειν). Podobny przebieg ma proces przed Domicyanem: Apoloniusz, przyprowadzony przed sąd, nie chce patrzeć na cesarza; wezwany, żeby spojrzał na »boga wszystkich ludzi«, podnosi oczy w górę. Oskarżyciel, bojąc się, że Apoloniusz rozpocznie długą, przekonywującą apologię, prosi sędziego, żeby oskarżonemu nie dawał wiele czasu. Sędzia stawia szereg pytań odnoszących się do życia pythagorejczyków; wreszcie uwalnia go cesarz. Ale teraz dopiero podnosi się ten nadzwyczajny mąż i w poczuciu swojej wielkości uderza z całą siłą na tego nikczemnika cesarskiego, gani jego rządy i postępowanie i powta-

---

o tych aktach można jednak sobie wyrobić z pism Seneki i Epikteta, którzy je znali i w pismach swoich na nie się powoływali; zwłaszcza Epiktet.

[1] Diss. I, 19, 1—7; cf. także miejsce przytoczone z Seneki.

[2] Diss. I, 19.

[3] Diss. II, 2, 15; III, 23, 21 i częściej. Te same słowa powtarzają się w aktach męcz. Pioniosa (Gebhard, XVII, 2) i w literaturze apologetycznej.

rza, że cesarz mu może odebrać życie ciała, ale nie odbierze mu życia duszy. Otóż to wszystko, woła Geffcken, to podobieństwa z męczeństwami chrześcijańskiemi. Ale nie tylko to: wyraz μάρτυς, μαρτυρεῖν w znaczeniu świadczyć przed sądem doczesnym o swojej religii, jest pogańskiego pochodzenia. Według Epikteta [1], filozof jest »świadek od Boga powołany«; filozof otrzymuje od Boga wezwanie: »idź i świadcz mi, ty jesteś godzien«, filozof może się szczycić, że »jego Zeus przed innymi ludźmi jako świadka postawił«. I chociaż filozofa spotkała zemsta tyrana, on mimo to zostanie świadkiem najwyższego Ojca, który go nie opuści. A zatem tu jest źródło znaczenia μάρτυς: grecki filozof przed tyranem, chrześcijanin przed prokonsulem: jeden i drugi świadczy o swojej religii, świadczy swojemu Bogu. To wyraźny związek. Ale na tem jeszcze nie koniec: chrześcijańskie akta męczeńskie często wspominają, że w czasie sądu lub męczarni działy się cuda, lecz i do tego znajdują się analogie w aktach pogańskich. Wreszcie dodajmy jeszcze jedno, co nam, według Geffckena, jasno ma pokazać, jak akta chrześcijańskie powoli powstawały, wzorując się na odnośnej literaturze greckiej. Karą dla męczennika chrześcijaństwa było zazwyczaj ścięcie, spalenie na stosie lub rozdarcie przez dzikie zwierzęta. Ale dla niewiast była jeszcze inna kara: zamknięcie w domu nierządu. Otóż i to ma swoje *analogon* w literaturze greckiej: dziewica zamknięta w domu rozpusty i nietknięta — to ulubione motywy w greckiej komedyi [2] i w greckim romansie [3].

Widzimy zatem, że jak z jednej strony Harnack może w przesadny sposób akcentuje autentyczność aktów męczeńskich, tak znowu Geffcken, powodowany względami literackimi i swojem »filologicznem sumieniem«, upatruje w każdem zdaniu aktów męczeńskich »eine literarische Mache«.

---

[1] Diss. I, 29, 47; III, 24, 112; I, 9; 18, 17; 23, 4.

[2] Reitzenstein: *Werden und Wesen der Humanität im Altertum.* 1907, str. 26.

[3] Cf. Historya o królu Apoloniuszu.

III.

Co sądzić o zapatrywaniach Harnacka i Geffckena na akta męczeńskie? Zwróćmy najpierw naszą uwagę na przyczyny, dla których Geffcken chrześcijańskim aktom męczeńskim odmawia autentyczności. Geffcken powołuje się najpierw na sprzeczność tych aktów męczeńskich z ówczesną rzymską procedurą sądową. Lecz jakąż była ta procedura sądowa? Sam Geffcken przyznaje, że głównem źródłem do poznania tej procedury są właśnie akta męczeńskie [1], i że innych źródeł nie mamy. Otóż Geffcken bierze kilka najstarszych aktów męczeńskich [2], usuwa z nich to wszystko, co uważa za »retorykę« i za »greckie patos«, tworzy niejako szkielet z pytań i odpowiedzi i ten samowolnie utworzony szablon nazywa ówczesną rzymską procedurą sądową, nie dając nam na to innych dowodów, jak swoją filologiczną intuicyę, kończy wołając: »Die Instruktion des Processes also kennen wir, auf die einfachen klaren Fragen des Richters erwartete man damals wie heute einfache, sachgemässe Antwort« [3]. Geffeken nie może zrozumieć, jak wyznawca stając przed sądem, na progu śmierci, może z taką odwagą, z takim patosem i tak wymownie i uczenie bronić swojej religii. »Überall wo das griechische Pathos wahrnembar ist, wo die Märtyrer unter den furchtbarsten Qualen noch so pointiert sprechen, wie die Biblis, kann man nicht an Authentic glauben« [4]«.

Trzeba jednak odróżnić sztucznie wywołany, obmyślany patos od szczerego przejęcia się rzeczą; to ostatnie przemawia do nas z najstarszych aktów męczeńskich [5]. Chrześcijanin wierzył żywo i silnie, że Chrystus Pan umarł za niego, że jest jego Bogiem,

---

[1] *Die christlichen Martyrien, Hermes* 45 Bd. (1910) 488.

[2] *Epist. eccles. Vien. et Lugd.; Acta Maximi; Martyrium Polycarpi, Acta Cononis* (cf Gebhard, *Acta martyrum selecta*).

[3] *Hermes,* l. c. str. 490.

[4] *Hermes,* l. c. str. 489.

[5] *Passio ss. Scillitanorum; Acta Iustini; Acta Polycarpi; Acta Pionii* etc. Cf. Gebhard: *Acta martyrum.*

dla którego on w tem życiu powinien żyć, a z którym w przyszłem ma królować; dlatego gardził życiem doczesnem, a śmierć choćby najokropniejszą, uważał tylko za próg, przez który miał przejść do życia z Bogiem; dlatego odważnie, z zapałem wyznawał tego Chrystusa przed sądem pogańskim, a wyznawał tem chętniej, że czuł tego Chrystusa we własnem sercu. W tem przekonaniu, w tej silnej wierze miała jego odwaga i zapał swoje źródło, a zatem mów jego nie można sądzić i oceniać ze stanowiska, na jakiem ktoś stoi, lecz chcąc je zrozumieć, trzeba się wmyśleć w położenie tych bohaterów i wkraść się niejako w ich wnętrzne życie w owej ważnej dla nich chwili, w której przed światem pogańskim stojąc, świadczyli Chrystusowi. Zdaje mi się zatem, że w kwestyi, co w czasach Dyoklecyana było przed sądem możliwem i dozwolonem, więcej trzeba wierzyć starym, poważnym dokumentom z owych czasów, niż apryorycznym kombinacyom uczonych XIX i XX w. Jeżeli Geffcken niektóre rysy w opisie męczenników Palestyny [1] uważa za niemożliwe i za niedozwolone, to mimowoli trzebaby się zapytać, co jest prawdopodobniejszem, czy, że Euzebiusz dopuścił się grubych błędów w opisie ówczesnej, ogólnie znanej procedury sądowej, czy też może nowoczesny krytyk powodował się choćby nieświadomie jakimś przesądem, gdy orzeka, co w takim procesie kryminalnym było możliwem lub niemożliwem. Dalej twierdzi Geffcken [2], że chrześcijanie nie mogli nam nawet dać wiernego opisu tych procesów. W czasie bowiem procesu nie mogli pisać, ponieważ cała uwaga ich wytężona była na to, jak się wyznawca zachowuje, co i jak odpowiada; więc spisywali wszystko później z pamięci, a tu mogła ich unosić własna ich fantazya, zwłaszcza gdy pragnęli otoczyć nimbem swego bohatera. Zdaje mi się, że właśnie dlatego, iż wiernym tak na tem zależało, jak się ich współwyznawca zachowuje, jak i co mówi, musieli sporządzać na miejscu jakieś notatki. Jeżeli zaś to nie zawsze było możliwem, to wiemy z naj-

[1] Euseb. *Mart. Pal.*

[2] *Hermes*, l. c. str. 492.

nowszych badań, że protokóły sądowe były dostępne dla osób interesowanych, z nich tedy mogli sobie sporządzić odpisy [1]. »Das es den Interessenten erlaubt wurde, Abschriften aus diesen in den Archiven deponierten Protokollen zu nehmen, zeigen zahlreiche Fälle, in denen einzelne Teile aus älteren Commentarii bei späteren Prozessen von den Parteien zietiert wurden« [2]. Wilcken dodaje: »Hiernach kann es auch für die Christen keine Schwierigkeiten gehabt haben, Abschrifte aus den Protokollen der Christenprozesse zu bekommen«.

W dalszym ciągu powołuje się Geffcken na apologetyczny styl mów wyznawców przed sądem. Ciekawy, prawie niezrozumiały zarzut! Wiemy, że wyznawcom było czasem dozwolonem bronić swej religii przed sądem [3], a zatem te ich mowy musiały mieć charakter apologetyczny. Każdy, choć miernie wykształcony chrześcijanin musiał być w czasach prześladowania w każdej chwili przygotowany na to, że trzeba mu będzie przed sądem zdać sprawę ze swojej religii; tę religię poznawał każdy chrześcijanin z pism apologetów. Co apologeci w obronie religii pisali, to mniej więcej było w czasie od Marka Aureliusza począwszy aż do Dyoklecyana niejako całą wiedzą i mądrością chrześcijan; nic więc dziwnego, że stawieni przed sąd i broniąc swojej religii, powtarzali myśli a nawet słowa pisarzy apologetycznych. Samo się przez się rozumie, że te same myśli, przykłady i dowody musiały się powtarzać w mowach każdego z wyznawców; wszak oni mniej więcej wszyscy czerpali ze wspólnego źródła.

Po kolei powołuje się Geffcken na »uderzające« podobieństwa, jakie zachodzą między aktami wyznawców chrześcijańskich a odnośną literaturą pogańską [4]. Akta chrześcijańskie, rozumuje Geffcken, mają wielkie podobieństwo nie tylko co do formy, ale

---

[1] Th. Mommsen: *Röm. Strafrecht,* str. 519 sqq; *Juristische Schriften* I, str. 450.

[2] U. Wilchen: *Antisemitismus* (*Abhandlungen d. philol.-hist. Klasse d. kgl. Sächs. Gesell. d. Wiss.* 27 Bd. Nr. 23 (1909), 829.

[3] Euseb.: *Mart. Pal.* mówi, że nieraz było wyznawcom dozwolonem przed sędzią παρρησιάζειν; cf. także Euseb. H. C. IX, 6, 3 i VIII, 13, 2.

[4] *Hermes,* l. c. str. 493 sqq.

i co do rzeczy z literaturą męczeńską pogańskich filozofów; już zaś te akta pogańskie nie są autentyczne [1], a więc i akta chrześcijańskie są utworami czysto tendencyjnymi. Najpierw nie jest rzeczą tak pewną, jak to Geffcken sądzi, że akta pogańskie są tylko czystą literaturą. Geffcken powołuje się na Bauera [2] i Reitzensteina [3]. Ale pierwszy nie stawia swego zdania jako pewne, lecz tylko jako prawdopodobne i w tem przypuszczeniu powołuje się na to, że prawdopodobnie i akta chrześcijańskie są tylko literaturą; Reitzenstein zaś przyjmuje wprawdzie za pewne, że męczeńska literatura pogańska nie jest autentyczną, nie daje jednak żadnych na to rzeczowych dowodów, zadowalając się, jak zwykle, ogólnemi, estetyczno-filologiczno-literackiemi uwagami, przypuszczeniami.

Przeciw wnioskom Bauera i Reitzensteina wystąpił w ostatnich czasach znany papyrolog U. Wilcken [4]. Wilcken, zbadawszy gruntownie protokóły sądowe, przechowane nam na papyrusach, doszedł do wniosku, że akta pogańskie w tej formie, w jakiej je dziś posiadamy, są prawdopodobnie dziełem późniejszego redaktora, że jednak przebieg sądów w tych aktach opisany opiera się na rzeczywistych protokółach z kancelaryi cesarskiej [5]. Dalej twierdzi Wilcken, że tak samo późniejsze redakcye aktów męczeńskich chrześcijańskich mają za podstawę pierwotne i autentyczne akta. »Denn dass es in diesem Sinne ächte Märtyrerakten giebt, ist mir trotz der neuerdings erhobenen prinzipiellen Bedenken nicht zweifelhaft« [6]. A zatem jak nie wszystkie akta pogańskie są »literarische Mache«, tak samo i nie wszystkie akta chrześcijańskie są podrobione.

---

[1] *Hermes,* l. c. str. 500.

[2] *Archiv für Papyrusforschung,* I, str. 29 sqq.

[3] Reitzenstein: *Ein Stück hellenistischer Kleinliteratur. Nachr. d. k. Ges. d. Wis. zu Göttingen, phil.-hist. Klasse* (1904) 309—332; głównie str. 326 sqq., oraz Reitzenstein: *Hellenistische Wundererzählungen.*

[4] Ulrich Wilcken: *Zum Alexandrinischen Antisemitismus. Abh. der k. sächs. Ges. d. Wissensch.; philol.-hist. Klasse,* Bd. 27 (1909), nr. 23, str. 724—839.

[5] Wilcken, l. c. str. 829.

[6] Wilcken, l. c. str. 830.

Ale Geffcken powołuje się na »uderzające« podobieństwa. Że ówczesny pogański filozof i chrześcijański wyznawca odważnie stawali przed sądem, że okazywali dla tyrana i sędziego pogardę, że lekceważyli sobie życie doczesne, to jest łatwem do wytłumaczenia, jeśli się weźmie pod uwagę, że jeden i drugi był w podobnem położeniu, że jeden i drugi był żywo przejęty swojemi pojęciami i ideałami. Ciało i życie doczesne w ciele było dla ówczesnego filozofa złem naturalnem; zaś nieczułość na wszelkie skłonności i wzruszenia życia zmysłowego (ἀπάθεια) było prawdziwą cnotą i mądrością; dlatego kto chciał być prawdziwym mędrcem, ten gardził życiem doczesnem, dążył do wyniszczenia w sobie skłonności i wzruszeń zmysłowych. Chrześcijanin również nie szukał swojego szczęścia w życiu doczesnem; dla niego to życie było tylko czasem próby, okazyą do okazania wierności swojemu Bogu, przejściem do życia prawdziwego; ciało uważał on za więzienie dla duszy, za źródło grzechów; a zatem filozof i chrześcijanin widzieli w sędzim swojego wroga, który gwałtem i podstępem usiłuje im wydrzeć najdroższe ich sercu ideały; nic więc dziwnego, że w walce z tym wrogiem zachowali się w podobny sposób, że obydwaj z odwagą i pewnością siebie stają przed tyranem, okazując dlań i dla jego władz pogardę, a wynosząc swoje ideały; nic w tem dziwnego, że jeden i drugi powołuje się na Sokratesa, cytuje zdanie Homera: wszak Sokrates był ówczesnemu światu cywilizowanemu nie mniej znany, niż nam. Zarówno filozofowie pogańscy jak i chrześcijańscy apologeci powoływali się w pismach swoich na Sokratesa i na innych greckich pisarzy, z nich zaś czerpali chrześcijańscy wyznawcy. Geffcken jednakowoż sądzi, że wszyscy chrześcijańscy męczennicy byli nieukami; i dlatego, gdziekolwiek w mowie takiego męczennika przejawia się znajomość literatury pogańskiej, woła z tryumfem: »Ich nenne das Literatur und überlasse es Anderen, sich an Martyrerreden voller literarischer Gemeinplätze zu ergötzen« [1]. Ale wyraz μάρτυς, μαρτυρεῖν w znaczeniu: przed ludźmi oddać świadectwo Bogu,

[1] *Hermes*, l. c. str. 495.

jest pochodzenia pogańskiego [1]. Jako na dowód w tej mierze powołuje się Geffcken na Epikteta. Nie wiem, czy Geffcken naumyślnie pominął księgi Nowego Testamentu; wyraz μαρτυρεῖν, μάρτυς w naszem znaczeniu powtarza się raz po raz w tych pismach; a przecież przynajmniej niektóre z tych ksiąg istniały przed pismami Epikteta. Zresztą rzecz była ta sama: pogański filozof oddawał wobec władzy świeckiej świadectwo swojemu bogu, chrześcijański wyznawca swojemu; dlaczego nie mieliby użyć obydwaj tego samego wyrazu?

Wreszcie przytacza Geffcken ostatni dowód [2], który ma nam, jego zdaniem, w sposób namacalny wykazać, jak chrześcijańskie akta męczeńskie powstały, jak się z czasem rozwijały i rosły. Zwyczajnemi karami dla wyznawców chrześcijaństwa było: ścięcie, spalenie na stosie lub rozszarpanie na arenie przez dzikie zwierzęta, dla dziewic zaś zamknięcie w domu nierządu t. j. kary znane, jakeśmy już widzieli, jako motywy literatury pogańskiej. Ale przecież jeden z najznakomitszych znawców prawa rzymskiego, Th. Mommsen [3], wyraźnie mówi, że takie kary istniały w prawie rzymskiem dla dziewic (nie dla matron); że zaś te kary były stosowane do dziewic chrześcijańskich, o tem świadczy Tertulian — Geffcken zna to świadectwo. A czy to nie jest możliwem — pominąwszy już pomoc nadziemską — że dziewica swoim urokiem onieśmieli lubieżnika i tym sposobem ocali swą niewinność? Inna kwestya, czy wszystkie podobne fakta, opisane w aktach męczeńskich, są autentyczne; wystarczy jednak dowieść, że takie fakta były, że nie wszystkie zatem zostały zmyślone pod wpływem literatury greckiej.

Rozebraliśmy dowody Geffckena i widzieliśmy, że bez zadania gwałtu zdrowej logice ani żaden z osobna, ani wszystkie razem wzięte nie zmuszają nas do przyjęcia konkluzyi Geffckena, jakoby akta męczeńskie wogóle, »a może wszystkie«, miały być »eine literarische Mache«. Można się zgodzić na to, że współczesna literatura chrześcijańska i pogańska wpływała na pisarzy lub

[1] *Hermes*, l. c. str. 495 sqq.
[2] *Hermes*, l. c. str. 503.
[3] *Römisches Strafrecht*, str. 955.

redaktorów tych aktów; ale, żeby akta męczeńskie wogóle nie były autentycznymi, żeby co najwięcej tylko tyle zawierały prawdy, że jakiś chrześcijanin był sądzony i skazany na śmierć, nie przedstawiały nam zaś nawet w istotnych zarysach przebiegu samego procesu, — na tę konkluzyę nie daje nam Geffcken żadnych dowodów, prócz swojej własnej filologicznej powagi. Dalej, trzeba przyznać, że wiele aktów męczeńskich, zwłaszcza w czasach po Dyoklecyanie, rzeczywiście podrobiono. Ale jeżeli Geffcken z tego wnioskuje, że i starsze akta, z których się późniejsze rozwinęły, są także tylko literaturą apologetyczną, powstałą na wzór pogańskich aktów męczeńskich, to jest to zbyt śmiałem twierdzeniem, niegodnem takiego krytyka-filologa, jakim jest Geffcken. Zgodnie z takiem twierdzeniem musielibyśmy wrzucić do ognia całe szeregi dokumentów historycznych, mianowicie tych, z których później potworzyły się legendy. Aczkolwiek więc trzeba przyznać, że krytyka literacka przy pomocy analogii i porównań bez zaprzeczenia wiele się przysłużyła wiedzy, to jednak na przykładzie Geffckena widzimy jasno, że nadużycie tych analogii, porównań, redukcyi i neutralizacyi może olśnić oko, ale prawdziwemu postępowi w naukach szkodzi.

Przejdźmy do Harnacka. Ten, wychodząc z założenia, że chrześcijanie pierwszych wieków uważali opisy cudów i męczeństw za kontynuacyę pism Nowego Testamentu, że zatem wielką wagę kładli na to, by posiadać protokóły procesów, wnioskuje, że akta męczeńskie, powstałe w czasach wielkich prześladowań, są autentyczne, spisane na podstawie protokółów sądowych. Aczkolwiek można przyjąć tę konkluzyę Harnacka, to jednak trudno się zgodzić na sposób, w jaki on swój wniosek uzasadnia. Ze słów św. Augustyna wynika wprawdzie, że na autentyczność tych opisów cudów *(libelli)* kładziono wielki nacisk, ale zbyt śmiałem jest twierdzenie Harnacka, niczem zresztą nieuzasadnionem, jakoby chrześcijanie z czasów św. Augustyna uważać mieli owe *libelli* za kontynuacyę pism Nowego Testamentu. Harnack uogólnia wypadki. Zwyczaj opisywania cudów i odczytywania ich w czasie nabożeństw istniał w Północnej Afryce, nie zaś w całym Kościele. Harnack przecenia stanowczo powagę tych *libelli*. Według świadectwa św. Au-

gustyna opisy takie odczytywano tylko raz w czasie nabożeństwa, następnie składano do archiwum kościelnego; ceniono je jako autentyczne opisy pewnego nadzwyczajnego faktu, ale nie były one religijnymi dokumentami, jak księgi Nowego Testamentu.

Co się tyczy aktów męczeńskich, to nie posiadamy żadnego orzeczenia ani całego ówczesnego Kościoła, ani nawet poszczególnych biskupów, żeby te akta męczeńskie uważano za uzupełnienie opowiadań Nowego Testamentu. Wstęp do aktów Perpetuy i Felicyty, na który się Harnack powołuje, nie może być dla nas miarodajnym raz dla tego, że wyrażone w nim zdanie jest zupełnie prywatne, powtóre, że cały ten wstęp jest mocno zabarwiony montanizmem. Nigdy nie pojawiają się akta męczeńskie w łączności z Nowym Testamentem; jeżeli, według zdania Harnacka, akta męczeńskie miały w Kościele takie znaczenie, to dlaczego nie starał się Kościół o to, żeby powiększyć liczbę aktów autentycznych, kiedy w czasie prześladowania za Dyoklecyana tak łatwo to mógł uczynić; dlaczego dalej ani pisarze z czasów męczeńskich, ani wielcy Ojcowie Kościoła nie przytaczają na dowód boskości religii chrześcijańskiej, obok tekstów z Nowego Testamentu, także tekstów wziętych z aktów męczeńskich? Wreszcie w suppozycyi Harnacka trzebaby się dziwić, dlaczego Kościół katolicki nie odgraniczył oficyalnie tych aktów autentycznych od innych nieautentycznych, jak postąpił z pismami Nowego Testamentu i apokryfami.

Dowody, na które się Harnack powołuje, że według przekonania ówczesnych chrześcijan, w wyznawcy, stającym przed tyranem, Chrystus mieszkał i przemawiał przez niego, odnoszą się co najwięcej do samych męczenników. Że słaby człowiek sam dobrowolnie stanął przed sądem wroga, że mając do wyboru życie miękkie lub śmierć, nieraz okrutną, z odwagą i pewnością siebie bronił swojej religii i wytrwał w niej do śmierci: ten fakt był dla chrześcijan dowodem, że w ich Kościele, który ze swojego łona takich bohaterów wydaje, mieszka i działa duch Boży; ale żeby Kościół ówczesny opisy tych faktów, akta męczeńskie uważał za równie święte, jak księgi Nowego Testamentu, na to niema dowodów. Tak więc, jak z jednej strony trzeba być wdzięcznym

za to Harnackowi, że odważnie i stanowczo występuje przeciwko wybrykom nowoczesnych krytyków-literatów, tak z drugiej strony nie można się w żaden sposób zgodzić na jego dowody.

Autentyczność aktów męczeńskich można, mojem zdaniem, i bez suppozycyi Harnacka skutecznie udowodnić.

Zajmując się aktami męczeńskimi trzeba pamiętać o tem, że te akta nie chcą być i nie są utworami czysto literackimi, lecz na pierwszem miejscu chcą być dokumentami historyczno-religijnymi. A zatem chcąc poznać ich autentyczność, nie można ich badać li tylko ze stanowiska literata-krytyka i przy pomocy li tylko zasad literacko-krytycznych, ale trzeba je także, i to głównie, badać ze stanowiska teologa-historyka; wtedy rezultaty tych badań nie będą jednostronne. Krzyczącą potrzebą jest, żeby w ten labirynt literatury męczeńskiej wprowadzić jakieś światło, porządek; następnie trzeba w monografiach badać pojedyncze akta lub grupy aktów pod względem filologicznym, historycznym i teologicznym. Ogólne uwagi i refleksye w stylu Geffckena i Harnacka na niewiele się przydadzą, jeżeli nie oprą się na tej drobiazgowej wprawdzie, ale żmudnej pracy monograficznej. W badaniu tych aktów trzeba odróżnić akta powstałe przed Dyoklecyanem od późniejszej literatury męczeńskiej. W czasach męczeństw patrzono się naocznie na bohatera, wskutek tego nie było nawet psychologicznej podstawy do przesadzania; zresztą procesy i męczeństwa były faktami głośnymi, zapisanymi w protokółach, więc zarazby protestowano przeciw fałszerstwu i przesadzie. Natomiast, kiedy minął okres prześladowań, kiedy o męczeństwach słuchano i czytano, jako o zdarzeniach z zamierzchłych czasów, wtedy stanęli ci męczennicy przed oczyma chrześcijan jako olbrzymy, fantazya nie potrzebowała się już krępować żadnymi względami autentyczności, o bohaterach nieziemskich wolno wszystko powiedzieć, cokolwiek da się wzniosłego pomyśleć; wtedy rozpoczęły się też na wielką skalę redakcye, opracowywania aktów męczeńskich. Tak powstały liczne legendy o męczennikach, legendy, przeciwko którym już dekret gelazyański (496 r.) i drugie koncylium Trullańskie (692) występuje. Od tych legend trzeba odróżnić akta męczeńskie, spisane w czasach przed Dyoklecyanem, bo *ab initio non fuit sic.*

Wreszcie jeszcze jedno. Męczennicy chrześcijańscy w oczach współczesnych historyków pogańskich nie wydawali się postaciami, któreby stanowiskiem i działalnością swoją znaczyły wiele w rozwoju historycznym, wskutek czego nie dziw, że ci historycy nie uważali za potrzebne zajmować się nimi szczegółowo. Dosyć im wydawało się zaznaczyć w swych kronikach ogólnikowo, że w tym lub owym czasie wielu chrześcijan skazano na śmierć. Również pisarze chrześcijańscy, redagujący te akta, także przeważnie nie są postaciami skądinąd nam znanemi; często nie podają oni nawet swego nazwiska; a jeżeli je wymieniają i starają się opowiadaniom swym o męczenniku nadać cechy wiarogodności, to właśnie wtedy najmniej budzą ufności w czytelniku. Otóż brak nam dla aktów męczeńskich świadectw zewnętrznych. A zatem w badaniu tych aktów nie da się stosować tych samych zasad krytycznych, jakie się zwykło stosować do osób historycznie znanych, gdzie z milczenia zewnętrznych źródeł wyciąga się pewne wnioski. Badacz aktów męczeńskich jest skazany prawie zawsze na to, że musi się zadowolić kryteryami wewnętrznemi. W tem właśnie zawiera się główna trudność, ponieważ praca na podstawie samych tylko wewnętrznych kryteryów jest zależną od wielu przedmiotowych i podmiotowych okoliczności i warunków. Atoli jakkolwiek badanie aktów męczeńskich połączone jest z wielkiemi trudnościami, to jednak nasza znajomość pierwszych czterech wieków chrześcijańskiej historyi z jednej strony, pewność zaś historycznej metody i krytyki z drugiej strony umożliwiają nam stopniowe pokonywanie tych trudności. Największe jednak niebezpieczeństwo w tej pracy polega na owej ze strony metody porównawczej jeszcze niedosyć przezwyciężonej skłonności, która nie uwzględniając całości badanego przedmiotu ani jego charakterystycznych cech, pozorne podobieństwo uważa za prawdziwe, z prawdziwych zaś podobieństw wnioskuje o genetycznym związku.

Ks. Karol Ranoszek.

STANNICA.

OBRAZEK.

(Dokończenie).

Pani Anna płakała. I za łzami temi poczynała w kąciku jednym duszy odnajdywać słodycz dziwną, jakby w zetknięciu z Bogiem dobrym, zamieszkałym w duszy i odczuła prawie jako szczęście ów ucisk i troskę i ból i lęk tłoczący, bo tak się wśród tego uczuła bezpośrednio, tak jedynie w Jego ręku, Jego, któremu szczęściem było powiedzieć »ufam«.

Poczęła zwolna zabierać się do spoczynku. Na wsi leżącej cicho, jakiś pies zaszczekał daleko — i jak straże podające sobie hasło, poczęły się psy odzywać — aż wreszcie z psów dworskich jeden rzucił swój odzew. Szczeknął krótko i nadsłuchiwał odpowiedzi, która przyjdzie, czuć było w tem szczeknięciu, jak się wyprężył cały i podał naprzód, jak teraz uszy postawił sztorcem i strzyże niemi... Znów frazes krótki i wielkim pędem przeleciał pod oknami na drugi koniec domu, gdzie począł ujadać rozgłośnie. Któreś z dzieci się poruszyło.

— Mamusiu! mamusiu!

— Co tam, Janku?

— Czemu to psy tak szczekają?

— Śpij, śpij i nie przeszkadzaj, bo i drugich pobudzisz i mamusia spać chce — nie chciała go rozbudzać długiem tłumaczeniem

Upłynęła długa chwila zanim poszła się przekonać, czy za-

snął. Siedział w łóżeczku bez ruchu i głosu, dopiero gdy mamusię ujrzał, spytał cichutko:

— Czemu one szczekają?

Ten awanturować się nie będzie, ale na swojem postawi: chce się dowiedzieć, czego one szczekają.

— Po całej wsi szczekają! Słyszysz? mówią tak jeden do drugiego: »pilnuj«! i mówią ludziom »śpijcie! my pilnujemy«!

— I nie przyjdzie złodziej?

— Pewno, że nie przyjdzie, pieski nie dadzą.

— To dobrze, że nie przyjdzie — odetchnął Janek.

— Będziesz spać?

— Będę — czuł się zadowolonym i już od razu wyciągnął się w łóżeczku i zamknął oczy.

Pani Anna choć zgasiła światło, zasnąć nie mogła. Nie przyszło jej tak łatwo, jak Jankowi uspokoić się. Leżała z szeroko otwartemi w ciemność oczyma, uważna na każdy szelest. Ta noc pełna oczekiwania ciążyła jej bardzo, choć dusza serce ciągle uspokajała, zwracając je ku ufności. Koło dwunastej usłyszała dobrze sobie znane kroki pod oknem. Dreszcz odrętwiający przeszedł ją. Wiedziała, co to jest. To Andrzej idzie na nocny obchód folwarków. Ach, jak się lękała tych nocnych straży! Wiedziała, że w tych czasach co nocy kolejno i oficyaliści i Andrzej obchodzą wszystko, by zobaczyć, czy stróż czuwa, czy spokojnie, czy każdy na swem miejscu. Wiedziała również, że Andrzej żądając od podwładnych tego, sam się przecie usuwać nie ma prawa, a wiedziała równie dobrze, że obawy jej nie płonne, bo napady to tu, to tam przerzucały się okolicą.

W tej chwili odezwał się znowu głos Janka:

— Mamusiu!

— Co, Janku?

— Proszę wody, mamusiu!

— Zaraz, zaraz!

Podała mu szklankę wody, którą prawie nie tkniętą oddał.

— No? nie chcesz więcej?

— Nie, mamusiu! — a potem — pocałować mamusię!

Przytuliła główkę dziecka, co jej samej ulgę przyniosło: niema lepszego środka na niepokój, jak drugim słabszym się zaopiekować.

Aliści zaledwo się położyła i zgasiła światło, Janek znów woła:

— Mamusiu!

— Co tam?

— Mamusiu, wody!

— Cóż tobie z tą wodą dzisiaj... Masz, pij! — A tymczasem ręką czoła dziecka dotykała, czy gorączki nie ma, ale główka była chłodna. Jeszcze do drzwi nie doszła gdy znów się ozwało:

— Mamusiu!

— Och, Janeczku, co ci się stało dzisiaj?

— Bo mamusiu — przyciągnął ją bliziutko i mówił cicho — czy tatuś... czy tatuś nie umarnie?

Chwyciło ją to pytanie. Co za tajemnicza siła odbija w dziecku jej własną trwogę?

— Ależ, Janeczku, skądże!... wiesz przecie, że Pan Bóg nas wszystkich strzeże i nie da nam nic złego zrobić...

— A jeśli da, to i pomoże! — westchnęła w duszy.

— Na pewno? — oczy dziecka patrzały stanowczo i badawczo.

— Na pewno! — odrzekła równie stanowczo.

Ramiona dziecka objęły jej szyję.

— Dobranoc, mamusiu! Janek już nie będzie chciał wody.

Położyła się i nadsłuchiwała znowu.

Wraz z samotnością w ciszy i ciemności, wróciły myśli dręczące, jak stado wron spłoszonych na chwilę. A jeśli ich spalą? jeśli ta fala wzdymająca się grozy i mordu ściśnie ich bliżej? jeśli, jak to mąż napomknął, rozłączyć się z nim będzie trzeba, wyjechać z dziećmi za granicę, zostawić go tu samego w niebezpieczeństwie samotnem?

— Nigdy! — krzyknęło jej w duszy.

A jeśliby przez to »nigdy« dzieci jej zginąć miały, przez nią, ich matkę?

Boże, zmiłuj się nade mną! — było jedyną odpowiedzią, na jaką się zdobyć mogła.

Nareszcie... słyszy kroki powrotne, spokojne i pewna słyszy, jak się drzwi za nim zamykają. Piekący niepokój na dziś skończony.

Usnęła znużona snem niespokojnym, męczącym.

Przed Andrzejem cichy majdan folwarku, a majdan rozległy bardzo, bo tu na Ukrainie miejsca nie żałowali.

W głębi, od stodoły olbrzymiej, w nizkim księżycu wlecze się cień niezmiernie daleko po gładkim placu. Stodoła zamyślona pod swoim spuszczającym się głęboko okapem, cicha, bezpieczna bezpieczeństwem wiekowego prawa bytu swego. Przy ścianie krótkiej, oświetlonej z ukosa księżycem, rząd pługów wypoczywających. Na każdym lemieszu śpi mdła iskierka księżycowego światła.

Jest cicho i spokojnie i stróż na miejscu. Widzi go Andrzej, jak przesuwa się drugą stroną majdanu, pod ścianą stajni oświetlonej księżycem. Za nim sunie cień jego i cień drugi, równie cichy i nieodłączny od tej milczącej postaci, poczciwy, czarny pies. Ogon jego spuszczony, kołysze się w miarę ruchu.

Wszystko dobrze.

Obszedł Andrzej stodołę dookoła, przesunął się między stertami. Wszędzie cicho, nikogo. Dobrze. Wrócił na majdan, postał chwilę, a potem zwrócił się ku polom, minął kołowrót, minął jarek i wydostał się na wysokie pole, wznoszące się łagodnym zboczem. Stamtąd folwark widny cały. Widne zabudowania, widne za niemi, wsuwające się w przestrzeń pól jedna za drugą, stojące sterty, jak skupiona gromada jakichś olbrzymich, przedpotopowych stworów. Widne stajnie z czerniejącemi na białej ścianie wrotami i otworami okien. Widne zagrody koszar. Oczy Andrzeja, przywykłe do przestrzeni i obyte z mrokiem, badały cienie i mdłe światło księżycowe. Żadnego ruchu, wszędzie spokój.

A przed nim leżały w pomroczu nocnem dalekie pola. Milcząca i olbrzymia kopuła niebieska, przesunęła się znacznie nad ziemią i temi milionami istot uśpionych i nieświadomych, tak, że wielki wóz, na którym wieczorami stały oczy rodziny gdzieś wysoko na niebie, teraz już kołami dotykał prawie czarniawych pól. Światło zachodzącego księżyca sciemniało, ziemię oblał półmrok i cisza głęboka, stawiająca duszę na progu tajemnicy jakiejś uro-

czystej. Parę krzewów, sterczących nad drogą do folwarku, miały wygląd dziwnego skupienia istot, na które nie patrzy nikt, istot zamkniętych same w sobie. Przed Andrzejem była droga szeroka jak rzeka, idąca ruchem wolnym, szerokim w przestrzeń modrawą gwiaździstej nocy.

Droga ta ciągnęła Andrzeja, jak rzeka ciągnie z sobą łódź i duszę wioślarską. Począł iść zwolna, a pola mu duszę piły. Pola i dusza rolnika się rozumieją, jakaś dziwna łączność, wiekami i pokoleniami wyrobiona, czyni, że się dusza rolnika tak na owej szerokiej duszy pól kładnie, jak pływak się kładnie na fali, pozwalając się kołysać i unosić i tulić. Jest w tem coś z uczucia dziecka względem matki.

A przytem te Ukrainy z pieśnią rusińską, krążącą nad niemi szerokimi kręgami, na długich sennych skrzydłach, Ukrainy z powietrzem aksamitnem, miękkiem, z wiecznym wichrem przewiewającym z jednego kraja świata nieskończonego w drugi świata kraj nieskończony, stawały się rodowi osiadłemu tu z pokolenia w pokolenie, coraz droższemi i coraz bardziej swojskiemi.

Żywili się oni chlebem pól owych, żywili się też ich duszą, że się z czasem stawała ich krwią i kością owa Ukraina, zasiana ułamkami broni i ryngrafów, ostrzami strzał tatarskich i czerepów granatów. Ukraina w łańcuchy mogił strażniczych objęta; mogił-strażnic, co sobie podawały nocami ogniste wici, jedne po drugich zapalające się hasłem idącej powodzi, dziczy tatarskiej — i mogił znaczących szlaki pochodów scytyjskich, gdzie śpią wielcy ich narodu. Mogił, gdzie greckie trójnogi i naczynia od bronzu, złota i srebra — i mogił zagończyków polskich. Ziemia chowająca w sobie kopce kamienne, z popiołami plemion dawnych, starych gospodarzy tej ziemi, gdzie razem spoczęły i żarna kamienne i siekierki krzemienne, ziemia gdzie śpią łzawnice i paciorki gliniane ludów pierwotnych. Ziemia ukrainna owej ukochanej matki ziemicy, o której się głośno nie mówi, a na dnie serca i w krwi serdecznej nosi. I wróciły mu znów na myśl owe stannice strażnic, zdane w pieczę zagończykowi, stróżowi przez »matkę ziemicę«. Dla tej samej matki, on tej ziemi strzeże, dla niej, którą tu ongi nadaniem królewskiem dziada, pradziada posadziła, dla niej, ziemicy,

której mową mówi i duszą myśli, on ma stannicę ową utrzymać i rozdmuchać jak najwięcej iskier tego ognia polskiej duszy, i dzieci polskie, dzieci swoje na niej znów posadzić, by kiedy on oczy zamknie, oni zwierzony przywilej królewski i dziedzictwo krwi i wierności krwi polskiej nieśli dalej przez czas i przestrzeń, do owego dnia szczęsnego, kiedy matka ziemica znów wici swoje poszle i obzew po dzieciach rozproszonych światami. Swego nie dać, bo to swoje, to przeszłość i wierność krajowi i przyszłość jego.

Bywało, gdy burdy i trudności coraz większe, kłopoty strajków dopiekły, gdy wieści coraz częstsze o rozbojach i mordach szły, gdy błyskały w warknięciach zuchwalstwa, któremi chłop jaki taki wstawał na niego, a on spojrzał na żonę i dzieci, na życie ciche domowe za sobą, na niepokój milczący przed sobą, na niebezpieczeństwo schylające się na te najdroższe mu główki, w duszy stawała mu myśl zła, myśl, do której przyznać samemu przed sobą się wstydził i rumieńcem przykrym oblewał — myśl: Przedać ziemię, wynieść się, i niech to wszystko dyabli biorą!

Gdyby ustąpił, fale wrogie zlałyby się nad placówką i jużby jej na zawsze nie stało. Nie stałoby kęsa więcej ziemicy owej wielkiej, ukochanej. I byłoby o jeden szmat ojczyzny biednej, o jego szmat mniej, synowi swemu stannicyby nie przekazał i przerwałby się ów łańcuch, którego jeden koniec przywiązany ręką królewską do przeszłości, środek w mroku, a koniec drugi nadzieją pławi się znów przyszłości jasnej i świetnej, która przyjść musi... kiedyś.

Tego nie uczyni! stać tu będzie. Chyba... chyba, że śmierć go stąd zrzuci — inaczej przetrwa! Było mu jakby przysięgą względem onej umarłej się związał i z tej przysięgi się nie wyłamie!

A jeśli mu spalą wszystko?... jeśli go zniszczą do szczętu?...

A choćby! a niechby! to i tak nie da! Nie wie jak zrobi... ale nie da!

Jeśli go spalą, gołemi rękami ziemię będzie uprawiał, w świcie będzie chodził, chleb suchy będzie jadł, a ziemi tej, szmatu ojczyzny swojej nie da obcym.

Podniósł głowę, westchnął głęboko, zdjął czapkę a podmuch od stepu chłodził mu czoło. Przeżegnał się: — Tak mi Panie

Boże dopomóż! — wyrzekł zwolna, patrząc w gwiaździste, otwarte przed nim niebo. Czuł, że idąca stamtąd moc jakaś go chłonie, że go skuwa z onym Władcą Przedwiecznym, który sam w duszę wlewa miłość rzeczy wielkich, choćby ziemskich i wierność im.

Zawrócił i szedł zwolna ku domowi. Teraz powiew leciutki, którego nie czuł prawie idąc, miał w twarz, przechodził on drgającemi falami, leciutko śpiewając koło uszu, wzmagając się, to cichnąc, czasem zupełnie gdzieś przepadając, by znów wstać. — Nad ranem wiatr będzie — mruknął Andrzej półgłosem — wschodni, wschodnio-północny... Wsadził ręce w kieszenie kurty i patrzał w stronę skąd wiatr wiał. W dali, niewidzialne prawie dla oka nie znającego tego wszystkiego od dziecka, majaczyły czarniawo czuby drzew przysiadłe do ziemi w tej ciszy i ciemnicy — to ogród dworski a tu bliżej leżał szmat pola czarnego, zoranego pod przyszły siew.

Rzewność wezbrała w sercu Andrzeja. Wspomniał na ojca i dziada, których trud i życie i myśli i znój i miłość i troskliwość wsiąkały w tę rolę, jak jego teraz wsiąkają — i rzewność mu pierś podniosła.

— Moja ziemia, moja! moja!

* *

Pani Annie się śniło, że dzwony biją, że wołają na nią, by wstała do dzieci, do dzieci! do dzieci! bo je trzeba pobudzić, bo dom ma runąć lada chwila, a oni śpią i nic nie wiedzą o tem. »Do dzieci, do dzieci! do dzieci! do dzieci!« powtarza — natrętnie dzwon. A ona wstać nie może, ręką ruszyć nie może, ani głowy podnieść, jakby ją co przykuło i trzymało w nieruchomości. Zmaga się i walczy i wolę natęża, daremno! Wreszie nadludzkim wysiłkiem udało się jej jednym palcem poruszyć i nagle, jakby spadł z niej czar, władza jej wróciła, usiadła na posłaniu.

Dzwon jednak bije. Z grozy snu wpada w grozę straszniejszą rzeczywistości, z której się przebudzić nie można.

»Pożar!«

Dzwon folwarczny bije i kołysze się nad gwarem kipiącym pod nim. A po drodze słychać tartas beczek pędzących ku sta

wowi całą siłą, nad beczką pędzącą, głos chłopca. Wołania się krzyżują, hałas wzbiera.

Stało się więc, podpalili, pali się — już się stało! W jednej chwili wobec faktu dokonanego spokój jej wrócił i determinacya, podniosła firanki. Z za drzew otaczających dziedziniec, łuna bije. Do pół nieba się wspięła.

Chwieje się i miota. Jeszcze ognia nie widać, czasem kłęby dymu zmieszają blask i stłumią na chwilę, ale w ślad za nimi rzuca się blask, przegryza dymy, zjada je. Gwar potężnieje. Do morza głosów ludzkich, miesza się teraz ryk bydła, wyprowadzanego z obór i wściekłe ujadanie psów. Łuna blizka i jaskrawa przez okno odsłonięte wdarłszy się, sięga łóżeczek dziecinnych, stojących w drugim pokoju, igra po politurowanem ich drzewie, kołysze niemi, miota cieniami po ścianach, trzepocze się nad jasnemi główkami, ale dzieci śpią. Łuna biega po twarzyczce Wojteczka, po włoskach płowych, po usteczkach rozchylonych. Cieniami rzęs łaskocze twarzyczkę, a on śpi w swojej białej koszulinie, zarzuciwszy rączkę nad głowę, opędził się rączką i śpi dalej, odwróciwszy się od blasku.

Teraz płomienie już widać. Wstaje straszna, miotająca się grzywa, chwieje się i szamocze i idzie naprzód, nie w stronę dworu idzie, wiatr wschodni, ale pożar się rozszerza w tamtą stronę. Płoną sterty, można prawie liczyć każdą nową zapalającą się, bo najprzód kłębi się dym i przesłania świetlne, czerwone, żywe złoto ognia. A potem nowa fala uderza. Fale biją w niebo, liżą kopułę niebieską złemi, zjadliwemi jęzorami, wzbierają z wzbierającym krzykiem ludzkim. Pół wsi się pewno zleciało, może i ratują... Pożar rośnie. I nagle wybucha fontanna ognia, stoi chwilę na niebie słupem chwiejącym się i falującym, uciekającym ku górze, płomieniami odrywającymi się w niebo. To runął jakiś dach, czy sterta się zapadła. Pożar rośnie, ale dzieci tymczasem nie budzi, nie tędy pożar idzie, w tamtą stronę wiatr go zwiewa, między dworem a folwarkiem stajnie. Póki te cało stoją, dzieci nie zbudzi, po co je straszyć?

Stoi w oknie i słucha; zda jej się, że nad tym wrzaskiem ludzkim i nad groźnym hukiem rozkiełznanego ognia, słyszy głos

męża, może jej się zdaje. Biedny Andrzej! poleciałaby do niego stać przy nim i pomagać mu, ale dzieci nie odejdzie. Pewno cała dwornia przy pożarze...

Ale nagle mignęło bliżej nad drzewami. Zrazu tylko jakiś ogieniek mały, jak migające pastusze ogniska na polu i oto fala gwaru dzieli się, część się przymyka za nim bliżej, jak to obława na dzikiego zwierza, co się wyrwał ze strzeżonej kniei, zbliża się gwar i nawoływanie.

— Boczku dawaj! wody! z widrami na dach! radna mokre dawaj!

Baczyć go trzeba, zagrodzić drogę, zatłuc, zadusić! Ale wściekły zwierz-ogień, zwinniejszy od rysia, śmielszy od stada wilków zgłodniałych, wymyka się z pod rąk i pole zdobywa, ciska się ostrym rozpędem gorącego prądu, wyrywany ze snopami zsunie się iskierką na nowy snopek i rośnie w mgnieniu oka, kąsa złym językiem, rzuca się w twarz, do ócz skacze i parzy i opędza się ludziom i dęba staje i wstrząsa grzywą i olbrzymieje i odmiata od siebie ludzką psiarnię precz i pnie się słupem w górę.

Już się cofają przed nim na dachach ludzie walczący wiadrami wody i radnami mokremi, już przyparci żarem zsuwają się ze swych stanowisk, niejednemu zatliła się kurtka, jeden ręce poparzone opatruje, po czuprynie opalonej ręką przejeżdża i pogląda, klnąc przez zęby i spluwając, na płonący dach. A płomień po nim hula, hucząc i parskając iskrami, świetną grzywą ognistą miotając się i natrząsa się ze stojących na dole ludzi. On pan, rzucon przez jednego z nich iskierką drobną, teraz potężny i wielki, natrząsający się z setki, chcącej go okiełznać. On mocny! świetny, butny, wspaniały pan! siłą swą dumny i piękny, którego nienawidząc podziwiać trzeba.

W tej chwili do pokoju pani Anny wpadła rozpłomieniona, ze szlochem i krzykiem Maryśka, z garderoby.

— Pani! nieszczęście! pani wszystko przepadło! Jezus, Marya! nieszczęście!

Pani Annie krew się ścięła, mignęła jej myśl, że może Andrzej... ale dziewczyna dalej wołała.

— Pan kazał żeby dzieci wynosić, do ekonoma wynosić! staj-

nia się pali — wszystko się pali! o Jezusie, koniec świata! — lamentowała dziewczyna, półprzytomna kręcąc się po pokoju, chwytając rzeczy, które jej w rękę wpadły, by je znów po chwili rzucić i biedz w drugi kąt pokoju, chwytać co innego, nieprzestając jęczeć jednym głosem »o Jezu! o Jezu!«

Pani Anna spytała głosem, który nagle stał się zimnym i mierzonym.

— Czy pan kazał rzeczy wynosić?

— Nie kazał nic wynosić, kazał, o Jezu, żeby wszystko zostawić, jak trzeba będzie sam przyszle, mówił — kończyła... i dalej o Jezu! o Jezu!... Kościowi kazał tylko srebro zabrać do ekonoma i szkatułkę pani... o Jezu! o Jezu! — lamentowała dalej.

Pani Anna dała jej szklankę wody.

— Wypij.

— A teraz idź ubierać Wojtka, a nie krzycz. — Powiedziała to spokojnie, ale tak spokojnie, że dziewczyna przestała nagle łkać i spełniała rozkaz, pochlipując już tylko i postękując z cicha.

Stanęli na progu domu we drzwiach otwartych. Na dziedzińcu pustym i cichym pełno jednak zamieszania i niepokoju. Cienie odrywane od czarnych, nieruchomych drzew, szamoczą się po ziemi rwane blaskiem pożaru blizkiego. Przed bramą przeleci czarny cień beczki, niosący na sobie łunę. Chłopiec podniół się na siedzeniu i bez czapki, z rozwianą grzywą, śmiga batem nad końmi pędzącymi ciężkim galopem. Od ognistego morza buchają kłęby rozpalonego powietrza, wrze morze krzykiem, z którego od czasu do czasu wyrywa się pojedynczy, ostry głos rzucający rozkazy.

Janek na rękach Maryanny siedzi cicho, nie odwracając oczu szeroko otwartych od płomiennej grzywy.

Na twarzyczce bladej i nieruchomej o zaciętych usteczkach, igra blask łuny. Franek ramieniem zakrywając oczy, drugą ręką uczepił się sukni pani Anny, drży na całym ciele, skomląc z cicha. A mały Wojtek śpi. Jak tylko pani Anna ubrawszy się wzięła go na ręce, uczepił się jej sukni rączkami, nosek schował w fałdy szala i spał.

Zamknęły się za niemi drzwi od milczącego, pustego dworu, czekającego rychło go także ogień pochłonie Zamknęły się na

tradycyach, wspomnieniach — na duszy stworzonej przez pokolenia, co tu żyły i umierały. Patrzą za odchodzącymi głuche, czarne okna, po których ślizga się niespokojny, ruchliwy blask łuny, tak jak się ślizga po zimnych, zaskrzepłych śmiercią, szeroko otwartych oczach.

Resztę nocy przepędzili w dworku ekonoma.

* *

Stodoła się dopala. Spłonął szybko dach i runął, dopalając się, na ziemię. Sterczą słupy ogniem wskróś przejęte, że stały się słupami ognistemi. Wykreślają się sucho, prawie białe na czarnem tle nocy. Czasem oderwie się głownia żaru i runie rozsypując się w garść iskier lekkich, biegnących po drodze w podskokach. Czasem zwali się ściana, płomień buchnie i zgaśnie i tli już pomaleńku. Tleją, w czerwonawy dym otulone, kupy zboża. Tleje pogorzelisko. A nad nim sterczą słupy ogniste, na których oko spocząć musi, bo są koloru chłonącego w siebie duszę: koloru ognia rozpalonego prawie do białości.

Na wschodzie poczyna niebo bielić. Gwiazdy się topią. Dzień wstaje wolno, w milczeniu. Nic go nie zawróci i nic milczącego chodu jego nie zamąci, nic go nie zadziwi. Chłodny wiatr pociąga. Kury piać poczynają. Nad tlejącem się pogorzeliskiem wstają białe zorze, dzień nowy. Ludzie rozchodzą się do domów — zwyciężeni. Po nocy bezsennej, po pracy wytężonej i żarze, w którym stali, chłód ranka przejmuje ich do kości. Wstrząsani dreszczem w rodzącym się ranku, rozchodzą się do domów.

. . . . . .

Gdy chłopcy poczuli w żołądkach gorące mleko, raźniej im się zrobiło. Przy śniadaniu siedzieli niewyspani, osowiali i nieswoi. Tatuś był o coś stanowczo rozgniewany, myślał Wojtek, do nikogo nic nie chciał mówić, nawet i mamusia widać go się bała, bo półgłosem tylko do nich mówiła. Janek i Franek wiedzieli, że to ta stodoła i żal jej im było także, ale Franka ten nastrój krępował i czuł się zażenowany, Janek zaś czując ciężar, chciał go czem prędzej zrzucić. Gdy więc drzwi za tatusiem się zamknęły, zsunęli się z krzeseł i runęli we drzwi, za niemi zdą-

żał Wojtek. Umknął mamusi z zawiązaną u szyi serwetką, która przekręciwszy się na plecy, fruwała za nim, jak skrzydło. Mamusia go goniła, a on rwał się do dziecinnego pokoju, skąd już hałas nęcący słychać było.

— Boczku dawaj! boczku! — krzyczał Janek wpadając do pokoju pierwszy.

Franek stanął chwilę, jakby się namyślał, potem z dzikim piskiem rzucił się do krzeseł i porwawszy jedno z nich, z hałasem cwałował po pokoju, za nim biegł Janek z ukochanym najnowszym batem i krzyczał mocnym, dziecinnym głosem:

— Wio hej! wio hej! łysa — przeginał się naprzód i prostował w tył, by lepiej potem zawinąć, jak to robił chłopiec gnając na pożar.

— Tam stodoła! tam! — wołał Franek, kierując konie w swoją stronę.

— Nie, to komoda będzie stodołą! — perswadował koń, ciągnąc w stronę przeciwną.

— Wio hej! wio hej! — wołał zgorączkowany furman, czerwony, z błyszczącemi oczyma.

A Wojtek z wielkiej uciechy aż tupał nóżkami na miejscu, zanosząc się śmiechem i pokrzykując swym grubym głosem:

— Boczku dawaj! boczku!

Krystyna Saryusz Zaleska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Geneza religii w świetle nauki i filozofii. *Ks. Idzi Radziszewski.* Włocławek 1911. 8-ka, str. 213.

Fakt istnienia religii u wszystkich kulturalnych, choć stojących na różnych szczeblach cywilizacyjnego rozwoju, narodów skierował umysł ludzki do podjęcia badań nad zagadnieniem powszechności religii. Zadano sobie pytanie, czy i wszystkie niecywilizowane, dzikie ludy posiadają religijne wierzenia, i czy je zawsze posiadały; a cofając się dalej wstecz i zapuszczając się w mroki dziejowej przeszłości człowieka, uogólniono bardziej jeszcze pytanie powyższe, usiłując odpowiedzieć sobie czy wogóle człowiek pierwotny był religijnym?

W związku z zagadnieniem powszechności religii powstało inne, o wiele ważniejsze dla przyszłych losów religijnego życia ludzi — zagadnienie genezy, początku religii u człowieka. Wyniki dotychczasowych badań w tej mierze, tudzież poczynione próby rozwiązania zagadnienia genezy religii, wynoszące dziś już znaczną liczbę odmiennych teoryi, wreszcie krytyczna ich ocena i rozbiór — stanowią treść wspomnianego wyżej dzieła.

Właściwy wykład postawionego w tytule książki tematu, poprzedza autor wzmianką o wielkiem znaczeniu religijnych zagadnień w życiu ludzkości, a osobny pierwszy rozdział poświęca rozbiorowi pojęcia religii i omówieniu problematu jej powszechności.

Najpierw tedy spotykamy tam głosy badaczów religii i jej historyi, stwierdzające niezmiernie doniosłą ważność religii, jako samoistnego objawu wysuwającego się na przodownicze miejsce w cało-

kształcie tego wielkiego i złożonego bardzo zjawiska, któremu na imię — życie ludzkie. Niepodobna wszakże bez zastrzeżeń zgodzić się na przytoczone przez autora słowa prof. z Jeny, Rudolfa Euckena, iż »minęły już czasy, gdy zaprzeczanie wszelkiej religii uważano za coś najzupełniej uzasadnionego, za coś wielkiego, gdy na żart najbardziej płaski patrzono, jako na prawdziwy dowcip, jeśli tylko skierowany był przeciwko religii; chwila obecna wymaga innego postępowania«. W słowach tych zbyt wiele nietrzeźwego optymizmu, nie odpowiadającego rzeczywistemu stanowi rzeczy. Dotychczasowe dzieje ludzkości nie pozwalają spodziewać się, iżby już obecnie lub w niedługim czasie zabraknąć miało ludzi lekkomyślnych, którzy licząc na legion podobnych sobie i tłum bezmyślnych, zwalczają przeciwników ideowych płaskim żartem, szyderstwem a niekiedy nawet kłamstwem — nie zapowiada blizkiego końca swego istnienia. Dawne natomiast i współczesne dzieje prądów ludzkich z drugiej strony dowodnie wykazują, że terroryzm nierozumu, by najzaciętszy, nie zdoła przygłuszyć i stłumić głosu krytycznej myśli ludzkiej, wspartej o przyrodzone, powszechne prawa myślenia, a wśród nich o prawo dostatecznej zasady, dozwalające uznać za prawdę tylko takie twierdzenie, które treść swoją usprawiedliwia rzeczowymi dowodami wobec rozumu, nie zaś popiera je żartem, choćby i misternym, tem mniej kłamstwem, choćby należało do najprzedniejszych — w rodzaju *mendacium Vasconicum*. Jakkolwiek przeto nie minęły jeszcze czasy, w których znaczny zastęp pisarzy lekceważąco, szyderczo i z nienawiścią odnosi się do religii i wszystkiego, co z nią w związku pozostaje, z tem wszystkiem nie brak i dziś ludzi, z sumiennością właściwą ścisłej naukowej pracy, oddanych roztrząsaniu religijnych zagadnień, o ważności których głęboko są przekonani.

Rozbieżność zapatrywań na istotę religi i wynikające stąd różnice w jej określeniu dochodzą tak wielkich rozmiarów, że niektórych pisarzy prowadzą wprost do zaprzeczenia możliwości określenia religii (np. M. Müller). Tej wszakże ostateczności nie podziela autor omawianej tu »Genezy religii«. Pragnąc zaś uchylić się od zarzutu apryoryzmu, zdąża on do zamierzonego celu drogą indukcyjną, *a posteriori*, biorąc za punkt wyjścia i podstawę przy określeniu religii faktyczne przejawy religijności u ludzi, stwierdzone przez etnologię i historyę religii.

Tu też potrąca o zagadnienie powszechności religii. Za istnieniem ludów bez religii oświadczyli się Darwin, Lubbock, Dalton, Lichtenstein, Wallace, Livingstone i inni. Niebawem też poczęto uznawać

twierdzenie to za pewnik i przekazywano je sobie z ust do ust, nie podejrzywając jego bezzasadności. Dopiero później poddano nowemu rozpatrzeniu i zbadaniu życie ludów pierwotnych i okazało się, że opowieści o ludach pozbawionych religijnych wierzeń należą do mitów. Na mylne początkowe rozwiązanie zagadnienia powszechności religii złożyć się miały różnorodne czynniki. Wykluczywszy złą wolę, świadomie i umyślnie rozmijającą się z prawdą, wskazać można najpierw na niedbałe opracowanie gromadzonego materyału, płynące z lekceważenia ważności sprawy. Nadto niemało też zawiniło niedocenianie trudności, związanych z natury rzeczy z badaniem przejawów życia ludów niecywilizowanych, a nawet ludów choćby tylko mniej kulturalnych. Duch spekulacyi i zarobkowania rozbudził pomysłowość ludów badanych i pchnął ich do stworzenia nowej gałęzi wytwórczości — sztucznego wyrabiania archaicznych zabytków, żądnie poszukiwanych i sowicie opłacanych przez uczonych podróżników. Zbiory muzealne stołecznych miast Europy wypełniały się rzekomymi szczątkami pradziejowej kultury dawno minionych ludzkich pokoleń — w rzeczywistości zręcznie tylko osłaniającymi nowoczesne swe pochodzenie i drwiącymi z łatwowierności cywilizowanego świata. Niech wystarczy tu przypomnieć historyę słynnego zbioru zabytków moabickich *(Moabitica)*, nabytego i umieszczonego w r. 1873 w cesarskiem Muzeum w Berlinie staraniem prof. uniw. z Halle, Konst. Schlotmanna. Trzeba było przewlekłej dyskusyi, w której obok innych zabierali głos Clermont-Ganneau, prof. Kautzsch i Socin, aby wykazać, że »Moabitica« pochodzą z garncarni jerozolimskiej, nadpisywał zaś je sprytny Arab, wynajmujący się za przewodnika uczonym europejskim i znający stąd dobrze ich upodobania. Niewiarogodnemi aż nadto często okazują się wiadomości, zdobywane drogą wywiadów. Nawet łatwowierni zrazu podróżnicy po dłuższym czasie spostrzegają się, że ich systematycznie okłamywano. »Tu niczemu nie można wierzyć — żali się Livingstone pod koniec swego pobytu w Unyamwesi — co nie jest czarno na białem a nawet i z tego jeszcze wiele odrzucić wypadnie. Najobszerniejsze zeznania są zazwyczaj prostym wymysłem. Jedną połowę tego, co się słyszy, można uważać na pewno za fałszywą, drugą zaś jako wątpliwą i niewiarygodną«. Na domiar braku krytycyzmu w ocenie gromadzonego materyału dotyczącego życia ludów niecywilizowanych, dawano zbytnią folgę subjektywizacyi w wypełnianiu luk, jakie przedstawiały zdobyte dane; łatwo domyśleć się, że cały ten dogmatyczny naddatek

do faktycznego, lubo nie poddanego krytyce materyału, pozostawał w ścisłem pokrewieństwie z poprzednio już skonstruowaną teoryą.

Nowsze wszakże, ściślejsze badania wykazują zgodnie powszechność religii. »Twierdzenie o istnieniu jakichkolwiek ludów lub szczepów, pozbawionych religii, wynikiem jest albo niedokładnej obserwacyi albo pomieszania pojęć a podróżnicy, którzy tak utrzymywali, zostali potem zbici przez oczywiste fakta« — pisze assyryolog Tiele. »Etnografia oświadcza Fr. Ratzel — nie zna żadnego ludu bez religii, zna jedynie różnie rozwinięte u różnych ludów idee religijne«. Tylor wyznaje, że »wobec olbrzymiej ilości świadectw przyjąć musimy za pewnik, że wiarę w istoty duchowe posiadają wszystkie niższe rasy, które dotychczas dokładnie poznać zdołano«. »Ktokolwiek zada sobie trud przestudyowania tego zagadnienia z punktu widzenia ściśle naukowego, wkrótce skonstatuje, że cała ludzkość posiada religię i żadna większa rasa ludzka, żaden lud lub znaczniejszy jego odłam, mający jakieś znaczenie i doniosłość nie są ateistyczne« — utrzymuje A. de Quatrefages. Tegoż zdania są uczeni: Mueller, Réville, Waitz, Roskoff, Hardy, Borchert, de Broglie, Kellog, Lang i wielu, w. innych. Słusznie wobec tego i uzasadnienie pisze znany antropolog P. Schmidt: »jeśli opinia o istnieniu ludów bez religii miała kiedyś pewne wzięcie, to dziś żaden uczony, mający jakąkolwiek renomę, nie śmiałby jej głosić«.

Stwierdziwszy powszechność religii i uwzględniwszy rzeczywistą treść religijnych wierzeń wszystkich zbadanych ludów, zarówno dawniejszych jak i żyjących, nietrudno tą drogą — *a posteriori* — dociec prawdziwego określenia religii. Jak najogólniej pojęta, jest ona pewnym stosunkiem między Bóstwem a człowiekiem. Oto jedno z wielu określeń bardziej już szczegółowych, ale z tem wszystkiem jeszcze o charakterze ogólnym: »religia — mówi wspomniany już antropolog Schmidt — polega na uznaniu jednego lub wielu bytów osobowych, znajdujących się w warunkach poza ziemskich i niezależnych od czasu, jako też na poczuciu zależności od nich«.

Przechodzimy do zagadnienia genezy religii. Do wieku XVIII prawie jednozgodnie początki religii tłumaczono w myśl teoryi pierwotnego Objawienia i stopniowej degeneracyi. Dopiero w ciągu dwóch ostatnich stuleci poczyniono wiele nowych prób, ażeby wyświetlić pierwsze zawiązki religii. Pominąwszy zupełnie dziś już przestarzałe i zarzucone systemy o pochodzeniu religii Feuerbacha, Lange'go, Straussa, Buckle'a i in., autor rozpatruje i poddaje ocenie następujące teorye: mitologiczno-naturalistyczną, panbabilonizm, animizm, manizm, fetyszyzm, to-

temizm, teoryę magii pierwotnej, socyologiczną teoryę pragmatyzmu i immanencyi, poglądy A. Langa na powstanie religii, teoryę pierwotnego Objawienia. Na końcu rozsnuwa autor własny pogląd na genezę religii, oparty na najnowszych badaniach etnologicznych i na psychologii człowieka.

Biorąc za punkt oparcia badania z zakresu filologii porównawczej w połowie w. XIX, Maks Müller rozwinął teoryę naturalistyczną genezy religii. Według niej wierzenia religijne zawdzięczają swe istnienie spostrzeganiu zmysłowemu przez człowieka pierwotnego niewytłumaczalnych dlań, a ujawniających olbrzymie siły zjawisk przyrody. Osobna władza, *sensus numinis* — poczucie bóstwa — skłania go do zużytkowania gromadzonych doznań zmysłowych, do zbadania nieuchwytnego, nieskończonego w naturze. Ostatecznie przychodzi z pomocą mowa i odtwarza wsobne stany, wywołane postrzeganiem zjawisk przyrody, uosabiając je zarazem. Prajęzyk, który odegrał ważną rolę w początkowem tworzeniu się religii, wyróżnia się posiadaniem wyrazów, oznaczających nie indywidua, lecz całe szeregi typów, w dodatku typów czynności, działania, nie zaś rzeczy. W tem pierwszem zarodkowem stadyum religia jest honoteistyczna; uznaje jedno, ale nie jedyne, bliżej nieokreślone bóstwo. Jakikolwiekby wypadł sąd o poszczególnych twierdzeniach, ogół ich wszakże tworzy teoryę nie mogącą ostać się wobec krytyki, a przeto nie wyświetlającą zasadnie początków religii. Doszukiwanie się bowiem osobnej władzy w człowieku, niemniej jak i stosowane tu rozważania lingwistyczne nie sięgają poza sferę dowolnych domysłów.

W pewnem pokrewieństwie z mitologiczno-naturalistyczną teoryą genezy religii pozostaje teorya astralnego mitologizmu, panbabilonizmem zwana. Mitologia pierwotna — utrzymują jego twórcy — zajmuje się w przeważnej mierze ciałami niebieskiemi, rozumienie stosunków panujących na firmamencie niebieskim przyjmuje za normę rozumienia i ukształtowania stosunków ziemskich, astronomię łączy nierozdzielnie z astrologią. Tą drogą powstaje filozofia religijna, będąca zarazem religią w jej pierwiastkowej fazie rozwoju. Na 3000 lat przed erą chrz. astralny mitologizm już się był doskonale rozwinął w Babilonie, stamtąd rozpowszechnił po starożytnym Wschodzie i wycisnął swe znamię na wszystkich późniejszych formach religijnych wierzeń. Surowej krytyce poddał panbabilonizm assyryolog Bezold, a nadewszystko F. Kugler, który wyświetlił właściwy stan badań astronomicznych u Babilończyków, różny zgoła od uroszczeń panbabilonizmu.

Z liczby teoryi powstałych przy pomocy metody antropologicznej, która wyjaśnia wierzenia religijne ludów przez psychologię człowieka indywidualnego i zbiorowego, animizm zdobył najszersze rozpowszechnienie. Twórcą jego jest E. B. Tylor. Ludzkość, zdaniem jego, zawdzięcza religię animistycznemu na świat poglądowi, t. j. mniemaniu człowieka pierwotnego, że wszystkie byty i wszystkie zjawiska przyrody mają działających w sobie duchów. Przekonanie o istnieniu różnej od ciała duszy ludzkiej, będące podstawą animistycznego na świat poglądu, zdobywa człowiek przez odpowiednie wyjaśnienie zjawisk snu, letargu, śmierci. Duch bytujący w ciele ludzkiem w miarę jak je opuszcza na krótko, długo lub na zawsze sprowadza sen, letarg, śmierć. Ponieważ w sennych widziadłach duch zmarłej osoby ukazuje się jako żywy i przyjmujący czynny udział w losach swych potomków i wogóle ludzi żyjących, wywnioskowano stąd, że duch ludzki sprowadzając rozkład ciała przez jego opuszczenie, sam bytować nie przestaje, że wpływa na bieg spraw ludzi żyjących, że go tedy zjednywać sobie należy, aby uchylał niebezpieczeństwa i klęski. Obok kultu duchów przodków występuje kult duchów natury, jako drugi współczynnik w pierwiastkowem tworzeniu się religii. Rzecz bowiem łatwo dostrzegalna, że człowiek ulega z zewnątrz ustawicznym wpływom otaczającej go przyrody, że wpływy te bywają bądź dodatnie, bądź szkodliwe. Stąd rodzi się w człowieku pierwotnym przeświadczenie o konieczności zjednania modlitwami, ofiarami i t. p. środkami działających na wszechświecie duchów, rzekomych przyczyn sprawczych ludzkiej doli i niedoli. Przez oddawanie tedy religijnej czci wchodzi człowiek w ten ze światem duchów stosunek, który stanowi religię pierwotną. Manizm Herberta Spencera jest odmianą animizmu. Spencer przyjmuje podstawowe twierdzenia animizmu, nie zgadza się zaś z Tylorem jedynie w wyjaśnieniu powstania wiary w duchy natury. Według Spencera, przyczyniła się do tego nie naiwność dziecięca człowieka pierwotnego, nie odróżniająca należycie przedmiotów żywych od nieżywych, lecz cześć oddawana duchom ludzi zmarłych, którzy za życia nosili nazwy przedmiotów przyrody; przez pomieszanie pojęć cześć zmarłych przeniesiono na te rzeczy z przyrody, których nazwę zmarli nosili za życia. Wprowadzona przez Spencera poprawka polega na przyznaniu wielkiego znaczenia w tworzeniu się religijnych wierzeń kultowi duchów ludzi zmarłych — stąd jej nazwa manizm.

Autor »Genezy religii« w całej pełni rozumie niezmierną doniosłość sumiennej i bezstronnej oceny animizmu, opartej na ścisłych

naukowych danych. Wiadomo mu, że nowsi apologeci chrześcijańscy nie doceniając znaczenia animizmu, nie starają się o należyte jego odparcie przy omówieniu zagadnienia genezy religii; wiadomo mu nadto, że niektórzy teologowie katoliccy »wprzęgli się w rydwan wszechwładnego animizmu« (np. A. Bros, prof. sem w Meaux). »Naszem zdaniem — pisze ks. Radz. — należy animizm traktować bardzo poważnie, wykazując jego strony dodatnie i ujemne« (str. 47). Jakkolwiek Tylor potraktował katolicyzm w sposób niegodny męża nauki, nie wolno odpłacać mu lekceważeniem, przeciwnie należy go »zawstydzić swą bezstronnością«. Istotnie, rozbiór krytyczny animizmu ujmuje nader poważnem i sumiennem zsumowaniem i roztrząśnięciem czynionych mu zarzutów. Raz nawet z uznania godną bezstronnością autor broni Tylora przed niesłusznym zarzutem stawianym mu przez Spencera (str. 60 - 62). Nie tu miejsce wdawać się w szczegóły: znajdzie je czytelnik na str. 48—70. Ogólnie wszakże zaznaczyć wypada, że animizm, jakkolwiek wyświadczył przysługę nauce, wskazując na sposoby, jakimi człowiek mógł wydoskonalić posiadane skądinąd pojęcie duszy i ducha, jakkolwiek w wielu punktach wyświetlił mitologię, zagadnienia początku wierzeń religijnych nie rozwiązuje, nie tylko bowiem nie iści warunków wymaganych od naukowej teoryi, ale nawet nie posiada wartości hipotezy naukowej. Wobec wielu błędnych twierdzeń animizm, jako całość, jako teorya genezy religii, podobny jest do łańcucha, który jako całość, jako skupienie wiązadłowe szeregu ogniw, tak jest silny, jak najsłabsze z jego ogniw. Brak przedmiotowości w badaniach Spencera, dowolne tłumaczenie przytoczonych faktów a pomijanie milczeniem tych, które nie odpowiadają powziętej z góry teoryi, sprawiły, że manizm »nie ma dzisiaj żadnej powagi w sferze zawodowych etnologów«, zapewnia antropolog Schmidt.

Fetysz, fetyszyzm należą do rzędu pojęć jeszcze niedostatecznie zbadanych. »Fetysz jest to jakikolwiek przedmiot, nie mający sam z siebie szczególniejszej wartości, ale przechowywany i czczony przez dzikiego, gdyż w jego pojęciu jest siedzibą ducha« (Réville). W miarę rozwoju etnologii ulegało zmianom pojęcie fetyszyzmu i dotąd jeszcze niezupełnie się ustaliło. Nawet piszący o ludach fetyszystach w czasopiśmie *Anthropos* w 1907 r. Brun, wyznaje: »mimo wszystkie definicye, podawane w encyklopedyach, powiemy, iż bliżej nie możemy określić fetyszyzmu«. Pominąwszy ścisłe określenie, ogólnie rozumieć należy przez fetyszyzm pewne praktyki religijne, przy których posługują się ludy dzikie fetyszami. A. Comte, J. Lubbock i inni uważali

fetyszyzm za pierwotną formę religii. Dokładniejsze zbadanie ludów fetyszystów nie potwierdziło tego mniemania. Błędnie bowiem, jak się okazało, rozumiano znaczenie, jakie miały fetysze dla fetyszystów: bezpodstawnie utożsamiano czczone bóstwa ze środkami (fetyszami) używanymi dla oddziaływania na nie i pozyskania ich pomocy. Jeśli zaś czcić fetysz nie znaczy przedmiotowi materyalnemu, jako takiemu, oddawać cześć boską, fetyszyzm nie jest samoistną, a tem bardziej nie jest pierwotną formą religii, gdyż z natury swej opiera się na innych religijnych wierzeniach i pozostaje zaledwie na ich usługach.

Inną próbę teoryi genezy religii stanowi pogląd na totemizm, jako na pierwsze stadyum w religijnym rozwoju ludzkości. Totemem zowie się zwierzę, roślina, rzadziej ciało mineralne, w których dany ród lub plemię widzi swego przodka albo opiekuna (S. Reinach). Stąd też pokolenia, wyprowadzające swój początek od jakiegoś zwierzęcia lub rośliny, oddają temu zwierzęciu czy roślinie cześć, noszą jego nazwę, a ze wszystkiemi jednostkami danego gatunku zwierzęcego lub roślinnego uznają swe blizkie pokrewieństwo. Tak i podobnie pojęty totemizm, podawany jest za pierwotną religię człowieka. Na międzynarodowym kongresie historyi religii w Oxfordzie (wrzesień 1908) stwierdzono, że ani pochodzenie, ani istota i znaczenie totemizmu nie są jeszcze wyjaśnione. Wobec tego niepodobna przyznać mu prawa do miana naukowej teoryi, rozwiązującej zagadnienie początków religii.

Rozwinięta przez J. H. Kinga teorya magii preanimistycznej tak wyjaśnia pierwsze zawiązki religii. Człowiek pierwotny, poddając swemu rozważaniu działanie »nieosobowych« sił natury, spostrzega zjawiska zwykłe i niezwykłe, obdarzone cechami nadzwyczajności. Dalsze badanie tych ostatnich prowadzi pierwotnego obserwatora do wniosków »ponadnaturalnych«, te zaś do wytworzenia religii-magii. Ocena bowiem zjawisk nadzwyczajnych ze stanowiska użyteczności i szkodliwości kojarzy z niemi pojęcie szczęścia lub nieszczęścia. Aby zapewnić sobie pierwsze, drugie zaś sprowadzić na swoich wrogów, próbuje człowiek oddziaływać na owe nadzwyczajne zjawiska przez użycie różnych sztuk i zaklęć magicznych, aż z czasem wmawia w siebie możność i skuteczność tego oddziaływania. Dla zabezpieczenia się przed szkodliwymi wpływami na siebie innych ludzi, zawiesza amulety. Później, przez obserwacyę sił »umysłowych«, zdobywa człowiek pierwotny pojęcie duszy i ducha i wchodzi w nowe stadyum religijnego życia — animizm. Zresztą inni pisarze, przyznający religii-magii

znaczenie pierwiastkowej formy religijnej, jak Hartland, Hubert i Mauss, w odmiennych rysach kreślą jej postać.

W rozdziale IX rozpatruje autor poglądy na powstanie religii niektórych głośniejszych pisarzy, jak Emila Durkheim'a (teorya socyologiczna), Siebeck'a, Tiele'go, W. Wundta, tudzież Salomona Reinacha, autora historyi religii p. t. »Orfeusz« (*Orpheus. Histoire générale des religions.* Paris 1909, éd. 11), cieszącej się dziś we Francyi i niemal w całej Europie zgoła niezasłużoną ze względu na jej istotną wartość poczytnością. W dziele tem Reinach, stanąwszy, jak sam wyznaje, pod znakiem Voltaire'a, nie tyle ma na myśli naukowe roztrząsanie religijnych zagadnień, ile antyreligijną propagandę.

Teorya pragmatyzmu religijnego, która znalazła najbardziej wszechstronny wyraz w dziełach głównego rzecznika pragmatyzmu Williama James'a († 1910), wyświetla genezę religii w myśl postulatów pragmatycznej psychologii teoryi poznania. Głoszą one, że istnieją w człowieku dwa pola poznaniowo-uczuciowe: jasnej świadomości i tajemnej podświadomości. Jak całe życie psychiczne człowieka wyłania się ze sfery podświadomej, podobnie życie religijne w człowieku rodzi się z podświadomych, ciemnych głębi duszy ludzkiej. »Doświadczenie religijne«, tak objaśnia te narodziny religii. Jeżeli wrodzone człowiekowi dążenie do szczęścia, do rozwoju i pełni życia, do zharmonizowania wsobnych sił i popędów zostanie zaspokojone, rodzi się w człowieku błogie uczucie zjednoczenia ze wszystkiem, co go otacza, rodzi się zadowolenie o charakterze religijnym, które z czasem przeobraża się w religię dusz optymistycznych; w przeciwnym razie człowiek doznaje bolesnego, wewnętrznego rozdarcia, tęskni za ulgą i za czemś, coby mu ją przynieść mogło — jest to zarodkowy stan religii ludzi pesymistycznie nastrojonych. W dalszym rozwoju człowiek szuka punktu oparcia dla wyczuwanych w sobie dążeń i znajduje go uosabiając to, co mu się jawi czynnikiem wprowadzającym harmonię w jego jestestwo, znajduje go w zdobytem tą drogą pojęciu Bogu.

Zwolennicy, zbliżonej do pragmatyzmu, immanencyi religijnej utrzymują, że pojęcie Bóstwa zdobywa człowiek z chwilą, gdy wyczuwa immanentnego w sobie Boga. Wyczuwając zaś Jego obecność i słysząc niejako głos Jego w sobie, oddaje się Mu człowiek przez modlitwę i wogóle kult religijny Takie są pierwociny religii. Rozwijając się dalej przybiera religia coraz doskonalsze formy i promienieje w świadomości ludzkiej światłem Objawienia. Wewnętrzne religijne życie człowieka znajduje z czasem pewne konkretne ujęcie

(np. w dogmatach religijnych), lecz nie ma ono stałej wartości; przeciwnie, ulega ustawicznej przemianie, analogie i symbole dawne ustępują miejsca doskonalszym w miarę wzmożenia się i pełniejszego wyrazu religijnego uczucia — jedynego głównego czynnika w powołaniu religii do bytu. Na tym gruncie immanencyi religijnej opierają swe poglądy pisarze, znani dziś z powodu ostatnich orzeczeń Kościoła pod nazwą »modernistów religijnych«.

Osobne i obszerniejsze miejsce przeznaczył autor omówieniu poglądu na powstanie religii angielskiego etnologa Andrew'a Langa. Z początku Lang niepodzielnie występował w obronie animizmu. Studya etnologiczne i zapoznanie się bliższe ze stwierdzonymi przez nie faktami nadwątliły dawną wiarę w Tylora; spostrzegł Lang, że etnologia żadną miarą nie pozwala na przyznanie animizmowi charakteru pierwotnej religii. Zbadawszy bowiem ludy Ameryki, Australii, Afryki i Azyi przekonał się ze zdziwieniem, że idea Boga tem jest czystsza i prostsza, im bardziej prymitywny jest dany lud; jakkolwiek niekiedy przyćmiewa ją mitologia, niemniej atoli daje się ona zawsze rozpoznać. Istota Najwyższa jest ogniskiem religijnego życia dzikich, pomimo że obok niej występują mniejsze bóstwa, demony, duchy. Następnie, mniemanie Tylora i Huxley'a, że moralność nie pozostaje w łączności z religią u ludów dzikich i że ma to dopiero miejsce w dalszych stadyach religijnego rozwoju, wypadło również odrzucić wobec wręcz przeciwnie twierdzących a niezaprzeczonych faktów i danych etnologii. Niepodobna było tedy nadal dopatrywać się zawiązków religii w animizmie. Na wstępie do nowego rozwiązania zagadnienia genezy religii wyróżnia Lang w wierzeniach badanych ludów pierwiastek czysto religijny od mitologicznego. Pochodzenie zaś obu tak wyjaśnia. Religia naturalnym sposobem wyłania się z rozumnej natury człowieka, który, badając otaczający go wszechświat i siebie, drogą samorzutnego rozumowania, opartego na zasadzie przyczynowości, dochodzi do uznania Najwyższej Istoty, do stwierdzenia tkwiącego w sobie niemateryalnego pierwiastka, istnieniem swem sięgającego poza grób; wreszcie wewnątrz swej duszy odczytuje prawa etyki naturalnej.

Podawana przez Kościół i jego teologię teorya pierwotnego Objawienia i stopniowej degeneracyi (zwana niekiedy po prostu — teoryą degeneracyi) wyznacza nadprzyrodzony początek religii. Teorya ta wprawdzie przyznaje, że ze względu na naturę człowieka religia mogłaby mieć początek czysto przyrodzony; w rzeczywistości wszakże

był on nadprzyrodzony: wierzenia religijne ludzi mają swe źródło w pierwotnem Objawieniu, udzielonem przez Boga człowiekowi. Z upływem czasu powstała tą drogą religia uległa skażeniu i powolnemu rozkładowi. Zaznaczyć należy, że teorya nadprzyrodzonej genezy religii i późniejszej degeneracyi nie zawiera w sobie nic sprzecznego z rozumem i nauką, jak się okazuje ze szczegółowego jej rozbioru (str. 145—153), o czem zresztą również wspomina w przytoczonych wyżej słowach etnolog Lang.

W ostatnich dwóch rozdziałach rozwija autor własny pogląd na genezę religii, abstrahując od danych Objawienia. Wywody swoje opiera na etnologii i psychologii, t. j. na materyale etnologicznym, rozpatrywanym ze stanowiska psychologicznego i na danych psychlogii, uwzględniającej badania etnologiczne i psychologię teoryopoznawczą bądź jednostkowego bądź zbiorowego człowieka. Ustaliwszy, że dzisiejsze ludy dzikie nie są zdegenerowanymi szczątkami dawniejszych ludów o wysokiej cywilizacyi, że dzisiejsze ludy »pierwotne«, przeciwnie, zbliżają się do istotnie pierwotnych pod względem psychiki, pod względem ogólno-kulturalnym i religijnym, przychodzi autor do wniosku, że etnologii przypada w udziale niezmiernie ważna rola w wyświetleniu prahistoryi, a tem samem w wyśledzeniu pierwiastkowej formy religii człowieka pierwotnego i jej genezy. Ponieważ liczni nowsi etnologowie (Lang, Ratzel, Frobenius, Graebner i in.) wystąpili z surową krytyką przeciwko obieraniu za punkt wyjścia w etnologii skrajnego ewolucyonizmu, skazującego z góry na apryorystyczne, nie potwierdzone faktami konstrukcye, autor daje pierwszeństwo tym rezultatom badań etnologicznych, jakie osiągnięto przez zastosowanie metody historycznej. Taką jest »teorya migracyi« Ratzel'a, dokładniej rozwinięta przez L. Frobenius'a i w nowej swej formie znana pod nazwą »teoryi cyklów kulturalnych«. Ta ostatnia wprowadza etnologię na zupełnie nowe tory, odmawiając uzasadnionych podstaw rzekomym zdobyczom ewolucyonizmu. Dziedzinę zaś religijnego życia ludów pierwotnych w takim przedstawia oświetleniu. Od samego zarania ludzkości istnieją religia i moralność i nierozdzielnie ze sobą się łączą. Poziom i rozwój religijnych wierzeń występuje w stosunku odwrotnym do poziomu innych składników kultury ogólnej człowieka: im bardziej lud zasługuje na miano pierwotnego, religijno-moralny jego poziom jest tem wyższy, pojęcie Boga tem wznioślejsze; w miarę zaś rozwoju kultury materyalnej obniża się moralność, zjawiają się mity, animizm, totemizm i t. p. W szczególe, na wspólną i powszechną treść wierzeń

ludów dzikich składają się: wiara w Istotę Najwyższą, która jest stwórcą i kierownikiem świata, ojcem ludzi; w duchy od świata niezależne, z pośród których jedne są opiekuńcze, inne szkodliwe; wiara w duszę ludzką, istniejącą nawet po rozłączeniu się z ciałem w chwili śmierci, uznawanie różnicy między dobrem a złem, poczucie sprawiedliwości; obowiązku, odpowiedzialności, słowem poczucie moralne; wreszcie modlitwy, ofiary i obrzędy religijne występują u wszystkich ludów w charakterze środków uczczenia i ubłagania Bóstwa. Odtworzoną przez etnologię w tych wytycznych liniach pierwotną postać religii, psychologia poddaje analizie genetycznej, aby wyznaczyć jej źródło. Według niej stwierdzone wyżej zjawiska powszechności, niepożytości i zasadniczej tożsamości religii u najdawniejszych ludów znajdują swą dostateczną przyczynę w niemniej powszechnej, niepożytej i wszystkim indywiduom ludzkim wspólnej rozumnej ludzkiej naturze, w szczególności zaś w normalnych funkcyach naczelnych władz rozumu i woli. Człowiek pierwotny, jakiego zna nauka, wyposażony w wyższe władze, rozpoczyna z ich pomocą duchową swą pracę i powołuje tą drogą do bytu wszystkie istotne składniki znanej z etnologii pierwiastkowej religii. W samym bowiem początku swego działania umysł ludzki uświadamia sobie zasadnicze prawa myślenia i wynikającą stąd zasadę przyczynowości, jakkolwiek nie wznosi się, rzecz prosta, od razu do ścisłego filozoficznego ich ujęcia. W ich zaś świetle badając otaczający go wszechświat i własny osobny świat, usiłuje wykryć przyczynę poszczególnych zjawisk, dochodzi do uznania przyczyny przyczyn, którą najpierw pojmuje jako istotę wyższą i więcej od siebie władną, z czasem, jako Istotę Najwyższą, Boga. Lecz ze stanowiska psychologicznego nie jest rzeczą możliwą, iżby wobec prawdy o istnieniu Boga człowiek zachował się obojętnie, nie pozwala na to ani rozum, ani wola: rozum bowiem wskazuje na potrzebę wejścia w bliższy stosunek z Istotą, której człowiek zawdzięcza istnienie i wszystko, co posiada; wola zaś, trawiona żądzą doskonałego szczęścia, rwie się niepowstrzymanie do Tego, którego rozum poznał jako nieskończone Dobro. Stąd biorą swój początek modlitwy, ofiary i cały kult zewnętrzny. Następnie człowiek, z chwilą, jak uświadomił sobie tę prawdę, że pozostaje w pewnym stosunku do Boga i że znajdzie w Nim swe szczęście, rozwiązuje tem samem podstawowe zagadnienia moralności, stwierdza związek powinności ze szczęściem. To zaś wyjaśnia istotową łączność moralności z religią, co i według etnologii miało już miejsce w zaraniu ludzkości. »Możemy więc powiedzieć — kończy autor — że natura

człowieka, że cały człowiek domaga się religii, że to rozumna natura ludzka sprawia, iż człowiek ma religię... Człowiek był, jest i pozostanie na zawsze istotą religijną, gdyż był, jest i będzie zawsze istotą rozumną« (str. 202, 204).

Większość rozpatrzonych tu poglądów na genezę religii widzi jej źródło w widmotwórczej wyobraźni i w ślepem uczuciu trwogi, które doprowadziły człowieka do urobienia błędnego na świat poglądu i dały początek religii. Wyniki atoli ścisłych i sumiennych badań etnologicznych nie potwierdziły założeń tych teoryi, co więcej wykazały ich sprzeczność z rzeczywistym stanem religijnych wierzeń najdawniejszych ludów. Zbliżone natomiast do siebie na wielu punktach teorya Langa o pierwotnej monoteistycznej religii i późniejszej degeneracyi i teorya etnologiczno-psychologiczna przyznają rozumnej naturze ludzkiej i normalnym funkcyom wyższych jej władz, a przedewszystkiem rozumu, znaczenie czynnika, któremu ludzkość zawdzięcza religię. Nawet w teoryi pierwotnego Objawienia, wyznaczającej nadprzyrodzony początek religii, uwzględnione są prawa rozumu człowieka i właściwa doniosła rola poznawczych sił jego. Temu właśnie, że to rozumna ludzka natura normalnie funkcyonująca czyni ludzkość religijną, winna religia swą niepożytość i niezniszczalność. Dla tej przyczyny powiedziałem na początku, że każdorazowa próba rozwiązania zagadnienia genezy religii zmierza do rozstrzygnięcia przyszłych jej losów: czy nadal religia ma być czy nie być, zależnie od tego czy jest złudą wyobraźni i tworem umysłu człowieka będącego w niemowlęcym stanie, czy też istota jej jest jak najrzeczywistszą rzeczywistością wszechświata, stwierdzoną w zaraniu istnienia człowieka i stwierdzoną poprzez wszystkie wieki przez umysł ludzki prawidłowo swe czynności poznawcze wykonywający, niezależnie od stopnia jego kultury. Widzieliśmy, że etnologia i filozofia przemawia na korzyść tego drugiego wyjaśnienia początku religii. A podobnie, jak »myśliciel pierwotny«, tak i współczesny, uzbrojony w wielowiekowy dorobek umysłowy, »bezstronny krytyczny myśliciel, wolny od wszelkich z góry powziętych uprzedzeń, dochodzi drogą naukowego badania do przekonania o istnieniu Boga« i dąży do zaspokojenia »wrodzonej duchowi ludzkiemu tęknoty do życiowego związku z rozumną zasadą wszechbytu«, utrzymuje prof. H. Struve. Z tego też pokazuje się aż nadto jasno, co sądzić należy ze stanowiska krytycznego o wartości mniemania pisarzy XVIII w., że religia jest oszustwem kapłanów dbałych o kastowe swe interesa, o mniemaniu podtrzymywanem według zwykłego prawa opóźnienia u nas

w Polsce jeszcze w wieku XX przez autora »Dziejów jednego Boga« (Warszawa 1905, str. 13).

W omówionej »Genezie religii« napotka czytelnik niejednokrotnie krytyczne uwagi poświęcone książkom pisanym w języku polskim, a traktującym o zagadnieniach religijnych. Z uwag tych dowie się, że jeden z autorów piszących po polsku utożsamia dla wiadomej sobie przyczyny francuskiego pisarza Barthélemy St-Hilaire'a (zmarłego w 1895 r.) ze św. Hilarym (historya zna dwóch: jeden żył w wieku IV, drugi w V w.) i temu każe wygłaszać twierdzenia tamtego, a przytem uskarża się na »tendencyjne usiłowania« ideowych swych przeciwników (J. Wasercug: »Teorye powstania i przyszłość religii«. Warszawa 1905, str. 6). Na usprawiedliwienie tego autora wystarczy przypomnieć, że jest on pionierem »wolnej myśli«, pozostającej w biegunowem przeciwieństwie do myśli krytycznej; wprost nie byłby on konsekwentnym, jeśliby zechciał ująć swą myśl w karby krytycyzmu, jeśliby zechciał odmówić sobie prawa i swobody w dokonywaniu podobnych metamorfoz. Inny pisarz piętnuje wieki średnie za wyraz »fetyszyzm« po raz pierwszy, jak sam przyznaje, »wprowadzony do nauki« przez K. de Brosses'a (zmarłego w r. 1777) (W. Schreiber: »Twórcy bogów«. Lwów 1904, str. 22).

Książka ks. prof. Radz., przedstawiająca współczesny stan badań naukowych nad zagadnieniem genezy religijnej, jest cennym nabytkiem dla piśmiennictwa polskiego. Umiarkowany własny sąd autora, wypowiadany ze skromnością męża nauki, tudzież spokój i właściwa miara w ocenie krytycznej poglądów obcych przyczynią się bez wątpienia do jej poczytności.

Na str. 49 zamiast »zasadniczość twierdzeń« zapewne chciał autor powiedzieć »zasadność twierdzeń«; w przytoczonych na str. 141 w przekładzie polskim słowach Langa zamiast »poddania rozumu«, powinno być prawdopodobnie »badania rozumu«. Mówię: prawdopodobnie, gdyż mimo czynionych starań tekstu tego w oryginale sprawdzić nie mogłem; niektóre bowiem biblioteki wcale tej książki nie posiadają, inne zaś (jak n. p. monachijska), tylko pierwsze jej wydanie z r. 1887 zgoła różne od przytoczonego przez ks. Radz. drugiego wydania. Trudno z całą pewnością stwierdzić, co miał autor na myśli, gdy, pisząc w tytytule »Geneza religii w świetle nauki i filozofii«, wyróżnił filozofię od nauki. Niepodobna ani na chwilę przypuścić, iżby chciał autor przez to zaznaczyć, że nie uznaje filozofii za naukę, że nie uważa pojęcia filozofii za podrzędne względem bezpośrednio wyższego, nadrzęd-

nego, pojęcia nauki i że dlatego pozwala sobie stawiać je obok siebie jakby pojęcia współrzędne. Nieścisłość i niejasność powyższą, usunąćby należało kładąc w tytule słowa: »Geneza religii w świetle nauk specyalnych i filozofii«, lub, gdyby ktoś nie przyjmował między filozofią i innemi naukami stosunku ogółu do szczegółu, po prostu: »Geneza religii w świetle nauki«.

Ks. Antoni Zawistowski.

Z piśmiennictw obcych.

Z belletrystyki francuskiej.

W najnowszej lekkiej literaturze francuskiej, do niedawna jedynej, która była lekką, uderza od niejakiego czasu nie tyle brak talentu, gdyż są pisarze zdolni, którzy w dalszym ciągu rozwijają swą czynność — ale brak młodości, brak polotu, brak czegoś nieokreślonego, co dawniej było, a czego dziś napróżno szukamy. Jednem słowem — brak poezyi. Nie mówimy tu o wierszach, ale o powiewie, który przenikał całą belletrystykę i był istotnie jej racyą bytu. Dziś tematem powieści lub sztuki jest to, co dawniej bywało przewodnią myślą przemowy wiecowej lub artykułu w czasopiśmie społecznem czy politycznem. Przepraszam — bywają niekiedy i sprawy finansowe, a dyskusya nad wartością moralną niektórych operacyi starczy za oś scenicznego dramatu. Co prawda odwieczny, więc zużyty na strzępy temat niewierności małżeńskiej, nie myśli schodzić z pola, musi jednak najczęściej ustąpić pierwszeństwa zakulisowym intrygom teatralnym, giełdowym i parlamentarnym. Dość przerzucić stos komedyi lub dramatów, wydawanych w dodatku tygodnika *L'Illustration française.* Jakież to wszystko niesmaczne, jak trudno dogrzebać się czegoś rzeczywiście znacznego! A przecież dogrzebać się można. Z pomiędzy wielu wyróżniają się wartością tak moralną jak i fachową cztery sztuki polityczne. Dwie Pawła Bourgeta: *La Barricade* i *Le Tribun* oraz *Les Ames ennemies* i *L'Apôtre* p. Paul Hyacinthe Loyson.

La Barricade, jak świadczy sam tytuł, obraca się na tle zagadnień przemysłowo-społecznych, przyczem autor upatruje główną przyczynę strajku i wynikłych zeń gwałtów nie w istotnych lub domniemanych krzywdach robotników, nie w wadliwym ustroju społecz-

nym, ale w skrytem uczuciu zazdrości jednego z rękodzielników wobec faktu, iż kobieta którą umiłował jest kochanką jego pracodawcy. Ten motyw czysto ludzki, a nie klasowy, potęguje na scenie efekt tragiczny, ale ujmuje doniosłości tezie społecznej. Postać zaś starego, »dobrego robotnika« tak jest wyidealizowaną, iż nieboszczyk Marek Twain zaliczyłby ją do nieprawdopodobnie moralnych historyjek »o grzecznych chłopczykach«.

Innego, silniejszego zakroju jest sztuka *Le Tribun.* Tu już teza doprowadzona zwycięsko do końca, jednym rzutem, wyraźnie i dzielnie. Bourget walczy w niej z dzisiejszymi prądami rozstroju, zbija je ich własną bronią, wykazując ich fałsz i nicość wobec rzeczywistości życia. Bohaterem sztuki, »trybunem«, jest stary senator Portal, liberał-demokrata, oczywiście bezwyznaniowy, pracujący od szeregu lat nad wyzwoleniem ludzkości a przynajmniej Francyi od wszelkiego ucisku — mianowicie od brzemienia związków rodzinnych. »Każdy człowiek — mówi — jest wolny i winien być zależnym tylko od siebie samego i za siebie jedynie odpowiadać«. Odpada zatem dożywotniość związków małżeńskich, które zapomocą ustaw, ułatwiających stopniowo rozwody, winno się kierować ku ideałowi wolnego pożycia *(union libre),* odpada obowiązek uległości ze strony żony a opieki i odpowiedzialności ze strony męża, odpada zwłaszcza obowiązek rodziców względem dzieci, które, wychowane przez zakłady publiczne, powinny żyć zupełnie niezależnie od domu, bez nadziei i możności osiągnięcia dziedzictwa. Dziwnem jest, że Portal pozostawia nietkniętą dziedziczność nazwiska. Trudno jednak żądać logiki od fanatyka, a Portal jest fanatykiem szczerym, uczciwym, pracującym od młodości jedynie dla swej idei. Dzięki wyższości charakteru i znacznej intelligencyi doszedł do wysokich godności: jest prezydentem Rady ministrów. Nie chce jednak korzystać z świetności otaczającej zazwyczaj republikańskie zaszczyty, pozostaje w dawnem swem skromnem mieszkaniu, jeździ dorożkami, zadowala się służbą dwojga starych sług, żyjących od dawna w jego rodzinie. Co więcej, ów burzyciel wszelkich praw przyrodzonych jest osobiście najlepszym ojcem i najczulszym małżonkiem, ma tylko pretensyę, aby wszelka miłość i wszelki związek były dowolne... Obok tego celu ma jeszcze inny: oczyszczenie rządu i parlamentu z wszelkich finansowych brudów, a to herkulesowa praca, gdyż pod błyszczącą osłoną stajnie Augiaszowe rozniecają szeroko swoje trujące wyziewy. Odkrył właśnie jedno z gniazd zepsucia: spółkę wyzyskującą dostawy publiczne i przekupującą dla swoich celów posłów parlamentu

Sprawa już pod sąd gotowa, brak tylko najważniejszego dowodu: książeczki czekowej, zawierającej nazwiska i cyfry wypłacanych kubanów. Tej jednak nie znajdzie łatwo, gdyż w chwili nieobecności prezesa ministrów wpadła w ręce jego szefa gabinetu, którym był własny jego syn Jerzy. Trafiła na chwilę strasznej pokusy, Jerzy bowiem utrzymywał stosunek miłosny z p. Claudel, żoną przyjaciela ojca, jednego z pierwszych jubilerów Paryża. Claudel okradziony niedawno z wielkich kosztowności, widząc się nad brzegiem ruiny, postanowił zwinąć interes i wynieść się do Afryki południowej wraz z żoną i dzieckiem. Jerzy wie o tem i chcąc bądź co bądź przeszkodzić wyjazdowi pani Claudel, idzie wprost z książeczką czekową do obwinionej firmy i oddaje ją w zamian za 100.000 franków, które posyła jubilerowi wraz z listem, rzekomo od skruszonego złodzieja. Zbiegiem okoliczności Portal dowiaduje się o wszystkiem i wtedy następuje chwila psychologiczna: walka między miłością ojca a obowiązkiem urzędnika i, co więcej, walka z narzuconą przez niego samego całemu krajowi zasadą o zupełnej niezawisłości dzieci od rodziców. Napróżno uzbrojony w Brutusową odwagę wzywa do siebie naczelnika policyi: gdy ten przybywa nie ma odwagi wydać mu syna. Cały fantastyczny gmach jego rojeń wali się za jednym zamachem wobec grozy rodzinnego dramatu — wali się, aby nie powstać więcej. Jubiler, dzielący niegdyś z zapałem jego teorye, teraz znajduje naturalnem, że żona upokarza się przed nim i, posłuszna jego rozkazowi, wraca w domowe progi; Portal zbiera z trudem pieniądze, aby zwrócić kubana powziętego przez syna, każe mu wyjechać w dal i pracować. Sam zaś zwątpiwszy w swoje wypieszczone zasady, wnosi dymisyę...

Sztuka ta musi wielkie wrażenie wywierać na scenie. W czytaniu sceny kobiece wydają się nieco za wydatne, przez co główna myśl, o którą nam chodzi, zda się tracić na wyrazistości. Te sceny jednak stanowią zapewnie cukier, którym Bourget uznał za konieczne osłodzić gorzką pigułkę, zadaną społeczeństwu przesiąkniętemu nowożytnymi prądami.

Zaledwie atoli *Le Tribun* został przez dyrekcyę teatralną przyjęty, gdy do tychże samych drzwi zapukał inny autor ze sztuką niemal identyczną w treści, tylko odmienną w konkluzyi. Był nim Paul Hyancinthe Loyson, syn smutnie słynnego niegdyś O. Hyacinthe, zdolnego kaznodziei i mnicha-wywłoki. Ów Père Hyancinthe ożenił się i dziś syn jego rozgłasza na nowo nazwisko, o którem już poniekąd ludzie zapomnieli. Charakterystycznem jest, że do swego imienia Paweł

dodaje zakonne imię swego ojca. Bądź co bądź sądząc z portretu, młody pisarz wydaje się osobistością dodatnią, żyje przykładnie między żoną Amerykanką a kilkorgiem dzieci i pisze. Pierwszym jego dramatem, wystawionym w r. 1902 było *L'Evangile du sang*, skreślone na tle wojny transwaalskiej; drugim zaś granym w r. 1904 *Le droit des Vierges*. Następnie ukazała się w r. 1907 pierwsza część trylogii, której dziś drugą część widzimy; *Les Ames Ennemies*, obraz walki dwóch prądów, obrona etyki zastosowanej do postępu, ale takiej, którąby postępem tym kierowała: »Rzeczpospolita — mówi on — zbudowała dużo rzeczy, zbudowała nawet wieżę Eiffel, aby módz z nieba ostatnie gwiazdy odczepić. O jednym tylko zapomniała gmachu, to jest o nauce moralności; moralność zaś nie może istnieć bez wiary — bez wiary też nie może być poświęcenia. Ale sama wiara czy jest możliwą poza sferą religii?« — pyta młody autor, czując snać, że się zbyt daleko zapędził na prawo i z niejakiem wahaniem odpowiada sam sobie: »Zdaje mi się, że tak«, poczem dorzuca, że w tem tkwi niebezpieczeństwo a zarazem i ratunek dla wszelkiego ustroju demokratycznego, iż każde przekonanie, każdy entuzyazm, każde poświęcenie, jest już samo z siebie religią... I dlatego sztuka *Les Ames ennemies* przedstawia walkę nowożytnego sumienia, szukającego oparcia o jakąś »religię« a szamocącego się między szczątkami dawnej wiary a »ruchomymi piaskami« dzisiejszej anarchii. Dedykacya utworu brzmi:

A ceux qui croient passionnément. (Tym co namiętnie wierzą)
A ceux qui nient énergiquement. (Tym co gwałtownie przeczą)
A ceux qui cherchent loyalement. (Tym co uczciwie szukają)

Dedykacya zaś drugiej części trylogii jest o jeden ton wyższa:

A ceux qui marchent dans les ténèbres avec la lumière intérieure. (Tym co kroczą w ciemności oświeceni światłem wewnętrznem).
A ceux qui suivent le Dieu inconnu. (Tym, którzy idą za Bogiem nieznanym).
Aux libres esclaves du devoir. (Wolnym niewolnikom obowiązku).

L'Apôtre Loyson'a jest jako sztuka silniej zbudowanym od *Tribuna* Bourgeta, a bohater jego Baudouin jest kreacyą potężniejszą, choć mniej psychologiczną. Treść jest mniej więcej taż sama, boć i tu wielki republikanin-demokrata, walczący jedną ręką z »klerykalizmem«, a drugą z zepsuciem we własnym obozie; sam uczciwy i niechętnie przyjmujący tekę ministra, staje nagle wobec zbrodni sprzedajności syna, którą tenże syn usiłuje zrzucić na głowę zmarłego człowieka. I tu walka między sumieniem a sercem ojca jest straszna, sumie-

nie jednak zwycięża i bezwyznaniowy »Apostoł« znajduje dość sił, aby zgromadzonym stronnikom rzucić słowa: »Winowajcą — jest on!« Tak więc *Le Tribun* kończy się bankructwem cnoty republikańskiej a *L'Apôtre* jej zwycięstwem. W ciągu akcyi jednak padają bardzo znamienne zdania, jak n. p. z ust syna stawiającego czoło wyrzutom ojcowskim: »Mówicie, żem skrzywdził zmarłego? Ale jakżeż można skrzywdzić to, co nie istnieje, to co na zawsze istnieć przestało? Cóż pozostałemu zlepkowi gliny zaszkodzić może?« A gdy stary Baudouin oburza się przed żoną na postępowanie Oktawa, ona z pokorą bierze winę na siebie: »Jam jest winna — rzecze — ja, która mu nie dałam wiary, która dziecinną modlitwę na ustach jego zgasiłam...« Charakterystyczną też w innym kierunku myśli jest definicya republiki w ustach woźnego: »Republika? — to kiedy lud ma racyę, a tamci nie!« *(C'est quand le peuple a raison et que les autres ont tort!) L'Apôtre* jest sztuką o wiele bardziej polityczną od *Tribuna,* mniej »ludzką« i mniej młodą, może dlatego właśnie, że jest utworem młodszego, t. j. nowożytniejszego, więc przed czasem zestarzałego człowieka. Któż z młodych n. p. byłby dawniej ocenił różnorodność typów parlamentarnych i urzędniczych, oczywiście drugoplanowych, ale nadających sztuce charakter osobny. Uwaga byłaby się skupiła na osobie samego Baudouina, zważywszy że to postać piękna, spiżowa, godna Plutarcha, taka, jak o niej marzyli (boć jej chyba nigdy nie ujrzeli) rewolucyoniści z roku 1789. Jaki będzie koniec trylogii, powiedzieć trudno. Być może, iż go ukształtują same wypadki polityczne; prawdopodobnie jednak wypadnie znów połowicznie, a biedny autor, goniąc za »nieznanym bogiem«, ominie prawdziwego Boga.

Nie pominął Go René Bazin w swej ostatniej powieści *La Barrière,* wydanej w r. 1910 w *Revue des deux mondes,* a następnie osobno. Piękny to bardzo utwór, o silnej budowie, a ślicznie wycyzelowanych szczegółach, dzieje dwóch serc lgnących ku sobie a nie mogących się złączyć bez głównej spójni, jaką jest wiara. Właściwiej nawet byłoby powiedzieć, że to są dzieje jednej duszy, mianowicie młodego Anglika, który zwątpiwszy o anglikanizmie, woli widzieć się wydalonym z rodzicielskiego domu przez ojca pietystę, niż kłamać wiary, której nie posiada. Smutny bardzo, ale nie zrozpaczony, jedzie do Francyi szukać prawdy w religii katolickiej. A szuka mądrze, bo nie tyle w książkach, ile w czynach miłosierdzia, ile w objawach uczuć dusz prostych. Piękny jest opis nocy, spędzonej w kościele Najśw. Serca na Montmartre; wrażenia jednak nie są wystarczające; nie wy-

starczającą też jest czysto ludzka pobudka, jaką dla innego byłaby miłość ku gorąco wierzącej dziewczynie — łaska Boża jeszcze nie przemówiła. Reginald ową pannę spotyka następnie w Rzymie, ale i stąd wyjeżdża z braterskiem pozdrowieniem z jej strony; jest jednak już tak blizkim celu, że czytelnikowi wolno w rychłej przyszłości przewidywać połączenie szczęśliwej pary. Chwilami ma się wrażenie, że kobieta z mniej wysubtelizowanem sumieniem zrobiłaby prędzej z Reginalda katolika: czy jednak byłby nim szczerze i do głębi? Bohaterka p. Bazina zbyt wielu katolików z imienia widziała w Paryżu, aby podobne nawrócenie starczyć jej mogło. Autor zaznaczył wyraźnie kontrast między młodym Anglikiem o duszy gorącej, zatopionej w najwyższych zagadnieniach duchowych a społeczeństwem wierzącem, ale chłodnem, opartem na dogmatach nie jako na podstawie działania lecz jak na poduszce, na której można wygodnie drzemać w przerwach zabawy...

Wypada nam jednak wrócić do Bourgeta, któregośmy opuścili, kierując się według tego, co kto napisał raczej, niż kto pisał. Otóż Bourget, prócz sztuk teatralnych, nie dał nam w ostatnich czasach żadnej większej powieści. Z drukowanych drobiazgów wyborna treścią choć trochę za długa, jest nowela *La Dame qui a perdu son peintre.* Jest to wyśmianie dzisiejszej metody krytycznej, wpadającej w absurda, gdy się dostanie w nieintelligentne ręce. Autor ułożył swoją satyrę w formę opowiadania wielkiego malarza Monfrey, który, przybywszy do Medyolanu, dowiaduje się o epokowem odkryciu cudnego obrazu z XVI wieku, malowanego przez nieznanego dotąd artystę. Obraz ma przedstawiać damę z dworu Franciszka I, Genowefę, niewiadomego bliżej nazwiska.

Wszystko to orzekł po długiej pracy badawczej młody krytyk sztuki Courmansel, ufny w nieomylność metody. Trudniejszem zadaniem było dlań wynalezienie twórcy arcydzieła, ale i na to znalazły się sposoby. Toż w rogu obrazu można było rozeznać jakieś wpół zatarte znaki, poprzedzone literą X. Litera X w dawnych wiekach służyła za skrócenie wyrazu *Christo;* zważywszy zaś, że znany malarz Solario posiadał ongi ucznia imieniem Christoforo, a ten pochodził z miasteczka Saranno, Courmansel miał już gotową osobistość Christofora Saranno, niezaprzeczonego twórcę »Genowefy«. Co więcej, nie upłynęło dużo czasu, a już dzięki »metodzie« przecudna Kassandra z pałacu Varegnano, znana od trzystu lat jako dzieło Leonarda, została przez młodocianego znawcę ze swej aureoli odarta a wielkie

imię Vinci zastąpione zuchwałym napisem Amico di Solario. Monfrey z oburzeniem potrząsa głową nad tem ostatniem twierdzeniem; czemże jednak może być zdanie fachowego, choćby najznakomitszego artysty wobec urzędowej krytyki? Czemże poczucie piękna i oko geniusza wobec krytyka, do którego duszy »sztuka dochodzi dopiero zapomocą drukowanego dokumentu?« Niema rady — Courmansel stworzył Christofora Saranno, a Christoforo jednym zamachem wytrącił z siodła Leonarda, przywłaszczył sobie połowę dzieł Solaria... i innych. Monfrey, wezwany do obejrzenia portretu rzekomej Genowefy, poznaje w nim własne swe malowidło z przed 25 lat! Młody był wtedy, ubogi i bardzo wesoły, przeto niewiele myśląc przyjął ofertę antykwaryusza, »fabrykanta« starych obrazów. Za paręset franków odmalował podobiznę prostej dziewczyny, ubrał ją w strój XVI wieku, przyczem z fantazyi wypisał imię jej Ginevra arabeskami, niby złotym haftem na jej staniku. Potem »fabrykant« wziął obraz i wiadomymi sobie tylko środkami nadał mu cechę starożytności. Niestety Monfrey w pierwszej chwili zdumienia milknie, a potem już za późno. Ludzie wierzyć mu nie chcą, słuchają jego twierdzeń z grzecznem politowaniem, mówiąc, że po 25 latach największy malarz omylić się może i cudzy obraz wziąć za własne dzieło. Nawet właściciel »Kassandry«, zhypnotyzowany przez krytykę, odpycha ze smutkiem dowody autentyczności pracy Leonarda: Courmansel napisał dzieło o stworzonym przez siebie malarzu. »Metoda« za nim przemawia, więc zdanie jego jest pewnem.

Monfrey zaś nie chce gadać zbyt głośno przez litość dla narzeczonej Courmansela, której ojciec już i tak krytykowi niechętny, zerwałby z nim z pewnością, gdyby sława jego uczoności okazała się blichtrem. Powyższą nowelę Bourgeta nie można dość gorąco polecić rozrodzonemu dziś plemieniowi znawców sztuki, ludzi sądzących obraz lub rzeźbę według podpisu a nie według wartości, rozpadającym się np. w zachwytach nad jakiemś płótnem, póki jest przypisywanem Rubensowi lub Velasquezowi, a wyrzucającym, je z pogardą na strych, gdy się pokaże być dziełem skromniejszego pendzla. Fakt ten widuje się codziennie w europejskich stolicach. A przecież obraz po dokonanem odkryciu nie jest ani lepszym ani gorszym, niż był poprzednio, tylko się jego marka targowa zmieniła. Z ręką na sumieniu — czy to jest szczere zamiłowanie piękna, czy też zamiłowanie szyldu? Szkoda raz jeszcze, że Bourget ubrał swoją myśl w formę nieco nudnawą; skreślona w sposób żywy byłaby wywołała więcej wrażenia.

Nawet Gyp się starzeje. Bicz nie zawsze smacznej, ale prze-

ważnie słusznej satyry eleganckiego świata paryskiego stał się mniej giętkim, cięższym a mniej gryzącym niż dawniej. *L'Affaire Débrouillard de la Tamise* przedstawia trudności, jakie musi zwalczać młody komedyopisarz, którego ambicya teściów pcha do podania na scenę sztuki nie przeznaczonej zrazu do publikacyi. A nie tylko są to trudności, ale gęste błoto teatralnych przedsionków, aż wkońcu biedny autor już dobijający do celu, dowiaduje się, że sztuka jego, pomimo rozpoczętych prób, musiała ustąpić miejsca utworowi znanego finansisty. Trudno opowiedzieć całość wijącą się wśród intryg i środowisk tak różnych od tych, do których jesteśmy przywykli, że aż prawie niepodobna wyrozumieć znaczenia satyry. W Paryżu zapewne są ludzie, którzyby położyli nazwisko pod każdą z jaskrawo nakreślonych figur — dla nas atoli rzecz jest niejasna i nudna.

Stokroć lepszym utworem jest *Pour tuer Bonaparte* p. Georges Ohnet. Przysłowie francuskie mówi: *Quand le diable se fait vieux, il se fait hermite;* o wielu powieściopisarzach zaś można powiedzieć, że gdy się starzeją i tracą polot fantazyi, zaczynają szukać tematów dziejowych. Ohnet (ludzkość o tem winna pamiętać) pierwszy stworzył i puścił w ruch w powieściach *Le maître des forges* i *La grande marnière* postać »cnotliwego inżyniera«, którą następnie adoptowała większość autorów, aż wreszcie ujrzeliśmy ją i w »Sprawie Dołęgi« Weyssenhoffa. Przez pewien czas mówiono, że powieść nie może mieć powodzenia, gdy w niej nie figurują: zrujnowany książę, anemiczna księżniczka, hrabia (w potrzebie baron) łotr i ratujący sytuacyę »cnotliwy inżynier«! Była to epoka fantastycznych podróży Verne'a i innych dzieł poważniejszych, wyrażających bałwochwalczą cześć dla wiedzy ludzkiej, słowem epoka tendencyi, której *deus ex machina* czyli »cnotliwy inżynier« był bezwiednym może objawem. Obecnie ta cześć zmalała, przynajmniej nie wymaga już u swoich bohaterów aureoli cnoty, a Georges Ohnet, który po chwilowym blasku zeszedł był w ciągu lat do rzędu płodnych a bladych autorów, przerzucił się na mniej osobisty rodzaj utworu i napisał rzecz silną, pełną talentu i życia. Jest to ubarwiona ładnemi illustracyami i mnóstwem szczegółów historya spisku Limoëlana, zakończona nieudanym zamachem rojalistów na pierwszego konsula i straceniem ujętych spiskowców. Autor oczywiście wplótł w opowiadanie romans nie należący do historyi, wprawdzie utrzymany w tym samym tonie, ale sprawiający, że rodzice (jeżeli jeszcze istnieją) trzymający się dawnego systemu, książki tej w bardzo młode ręce nie dadzą.

Toż samo powiedzieć można o innej powieści na tle dziejowem, *La Course à l'abîme* p. Ernesta Daudeta. Jest to historya młodego szlachcica, który zrazu porwany prądem rewolucyi wyrzeka się wszelkich tradycyi swych przodków, bierze czynny udział w dziele przewrotu i dopiero, gdy już jest zapóźno, poznaje prawdę i ginie na rusztowaniu. W powieści tej sporo jest życia, ale w ostatnich czasach tyle już się czytało o rewolucyi francuskiej!...

Cóż przytoczyć dalej? Jest powieść *Colette Baudoche* p. Maurice Barrès de l'Acad. franç., cała osnuta na tle walki ducha niemieckiego z francuskim w wydartym Francyi mieście Metz. Rzecz ta pono ogromnej narobiła wrzawy we Francyi i w Berlinie, gdzie się z jej powodu niemało żółci wylało. Sama przez się, jako dokładny obraz stosunków, mogłaby być ciekawą i bardzo rzewną, zwłaszcza dla nas, którzy rodzimy się i umieramy z podobną walką w sercu i w czynie. Czytelnika przyciąga też nazwisko autora, jednego z najrozumniejszych z pomiędzy »młodych«, ale niestety nie dość jest być intelligentnym, aby módz powieść napisać. To też utwór Barrèsa, pomimo sympatycznego przedmiotu, jest stanowczo nudny.

Nudnym też jest zbiór powiastek *Cinq minutes d'arrèt* par Jeanne Schultz, nudnym, niewinnym, bezbarwnym. Mnóstwo wychodzi teraz powieści francuskich na lekkim smaku soku malinowego; stanowią one kontrast z tem, co nosi nazwę »roman passionel«, a co wraz ze swemi illustracyami jest jeszcze nudniejsze, a w dodatku brudne. Wyjątek między jednem a drugiem stanowi nieco silniej zabarwiona powieść *Le Finale de la Symphonie* p. Leon Tinsenau, choć ten autor zazwyczaj grzeszy miękkością. Obok niej, choć nieco »oklepaną« treścią, zaleca się lekka a sprytnie skrojona powiastka *Illusions masculines* p. Jean de la Brète. Kto wie, czy autor nie spisał się lepiej w tym utworze swych lat dojrzałych, niż w przecenionem dziele swojej młodości *Mon Oncle et mon Curé*. Miło jest czasem spotkać rzecz dobrą a napisaną bez t e z y, co jest w dzisiejszych czasach rzadkością. Ma się jednak żal do tych wszystkich autorów tak uczciwych i tak poczciwych za ich umysłową anemię. Ludzie nie mogą żyć rozwodnioną słodyczą i jeśli ci, co ich żywią, nie dostarczą im silniejszego pokarmu, zwrócą się fatalnie do produktów niezdrowych a pieprznych.

Z reguły podobno należy smaczny kąsek zostawić na koniec. I tu więc trzymając się tej metody wypada wymienić i zalecić czytelnikom książkę, a raczej zbiór utworów Henryka Bordeaux p. t. *Portraits de femmes et d'enfants*. Nie są to nowele, więc może nie

należałoby ich do belletrystyki załączać, są jednak dziełem bardzo znanego powieściopisarza, autora książek: *La peur de vivre, Les yeux qui s'ouvrent, Les Roquevillard, L'Ecran brisé* (przerobione na scenę), *La voie sans retour, Ames modernes, Pèlerinages littéraires* i wielu innych, których część drukowana była w *Revue des Deux Mondes*. Pierwszą postacią sportretowaną tu przez p. Bordeaux jest pani de Charmoisy, dla której pierwotnie napisaną została jedna z najpiękniejszych książek religijnych wszech czasów: *Introduction à la vie dévote* św. Franciszka Salezego. Zazwyczaj strach bierze, gdy się widzi któ. rego z nowszych świeckich pisarzy, dotykającego biografii lub pism świętych. Ma się ochotę zawołać nań: *Hands off!* bo dziewięć razy na dziesięć przekręcą, jeśli już nie zmiętoszą przedmiotu. Niema tej obawy z autorem »Portretów«. Henryk Bordeaux dotyka osoby i utworu św. Franciszka śmiało a serdecznie, ze zrozumieniem i czuciem prawdziwego katolika. To też życiorys tej damy, żony blizkiego kuzyna świętego biskupa, przyjaciółki św. Joanny de Chantal, a przytem osoby świeckiej, żyjącej to wśród wiejskich obowiązków pani domu, to wśród błyszczącego tłumu królewskiego dworu, czyta się z największem zajęciem i zadowoleniem. *L'Introduction* wywołaną została skrupułami sumienia pani de Charmoisy, gdy po długim pobycie na wsi przyszło jej na dwór francuski podążyć. Św. Franciszek wtedy napisał do niej szereg listów, zawierających przepiękne urywki nauk i wskazówek. Skoro jednak pani de Charmoisy pokazała je swemu spowiednikowi O. Tourier, ten poznawszy się od razu na ich wielkiej piękności, nie spoczął, aż za jej pomocą namówił ich autora, aby je zsegregował, uzupełnił, poprawił i w całość połączył. Jej tedy po części zawdzięczamy to arcydzieło. Przyjaźń św. Franciszka okazała się nieraz pomocną i samemu p. de Charmoisy, który z życiorysu nie wychodzi pochlebnie, i jego żonie, a następnie wdowie zmuszonej zawiadywać majątkiem i wychowaniem niesfornego a gnuśnego syna. Postać pani de Charmoisy wydaje się podobną do św. Joanny de Chantal: gorąca, czynna, energiczna i przedsiębiorcza. Łączy je również i tenże sam ból macierzyństwa. Dla innych biednych matek bowiem, takich, którym się nie udało wychowanie synów, jest — wprawdzie nie pociechą — ale pewnem uspokojeniem sumienia fakt, iż obie te silne a mądre niewiasty nie mogły podołać zadaniu. A żadna z nich nie wymagała zbyt wiele — chciały z nich tylko uczynić porządnych ludzi... Życiorys pani de Charmoisy dozwala autorowi prowadzić nas po różnych miejscowościach Sabaudyi, kędy żył i działał św. Franciszek, a gdzie snać

pamięć jego zachowuje się tak dziwnie żywotną, jak gdyby je był świeżo opuścił.

Drugi życiorys hrabiny de Boigne z przełęczy wieku XVIII na XIX obraca się częściowo w tymże samym kraju, a jest pouczającem i prostującem świadectwem, przeciwstawionem szeroko czytanym »Pamiętnikom« tej pani. To już nie żadna święta, ale sprytna a próżna córka elegantki z dworu Maryi Antoniny, hrabianka d'Osmond, wydana w czasie emigracyi w Londynie za generała de Boigne, niższego rodem, ale okrytego sławą w Indyach i bardzo bogatego. Pani de Boigne wraz z całą rodziną korzystała przez całe życie z jego wspaniałomyślnej dobroci, zatruła spokój i szczęście uczciwego a dzielnego człowieka tak, iż w ostatnich latach żyli osobno, ona wśród zabaw i blichtru wyrafinowanych, umysłowych błahostek, pokrywających istotną pustkę duszy i oziębłość serca, on zaś zajęty zakładaniem schronisk i szpitali, spokojny, dobry i szczodry dla niej, nawet po swym zgonie. Żona odpłaciła mu się w »Pamiętnikach« pogardą, oszczerstwem i drwinami nawet z jego pobożności. Oszczerczemi są też czarne barwy, jakiemi jej pióro kreśli obraz Chateaubriand'a, złośliwym sąd wydany o wielu ludziach i rzeczach. Dobrze o tem wszystkiem wiedzieć, gdyż nie dalej, jak w Krakowie »Pamiętniki hr. de Boigne« znaleźć można na niejednym stole.

Trzeci portret przedstawia panią de Charrière, umysł zatruty filozofią XVIII wieku, a raczej wypływającym z niej jądrem pesymizmu, którym z kolei zatruwa duszę młodego Benjamina Constant, zanim jeszcze tenże zaprzągł się do rydwanu pani de Stäel. Za nią widzimy Julię de Lespinasse, fenomen w swoim rodzaju, skoro będąc starą panną, ubogą i szpetną, umiała nie tylko dożywotnio przywiązać do siebie uczonego encyklopedystę Alembert'a, ale jeszcze zapełnić sobą życie o 10 lat młodszego od niej, pięknego i świetnego markiza de Mora. Dziśby już chyba żadne umysłowe zalety nie zdołały wszystkich innych zastąpić. Przed 120 laty ludzie żyli umysłem i sprytem, a gdy te zbankrutowały, przerzucili się po napoleońskiej burzy w romantyczność i serce. Te znów zbankrutowały na rzecz praktycznej wiedzy, która już obecnie zaczyna schodzić z pola, zostawiając po sobie panowanie nerwom. Na czem się skończy, nie wiadomo, ale to pewna, że, jak p. Bordeaux książkę swą skończył portretami dzieciństwa Bayarta i poety prowensalskiego Mistrala tak i ludzkość, chcąc do równowagi powrócić, będzie musiała wchłonąć napowrót w siebie nieco prostoty i świeżości dziecięcej. Na to wszakże trzebaby pokory, a gdzież jej szukać w »wieku światła« i pychy rozumu! *T. Wodzicka.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Historya włościan w Polsce. Czasy najdawniejsze do początków XIII w. Wolna ludność wieśniacza. Napisał *A. Marylski Łuszczewski*. Warszawa 1910.

Praca ta ma być prawdopodobnie początkiem obszerniejszego dzieła, które ma objąć historyę włościaństwa aż do czasów najnowszych. Zapowiedzi wyraźnej autor nam nie daje, lecz z niektórych wzmianek przedmowy da się to wywnioskować.

Ale to, co mamy przed sobą, przedstawia się jako zamknięta całość i może być osobno omówione.

Najważniejsze pytanie, na które musimy odpowiedzieć, czy na historyę włościan w tym okresie, na całokształt nie zawcześnie.

Zapewne nie wszystkie pytania są rozwiązane, na wiele brak zupełnie w źródłach odpowiedzi, a wiele da się rozwiązać tylko w drodze mniej lub więcej uzasadnionych kombinacyi.

Przyczyną tego szczupłość źródeł z tej epoki. Brak zaś nadziei, by źródła z tej epoki wzbogaciły się nowemi odkryciami w tym kierunku.

Z drugiej jednak strony badania szczegółowych pytań mogą wyjaśnić niejedną wątpliwość, zapełnić niejedną lukę, co przychodzi trudniej pracownikowi nad całokształtem. Gdyby jednak stać na tem wyłącznie stanowisku, opracowanie całości czy choćby pewnej gałęzi dziejów nigdyby nie było możliwe. Badania szczegółowe dały już wyniki dostateczne, by złożyć całość choćby z pewnemi lukami. Całość nawet taka ma poważne znaczenie. Naprzód dla ogółu, któryby chciał się zapoznać z dziejami włościańskiemi nie szukając po opracowaniach poszczególnych kwestyi. Ma znaczenie i dla nauki, która ma w takiem dziele przegląd, co w danej gałęzi zrobiono, a co jeszcze zrobić lub uzupełnić należy. W ten sposób zapatrując się na omawiane dzieło, uznać je trzeba za bardzo pożyteczne.

Dr. A. B.

Finlandya i sprawa finlandzka. *Wł. Studnicki*. Kraków 1910.

Studyum nad krajem, o którym teraz zwłaszcza wiele się mówi i pisze, a który w swej odrębnej właściwości niezbyt dotąd był znany.

Autor przedstawia ustrój Finlandyi, jej stosunki ekonomiczne i społeczne od r. 1809 aż do czasów obecnych, wreszcie stosunek jej do Rosyi. Dzieje Finlandyi w tym stuletnim okresie dzieli autor na kilka faz, może niedość wyróżnionych, ale widocznych w przedstawieniu. Okres od r. 1809—1863 to epoka, w której nie widać zakusów rusyfikatorskich, ale natomiast przez niezwoływanie sejmu jest zastój w życiu konstytucyjnem. Okres 1863—1878 zaznacza się rozszerzeniem swobód Finlandyi. Dalszy okres do r. 1890 mniej więcej cechuje spokój, niema dążności ani w kierunku rozwoju Finlandyi, ani w kierunku ograniczenia jej autonomii. Od r. 1890 zaczyna się okres rusyfikacyjny, przerwany na chwilę w okresie manifestu październikowego, okres, który nie wiadomo, czem się skończy.

Znajomość tych stosunków, choćby w zakresie takim, jaki przedstawia omawiana praca, będzie bardzo pożyteczną dla tych z Polaków, którzy dzielą losy Finlandyi, a i dla innych zaborów nie będzie bez interesu, cho-

ciażby dla sympatyi, z jaką niezbyt znając odnosimy się do Finlandyi i jej spraw.

A. B.

Ćwierćwiecze walki. Księga pamiątkowa »Roli«. Warszawa 1910.

Jak słusznie podnosi biograf Jeleńskiego, *Rola* wyróżnia się od typu przeciętnego czasopisma. Poczęta z jednej idei przewodniej pozostaje jej wierna, jej służy przez cały dotychczasowy czas swego istnienia, na tej idei wsparta nie zna oportunizmu i kompromisów.

To tytuł szacunku dla pisma i jego twórcy i redaktora Jana Jeleńskiego, szacunku, którego nie mogą mu odmówić i ci, którzy, jak i piszący te słowa, nie ze wszystkiem mogą się z poglądami w licznych artykułach objawionymi zgodzić.

Jako zasadę naczelną postawił twórca *Roli* walkę z wpływem Żydów na polskie społeczeństwo, wpływem widocznym w handlu, przemyśle, finansowości, prasie, literaturze i t. d. W konsekwencyi prowadząc tę walkę, musiała *Rola* rozwinąć ją na trzy fronty i walcząc z Żydami skierować również ostrze swe przeciw przemożnemu pozytywizmowi w specyalnie polskich jego przejawach, a wreszcie zwalczać zakorzeniony w naszem społeczeństwie prąd asymilacyjny. Prowadząc walkę tę nie poprzestawała *Rola* na czystej negacyi, dawała pozytywny program akcyi na polu społecznem. Cały duch pisma, wszystkie jego artykuły przesiąknięte są duchem czysto katolickim. Ten duch katolicki przebija się i w polemice, owiewa i te artykuły, które dają program pozytywnej akcyi. Objawy wrogie religii zwalcza *Rola* z całym zapałem, jak np. t. zw. »szechizm«, a potem maryawityzm.

Zgon Jana Jeleńskiego, z którym zrosło się w ciągu długich lat istnienie *Roli*, zszedł się prawie z jej jubileuszem. Stąd wydana księga pamiątkowa obraca się przeważnie koło jego osoby. A więc zaczyna się ona życiorysem Jana Jeleńskiego, kończy żałobnem wianem jego, zestawieniem kilku rzewnych o nim wspomnień, pochodzących od osób mu blizkich ideami i duchem. W rozdziale streszczającym dwudziestopięcioletnie dzieje pisma, jego osoba najwięcej zajmuje miejsca. Bo też bez Jeleńskiego nie byłoby *Roli*. Z jego myśli poczęta, zapełniała się artykułami jego przeważnie pióra; on był jej redaktorem, administratorem, słowem prawie wszystkiem. Stąd księga pamiątkowa jest zarazem wielkim hołdem oddanym pamięci Jana Jeleńskiego.

Dr. A. B.

Siódme amen Imci Pana Mokrzeckiego. Powieść z czasów saskich *Wiktor Gomulicki.* Warszawa 1910.

Treść nieobfita. Szlachcic *bene natus et posessionatus* pochował dwie żony — i żeni się po raz trzeci z osobą, która w toku opowieści, jakby na zamówienie, owdowiała. A w tę kanwę wplecione są różnorodne epizody obyczajowe: proces i najazd, wydobywanie długu, sceny z klasztorów męskich i żeńskich, życie na dworze zamożnego szlachcica i magnata, a najwięcej, co w obrazie epoki saskiej naturalne, gęste i sute libacye. Libacyi tych nawet za dużo, a raczej sceny te autor ponad potrzebę uwypukla. A inne sceny obyczajowe nie odpowiadają zbyt rysom ówczesnej epoki. Grzeczności i komplimenta, jakie sobie prawią osoby występujące w powieści, odbiegają od charakterystycznych rysów staropolskiej grzeczności, przypominają natomiast wybredny cere-

moniał japoński, znany nam choćby z modnych obecnie opowieści wschodnich. Scena w klasztorze kołysania Dzieciątka Jezus wydaje się nieprawdopodobna nawet w epoce, która się lubowała w przesadnej napuszystości form; a w każdym razie śmieszne strony tej sceny są uwypuklone i niepotrzebnie *ad absurdum* doprowadzone. Zapewne, szczególnie w Polsce spoufaliliśmy się, jeśli tak wolno się wyrazić, ze świętem Bożego Narodzenia; świadectwem szopka i kolędy ludowe. Scena jednak, o której mowa, możeby nie raziła w początkach XVIII wieku, nam jednak, dzieciom XX w., pozostawia tylko uczucie śmieszności, z wrażeniem, że autor wyśmiewa nie tylko akcesorya, ale samą istotę rzeczy. Szczęściem, że znamy autora z lepszej strony. *A. B.*

Klucz brzozowski biskupstwa przemyskiego w wieku XVIII. Z 21 tablicami graficznemi. *Jan Rutkowski.* Kraków 1910

Oparte na źródłach dotąd niewyzyskanych, daje przytoczone dzieło obraz stosunków gospodarczych i społecznych Klucza brzozowskiego w wieku XVIII.

Pierwszy rozdział podaje źródła użyte w pracy, rozdział drugi historyę tworzenia się dóbr biskupstwa przemyskiego, osadnictwa w nich oraz rozwoju stosunków gospodarczych.

Trzeci i czwarty rozdział stanowią właściwe jądro dzieła. Autor omawia naprzód stosunki w miasteczku Brzozowie, następnie we wsiach klucza, a wreszcie organizacyę i wyniki ekonomiczne gospodarstwa folwarcznego.

Uzupełniają dzieło pracowite zestawienia cen ziemiopłodów w drugiej połowie wieku XVIII i częściowo w początkowych latach wieku XIX. *B.*

Gesammelte kleinere Schriften. Von *Moritz Meschler S. J.* Freiburg im Breisg. Herdersche Verlagsh. 1909.

Pod tym tytułem ukazują się w druku niniejsze prace O. Meschlera, które dawniej były umieszczane w *Stimmen aus Maria-Laach.* Wydaje je autor na liczne prośby, które go zewsząd dochodziły, żeby dawniejsze swe prace wydał w wygodniejszym formacie dla odręcznego pożytku. Miłe, pociągające a korzystne dla duszy i teologicznie gruntowne, jak wszystko co wychodzi z pod pióra czcigodnego autora. Pierwsza broszurka jest przyczynkiem do charakterystyki Zbawiciela. Pierwszy rozdział omawia ascezę boskiego Zbawcy, drugi pedagogikę jego, trzeci obchodzenie się i stosunek z ludźmi, czwarty jego sztukę krasomówczą. Pociągające te tematy opracował krótko i zwięźle a gruntownie i ciepło. Bardzo wiele skorzystać z niej mogą kapłani i ci, którzy w jakikolwiek sposób pracują nad młodzieżą, ludem, nad robotnikami w stowarzyszeniach. *L. R.*

Die Andacht zum göttlichen Herzen Jesu, erläutert für Priester und gebildete Laien von *M. Meschler S. J.* III-te vermehrte Aufl. B. Herder. Freib. im Br. Str. 270.

Już trzeci raz wydaje O. Meschler S. J. swą pracę, w której zapoznaje czytelnika z tem, co jest istotą i jakby duszą nabożeństwa do Najświętszego Serca Jezusowego. Omówiwszy wpierw jasno przedmiot i historyę tego nabożeństwa, przedstawia następnie stanowisko, jakie nabożeństwu Serca Jezusowego należy się w Kościele, rodzinie i całem społeczeństwie, oraz wylicza te obfite łaski i błogosławieństwa, jakiemi Boskie Serce darzy swych wiernych czcicieli.

Cokolwiek wzniosłego i praktycznego gdzieindziej napisano o tem nabożeństwie, znajduje się tu treściwie i dogmatycznie zebrane.

X. B.

Seelenschmuck zum göttlichen Gastmahl. Von *M. Meschler S. J.* B. Herder. Freiburg im Br. Str. 246.

To ostatnie dziełko głośnego pisarza-ascety jest napisane dla osób częściej się komunikających. Ma ono zaradzić temu, co w przygotowaniu do Stołu Pańskiego trąci rutyną, szablonem i zewnętrznem tylko nabożeństwem, a pogłębić to przygotowanie przez wewnętrzną rozmowę duszy z Bogiem.

W 31 głęboko obmyślanych, łatwych a nader pięknie wykończonych rozmyślaniach zastanawia się autor nad tem: 1. czem jest Najśw. Sakrament sam w sobie; 2. jakie skutki wywiera na duszę, oraz 3. czem ma być dla niej.

Te rozmyślania wydane w formacie książeczki do nabożeństwa, stanowią najodpowiedniejsze Vade-mecum do Komunii św.

X. Bar.

Das Messbuch der hl. Kirche (Missale Romanum) lateinisch und deutsch mit liturgischen Erklärungen. Von *P. Anselm Schott O. S. B.* 14 Aufl. B. Herder. Freiburg im Br.

Oremus. Skrócenie poprzedniej książki tegoż autora.

Czternaste wydanie łacińsko-niemieckiego Mszału podręcznego, który się już rozszedł w 120.000 egzemplarzy, świadczy najlepiej o tem, jak praktycznem się okazało podobne wydanie. Wielką jego zaletę stanowią liturgiczne wytłumaczenie ceremonii kościelnych w Wielkim Tygodniu oraz w inne ważniejsze święta, a zarazem krótkie egzegetyczne objaśnienia epistoł i ewangelii, umieszczane na dole w odsyłaczu. Dzięki temu to większe i mniejsze wydanie Mszału bardzo się może przyczynić do zrozumienia liturgii roku kościelnego a zarazem do ściślejszego życia z rokiem kościelnym.

X. B.

Das betrachtende Gebet. Unterweisungen über die verschiedenen Arten der Betrachtung von *René von Maumigny S. J.* nach der vierten Auflage ins Deutsche übersetzt vom Grafen von Montgelas. B. Herder. Freiburg im Br. Str. 236.

Za kwadrans codziennego rozmyślania wielka święta Teresa obiecuje każdemu zbawienie, a jednak jakże niewielu rozmyśla... choćby dla tej tylko przyczyny, iż medytacyę uważają za rzecz zbyt trudną, wybranym tylko duszom dostępną. Dużo pod tym względem trudności usuwa przeczytanie dziełka O. de Maumigny T. J., który przez szereg lat będąc przełożonym nad wychowaniem zakonników, złożył w swej książce rezultat swego długoletniego doświadczenia. To, co powiada on o wzniosłości modlitwy myślnej, o najważniejszych jej aktach i o trudnościach napotykanych przy rozmyślaniu jest ujęte w sposób tak prosty i serdeczny — podyktowane sercem prawdziwie ojcowskiem, że może prawdziwie nieumiejętnych o medytacyi najlepiej poinformować a w oziębłych największy zapał ku modlitwie myślnej wlać.

X. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zatargi w Kościele ormiańskim.

Synod ormiański, odbyty w Rzymie w pierwszej połowie października pod przewodnictwem ormiańskiego patryarchy z Carogrodu msg. Terziana, zwrócił uwagę katolickiego świata na wewnętrzne zatargi już od dłuższego czasu istniejące w łonie Kościoła ormiańskiego. Wiążą się one ściśle z jego ustrojem administracyjnym, który się wytworzył na podstawie stosunków panujących pod rządem tureckim. System bowiem gospodarki tureckiej w zdobytych krajach był ten, że troszczono się jedynie o podatek, który nakładano na każdą głowę podbitego narodu, a wszystkie inne sprawy pozostawiano do załatwienia organizacyom wyznaniowym, które wskutek tego posiadły rozległy samorząd i mogły ująć w swe ręce wszystkie sprawy nie tylko religijne, ale i oświatowe i dobroczynne w obrębie swego wyznania. Patryarcha ormiański, jako głowa ormian-katolików, był więc wobec rządu ich przedstawicielem odpowiedzialnym za wszystko, co się wśród nich działo, a urządzał się tak, że w wielu rzeczach przybierał sobie radę z ludzi świeckich. Do tej rady, t. zw. Zgromadzenia Narodowego, należały sprawy szkolne, finansowe, sądowe, małżeńskie, sanitarne i humanitarne. Ale nie rzadko też Zgromadzenie Narodowe objawiało chęć decydowania także w sprawach czysto kościelnych. Przychodziło do zatargów z pa-

tryarchą z powodu różnicy zapatrywań, a nawet domagano się usunięcia patryarchy. Miało to miejsce właśnie w ostatnich czasach wobec osoby patryarchy msg. Terziana, od którego zażądano ustąpienia. Ten jednakowoż nie chce uznać żądań Zgromadzenia Narodowego, może także w tym celu, aby zwyczaje ormiańskie powoli przekształcić i dostosować do zwyczajów Kościoła katolickiego, w którego rządach ingerencya żywiołu świeckiego jest rzeczą nieznaną.

Patryarsze przychodzi w pomoc zmiana stosunków politycznych i społecznych w dzisiejszej Turcyi. Funkcye Zgromadzenia Narodowego spełnia dziś po większej części już sam rząd turecki i nie ulega wątpliwości, że rząd zamierza powoli usunąć wszelką autonomię wyznań tak, że Zgromadzenie Narodowe traci racyę bytu. Obecnie walka toczy się głównie około szkoły, gdzie rząd usiłuje szkoły gminne zastąpić szkołami państwowemi.

Jaki był wynik synodu, na razie jeszcze nie wiadomo, ale wobec deklaracyi Zgromadzenia Narodowego, która uważa patryarchę za złożonego ze stolicy i wobec niechęci rządu tureckiego do synodu rzymskiego i którą jeszcze zwiększa tocząca się wojna z Włochami, Stolica św. może będzie zmuszoną zastosować się do żądań Zgromadzenia Narodowego i zamianować innego patryarchę. Można się też domyślać, że msg. Terzian pewnie starał się utorować następcy swemu drogę do samodzielniejszego stanowiska wobec katolików-ormian. Patryarsze ormiańskiemu podlegają trzy arcybiskupstwa tytularne: Siwas, Aleppo i Tokat i czternaście biskupstw, z których jedno znajduje się w Ispahanie, inne w Aleksandryi. Liczba ormian-katolików ma wynosić 130 000, nie licząc w tym ormian-katolików w Rosyi (około 50 000) i 5 000 ormian-katolików w Galicyi i na Bukowinie, którzy od patryarchy nie zależą.

Kościół katolicki w Rosyi.

»Niebezpieczeństwo rzymskie«, które obok »potęgi inorodców« jest największym postrachem Rosyi, zniewala rząd rosyjski do wydawania coraz częstszych i radykalniejszych przepisów dla duchowieństwa katolickiego. Trudno żeby państwo, przesiąknięte na wskroś tradycyjnym bizantyniz-

mem, posiadało jakiekolwiek zrozumienie koniecznych swobód zachodniego Kościoła i nie uważało *ius sacrum* za część *iuris publici*. Dlatego też ostatnie rozporządzenie Piusa X o redukcyi świąt nie znalazło uznania u wysokich władz cesarstwa, gdyż prawo państwowe, nawiasem mówiąc, zastosowane niegdyś do prawa kościelnego, przewiduje liczbę dotychczasową świąt katolickich. Według tego też zapatrywania się na Kościół, jako na część integralną biurokracyi państwowej, poddaje się i duchowieństwo katolickie pod wszelkie przepisy dotyczące urzędników państwowych, nie dając jednak księżom przywilejów tychże urzędników. Stąd zrozumiałe jest ostatnie rozporządzenie Ministeryum Spraw Wewnętrznych, zabraniające biskupom katolickim wyjazdu z własnej dyecezyi do innej bez pozwolenia rządowego, w szczególności ministra Spraw Wewnętrznych. Pod tę samą rubryką trzeba podciągnąć rozporządzenia tegoż Ministerstwa, odnoszące się do nominacyi katechetów katolickich w zakładach naukowych. Do tego czasu inicyatywa do nominacyi wychodziła od władzy dyecezyalnej, poczem dopiero kandydat starał się o uznanie przez władze szkolne. Zapewne odpowiada to duchowi Kościoła katolickiego, ale nie duchowi cesarstwa rosyjskiego. Po odnośnem rozporządzeniu Ministerstwa Spraw Wewn. odtąd cała procedura dokonywać się ma odwrotnie. Władze naukowe wyliczają i naznaczają katechetę, a Władzy duchownej zostawioną została tylko pokorna aprobata dokonanego wyboru. Wynik jest jasny i nie potrzebuje komentarzy: zależność katechetów od władzy biskupiej zmniejsza się, a wzrasta zależność od władz rządowych.

Radykalniejsze jeszcze rozporządzenie zawiera okólnik z dnia 27 września, tyczący się już nie katechetów, ale katechizacyi samej. Rozporządzenie to wychodzi widocznie z tej zasady, że nauka religii jest przedmiotem szkolnym tak samo, jak każdy inny przedmiot i stąd tym samym przepisom podlega. Dozwoloną więc jest katechizacya tylko w zatwierdzonych przez władze zakładach szkolnych, a w kościołach... tymczasem tolerowaną. Wspólne nauczanie dzieci katolików modlitw i dogmatów rzymsko-katolickiego Kościoła poza zatwierdzonymi przez władze zakładami naukowymi i poza Kościołem przez kogokolwiek odtąd uważane będzie za

nauczanie potajemne, jeżeli ma charakter systematycznego wykładu i tem samem podlega odnośnym prawom karnym. Wobec takiego stanowiska rządu, nauczanie najprostszych i najkonieczniejszych prawd religijnych wielkiej ilości dziatwy katolickiej staje się niemożliwem. Dość bowiem wziąć pod uwagę tę okoliczność, że nauczanie katechizmu przez księży w szkołach początkowych, z powodu trudności przez rząd robionych, jest w Królestwie nader rzadko praktykowanem, a w Cesarstwie prawie wcale nieznanem, powtóre, że przy olbrzymich przestrzeniach wielu parafii katolickich w Rosyi posyłanie dzieci do kościoła jest fizycznie niemożliwą rzeczą, wreszcie, że analfabetyzm, który przetrwał w Rosyi, jak nigdzie, uniemożliwia rodzicom systematyczny wykład katechizmu własnym dzieciom. Że zaś nawet nauka religii po kościołach ma uledz jakiejś kontroli ze strony rządu, pokazuje się z kwestyonaryusza dodanego do powyższego rozporządzenia, który domaga się od biskupów odpowiedzi na następujące pytania, tyczące się katechizacyi prowadzonej przez księży po kościołach: 1) o wieku dzieci katechizowanych, 2) w jakim języku prowadzi się nauka, 3) o programie nauki, 4) kiedy t. j. w jakiej porze roku, prowadzona jest katechizacya, 5) jak długo trwa, 6) jakie są przepisy kanoniczne, które się domagają tego rodzaju wykładu i urządzenie jego normują. Może tedy, przy dobrych chęciach Ministerstwa, znajdzie się w odpowiedziach biskupów dowód stwierdzający, że nawet katechizacya dzieci po kościołach sprzeciwia się prawom państwowym. Tkwi więc w całem tem rozporządzeniu ogromne niebezpieczeństwo dla przyszłości katolicyzmu w Rosyi i dlatego z pewnością wywoła najenergiczniejsze kroki i protesty ze strony katolickiego episkopatu, aby fatalnym jego skutkom zapobiedz.

Jak troskliwą opieką rządu cieszy się Kościół katolicki w Rosyi, wykazała dokonana niedawno przez urzędników państwowych rewizya konsystorzy rzymsko-katolickich. Pomimo znanej od dawna lojalności dla rządu i jego wszystkich rozporządzeń ze strony tychże konsystorzy, pomimo skrupulatnego wprost stosowania się do wszystkiego, co rząd wyrokuje o sprawach katolickich, cesarstwo czuje się zaniepokojonem i zagrożonem i zarządziło skrupulatną rewizyę. Wynik rewizyi streścił komunikat urzędowy w 21 punk-

tach, z których warto najcharakterystyczniejsze przytoczyć: używanie w oficyalnych stosunkach języka polskiego; działalność skierowana do zjednoczenia spraw duchownych Kościoła rzymsko-katolickiego z polskiemi sprawami narodowemi; dążność do poddania pod kierownictwo kleru organizacyi społeczno-politycznych; przeciwdziałanie małżeństwom mieszanym prawosławnych i katolików drogą nacisku moralnego na zawierających małżeństwa; pomijanie przepisów państwowych o zawieraniu małżeństw; bezpośrednie komunikowanie się z Kuryą rzymską; stosunki z jezuickimi organizacyami dla ułatwienia ich działalności w Rosyi; organizacye tajnych klasztorów pod postacią warsztatów; utworzenie tajnych organizacyi zakonnych, kierowanych przez zagranicę i t. p. Z tych zarzutów przeciw działalności konsystorzy rzymsko-katolickich zaraz widać, jakie pobudki kierowały rewizyą rządową: poczucie supremacyi rządu nad Kościołem i obawa polsko-narodowych i tajnych związków katolickich, zwłaszcza jezuickich. Ponieważ zaś strach zawsze ma wielkie oczy, nie trudno było wynaleźć przynajmniej pozory powyższych zbrodni.

Ten strach przed tajnemi agitacyami podyktował z pewnością także cyrkularz rządowy, który zabrania zakonnikom ostatnich kilku wegetujących jeszcze klasztorów wydalać się poza mury klasztoru z pomocą kapłańską parafialnemu duchowieństwu bez zezwolenia władzy państwowej. Pozwolenia zaś takiego władza ma, zdaje się, zamiar stale odmawiać, przynajmniej mieliśmy już przykład takiej odmowy przy pierwszych staraniach, kiedy jeden z proboszczów warszawskich chciał zaprosić OO. Kapucynów z Nowego Miasta z powodu 500-lecia założenia kamienia węgielnego pod Kościół N. M. Panny na misye ośmiodniowe, na co jednak generał-gubernator nie pozwolił.

W obawach swoich, a może w trosce o ciszę i spokój zakonny w klasztorach. rząd posunął się tak daleko, że zakazał zjeżdżać się do nich świeckim kapłanom na rekolekcye, że zabrania zatrzymywać choćby na krótko gości, np. księży świeckich, że wreszcie nawet do służby najniższej w klasztorach nie wolno nikogo przyjąć bez specyalnej aprobaty generał-gubernatora.

Dzieje się to wszystko w dwudziestym wieku, w państwie

konstytucyjnem. Te zarządzenia, które dla dokuczliwości i drobiazgowości swojej gdzieindziej byłyby uważane za szykany niegodne wielkiego państwa, w Rosyi snać uważa się za potrzebne dla uchylenia niebezpieczeństw, grożących państwu ze strony Kościoła, i dla udowodnienia, że nad tem niebezpieczeństwem rząd ustawicznie czuwa. Należy zatem podziwiać bezprzykładny optymizm władz petersburskich i warszawskich, które spodziewają się, że takimi środkami wyrobią w ludności lojalizm zupełny i poszanowanie władzy.

Zamach na ks. biskupa Chomyszyna w Stanisławowie.

Zaszczytnie znany z energicznej działalności swojej duszpasterskiej ks. biskup Chomyszyn, już od dawna jest solą w oku mniej gorliwych zwolenników unii i żywiołów o wolniejszych przekonaniach religijnych. W ostatnim czasie stał się nawet przedmiotem zamachu ks. Kamińskiego, który to zamach na szczęście się nie udał. Fakt sam przedstawia się raczej jako sprawa czysto prywatna i objaw zemsty prywatnej i dlatego trudno z niego formułować akt oskarżenia tej lub owej partyi w łonie Cerkwi ruskiej. Zdziczenia jednego członka kleru ruskiego nie wolno generalizować, jakkolwiek smutnym ono jest objawem. Możnaby więc ponad tym faktem przejść do porządku dziennego, gdyby prasa ruska nie była wobec niego zajęła, częściowo przynajmniej, wrogiego dla ks. biskupa Chomyszyna stanowiska. Dla żywiołów niechętnych biskupowi ks. Kamiński od razu stał się męczennikiem, a konsekwentnie ks. biskup Chomyszyn tyranem.

Ks. A. Starker.

Ze świata artystycznego

Kultura dawna a dzisiejsza.

I.

Ostatnie lata zaznaczyły się pewnym zwrotem ku lepszemu na polu artystycznem. Dotyczy to przedewszystkiem stosunków praktycznych, bezpośrednio opartych o życie codzienne. Ruch ten, który nie

trudno można już zauważyć, jest właściwie tylko reakcyą przeciw upadkowi kultury, jaki zaciążył na całem życiu ludzkiem, szczególniej w ostatniem czterdziestoleciu. Równolegle bowiem z niebywałym wzrostem przemysłu fabryczno-mechanicznego, rósł kapitał, aż osiągnął swe dominujące obecnie znaczenie. Następstwem tego było osłabienie, a nawet przekreślenie zupełne innych wartości moralnych, które przedtem wskazywały drogi życia i postępowania. Kapitał stał się decydującym we wszystkiem, gdyż za pieniądz można dziś wszystkiego nabyć. Zbudziła się wśród ludzi nieznana przedtem żądza zdobycia kapitału, której ulegli wszyscy i wszystko. Dawny spokój i zadowolenie z posiadanego bytu zniknęły prawie zupełnie, a miejsce ich zajął niepokój i nieustanna pogoń za zdobyciem lub powiększeniem kapitału. Rozwinęła się szalona zupełnie spekulacya finansowa, która niszczy bezwzględnie wszystko, co jej przeszkadza do jak najprędszego zdobycia i wzrostu kapitału. Podczas gdy dawniejsze czasy odznaczał spokój, zadowolenie i umiejętność używania życia, to obecnie wręcz przeciwne cechy wysuwają się na pierwszy plan.

Dawniejszy spokój wypływał najpierw z harmonii całego życia. Dawne bowiem społeczeństwo było podzielone na stany, a każdy stan miał ściśle określone prawa i obowiązki. Ludzie łączyli się w różne grupy na podstawie wspólności interesów lub pracy. W ten sposób powstały dawne cechy i inne korporacye w stanie mieszczańskim, podział na drobną szlachtę i możnowładców w stanie szlacheckim. Nad wszystkiem znowu górował Kościół, jako najpotężniejsza instytucya. Mieścił on w swem łonie wszystkie stany i wyznaczał każdemu należne miejsce. Ponieważ zaś te prawa i obowiązki ulegały w ciągu wieków bardzo nieznacznej zmianie, dlatego też ludzkość miała czas i możność zżyć się z nimi zupełnie. Każdy wiedział jasno i dokładnie, gdzie jego miejsce, co może a czego mu nie wolno. I z tego właśnie rodził się ten spokój, który tak odznaczał dawne czasy i życie.

Spokój dozwalał na pogodę myśli, ta znowu zwracała się do pracy twórczej, w której dawny człowiek znajdował treść życia. A ponieważ nie była to praca mechaniczna, t. j. maszynowa, ale praca rąk, zniewalająca nieraz do ciągłego skupienia myśli, a nawet wytężenia, jako twórcza, dlatego dawała zadowolenie, jakie może dać tylko wysiłek, uwieńczony pomyślnym rezultatem, t. j. widok udanego dzieła. Dawniej umiano przytem cenić każdy gatunek gracy, uważając ją słusznie za główny cel życia, a nie tylko za środek, jak dzisiaj. I dlatego dawniej człowiek na wszystko znalazł dość czasu, gdyż nie znano

tego chorobliwego pośpiechu, jaki dziś panuje. Dlatego dawniej mogły stać tak wysoko rękodzieła i sztuka mogła się swobodniej rozwijać przy ognisku domowem, tak w chacie wiejskiej, jak i we dworze szlacheckim. Dawniej ludzie nie rzucali tak łatwo i często swego zawodu i stanu, ale dziedzicząc zawód po przodkach, nieustannie podnosili go na coraz wyższy stopień doskonałości.

Na takich to silnych i niewzruszalnych podstawach wyrosła dawna kultura, a owocem jej była sztuka i umiejętność używania życia, dziś prawie nieznana. Sztuka stwarzała ramy dla życia celowe, trwałe a piękne, umiejętność zaś używania życia wypowiadała się w całem mnóstwie corocznych uroczystości, obchodów i zabaw, które w każdym kraju, w łonie każdego stanu urządzano inaczej. Temu wszystkiemu jeszcze towarzyszyły całe koła wierzeń, podań i legend, przywiązane do różnych miejsc, osób lub rzeczy. Na tem wyrastała znowu epiczna, t. j. niepisana poezya narodu, wypowiadająca się najlepiej w pieśni i muzyce. I dlatego dawniej towarzyszyła pieśń każdej pracy, zabawie lub uroczystości. Pieśnią rozbrzmiewało dawniej miasto lub wieś. Słychać ją było w kościele, w domu, na polu czy w lesie. Od pałacu do najbiedniejszej chaty towarzyszyła każdej chwili życia, dodając mu uśmiechu szczęścia i pogody.

Z dawną pogodą życia łączyła się uczciwość, prostota obyczajów i nieskazitelność charakteru, które to cnoty dawniej powszechne ceniono najwyżej. Pojęcie honoru i godności osobistej, choć mniej było poruszane, niż dzisiaj, głębiej jednak tkwiło w poczuciu jednostki i całego społeczeństwa. Praca dla dobra publicznego była największym zaszczytem i sama już w sobie była nagrodą. Dawne urzędy publiczne były honorowymi, t. zn. niepłatnymi i najzasłużeńszych, najgodniejszych ludzi powoływano na nie.

Te wszystkie warunki życia codziennego i pracy sprawiały, że dawny człowiek zżywał się nierozerwalnie z miejscem i otoczeniem. Wszystko, co dokoła siebie widział, było mu drogiem i od dawna dobrze znanem. Starych, dobrych znajomych widział naokół siebie w ludziach i rzeczach. Co niedziela lub święto odwiedzał prochy swych ojców lub praojców na cmentarzu kościoła parafialnego. Rodziła się w nim nieprzeparta jakaś miłość wsi czy miasta rodzinnego, a z nią razem prawdziwa wielka miłość ojczyzny, zdolna do poświęceń, niosąca nawet chętnie życie w ofierze. Słusznie też zauważył Moltke w czasie kampanii francuskiej, że miasta najwięcej staroświeckie, najsilniejszy opór stawiały nieprzyjacielowi. Dlatego są przykłady — choć

może dla wielu dziś już niezrozumiałe — że wygnańcy polscy po upadku ojczyzny marli często z tęsknoty za krajem rodzinnym. I fanatyczne przywiązanie chłopa polskiego do ziemi ojczystej jest niczem innem, jak tylko miłością kraju, zaszczepioną przez wieki w jego sercu.

Tak było dawniej. Dziś jest całkiem inaczej. Wręcz przeciwne cechy charakteryzują dzisiejsze społeczeństwo. Można powiedzieć, że dopiero dziś w całej pełni przeżywamy owoce wielkiej rewolucyi. Jednem z głównych jej haseł było zrównanie wszystkich stanów i co za tem idzie, dostępność wszystkich urzędów dla wszystkich. Co jednak łatwo było zmienić w kodeksie praw i ustaw, to przecież nie tak od razu dało się przeprowadzić w życiu codziennem. Gdyż tego, co wyrosło w ciągu długich wieków, nie zmienia się drogą nagłych przewrotów politycznych. I wskutek tego powstał w życiu codziennem zamęt, niepokój. Wiekowy porządek i podział społeczeństwa został zburzony. W ludziach rozbudziły się złe żądze i instynkty, i zaczęły brać górę nad dawnemi zaletami. Towarzyszył temu ogromny przewrót na polu ekonomicznem i społecznem, jaki nastał z chwilą wynalezienia pracy mechanicznej przez maszynę.

Z tą chwilą rozwinęła się w ludziach z niższych stanów niepowstrzymana chęć dorównania najwyższym warstwom w narodzie. To mogło nastąpić jedynie na drodze kapitału I dlatego niebawem wszyscy rzucili się do robienia majątku w jak najkrótszym czasie. Wkrótce zaczęły się mnożyć bogate jednostki, które dzięki swej przebiegłości i spekulacyi, nie przebierając w środkach, zdołały w krótkim stosunkowo czasie zgromadzić wielki kapitał. Jednak ludzie ci bez kultury duchowej, zarozumiali, nadęci i chciwi zaszczytów, pchając się w pierwsze szeregi pomiędzy najgodniejszych i najrozumniejszych, pokrywali te braki wychowania i wykształcenia pieniądzem Za nimi szły dalsze szeregi dorobkiewiczów i odtąd w społeczeństwie nastał zamęt i niepokój. Ponieważ wszyscy dziś są równi — jak mówi prawo — więc też wszyscy na równi chcą używać życia. Ci zaś, którzy nie mogą, czują się pokrzywdzonymi. Pracę uważają za rzecz poniżającą godność człowieka i wstydzą się jej. Dlatego to dziś zniknął z życia codziennego dawny spokój i zadowolenie z posiadanego bytu. Miejsce ich zajął niepokój i niezadowolenie, nieszczerość i pretensyonalność, życie nad stan i zanik cnót moralnych.

Głównym zaś faworytem kapitalistów stała się dzisiaj sztuka. Wiedząc bowiem, że sztuka służy do uświetnienia życia, zaczęli się nią otaczać, poświęcając na to wielkie sumy. I w ten sposób nastał

okres kolekcyonerstwa i muzeów. W nich zaczęto gromadzić i zamykać sztukę wyrwaną i wypartą z życia codziennego. I choć utarło się zdanie, że dziś sztuka jest własnością ogółu, podczas gdy dawniej należała tylko do ludzi zamożnych — to w rzeczywistości jest jednak wręcz przeciwnie. Dawniej sztuka była własnością ogółu, a dziś należy do kapitalistów i muzeów. I choć te dostępne są często dla wszystkich, to przecież celem sztuki jest jej rola w życiu codziennem, a nie tam w muzeum, gdzie bywa oglądaną tylko we święto, nierozumiana i nieprzystępna dla ogółu.

II.

Żyjemy obecnie pod znakiem spekulacyi. Na polu przemysłu i handlu, budownictwa miastowego i gospodarki rolnej głównem hasłem, główną podnietą działania jest spekulacya. W życiu zbiorowem społeczeństwa, jak w życiu przeciętnej jednostki, główną rolę dzisiaj gra spekulacya. Rozwinęła się ona w tak potężną i wszechmocną instytucyę, że zaczęła zagrażać bytowi całych społeczeństw. W następstwie tego państwo, będące tarczą ochrony swych poddanych i współobywateli, było zmuszonem do podjęcia otwartej i bezwzględnej walki ze spekulacyą. Dzieje się to właśnie w Ameryce t. j. w Stanach Zjednoczonych, gdzie rząd dąży całą siłą przy pomocy osobnych ustaw do zgniecenia różnych a wszechpotężnych trustów.

Spekulacya jest tylko następstwem i wynikiem wzrostu kapitału. Kapitał bowiem mnożąc się szybko w ręku jednostek, dążył ustawicznie do jeszcze prędszego wzrostu. Umysł zaś ludzki, raz popchnięty na te tory, wysila się w wynajdowaniu coraz to nowych dróg, prowadzących do zdobycia kapitału. I każda droga, każdy środek jest tu dobrym i pożądanym, o ile nie chybia celu. Główną i najbardziej jaskrawą cechą tej całej walki, tej szalonej pogoni za kapitałem jest bezwzględność i wyzysk. One bowiem prowadzą najprędzej i stosunkowo najłatwiej do celu. Bezwzględność nie licząca się z żadnymi etycznymi, kulturalnymi i estetycznymi warunkami, usuwa z drogi wszelkie przeszkody w sposób pozornie legalny, choć przeważnie nieuczciwy. Wyzysk natomiast — jak olbrzymi pająk, otaczający cały glob ziemski — dąży do wykorzystania każdej sposobności do ostatnich granic.

Wyzysk jest jednakowy, bezwzględny, czyto chodzi o wyciśnięcie z człowieka największej sumy pracy, czy w gospodarce rabunkowej przy ziemi rolnej, albo w stosunkach miastowych o parcelę budowlaną.

Przerażającym jest istotnie wyzysk pracy ludzkiej po fabrykach, wśród najgorszych warunków, podkopujących zdrowie a często zagrażających życiu. Na pozór wyzysk kryje się i zasłania stosunkowo wysoką płacą, jak n. p. w fabrykach amerykańskich. Gdy jednak pomyślimy, że często po paru latach takiej pracy robotnik staje się niezdolnym do dalszej pracy, albo wobec nieszczęśliwego wypadku albo utraty życia zarząd fabryki nie poczuwa się do obowiązku utrzymania rodziny takiego biedaka — poznamy dopiero bezwzględność wyzysku.

Z tych samych podniet i pobudek stawiają w Ameryce, a w ostatnich latach i na naszym kontynencie, coraz liczniej kilkunastopiętrowe i wyższe domy, które jak olbrzymie kominy sterczą nad miastem. Celem ich jest znowu wykorzystanie parceli budowlanej do ostatnich granic. Właściwie ziemi do zabudowania i zamieszkania jest wszędzie dość, często nawet zawiele. Cóż kiedy spekulacya nie pozwala na to. Nie pozwala ludziom rozsiedlić się ze swemi sprawami nieco szerzej i wygodniej. Nie. Tylko jeden obok drugiego, jeden na drugim, jak drapieżne zwierzęta, wydzierając sobie grunt z pod nóg muszą oni siedzieć, walcząc o zdobycie kapitału.

Obok tych t. zw. drapaczy nieba, szpecących miasta w okropny sposób, rozwinął się jeszcze w ostatnich latach inny rodzaj spekulacyi, znany pod nazwą lichwy mieszkaniowej. Polega ona na tem, ażeby włożony kapitał w budowę domu, dając jak największe procenty, amortyzował się jak najprędzej. To może nastąpić jedynie, gdy budowa kosztuje jak najmniej i gdy dom ma jak najwięcej ubikacyi mieszkalnych, wynajmowanych po nienaturalnie wysokich czynszach. Dlatego właśnie używa się do budowy najgorszego materyału, a z ubikacyi mieszkalnych robi się oczywiście drobne klatki w najwyższym stopniu niezdrowe dla lokatorów. Ta sama niesumienna spekulacya panuje także na polu przemysłu. Byle najtaniej a najgorzej — stało się hasłem dzisiejszych przemysłowców, t. j. fabrykantów. W rzeczywistości jednak ten najtańszy towar jest zarazem najdroższym. Wskutek bowiem swojej tandetności trzeba go często zmieniać, ku czemu również skłania niezwykła taniość. Przyczem należy zaznaczyć, że największymi producentami tej masowej tandety są Niemcy, zalewając nią niemal wszystkie większe rynki wschodu Europy i Azyi. Fabrykant, wyrabiając tego towaru olbrzymią ilość, wobec taniości produkcyi, mimo nizkich cen zyskuje jeszcze wielkie sumy. Naturalnie, że w tem pomaga im niepraktyczność ludzka, chętniej kupująca tandetę byle tanio, niż trwały mocny wyrób po cenach wyższych. Z tem w parze idzie także nie-

sumienna konkurencya, obniżająca ustawicznie ceny i wydzierająca sobie nawzajem rynki zbytu. Następstwem tego są coraz to nowe bankructwa, których każdy dzień przynosi całe szeregi.

Jednym z głównych środków spekulacyi w zakresie handlu stała się w ostatnich dwóch dziesiątkach lat reklama. Przedtem prawie nieznana, rozwinęła się obecnie do rzędu wielkich potęg, decydujących o powodzeniu lub upadku firmy przemysłowej. Dawniej o powodzeniu materyalnem decydowała solidność kupiecka. Potrzeba było jednak długich nieraz lat, zanim się wyrobiło przekonanie, pochlebna opinia o firmie. Dziś natomiast to wszystko stało się zbytecznem. Dziś powodzenie firmie nie zapewnia bynajmniej solidność kupiecka i dobry towar, ale reklama. Można ją porównać do olbrzymiego dzwonu, usiłującego zwrócić uwagę wszystkich. Do zwykłych w tym celu środków należą wielkie wystawy sklepowe i kolosalne szyldy, dalej reklama świetlna, w postaci świecących napisów i obrazów. Te umieszczane bywają zwykle w miejscach najwyższych, na szczytach domów, tak, aby wśród ciemności nocnych mogły być zewsząd widziane. Nie dość na tem, reklama spieszy poza miasta i tam, wśród pól rolnych wita pierwsza obcego przybysza.

Cechuje ją przedewszystkiem bezmyślność i dziwaczność pomysłów. W starych miastach jest ona jednym z największych szkodników niszczących piękny wygląd zewnętrzny miasta. Stare portale i kamienne obramienia okien, a nieraz całe fasady domów padają jej ofiarą. Z bezmyślną zaciekłością, bez istotnej potrzeby handlu niszczy reklama w przerażający sposób wiekową kulturę miast. W bardziej handlowych środowiskach można widzieć formalne orgie na polu wystaw sklepowych, szyldów i ogłoszeń. Już nie całe domy, ale dosłownie całe ulice aż po najwyższe szczyty są zapchane szyldami. Panuje tam taki chaos, że niepodobna się w tem zoryentować. I przez to właśnie dochodzi już dzisiejsza reklama do absurdu. Obliczona bowiem na wielkość, ilość, a nie na jakość i gustowność urządzenia, stwarza jednakowe rzeczy w wystawach i ogłoszeniech. wskutek czego wywołują one znużenie i przesyt: zawsze te same olbrzymie okna sklepowe, zapchane stosem najprzeróżniejszych towarów, nie dozwalają rozglądnąć się i zapamiętać widzianych przedmiotów. Te same, jednako krzykliwe zawsze ogłoszenia męczą wprost przechodnia swoim natręctwem.

Natutalnie, że na tem polu zaczęła się już reakcya. W miejsce wielkich wystaw o stosie przeróżnych towarów wchodzą mniejsze o niewielu przedmiotach, które układane z wielkim smakiem, pociągają i za-

trzymują przechodnia. Także pod względem barbarzyńskich szyldów następuje zwolna zmiana. Tam gdzie jeszcze do niedawna widniały olbrzymie tablice szyldowe, mieści się dziś skromny napis firmy. Natomiast cały nacisk kładzie handel na piękne i gustowne wystawy. One bowiem zaczynają decydować o powodzeniu firmy. W wielkich centrach możemy dziś zauważyć całe szeregi dużych domów handlowych, nie posługujących się już zupełnie reklamą szyldową.

I u nas w Krakowie znać pod tym względem pewne usiłowania. Są one jeszcze coprawda bardzo słabe. W ostatnich paru latach do piero — wskutek konkursów Tow. Ochrony Piękności Krakowa — zaczyna się podnosić poziom artystyczny wystaw sklepowych. Mimo to jeszcze stare przekonania panują tu wszechwładnie. Olbrzymie okna wystawowe i kolosalne szyldy z nic nie mówiącymi napisami, rozpychają się po całych fasadach domów. Corocznie pada ofiarą jeszcze po parę starych, wspaniałych portali, sieni i obramień okiennych. Dzika i bezmyślna mania niszczenia, rzekomo w imię postępu i potrzeb nowoczesnych, święci smutne tryumfy.

Krakowski świat handlowy powinien się wkońcu opamiętać, zrozumieć rzeczywisty postęp nowoczesny i rozpocząć na polu urządzania wystaw sklepowych, w tak wandalski sposób niszczących stare miasto, stanowczą i energiczną reakcyę.

Franciszek Klein.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1910.

(Ciąg dalszy).

Koło dramatyczne, powstałe zaledwie przed czterema laty, rozwija się znakomicie pod kierownictwem p. Czesława Krzyżanowskiego, pomimo niesprzyjających okoliczności, o których niżej pomówić wypadnie. Cel swój — kultywowanie polskiej sztuki dramatycznej — osiągnęło w zupełności, przyczem popierało utwory autorów młodych i to nader szczęśliwie. Takich premier, jakiemi były reprezentacye: dramatu J. Huskowskiego p. t. »Dzieło«, M. Szwarcówny »Mateczka«, A. Wysockiego »Odwiedziny«, mógł śmiało pozazdrościć *K. D.* emeryt. asystent kolejowy, a obecnie z łaski swoich wierzycieli dyrektor teatru miejskiego p. L. Heller. Dość nadmienić, że fachowa krytyka lwowska, tak przeczulona na punkcie wymagań,

nic nie miała do zarzucenia. Poza tem odbyto szereg pogadanek i konferencyi na temat sztuki dramatycznej, cieszących się nader ożywioną dyskusyą. Ale też mówili między innymi tej miary znawcy, co p. K. Makuszyński »O teatrach paryskich«, p. A. Zagórski »O teatrach wiedeńskich«, dr T. Sobolewski »O Maksie Burkhardzie« i Walewski »O stylu w sztuce«. Zważyć zaś należy, że Tow liczyło zaledwie 72 członków, że nie pobierało znikąd subwencyi, lecz, że z frekwencyi widzów na przedstawieniach uzyskało 4000 kor. dochodu. Pomimo to walczy z niedostatkiem (duże koszta administracyi, opłata sceny, rekwizytów, kostyumów i t. d.), gdyż p. dyr. Heller bezpłatnie ani myśli wypożyczyć Tow. drobnego bodaj rekwizytu. Widocznie, obawia się konkurencyi!... Czy nie lepiej było nie rezygnować z posady adjunkta kolejowego i nie bać się nikogo, niż scenę lwowską sprowadzać do poziomu — wyrazimy się najdelikatniej! — podscenki z *Café Chantant* przedmiejskiego?!...

Bodaj na kamieniu rodzili się ludzie tej energii, jaką obdarzony jest p. Edmund Walter, z łaski boskiej kompozytor i referent muzyczny *Gazety lwowskiej* a w szarej rzeczywistości c. k. sędzia, wyrokujący w rozmaitych paskudnych sprawach. Gdyby nie jego rzutkość i staranie pieczołowite nie mielibyśmy *Koła muzycznego*, które w ospałym Lwowie działa niejednokrotnie ponad siły, zwłaszcza, że jest ograniczone materyałem finansowym i wykonawczym. W r. ub. urządzono ośm wieczorów odczytowych, połączonych z produkcyami fortepianowemi i wokalnemi, dając pierwszeństwo kwestyom bieżącym *(sit venia verbo!)*. I tak urządzono między innemi przy współudziale pierwszorzędnych sił miejscowych, ilustrujących muzycznie odczyty, następujące prelekcye: p. K. Parnasowa »Chopin i Marya Wodzińska na tle nieznanego albumu mistrza«, J. Bylczyński »Zmierzch Bogów Wagnera«, E. Walter »Kawaler z różą«. W. Tobiczykowa »O Szubercie«, E. Walter »O pieśni włoskiej«.

* * *

Klub polsko-węgierski zaniechał zupełnie uprawianej dotąd z pożytkiem literatury oraz informowania nas o wybitniejszych przejawach życia naszych sąsiadów z południowej strony Karpat, natomiast przekształcił się w jakiś *quasi*-klub wycieczkowy, jeżdżący jak najchętniej i najgwarniej do Węgier na rozmaite uroczystości narodowe madziarskie oraz sprowadzający wycieczkowców węgierskich do Lwowa na obchód Konstytucyi 3-go Maja. Przy takich okazyach nie łatwiej o nic.

jak o buńczuczność miny, parę mów, napchanych frazesami tanimi. W rezultacie obchody poważne skądinąd nabierają zabarwienia piwno-gulaszowego, ażeby po raz nie wiem który, zakończyły się pieśnią: »Polak-Węgier dwa bratanki«... Bodaj tego należało się wystrzegać a mieć w pamięci słowa księdza Marka: »Z czemże iść chcecie na silnego wroga?... Z krzykiem?«...

* * *

W roku 1910 upłynęło 20 lat istnienia *Czytelni katolickiej.* W życiu i istnieniu każdej instytucyi dwa momenty odgrywają ważną rolę: materyalny i moralny. Pod względem materyalnym roku ubiegłego nie można zaliczyć do pomyślnych. Wysoki czynsz, jaki Czytelnia musi opłacać za swój lokal, pochłania wielką część dochodu. Inne wydatki, poczynione w r. ub. spowodowały, że Czytelnia katolicka zamknęła swoje rachunki kasowe niedoborem w kwocie 9 kor. 67 hal. I ta troska o stronę materyalną pochłania większą część pracy i zabiegów zarządu, z uszczerbkiem dla wielu spraw, w których Czytelnia winna zaznaczyć swe istnienie. Pomimo to wszelako utrzymano Czytelnię na tym poziomie, na jakim z mocy swego statutu a wobec ogólnych zadań życiowych stać powinna. Z pomiędzy szeregu odczytów i pogadanek wymieniamy następujące: p. B. Krzysztofowicza »O przemyśle rodzimym«, p. St. Rachwała »O stanie duszy młodzieży w chwili obecnej«, prof. d-ra M. Thulliego »Miłość ojczyzny a szowinizm«, p. St. Iwanki »H. Ibsena Brand; jego powstanie, geneza i idea zasadnicza« oraz tegoż »Peer Gynt, jako antyteza Branda«, p. St. Rachwała »Słowo o obchodach narodowych«, wreszcie prof. Thulliego »Ferrer i powstanie w Barcelonie«. Ogółem otrzymywała Czytelnia 38 czasopism, księgozbiór zaś powiększyła do liczby 1200 dzieł, nie licząc czasopism. Ruch w bibliotece panował wielki, o czem świadczy liczba wypożyczonych dzieł w liczbie 600. Stan i ruch ten odpowiada swemu zadaniu. Powoli a ciągle naprzód i dobrze — oto tajemnica wielkich dzieł. Rubrykę dochodów zamknięto cyfrą 4.190 kor., wydatków 4.200 kor. Fundusz żelazny doszedł do wysokości 1185 kor., fund. budowy własnego domu 481 kor.

Dążeniem Czytelni katol. jest zakres działalności swej rozszerzyć, zadania swoje pogłębić. Pragnieniem jest skupienie pod sztandarem swoim jak największej ilości zwolenników, którzy byliby Kościołowi podporą w ciężkich jego chwilach, iżby zorganizowani a silni potrafili niejedną myśl zbożną i dobrą przeprowadzić w społeczeństwie. Kończąc

tę notatkę niepodobna nie powtórzyć złotych słów ks. arcybiskupa Bilczewskiego: »Nie dość jest czuć wzniośle, myśleć po katolicku w czterech ścianach swojego domu! Trzeba te myśli, uczucia, pragnienia zmienić w czyn i jąć się świadomej celu pracy zbiorowej« ...

* * *

O ile szczęśliwą myśl mieli inicyatorowie *Powszechnych wykładów uniwersyteckich* to okazuje się ze stałego z roku na rok wzrostu wszystkich agend tej instytucyi. Wystarczy nadmienić, że w r. ub. 157 prelegentów wygłosiło ogółem 379 wykładów. Pod względem ilościowym cyfrą największą, bo 12 wykładami może pochwalić się dr. Wł. Lenkiewicz, z kolei idą dr. K. Hartleb z 11 wykładami, prof. dr. A. Beck i dr. W. Nowicki po 10, dr. K. Ciesielski i dr. A. Zipper po 9, dr. M. Janelli 8, dr. J. Grochmalicki, M. Olszewski, dr. K. Panek i J. Pietrzycki po 7, K. Węgiel 6, wreszcie pp. K. Eliasz, dr. J. Hornowski, prof. M. Huber, dr. W. Kubik, dr. M. Limanowski, J. Łomnicki, St. Niewiadomski, dr. K. J. Nitmann, J. Orłowski, prof. dr. M. Raciborski, dr. W. Rogala, T. Witwicki i dr. St. Zakrzewski po 5 wykładów.

Wykłady urządzone we Lwowie, obejmowały, jak zwykle, trzy serye, na których wygłoszono ogółem 94 prelekcyi, t. j. o 10 mniej niż w r. 1909. Na prowicyi urządzono ogółem 285 wykładów w 28 miastach, z tego najwięcej, bo po 11 w Brodach, Brzeżanach, Horodence, Jarosławiu, Kałuszu, Kołomyi, Lubaczowie, Mościskach, Rawie Ruskiej, Skolem, Stanisławowie, Stryju, Śniatynie, Trębowli, Turce, Złoczowie i Żółkwi. Każdy wykład na prowincyi stanowił z reguły zamkniętą całość. Z ogólnej liczby 379 wykładów, urządzonych we Lwowie i na prowincyi przypada na przedmioty humanistyczne 229, a na przedmioty przyrodniczo-techniczne 150 wykładów. Najwięcej wykładów przypadało na historyę polską, bo 91, potem idzie literatura polska z 41 (w r. 1909 60) wykładami, geologia z 22 wykł., fizyka 20. Najmniej było z archeologii 3 wykł. i z anatomii 2 wykłady. Opłata za wykłady wynosiła tak we Lwowie, jak i na prowincyi 10 hal. od jednego wykładu, a 40 hal. za bilet, uprawniający do wstępu na 6 wykładów. Osobom, które o to prosiły, pozwolono uczęszczać na wykłady bezpłatnie, z pozwolenia tego skorzystało na prowincyi 15.061 osób (w r. 1909 14.103), t. j. 29% wszystkich słuchaczów w miastach prowincyonalnych. Frekwencya wykładów lwowskich seryi I. przedstawia się następująco: p. J. Pietrzycki »Współcześni poeci

polscy« (1801 osób, przeciętnie na wykładzie 300 osób), dr. Wł. Nowicki »Życie, choroba i śmierć człowieka« (1704—284), prof. dr. Beck »O czynnościach układu nerwowego« (1633—272), prof. dr. E. Romer »O lodowcach« (624—208), dr. J. Łukasiewicz »Najnowszy kierunek w filozofii: pragmatyzm« (550—183), dr. W. Lenkiewicz »Dzieje Polski XIX wieku« (886—148), K. Ciesielski »Węgiel i jego związki« (593—122), prof. dr. K. Hadaczek »Polska w dobie przedchrześcijańskiej« (346—115); frekwencya seryi II: p. M. Limanowski »O wnętrzu ziemi« (966—193), prof. dr. M. Raciborski »Życie roślin« (809—162); frekwencya seryi III: pan St. Niewiadomski »Fryderyk Chopin« (1576—315), prof. M. Huber »O żegludze powietrznej« (1089—218), dr. W. Kubik »Kwiaty w życiu miasta« (532—106), dr. K. Panek »Hygiena żywienia i żywności« (530—106), prof. dr. St. Zakrzewski »Grunwald« (484—97), prof. dr. A. Zipper »Poezya i podania wieków średnich a twórczość dramatyczna R. Wagnera, część III« (465—93). Ogólna frekwencya była zatem w r. ub. we Lwowie mniejsza o 829 osób, aniżeli w r. pop.; powodem tego jednak była mniejsza liczba wykładów, albowiem przeciętna frekwencya podniosła się o 44 osób i dosięgła najwyższej cyfry w ciągu lat 11, t. j. 173 osób na wykładzie. Jak dawniej uczęszczało i w r. ub. więcej kobiet aniżeli mężczyzn, nadwyżka po stronie kobiet wynosiła 380 osób, czyli 2.34%.

A teraz parę cyfr z frekwencyi w miastach prowincyonalnych. Brody: Lubertowicz »Poezya Tatr« (380), Nowicki »O przyczynach chorób« (373), Kochman »Z podróży po Włoszech: Florencya« (370), »Wenecya« (357), Strumieński »Hygiena skóry« (313), Beck »Uczucia a serce« (308); Brzeżany: Piątkiewicz »Fr. Chopin« (236), dr. Kowenicki »Siła woli ze stanowiska medycyny« (223), Glazow »Szekspir, życie i dzieła« (200), Rogala »Z geologicznej przeszłości Brzeżan« (188). Ogół słuchaczy 1610; przeciętnie 146 na wykładzie. Czortków 2612:435. Dolina: Zawadowski »Wykład poglądowy perspektywy« (129), Ryniewicz »Starożytne miasta prowansalskie« (99), dr. J. Grochmalicki »O życiu mrówek i termitów« (84). Ogół 728:81. Drohobycz: Łańcucka »Wiedza szczęścia jako czynnik wychowania« (374), Zipper »Henryk Heine a Polska« (324), Witek »Euzebiusz Słowacki« (264). Ogół 2134:236. Horodenka: Niewiadomski »Grunwald« (225), Zabielski »O kometach« (128), Rogala »Z geologii przeszłości Horodenki« (115). Ogół 1309:119. Jarosław: Rychlik »Grunwald« (338), Kantor »Słowacki jako mistyk« (230), Zakrzewski »O ga-

zach« (215), Panek »Wychowanie fizyczne a kultura ciała« (214). Ogół 2184:199. Jaworów: Łomnicki »Rozwój ziemi i jej mieszkańców« (314), p. Tyrowicz »O Towianiźmie« (301), p. Witwicki »Galicya za czasów Maryi Teresy« (227). Ogół 2246:225. Kałusz: ogół 1156:104. Kołomyja: p. Pilch »Król Duch Słowackiego« (200), p. Zaczek »Kobieta u Greków i Rzymian« (200), Głowacki »Fr. Chopin« (190). Ogół 1685:153. Krosno: prof. dr. P. Kuczera »Rola drobnoustrojów w życiu człowieka« (458), p. Vopalka »O powietrzu« (431), p. Łukasiewicz »O środkach wiedzy« (393), p. Bełzowski »Grunwald« (370). Ogół 1923:385. Lubaczów: ogół 671:62. Mościska: dr. Rogala »Z przeszłości geologicznej Mościsk« (155). dr. K. Ciesielski »Węgiel i jego związki« (107). Ogół 1041:98. Przemyśl: prof. dr. J. Nusbaum »Ciągłość życia« (567), prof. dr. Beck »O czynnościach mózgu« cz. I (534), cz. II (517), p. Lorenz »O Cyganach« (498), p. Gawryś »O najnowszych odkryciach geograficznych« (488), p. Barącz »Promienie Katodowe i Roentgena« (485). Ogół 4682:468. Rawa Ruska: p. K. Eljasz »O kometach i meteorach« (235), dr. W. Nowicki »O przyczynach chorób zakaźnych« (181), pan Br. Duchowicz »Powietrze ze stanowiska chemii i hygieny« (188). Ogół 1742:158. Rohatyn: dr. K. Hartleb »Królowa Bona na tle epoki« (117), dr. Łomnicki »Rozwój ziemi i jej mieszkańców« (116). Ogół 919:104 Sambor: p. Kilarski »Telegraf i telefon bez drutu« (546), p. Schreiber »Talent a rzeźba głowy i mózgu« (543), p. Witkowski »O poezyi tatrzańskiej« (523), p. Borejko »Pierwotny wygląd ziemi« (500), p. Nanke »Z psychologii uczucia estetycznego« cz. II (451). Ogół 3877:387. Sanok: pp. Walter i Supiński »Fr. Chopin« (333), p. J. Pełeńska »Konwencyonalne sądy o Słowackim« (317), p. Kreiner »O powietrzu ze stanowiska chemii« (249), p. Romer »Rzut oka na hygienę społeczną«, cz. I (235). Ogół 2149:215. Sądowa Wisznia: ogół 677:68. Skole: ogół 707:64. Stanisławów: p. E. Walter »Fr. Chopin« (438), p. Michalski »Morze i jego mieszkańcy« (215), p. Kucharski »Współczesne poetki polskie« (200). Ogół 1882:170. Stryj: p. J. Pietrzycki »Kobieta i miłość w życiu Słowackiego« (640), p. Dudryk »Znaczenie mórz dla rozwoju stosunków politycznych« (529), p. Arndt »Chemia nowożytna« (471), p. Bobin »Wojny kozackie« (438), p. Kaniowski »Sprawa husycka w Polsce« (376). Ogół 3859:351. Śniatyn: p. Ryniewicz »Starożytne miasta prowansalskie« (237), p. Blauth »Najnowsze przyrządy do latania« (200), p. Dudek »Sen i senne marzenia« (151). Ogół 1556:141.

Tarnopol: p. Mikułowicz »Jakie ruchy wykonuje ziemia i jakie na to mamy dowody?«, p. Urba »F. Nietzsche i jego światopogląd« (399), p. Solecki »O aeroplanach« (301), dr. K. J. Nitmann »O szkolnictwie szwajcarskiem« (279). Ogół 2770:277. Trębowla: p. Piskozub »O objawach zewnętrznych prądu elektrycznego« (169). Ogół 1442:139. Złoczów: p. Reiss »W setną rocznicę urodzin Chopina« (354), tenże »F. Mendelssohn« (201). Ogół 1778:161. Żółkiew: p. T. Witwicki »Galicya za czasów Maryi Teresy« (136). Ogół 1470:134.

Ogółem uczęszczało na *P. W. U.* w r. ub. osób 68.514, t. j. o 6376 więcej, aniżeli w roku poprzednim, przeciętnie zaś było na jednym wykładzie osób 181, t. j. o 11 więcej, aniżeli w r. ub.

Dochody wynosiły 18.834 kor., wliczając w tę sumę: subwencyę ministerstwa 9000 kor., sejmową 1000 kor., miasta Lwowa 600 kor., oraz subwencye rad miejskich prowincyonalnych, rad powiatowych oraz instytucyi kredytowych, wreszcie dochód ze sprzedaży biletów w sumie 4.931 kor. Wydatków było więcej, bo 19.272 kor. (w tem honorarya prelegentów 8.452 kor., koszta podróży 2.191 kor., płace funkcyonaryuszów 1.870 kor. oraz wynajęcie i opał sal wykładowych 1097 kor.). Niedobór, pokryty pożyczką, wynosi 438 kor.

Reasumując wszystko powyższe, zobaczymy, że: 1) w r. ub. odbyło się 379 wykładów, które 2) zgromadziły 68.514 słuchaczów, z czego 16.270 we Lwowie, a 52.244 na prowincyi, 3) że Zarząd *P. W. U.* rozszerzył znowu swoją działalność, a to przez urządzenie wykładów w czterech nowych miastach prowincyonalnych (Czortków, Jaworów, Krosno i Rawa Ruska).

Po nieudałych w całym szeregu lat poprzednich próbach rozciągnięcia działalności na najszersze warstwy społeczeństwa i na te koła, dla których rozszerzenie i pogłębienie wiadomości byłoby najbardziej pożyteczne, Zarząd postanowił ponowić w r. p. odpowiednie kroki w celu urzeczywistnienia tej myśli. Ogółem urządzono dotąd w ciągu 11-tu lat istnienia 3.550 wykładów dla 576.474 słuchaczów. Ta sama za siebie mówiąca poważna cyfra powinna przyczynić się do coraz wydatniejszego zasilania funduszów tej instytucyi ze strony sfer interesowanych. Wszystkim zaś, którzy poszli w warstwy najszersze — niosąc im »oświaty kaganiec«, ale to oświaty rzetelnej, nie farbowanej tendencyami ubocznemi, niemającemi niczego wspólnego z nauką, należy się cześć prawdziwa!...

* * *

Prowincya. — Stanisławów. Atmosfera prowincyonalna w Galicyi nie sprzyjała zazwyczaj rozkwitowi zrzeszeń naukowych, przynajmniej do lat niemal ostatnich. Wystarczy przypomnieć świetny początkowo rozwój *Kółka naukowego tarnopolskiego* i jeszcze rychlejszy jego pogrzeb. To też początkowo nie wierzyłem w możliwość stałego rozrostu zaledwie dwa lata istniejącego *Związku naukowo-literackiego* w prastarym grodzie Rewery. Że jednakowoż przedsięwzięcie powiodło się nadzwyczaj pomyślnie, to trzeba policzyć na karb energii założycieli i członków, rozumiejących doskonale, że współczesne życie na prowincyi przedstawia bardzo wiele stron ujemnych, wręcz niebezpiecznych dla każdej jednostki kulturalnej. Wykładów urządzono ogółem 31. Ze względu na treść najwięcej, bo 14 (44% ogólnej liczby) było wykładów literackich. Z zakresu literatury polskiej wygłoszono odczytów 8, z literatury powszechnej 5, o treści historycznej 3, filozoficznej 4, społeczno-prawnej 4, przyrodniczo-lekarskiej 5, artystycznej i muzycznej po 1. Większość (20 t. j. 62·5% og. liczby) urządzono siłami miejscowemi. Prócz tego były czynne 1) kółko Słowackiego, które odbyło 8 posiedzeń, 2) kółko filozoficzne z 6 posiedzeniami. Ponadto zawiązano sekcye: krajoznawczą, pedagogiczną i literacką, a projektowane jest jeszcze utworzenie sekcyi filozoficznej i prawniczej. Z pomiędzy odczytów wymieniamy: d-ra W. Schreibera »Wybitne zdolności a mózg i czaszka«, mec. B. Kułakowskiego »Wrażenia obrońcy z sądów wojennych w Warszawie«, d-ra E. Ehrenpreissa »Fizyczne wychowanie dziewcząt«, p. T. Dąbrowskiego »Wyspiański jako Król Zamczyska«, C. Jellenty »Fryderyk Nietzsche — idea nadczłowieka«, »Henryk Ibsen w swoich wszechpoematach«, d-ra F. Rydeta »Kobieta w cywilnem prawie austryackiem«, prof. d-ra M. Ernsta »Komety i kometa Halleya«, p. Z. Gerstmana »Psychologiczna geneza teoryi ewolucyi u Krasińskiego«, d-ra E. Kucharskiego »Przesilenie w modernizmie polskim«, p. J. Tennera »O formie w poezyi«, wreszcie p. St. Siarkiewicza »Ruch współdzielczy w Galicyi«. Ogółem 30 wykładów wysłuchało 4.275 osób; w siedmiu pogadankach zaś wzięło udział 60 osób przeciętnie. Uzupełnieniem działalności kulturalnej *Związku* była biblioteka, która liczyła w dziale naukowym 260 tomów, w belletrystycznym 133. Na zakupno i oprawę książek wydano 506 kor. Czytelnia czasopism otrzymywała 51. Członków było 198. Rachunki zamknięto cyfrą 3.254 kor. Wartość majątku Towarzystwa wynosi 2.131 kor. Ale że żadna ze stanisławowskich instytucyi

finansowych nie przyszła *Związkowi* z subwencyą, — to świadczy bardzo źle o głowach bodaj czy nie »pacanowskich«...

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu założyło sobie nieporównanie szerszy zakres działania, stąd też po dwuletniem zaledwie istnieniu może pochlubić się aż nadto pięknymi owocami swoich usiłowań. Ale też i poparcie, jakiego doznawało ze strony instytucyi finansowych, jak niemniej osób prywatnych, było wcale hojne, przynajmniej na początek. Dochody dosięgły wysokości 2821 kor. (w tem subwencye: Rady miejskiej 300 kor., Kasy rolnej 200 kor., Kasy oszczędności 200 kor., Kasy Zaliczkowej 200 kor.); wydatki 2690 kor.

Członków liczyło *T. P. N.* 130; członkami założycielami za dary w przedmiotach bibliotecznych i muzealnych zamianowano 7.

Wykładów odbyło się 5, a to: d-ra K. Wójcika »Historya geologiczna okolic Przemyśla«, prof. Lutosławskiego »Zasady i ideały etyki«, F. Przyjemskiego »O nieznanym Mickiewiczu«.

Zbiory Tow. zwiedziło 465 osób. Z pomiędzy zaś darów i depozytów na uwagę zasługują: p. A. Dworskiego 100 naczyń przedhistorycznych, 200 sztuk podarków grobowych, skarb bronzowy z 10 sztuk złożony, 100 sztuk narzędzi, 200 sztuk wykopalisk kościanych oraz z wielu innych przedmiotów z 6 cmentarzysk ciałopalnych z epoki halsztadzkiej z pod Przeworska i Łańcuta; akta cechowe Nowego Miasta i Dubiecka; od hr. Łodzia Czarnieckiej otrzymano 150 dzieł heraldycznych, od p. F. Millera wykopaliska archeologiczne z Przedzielnicy, od p. Wójcika kolekcyę motyli i owadów, od p. Macudzińskiego zęby i kości mamuta z Kruhela Małego oraz skamieliny z rafy koralowej jurajskiej z Kruhela Wielkiego, od pp. Trojanowskich materye i tkaniny z w. XV—XVIII, od pp. K. Osińskich 850 monet i medali, 1000 książek, wreszcie inne przedmioty muzealne w większej ilości, od hr. Romerowej i p. Wyżykowskiego 2.000 aktów grodzkich i ziemskich z podpisami królów polskich, biskupów, hetmanów, kanclerzy i regimentarzy; od pp. Tarnawskich kilkadziesiąt sztychów i książek, od gimnazyum III w Przemyślu kilkaset książek, wreszcie od p. Gizowskiego 100 dzieł, żeby nie wymieniać drobniejszych ofiarodawców. Stacya archeologiczna opracowała regulamin, odczyszczała akta pergaminowe dla Muzeum dyecezyalnego przemyskiego, rozkopała grób z IX—X wieku i odnalazła palenisko przedhistoryczne z tegoż czasu. Zasługą *T. P. N.* jest również doprowadzenie do skutku wykonania i wmurowania tablicy jubileuszowej grunwaldzkiej, według projektu prof. J. Raszki z Krakowa, przyczem nadmienić wypada, że koszta

tego przedsięwzięcia wyniosły 8.000 koron. W czasie najbliższym nastąpią zmiany statutu, zmierzające do rozszerzenia działalności *T. P. N.* (publiczna czytelnia, biuro informacyjne naukowe, oraz udogodnienia dla członków niepolskiej narodowości, jako członków nadzwyczajnych, bez prawa wyboru czynnego i biernego). Jako wydawnictwo stałe ukaże się w jesieni b. r. *Rocznik,* mieszczący prace naukowe członków Tow.

Niepodobna nie wyrazić z tego bodaj miejsca jak najgorętszego uznania dla pracy kilkudziesięciu jednostek, jak niemniej dla wyższego duchowieństwa i obywatelstwa, dzięki tych to bowiem sfer poparciu Tow. zyskało silny grunt pod nogami, mając zaś tak dzielnego kustosza, jakim jest inż. K. Osiński, powinno rozwojem swoim służyć za przykład wielu nawet stowarzyszeniom stołecznym kraju.

* * *

Warszawa. Jak wiele może zdziałać ofiarność uświadomionego społeczeństwa, zdanego jedynie i wyłącznie na własne siły — tego przykładem żywym *Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. d-ra J. Mianowskiego.* Podczas gdy większość stowarzyszeń galicyjskich żyje dzięki przeróżnym subwencyom rządowym i krajowym, stowarzyszenie warszawskie pozbawione jest dochodów ze źródeł powyższych. »Bracia Słowianie« wyłożyli już miliony na walkę z nauką polską, o poparcie zaś rządowe żaden Polak uczciwy chybaby nie poważył się prosić! Aleć też w tych warunkach fatalnych wypolerowało się poczucie obowiązku wśród warstw najszerszych społeczeństwa naszego. Wystarczy wziąć pod uwagę — cyfrę członków *Kasy* oraz ilość i wysokość ofiar wniesionych, ażeby słowa powyższe nabrały wagi właściwej. I tak: członków liczyła *Kasa* 832; z legatów zaś zrealizowano rb. 500 z zapisu M. Apte; uzyskano zatwierdzenie urzędowe z zapisu K. Kobryńca w wysokości 110.000 rb., A. Podbielskiego 6.000 rb., A. Vacquereta 23.000 rb., K. Wilczkowskiego 1.000 rb., B. Wolszczanowej 17.648 rb.; poza tem jeszcze kilkanaście legatów oczekuje zatwierdzenia. Pożyczek warunkowych zwrócono w roku ub. 4.543 rb. zaledwie. Pomimo to z 89 podań o zapomogi, złożonych w r. ub. załatwiono przychylnie 67. Między innymi przyznano pp.: E. Abramowskiemu rb. 500 na badania psychologiczne, J. Bełcikowskiemu rb. 100 na badania nad historyą cywilizacyi, Z. Bujakowskiemu rb. 300 na studya filozoficzne, St. Czarnowskiemu rb. 150 na poszukiwania archeologiczne, J. Eismondowi rb. 400 na badania doświadczalne nad rozwojem ryb spodoustych,

A. Gałeckiemu rb. 600 na studya chemiczne; St. Koszutskiemu rb. 600 na opracowanie dzieła p. n. »Rozwój myśli ekonomicznej w Polsce«, J. Kucharzewskiemu rb. 600 na studya historyczne, L. Kulczyckiemu rb. 400 na prace socyologiczne, St. Michalskiemu rb. 400 na studya nad sanskrytem, J. Radlińskiemu rb. 150, J. Rutkowskiemu rb. 600 na studya z zakresu skarbowości, Z. Wasilewskiemu rb. 600 na opracowanie i wydanie monografii o Sewerynie Goszczyńskim, Wójcickiemu rb. 400 na studya botaniczne, F. Znanieckiemu rb. 500 na opracowanie »Etyki indywidualnej«, J. Zerbiłło-Łabuńskiemu rb. 500 na studya z zakresu prawa. Podań o zapomogi na wydawnictwa naukowe wniesiono 39, z których uwzględniono 27. I tak przyznano: na wydanie monografii p. Loreta »Kościół katolicki a Katarzyna II« rb. 1013, p. J. Bielińskiemu na koszta druku II-go tomu dzieła p. t. »Uniwersytet Warszawski« rb. 3200, na wydanie przekładu »Pragmatyzmu« Jamesa rb. 748, na wydanie przekładu Kanta »Krytyki czystego rozumu« rb. 832, *Przeglądowi historycznemu* rb. 600, J. Konczyńskiemu na wydanie pracy »Stan moralny społeczeństwa polskiego« rb. 600, Wł. M. Kozłowskiemu na »Historyę filozoficzną podstaw umysłowości współczesnej« rb. 450, prof. dr. A. Kryńskiemu na wydanie VII tomu »Prac filologicznych« rb. 1600, na wydawanie »Słownika języka polskiego« rb. 2000, W. Palmirskiemu na pracę »Wodowstręt u ludzi oraz szczepienie ochronne według metody Pasteura« rb. 400, na wydawanie »Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej« rb. 1500, St. Serkowskiemu na pokrycie części kosztów »Bakteryologii« rb. 750, dr. W. Weryho na wydawanie *Przeglądu filozoficznego* 1000 rb., prof. T. Wierzbowskiemu na »Komisyę Edukacyi Narodowej« rb. 210. Ogółem wypłacono w r. ub. na cele i badania naukowe 13.290 rb., na wydawnictwa naukowe 22.853 rb., t. j. łącznie 36.143 rb. Poza tem przyznano z funduszów specyalnych pp.: J. Brunnerowi na badania patologiczne rb. 500, St. Poniatowskiemu na prace antropologiczne rb. 450, J. Krassowskiemu na studya astronomiczne rb. 600, K. Stołyhwo na studya z zakresu antropologii rb. 400, M. Wolfke na studya fizyczne 600 rb., L. Silbersteinowi na wydanie III-go tomu dzieła »Elektryczność i magnetyzm« rb. 1000, E. Lothowi na badania antropologiczne rb. 900, Z. Glogerowi na »Budownictwo drzewne dawnej Polski« rb. 750, M. Malinowskiemu na wydanie dzieła »Gospo-

darka stara i nowa« rb. 1820. Bilans majątkowy zamknięto sumą **681.743** rb.!

A jednak... Pomimo tak wytężonej ekspansyi pieniężnej nauka polska w Królestwie nie miała do niedawna jeszcze zrzeszenia ogólnego, a kiedy je uzyskała pod postacią *Towarzystwa Naukowego,* grube sumy musiała wykładać na najem lokalu, który z natury rzeczy nie odpowiadał potrzebom rzeczywistym. Skutkiem tego Towarzystwo nie mogło rozwijać się należycie. Niedomaganiu temu postanowił zaradzić Józef hr. Potocki, i idąc w ślady swoich przodków zasłużonych dla nauki polskiej: Jana, Ignacego i Stanisława Potockich, oddał Tow. na własność okazały gmach, mieszczący wygodnie pracownie, zbiory i bibliotekę. Daleki od wszelkich ambicyi osobistych, uczynił fundacyę tę wspaniałą jedynie dlatego, że »nauka czysta jest wolna od wszelkich sporów, zatargów i odcieni partyjnych, jednocząc swych adeptów pod hasłem przywiązania do kraju i pracy dla niego, prowadzi jako gwiazda przewodnia na wyżyny wiedzy, do ideału prawdy. Oby uczeni tego kraju — mówił fundator — garnąc się do pracy, znaleźli na tym terenie możność kształcenia się i duchowego rozwoju, zdala od szkodliwych walk partyjnych i klasowych, oby niosąc wysoko sztandar nauki, trzymali go zawsze godnie i dumnie, ale zarazem trzeźwo i spokojnie w swych energicznych dłoniach. Oto główne motywy, którymi kierowałem się, podając rękę pomocy do urzeczywistnienia dzieła, które dziś fundujemy. Aby jednak dojść do upragnionego celu potrzeba poza ofiarnością jednostek i poszczególnych instytucyi poparcia społeczeństwa«. Gdyby po tym darze wielkodusznym — społeczeństwo nie pamiętało o *Tow. naukowem,* samo o sobie wydałoby wyrok jak najhaniebniejszy!...

Wiele zaś dokonano tutaj, o tem najwymowniej poświadczą cyfry. I tak urządzono: zebrań ogólnych 3, posiedzeń zarządu 11, posiedzeń wydziału I-go 9, II-go 14, III-go 12, komisyi antropologicznej 4, historycznej 6, meteorologicznej 3. Na wydziale I-szym przedstawiono między innemi prace następujące: K. Apfel »Język i sztuka, lingwistyka i estetyka«, B. Chlebowski »Słowacki i Szekspir«, prof. dr. I. Chrzanowski »Charakter encyklopedyczny kroniki Kadłubka«, St. Krzemiński »O miejscu urodzenia Kołłątaja«, M. Kridl »Mickiewicz w świetle nieznanych pism«, M. Rowiński »O budowie wiersza u Słowackiego«, St. Szober »Wyrazy litewskie ze zdwojeniem«. Na wydziale II-gim: p. T. Banachiewicz »O Theatrum Cometicum Lubienieckiego«, E. Bogusławski »Podanie o Piaście,

zapisane w kronice t. zw. Gallusa«, Wł. Jabłonowski »Historya umysłowo społecznych prądów rosyjskich«, Wł. Konopczyński »Dyplomacya europejska na drodze do pierwszego podziału Polski 1759—61«, A. Kraushar »Litwa na Radzie senatu w Lublinie 1503 r.«, E. Loth »Dzisiejszy stan wiedzy o filogenii stopy ludzkiej«, K. Lutostański »Charakter władzy mężowskiej w prawie obowiązującem«, E. Majerski »O czaszce Diprothomo platensis«, W. Schreiber »Wzrost i ciężar ciała u dzieci chrześcijańskich, żydowskich i karaimskich w Galicyi«, J. Siemieński »O metodzie modernizacyi pisowni w wydawnictwach źródeł polskich XVI wieku«. Na wydziale III-cim: T. Banachiewicz »Sposób wyznaczenia spłaszczenia Wenery i czasu jej obrotu dookoła osi«, J. Eismond »Wyniki badań eksperymentalnych nad rozwojem jaj ryb spodoustych«, Wł. Gorczyński »O wartości stałej słonecznej«, »O przebiegu rocznym i dziennym usłonecznienia w Krakowie«, W. Gosiewski »O zasadzie indukcyi według teoryi prawdopodobieństwa«, F. Kucharzewski »Piśmiennictwo techniczne polskie«, S. Miklaszewski »Gleby typowe w gubernii piotrkowskiej«, L. Sawicki »Niemen jako klucz do zrozumienia genezy niżu północnego i jego sieci hydrograficznej«.

Komisya językowa zajmowała się opracowywaniem materyałów do specyalnych słowników języka braci Śniadeckich i Słowackiego. Komisya antropologiczna przyjęła do wiadomości siedm komunikatów, z których wymienimy: ks. A. Chodyńskiego »O poszukiwaniach przedhistorycznych w Dratowie i Wrzelowie w Lubelskiem«, prof. d-ra St. Ciszewskiego »O dwu grodziskach przedhistorycznych w Bętkowicach«, d-ra L. Rutkowskiego »O cmentarzyskach rzędowych pod Płońskiem«, i E. Lotha »Wskazówki do badań antropometrycznych i somatologicznych«. Komisya historyczna zinwentaryzowała archiwa: konsystorza rzym.-kat. w Warszawie, kapituły łowickiej, zbiory rodu Niemojewskich, archiwa Zgromadzeń majstrów krawieckich i czeladzi, tudzież szewców. Inwentarze te zostaną ogłoszone drukiem. Komisya wydała dwa dzieła, mianowicie: H. Konica »Materyały do dziejów Komisyi Rządzącej« i J. T. Baranowskiego »Księgi referendarskie T. I«, nadto wypuszczono 1-szy zeszyt »Materyałów do dziejów wsi polskiej«. Pod prasą znajdował się »Dyaryusz sejmu 1748 roku« opracowany przez p. W. Konopczyńskiego. Plan wydawnictwa »Varsaviensiów« opracowano i uzyskano na nie fundusze od grona członków Warsz. stow. właść. nieruchomości. Ukończono też druk XVII tomu »Źródeł dziejowych«

i rozpoczęto druk tomu XXIII. Na posiedzeniach K. H. wygłoszono referaty następujące: dr. St. Kętrzyński »O wycieczce archiwalnej do Wiślicy, Korczyna, Stopnicy i Sandomierza«, J. Baranowski »O dawnem archiwum lubelskiem«, L. Meyet »O archiwaliach w Wąwolnicy«, K. Wachowski »O archiwum krawców w Warszawie«, J. Siemieński »O dyaryuszach sejmikowych, należących do biblioteki ord. Birżańskiej«, W. Kamieniecki »O archiwum kapitulnem w Łowiczu«, J. Lewiński »O księdze gwareckiej olkuskiej«. Komisya meteorologiczna rozpatrywała między innemi sprawę utworzenia specyalnego biura meteorologicznego; z odczytów wymieniam: T. Banachiewicza »O komecie Halleya«, Wł. Smosarskiego »O usłonecznieniu Warszawy«, Wł Gorczyńskiego »Nowe dane z meteorologii rolniczej« i R. Mereckiego »O nieznanych spostrzeżeniach meteorologicznych w Polsce z XVII i XVIII stulecia«.

Z funduszów na prowadzenie badań naukowych przyznano między innemi pp.: Konopczyńskiemu na dyaryusz sejmowy z 1748 r. rb. 100, St. Krzemińskiemu na inwentaryzacye archiwów rb. 250, p. Wójcickiemu na badanie florystyczne rb. 300, na Źródła dziejowe rb. 1200.

W r. ub. wydano 9 zeszytów »Sprawozdań«, w których zamieszczono komunikatów na wydziale III: 15 z biologii, 15 z matematyki i astronomii, 6 z meteorologii, 7 z geologii, 6 z mineralogii i 5 z chemii; na wydziale II: 5 z antropologii, 2 z filozofii, 4 z historyi, 2 z prawa, 2 z socyologii; na wydziale I: 6 z historyi literatury, 2 z filologii i 1 pracę o metryce. Poza tem ogłoszono trzy zeszyty »Prac T. N. W.« na wydziale II, jeden zeszyt na wydziale III, wreszcie cz. 3-cią tomu XVII »Źródeł dziejowych«. Biblioteka posiadała 2.104 tomów, inwentarz oraz katalog kartkowy.

Obrót kasowy dosięgnął wysokości 29.015 rb., z czego wydatkowano 6.412 rb.

* * *

Stowarzyszenie, nazwane równie szumnie, jak błędnie, *Tow. kultury polskiej,* kpiące na każdej niemal karcie swego pseudo-naukowego czasopisma z krzyża św., orła białego i »maciejówki«, doczekało się w r. ub. plonu znakomitego z ziarn, jakie sieje i siało od początku. Otóż z ogólnej liczby członków 5000, ubyło mu tylko 545, zalega zaś w opłacie wkładek 87. Chadzano wszędy pod sztandarem socyalistyczno-judofilskim, więc tej sekcya społeczna przekazała swoje główne zadanie

Komisyi Domu ludowego, która wszelako nie mogła go dotąd spełnić. Jak zaś urabiała sekcya etyczna poglądy na stosunki moralne życia spółczesnego, o tem świadczą dyskusye, prowadzone na tematy: zdarzenia Jasnogórskie w świetle etyki społecznej, zagadnienia etyczne zawarte w dramacie Wedekinda »Przebudzenie się wiosny« lub autorytety rodziców i wychowawców. Komisya zaś do praw kobiecych działała, naturalnie, pod hasłem ruchu wyzwoleńczego kobiet w jego przejawach prawnych, społecznych, gospodarczych i etycznych. Mówiły tutaj między innemi pp.: Sobolewska na temat »Kobieta w przyszłości«, Lindenbergowa »Ogólny obraz ruchu niewieściego w Europie«, Paradowski »O udziale kobiet w parlamentach: finlandzkim, szwedzkim i norweskim«, Walewska »O warunkach pracy kobiet«, Świętochowski »Moralność bez powinności i sankcyi«, Goldstein »Śluby cywilne w świetle prawodawstw europejskich«. A jednak! Pomimo tych pseudo-postępowych frazesów i haseł, obliczonych na schlebianie masom, organ Tow. *Kultura polska* pomimo taniej prenumeraty, pozyskała tak mało odbiorców, że wydawnictwo wykazuje niedobór!

* * *

Od chwili ukonstytuowania się, *Polskie Towarzystwo Psychologiczne* uważało za jedno z głównych swoich zadań założenie pracowni psychologicznej, na wzór analogicznych pracowni zachodnio-europejskich. Usiłowania te zostały poparte uchwałą I-go zjazdu neurologów, psychiatrów i psychologów polskich, jaki odbył się w r. 1910 w Warszawie. Utworzona w celu urzeczywistnienia tej uchwały komisya specyalna uznała za właściwe, założenie dwu pracowni: psychologicznej i neurologicznej. Z trudnościami natury finansowej, jakie nastręczały się poważnie, uporano się rychło. Na skutek wydanej odpowiedniej odezwy zaczęły napływać fundusze na rzecz pracowni, głównie zaś ofiary Józefy Tuchanowskiej w wysokości 10.000 rb. i p. Wiktora Skibniewskiego 3.000 rb. posunęły znakomicie całe przedsięwzięcie, wymagające znacznych wkładów pieniężnych. Obecna komisya pracowni składa się ze specyalistów pp.: d-ra E. Flataua, d-ra M. Massoniusa, d-ra Radziwiłłowicza, A. Szycówny, d-ra Wł. Weryhy i d-ra E. Zielińskiego. Wszelako dopiero z 1 styczniem br. mogła pracownia rozpocząć swoje czynności, po otrzymaniu skromnego, ale na razie wystarczającego pomieszczenia przy ul. Smolnej l. 15. Pracownia posiada między innymi: sfygmograf, pneumograf, pletyzmograf, argograf, kilka przyrządów do badania ruchów nieświadomych, dalej przyrządy do badania zmysłów

dotyku (estezyometry), słuchu, wzroku, bolu (algezymetry), nadto psychogalwanometr. Istnieje zamiar utworzenia czteru sekcyi laboratoryjnych dla: 1) psychologii normalnej indywidualnej, 2) patologicznej, 3) psychologii sztuk pięknych, 4) metapsychiki. Kierownictwo pracowni objął p. Edward Abramowski, kierownictwo pracowni neurologicznej spoczywa w rękach d-ra E. Flataua. Jak na razie, dokonano już bardzo wiele. Trzeba wszelako liczyć się z nieuchronną koniecznością stałego rozrostu agend *Tow. psychologicznego*, w pierwszym zaś rzędzie pracowni, która będzie potrzebowała stałego poparcia ogółu, o ile ma sprostać zadaniom rozlicznym, jakie sobie wytknęła. Wobec tego, że na czele tej instytucyi stanęli ludzie, zapisani chlubnie na kartach nauki polskiej, nie można przypuszczać, iżby nie doznała ona pomocy materyalnej, na którą zasługuje ze wszechmiar. W tym wypadku nie powinno się dopuszczać możliwości przysłowiowego ognia słomianego, tak często wypominanego nam, przodownikom kultury w Słowiańszczyźnie!...

(Dok. n.)

Dr. St. Zdziarski.

Druk ukończono 13 listopada 1911 r.

NA OTWARCIE WYSTAWY SZTUKI KOŚCIELNEJ

W KRAKOWIE[1].

Dokonywa się w tej chwili dzieło, które mogłoby mieć wielkie znaczenie w dziejach naszej kultury; dzień 7 grudnia, dzień otwarcia pierwszej u nas wystawy sztuki kościelnej mógłby być początkiem doniosłego ruchu.

Słowo »wystawa kościelna« nie budzi dzisiaj w szerokich warstwach nie tylko wielkich nadziei, ale nawet zaufania. Tyle na to złożyło się powodów, że dziwićby się trzeba, gdyby inaczej było. Przedewszystkiem, sama rzeczywistość, sam stan sztuki kościelnej u nas, był, z wyjątkiem kilku miast, od szeregu lat taki, jak gdyby prawdziwej sztuce na przekór wysilano się na złośliwą jej karykaturę. Pospolite linie budowli na zewnątrz kościołów, powykręcane niemiłosiernie statuy w ołtarzach, papierowe bohomazy na ścianach, po wszystkich kątach szablonowe fabrykaty zagraniczne, wszystko to razem, przy jęczącym akompaniamencie organów, osiągało tylko ten skutek, że pojęcie o możliwości wielkiej sztuki kościelnej zaczęło wydawać się chimerą. Były powody, które stan ten usprawiedliwiały, jak to, że przez długi okres wielka sztuka razem z duchem czasu dość daleko odeszła od ducha

[1] Rzecz niniejsza drukowana jest również w katalogu wystawy, jako przedmowa.

Kościoła, jak to zwłaszcza, że ubóstwo kraju i brak powszechnej kultury estetycznej były złymi sprzymierzeńcami tego stanu, powody te jednak nie zmniejszały tego smutnego faktu, że sztuka kościelna zaczęła u nas znikać z widowni i, że najczęstszą jej wystawą były odpustowe kramy.

Każdy aktualny stan jakiejkolwiek kwestyi pociąga za sobą to następstwo, że tworzyć się koło niego zaczyna opinia, zrazu wrażeniowa, nieuchwytna jak mgławica, z czasem jednak krystalizująca się w stałych objawach. Takim objawem po stronie duchowieństwa bywa często traktowanie sztuki kościelnej, jako czegoś, co ma tylko przygodny związek z religią — po stronie zaś świeckich ludzi, jako czegoś, co w ogóle nie przedstawia artystycznego interesu. Innemi słowy, zanika nie tylko sama sztuka kościelna, ale nawet pojęcie o jej istotnem znaczeniu.

Przeciw ustaleniu się tego niepożądanego stanu podejmowano już niejednokrotnie u nas z obu stron i duchownej i świeckiej inicyatywę. Przed laty rozpoczęło wychodzić czasopismo, poświęcone sztuce kościelnej, zawiązało się Towarzystwo św. Łukasza, w seminaryach duchownych zaczęły powstawać muzea sztuki kościelnej, tam też odbywają się przygodnie wykłady z historyi tego przedmiotu. Podobnych objawów możnaby przytoczyć wiele. Najważniejszym objawem jest to, że ostatnie lata przyniosły szereg znamiennych dzieł sztuki kościelnej i szereg znacznych nazwisk, związanych z tą twórczością.

Obecna wystawa kościelna jest nie tylko nowym wysiłkiem ku temu samemu celowi, lecz także poniekąd zjednoczeniem wszystkich dotychczasowych wysiłków. Przez szereg konkursów starano się ogniska twórczości na tem polu rozniecić, przez demonstracyjną stronę wystawy będzie można rozwinąć i pogłębić uświadomienie w tej sprawie ogółu, przez zetknięcie się zaś w czasie wystawy interesowanych obustronnie czynników, wytwórców i odbiorców, nawiązać mogą się te stosunki, które zadecydować mogłyby o dalekiej i doniosłej przyszłości.

W takiej chwili wskazaną jest rzeczą, ażeby z przed nóg wystawy usunąć te przeszkody, któreby do niej tamowały dostęp, a mianowicie, ażeby zakorzeniającym się obustronnie przesądom

o sztuce kościelnej przeciwstawić w kilku ogólnych uwagach właściwe jej znaczenie, ze strony religijnej i ze strony artystycznej.

* * *

Czy związek sztuki z chrystyanizmem jest ścisły?

Znamiennym jest fakt, że już pierwszy historyczny krok chrześcijaństwa na ziemi jest zarazem uderzającym przejawem wielkiego piękna. Czyż może być dostojniejsze piękno i bardziej uroczy motyw sztuki nad scenę Bożego Narodzenia. W krasie bożej wzniosłości i ziemskiego wdzięku, jak śnieżny płatek lilii zarumieniony nadziemskim świtem, jawi się w stajence betleemskiej niemowlę, patrzące na świat pełnią dobroci nieskończonej; dziecięcą rączką kreśli linie, jakiemi przyszłe losy świata iść mają i zarazem przywołuje ku sobie serca ludzkie. Nad niemowlęciem pochyla się Przeczysta Matka, uosobiony wdzięk chrześcijańskiego świata, cieniem i ziemią niedotknięta Matka-Dziewica, a u stóp jej, w modlitwie i zachwycie, wiejscy pasterze, ludzie prości i szczerzy, jak ten świeży powiew wiatru rannego, który ku nim codziennie z łąk i pastwisk płynął. Cała ta grupa, owiana urokiem nieogarnionych tajemnic wiary, jawiąca się w śniegu anielskich skrzydeł i w promieniach cudownej gwiazdy, jak jest początkiem chrześcijańskiej ery tak jest najbardziej uroczym ideałem piękna. Nic też dziwnego, że najpotężniejsze pendzle i dłuta usiłowały zakląć tę scenę w dzieło sztuki, że po setkach dzieł jednego pokolenia szły tysiące dzieł pokoleń następnych, składając tem samem dowód, że źródło, które wyczerpać usiłują, jest niewyczerpane.

Pierwsza ta chwila chrześcijańskiej ery jest jakby znakiem ścisłego związku między sztuką a religią chrześcijańską. Bo nie każda religia cieszy się tym przywilejem. Wiadomo, że pewne gałęzie odcięte od pnia chrześcijaństwa, jak protestantyzm, jak sekta obrazoburców, zubożyły sztukę kościelną; wiadomo, że mahometanizm wstrzymał rozwój sztuki plastycznej na Wschodzie a rozwinął tylko architekturę i dekoracyę roślinną; nawet tak historycznie blizki chrześcijaństwu monoteizm Izraelitów unicestwił plastykę.

Ten też wpływ żydowskiej kultury opóźnił na chwilę rozwój artystycznych pierwiastków chrześcijaństwa. Ale już wkrótce wpływy rzymskie i greckie przychodzą z pomocą sztuce katakumb; na tle girland, kwiatów, ptaków, ornamentacyj, wziętych dosłownie ze sztuki pogańskiej, coraz bardziej, z biegiem lat, na pierwszy plan wychodzić zaczyna chrześcijańska symbolika.

Ziarno sztuki chrześcijańskiej raz rzucone, rozwija się w kolei wieków w potężne drzewo. Przez chwilę ścierają się jeszcze opinie na tem polu, zdarzają się jeszcze wyjątkowe objawy i umysły nieprzychylne sztuce kościelnej, jak Tertulian, historyk Euzebiusz lub Epifaniusz albo objaw taki jak kanon z Elwiry, ale to wszystko wkrótce milknie i ustępuje zwycięskiemu wkroczeniu chrześcijańskiego ducha na pole twórczości artystycznej. Już wkrótce święty Bazyli będzie twierdził, że sztuka kościelna jest wypływem ducha katolickiego, i, że jej uzasadnienie tkwi »w czci dla starożytności«— a koncylium nicejskie drugie (actio VI), potępiając ikonoklastów, powołuje się wprost na odwieczną tradycyę katolicyzmu i pierwszych Ojców Kościoła. »Obrazy są wytworami ich (Ojców Kościoła) ducha i wynikami przekazanej przez nich wiary a nie wynalazkiem malarzy«. Tę samą myśl innemi słowy wyrażą po wiekach malarze szkoły sieneńskiej i jako nagłówek statutu swojej korporacyi wypiszą następujące zdanie: »Z Bożej łaski jesteśmy tymi, którzy przedstawiają rzeczy nadprzyrodzone, zdziałane mocą świętej wiary«. Oto niektóre echa licznych głosów przeszłości o ścisłym związku sztuki z chrystyanizmem.

Gdzie głębsza przyczyna tego związku?

Najpierw, negatywnie rzeczy biorąc, nie miało chrześcijaństwo żadnej racyi, ażeby wzorem innych religii, unikać zetknięcia ze światem sztuki. Tamte religie obawiały się, by każdy nowy posąg, każdy nowy obraz nie stał się nowym bogiem, by sztuka nie wniosła w świątynie rozprzęgającego religię wielobóstwa. Chrystyanizm natomiast przynosił z sobą tak jasne pojęcia, taką pełnię prawdy w duchu, że podobna obawa byłaby w jego granicach dziecinną naiwnością. Chrystyanizm czuł przecież tę godność i siłę swoją, że jest objawieniem się samego Boga.

I to nas prowadzi do istotnych i pozytywnych przyczyn.

Bóg stanął w świątyniach chrześcijańskich w pełni swego Bóstwa, nie tylko jako nieskończona Prawda i nieskończone Dobro, ale także jako nieskończone Piękno. Stanął jako Bóg-człowiek, a więc w szacie natury ludzkiej, widomej i przejawiającej dobro i piękno i prawdę w czynach i słowach. Ten potrójny przeblask Bóstwa widoczny jest wszędzie: w doskonałości głoszonej nauki, w kształtach społeczności katolickiej zwanej Kościołem i w symbolice sakramentalnych znaków, w stwarzaniu wśród ludzi życia nadprzyrodzonego i świętości i w prowadzeniu ludzkości ku niebu. Takim jest chrystyanizm w swojej istocie; w tę istotę wchodzi piękno boże a tej istoty bezpośredniem następstwem, przy wrodzonej dążności ludzkiej do uzewnętrzniania się, jest kościelna sztuka.

Dla przykładu, weźmy chrystyanizm z najbardziej abstrakcyjnej strony, jako system społeczno-doktrynalny, złożony z wielkich prawd i z nieogarnionych tajemnic, system wiążący miliony ludzi w jedną potężną społeczność i nadający tej jedności pęd ku nieskończonemu ideałowi. Czyż taki system nie musiał się odzwierciedlić w tumach gotyckich, których olbrzymie masy kamienne, ujęte w jedność architektoniczną rozwinięcia, lotnością swych sklepień i smukłością swych wieżyc jakby na skrzydłach ducha unoszą się ku niebu?

Albo — czyż mnogość i różnolitość odcieni wewnętrznego piękna chrystyanizmu, dziewiczość i męczeństwo, blask heroizmu i słoneczność świętości, żywa wiara i pogodna nadzieja a przedewszystkiem gorąca miłość, czyż te i inne mnogie objawy nie musiały wywołać jakby różdżką czarnoksięską tych wspaniałych wnętrz kościelnych, w których rozlewają się tęczowe blaski różnokolorowych okien a z pośród lasu marmurowych filarów, iskrzących świeczników i barwnych sztandarów wyrywają się rozścielone po ołtarzach i ścianach tysiączne różnowzorzyste malowidła?

Przykłady te możnaby mnożyć długo: i szczegóły życia Chrystusowego i Jego świętej Matki i ich świętych naśladowców i losy Kościoła i losy każdej z prawd objawionych — wszystko to odbijało się tylokrotnie i tylostronnie w dziełach sztuki ko-

ścielnej, bo się odbijać musiało. Bo piękno leży po stronie samego przedmiotu, wchodzi w istotę chrystyanizmu.

Jest jeszcze inna przyczyna, powodująca ścisły związek sztuki z chrystyaniznem. Oto chrystyanizm, jako religia doskonała, nie wyjmuje z ludzkości pewnych tylko stron, ale bierze człowieka całego, całą jego naturę, wszystkie jego władze, wszystkie aspiracye, wszystkie słowa, myśli i czyny, wszystko to obejmuje, by to uszlachetnić i podnieść do stanu nadprzyrodzonego. Nie tylko uświęca umysł i wolę ale także i wyobraźnię, nie tylko szczepi i rozwija aspiracye ascetyczne ale także i estetyczne. A więc i twórczość artystyczna i odczuwanie estetyczne odgrywają w chrystyanizmie rolę.

Mówiąc o sztuce kościelnej, mówimy oczywiście o roli, związanej najściślej z życiem religijno-kościelnem, którego jedynym celem jest nadprzyrodzony związek z Bogiem. Otóż w sprawie urzeczywistniania się tego związku człowieka z Bogiem, sztuka ma wielorakie posłannictwo. Ona jest najpierw daniną, w której człowiek składa Stwórcy, co ma najpiękniejszego ze swoich dzieł ludzkich. Ona dalej jest nieodzownem echem tego głosu, jakim piękno religii przemawia do ludzkiej duszy. Ona wreszcie, jak jest koniecznym wyrazem gorącego uczucia wiary, tak jest skuteczną tej wiary pomocą i podporą. Każda sztuka zwraca się kształcąco ku wszystkim władzom duszy, pobudza wyobraźnię, uzupełnia pamięć, poddaje rozumowi przedmiot rozmyślań i porusza wolę — sztuka kościelna to wszystko w swoim zakresie spełnia z tym dodatkiem, że działa w tem wszystkiem uświęcająco. Ona jest kaznodzieją, który w najbardziej plastyczny sposób przedstawia prawdy wiary, ciągle te prawdy pamięci uprzytomnia i wpaja je w dusze a zarazem łagodnym uśmiechem piękna i stygmatem religijnego natchnienia pociąga wolę nie tyle ku sobie, ile raczej ku świętemu przedmiotowi, który przedstawia. Wielka sztuka kościelna jest mową wiary, mową jasno zrozumiałą i bardzo przekonywującą, w której najtrudniejsze misterya chrześcijańskie, wolne od rusztowań logicznych i polemicznej szermierki, stają jako konkretne i niewzruszone fakty; mową gorącą, wstrząsającą nieraz całem jestestwem człowieka. Freski Giotta są

katechizmem chrystyanizmu i jego apologią, niosą w sobie świętość religii i wlewają jej miłość, są skrystalizowanym stanem wiary wieków poprzednich i ożywczem źródłem wiary po dziś dzień. Znikają w obliczu tych fresków granice czasu i przestrzeni, każdy wiek staje przed nimi z zachwytem i z poruszeniem serca ku Bogu, każdy naród rozumie ich wymowę, każdy stan społeczny, wyższy czy najniższy wstępuje po nich, jak po szczeblach ku niebu.

Oto, jak ścisłym i doniosłym jest związek kościelnej sztuki z chrześcijańską religią.

* * *

Ale nie każda sztuka, mieszcząca się w kościołach, jest w tym związku z religią. Właściwa sztuka kościelna ma pewne swoje istotne cechy. Cechy te płyną oczywiście nie z przypadkowych, narzuconych sztuce z zewnątrz wpływów, ale z samej natury rzeczy. Obecność sztuki w katolickim Kościele wkłada na nią pewien charakter, właściwy nadprzyrodzonemu duchowi Kościoła.

Uciekać się do dzisiejszej ikonografii chrześcijańskiej po oryentacye o szczegółowych cechach tego charakteru byłoby przedsięwzięciem mało korzystnem. Ikonografia podaje pewną, wcale skromną ilość wskazówek, albo samych przez się widocznych, jak to na przykład, że sztuka kościelna musi być zupełnie czystą, że sposobem przedstawienia nie powinna dawać powodu do fałszywych pojęć religijnych, albo wskazówek, odnoszących się do szczegółów drobnych, jak używać, na przykład form nimbu lub pewnych symbolów. Reguł ikonograficznych, tradycyjnych, ogólnie uznanych, jest dziś bardzo mało.

Przyczyna tego stanu leży w tem, że wielkie tradycye sztuki kościelnej zniknęły, że ciągłość tych tradycyi jest już od wieków przerwana. Renesans, który na niejednem polu dokonał przewrotu, wywołał też rewolucyę i w sztuce kościelnej.

Cechą sztuki kościelnej przed renesansem, zapoczątkowaną w katakumbach, a rozwiniętą do świetności w wiekach średnich, była jej duchowość, tak zwany spirytualizm. Szło jej o ekspresyę

uczucia idei, cnoty, świętości, a więc o życie intelektualne, obyczajowe, religijne, przedewszystkiem o życie nadprzyrodzone łaski Bożej w duszy ludzkiej. Wszystko, co do osiągnięcia tego celu prowadziło, było wciągane w sztukę, a więc symbole, alegorye, aureole, zjawiające się u góry obrazu orszaki świętych i aniołów. Ale obywało się też bez tych akcesoryów. Główny akcent spoczął na twarzy ludzkiej, która w peryodzie świetności sztuki średniowiecznej, wprost prześwietloną była tysiącem wyrazów życia wewnętrznego. Natomiast o ciało ludzkie silniej, lub słabiej, ale zawsze w pewnym stopniu, zdawała się ta sztuka nie dbać. Ktoś zauważył, że ręce postaci na obrazach Fra Angelico, nie mają ani płci, ani wieku, ani charakteru własnego, u ludzi i aniołów, u dzieci i starców są zawsze te same. Mogło to być nawet rozmyślne, mimo to jednak było brakiem anatomicznym. Jak anatomia zostawiała dużo do życzenia, tak też nie były ściśle przestrzegane prawa perspektywy i światłocienia. Prawem każdej następującej epoki, renesans właśnie ku usunięciu tych wszystkich braków się zwrócił. Ale zwrócił się, jako zasadnicza opozycya; nie tylko brakowi techniki przeciwstawić usiłuje techniczną doskonałość, ale pięknu i dobru nadprzyrodzonemu sztuki średniowiecznej przeciwstawia piękno i dobro przyrodzone, spirytualizmowi naturalizm. Sztuka średniowieczna zwracała się ku temu, co Boże w człowieku, renesans zwraca się ku człowiekowi samemu, ku jego piękności, zdrowiu, sile i innym przyrodzonym przymiotom — i to kosztem tego, co jest duchowne, Boże i święte.

Jeżeli dodamy, że renesans przedstawiają pierwszorzędne siły twórcze, to zrozumiemy, że zeświecczający wpływ tej doby rozciąga się po dziś dzień w sztuce kościelnej. Tak one, jak ich następcy dali kościołom niejedno arcydzieło, owiane nadprzyrodzonem pojęciem świętości, ale na ogół przenika te dzieła już duch inny, duch sztuki przedchrześcijańskiej; są to dzieła sztuki religijnej z tematu, ale nie z ducha, żadną miarą dzieła sztuki kościelnej. Najlepszy dowód, jak obcym jest duch tych dzieł duchowi kościelnej sztuki, dały następujące po renesansie kierunki, które pewne właściwości mistrzów doprowadziły do karykatury. Doszło między innemi do tego, że po ołtarzach rozsiadły się kar-

nacye, tem pełniejsze, im miały przedstawiać najbardziej niecielesne istoty Aniołów.

Tę cechę nadprzyrodzoności sztuka kościelna napowrót odzyskać musi, jeżeli ma spełnić swoje zadanie.

Na jakiej drodze może się to dokonać, przesądzać dzisiaj trudno. Pewne wysiłki dzisiejszej sztuki kościelnej nie dały jeszcze decydującego wyniku. Kopiowanie średniowiecza nie prowadziło także do celu, jak wykazała nieudana próba nazarenizmu; i wogóle każde naśladowanie może wytworzyć tylko rzeczy konwencyonalne i blade. Przeszłość dać może tylko dalszą dyrektywę.

Jedno jest pewne, że na sztukę taką zdobyć się może tylko artysta wierzący i miłujący gorąco swój religijno-artystyczny ideał, zwłaszcza artysta, którego wirtuozyę techniczną renesansu prześwietlałaby dusza średniowiecza. Prawda, że czasy dziś inne, i że scenerya doszczętnie zmieniona, ale idealna dusza jest zasadniczo wiecznie ta sama. Dusza religijna dzisiejsza będzie miała zapewne cały szereg odcieni odmiennych od duszy średniowiecznej, ale, jeżeli będzie szczerze religijną, to zarówno jak tamta zapomni o sobie, o szukaniu siebie w artystycznych efektach a całą siłą zwróci się ku kontemplacyi, ku odczuwaniu i obejmowaniu nieskończonego ideału Bożego piękna, by promieniem jego przejaśnić doczesne rysy sztuki — zarówno też jak tamta stworzy arcydzieła, w których tętnić będzie świętość uczucia, łącząca widza niewidzialną nicią ze źródłem świętości.

Taka sztuka kościelna już samą wyższością swego ideału zajmie uprzywilejowane miejsce w państwie sztuki. Gdy jej towarzyszki zbierają tylko pokłosie promieni, rozsypanych po świecie przyrodzonym, ona ku samemu źródłu światła się zbliża.

* * *

Takiej sztuki żądać zaraz od ogółu okazów pierwszej wystawy, znaczyłoby to żądać od niemowlęcia dojrzałości męża. Doniosłem jest to, że takie wystawy u nas się zaczynają.

Wielka to zasługa inicyatorów tej wystawy, że niezrażeni

trudnością otaczających warunków, smutnym stanem współczesnej sztuki kościelnej, zwłaszcza apatyą ogółu pod tym względem, dali nie tylko impuls tej idei, ale i oblekli ją w rzeczywistość. Dalszy ciąg należy do społeczeństwa. Wszyscy, którym zależy na rozwoju sztuki rodzimej, którym leży na sercu wzrost religii, powinni, z okazyi tej wystawy, wziąć się wspólnie za dłonie i zorganizować trwałe i pomyślne warunki rozwoju sztuki kościelnej.

A wszelkie dane do wielkiego rozwoju są. Przypadkowo widzieliśmy jeden okaz tej wystawy, — potężne dwie grupy w rzeźbie, składające dań Chrystusowi. Choćby ta pierwsza wystawa nie dała nic więcej, — to dałaby dużo.

Ks. J. Pawelski.

W SPRAWIE UNII KATOLICKIEJ.

Wspólna, wielka katolicka akcya w Austryi jest nie tylko wskazaną, ale gwałtowną potrzebą, jest już od dłuższego szeregu lat marzeniem wielu umysłów głębszych, jest jedyną drogą do skutecznej obrony zagrożonego stanowiska katolicyzmu w Austryi. O tem chyba dwóch zdań być nie może. Nie brakło także starań, prób i ofiar, aby dojść do tego upragnionego celu, lecz wszystko spełzło na niczem. Jaka tego przyczyna i jak temu stara się zaradzić Unia katolicka, t. j. zamierzony Związek katolików Austryi?

Jedną z głównych przyczyn, że dotychczas taki związek nie powstał, są stosunki polityczne i narodowe, które w całej Austryi są ogromnie zawikłane i pogmatwane. We wszystkich krajach austryackich obóz katolicki rozbity jest na rozliczne partye polityczne, często wrogo względem siebie usposobione, a po ostatnich zajściach w łonie partyi chrześcijańsko-społecznej nawet znikły widoki, żeby na terenie politycznym w blizkiej przyszłości mogły się stosunki te lepiej ułożyć. Jeśli więc teren polityczny nie może stanowić podstawy dla połączenia katolików w celu wspólnej obrony interesów swej wiary, jeżeli się pokazuje czynnikiem rozdziału między katolikami, to oczywiście jedyną drogą wyjścia dla uzyskania jedności wśród nich jest wykluczyć z Unii wszelką politykę, zostawić każdemu swoje przekonanie polityczne, a oprzeć się tylko na tej jedności, która, mimo różnych zapatrywań politycznych, w nich być musi, jeśli ich katolicyzm nie jest czczą tylko formą i frazesem t. j. na jedności religijnego przekonania

w wierze i wynikającej stąd praktycznej chęci wspólnego popierania prac wszystkich i instytucyi z religią związanych. Dlatego też Unia katolicka, o której zrealizowanie obecnie chodzi, nie jest i nie ma być związkiem politycznym, owszem uchylając się od polityki, nie przyjmuje nawet związków politycznych, choćby katolickich, za członków do zamierzonego zrzeszenia. Jeżeliby Unia katolicka tak pojęta stała się z czasem drogą do jednolitej, potężnej partyi katolickiej w parlamencie albo do silnego związku katolickich partyi, możnaby Unii tego tryumfu tylko powinszować, i to powinno być pragnieniem i dążnością każdego dobrze myślącego katolika, gdyż tylko potężna, zgodna reprezentacya parlamentarna zdoła drogą polityczną katolicyzmowi swoje stanowisko w Austryi zabezpieczyć. Tymczasem zaś będzie zadaniem Unii wpłynąć znaczeniem i potęgą swoją na katolickich posłów, aby stanęli w obronie postulatów Unii i tym sposobem jej cele popierali.

Nie mniej drażliwą i pod pewnym względem trudniejszą jest kwestya n a r o d o w a. Wykluczyć kwestyę narodową, jak się wyklucza politykę, jest dla związku ogólno-austryackiego rzeczą niemożliwą. Może więc być tylko jedno wyjście, t. j. daleko idące, na chrześcijańskiej sprawiedliwości oparte, uwzględnianie narodowych praw i przekonań wszystkich narodowości w jej skład wchodzących. Faktyczny stan Austryi żąda, jeżeli nie przyjacielskiej życzliwości, to przynajmniej sąsiedzkiej zgody i wyrozumiałości jednej narodowości dla drugiej, gdyż wspólny wszystkie łączy interes, gdyż tylko wszystkie razem tworzą silne i potężne państwo, którego głos ma znaczenie w koncercie państw europejskich. Wszystkie mają ponosić wspólne ciężary w pokoju i wojnie, stąd też słuszna, aby we wspólnych zabiegach równe były wszystkim prawa zagwarantowane już kodeksem państwowym. Zamierzona Unia katolicka stara się uwzględnić te prawa w zupełności, zapewniając wszystkim równy udział w rządzie centralnym i uznając język każdej narodowości za równouprawniony z każdym innym. Jeszcze jaśniej występuje równe uwzględnienie praw narodowościowych w samej organizacyi Unii i w planie dla wieców katolickich ogólno-austryackich, o których zaraz będzie mowa. Tym sposobem zostanie usunięty ferment, który w Austryi para-

liżuje w tak opłakany sposób wydatną działalność akcyi katolickiej w życiu publicznem i jest przyczyną główną, że dotychczas jakiś wspólny, planowy występ katolików w obronie swych praw, jakieś na szerszą skalę podjęte działanie było niemożliwe.

Dalszą przyczyną dotychczasowych zawodów była ta okoliczność, że wzorowano się w akcyi katolickiej zwyczajnie na zagranicznych zwłaszcza niemieckich organizacyach, nie pytając się wiele o to, czy dla nich grunt austryacki jest odpowiedni, czy też nie. Że z akcyi niemieckich zwłaszcza katolików dużo można się nauczyć, to prawda, ale nie można jej przecie żywcem przeszczepiać na grunt austryacki, bo wyrosła z odrębnych zupełnie stosunków, wyrosła jako obóz obronny przeciw atakującemu protestantyzmowi. Nam w Austryi trzeba organizacyi, trzeba nam akcyi, któraby wynikła z austryackich potrzeb i austryackich stosunków, w nich miała swoje uzasadnienie i racyę swego powstania i życia; trzeba nam koniecznie akcyi bez marki importu, bo importowana spotkać się musi z bojkotem, wynikającym z różnych i licznych antagonizmów dzisiejszych; trzeba nam przedewszystkiem akcyi, świadczącej o własnych siłach i własnej inicyatywie. Taką zaś jest Unia katolicka. Jest już i po innych krajach przeprowadzona silna centralizacya akcyi katolickiej, ale centralizacya innego rodzaju. Łączą się tam centralnie organizacye zawodowe, polityczne, kulturalne, ale niema w nich centralizacyi takiej, któraby wszystkie te organizacye spajała w wyższą jedność do wspólnej akcyi na terenie szerszym, wszystkim im wspólnym. A o takie właśnie zespolenie chodzi przedewszystkiem Unii katolickiej. Członkami jej mają i mogą być tylko organizacye katolickie z wykluczeniem politycznych. Ona suponuje istnienie rozlicznych związków różnobarwnej akcyi katolickiej i tylko ma za zadanie skupić związki rozproszone na różnych polach życia publicznego, nadać im centralizacyę dla skuteczniejszego poparcia ogólnych interesów katolicyzmu zarówno wszystkim związkom wspólnych. Unia katolicka nie ma wcale zamiaru wtrącać się w właściwy zakres zadań pojedynczych związków, nie chce zmienić i naruszać ich organizacyi i statutów, zostawia im wszelką niezależność i swobodę ruchów w lokalnych i krajowych

ich interesach, chciałaby tylko, aby wszyscy katolicy w Austryi, jakiejkolwiek są narodowości, jakichkolwiek przekonań politycznych i społecznych, szli z nią jednomyślnie w spełnieniu tych zadań katolików dzisiejszych, w których różnicy zdań i dążności być nie może. Aby w szczególności wskazać na niektóre z tych zadań do spełnienia, przypominamy na tem miejscu tylko najwięcej piekące kwestye, dotyczące katolików Austryi. Znana jest agitacya antykatolicka w sprawie reformy małżeństwa, wre na całej linii walka o szkołę; wszędzie atakowane są prawa i stanowisko Kościoła przez wolnomularstwo, wspólnym interesem jest obrona przed przeróżnymi wpływami żydowskimi i tyle innych ważnych zadań, które tylko drogą wspólnej wielkiej akcyi mogą być uwieńczone pomyślnym skutkiem. Obok tej defensywy mnóstwo innych zadań otwiera się dla katolików Austryi, wymagających pracy pozytywnej. Nie grzeszymy chyba w Austryi gruntowną oświatą katolicką, brak często jasno uświadomionych choćby najprostszych zasad katolickich w życiu publicznem i prywatnem; potrzeba nam więc nie tylko mentora, któryby z wysokości swej strażnicy przestrzegał o niebezpieczeństwach, ale także energicznej inicyatywy do wyrobienia gruntownych katolickich przekonań w szerokich warstwach społeczeństwa. Tym to zadaniom zamierza przyjść w pomoc Unia i wziąć je w swe ręce. W tym celu komitet generalny wybierze sobie kilkunastu referentów dla różnych zadań katolików w Austryi, których obowiązkiem będzie śledzić agitacyę antykatolicką w swym zakresie i wypracowywać gruntownie informujące referaty we wszystkich językach, aby mogły być rozesłane do wszystkich lokalnych, dyecezyalnych i krajowych komitetów Unii i szerzyć znajomość niebezpieczeństwa i środków przeciwdziałania we wszystkich organizacyach do Unii należących. Główny nacisk położy się na szerzenie uświadomienia katolickiego tak za pomocą wydawnictw jako też przez zebrania, wykłady i wiece, na których omawiać się będzie kwestyę zapatrywań katolickich na rozmaite kwestye aktualne, jak na stosunek między wiedzą a wiarą, Kościołem i państwem, moralnością a literaturą i wogóle sztuką i t. p. kwestye ogólniejszej natury. Kwestye zaś bardziej dotyczące stosunków lokalnych pozostawione

będą organizacyom krajowym i lokalnym do odpowiedniego zajęcia się niemi według potrzeby.

Jest zatem obowiązkiem pojedynczych krajów, dyecezyi, miast, wytworzyć u siebie komitety lokalne, dyecezyalne, krajowe, któreby przeprowadziły organizacyę w określonych granicach, aby potem pośredniczyć między komitetem centralnym i pojedynczemi do Unii należącemi organizacyami. Do stworzenia więc takiej Unii wystarczy, aby organizacye katolickie niepolityczne, zatem zawodowe, oświatowe, kulturalne, kościelne i t. d. oświadczyły odpowiedniemu komitetowi na wysłane do nich pytania, że przystępują do Unii katolickiej i są gotowe popierać cele komitetu. Wtedy złączenie pojedynczych komitetów i centralizacyi lokalnych w centralizacyę dyecezyalną i krajową jest już właściwie tylko formalnością, która służy dla łatwiejszego zniesienia się z komitetem głównym centralnym.

Niema więc najmniejszej obawy, aby Unia katolicka rozwinęła akcyę na niekorzyść jakiej narodowości albo wchodziła w zakres istniejącej organizacyi krajowej. Sfera jej działania jest ogólnej natury, przystosowanie owoców wspólnej akcyi ogólnej do potrzeb krajowych pozostawione jest organizacyom o szczegółowych zadaniach i celach. Ma przytem Unia katolicka jeszcze inny cel na oku, mianowicie chce tą drogą dojść do wieców katolickich, któreby zasługiwały na miano wieców ogólno-austryackich, w którychby więc katolicy wszystkich narodowości w zupełnem równouprawnieniu brali udział. Jest to niejako korona całego dzieła, bez której cała akcya zostałaby torsem bez głowy, pod pewnym względem nawet byłaby nowem świadectwem ubóstwa ducha katolickiego w Austryi i nieprzezwyciężonej nieufności katolików różnych narodowości względem siebie. Wspólny wiec katolicki byłby dopiero namacalnym i najlepszym dowodem, że jakkolwiek różne interesy życiowe nas dzielą, to w zadaniach katolickich różnic nie znamy a zarazem byłby najsilniejszą inicyatywą do dalszej, energicznej wspólnej pracy na tle imponującego, wspólnego porozumienia. Nikt nie ukrywa przed sobą trudności, jakie rozwiązanie tego problemu przedstawia. Dotychczasowe doświadczenia, aż nadto poinformowały nas o nich; ale

tyle zdrowego optymizmu żyje jeszcze w szeregach katolików Austryi, że za możliwe uważamy wspólne porozumienie we wspólnych zadaniach między dziećmi tej samej matki-Kościoła katolickiego, uczęszczających do tego samego Stołu Pańskiego.

W ogólnych rysach plan takiego wiecu katolickiego, urządzonego przez Unię katolicką, przedstawią się tymczasowo w sposób następujący. Ponieważ głównem zadaniem wiecu jest ułożenie wspólnego programu działania a spełnienie tego zależy przedewszystkiem od opracowań poszczególnych sekcyi, dlatego podczas wiecu poszczególne sekcye będą dla każdej narodowości pracowały i obradowały osobno. Wyniki ich obrad, wnioski i postulaty oddane zostaną komitetowi wspólnemu, złożonemu z delegatów wszystkich narodowości i zostaną wciągnięte w program wspólny, którego wykonanie będzie zadaniem Unii, przystosowanie zaś do potrzeb krajowych pozostanie przy organizacyach krajowych. Dalsze rozwinięcie i przeprowadzenie wspólnego programu byłoby już zadaniem wieców katolickich krajowych, jakich w tym roku odbyła się pokaźna ilość i to z wielkim skutkiem dla sprawy katolickiej.

Na wspólnych i uroczystych posiedzeniach, gdzie zaproszeni mowcy omawiają najważniejsze aktualne kwestye, wolno będzie mówić w języku każdej narodowości, i każdemu z mowców będzie zostawionem do woli, czy chce się posługiwać swoim językiem ojczystym, czy też językiem lepiej znanym większości uczestników wiecu. Uwagi te, choć ogólnikowe, przecież dostatecznie wskazują, że wiec ogólno-austryacki mimo trudności dałby się uskutecznić i że prawa i słuszne żądania różnych nacyi na nim znajdą dostateczne uwzględnienie.

Należy przytem od razu wyświetlić także inną kwestyę, tyczącą się Unii, mianowicie kwestyę finansową. Unia nie żąda od żadnej organizacyi, któraby do Unii przystąpiła, kontrybucyi na cele wspólne i opędzenie wydatków Komitetu centralnego, ale naturalnie chętnie przyjmie jak najhojniejsze datki na pokrycie kosztów akcyi. Kwestyi finansowej mają właśnie zaradzić wiece ogólno-austryackie i to w ten sposób, że Unia będzie się starała o jak największą ilość stałych członków tychże wieców; każdy

z tych stałych członków bez względu czy weźmie udział w wiecu czy też nie, byłby obowiązanym płacić rocznie za kartę wstępu pewną sumę, którą komitet centralny jeszcze bliżej określi. Jest to z pewnością sposób najprostszy, który rozkładając ciężary przeważnie na barki silniejsze, umożliwia słabszym korzystać bezpłatnie z prac i działalności Unii.

Dla ostatecznego przeprowadzenia Unii ma być zwołane zebranie delegatów, wybitnych mężów katolickich wszystkich narodowości z całej Austryi, na którem reprezentowane mają być, o ile możności, wszystkie stany, w celu porozumienia się ostatecznego co do organizacyi Unii i sposobu urządzenia katolickich wieców ogólno-austryackich. Na temto zebraniu każda narodowość będzie miała sposobność przedstawienia swych żądań i trudności, i dlatego leży w interesie każdej narodowości, aby jak najprędzej rozszerzyć znajomość organizacyi i celów Unii, aby z nich nie zabrakło światłych reprezentantów na zebraniu delegatów.

Na dowód, jak wielce odpowiada myśl Unii potrzebom odczutym także u nas w kraju, warto na tem miejscu przytoczyć słowa ankiety *Przeglądu Powszechnego* »O dzisiejszych zadaniach katolicyzmu w Polsce«, które tam o podobnej kwestyi umieścił dr. Teodor Rzymski. Zbiera on swoje wnioski i wskazówki praktyczne o akcyi katolickiej w Polsce w następujące zdania:

1) Akcya katolicka musi się opierać na daleko idącym podziale pracy. Stąd

2) dla odrębnych zadań należy zakładać odrębne organizacye.

3) Istniejących zatem organizacyi nie należy łączyć w związek ogólny, centralistyczny, ale pozostawia je o samodzielnem wyodrębnieniu, a za to popierać je wszelkiemi siłami. (Dr. Rzymski odrzuca tu taką centralizacyę, któraby zacierała szczegółowy cel pojedynczych organizacyi i narzucała im cel obcy ich myśli pierwotnej).

4) Nie rozumiemy tego jednak o lokalnem wyodrębnieniu związków i towarzystw, przeciwnie wszystkie lokalne związki i organizacye istniejące w kraju i mające mniej więcej to samo zadanie, powinny się połączyć w jeden wielki związek krajowy.

5) O ile chodzi o objęcie w ramach katolickiej, jednolitej

organizacyi wielkich mas narodu czy społeczeństwa... wystarczy postawienie mu za cel jednego, całkiem prostego i jasno określonego zadania, byleby ono odpowiadało powszechnej, żywo odczutej potrzebie i jako takie w szerokich warstwach żywy budziło interes. (Tutaj stawia za wzór niemiecki Volksverein, odpowiadający mniej więcej w celu Unii katolickiej, choć inną ma organizacyę).

6) Założenie u nas podobnego związku, na bardzo podobnej, jeśli nie na tej samej podstawie, uważamy za zadanie najbardziej naglące w obecnem położeniu, najbardziej pożyteczne i najłatwiejsze do przeprowadzenia.

Tym żądaniom, choć nie w tej formie, chce zadość uczynić Unia katolicka, zostawiająca zresztą krajowej organizacyi Unii wszelką swobodę w zastosowaniu do potrzeb krajowych. Dr. Rzymski nie zgadza się na organizacyę Unii, wciągającą w swoją akcyę dla wspólnych katolickich celów pojedyncze organizacye o własnych, odrębnych zadaniach, a życzy sobie raczej założenia osobnego związku z pojedynczych członków na wzór Volksvereinu, ale jesteśmy tego zdania, że myśl Unii w przedstawionej formie łatwiej da się zrealizować, a akcya Unii w niczem nie przeszkadza pojedynczym organizacyom w ich zabiegach, owszem wspiera je w tym zakresie, który choć ogólniejszej natury, jest i powinien być zasadniczą częścią programu każdej organizacyi katolickiej. Zresztą próba, która chciała związek ogólno-austryacki przeprowadzić według planu d-ra Rzymskiego nie udała się, a gdyby się kiedykolwiek miała udać, bez porównania więcej wymagałaby pracy i czasu.

Dodajmy do tego wszystkiego jeszcze dwie uwagi. Istnieje w Austryi i bardzo pomyślnie się rozszerza i pracuje Związek pań katolickich, który coraz więcej wykazywać zaczyna tę samą dążność co Unia katolicka. Do tego Związku także jako członkowie mogą należeć już istniejące organizacye katolickie kobiet, aby w wspólnych celach rozwijać wspólną akcyę. Gdyby więc Unia katolicka doszła do skutku, do czego dotychczasowe prace i doświadczenia dają uzasadnioną nadzieję, wtedy mielibyśmy w Austry dwa związki, mężczyzn i kobiet, zgodne w wspólnych zadaniach ka-

tolickich i gotowe do wspólnej walki. Cel marzeń długoletnich najlepszych i najtęższych katolików byłby osiągnięty!

Na przyszłym kongresie eucharystycznym w Wiedniu, na którym odbędzie się także zjazd delegatek międzynarodowego Związku katolickich niewiast (siedziba centralnego Komitetu obecnie w Paryżu) przystąpi Związek niewiast katolickich w Austryi do tej międzynarodowej organizacyi katolickiej, i tem samem kobiety, mniej dysputujące a więcej pracujące, prędzej doszły do urzeczywistnienia hasła: katolicy wszystkich krajów łączcie się, aniżeli mężczyzni, którzy o tem już marzą i piszą od szeregu lat a jeszcze nie zdołali swego marzenia wykonać. Warto zaś na tem miejscu wskazać na okoliczność, że myśl Unii katolickiej, jej organizacya i cele wybornie się nadają do tego, aby powoli doprowadzić także mężczyzn katolickich do międzynarodowej organizacyi — i chlubą byłoby niemałą dla katolickiej Austryi, jedynej światowej potęgi katolickiej, że do tego wielkiego dzieła dała pierwszy impuls i gotową formę.

Jakkolwiek ułożą się dalsze te projekty, naszem zadaniem jest popierać wszelkiemi siłami urzeczywistnienie Unii, której projekt znalazł sympatyczne przyjęcie we wszystkich krajach Austryi i na różnych wiecach katolickich, także u nas na wiecu Maryańskim w Przemyślu. Może być, że znalazłaby się jeszcze lepsza myśl dla wspólnej akcyi katolickiej, może także być, że Unia katolicka z czasem na podstawie doświadczeń życiowych i na żądanie delegatów z różnych narodowości zmieni niejedną rzecz w swoim programie, to wszystko być może! — ale myśli nas nie zbawią, akcyi nam trzeba! Wobec intensywnej i destrukcyjnej działalności czerwonego internacyonału, wobec ustawicznych ataków, kierowanych na katolicką Austryę przez braci pokielni, wobec prawdy, że przecież jedni jesteśmy we wierzeniach i przekonaniach katolickich, obowiązkiem wiary i postulatem serca katolickiego jest dołożyć wszelkich starań i ofiar, aby Unia katolicka doszła do skutku. Nie masz nic piękniejszego nad Kościół katolicki na świecie, nad tę Matkę, której słowa tchną odwieczną, nieomylną prawdą, której skroń ozdabia dyadem nieśmiertelności, której ręce hojne rozsypują błogosławieństwa a serce

macierzyńskie wszystkie obejmuje narody równą miłością, Matkę, która wyprowadziła narody na arenę historyi i wychowała je wśród niezliczonych ofiar. — Niechżeż więc wspólna miłość ku wielkiej Matce łączy też wszystkich do wspólnej pracy i akcyi w obronie jej praw najświętszych i dla szerzenia jej prawd i łask, w których jedynie leży szczęśliwa przyszłość społeczeństwa ludzkiego. Będzie więc zadaniem nie tylko ks. Biskupów i Kleru, ale także dobrze myślących i wpływowych osób wszystkich warstw, z wykluczeniem wszystkich osobistych widoków i pretensyi, przyłożyć rękę do wspólnego dzieła tak wielkiej doniosłości i szerzyć tę ideę przy każdej nadarzającej się sposobności. Mamy także na dzieję, że gazety katolickie jakiegokolwiek obozu politycznego i społecznych przekonań zgodnie staną po stronie Unii katolickiej i w częstszych artykułach zechcą dobrą jej sprawę popierać. »Bóg tak chce«!

Ks. A. Starker.

IDEA EWOLUCYI W TEOLOGII KATOLICKIEJ [1].

I.

Kiedy ów wielki przyjaciel Polski, papież Pius IX, w swej bulli konwokacyjnej: *Aeterni Patris Unigenitus* z dnia 29 czerwca 1868 r. zapowiedział zwołanie soboru powszechnego na dzień 8 grudnia 1869 r., wywołał ten fakt potężne wrażenie w całym świecie, świadczące o tem, że kwestye religijne należą bądź co bądź do najdonioślejszych. W sferach katolickich radowano się niezmiernie z tego faktu, bo był on dowodem żywotności tej instytucyi, którą liberalizm ówczesny podawał za strupieszałą, i już się gotował do jej pogrzebu. Protestanci, anglikanie i Kościoły wschodnie dyzunickie, zaproszone przez papieża do wzięcia udziału w soborze, odtrąciły rękę podaną do zgody; liberalizm zżymał się na samą myśl, że jego zasady będą na soborze roztrząsane i potępione. Również rządom w niesmak poszła zapowiedź przyszłego soboru, jak o tem świadczy okólnik ministra spraw zagranicznych w Bawaryi, księcia Hohenlohego, do wszystkich rządów w Europie, a wzywający je do zajęcia silnego stanowiska przeciw uroszczeniom ultramontanów.

Prawdziwa atoli burza zerwała się dopiero wówczas, kiedy w jezuickiem czasopismie: *La civiltà cattolica* ukazała się 6 lutego 1869 r. w formie artykułu korespondencya z Francyi, donosząca, że rząd Napoleona III wielce się obawia, iżby sobór nie

[1] Odczyt.

przystąpił do uchwalenia dogmatu nieomylności papieża, czego natomiast katolicy francuscy bardzo pragną. Przeciwko temu artykułowi natychmiast dzienniki: *Le Public*, inspirowany przez rząd francuski, oraz liberalno-katolickie *Le Français* i *Le Correspondent*, a dziekan paryskiego wydziału teologicznego ks. Henryk Maret ogłosił pierwszą część swego dzieła: *Du concil général et de la paix religieuse*, w którem stanął w obronie arystokratyczno-monarchicznego ustroju Kościoła w myśl zasad gallikanizmu, ogłoszenie zaś dogmatu o nieomylności papieża nazwał zamachem szkoły ultramontańskiej na prawdziwą konstytucyę Kościoła. W Niemczech augsburska *Allgemeine Zeitung* umieściła 5 artykułów obszernych pióra Jana Józefa Ignacego Döllingera, prof. historyi kościelnej w Monachium; artykuły te wyszły osobno jako broszura p. t.: *Der Papst und das Concil.* Von Janus; w ślad za tą broszurą jak z rogu obfitości posypały się artykuły, artykuliki i pamflety skierowane przeciw dogmatowi nieomylności papieskiej. W Austryi cały prawie episkopat był nader nieprzychylnie usposobiony dla myśli ogłoszenia nowego dogmatu, jak o tem świadczy memoryał biskupa praskiego kard. Schwarzenberga. Nie potrzeba dodawać, że w takiej chwili nie mogło zabraknąć i lóż francuskich. Jakoż grono wolnomularzy francuskich wniosło prośbę do W. Wschodu francuskiego, aby zwołano ogólne zgromadzenie wszystkich »pracowni« francuskich, na którem miano uchwalić zebranie się wszystkich masonów kuli ziemskiej w celu zademonstrowania przeciw soborowi powszechnemu. We Włoszech na wniosek hr. Józefa Ricciardiego wydano odezwę do wszystkich braci trójkątowych włoskich i zagranicznych, aby w dniu otwarcia soboru zastępcy wszystkich lóż zgromadzili się w Neapolu.

Nawet kiedy już się sobór zebrał i rozpoczął swą działalność, nie ustawała opozycya ze strony wielu biskupów przeciw ogłoszeniu dogmatu. Na ich czele stanął kard. Rauscher z Wiednia oraz kard. Schwarzenberg z Pragi, a biskupi Dupanloup, Maret, Hefele i inni nie przestawali dowodzić ustnie i zapomocą artykułów, że ogłoszenie dogmatu nieomylności na pewno narazi Kościół na wielkie szkody. Z poza soboru wtórował im chór gaze-

ciarzy, bałamucących opinię publiczną, jakoby przez orzeczenie nieomylności papieżowi miała być wszechwiedza przyznana, co przecież byłoby prostem bałwochwalstwem; pouczano, że nieomylność ta będzie się rozciągała na wszystko, co papież powie, że papież swoje urojenia będzie podawał za artykuły wiary, wobec czego powstanie źródło nigdy niewysychające konfliktów z nauką; straszono rządy, że papież na mocy tego dogmatu będzie mógł uwalniać poddanych od przysięgi wierności i składać panujących, jak w wiekach średnich, według swego widzimisię, słowem zapowiadano skutki jak najgorsze dla postępu cywilizacyjnego, nawet dla spokojnego pożycia Kościoła z państwami. Rozmaite korporacye naukowe, między innemi niektórzy profesorowie naszej Wszechnicy Jagiellońskiej, słały adresy hołdu i uznania do Monachium dla Döllingera, który zacięcie zwalczał sam dogmat nieomylności papieża, a co smutniejsze, niektórzy biskupi francuscy nie wahali się wzywać pomocy Napoleona III przeciw zamiarom soboru.

Wobec takiego stanu rzeczy trafnie powiedział biskup z Augoutême, Cousseau, że to, co antyoportuniści nazwali niestosownem, stało się wręcz koniecznem (Quod inopportunum dixerunt, necessarium fecerunt); takiemu fermentowi musiano położyć koniec. Dnia 23 kwietnia 1870 r. wniosło 150 Ojców soboru podanie do Ojca św., aby pozwolił z pominięciem innych kwestyi przystąpić do obrad nad prymatem i nieomylnością papieża w Kościele katolickim. Papież po dłuższem wahaniu się przychylił się wkońcu do tej prośby. Jeszcze wtedy nawet antyoportuniści nie dawali za wygraną, ale przez mowy przewlekłe i liczne chcieli przeciągnąć debaty jak najdłużej, licząc na to, że wskutek upałów letnich dalsze posiedzenia zostaną odroczone. Nie na wiele przydał się ten środek parlamentarny, gdyż na wieść o wybuchu wojny prusko-francuskiej uchwaliła większość Ojców soboru przejść do rozprawy szczegółowej. Przeciwko temu wniosło 55 biskupów z kardynałem Schwarzenbergiem na czele dnia 17 lipca deklaracyę do papieża, oświadczając, że pozostają przy przekonaniu, iż ogłoszenie dogmatu nieomylności jest nie na czasie, ale też nie chcą na posiedzeniu publicznem głosować zapomocą formuły: *non placet.*

Już nazajutrz, t. j. 18 lipca 1870 r., odczytał biskup Valenziani słynną konstytucyę dogmatyczną o Kościele, za którą z 535 Ojców soboru tylko 2 biskupów nie głosowało; kiedy zaś skrutatorowie soborowi dokładnie zliczyli głosy, powstał Pius IX i udzielił uchwale swej aprobaty, powiadając donośnym głosem: »Decreta et canones, qui in Constitutione modo lecta continentur, placuerunt omnibus Patribus, duobus exceptis, Nosque sacro approbante Concilio illa et illos, ita ut lecta sunt, definimus et apostolica auctoritate confirmamus«.

Jak wiadomo, uchwale soboru poddał się bez wyjątku cały episkopat rzymsko-katolicki; natomiast rząd austryacki odpowiedział na nią, za sprawą liberalnego ministra Stremayera, zerwaniem konkordatu pod pretekstem, że po orzeczeniu nieomylności papieskiej stał się papież inną osobą prawną, aniżeli nią był w chwili zawierania konkordatu w r. 1855; w Niemczech rząd pruski i bawarski doprowadził do utworzenia sekty starokatolików, a Kościołowi zewsząd robiono zarzut, że ukuł nowy, przedtem nieznany dogmat [1].

II.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad sprawą ogłoszenia dogmatu nieomylności papieża, bo chciałem dać przykład narodzin dogmatu.

Czy jednak to wyrażenie: narodziny dogmatu — jest trafne? Czy można je brać w znaczeniu literalnem, dosłownem? Czy naprawdę to dogmat nowy, w Kościele przedtem zupełnie nieznany?

Tak, i nie. Jeżeli bowiem idzie o rzecz samą, nie ulega wątpliwości, że Ojcowie soboru watykańskiego nic nowego nie ogłosili, tylko przypomnieli to, w co Kościół katolicki wierzył od dni swego założenia. Czy zaglądniemy do ksiąg św. Nowego Zakonu, czy przetrząśniemy dzieje Kościoła w wiekach ubiegłych od pierwszego poczynając, czy zapytamy o zdanie uczniów apostol-

[1] P. biskup ks. dr. Józef Sebastyan Pelczar: »Pius i jego pontyfikat«. (Przemyśl 1908, wyd. II, tom III, str. 496 n.) oraz Th. Granderath: *Geschichte des Vaticanischen Koncils.* Herder 1903—1906.

skich i Ojców Kościoła, we wszystkich tych źródłach napotkamy niezbite dowody, że zarówno papieże, jako następcy Piotra św., pamiętali o słowach do niego przez Zbawiciela wyrzeczonych: »Paś owce moje, paś baranki moje«, »Tyś jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go«, »Szymonie, Szymonie, oto szatan pożądał was, aby was przesiał jako pszeniczkę, lecz ja prosiłem za tobą, aby nie ustała wiara twoja, a ty zwróciwszy się niekiedy utwierdzaj bracię twoją«, i praktycznie wykonywali urząd najwyższych nauczycieli w Kościele, jak też pamiętał o tych słowach Kościół i przekonanie papieży podzielał. O tej wierze świadczą niepoślednie fakta zatwierdzania przez papieży uchwał soborów w rzeczach wiary i obyczajów tak, że uchwały przez papieża nie zatwierdzone, nigdy też nie zyskały mocy obowiązującej w Kościele. Papieże sami, nie wzywając wcale pomocy soborów, potępiali herezye za ich czasów istniejące. Tak papież Hyginus potępił r. 155 herezye Cerdona i Valentina, papież Wiktor I r. 196 Teodota, Zefiryn r. 215 Montana, Kornelius r. 253 Nowacyan, Feliks r. 273 Pawła z Samozaty, Damazy przed soborem konstantynopolitańskim potępił herezye Sabelliusza, Macedoniusza i Eunomiusza, tak, że św. Augustyn nie wahał się napisać, iż o wiele więcej herezyi zostało potępionych bez soborów, aniżeli przez sobory. Co więcej, różni heretycy udający się do Stolicy apostolskiej o zatwierdzenie swych nauk błędnych, samym tym faktem świadczyli o powszechnej wierze w nieomylne nauczycielstwo papieża. Nikt też naprawdę nie wątpił o tem w Kościele, i trzeba było dopiero schyzmy papieskiej, iżby wiara w nieomylne nauczanie papieża uległa zaciemnieniu pod wpływem doktryny, głoszącej wyższość soboru nad papieża. Lecz już w niedługi czas potem sobór florencki niedwuznacznie określił w swej nauce o prymacie papieża także i nieomylność jego nauczania, chociaż w sposób formalny nie orzekł tej nauki jako artykułu wiary katolickiej. To też zebrany pod wpływem Ludwika XIV synod w Meaux orzekł pod przewodnictwem Bossueta dnia 4 maja 1682 r., że dekrety papieskie w rzeczach wiary nie są same przez się nieodwołalne i nieodmienne, chyba że zostały wydane za zgodą całego episkopatu.

Jednak papieże nie przestali piętnować tej nauki jako fałszywej i niezgodnej z wiarą objawioną, w czem niewątpliwie mieli słuszność po swej stronie.

Skoro tedy sobór watykański nie wymyślił nowej prawdy, przedtem w Kościele nieznanej, to na czemże polegała nowość w ogłoszeniu dogmatu nieomylności papieskiej? Na tem, że aczkolwiek prawda ta od samego zarania istnienia Kościoła znajdowała się w rzędzie prawd przez Chrystusa Pana objawionych, jednak wyraźnie jako taka nie była przez urząd nauczycielski Kościoła podana wiernym do wierzenia pod grozą wykluczenia z Kościoła katolickiego i popadnięcia w herezyę formalną w razie jej nieuznania. Kto więc przed ogłoszeniem owego dogmatu przez sobór watykański zaprzeczał nieomylność papieską, nie był jeszcze heretykiem formalnym, choć bronił zdania materyalnie heretyckiego; przeciwnie po ogłoszeniu dogmatu ten, ktoby go świadomie i dobrowolnie zaprzeczał, staje się heretykiem i przestaje być członkiem Kościoła katolickiego. Sobór tedy watykański nie stworzył całkiem nowej prawdy, a tylko tę, która się znajdowała w skarbcu prawd objawionych, ujął w formułę odpowiednią, dokładnie oznaczając, kiedy, wśród jakich warunków i w jakiej materyi głowa Kościoła katolickiego jest nieomylną; po prostu sobór, mówiąc językiem teologów, zamienił prawdę, która sama w sobie była dogmatem, w artykuł wiary, w stosunku do nas.

III.

Otóż jak z dogmatem nieomylności papieża w rzeczach wiary i obyczajów, tak samo ma się rzecz z mnóstwem innych dogmatów, innych artykułów wiary. Nie mogło nawet być inaczej, biorąc rzeczy po ludzku. Wszak założyciel religii katolickiej, Chrystus Pan, nie zakładał szkoły filozoficznej, tylko zgromadzenie wiernych, mających po wszystkie wieki wyznawać tę samą naukę objawioną, a z tą swoją nauką, z tą swoją dobrą nowiną nie do klas wykształconych, lecz w pierwszym rzędzie zwracał się do prostaczków. Rzecz przeto jasna, że zniżając się do ich sposobu myślenia i mówienia przedkładał im prawdy najwznioślejsze w sposób prosty, przystępny ich rozumieniu, często posługując się

w tym celu prostemi, a tak miłemi przypowieściami i konkretnymi przykładami. Nie inaczej postępowali apostołowie, bo i oni nie wyszli ze szkół filozofów, i oni zbliżali się przedewszystkiem do ludzi swej sfery społecznej, budowali Kościół Boży w ścisłem tego słowa znaczeniu od dołu, od ludu, a tylko Paweł św. nie wahał się wystąpić z nową nauką w aeropagu ateńskim. Kiedy przeglądamy karty Pisma św. N. Zakonu, spotykamy tam prawdy niesłychanie ważne, przytoczone jakby mimochodem, w słowach zwięzłych, bez układu naukowego, bez formuł i wyrażeń naukowych. Są to perły i drogie kamienie, lecz nieoprawione w ramy systematu, ani nie wystawione tak na światło, aby można było od razu dojrzeć całą ich piękność wewnętrzną lub podziwiać bogactwo ich treści; są to ziarna, które z biegiem czasów miały się rozróść w potężne foliały Summ teologicznych. Co więcej, apostołom nie szło o to, aby dokładnie i w zupełności opisać wszystkie nauki, które słyszeli z ust Chrystusa Pana, nie zamierzali podać gotowego, wykończonego na wszystkie czasy kodeksu; owszem wręcz oni oświadczają, że wiele innych rzeczy ustnie podali, a tylko wymagają, aby wierni strzegli i zachowywali równie dobrze to, co pisemnie, jak to, co ustnie zostało im powierzone.

Postać rzeczy ulegać zaczęła zmianie, kiedy nowa nauka ogarniać zaczęła coraz szersze masy, wśród których nie tylko prostaczkowie sami, lecz i umysły oświeceńsze się znajdowały.

Przestały wystarczać pierwotne, konkretne, a nieokreślone formy dogmatu, trzeba było precyzować pojęcia, by mogły stawić czoło przeróżnym trudnościom filozoficznym.

I tak, żeby rzecz objaśnić konkretnym przykładem — dogmat, że Chrystus jest Bogiem i człowiekiem zarazem, dopóki mieścił się w formule prostszej i jakby opisowej, łatwo trafiał do wiary pierwszych chrześcijan. Oczywiście jednak nie mogły wnet nie powstać pytania: Co w Chrystusie jednem, co dwoistem? Jak się to dzieje, że Bóg może być człowiekiem, że nieśmiertelny może cierpieć i umierać i t. p.

Takie pytanie zadali sobie Cerynt i Ebion jeszcze za dni św. Jana Apostoła, a nie widząc innego wyjścia przy rozwiązaniu poruszonej trudności i pozornej sprzeczności, wpadli na po-

mysł, że Chrystus Pan nie mógł posiadać ciała rzeczywistego ludzkiego, tylko pozorne. W ten sposób zrodziła się herezya Doketów. Kamień raz ruszony, toczył się dalej, przyszli Gnostycy, Patrypassyanie, po nich Aryusz, po Aryuszu Nestoryusz, Eutyches i Sergiusz, a tak poczynając od pierwszego aż do VIII wieku Kościół był bezustannie szarpany przez herezye, wyrastające jak grzyby po deszczu we wschodniej części Kościoła, a wszystkie te herezye mają za podkład stosunek dwóch natur, boskiej i ludzkiej w Chrystusie Panu, lub stosunek Jego do dwóch innych Osób Trójcy św. Urząd nauczycielski Kościoła nie mógł pozostać obojętnym na błędy, musiał je zwalczać, a chcąc to uczynić, musiał ze swej strony dokładnie wyłuszczyć, jak należy pojmować Chrystusa Pana, musiał swą naukę sprecyzować, ująć ją w stałą formę, skrystalizować w dogmat nienaruszalny. Trzeba więc było z jednej strony jasno i wyraźnie oznaczyć stosunek dwóch natur w Chrystusie Panu, a z drugiej strony określić stosunek jego do Boga Ojca i do Ducha św. Tego znów nie można było uczynić nie wezwawszy na pomoc pojęć metafizycznych natury, osobowości, istoty rzeczy i istnienia, i wielu innych, a tak teologii przychodziła filozofia z pomocą. Jakoż w rzeczywistości sobory, poczynając od nicejskiego, posługiwały się i wprowadzały do swych dekretów wyrazy takie, jak τριάς, μόνας, ἕνας, ὑπόστασις, οὐσία, ὁμοούσιος, θεάνθρωπος, ἐνανπρώπησις, ἐνσωμάτοσις, ἔνσαρκος, θεοτόκος, θεομήτωρ, a których napróżno szukalibyśmy w Piśmie św. Zapomocą tych wyrażeń i odpowiadających im pojęć wyłuszczał Kościół dokładniej i wszechstronniej prawdę objawioną, że Chrystus Pan jest i Bogiem prawdziwym i człowiekiem prawdziwym w jednej wszelako osobie i to boskiej.

Jeszcze Kościół nie ukończył swej pracy nad dokładnem sformułowaniem nauki o osobie Chrystusa Pana, gdy oto w innej dzielnicy, na wybrzeżach Afryki zjawił się wróg nowy, podkopujący wartość i znaczenie dzieła odkupienia, szerzący bałamutne teorye o moralnej wartości natury ludzkiej, zaczepiający objawioną naukę o grzechu pierworodnym, umniejszający znaczenie łaski Bożej dla dzieła zbawienia poszczególnych ludzi. Znów tedy Kościół nauczający musiał w tę stronę wzrok swój skierować, mu-

siał się zająć wyłuszczeniem, wyjaśnieniem prawd zaczepionych i wymieść błąd z dziedzińca swej nauki. Miał więc słuszność biskup Hippony, św. Augustyn, kiedy omawiając znaczenie herezyi dla rozwoju nauki katolickiej, pisał: »Wiele rzeczy ukrywało się w Piśmie św., ale kiedy wyrzucono heretyków i ci swemi rozprawami wzburzyli Kościół Boży, objawiło się, co było odkryte i zrozumiano wolę Bożą. Wśród ludu Bożego ukrywało się wielu takich, którzy mogli byli jak najlepiej znać Pismo św. i je wykładać, a którzy nie podawali rozwiązania trudności, bo nie było oszczerców. Czyż bowiem dokładnie wykładano naukę o Trójcy św., nim szczekać zaczęli Aryanie? Czyż mówiono poprawnie o pokucie, nim się Nowacyanie zaczęli sprzeciwiać? Podobnież nie rozprawiano dokładnie o chrzcie św., póki nie zaczęli się sprzeciwiać z zewnątrz się znajdujący rebaptyzanci, ani też o jedności Chrystusa nie mówiono poprawnie, aż kiedy dopiero rozdwojenie dawać się poczęło we znaki chorym braciom« [1].

Herezye więc mimo swej woli spełniały wobec dogmatyki katolickiej mniej więcej tę rolę, jaką spełniają stany patologiczne organizmu ludzkiego dla celów poznania fizyologii i terapeutyki ludzkiej. Jak n. p. zjawiska afazyi, aleksyi i im podobne doprowadziły z czasem do wskazania dokładnego tych miejsc w korze mózgowej, których uszkodzenie powodowało wspomniane zjawiska chorobliwe, tak i herezye nastręczały urzędowi nauczycielskiemu Kościoła sposobności do rozglądnięcia się dokładniejszego w skarbcu prawd objawionych, do rozwinięcia tego, co niedość było rozwinięte, do wyłożenia prawd zaczepianych w taki sposób, żeby dokładność wyrażeń nie zostawiała miejsca wątpliwościom i nie dopuszczała błędnego rozumienia prawdy objawionej.

Jednak herezye tylko pośrednio wywierały wpływ na rozwój teologii katolickiej, ale nie były zgoła jedyną przyczyną owego rozwoju. Wszak urząd nauczycielski Kościoła odebrał prawdy objawione w spuściźnie nie na to, aby je trzymał pod korcem, ale na to, aby je ogłaszał wiernym, których znów

[1] Por. Enarrat. in Psal. LIV, n. 28; P. L. XXXVI, col. 643; De civit. Dei. XVI, c. II, 1.

obowiązkiem jest wiedzieć, w co, jak i dlaczego mają wierzyć. W ślad za tem ujawniała się konieczność przystosowania prawd wiary do pojętności wiernych, bo owe prawdy miały stanowić treść ich wierzeń religijnych a zarazem stanowić regułę postępowania w życiu codziennem. Trzeba więc było wiernym podawać prawdy objawione nie tylko w sposób jakiś uporządkowane, ażeby je wierni mogli sobie zapamiętać, lecz je stosownie objaśniać, rozwijać i przystosowywać do poszczególnych wypadków, gdyż ani Chrystus Pan, ani apostołowie, podobnie jak każdy inny prawodawca, nie mogli wchodzić we wszystkie szczegóły drobne, względem których jakaś prawda objawiona mogła znaleźć zastosowanie. Drogą do tego celu wiodącą były dedukcye z prawd objawionych, jużto że wysnuwano wnioski z przesłanek, które obie były prawdami objawionemi, już też jedna objawiona, a druga prawdą rozumową. Bardzo wiele prawd, które z czasem ogłoszono jako dogmata lub pewniki katolickie, temu właśnie źródłu zawdzięcza swe powstanie. Kiedy monoteleci wystąpili z twierdzeniem, że w Chrystusie Panu możliwa jest tylko jedna wola i to boska, gdyż inaczej mógłby powstać spór i rozdwojenie między wolą boską a ludzką w jednej i tej samej osobie, przypominano im ze strony katolickiej, że przecież jest objawioną prawdą, iż Chrystus Pan jest prawdziwym człowiekiem, a ponieważ do całości natury ludzkiej należy i wola ludzka, przeto w Chrystusie Panu należy przyjąć dwie wole, boską i ludzką, niepomieszane, niezlane w jedną. Kiedy Nestoryusz powołując się na fakt, że N. Marya Panna nie dała swemu Synowi boskiej natury, wystąpił z żądaniem, iżby Jej nie nazywano Bogarodzicielką (θεοτόκος), tylko rodzicielką Chrystusa (χριστοτόκος), znów katolicy argumentowali, że ponieważ to, co N. Marya Panna porodziła, było w jednej osobie i człowiekiem i Bogiem, przeto w całej pełni zasługuje Ona na nazwę Bogarodzicy (θεοτόκος).

Tą pracą dedukowania a zarazem systematyzowania i uzasadniania prawd religijnych zajmują się teologowie. Nie stanowią oni co prawda sami przez się autentycznego urzędu nauczycielskiego, jednak stojąc pod jego nadzorem i w jego imieniu pracując przygotowują swemi pracami materyał dla przyszłych orze-

czeń dogmatycznych. Ponieważ zaś ludzie są ludźmi bez względu na to, czy zajmują się świecką nauką czy teologiczną, więc też i między teologami nierzadkie są spory przy wykładzie lub uzasadnieniu tej i owej prawdy religijnej. Urząd nauczycielski nie zawsze się miesza do tych sporów, zwłaszcza jeżeli nie przekraczają granic dozwolonej swobody zdań, lub jeżeli przedmiotem sporów jest jakiś szczegół mniej ważny dla całości nauki katolickiej. Jednak i tak się zdarzało, że Kościół nauczający opuszczał rolę biernego widza i czynnie wkraczał w spory teologów. Tak n. p. sobór Viennejski (1311) orzekł: »Ponieważ się okazało, że odnośnie do skutków chrztu u dzieci teologowie różne podzielali zdania, bo jedni mówią, iż mocą chrztu bywa dzieciom odpuszczana wina, ale nie była im udzielana łaska; inni natomiast utrzymują, iż w chrzcie bywa im odpuszczana wina a zarazem wlewane cnoty i łaska poświęcająca, przeto my, zważając wogóle na skuteczność śmierci Chrystusa, która w czasie chrztu wszystkim ochrzczonym bez różnicy bywa stosowana, sądziliśmy, że za zgodą świętego soboru należy nam rozstrzygnąć się za drugą opinią, która utrzymuje, że zarówno dzieciom jak i dorosłym bywają w chrzcie wlane łaska poświęcająca i cnoty, jako za prawdopodobniejszą i z orzeczeniami Ojców św. oraz teologów dzisiejszych więcej zgodną« [1]. Podobnie postąpił czwarty sobór Lateraneński w sporze między opatem Joachimem a Piotrem Lombardem. Ten ostatni dowodził, że jest w Bogu natura, która ani nie rodzi, ani nie jest zrodzona, ani też od nikogo, ani od niczego nie pochodzi. Opat Joachim nazwał to twierdzenie herezyą, utrzymując, że tylko w tem znaczeniu można mówić o jednej naturze trzech osób Trójcy św., w jakiem powiadamy, że np. wielu ludzi stanowi jeden Kościół. Otóż Ojcowie soboru wystąpili w sposób dość surowy przeciw nauce Joachima i ją właśnie jako heretycką potępili. Ta zaś praca teologów w wysnuwaniu konsekwencyi, owo rozwijanie nauki przekazanej odnosiło się nie tylko do sfery prawd czysto spekulatywnych, ale i do innych dziedzin życia religijnego. Wszak religia ma być przewodniczką człowie-

[1] Por. Denzinger: *Enchirid.* n. 411.

kowi w ciągu całej jego pielgrzymki ziemskiej, i to zarówno jednostkom, jak społeczeństwu. Otóż życie niesie z sobą rozmaite potrzeby, potrąca o rozmaite zagadnienia etyczne, społeczne, kościelno-polityczne. Trzeba więc było określić bliżej naturę samego Kościoła jako społeczności wiernych, oznaczyć ramy jego władzy, stosunek tej władzy do świeckiej władzy oraz do wiernych, należało rozwinąć etykę, aby ją przystosować do potrzeb życia chrześcijańskiego wśród zmiennych jego warunków doczesnych, wyłożyć naukę o sakramentach i inuych środkach zbawienia. Rezultaty tej pracy i tego rozwoju już w znacznej części zostały ujęte w ciągu tylu wieków w formę dogmatów nienaruszalnych, inne czekają jeszcze swej kolei.

Nie można również zapominać o jednym jeszcze czynniku, pod którego wpływem krystalizowała się nauka katolicka. Tym czynnikiem jest filozofia. Różne były koleje wzajemnego stosunku teologii i filozofii. Nieraz szły one zgodnie obok siebie, wzajem sobie oddając różne usługi; długi czas chroniła teologia filozofię od zupełnej zguby, przechowując ją nader gościnnie w cieniu cel zakonnych; ale ponoś najczęściej przybierała filozofia postawę antagonistki i niosła zarzewie niepokojów w przybytki teologii, tem niebezpieczniejsze, że czyniła to pod obłudną maską przyjaciółki. To też mniej zaszkodziły nauce katolickiej namiętne napaści Celsusa, aniżeli idee Platona, Filona i Plotyna, przed których zgubnym wpływem nieraz nawet Ojcowie Kościoła ustrzedz się nie zdołali. Chcąc odeprzeć skutecznie idee błędne filozofii, musiał Kościół pogłębiać i ubezpieczać własną naukę i wykazywać dlaczego na uroszczenia filozofii zgodzić się nie może. Dość w tym celu przypomnieć dzieje Averroizmu, przyjmującego jeden i wszystkim ludziom wspólny umysł czynny jako źródło naszych idei, a która to nauka wywołała orzeczenie soboru Lateraneńskiego, że każdy człowiek posiada indywidualną duszę rozumną; znane są też dzieje twierdzenia, że coś może być prawdą w filozofii, choć nią nie jest w teologii i naodwót, co znów skłoniło Ojców soboru Watykańskiego do dokładnego odgraniczenia sfer właściwych teologii a filozofii, wiary i rozumu.

A jak z filozofią, ma się też rzecz i z umiejętnościami świec-

kiemi. Wprawdzie nie jest rzeczą Kościoła uprawa nauk; tem mniej do niego należy wskazywać, czem się mają zajmować i jakich używać metod badania naukowego. O ile jednak nauki dotykają zagadnień, które należą także i do skarbca prawd objawionych i te zagadnienia rozwiązują w duchu przeciwnym nauce objawionej, to Kościół, jako stróż tej nauki, musi się zająć rezultatami, do których nauki świeckie doszły i nie może nie orzec w celu uchronienia wiernych przed błędem, że te rezultaty są niezgodne z prawdami objawionemi. Przypuśćmy, że nauka za pewnik podaje, iż rodzaj ludzki nie pochodzi od jednej pary, jak to w w. XVII utrzymywał Izaak Peyrere w swej hipotezie o istnieniu preadamitów, to nie potrzeba dowodzić, iż ów pewnik rzekomy pozostawałby w sprzeczności oczywistej z dogmatem grzechu pierworodnego i potrzebą odkupienia całego rodzaju ludzkiego. Tak samo zaprzeczanie duchowości i nieśmiertelności duszy ludzkiej nie może być rzeczą dla nauki objawionej obojętną. Twierdzenia dzisiejszych historyków religii, iż wszystkie formy wierzeń religijnych jednako są historycznie uzasadnione, lub że wszystkie religie są bez wyjątku objawem czysto naturalnym, albo że Żydzi o własnych siłach doszli poprzez fetyszyzm, animizm, politeizm do swej religii monoteistycznej, wszystko to są kwestye, któremi Kościół nauczający w miarę potrzeby i swego uznania będzie się musiał zająć i przeciwstawić im swoją naukę na źródłach Objawienia opartą.

IV.

Z tego, co się dotąd rzekło, okazuje się, jak ciasno zapatrywali się na naturę nauki objawionej dawni teologowie protestanccy, jak Leonard Hutter († 1616), Jakób Quenstedt († 1688) i inni, podług których wszystkie dogmata mają się znajdować w Piśmie św., a prócz nich nikomu, nawet aniołowi nie wolno tworzyć nowych dogmatów [1]. Ich atoli następcy dobrze to rozumieli, że rozwój jakiejś nauki, to oznaka jej żywotności, a zastój i zasklepie-

[1] Por. Palmieri Aurelius: *Il progresso dommatico nel concetto cattolico*. Firenze 1910, str. 7.

nie się, to oznaka martwoty. To też wsparci na zasadzie prywatnego natchnienia przy czytaniu Pisma św. i folgując nieokiełznanemu krytycyzmowi, doprowadzili w niedługim czasie do tego, że z Pisma św. pozostały w ich rękach tylko strzępki a treść religii objawionej tak przekształcili, iż z niej tylko nazwy pozostały.

Zgoła inaczej postępuje Kościół i teologia katolicka. Dla nich rozwój nie oznacza tego samego, co zmiana istotna. Pomimo swego rozrostu olbrzymiego jest dogmatyka katolicka ze swej istoty tą samą, której nauczali w innej tylko szacie zewnętrznej apostołowie. Nie przybył do niej żaden istotnie nowy dogmat; jest w niej niewątpliwie wzbogacenie ale tylko formalne, nie zaś materyalne, jest rozwój, lecz tylko logiczny, a nie ontologiczny. Skarbiec bowiem prawd, które Kościół miał strzedz i wiernym do wierzenia podawać, został zamknięty z śmiercią ostatniego apostoła; po tym momencie wchodziła w życie zasada *depositum custodi*, »strzeż tego, co zostało przekazane«, i dlatego wszystkie herezye wszystkich czasów potępiał Kościół li tylko na podstawie faktu, że były nauką nową, że się nie zawierają ani w Piśmie św., ani w tradycyi apostolskiej. Naprożno tedy Karol Guignebert dla udowodnienia tezy, że »dogmat jest organizmem żywym, że się rodzi, rozwija się, zmienia się, starzeje i umiera, że życie porywa go z sobą nie pozwalając mu zatrzymać się w miejscu, i że życie go porzuca, kiedy się dopełniła liczba jego dni« [1], powołuje się na naukę Chiliastów, podług której Chrystus Pan miał przyjść powtórnie na ziemię, aby założyć Królewstwo Swoje, mające trwać 1000 lat. Jako docent historyi chrystyanizmu w Sorbonie powinien Guignebert wiedzieć, że co innego jest opinia prywatna teologów lub choćby niektórych Ojców Kościoła, a co innego ciż Ojcowie jako świadkowie i stróżowie katolickiej nauki apostolskiej. Tylko ta ostatnia nie może ulegać zmianie, bo to, co jest prawdą pozostać nią musi na zawsze; natomiast chiliazm, opierający się na błędnem rozumieniu pewnego wiersza z Objawień św. Jana apostoła, zawsze, nawet w czasach swego istnienia, był poczytywany

[1] P. Charles Guignebert: *L'evolution des dogmes* (Paris 1910), str. 1, 221.

za mniemanie prywatne, a nie za naukę przez Boga objawioną a przez Kościół podaną wiernym jako artykuł wiary. Jest też nieprawdziwe dalsze twierdzenie Guigneberta, jakoby nauka o czci świętych a zwłaszcza cała Maryologia powstała nagle, w długi czas po wieku apostolskim. Tem twierdzeniem zdradził się Guignebert, iż zgoła nie rozumie, na czem polega rozwój nauki katolickiej i co może być orzeczone, jako dogmat wiary. Nim prawdę jakąś orzecze Kościół nauczający jako dogmat katolicki, wprzód musi być ponad wszelką wątpliwość wykazane, że ta prawda jest bezpośrednio lub pośrednio objawiona. To też nim Kościół usty Piusa IX ogłosił dogmat o Niepokalanem Poczęciu N. Maryi Panny, wprzód badano skrzętnie i wszechstronnie, czy ta prawda faktycznie należy do prawd objawionych i dopiero po osiągnięciu wyniku dodatniego przystąpiono do jej orzeczenia dogmatycznego. Oburzenie wiernych w Carogrodzie, kiedy z ust swego patryarchy Nestoryusza posłyszeli na kazaniu, iż N. M. Panny nie można nazywać Bogarodzicą, tylko Rodzicielką Chrystusa, powinno było Nestoryusza pouczyć, że wystąpił z nauką nową, wiernym nieznaną i że lud przez 4 wieki wręcz przeciwnego był zdania. Aż do czasów Nestoryusza lud wierzył, że N. Maryę Pannę należy zwać Bogarodzicą, tak jak przez $18^1/_2$ wieków kwitła wśród katolików wiara, że N. Marya Panna została bez grzechu pierworodnego poczęta. Nie zjawiła się owa wiara nagle, nie została stworzona, wymyślona przez Kościół, który to tylko uczynił, że swem orzeczeniem tę naukę zadokumentował, jako od Boga objawioną. Po prostu Guignebert pomieszał dwie, całkiem różne rzeczy: motywy, pobudki ogłoszenia jakiejś prawdy za dogmat katolicki, z naturą danej prawdy jako objawionej. Pobudki, jak widzieliśmy, mogą być rozmaite i w rozmaitych czasach się zjawiać, ale same owe pobudki nie mogą decydować o tem, czy dana prawda jest objawiona. Przez 18 wieków i lat 70 wierzył Kościół katolicki w nieomylność orzeczeń papieskich w rzeczach wiary i obyczajów i tę wiarę w wieloraki sposób objawiał, póki nie nadszedł moment stosowny do uznania jej uroczyście za dogmat katolicki. Guignebert zna pisma Wincentego Leryneńskiego, gdyż się na nie powołuje; szkoda, że niedość pilnie w nich się rozglądnął,

gdyż Wincenty byłby go sam pouczył, jak należy pojmować rozwój dogmatów katolickich. W słynnem swem *Commonitorium* r. XXII pisze Lirinensis: »Lecz może ktoś powie: czyż więc w Kościele Chrystusowym nie istnieje żaden postęp religii? Owszem, niech będzie i to jak największy. Któżby bowiem ludziom był tak nieprzyjazny, tak Boga nienawidzący, iżby ów postęp chciał powstrzymać. Tak jednak, aby to był wzrost wiary, a nie jej zmiana. Do wzrostu bowiem należy, aby w sobie samej każda rzecz się zwiększała, do zmiany natomiast, aby coś przechodziło w coś innego. Konieczną więc jest rzeczą, aby wzrastała i silnie się rozwijała tak poszczególnych jak wszystkich, tak jednego człowieka jak w całym Kościele, odpowiednio do stopni lat, jak i wieków wiedza i mądrość, atoli w swoim wyłącznie rodzaju, mianowicie co do tego samego dogmatu, tego samego sensu, co do tego samego znaczenia. Niech więc religia naśladuje naturę ciał, które z biegiem czasu powiększają swoją ilość i ją rozwijają, zawsze jednak pozostają tem, czem były. Wielka wprawdzie istnieje różnica między kwiatem młodości a dojrzałą starością; jednak ci sami są starcami, którzy niegdyś byli młodzieńcami tak, że chociaż ulega zmianie stan i układ tego samego człowieka, mimo to jedna i ta sama jest jego natura, jedna i ta sama osoba«. Skoro tedy z jednej strony suma prawd, które apostołowie przekazali, nie może się powiększać materyalnie przez dodawanie do nich nowych prawd objawionych, gdyż inaczej nie miałyby żadnego sensu słowa apostoła Pawła św. do Galatów, że »choćby anioł z nieba przepowiadał nad to, cośmy wam przepowiedzieli, niech będzie wyklęty« (I. 8); a z drugiej strony niezaprzeczenie można mówić o historyi dogmatów, to ów rozwój tak tylko rozumieć należy, iż Kościół dla rozmaitych powodów prawdy objawione i do opowiadania przekazane wyłuszczał, wyświetlał przez rozwinięcie owych cech logicznych, które w danej prawdzie zawierały się materyalnie, ale formalnie nie były pierwotnie rozwinięte i wyraźnie nie były podane wiernym do wierzenia.

V.

Taki atoli rozwój możliwy jest wyłącznie tam, gdzie nieomylny urząd nauczycielski daje zupełną gwarancyę, iż nauka przez niego podana, nie jest czysto ludzkim wymysłem, lecz nauką objawioną. Te dwa pojęcia: nauka od Boga objawiona, a stróż i nauczyciel nieomylny tej nauki tak do siebie przynależą, iż nie można pomyśleć jednego bez drugiego. Rozumiał to doskonale ów słynny konwertyta, a później kardynał Jan Henryk Newman, kiedy jeszcze teologiem anglikańskim będąc, pisał: »Jeżeli chrześcijaństwo jest religią społeczną — a jest nią z pewnością — i jeżeli się opiera na pewnych ideach uznanych jako Boże, albo też polega na wierze, i jeżeli te idee mogą być w rozmaity sposób rozumiane *(have varions aspects)* oraz sprawiać rozmaity skutek na rozmaite umysły, stając się konsekwentnie źródłem wielorakiego rozwoju, prawdziwego lub fałszywego, albo jedno i drugie, jak się to okazało, to cóż za potęga okaże się dostateczną, aby stawić czoło i zadośćuczynić tym sprzecznym warunkom, jeżeli nią nie będzie najwyższa powaga kierująca i jednocząca sądy indywidualne na mocy Bożego prawa i uznanej mądrości?... Jeżeli chrześcijaństwo jest i społeczne i dogmatyczne a nadto postanowione dla wszystkich wieków, to po ludzku mówiąc musi ono mieć nauczyciela nieomylnego« [1]. Właśnie nie co innego, tylko studyum nad rozwojem dogmatów chrześcijańskich zaprowadziło Newmana na łono Kościoła katolickiego.

Otóż gdzie brak tego nauczyciela nieomylnego, tam Kościoły, jak się to stało z Kościołami wschodnimi, żyć mogą tylko spuścizną wieków minionych. Jakoż Kościoły wschodnie, niezłączone z papieżem nie posunęły się ani na krok dalej poza ramy rozwoju, jakie osiągnęła nauka katolicka do chwili ich odszczepieństwa. »Die anatolische Kirche, pisze Katenbusch, ist alt geworden. Man sieht noch die Linien des Antlitzes der patristischen Kirche, aber diese Linien sind verschoben. Das Antlitz der modernen

[1] Por. John Henry Newman: *An Essay on the Development of Christian Doctrine 14-th impression.* (London 1909), str. 89. 90.

Kirche ist verwittert, es erscheint schlaff, wenn man sein Bild aus der Jugendzeit daneben hält. Wenn man das Gesicht der patristischen Kirche ein Kindergesicht nennen darf — man darf es gewiss nur in einzelnen Merkmalen — dann mag man das Gesicht der heutigen anatolischen Kirche ein altes Kindergesicht nennen« [1]. Nie posuwa się też i Cerkiew rosyjska naprzód, lecz trzyma się kurczowo formuł, które niegdyś wyniosła ze wspólnej owczarni, jakby się lękała, że zmiana najmniejsza może jej organizm przyprawić, jeżeli nie o śmierć zupełną, to przynajmniej o ciężką chorobę. Nie rozwija się ona, nie umie swym dziatkom tak łamać chleba nauki objawionej, aby zaspokoić głód ich dusz i dlatego to w jej ciele tak strasznie rozwielmożniło się sekciarstwo, które pożera najlepsze jej soki; jej formalizm i zaskorupiałość świadczą najlepiej, że to konar obumarły, oderwany od pnia zielonego i pozbawiony soków ożywczych z nieba.

VI.

Jak daleko atoli ów rozwój dogmatów może się posuwać? Czy można się spodziewać, że przez wyłuszczanie w sposób wyżej wskazany treści dogmatów poszczególnych dojdziemy kiedyś do tego, iż tę treść wyrozumiemy zupełnie tak, jak pod wpływem rozwoju umysłowego jesteśmy w możności zrozumieć, zgłębić treść nawet bardzo zawiłych zagadnień matematycznych lub innych nauk? Takie nadzieje nieraz żywiono w ciągu wieków, zwłaszcza wśród innowierców; z obozu katolickiego wyraz najsilniejszy tej nadziei dał Antoni Günther (1785—1861) pod wpływem filozofii Hegla i Schellinga. Dla Hegla religia, to doskonała wolność, oparta na samowiedzy ducha bezwzględnego w duchu ludzkim. Duch bowiem ludzk ma świadomość, że *de iure* jest wyższy ponad wszelkie ograniczenia, które stoją na drodze jego pełnemu rozwojowi. Na zarzut, że w takim razie duch bezwzględny byłby kreacyą skończonego ducha ludzkiego, ma Hegel odpowiedź gotową, że to byłoby prawdą, ale tylko dyalektycznie, czyli

[1] Por. Kattenbusch: *Lehrbuch der vergleichenden Confessionskunde* (Freiburg 1892) t. I, str. 272. — Palmieri Aurelio, dz. w. prz. str. 44.

w porządku poznawania, które musi mieć za punkt wyjścia skończonego ducha a wznosić się ku bezwzględnemu; lecz w porządku ontologicznym duch bezwzględny jest i pierwszą przyczyną sprawczą i pierwszą przyczyną celową, gdyż on oznacza istotę rzeczy, które się mają rozwijać póki się nie staną czemś jednem z nim samym.

Religie tedy historyczne są stopniami rozwoju ducha, który zmierza do tego, aby się stał naprawdę duchem bezwzględnym, jakim jest potencyalnie. Jest rzeczą historyka wskazać ideę przewodnią każdej religii, ideę, która ze swej strony wskazuje miejsce, przypadające danej religii w etapach rozwoju ludzkości w ducha bezwzględnego. Historyk będzie mógł rozróżnić stan niemowlęcy religii, i tu należą religie ludów dzikich; dalej okres młodzieńczy, w którym duch dobija się dla siebie pewnej dozy wolności: tu należą: religia żydowska jako religia tego, co jest wzniosłe, religia grecka jako wyraz kultu piękna, i religia rzymska jako kult prawa i celowości. Chrześcijaństwo jako religia absolutna odpowiada dojrzałemu wiekowi ludzkości. Filozofia powinna ze symbolów, mitów i dogmatów każdej epoki wykryć ideę, którą one chcą wyrazić, ale której wyrazić nie potrafią sposobem oderwanym. Religia bowiem i filozofia posiadają treść tę samą; lecz religia, jako mająca swe źródło w uczuciu, w sercu i w wyobraźni, wyraża zapomocą szaty symbolów, a więc w sposób niedoskonały, tę samą prawdę, którą filozofia wypowiada ściśle rozumowo i naukowo Nie zatrzymywał się też Hegel ze swoją filozofią u bram prawd, które katolicka teologia zwie i ma za tajemnice, ale i te starał się w duchu swego systemu wyrozumieć i wyjaśnić.

Otóż zdawało się Güntherowi, przepojonemu zasadami filozofii Hegla, że dogmaty katolickie są formułami tylko czasowemi, w których się mieści pewne znaczenie, pewien oznaczony sens prawd religijnych, odpowiadający danej epoce kultury chrześcijańskiej. Apostołowie opowiadali słowo boże stosownie do wykształcenia, jakie posiadali. Ojcowie Kościoła, mający po największej części wykształcenie filozoficzne, posiadali też lepsze i jaśniejsze zrozumienie prawd bożych, aniżeli rybacy galilejscy. Jeszcze

w stopniu wyższym trzeba powiedzieć to samo o teologach czasów późniejszych, tak, że w miarę rozwoju pojęć filozoficznych wierni mogą dojść do coraz doskonalszego poznania prawd religijnych, a z czasem do ich zupełnego wyrozumienia. Wiara bowiem nie może się różnić zasadniczo od filozofii, i w niej też znajduje ona swe konieczne uzupełnienie, swe dokonanie; wiara jest tylko niezupełną wiedzą i właśnie dlatego musi we filozofii szukać swego dopełnienia. Kto ma wiedzę, ten nie potrzebuje wierzyć; a kto ma wiarę, ten widocznie nie doszedł jeszcze do wiedzy pełnej. Wprawdzie wiara i wiedza zawsze razem być muszą na świecie, ale nie dlatego, jakoby jedna miała się różnić zasadniczo od drugiej, ale dlatego, że nie wszyscy ludzie mogą się wznieść na wyżyny wiedzy. Skoro tedy Ojcowie Kościoła, jako mający więcej wiedzy od apostołów, lepiej od nich prawdy religijne rozumieli; a znów Ojców przewyższali w tym względzie myśliciele chrześcijańscy wieków późniejszych, to uzasadniona jest nadzieja, iż nadejdzie moment, kiedy pod wpływem kultury filozoficznej znikną szranki, dzielące prawdy wiary od prawd rozumowych i prawdy pierwszego rodzaju będą tak dobrze przystępne rozumowi człowieka, jak i prawdy filozoficzne [1].

Wiele z tych myśli głównych przyswoili sobie moderniści dzisiejsi, zwłaszcza Alfred Loisy i Edward Le Roy. Objawienie Boże jest podług nich niczem innem, tylko rodzajem doświadczenia wewnętrznego, a akt wiary jest tylko pewnym związkiem duszy z Bogiem, wyrazem jej wznoszenia się ku Bogu. Wobec tego dogmata nie są wyrazem historycznie danej prawdy, lecz wyrazem wewnętrznych doznań religijnych. Człowiek bowiem tak dla samego siebie, jak i dla innych ujmuje w szatę wyrazów to, czego doznał w swym stosunku do Boga. Wszelako na nazwę dogmatu nie zasługują czysto osobiste przeżycia religijne; dogmata religijne mamy dopiero wówczas, kiedy jakaś społeczność ujmuje swe doświadczenia i przeżycia religijne i te jako normę do wierzenia swym członkom podaje. Wobec tego formuły te są zależne od każdorazowego

[1] Por. Dr. Albert Stöckl: *Geschichte der neueren Philosophie.* II Bd. str. 362 n. (Mainz 1883).

stanu kulturalnego społeczności wiernych, bo materyału do wyrażenia owych formuł religijnych dostarczają pojęcia i mowa danej epoki. Każdy bowiem myśli i mówi odpowiednio do czasów, w których żyje i to nie tylko o zwykłych przedmiotach, lecz i o sprawach religijnych; ze zmianą czasów zmieniają się więc poglądy, zmienia się też znaczenie wyrazów. Tem samem i dogmata muszą się stosować do wymogów danej chwili, a więc nie wyrażają one prawdy bezwzględnej, tylko względną, gdyż przedstawiają to, co ludzie w pewnym momencie czasu sądzili o swym stosunku do Boga. »Le sens les dogmes, powiada Le Roy, est avant tout pratique et moral. Le catolique obligé de les admettre, n'est astreint par eux qu'à des regles de conduite, non pas à les conceptions particulières. Aussi n'est-il pas condamné à les recevoir comme les simples formules littérales« [1].

Za daleko zaprowadziłaby nas krytyka szczegółowa błędów Günthera i modernistów. Wystarczy zwrócić uwagę na to, iż tak Hegel, Günther, jak i moderniści zapominają o różnicy zasadniczej między religią przyrodzoną a objawioną przez Boga. Religia przyrodzona jest zbiorem prawd i obowiązków, do których odkrycia dojść może człowiek wyłącznie o własnej sile rozumu, zastanawiającego się nad stosunkiem człowieka do Boga. Zbiór tych prawd i obowiązków stanowi przedmiot nauki, zwanej teologią przyrodzoną, która znów jest częścią pewną filozofii. Jeżeli tedy Hegel i Günter utrzymują, że filozofia i teologia mają ten sam przedmiot, może to być prawdą tylko odnośnie do poznania religijnego czysto rozumowego, aczkolwiek i w tym razie nie pokrywa się teologia z filozofią, której przedmiotem badania jest nie tylko Bóg, ale świat i człowiek; żadną zaś miarą nie może to być prawdą w odniesieniu do religii objawionej, która może oprócz prawd, przystępnych rozumowi ludzkiemu, zawierać także prawdy, przechodzące zdolność pojmowania rozumu ludzkiego. Tak się właśnie ma rzecz z religią chrześcijańską, która oprócz prawd takich, jak n. p. istnienie Boga, nieśmiertelność i duchowość duszy

[1] E. Le Roy: *Dogme et critique.* (Paris 1907) str. 22. Por. także Chr. Pesch S. J.: *Theologische Zeitfragen.* Vierte Folge. (Freib. im Breisg. 1908). str. 157 n.; 45—50, 62 n.

ludzkiej, wolność woli i t. p., a które rozum ludzki i bez objawienia Bożego może poznać, zawiera prawdy takie, jak istnienie trzech Osób Boskich, wcielenie Syna Bożego, Jego sakramentalne przebywanie w Eucharystyi i t. d., a które słusznie nazwano tajemnicami. Otóż w religii przyrodzonej, może z postępem kultury zwiększać się zasób prawd rozumowych o Bogu i stosunku człowieka do Boga, może też zajść fakt, że postęp cywilizacyi zupełnie usunie pewne błędne wierzenia religijne. Inaczej się ma rzecz z religią rzeczywiście przez Boga objawioną. Ponieważ wyłącznie od Boga zależało, czy wszystkie prawdy przez Niego objawione, czy tylko niektóre mają być przystępne rozumowi ludzkiemu, więc filozofia, jeżeli zgodnie z prawdziwym stanem rzeczy chce sądzić o rzeczach, nie może *a priori* określać, że wszystkie prawdy religijne zostaną przez rozum ludzki zgłębione na wzór prawd, które stanowią właściwą dziedzinę dociekań filozoficznych. Nie filozofii tedy, lecz teologii nadprzyrodzonej jest rzeczą wskazać, które prawdy religijne można całkowicie poznać, a które znów pozostaną tajemnicami dla człowieka w czasie jego ziemskiej pielgrzymki. Przez złamanie tych szranków dojść można tylko do tego, do czego doszła teologia protestancka, do zanegowania najbardziej zasadniczych, podstawowych prawd religii chrześcijańskiej. Chrześcijaństwo takie, jak je pojmował Günther a za nim moderniści, jest wytworem ich wyobraźni, a nie chrześcijaństwem takiem, jak je historya przedstawia; zasady ich teologii dadzą się z pożytkiem zastosować do religii Zoroastra lub Buddy, ale nie do religii Chrystusowej. Teologia katolicka ani nie może, ani nie chce podzielić losu teologii protestanckiej.

Ks. Fr. Gabryl.

TEORYE BUDOWY MATERYI

W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ J. J. THOMSONA.

W chwili, gdy teorya atomistyczna w chemii zaczęła się przeżywać, a uczeni i fizyko-chemicy już tu i ówdzie wygłaszali nad nią panegiryki pogrzebowe, odsłoniły się nagle przed badaczami przyrody nowe, zupełnie niespodziewane krainy zjawisk t. zw. promieniotwórczych, które stawiając do rozstrzygnięcia mnóstwo zagadek, równocześnie podtrzymały i odmłodziły starą teoryę atomistyczną a zarazem dozwoliły wniknąć w tajniki budowy materyi głębiej, niż to się najśmielszym śniło marzycielom. Odkrycia te, jakby jakaś sensacya, głośnem odbijają się ustawicznie echem we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach, zwłaszcza odkąd rad i inne promieniorodne substancye, dostawszy się do rąk medyków, obiecują nieść ludzkości ulgę w nieuleczalnych dotąd cierpieniach i pod nazwą radioterapii nową, przewrotową tworzą metodę leczniczą. Lecz znaczenie ich nie kończy się wcale na tem, sięgają one głęboko w naukę teoretyczną, niosąc za sobą świeże, niezmiernie obiecujące metody badania i zmieniając nieraz istotnie, zasadniczo, uznawane dotychczas poglądy. Pismo nasze, podawszy przed laty jeszcze dokładne sprawozdanie o odkryciach Becquerela i pani Curie-Skłodowskiej, które właśnie zapoczątkowały nową tę epokę w nauce, starało się odtąd zawsze powiadamiać swych czytelników o wszystkich ważniejszych postępach na polu

promieniotwórczości i to nie tylko ze stanowiska praktycznego, lecz usiłowaliśmy ciągle wskazywać przedewszystkiem na stronę teoretyczną i filozoficzną tych kwestyi. Wierni temu, chcielibyśmy dzisiaj zwrócić uwagę na nowe prace na tem polu, będące wprawdzie logicznym wynikiem znanych już nam badań lat poprzednich, które jednak robią wrażenie, jakbyśmy stanęli rzeczywiście nad nową, przełomową epoką w gałęzi nauk, która dla każdego głębiej w przyrodę patrzącego umysłu szczególny musi mieć urok, to jest w chemii.

Przed kilku miesiącami [1] ogłosił mianowicie jeden z najwybitniejszych patryarchów i prowodyrów nowego tego kursu, ten sam, który i odkryciami zjawisk nowych i niezmiernie głębokimi teoretycznymi wywodami położył fundamenta pod promieniotwórczość, uczony profesor angielski J. J. Thomson, wyniki nowych badań nad »analizą chemiczną zapomocą promieni dodatnich«. O niezmiernej doniosłości skarbów, ukrytych pod owym skromnym tytułem, można nabrać przekonania choćby z tego, że przedstawia tu Thomson metodę zupełnie nową rozbioru czyli analizy chemicznej, która dokładnością swą i czułością przewyższa sławną analizę widmową, a nadto kusi się o odpowiedź między innemi na kwestyę takiej wagi i tak zawiłej, jak pytanie, na czem polega natura tego, co nazywamy związkiem chemicznym.

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne, co to jest światło pozytywne, czyli dodatnie. Gdy mianowicie przez rurkę szklaną, której oba końce szczelnie zatopiono i zanurzono w nie druciki platynowe, przepuścimy prąd elektryczny, to byle gaz lub powietrze, w rurce zawarte, były dostatecznie rozrzedzone, zauważymy wspaniałe zjawisko świetlne. Wewnątrz całej rurki od bieguna dodatniego czyli anody począwszy, aż prawie do samego bieguna ujemnego czyli katody, widać niezmiernie żywą, barwną, najczęściej fiołkowego koloru kolumnę świetlną. Jest to właśnie światło zwane pozytywnem albo anodowem.

[1] Między innemi n. p. w *Revue Générale des Sciences*, 1911, 11, *Philosophical Magazine* 1911, 2.

Ciśnienie panujące wewnątrz takiej rurki, zwanej od Geisslera, sławnego fabrykanta wyrobów szklanych w Bonn, który je wyrabiał pierwszy na wielką skalę, geisslerowską, nie może być większe nad jakie 10 milimetrów rtęci, to znaczy około osiemdziesiątą część ciśnienia atmosferycznego, pod którem na wolnem powietrzu żyjemy, a nie mniejsze niż około jeden milimetr. Gdy bowiem dalej gaz rozrzedzimy, kolumna światła pozytywnego, anodowego, zaczyna tracić na blasku, skracać się, aż wreszcie przy ciśnieniu, wynoszącem jakieś ułamki milimetra rtęci, a więc stutysięczne części atmosfery, niknie prawie zupełnie, zachowując się tylko szczątkowo przy samej anodzie. Rurkę taką, zwaną teraz rurką Crookesa, wypełniają promienie inne, dla oka zupełnie niewidzialne, a za to mające tę własność, że pobudzają ściany rurki do żywej fosforescencyi, czyli świecenia. Są to promienie katodowe, wychodzące z bieguna ujemnego, czyli katody. Jak wiadomo, one właśnie mają tę własność, że gdy padają na ciała n. p. szkło lub metal, ciała te stają się źródłem promieni X czyli Röntgena.

Lecz cóż się stało z światłem dodatniem, które przedtem wychodziło z anody, czy znikło zupełnie? Przecież i teraz musi z anody wychodzić elektryczność, skoro prąd elektryczny przepływa przez rurkę. Długi czas nie można było jednak wyśledzić jego obecności prócz tylko małej owej resztki przy samej anodzie, wskazującej niezbicie, że rzeczywiście promienie dodatnie istnieją, ale gdzie, o to niech sobie suszą głowę fizycy. Daremnie chwytano za niemi w owej ciemnej, promieniami katodowymi wypełnionej przestrzeni, aż Goldsteinowi przyszła myśl, by katodę, mającą formę płytki, poprzedziurawiać nakształt sita. Wtedy dostrzeżono, że z tych otworków katody wychodzą w kierunkach prostych, jakby świetlane linie, od katody do ściany rurki, które to ściany pod ich uderzeniami żywo fosforyzują. Gdy rurka zrobiona jest ze szkła, zawierającego sód, wtedy w świetle tem za pomocą spektroskopu dostrzedz można linię sodową.

Promieniami tymi, którym Goldstein nadał nazwę »promieni kanałowych«, Kanalstrahlen, zajęto się oczywiście z łatwo zrozumiałą gorliwością i wkrótce dowiedziano się o nich bardzo interesujących szczegółów. I tak Wehnelt wykrył, że o ile rzecz dzieje

się n. p. w powietrzu, to pod wpływem promieni kanałowych, albo, jak niektórzy piękniej na polskie tłumaczą, sitowych, miedź ulega utlenieniu, co, według Schmidta, pochodzi stąd, że promienie te przechodząc przez powietrze, wytwarzają tlen czynny. Do bardziej jeszcze ciekawszych wyników doszedł Wien. Wykazał on mianowicie, że promienie sitowe są to jakby gromady pocisków, cząstek, naładowanych elektrycznością dodatnią, a biegnących z prędkością zawrotną stu tysięcy kilometrów na sekundę, a więc tysiąc razy większą, niż kula armatnia, wyrzucona z naszych najpotężniejszych dział. Thomson zaś przypuszcza, że to one właśnie, te cząstki, dodatnią obarczone elektrycznością, wylatując z anody z tak szaloną szybkością, rozbijają czyli, mówiąc grzeczniej, jonizują cząstki gazu, napotkane po drodze, a uderzając z furyą o powierzchnię katody, albo o warstewkę gazu, przy powierzchni katody się znajdującą, roztrącają obecne tam molekuły i powodują wysyłanie z katody owych tajemniczych promieni katodowych, gotowych na lada spotkanej przeszkodzie wykrzesać znowu promienie Röntgena.

Dużo pięknych, nieomal nieprawdopodobnie brzmiących opowieści przytoczyć można o tem, co w takiej rurce, zawierającej ślady zaledwie gazu, dzieje się pod wpływem wyładowań elektrycznych, jaki tam panuje pozorny zamęt, jakie zderzenia gwałtowne i przemiany i wyładowania energii, o jakich najstraszniejsze nasze burze atmosferyczne słabego nawet pojęcia dać nie zdołają. Obecnie wystarczy nam zapamiętać, że te promienie sitowe nie są niczem innem, jak tylko dalszym ciągiem promieni dodatnich, wychodzących z anody, a ginących na chwilę dla oka w ciemnej przestrzeni rurki. Te z nich, które natrafiły na katodę, oddają jej niejako swą energię, zmuszając ją wzamian wysłać ze siebie promienie katodowe, te zaś, które w biegu swym napotkały dziurki, przez Goldsteina i jego następców w katodzie wywiercone, biegną oczywiście dalej, nie wiedząc nic, że za wolne przejście zapłacić musiały zmianą nazwy — dopokąd nie natrafią na ściany rurki, gdzie ostatecznie muszą swą energię wyładować, wywołując świecenie, fosforescencyę ścian rurki.

To wszystko były rzeczy znane od lat kilku, jak również

wiadomą była inna jeszcze własność promieni dodatnich, wspólna im zresztą ze wszystkimi »nowymi promieniami«, oddziaływania fotochemicznego na płytę fotograficzną. Gdy takie promienie padają na uczuloną płytę, miejsca ich uderzeń w wywoływaczu oznaczą się później jako czarne punkty lub smugi. Na tej ostatniej własności zbudował właśnie Thomson genialną swą metodę analizy chemicznej, o której na początku wspomnieliśmy, a z którą mamy się bliżej zapoznać.

Doświadczenia swe urządza Thomson w ten sposób, że gazem, którego skład chemiczny chce badać, wypełnia rurkę szklaną, w nią zatapia dwa druciki, mające służyć jako elektrody, przyczem jeden z nich, późniejsza katoda, kończy się zapomocą płytki platynowej, zaopatrzonej delikatnym otworkiem. Następnie gaz rozrzedza się znacznie zapomocą pompy i przepuszcza elektryczność. Poza katodą powstaje, jak wyżej widzieliśmy, promień światła dodatniego, złożony z szybko lecących cząstek gazu, naładowanych elektrycznością dodatnią. Jest rzeczą jasną, że gdy do rurki przysuniemy silny magnes, lub wzniecimy w pobliżu pole elektryczne, to promień ów, jako złożony z ładunków elektrycznych, doznać musi zboczenia, gdyż, jak wiadomo, ścisły zachodzi związek i stałe oddziaływanie wzajemne pomiędzy elektrycznością i magnetyzmem. Tego właśnie zjawiska użył Thomson w swych badaniach. Promień światła dodatniego, uchodzącego ową dziurką w katodzie, poddawał działaniu pola magnetycznego i równocześnie elektrycznego i to tak, że magnes odchylał światło dodatnie w kierunku pionowym, a elektryczność w kierunku poziomym. Wielkość tego odchylenia zależeć będzie od natężenia pola magnetycznego i elektrycznego, od prędkości, z jaką cząstka naładowana biegnie i wreszcie od stosunku jej masy do ładunku elektryczności, jaki na sobie niesie.

Mówiliśmy wyżej, że promienie dodatnie działają na płytę fotograficzną. Gdy więc na drodze owej smugi światła dodatniego, która wyszła przez otwór w anodzie, postawimy taką płytkę, choćby na najkrótszą możliwie chwilę, to po wywołaniu płyty zobaczymy ślad działania nań promieni w postaci ciemnego, ko-

listego miejsca. Gdy jednak na promień podziałamy polem magnetycznem i elektrycznem, na płytce zobaczymy nie krążek, ale szereg linii krzywych, mających kształt parabol, wychodzących z jednego punktu. Jedne z nich są rozchylone szerzej, inne węziej, większość zwrócona swemi ramionami w jedną stronę, niektóre wszakże skierowane są w stronę przeciwną.

Krzywe te stanowią właśnie owo jak gdyby widmo odfotografowane promieni dodatnich. Z nich biegłe oko Thomsona nie tylko ocenić umie, jakie są gazy, których cząstki te krzywe na płycie wykreśliły, ale nadto powie i wyrachuje z łatwością, jaka jest masa tych cząstek czyli ciężar atomowy danej substancyi. Zbyt specyalne szczegóły, mogące obchodzić tylko fachowego fizyka, nie byłyby tutaj interesujące. Powiemy tylko, że każda z tych krzywych odpowiada pewnemu gatunkowi cząstek, czyli że cząstki gazu, obdarzone tym samym ciężarem, jedną na płycie pozostawiają parabolę, z której rozwartości i kształtu odczytać można naodwrót wielkość masy cząstek.

Metoda ta, dla wprawnego badacza całkiem prosta, niezmiernie jest wyższą od sławnej i znanej powszechnie metody analizy widmowej. Widmo optyczne daje nam co najwyżej możność odgadnięcia istnienia pewnego związku lub pierwiastka i to nie zawsze z zupełną pewnością, bo wielkość i rodzaj linii barwnych, mających charakteryzować daną substancyę, zależy od okoliczności, w jakich widmo powstaje, od ciśnienia mianowicie i temperatury. W analizie zaś Thomsona zapomocą promieni anodowych z całą pewnością stwierdzamy istnienie pewnej substancyi, a to dlatego, że równocześnie oznaczamy od razu jej ciężar drobinowy a oznaczamy sposobem prostym i łatwym, z dokładnością stosunkowo bardzo wielką, bo omyłka wynosi tylko jeden procent.

Zdumiewająca jest również czułość tej metody. W gazie, w którego widmie nie było ani śladu helu, wykrywał Thomson z łatwością istnienie tego pierwiastka, oznaczając równocześnie z wielką dokładnością jego atomowy ciężar. Wogóle do oznaczania ciężaru atomowego jakiejkolwiek substancyi wystarcza tu mieć jej jedną setną część miligrama! Wobec tego, metoda ta nadaje się znakomicie do bliższego badania tak zwanych emanacyi, to

jest substancyi, wydzielanych w niezmiernie małej ilości z niektórych ciał promieniotwórczych.

Lecz jeszcze jedna doniosła zaleta metody Thomsona. By na płycie powstały owe krzywe, wystarcza na to milionowa część sekundy a więc badając jakąś substancyę, jakieś zjawisko chemiczne, dowiadujemy się tu nie tylko o rezultacie końcowym zjawiska, o ostatecznych i stałych produktach rozkładu lub syntezy, ale nadto mamy dokładnie zanotowane wszystko, co się działo od stadyum początkowego aż do końca. Na płycie bowiem ujawniły się wraz z swym ciężarem atomowym wszystkie substancye pośrednie, które tylko istniały przez jakiś łamekҳeunpy. O takiem badaniu zjawisk chemicznych nie mogła dotychczas marzyć nawet analiza widmowa, a tem bardziej jakakolwiek inna.

Z ciekawych niezmiernie wyników, do jakich doszedł Thomson już teraz, wskażemy tylko na jeden lub drugi szczegół. Tak n. p. według panującej dzisiaj teoryi kinetycznej materyi, gaz jednolity, uważa się za zbiór zupełnie jednakowych, do siebie podobnych molekuł. Wyobrażam sobie, że tlen istnieje w postaci drobin, z których każda składa się z dwóch atomów. Otóż analiza Thomsona mąci nam ten pogodny i prosty obraz i wykazuje, że stosunki wewnątrz gazu panujące są znacznie zawilsze. W tlenie chemicznie czystym znalazł Thomson aż ośm gatunków rozmaitego rodzaju cząstek, złożonych z jednego lub więcej — aż do sześciu — atomów tlenu, a prócz tego jeszcze cząstki swobodne ujemnej elektryczności, czyli ładunki elektryczne ujemne, na których masy grawitacyjnej Newtonowskiej wykryć nie można. A lista ta, według zdania Thomsona, wcale nie jest zupełną.

To samo zjawisko napotkał Thomson także i w innych substancyach, jak np. w wodorze, azocie, węglu, rtęci. Powstawaniem właśnie takich kombinacyi atomów w gazie, gdy przezeń przechodzi prąd elektryczny, tłumaczy też Thomson znany, lecz dotychczas niewyjaśniony dostatecznie fakt, że widmo optyczne wielu elementów składa się z kilku seryi linii. Rozmaitość tych linii jest wyrazem i rezultatem istnienia w gazie, chociażby on był pierwiastkiem, cząstek o różnych masach i różnych ładunkach elektrycznych.

Dalszym szczegółem, zdobytym przez Thomsona, jest istnienie atomów, obdarzonych ładunkiem elektryczności ujemnej. Ładunki takie dostrzeżono tu nie tylko na atomach takich, jak tlen i chlor, które już dawno uważano za elektro ujemne, to jest niosące w elektrolizie płynów na sobie ładunki ujemne, lecz także i na wodorze, pierwiastku wybitnie elektro dodatnim. I często w badanym gazie znachodziły się jednoatomowe cząstki wodoru dwojakiego rodzaju: jedne z nich dźwigały na sobie ładunki dodatnie, jak na cząstkę wodoru przystało, inne natomiast odstępując od naszych tradycyi, łączyły się z ładunkami ujemnymi. Fakt ten, pod względem teoretycznym bardzo ciekawy, tłumaczy Thomson w ten sposób, że atom wodoru neutralny, żadnym ładunkiem niezaopatrzony, spotkał się na swej drodze z swobodną cząstką elektryczności ujemnej, i połączywszy się z nią, stał się przez to elektrycznie ujemnym. Nastręcza też to zjawisko Thomsonowi sposobność do postawienia interesujących teoryi i poglądów na budowę i skład samego atomu.

Atom, według Thomsona, to zlepek ładunków elektrycznych. Wewnątrz dodatniej cząstki elektryczności, którą wyobrazić sobie można w kształcie kuli, mieści się pewna ilość ciałek, *corpuscles*, to jest cząstek elektryczności ujemnej. Oczywiście cząstki te ujemne odpychają się wzajemnie, jako elektrycznie równoimienne, a podlegają natomiast przyciąganiu ze strony owej kuli elektryczności dodatniej, są więc poddane różnym, bardzo skomplikowanym siłom, które wzajemnie się równoważąc, nadają na zewnątrz całemu temu skupieniu pewną większą lub mniejszą odporność. I jeżeli wszystkie te cząstki są tak ułożone, że nie mogą z łatwością wewnątrz atomu się poruszać, to wpływ ich na inne atomy, znajdujące się w pobliżu, jest bardzo mały, nie wchodzi też atom ten łatwo w połączenie chemiczne. Tak zbudowane byłyby atomy gazów chemicznie nieczynnych, jak helu, argonu, neonu, które rozsiane są po atmosferze między innemi substancyami, a jednak samolubnie wystarczają sobie zupełnie, nie wchodząc z innymi w żadne chemiczne kombinacye czyli związki. Natomiast atomy substancyi, łatwo z innymi chemicznie się łączących, prócz owych stałych, silnie i sztywnie ze sobą spojonych ciałek, zawierają

jeszcze ciałka dodatkowe, jedno, dwa lub trzy, które mogą swobodnie się wewnątrz atomu poruszać, a więc za zbliżeniem się innego atomu, mogą nań wpływać elektrycznie i sprawić, że atom, w którym się znajdują, wejdzie z owym obcym atomem w związek bardzo ścisły, tak ścisły, że utworzą jedną całość, wewnątrz której dawne ciałka ujemne mogą doznać przemieszczań, i nawet ciałka jednego atomu mogą przejść do atomu drugiego. Tak powstanie molekuła. Na zewnątrz taka molekuła nie będzie już tak żywo chemicznie oddziaływała, bo ciałka wolne straciły już dawną swobodę, i weszły w konstelacyę stałego systemu ciałek.

To oddziaływanie na zewnątrz ciałek swobodnych, naładowanych ujemną elektrycznością, mogących się swobodnie wewnątrz atomu poruszać, uzmysławia Thomson zapomocą krążka zawieszonego na nitce, na którym znajduje się pewna ilość magnetycznych igiełek. Jeżeli te igiełki wszystkie lub kilka z nich, umieszczone są na osiach, na których mogą się swobodnie obracać, wtedy za zbliżeniem się magnesu wszystkie, które tylko to uczynić mogą, zwrócą się do przybysza odpowiednimi biegunami, przyciągając go do siebie. Gdy zaś igiełki rozmieszczone są na krążku sztywnie, tak, że nie mogą się poruszać, a ich bieguny skierowane są w różne strony, to na magnes, przychodzący z zewnątrz, nie oddziaływają zupełnie. W pierwszym wypadku mamy obraz atomu skłonnego do chemicznych związków, w drugim atomu chemicznie nieczynnego, jak argonu lub helu.

Teorya ta Thomsona tem jest ciekawa, że w sposób jasny i stanowczy twierdzi to, co przedtem inni już chemicy i fizycy wypowiadali w formie nieśmiałych przypuszczeń, że mianowicie połączenie chemiczne i chemiczne zjawiska, są natury czysto elektrycznej, do tego stopnia, że u niego nawet wartościowość chemiczna, to jest zdolność atomu wchodzenia z jednym lub więcej atomami wodoru lub chlorowca w połączenia chemiczne, zależy tylko od tego, czy atom danego ciała posiada jeden lub więcej wolnych, swobodnych ciałek. Gdy wewnątrz atomu jedno tylko ciałko poruszać się może swobodnie, atom taki jest jednowartościowy, gdy dwa, dwuwartościowy i t. d.

Przypatrując się pilniej tym doświadczeniom i teoryom Thomsona, zwrócić musimy ze stanowiska więcej filozoficznego uwagę na dwie okoliczności, które z łatwo zrozumiałych przyczyn Thomson zupełnie pomija milczeniem. Otóż najpierw zapytaćby należało, czy prócz jednej dodatniej i większej liczby ujemnych cząstek elektrycznych nic więcej w skład atomu nie wchodzi? Jeżeli, jak tego prawie domyślać się każe Thomson, takby rzeczywiście było, w takim razie uczony ten staje po stronie niektórych nowszych fizyków, utrzymujących, że właściwie jest tylko elektryczność, a wszystko, co nazywamy materyą, jest tylko kombinacyą cząstek owej dwoistej, pierwotnej prasubstancyi, jaką byłaby elektryczność dodatnia i ujemna. Atom, molekuła, byłyby czemś analogicznem do systemów planetarnych, trzymanych do pewnego stopnia razem wspólną siłą grawitacyjną.

Czy taki pogląd dałby się pogodzić z twierdzeniem, przyjętem powszechnie przez filozofów katolickich, że między rozmaitemi ciałami istnieją różnice istotne, że np. atom wodoru jest czemś wewnętrznie, istotnie różnem od atomu tlenu lub drobiny wody? Zdaje nam się, że tak, chociaż bowiem atom wodoru składałby się z takich samych cząstek elektrycznych, jak atom tlenu, to jednak energia wewnętrzna jednego jest inną od energii wewnętrznej drugiego, a stąd i konstelacye, rozłożenie cząstek wewnątrz jednego jest inne, niż drugiego, a to pociąga za sobą odmienne zupełnie na zewnątrz zachowanie się i istotnie różne własności. By znowu z dwu takich atomów wodoru i jednego atomu tlenu, jak to sobie dzisiaj wyobrażamy, powstała drobina wody, na to muszą zajść istotne znowu zmiany wewnątrz obu atomów, i rezultatem tych zmian jest, jak wiemy z doświadczenia, oswobodzenie się gwałtowne na zewnątrz bardzo wielkiej ilości energii swobodnej czyli, jak mówimy w języku potocznym, mieszanina wodoru i tlenu łącząc się w wodę »wybucha«.

Przykład ten powstania wody z tlenu i wodoru naprowadza nas właśnie na drugą kwestyę, która przy omawianiu badań i teoryi Thomsona się narzuca, kwestya przez Thomsona zupełnie nie tknięta, a dla filozofów stanowiąca od dawna przedmiot bardzo interesujących sporów i dociekań. Chodzi mianowicie o to, jak

sobie wyobrazić drobinę związku chemicznego, czy atomy, które ją utworzyły, rzeczywiście, oddzielnie tam istnieją, a tylko zespoliły się ze sobą tak silnie, że na zewnątrz, w obrębie pewnych warunków, występują jako całość; czy też uległy one raczej tak istotnemu przekształceniu, że już przestały jako takie istnieć. Czyli innemi słowy, czy w drobinie wody istnieje rzeczywiście atom tlenu i dwa atomu wodoru, czy też wchodząc ze sobą w związek chemiczny, którego rezultatem jest drobina wody, zupełnie już przestały same istnieć, jak np. przestaje istnieć jajo i sperma, gdy połączywszy się razem, dadzą początek nowemu organizmowi.

Nie zamyślamy tutaj bynajmniej kwestyi tej, teoretycznie bardzo interesującej, obszernie rozwijać, gdyż na to potrzebaby pisać całe traktaty. Jak wiadomo, między filozofami — oczywiście mowa tu o filozofach, przyjmujących, że istnieją substancye, różniące się między sobą istotnie — kwestya ta do dziś jest otwartą, zaś nauki przyrodnicze, chemia, a nawet analiza widmowa, także jej nie zdołały rozstrzygnąć, ani nawet, jak się zdaje, w sposób dostrzegalny dla każdego, przechylić szalę na jedną lub drugą stronę. Jakież więc wnioski odnośnie do tego zagadnienia wyprowadzićby można z tych rzeczywiście epokowo nowych badań Thomsona?

Otóż doświadczenia Thomsona, nie dają wprost, jak się nam zdaje, znowu nic pod tym względem pewnego. Badanie pierwiastków, jak tlen lub wodór, nie mogą oczywiście dla kwestyi naszej mieć znaczenia. Gdy zaś zwrócimy się do rezultatów analizy gazów złożonych, jak np. tlenku węgla lub bezwodnika kwasu węglowego, to widzimy na płycie Thomsona jedne krzywe pochodzące tylko od węgla, inne tylko od tlenu, lecz mamy także krzywe, wykazujące istnienie oddzielnych, silnie skupionych, jako jedna całość występujących drobin tlenku, względnie bezwodnika. Czy z istnienia tych skupień atomów, z faktu, że np. w tlenku węgla występuje drobina, złożona z jednego atomu węgla i jednego atomu tlenu, jako jedna całość, obdarzona jedną, dodatnią cząstką elektryczności, można wyprowadzić wniosek, że taka drobina musi

być czemś ściśle jednolitem, i nie może być zlepkiem tylko atomów tlenu i węgla — trudno naprawdę orzec.

Inaczej natomiast rzecz się przedstawia w świetle podanej wyżej teoryi Thomsona o budowie atomu i molekuły. Tu, jak widzieliśmy, gdy dwa atomy łączą się chemicznie, tworząc drobinę nowej substancyi, doznają zmian wewnętrznych, istotnych, objawiających się w tem przedewszystkiem, że cząstki ujemnej elektryczności wewnątrz nich doznają zupełnego przemieszczenia i przechodzą nawet z jednego atomu do drugiego, przyczem i energia wewnętrzna atomów ulega zmianie. Ponieważ tutaj do istoty atomu n. p. tlenu należało, by cząstki w nim były ułożone w pewien swoisty sposób, więc oczywiście, gdy zarówno ten układ, jak i liczba cząstek ulegnie zmianie, przestaje też właściwie istnieć atom tlenu jako taki, a w drobinie wody n. p. mamy do czynienia już nie z atomami tlenu i wodoru, lecz z całością, powstałą z cząstek elektryczności ujemnej i dodatniej, należących niegdyś do atomu tlenu i wodoru. Taki obraz połączenia chemicznego da się chyba pogodzić tylko z mniemaniem tych filozofów, którzy twierdzą, że w drobinie związku chemicznego niema już atomów tych pierwiastków, z których związek ten powstał, lecz atomy, tworząc molekułę połączenia, same rozłożyły się, a więc istnieć przestały.

Z tego krótkiego przeglądu najnowszych prac Thomsona widać jasno, że otwarły się przed nauką nowe zupełnie horyzonty, nowe metody, zupełnie nieprzewidywane, dozwalające nam wniknąć w głąb najciekawszych może zjawisk przyrody, bo przemian chemicznych. Metody te, czułością zawstydzające najdoskonalsze spektroskopy, a prostotą i względną taniością idące w zawody z najprostszemi urządzeniami laboratoryjnemi, wywrą też z pewnością wielki wpływ na rozwój i poglądy chemii fizycznej.

Ks. F. Hortyński.

CZTERY OSTATNIE KAZANIA LUTRA[1].

Luter w 4-ech swoich kazaniach mianych w Eisleben, a więc w ostatnich, które wogóle wygłosił, wyłuszcza wiele swoich zupełnie osobistych zapatrywań na kwestye wiary i moralności. Te zasady, pochodzące na każdy sposób z okresu jego życia stosunkowo najwięcej dojrzałego, rozważymy tu bliżej w świetle późniejszych komentarzy. Te ostatnie bowiem jeszcze lepiej, aniżeli sam tekst Lutra, wyjaśniają najbardziej zasadniczy punkt jego nauki, co jest tem ważniejsze, iż w całej jego teoryi niema drugiej kwestyi, którąby tak jak ta, w obu obozach w fałszywem świetle była przedstawiana.

Cztery kazania Lutra w Eisleben, zawierające poniekąd testament jego sposobu pojmowania nauki o wierze i dobrych uczynkach, zostały wygłoszone wobec nadzwyczajnego napływu ludzi. Zapisek co do jednego z tych kazań, mianego 2 lutego 1546 roku, powiada, iż tak wielką była liczba słuchaczy przybyłych z okolicznych wsi i miejscowości targowych, iż nawet św. Paweł nie miałby większej, gdyby teraz głosił kazania[2]. Spisanie ich zawdzięczamy towarzyszowi podróży, a zarazem uczniowi Lutra

[1] Znakomity historyk niemiecki, ks. Grisar T. J., wywołał nie tylko w Niemczech ale i w świecie całym wielkie wrażenie nową pracą swoją, monografią o Lutrze. Monografii tej pojawiły się już dwa tomy a tom trzeci jest pod prasą. Z tego trzeciego tomu użyczył nam czcigodny autor jednego rozdziału, który niniejszem podajemy. *Redakcya.*

[2] Dzieła Lutra. Erlangen Ausgabe 20^2, str. 524.

Janowi Aurifabrowi [1]. Z ich tekstu widać, jak bardzo uwzględniał Luter stosunki okolicy, oraz swojego audytoryum. Zakorzenione w okolicach Mansfeldu, a tak Lutrowi niemiłe wielkie tolerowanie żydów, oraz pasya podnoszenia wątpliwości religijnych, żywiona lub podtrzymywana przez osoby należące do książęcego dworu, a szczególnie liberalizm w nauce obyczajów, wypływający wprost z zasady Lutra: »teraz już mogę spokojnie grzeszyć, albowiem grzechy raz na krzyżu zgładzone, nie mogą człowiekowi wyjść na potępienie« (słowa te przytacza Luter w kazaniu trzeciem) — wszystkie te kwestye zostały poruszone w obfitych co do treści kazaniach ludowych w Eisleben, i użyczają im tak barwnego tła.

Szczególnie należy wziąć pod uwagę kazanie trzecie, rozbierające ustęp ewangielii o kąkolu na roli (Mat. 13, 24 – 30). Rozprawia ono o kąkolu w Kościele i o kąkolu w nas samych. Luter mówiąc o tym drugim, rozwodzi się bardzo szeroko nad głównemi zasadami swojej etyki, mianowicie nad wiarą, grzechami i dobrymi uczynkami; wkońcu wykazuje, jak chrześcijanin winien żyć oraz wzrastać w duchu i prawdzie [2]. Zasługuje to istotnie na uznanie, że mowca, który wtedy był już bardzo cierpiący, wyraża się z wielką siłą i przychylnie o dobrych uczynkach i o walce przeciw grzechowi; rozprawia o tem jednak wyłącznie ze swego osobistego punktu widzenia, jak się to zaraz z pierwszych słów jego okazuje.

»P. Bóg przebacza więc grzech, aby tenże nie był poczytany... Lecz z tego nie wynika, żeś dlatego bez grzechu, jakoby on już zupełnie został ci odpuszczony. Wszakże czujesz w sobie niezbyt wielki pociąg do posłuszeństwa Bogu, do sakramentu i do słuchania słowa Bożego. A może sądzisz, że to nie grzech, ale bagatelka?«. »Codzień trzeba zatem, wnioskuje z tego, o przebaczenie prosić, nieustannie przeciwko sobie walczyć, grzesznym skłonnościom i zachciankom wodzy nie puszczać, ani folgować im

[1] Pierwsze z nich opracował Cruciger. Wydanie Aurifabra nastąpiło w 4 miesiące po wygłoszeniu tych kazań. W przedmowie wydawca zaznacza, że kazania niniejsze słusznie pozostaną na zawsze świadectwem nauki Lutra. Dzieła Lutra. Erl. Ausg, 20^2, str. 501.

[2] Erl. Ausg. str. 552.

wbrew własnemu sumieniu, ale ustawicznie siłę grzechu w sobie osłabiać i przytłumiać, albowiem grzechy powinny być nie tylko odpuszczone, ale zarazem do ostatka z duszy wyrugowane i zupełnie zgładzone« [1].

Do walki przeciw grzechowi, czy to pierworodnemu, czy też uczynkowemu, wzywa Luter w tem samem kazaniu słowami, wymagającemi na pierwszem miejscu szczególnej wiary oraz mozolnej pracy, któreto jednak słowa stoją w sprzeczności z przypuszczanym przez niego mimowolnym pociągiem do dobrego, który każdy sprawiedliwy w sobie czuje.

»Nasza nauka o tem, jak sobie postępować wobec grzechu i własnej nieczystości, da się tak krótko sformułować: wierz w Jezusa Chrystusa, a odpuszczone ci są grzechy; przeto stosownie do tego wstrzymuj się od grzechów, sprzeciwiaj się im, nie dozwalaj im tego, co im się podoba, choćbyś się miał walcząc z niemi i drapać, unikaj nienawiści bliźniego i oszukiwania go« i t. d. [2].

Wobec takich wymagań, aby ostro przeciw grzechom walczyć, przypominają się nam zaiste inaczej brzmiące zapewnienia Lutra, że człowiek, który przez wiarę stał się sprawiedliwym, od razu może sam ze siebie pełnić dobre uczynki Oto co mówi Luter: »a więc starajcie z wiary pozyskać sobie miłość i ochotę do służenia Bogu, a z tej miłości dobrowolnie i z wesołem usposobieniem bezinteresownie służyć bliźniemu« [3].

A gdzieindziej znów mówi: »dobre uczynki płyną z wiary i radości z tego powodu, iż tak łatwo, bez naszej zasługi otrzymaliśmy od Chrystusa odpuszczenie grzechów... Gdy wewnątrz słodko i dobrze, wtedy z chęcią wszystko czynimy i cierpimy« [4]. Następnie rozumuje iż, jak jedzenie i picie jest czynnością czysto naturalną, tak samo u człowieka sprawiedliwego wykonywanie dobrego; wyraża to zasada: »wierz tylko a dobre uczynki pójdą

---

[1] Erl. Ausg. str. 551.
[2] Tamże str. 554.
[3] Dzieła Lutra wyd. weimarskie 7, str. 36; Erl. A. 27, str. 196.
[4] Comment. in ep. ad Gal. 1, str. 196.

ci same od siebie« [1]. Jako drzewo dobre musi owoce dobre rodzić i nie może się tej właściwości pozbyć, tak samo dobre uczynki same ze siebie znajdą się tam, gdzie jest wiara [2]. Luter nazywa tę konieczność *necessitas immutabilitatis*, albo *necessitas gratuita*, t. j. konieczność podobna do tej, dla której słońce świecić musi. W r. 1536 wyjaśnia nawet Luter w swem piśmie do Melanchtona, iż zupełnie nie na miejscu jest wyrażanie się, iż wierny ma obowiązek wykonywania dobrych uczynków, albowiem on spełnia je zupełnie mimowolnie; dla tejże racyi nie mówi się, iż słońce ma obowiązek świecić, drzewo dobre ma obowiązek dobre owoce rodzić, albo, że 3 więcej 7 powinno być 10 [3].

Takie przesadne oraz idealistyczne pojmowanie rzeczy zachował Luter aż do końca swego życia, przedstawiwszy je wprzód z całym aparatem oratorskim w rozprawie p. t. *Von der Freiheit eines Christenmenschen* (o wolności chrześcijanina). Lecz w ostatnich jego latach takie pojmowanie zaczęło trochę u niego blednąć a przynajmniej już nie mówił o niem tyle, nauczony własnem doświadczeniem, że rzecz się ma inaczej. Wiara przedstawia mu się odtąd istotnie nie tak, jak przedtem, a tylko w rzadkich wypadkach, mianowicie w razie swego największego napięcia wydaje mu się tak obfitującą w skutki, jak ją dawniej opisywać lubiał. Przecenił ją w wielkiem uniesieniu, widocznie zdawało mu się, iż odkrył nieznany dotąd wpływ wiary na usprawiedliwienie człowieka.

Nadto Luter często powtarzał i zapewniał o tem także w swojem ostatniem kazaniu, że ponieważ prawdziwa żywa wiara ogarnia także uczucie, a my z tego uczucia tak mało czerpiemy popędu do wykonywania dobrego, przeto, niestety, rzadko tylko posiadamy żywą wiarę i prawdziwą pewność zbawienia.

Jeżeli chrześcijanin jest leniwy i myśli, że wszystko posiada, i dlatego nie stara się, aby wiara jego wzrastała i przybierała

---

[1] Dzieła Lutra weimarskie wydanie 12, str. 559; Erl. A. 12^2, str. 175; Galater Kommentar Weim. Ausg. 40, str. 254.

[2] Tamże Erl. A. 17^2, str. 94; 49, str. 348.

[3] Tamże str. 343 i 347.

na sile, ten nie postępuje na seryo, u takiego wiara nie może być prawdziwą. Także pobożni czują w sobie skutki grzechu (t. j. winę pierworodną), ale sprzeciwiają się im; gdzie jednak panuje wstręt do drogiego nam słowa Bożego, tam niema prawdziwej wiary. Luter czyni wiarę więcej zależną od uczucia oraz od subjektywnego wrażenia, aniżeli to odpowiada celowi etyki; jest to bowiem właśnie jego wiara specyalna, wiara w własne zbawienie. Znaleźć pociechę i wesołość z powodu otrzymanego przebaczenia grzechów i z podniesionym duchem kroczyć po drodze służby Bożej, to jest u niego podstawa prawdziwej pobożności, i taką też ideę wyraża w swojem przedostatniem, a trzeciem w Eisleben kazaniu. »Wiara prawdziwa jest miła, ożywia, pociesza i rozwesela« [1]. »Wiara trafia do serca, napełnia pociechą i weselem«; »czuje się zadowolenie wewnętrzne i siłę do wykonania wszystkiego« [2].

Ale ponieważ i w tej kwestyi oczywistość prawdy i doświadczenia w sposób niezbity świadczyły przeciw takiej nauce, przeto uciekł się Luter do poprawniejszej teoryi, o której już poprzednio z lekka natrącał. W tym drugim mianowicie sensie często przemawiał w późniejszych latach: »nie posiadamy, niestety, prawdziwej wiary, albowiem nie mamy w rzeczywistości tego wewnętrznego zadowolenia, (o którem w poprzedniej mowie wspominał) i nie możemy wiary odczuć sercem tak, jakbyśmy tego pragnęli; ale z tego właśnie poznajemy, jak głębokie korzenie zapuścił w nas wpływ starego Adama, naszej grzesznej natury i grzechu, ten ostatni właśnie przeszkadza mnie i tobie do wiary. Skoro nawet wielcy święci nie posiadają zawsze tego zadowolenia wewnętrznego i takiej silnej wiary, to tem bardziej my, inni od tamtych, z powodu naszej niewiary nie możemy osiągnąć ani wewnętrznej pociechy, ani takiej siły we wierze i chociażbyśmy chcieli uwierzyć, nie możemy dojść tak wysoko, jakbyśmy powinni [3].

Luter nie odpowiada jednak na zarzut, dlaczego żąda od drugich tego, co osiągnąć się nie da; dlaczego za punkt wyjścia

[1] Dzieła Lutra. Erl. Ausg. 20^2, 2, str. 553.
[2] Tamże, str. 548.
[3] Dzieła Lutra wyd. w Erlangen 20^2, str. 549.

swojej etyki uważa wiarę, której zaledwie tylko cień znajduje w człowieku z powodu grzechu pierworodnego, albo raczej niewiarę, wyjąwszy bardzo rzadkie wypadki u świętych i męczenników, t. zn. u ludzi szczególniej od Boga obdarzonych.

Ponieważ Luter na to nacisk kładzie, że dobre uczynki ściśle łączą się z wiarą, przeto w pismach swoich uważa za moralną pobudkę tych dobrych uczynków miłość i wdzięczność za otrzymaną wiarę. Żąda przeto w swoich eislebeńskich kazaniach od tego, który wierzy a chce pełnić dobre uczynki, aby tak sobie rzekł w sercu: Ojcze Niebieski, nie wątpię o tem, żeś mi dał Syna twojego, abym otrzymał odpuszczenie grzechów. Będę zatem przez wszystkie dni życia mego P. Bogu za to dziękował, sławić go i chwalić, i z wdzięczności za to postanawiam więcej już nie kraść, nie grzeszyć lichwą, ani nie być człowiekiem skąpym, ani pysznym, ani zazdrosnym. I dalej potem mówi: »Jeżeli tylko dobrze wierzysz, że P. Bóg zesłał na ziemię Syna swojego, to doświadczysz na sobie podobnych owoców, jakie się spodziewać należy z drzewa urodzajnego im dłużej oraz im piękniej kwitnie« [1].

W dalszym ciągu twierdzi Luter, że postęp w wykonywaniu dobrych uczynków stanowczo zależy od wytrwałego i praktycznego ćwiczenia się w cnocie wiary. Usprawiedliwienie na duszy, w razie jeśli się doń nie doszło przez szczególną wiarę, jeszcze nie wystarcza, pomimo pociechy, jakie przynosi. Trzeba raczej pamiętać na słowa św. Pawła: »ale jeśli duchem sprawy ciała umartwicie, żyć będziecie« (Rom. 8, 13), jeśli ciało twoje wzbrania się coś czynić, to dozwól Duchowi św. to wykonać [2].

Bardzo uwagi godną jest pobudka do dobrych uczynków, którą Luter wymienia, mianowicie: »aby P. Bogu dziękować, wysławiać go i chwalić« [3]; jest to jedyna kwestya, którą on nie tylko w tem kazaniu a oprócz tego jeszcze gdzieindziej bardzo często porusza. Dla miłości Bożej, która powstaje

[1] Tamże str. 554.

[2] Tamże str. 555.

[3] Porówn. str. 552: »Pomóż, aby Syna Twego z wdzięcznością wysławiał i chwalił«.

w sercu, ze względu na wdzięczność za dobrodziejstwa Jego, powinniśmy w służeniu P. Bogu czynić postępy — oto przewodnia myśl Lutra. Jest to idea bez wątpienia szlachetna, którą przejęci byli jeszcze przed Lutrem ludzie wielkiego ducha. Lecz co innego jest przedstawiać pobudkę doskonałej miłości ku Bogu, jako wyłączny i jedynie prawdziwy motyw działania, jeśli ono ma się P. Bogu podobać. Otóż właśnie nauka Lutra wskazuje ten motyw działania, jako konieczny i jedynie dobry. »Z wiary i z Ducha św. wypływa wewnętrzną koniecznością miłość ku Bogu, a wraz z nią miłość bliźniego i wszystkie dobre uczynki« [1]. Skoro bowiem z wiary poznaję, że P. Bóg dla mojego dobra zesłał Syna Swego i t. d., powiada Luter w postylli kościelnej, to nie może być inaczej, jak tylko, iż w zamian za to muszę P. Boga miłować, muszę Mu być miłym i Jego przykazania pełnić [2]. »Ale ta miłość — tego wyraźnie Luter domaga się — musi być zupełnie bezinteresowna, mianowicie miłość, jakiej już Stary Testament żądał, miłość z całego serca, która z góry przypuszcza zupełne zaparcie siebie« [3].

Widać w tem ślady owego rodzaju mistyki, którą Luter swojego czasu był przejęty [4]; przesadny idealizm, który domaga się od ludzi tego, czego przynajmniej u przeciętnego chrześcijanina wcale nie można osiągnąć, albo tylko rzadko.

Dawny Kościół zostawia wiernym do dyspozycyi bardzo wiele pobudek przy wykonywaniu dobrych uczynków, odpowiednio do różnych warunków, w jakich się ci znajdują. Więc pozwala im działać jużto z bojaźni przed Bogiem i Jego karami, jużto w nadziei otrzymania doczesnej lub wiecznej nagrody, już też z potrzeby zadośćuczynienia za popełnione grzechy, już wreszcie tym, którzy najwięcej pragną postąpić w cnocie, z miłości ku Bogu, bądź dlatego, że P. Bóg jest istotą najdoskonalszą a przeto najbardziej miłości godną, bądź też z miłości, jaka się P. Bogu należy w zamian za otrzymane od Niego dobrodziejstwa.

---

[1] Tak Köstlin razem formułuje zapatrywania Lutra, str. 206.
[2] Dzieła Erl. A. 15², str. 40.
[3] Köstlin, str. 207.
[4] Porówn. Grisar, tom 1, str. 137, 143, 191, 193, 239.

Kościół zachęcał, aby te różne pobudki zawsze w jedną wiązankę z sobą łączyć, i starał się, od najniższych pobudek zaczynając, stopniowo potem nakłaniać ludzi do najwyższych. Luter przeciwnie, dla człowieka, któryby według jego pojęcia był sprawiedliwym i zbawienia pewnym, nie tylko że inne, niższe pobudki działania wyklucza, ale i tę ostatnią jeszcze pobudkę ścieśnia do wdzięczności za odkupienie i powołanie do wiary; podczas gdy pojęcie miłości, w niebie nagradzanej, jest o wiele szersze i bardziej różnorodne. »Miłość Boga«, według pojęcia Lutra, »jest nic innego, jak wdzięczność za doznane dobrodziejstwa« [1]. Znowu z drugiej strony, tej tak ciasno pojętej pobudce miłości przypisuje Luter taką skuteczność, że wprost wszystkim ją nakazuje, nawet i tak obojętnym, że »słowa Bożego jednem uchem słuchają a drugiem wypuszczają, i którzy opowiadania o śmierci Chrystusa z takiem usposobieniem słuchają, jak gdyby im opowiadano, że sułtan turecki został przez jakiegoś Turka zabity lub inną podobną powiastkę« [2].

Czego Luter w powyższych kazaniach moralnych nie mówi?

Dotąd przytaczaliśmy co Luter mówi o wierze i obyczajach w swych ostatnich kazaniach. Pozostaje nam teraz wykazać, o czem Luter w tych kazaniach nie mówi i czego zresztą zgodnie ze swoją nauką nie mógł powiedzieć.

Po pierwsze nie mówi o życiu nadprzyrodzonem, które według odwiecznej nauki Kościoła wraz z łaską poświęcającą zstępuje do duszy usprawiedliwionego. Jak wiadomo Luter nie przyjmuje tego nowego czynnika życia w duszy człowieka sprawiedliwego, albowiem nie da się on pogodzić z usprawiedliwieniem, według nauki Lutra polegającem li tylko na zdjęciu odpowiedzialności za grzech. Nic on także nie wie o tak zwanych cnotach wlanych, z których przy pomocy łaski uczynkowej wypływa okazywaniem w czynie nowego życia, w człowieku przybranym za dziecko Boże. Zaprzeczając zupełnego odrodzenia się

[1] Köstlin str. 204.
[2] Z kazań Lutra w Eisleben, str. 548.

człowieka na duszy, ma przeciw sobie dowody Chrystusowej religii, jak to przyznaje nawet dzisiejsza protestancka historya dogmatów.

Po drugie zupełnie pomija tak zw. łaskę uczynkową. Nie wymienia jej nawet wtedy, kiedy mówi o tem, skąd człowiek czerpie siłę i zdolność do walki o dobro duszy. Tak więc jego system wcale nie sprzyja współdziałaniu w duszy człowieka dwóch czynników: naturalnego i nadnaturalnego.

Po trzecie, nie przyjmuje odpowiedniego współdziałania wolnej woli u człowieka; a uczy naturalnie niezbyt wyraźnie czegoś wprost przeciwnego. Owszem o swojej nauce o tej kwestyi wogóle chętnie milczy w przemowach do ludu [1]; obok tego jednak chwali wiarę w Ducha św. mówiąc: »Pozwól Duchowi św. to zdziałać«. A przecież już sama wiara i siła uczucia, która ma towarzyszyć wierze, jest wyłącznem dziełem Ducha św. On to właściwie w człowieku wierzy, czuje i działa, jak się o tem na innem miejscu Luter wyraża; tego jednak, co wyłącznie sam przez się P. Bóg działa w człowieku, nie możemy nazwać łaską uczynkową. Również w wyżej przytaczanej nauce o usprawiedliwieniu i dobrych uczynkach w piśmie do Melanchtona r. 1536 [2], Luter zupełnie pomija wolne działanie człowieka, mimo że ta jego rozprawa zawiera najwyraźniej naukę o tem, w jaki sposób dobre uczynki wypływają na usprawiedliwienie. Protestancki wydawca dzieła p. t. »Teologia Lutra w swoim historycznym rozwoju« czyni następującą uwagę odnośnie do tego ustępu (a to samo odnosi się do niniejszych kazań): »Kiedy Luter zawsze do tego zmierza, aby w uczynkach dobrych wartość naszej osobistej zasługi zmniejszać, a z drugiej strony swoją powagą podkreśla znaczenie wiary, oraz z wiary pochodzących natchnień wewnętrznych i porywów duszy,— to przeciwnie nic o tem nie wspomina, że każda jednostka powinna rozróżniać pomiędzy tem, co działa w niej jako natchnienie Boże, a tem co wypływa z dawnej skłonności do grzechu [3].

[1] Porów. tom I, XIV, 4: *Die Religion des unfreien Willens*, str. 511, a zwłaszcza str. 524.

[2] Wyżej str. 25.

[3] Köstlin str. 206.

Po czwarte, przedewszystkiem nie mówi Luter o prawdziwem znaczeniu moralności dla zbawienia duszy. Najlepiej teologicznie uzasadnioną i najbardziej popularną odpowiedzią w tej kwestyi jest znany już frazes Lutra: »teraz już mogę spokojnie grzeszyć, albowiem grzechy dawno na krzyżu zgładzone nie mogą człowieka potępić«. To nieprawda! Życie moralne jest do zbawienia niezbędnie potrzebne. Najbardziej przekonywujące teksty biblijne w tej materyi miał przecież Luter pod ręką, więc powinno to było zachęcić go do skorzystania z nich, a mając tak silny punkt oparcia powinien był użyć swej dzielnej wymowy, aby zupełnie pokonać swych lekkomyślnych przeciwników. Ale o konieczności dobrych uczynków do zbawienia ani słowa niema u niego; cuda wszystkie przedstawia jakoby były dokonywane wyłącznie przez wiarę, gdy uda się jej zupełnie owładnąć sercem. Naturalnie! jeżeli usprawiedliwienie jest dla duszy czemś zupełnie biernem, wyłącznie przez Ducha św. w duszy zdziałanem, który wiarę sam w niej wzbudza a ta wiara jak gdyby tarczą zasłania tylko zewnętrznie wszystkie grzechy, to całe znaczenie życia duchownego jest tylko biernością, ma charakter tylko bierny i niema wtedy mowy o osiąganiu zbawienia wiecznego przez uczynki dobre w stanie łaski spełnione. W nadmienionym już wyżej piśmie do Melanchtona, umieścił Luter na samym końcu następujące pytanie: »czy też prawdziwem jest to twierdzenie, że dobre uczynki konieczne są do zbawienia?« Odpowiadając na to pytanie Luter tak kwestyę rozstrzyga: »uczynki same nie wysługują dla duszy, ani nie sprawiają w niej przez się usprawiedliwienia, ale mają koniecznie towarzyszyć tej wierze, która do usprawiedliwienia prowadzi«. Takiem rozróżnieniem rzeczy Luter zostawia kwestyę na tem samem miejscu; a zamiast dania odpowiedzi w sprawie najbardziej żywotnej, zbywa rzecz żartem o czysto przypadkowem i tylko zewnętrznem znalezieniu się dobrych uczynków w chwili przyznania człowiekowi wieczystej nagrody. Ironia ta zawiera się w jego słowach: »ich werde auch dabei sein, sagt jener Gesell, da man ihn henken sollte, und andre Leute sehr nach dem Galgen liefen« [1].

[1] Erl. Ausg. 58, str. 346.

Tem żywiej, stosownie do swego zwyczaju, przedstawia Luter w ostatniem kazaniu naturalną skłonność do grzechu, pozostałą w człowieku wskutek grzechu pierworodnego. Oto jego słowa:

»Grzech, który jeszcze w nas tkwi, zmusza człowieka, aby nie dozwolił, by wiara jego i uczynki weszły w życie [1], albowiem nie jest on jeszcze bez grzechu, jakkolwiek z pewnością otrzymał odpuszczenie grzechu i przez Ducha św. uświęcony został. Z powodu tego plugastwa, które pozostaje w człowieku, los tegoż w miarę przybywających lat, staje się coraz to przykrzejszy — »je älter je kärger, je länger je ärger«. Nie możemy się w żaden sposób rozłączyć z grzesznem ciałem [2], dlatego nawet wiele najlepszych dusz nie pyta się wcale o życie wieczne. Z powodu tej nieszczęsnej skorupy odkrywającej nasze ciało, nie możemy się tak wysoko wznieść, jakbyśmy powinni« [3].

Skoro oświadczono, że wina grzechu pierworodnego wraz ze swojemi następstwami człowiekowi (ochrzczonemu) dalej za rzeczywisty grzech poczytaną bywa, (»bo i pokusy przeciw szczerej chęci służenia P. Bogu, już są grzechem«) [4] to nie trzeba się było dziwić, że takie pytanie postawiono Lutrowi: »skoro grzech jest we mnie, jakże mogę podobać się Panu Bogu?« Pytania tego, odnośnie do ochrzczonych i do odpuszczonej na chrzcie winy grzechu pierworodnego przed Lutrem nigdy nie stawiano. Dawna nauka Kościoła tłumaczyła bowiem zawsze, że grzech pierworodny zostaje przez chrzest św. zgładzony, zła skłonność do złego zostaje po chrzcie w człowieku aż do ostatniego jego tchnienia, lecz zupełnie bez winy z jego strony, jak długo na grzech dobrowolnie nie zezwala. Tem mniej trzeba było się dziwić, że wielu, którzy z niedobrowolnych poduszczeń do grzechu, za które nie mogli odpowiadać ani poczuwać się z tego powodu do winy, zaczęło wogóle wątpić w odpowiedzialność za złe czyny, oraz we wszelką możliwość życia moralnego.

---

[1] Erl. Ausg. 20², 2, str. 548.
[2] Tamże str. 545.
[3] Tamże str. 549.
[4] Tamże str. 551.

Nadto ciągłe ćwiczenie się w wierze i walka z grzechem ma ostatecznie do tego prowadzić, »aby grzechy nie tylko zostały przebaczone, ale także w końcu zupełnie z duszy usunięte i zgładzone, a to, aby cuchnące i przeżyte ciało ludzkie nie pierwej dostało się do nieba, aż przedtem zostanie oczyszczone i do piękności doprowadzone« [1].

W idealistyczno-mistycznem przypuszczeniu, jakoby zawiniona pożądliwość mogła wkońcu zostać zupełnie z duszy usunięta, żąda Luter, aby z ufnością dalej wierzyć, pomocy Bożej wzywać, z ułomności swej poprawiać się i przeciw złemu walczyć, aż wreszcie do tej zmiany w grzesznem ciele doprowadzi się, że grzech w niem zupełnie ustanie [2]; co naturalnie według jego twierdzenia dopiero w niebie się spełni. Jednak własne doświadczenie jego, co innego mu wskazywało, o ile tylko chciał to spostrzedz.

Zarzewie grzechu, jak Kościół katolicki trafnie uczy, nie da się u człowieka za jego życia zupełnie usunąć, ani całkowicie zgasić; jakkolwiek można je przytłumić i przez używanie środków łaski Bożej uczynić dla życia duchownego nieszkodliwem. Jakkolwiek Kościół pod względem moralności do najwyższych ideałów sięwznosi, to jednak nie wymaga od człowieka tego, czego mu osiągnąć niepodobna. Luter zaś odstępując w swojej etyce od linii granicznej wskazanej przez Kościół, popadł w dziwaczną doktrynę, w której miesza źle zrozumiany, niedościgniony idealizm, ze zbytniem ustępstwem dla ludzkiej słabości.

Ks. H. Grisar.

---

[1] Kazania w Eisleben, str. 551.

[2] Tamże str. 546.

NOWE PRĄDY W SOCYALIZMIE FRANCUSKIM.

(Ciąg dalszy).

Syndykalizm nie ma gotowego programu na przyszłość Rzeczywistość, zdaniem jego, jest w ciągłym rozwoju, życie jest zmienne, a więc nie da się ująć, nie da sobie narzucić, jak chce marksizm, abstrakcyjnych, stałych i niezmiennych formuł. On wyznaje, że nie wie co będzie jutro, że nie ma gotowej konstytucyi dla przyszłego ustroju społecznego. Dopiero okoliczności, czas, doświadczenie i talent okażą to, co jest lepsze i jak się stosunki ułożą. W chwili dogodnej wyrosną instytucye same przez się pod presyą wypadków i potrzeb. W miarę rozwoju wypadków ukażą się nowe horyzonty, nieprzewidziane perspektywy i metody, różne możliwe realizacye. I na tem dopiero co przyszłość objawi i doświadczenie nabyte wskaże, będzie opierać się praca organizacyjna.

Zasadniczą jednak podstawą przyszłej budowy społecznej, według planu syndykalistów, mają być spółki produkcyjne, oparte na zasadzie wolności i równości i zupełnej autonomii.

Organizacya ekonomiczna społeczeństwa, wywodzi Panunzio, opiera się na kierownictwie i koordynacyi pracy. Niepodobna sobie wyobrazić mechanizmu produkcyi, pracującego na oślep i w sposób bezładny. Na produkcyjny organizm ekonomiczny składają się dwa czynniki: kapitał i praca, które łączy i w ruch wprowadza kierownik, pełniący kontrolę nad całem przedsiębiorstwem. Dziś kierownictwo to trzyma w ręku przedsiębiorca kapitalistyczny. Otóż forma ta produkcyi »nie przypada do miary

naszych pojęć dzisiejszych. Samo istnienie (przedsiębiorcy-kapitalisty) wywołuje protest i walkę robotników najemnych, chociaż przez rozdział czynników produkcyjnych funkcya jego, odpowiadająca zresztą prostym wymaganiom technicznym, jest tylko konsekwencyą dzisiejszych warunków ekonomicznych. Przedsiębiorca jest zawsze kapitalistą, który sobie przywłaszcza nadwartość pracy i z tej nadwartości ciągnie zyski przedsiębiorstwa, po zwróceniu kapitału i procentów kapitaliście handlowemu« [1]. I dlatego syndykalizm chce oprzeć przyszłą budowę społeczną i ekonomiczną na spółkach produkcyjnych, będących w posiadaniu kapitałów i środków produkcyjnych. Ale mają to być spółki specyalne, zbudowane na zasadzie wolności i równości. »Robotnicy w niczem nie chcą naśladować form organizacyjnych burżuazyi«. Syndykalizm dąży nie tylko do zniesienia pracy najemnej i zawisłej we wszystkich jej formach ale i do usunięcia wogóle wszelkiej karności hierarchicznej, czy ta karność wynika z istoty i układu społecznego, czy organizacyi technicznej i ekonomicznej. Praca wolna w wolnem społeczeństwie, oto hasło ich nietykalne. Zapewne i w ich mniemaniu produkcya warsztatowa i fabryczna nie obejdzie się bez kierownictwa i karności warsztatowej, ale kierownictwo to i karność nie mają być narzucone z zewnątrz czy z góry przez przełożonego. Ona ma być rezultatem wzajemnego porozumienia się i dobrej woli i wspólnych aspiracyi i interesów producentów t. j. robotników.

Druga zasada podstawowa syndykalistycznej spółki produkcyjnej, to wyłączność klasowa. Syndykaty i spółki składać się mają z ludzi, należących wyłącznie do tej samej klasy. Każda inna bowiem spółka i łączność bez trwałej będzie podstawy i niezgodna wogóle z naturą spółki. I dlatego już dziś z syndykatów wyklucza się bezwzględnie polityków zawodowych, urzędników wszelkich kategoryi i burżujów. Tylko robotnik najemny może być członkiem dzisiejszych syndykatów. Panuje tu hasło klasowe w całej bezwzględności: robotnicy tylko dla robotników.

Tak ze syndykatów i spółek wytworzy się »nowe społeczeń-

[1] Panunzio w zeszycie grudniowym *Mouvement socialiste*, 1910 r

stwo, które nie będzie państwem, lecz czemś zupełnie przeciwnem niż państwo i powstanie nowy system techniczny i pedagogiczny działalności ludzkiej, self government pracy«.

I ku tej społeczności nowej, która jak złudne marzenie promienieje w zamglonej dali, idą już dziś liczne zastępy uświadomionych robotników, skupione w kadrach syndykalnych i na właściwym sobie terenie produkcyjnym, na zdobycie fabryk i warsztatów kapitalistycznych, ażeby je w danej chwili przekształcić w produkcyjne spółki syndykalistyczne. Na przeobrażeniu bowiem wasztatu ma polegać cała rewolucya socyalna. Warsztat bez hierarchicznego ustroju i autorytatywnego kierownika ma być tym wzorem pierwotnym, według którego ma się kształtować przyszłe społeczeństwo syndykalistyczne. Wszystko, co nie jest funkcyą tego warsztatu ma zniknąć. »A więc w pierwszym rzędzie władza państwowa, która przedstawia par excellence społeczeństwo nieprodukcyjne, społeczeństwo pasożytne. Można powiedzieć, że dla syndykalizmu tylko imperatyw kategoryczny produkcyi ma wartość i znaczenie: imperatyw, polegający na produkcyi coraz więcej się udoskonalającej: oto cel, do którego dążyć należy i postulat fundamentalny filozofii życia«.

Zanim atoli te spółki syndykalistyczne wejdą w skład przyszłego społeczeństwa i staną się jego komórkami składowemi, już dziś syndykaty mają robotnikom uświadomionym dostarczyć środków do spotęgowania rewolucyjnej działalności, zorganizowania opozycyi przeciwko społeczeństwu burżuazyjnemu. I pod tym względem już dziś syndykaty mają być dla elity robotniczej szkołą kształcącą i ogniskiem, potęgującem ich energię twórczą i pracę rewolucyjną.

Ale czy przeobrażenie takie jest możliwe? Nie tylko możliwe, odpowiadają syndykaliści, ale w mocy robotników jest przyspieszyć tę chwilę, która tem bliższą będzie urzeczywistnienia im lepiej robotnicy będą uświadomieni, zorganizowani i wykształceni do objęcia produkcyi i cyrkulacyi i podziału dóbr społecznych. Oczywiście przeobrażenie to, mówią oni, nie dokona się w jednym dniu. Podczas gdy niektórzy socyaliści codziennie przepowiadają rewolucyę socyalną, syndykaliści utrzymują, że nie wiedzą kiedy

to przeobrażenie nastąpi i czy się wogóle dokona w ten sposób, jak robotnicy sobie wyobrażają. W każdym razie nie jednym zamachem śmiałym i krwawym chce syndykalizm zdobyć twierdzę kapitalizmu i zbudować nowy porządek rzeczy. Ale przeciwnie, powoli i metodycznie, w części przez akcyę rewolucyjną, w części cierpliwą i szarą pracą codzienną, posuwając się naprzód, zamierza syndykalizm zawładnąć dzisiejszem państwem i światem produkcyi i komunikacyi. Wszystko ma w tej robocie destrukcyjnej i reorganizacyjnej być roztropnie rozważone i odmierzone. Niepostrzeżenie, ale bezustannie, mówią, trzeba pracować i bezustannie i niestrudzenie ataki silne, gdzie okaże się potrzeba, powtarzać. Przedewszystkiem zaś należy wystrzegać się pośpiechu, który częstokroć kompromituje najlepsze wysiłki i udaremnia na długie lata robotę rewolucyjną. Przeobrażenie to, mówi jeden z wodzów, »nie będzie rezultatem jakiejś cudownej interwencyi *deus ex machina*, ale cierpliwych wysiłków robotników. Wolność nie zejdzie nagle z nieba, jak zbrojna Minerwa, która lśniąca wyskoczyła z głowy Jowisza. Zdobyć wolność, to znaczy zebrać w jedno tysiące zdobytych wolności i pogrzebać tysiąc umarłych autorytetów«.

Gdy w wiekach średnich, mówią, począł zarysowywać się na widowni społecznej ruch miast, nikt nie mógł przewidzieć, jak się to skończy, ani przepowiedzieć, na jakiej podstawie oprze się budowa społeczna, która miała zastąpić porządek feudalny. Żaden plan wykończony rekonstrukcyi socyalnej nie przyświecał umysłom ówczesnej burżuazyi, która zabrała się do zburzenia starego gmachu. Ona tylko miała jeden cel jasno określony i jedno postanowienie, żeby się wyzwolić z pańszczyzny i opieki feudalnego pana. Mieszczaństwo średniowieczne tylko popierało te energie i czynniki rozwojowe, które tkwiły i wyrobiły się w ówczesnych jednostkach i organizacyach i pod wpływem tej wytrwałej pracy i niepowstrzymanych sił przyrody dokonało się powoli bez wstrząśnień zbyt gwałtownych owo głębokie przeobrażenie, z którego powstały wolne miasta i potęga cechów średniowiecznych.

W podobny sposób i proletaryat dzisiejszy pracować będzie nad przeobrażeniem społeczeństwa kapitalistycznego.

A teraz przypatrzmy się praktycznej pracy i taktyce rewolucyjnej syndykalistów.

Jaskrawy wyraz tej pracy mamy w słynnej ankiecie syndykalistycznej, urządzonej z polecenia kongresu lionskiego (1901 r.), która naiwną i groźną prostotą swoją wprawiła w zdumienie i przerażenie Francyę całą. Rozesłano wówczas następujący kwestyonaryusz syndykatom:

1) Jakby sobie począł wasz syndykat, ażeby z organizacyi bojowej przekształcić się w organizacyę produkcyi?

2) W jaki sposób syndykat zagarnąłby w posiadanie przyrządy produkcyjne do waszego zawodu się odnoszące?

3) Jak wyobrażacie sobie pracę świeżo zorganizowanych fabryk i warsztatów?

4) Jeżeli wasz syndykat pracuje w dziedzinie komunikacyi (zajmuje się transportem produktów i osób) albo w przemyśle handlowym, jak wyobrażacie sobie w przyszłości jego działalność?

5) W jaki sposób ukształtowałyby się wasze stosunki po skończonej reorganizacyi do związku zawodowego albo przemysłowego?

6) Na jakiej podstawie ma się dokonać w przyszłości podział produktów i w jaki sposób grupy produkcyjne zaopatrywałyby się w materyały surowe?

7) Jaką rolę spełniałaby giełda pracy w przekształconem społeczeństwie i jaki byłby jej udział w dziedzinie statystyki i w sprawie podziału produktów?

Comité Confédéral
Sekretarz: Victor Griffuelhes.

A teraz odpowiedzi ankietowe. Związek paryskich pracowników, zatrudnionych w złotnictwie, pisze: »W przekonaniu, że strajk generalny odniesie tryumf, przyrządy produkcyjne należą do nas; w okresie rewolucyjnym one przejdą w nasze posiadanie«.

Mniejszy związek zawodowy robotników budowlanych w departamencie Seine p. t. Les Egaux pisze: »Wystarczy, żeby klasa robotnicza, która logiką rzeczy wytworzyła przyrządy produk-

cyjne, wzięła w posiadanie wszystko, co konieczne będzie do produkcyi«. Na pytanie zaś co do podziału produktów odpowiada: »Podział produktów dokonywać się będzie przez wydział lokalny, stosownie do życzeń organów, którym poruczono ten urząd, na podstawie statystyki, rejestrującej produkcyę i konsumcyę i zachodzącą różnicę w każdej miejscowości«.

Związek robotników rolnych w Mère proponuje, żeby wszystka ziemia uprawna przeszła w zarząd federacyi rolniczej, składającej się z dwu komisyi, jednej dla statystyki i rozdziału pracy, drugiej dla chemii rolniczej.

Ankieta ta naiwną swą prostotą i nierozgarnioną oryentacyą rozbraja wprost czytelnika, ale był to czas romantyzmu tylko rewolucyjnego, który niebawem miał popchnąć ruch cały na drogę praktycznej roboty rewolucyjnej.

»Romantyzm rewolucyjny, pisze w lat kilka po owej ankiecie jej sekretarz, stanowił jedną fazę ruchu robotniczego i wielki miał wpływ na jego rozwój. On przygotował obecną pracę. Bez tego przygotowania, można powiedzieć, że syndykalizm nie byłby tem, czem jest dzisiaj t. j. teoryą i praktyczną akcyą klasy robotniczej...

Podczas tego okresu nie troszczono się wiele o organizacyę. Byłaby to strata czasu! Nie było zresztą powodu, żeby się organizacyą zajmować. Przecież rewolucya z założonemi rękami była blizko. Szczęściem zmieniła się sytuacya i pociągnęła za sobą rozwój życia w organizacyach zawodowych, gdzie było pełno pracy. W ten sposób klasa robotnicza wyzwoliła się z rewolucyonizmu mistycznego i związała się z pracą codzienną i życiem realnem.

To wyzwolenie dokonywało się powoli. Prawda, ono nie jest ani absolutne ani zupełne, wystarczające jednak, żeby wykazać jego konieczność i iść naprzód w tym kierunku. Ale i tu żywy ruch robotniczy więcej znaczy, niż logiczne wywody. Wkrótce też wszyscy nasi bojownicy przekonają się, że rzeczywista akcya rewolucyjna jest ta, która w życiu codziennem wartość rewolucyjną proletaryatu pomnaża i potęguje.

Strajk, który prowadzi, dzięki potężnym i ruchliwym organi-

zacyom zawodowym, silna klasa robotnicza, osiągnie więcej, niż całe biblioteki. Strajk wychowuje, wzmacnia, zapala i tworzy« [1].

W chwili obecnej więc cała akcya i taktyka rewolucyjna syndykalizmu zmierza do organizacyi walki klasowej i strajku generalnego.

»Dzisiejszy dramat socyalny, mówi jeden z teoretyków syndykalizmu, rozgrywa się pomiędzy burżuazyą a proletaryatem. Klasa robotnicza jest dziś klasą rewolucyjną podobnie jak burżuazya taką była ongi, kiedy pod *l'ancien régime* walczyła przeciwko systemowi feudalnemu. Dziś ona jest jedyną klasą rewolucyjną, bo ze wszystkich klas ludowych, które są wyzyskiwane, jej wyzwolenie tylko sprzeczne jest z zasadniczemi podstawami kapitalizmu, z instytucyą własności prywatnej i organizacyą państwową, bo ona jedna nie zrosła się ani z własnością ani z państwem« *(se trouve en dehors de la propriété et de l'État).*

Organizacyą zaś walki klasowej zajmuje się praca rewolucyjna syndykatów, zamykająca się w haśle bojowem *l'action directe.*

Co znaczy to słowo?

»Organizacya walki klasowej, zmierzająca ku celom rewolucyjnym tai się w tem haśle«, objaśnia Lagardelle.

L'action directe ma za cel ostateczny zniesienie pracy najemnej, tłumaczy inny wódz syndykalizmu Griffuelhes. Treść istotna atoli tego hasła nie ogranicza się na nadziei, lecz polega na bezustannej pracy i działalności klasy robotniczej w tym kierunku. »L'action directe, mówi on, to znaczy akcya robotników samych, która bezpośrednio od nich wychodzi. Robotnik sam sobie radzi, sam osobiście oddziaływa na władze, którym podlega, ażeby zdobyć sobie upragnione korzyści. W akcyi bezpośredniej robotnik sam stwarza swoją walkę i prowadzi ją odważnie w kierunku wyzwolenia, polegając tylko na własnych siłach« [2].

»My nie wyrażamy naszego oburzenia przez delegacye, my działamy bezpośrednio«, pisze Pierrot [3].

---

[1] *L'action directe* z dnia 23 kwietnia 1908 r. w *Archiv für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik* r. 1909, t. 28, str. 178.

[2] *Mouvement socialiste,* 1905, I, 14.

[3] Pierrot: *Syndicalisme et Revolution.* Paris 1905, str. 31.

A inny teoretyk dodaje: »Taktyce, polegającej na tem, żeby spory, wynikające pomiędzy wyzyskiwanymi a wyzyskiwaczami łagodzić zapomocą komisyi, złożonych z obu stron (rada pracy), żeby przygotowywać ustawy i rozporządzenia również zapomocą komisyi (najwyższa rada pracy), czuwać nad ich wykonaniem (komisye departamentowe) i t. d. i t. d. albo zasadzającej się na tem, żeby od centralnej władzy uzyskać wysadzenie sądu rozjemczego... taktyce tej przeciwstawiamy akcyę bezpośrednią proletaryatu, która działa poza sferą każdej oficyalnej czy półoficyalnej ingerencyą i kończy się ze sporem ją wywołującym« [1]. Taka akcya, zdaniem Pierrota, jest najlepszym środkiem wychowawczym proletaryatu. W takiej walce hartuje się myśl i uczucie, potęguje odwaga i poczucie osobistej godności i budzi siła woli.

W rozumieniu tedy syndykalistów l'action directe znaczy przedewszystkiem, że robotnicy chcą oprzeć się na własnych siłach i bezpośrednio traktować z pracodawcami i rządem. Nie wyklucza to więc środków pokojowych i pewnego wnioskowania i pewnych ustępstw i pewnej dyplomacyi.

Z drugiej jednak strony akcya bezpośrednia zmierza konsekwentnie do zniesienia pracy najemnej i rewolucyi socyalnej. Ona ma rozniecać i podtrzymywać ognie walki klasowej. A więc zapał bojowy i podtrzymywanie tego zapału zapomocą akcyi rewolucyjnej na ulicy i w warsztatach i organizacya walki klasowej i jasne perspektywy przyszłego społeczeństwa, słowem, cała psychologia i taktyka rewolucyjna syndykalizmu i wszystkie miraże jego celów ostatecznych mieszczą się w tem haśle.

Syndykalistyczny ruch robotniczy we Francyi nie opiera się, jak w Niemczech lub Anglii, na systematycznej pracy organizacyjnej. Liczba członków podlega tam ciągłym fluktuacyom a gospodarka finansowa w syndykatach jest marna. Skoro więc nie można walki klasowej ująć w systematyczną pracę organizacyjną, trzeba ją oprzeć na czynniku emocyonalnym i budzić i podtrzymywać zapał bojowy wśród robotników. W jaki sposób? Przez

[1] Paul Delesalle: *Les deux Méthodes du Syndicalisme.* Paris 1905, str. 7.

żywe słowo i druki, przez ruchliwą agitacyę rewolucyjną, przez organizowanie strajków i bojkotów, przez rozmyślne niszczenie maszyn lub produktów. Celem zaś tej roboty rewolucyjnej jest osłabienie i podkopanie zasadniczych podstaw, na których organizacya dzisiejszego systemu kapitalistycznego się opiera, t. j. patronatu i państwa i przygotowanie strajku generalnego, który ma wszystkie fabryki i warsztaty i ziemię oddać w ręce syndykalistów.

Zwyczajną formą tej walki klasowej i rewolucyjnej, która wre na terenie ekonomicznym, są strajki lokalne. Strajki te, które każdy syndykat na własną odpowiedzialność prowadzi, mają na celu z jednej strony polepszenie płacy i warunków pracy, a z drugiej są rodzajem ćwiczeń bojowych celem przygotowania się do strajku generalnego i rewolucyi socyalnej.

»Cel materyalny strajków, mówi Berth, polegający na zdobyciu większej płacy i skróceniu czasu pracy jest w gruncie tylko celem pozornym, motywem grubym i powierzchownym. Zyskiem rzeczywistym strajku to korzyść moralna, polegająca na rosnącej łączności, to nowe pojęcia jurydyczne, które się wyrabiają w ciągu walki samej w sumieniu robotników... Strajki, z dniem każdym coraz potężniejsze i coraz rozleglejsze, o rytmie coraz pewniejszym, okazują zdumionemu światu kolektywną siłę robotników, która z każdą chwilą coraz więcej się uświadamia i panuje nad sobą. Strajki stały się zjawiskiem społecznem *par excellence*. To armia robotnicza, która porusza się z precyzyą i odwagą i cudowną dyscypliną. Strajki przybierają postawę coraz więcej bojową. One są naprawdę wojną na teren socyalny przeniesioną i można zastosować do nich słowa Proudhon'a o wojnie: one działają na dusze, jak huk grzmotu, jak głos huraganu«.

Za strajkiem idzie bojkot, label i sabotaż. Czem w dziedzinie ekonomicznej jest wielka klątwa kahalna dla żydów, tem w myśl robotników ma być bojkot dla pracodawców. Gdzie organizacya i solidarność robotników jest wielka, bojkot jest w rękach robotników niemniej straszną bronią, niż strajk i może dla przedsiębiorcy stać się klęską prawdziwą. Kto bowiem, przedsiębiorca czy przemysłowiec, dotknięty został klątwą bojkotu, robotnicy zrywają z nim wszelkie stosunki ekonomiczne. W pracowni, w przedsię-

biorstwie takiem nie wolno pracować ani nic kupować. Ażeby nie narazić się na straty, zwyczajnie tedy przedsiębiorca ustępuje, zwłaszcza, jeżeli nie może oprzeć się o żadną organizacyę obronną. W ruchu syndykalistycznym polecono bojkot, jako jeden z najskuteczniejszych środków bojowych, osobną uchwałą na kongresie w Toulouse 1897 r.

Inną bronią syndykalistów już nie destrukcyjną, ale ożywioną tym samym duchem walki klasowej i podobno bardzo skuteczną jest t. zw. label. Na czem polega ten środek? To znak syndykalny położony obok firmy przedsiębiorstwa w dowód przyjacielskich stosunków firmy z syndykalistami. Znak ten ma moc atrakcyjną dla robotników, ażeby zaopatrywali swoje potrzeby w danych firmach i dla przedsiębiorców, żeby przyjmowali warunki pracy, ułożone przez syndykaty.

Inną jeszcze bronią, stosowaną coraz częściej przeciwko przedsiębiorcom i używaną we Francyi przy każdym prawie strajku, to t. z. sabotaż. Sabotaż wywodzi swój początek z Anglii i polegał pierwotnie na oporze biernym »ca'canny«. Powiedziano sobie: trzeba sobie pofolgować w pracy. Za lichą płacę należy się marna praca. Później przyjęła się inna metoda, polegająca jużto na marnowaniu pracy i materyałów surowych, jużto na psuciu przyrządów i maszyn lub zniechęcaniu publiczności do danego przedsiębiorstwa, słowem, ażeby właścicieli fabryk i warsztatów przynaglić lub zmusić do ustępstw, usiłowano im wyrządzić dotkliwe szkody materyalne. Na kongresie w Toulouse (1897) posunięto się nawet do uchwalenia w tym kierunku rezolucyi, polecającej robotnikom w celu wywarcia nacisku na pracodawców bojkot i sabotaż. Teoretycy syndykalizmu wprawdzie potępiają tę barbarzyńską formę walki z pracodawcami. »Podobna praktyka, mówi Georges Sorel, nie przynosi tym, którzy się nią posługują, zaszczytu i nie służy robotnikom za drogowskaz na drodze wyzwolenia«.

»Niszczenie produktów i maszyn, wyraża się oględniej Hubert Lagardelle, kłóci się, zdaje się w sposób dziwny z istotnemi zasadami syndykalizmu. Celem bowiem syndykalizmu jest dobra organizacya warsztatu, polegająca na dobrowolnej kooperacyi robotników i rozwoju ich zdolności w kierunku technicznym. A więc

wielce sobie cenić trzeba i produkt i maszynę, które są najpiękniejszym owocem i najlepszym środkiem pracy ludzkiej. Trzeba raczej uważać sabotaż za rozpaczliwy środek walki, który w systemie syndykalizmu, dążącego do organizacyi warsztatów pracy, miejsca mieć nie powinien. Skoro socyalizm robotniczy dąży do organizacyi społeczeństwa, składającego się wyłącznie z robotników, skoro warsztaty mają być komórkami tego społeczeństwa, to uchwały, godzące w zasadnicze podstawy technicznej produkcyi, mieszczą w sobie zasadniczą sprzeczność [1].

Cóż znaczą atoli uwagi teoretyczne wobec akcyi rozkołysanych namiętności rewolucyjnych. To też w walce i życiu codziennem, w ciągu strajków zwłaszcza, spotykamy się aż do chwili obecnej w każdym prawie dzienniku z dzikimi objawami sabotażu.

Ostatnim wreszcie celem akcyi rewolucyjnej syndykalistów, to strajk generalny, który cios stanowczy ma wymierzyć państwu i pracy najemnej i zmieść je z widowni historyi. »Strajk generalny, mówi jeden z wodzów, poprzedzony i przygotowany przez strajki zawodowe albo terytoryalne, przekształcić się musi w rzeczywistą rewolucyę«.

W rozumieniu syndykalistów strajk taki jest możliwy. Ażeby go przygotować i wywołać nie potrzeba zgoła, jak to socyaliści niemieccy zdają się mniemać, rozszerzać organizacyi na wszystkie masy robotnicze. Wystarczy elita dobrze wyćwiczonych i zorganizowanych robotników, żeby poruszyć masy i wziąć w posiadanie warsztaty i fabryki i ziemię i wszystkie wogóle środki produkcyjne i komunikacyjne. Zresztą strajk generalny, zdaniem syndykalistów, nie da się przeprowadzić według planu z góry powziętego. On niepostrzeżenie przeobrazi się w rewolucyę, a »rewolucya wytwarza się pod wpływem sił elementarnych, jak cyklon, albo trzęsienie ziemi«, mówi Pouget, powołując się na słowo rewolucyonisty amerykańskiego Spiesa, który w roku 1886 w Chicago został stracony. Zdaniem syndykalistów strajk generalny jest nie tylko możliwy, ale jedynym środkiem i potęgą, zdolną przełamać i skruszyć dzisiejszy system kapitalistyczny i organizm państwowy.

---

[1] *Archiv für Sozialwissenschaft.* t. 26, str. 114.

»Jeżeli w obecnych warunkach, czytamy w broszurze wydanej przez komitet strajkowy, Comité de la Grève Générale, ograniczymy się do tego, co w obecnej chwili możliwe, rewolucyjny strajk generalny okaże się dla klasy robotniczej, jako jedyny i jedynie skuteczny środek do zupełnego wyzwolenia się z jarzma kapitalistycznego i państwowego« [1].

Wprawdzie na razie, mówią, strajk generalny jest niemożliwy. Robotnicy nie są jeszcze w tym kierunku dość wyrobieni ani do statecznie zorganizowani. Za mało jeszcze wśród nich karności, uległości i zapału rewolucyjnego i za mało organizacyi. Dziś jeszcze akcya strajkowa zamieniłaby się w klęskę nieobliczalną w skutki dla ruchu robotniczego.

Zresztą na ruinach trzeba wznieść nowy gmach społeczny. »Wstrzymanie się od pracy produkcyjnej w społeczeństwie kapitalistycznem nie będzie pracą tylko burzycielską. Za strajkiem pójdzie zawłaszczenie społecznych środków produkcyjnych i reorganizacya społeczeństwa według planu komunistycznego za pomocą syndykatów. Organizacye te przekształcą się w ogniska nowego życia i skruszą i zniszczą ogniwa, jak państwo i gminy municypalne starego społeczeństwa. Ogniskami łączności społecznej będą odtąd federacye korporatywne i unie syndykalne i na te organizmy przejdą niektóre funkcye społeczne dziś będące w rękach władz publicznych i komunalnych«.

Otóż do tej pracy pozytywnej i organicznej robotnicy jeszcze zgoła nie są przygotowani. Po strajku pozostałyby tylko ruiny i zamieszanie.

Zresztą mało na tem zależy czy ta wielka katastrofa socyalna nastąpi prędzej czy później. Główna rzecz w tem, żeby myśli i uczucia rewolucyjne bezustannie żłobiły sobie łożyska w sercach i umysłach świata robotniczego, żeby pracowano nad przybliżeniem i przygotowaniem się i pod względem zawodowym i moralnym do tej wielkiej chwili dziejowej.

A z drugiej strony równocześnie i bezustannie trzeba prowadzić walkę nieubłaganą bez przerwy i bez wytchnienia z przed-

[1] *Grève générale reformiste et grève générale révolutionaire.*

siębiorcami i państwem i systematycznie i stopniowo podkopywać ich powagę i potęgę. Bo tylko rząd słaby i społeczeństwo rozstrojone będzie można przezwyciężyć i po zwycięstwie nowy zbudować porządek.

W gruncie rzeczy wiara zamglona i jasna zarazem, *tout ensemble confuse et précise,* w skuteczność strajku generalnego z wszystkimi jego mirażami tkwi żywo tylko w fantazyi i świadomości mas robotniczych. W kołach natomiast miarodajnych syndykalizmu wiara ta przybrała postać mitu socyalnego, jak się G. Sorel wyraża. »Co do katastrofy ostatecznej, mówi on, nie trzeba rzeczy brać dosłownie. Jesteśmy tu wobec zjawiska, które nazwałbym mitem socyalnym. Mamy obraz silnie zabarwiony, który daje nam ideę jasną bardzo o przeobrażeniu społecznem. O szczegółach atoli tego przeobrażenia nic powiedzieć nie można, bo to fakt historyczny przyszłości«. Mniejsza o to, że mit ten może niezgodny jest z rzeczywistym rozwojem przyszłości. Dla ruchu robotniczego on zawsze będzie miał doniosłe znaczenie, bo tkwi w nim moc i czar potężny, który mami i zapala umysły i serca i porywa i popycha je do bezustannych i wielkich wysiłków i ofiar. »Nawet, gdyby rewolucyoniści, mówi on, zupełnie się mylili w przedstawianiu fantastycznego obrazu strajku generalnego, to jednak obraz ten dla przygotowującej się rewolucyi byłby czynnikiem pierwszorzędnym. Dlaczego? Bo streszczałby w sobie wszystkie myśli rewolucyjne z precyzyą i wyrazistością, które w inny sposób niepodobna przedstawić«. Mit ten streszcza w sobie cały socyalizm, obejmuje cały szereg obrazów, które instyktownie budzą z uśpienia cały świat uczuć i marzeń złudnych i dzikich namiętności i przeżytych w ciągu różnych okresów tego wielkiego zmagania się socyalizmu z dzisiejszem społeczeństwem. Strajki, mówi Sorel, wywołały w proletaryacie cały świat wstrząśnień głębokich, strajk generalny jednoczy je w jeden obraz wielki i potęguje ich natężenie w stopniu najwyższym [1].

---

[1] G. Sorel: *Réflexions sur la violence. Mouvement socialiste* 1906, v, p. 256 i dalej.

Ale bo też mit strajku generalnego, powtarzają za nim intelektualiści ze Związku pracy, jest ideą żywotną i potężną: »Ona w jednej formule żywej i budzącej echo i wywołującej obrazy o ostatecznem skruszeniu świata kapitalistycznego streszcza wszystkie ich aspiracye, całą moc woli, potęgującą ich świadomość klasową, całą moc przekonania, że robotnik jest wszystkiem, że on ostatecznie znowu zająć musi miejsce, które mu wydarto... Jak obłok jasny, który prowadził Hebrajczyków ku ziemi obiecanej, ona wiedzie syndykalistów ku przyszłym przeznaczeniom proletaryatu«.

(Dok. nast.).

Ks. Leonard Lipke.

NOWA KOBIETA.

(Dokończenie).

V.

Kropla po kropli wsiąkał ferment buntu przeciw istniejącemu dotąd porządkowi, idący szerokiem echem z Zachodu, w duszę polskiej kobiety, zatruwając tę duszę niezadowoleniem, zgrzytem pesymistycznym, rozdźwiękami. Ferment ten znalazł grunt przygotowany głównie w duszy kobiety ze sfer inteligentnych, pracującej na chleb powszedni, zrażonej do szarego życia wołu roboczego.

Po szerokich, milionowych masach kobiety wiejskiej i małomiasteczkowej przeszedł on oczywiście i spłynął bez śladu, te miliony bowiem chłopek i rzemieślniczek, zajęte od świtu do zmierzchu domem, dziećmi, gospodarstwem, nie mają ani czasu, ani ochoty do zagłębiania się w teoryi feministycznej, nieprzystępnej zresztą dla ich inteligencyi.

I wszystkie szczęśliwe żony i matki, czujące się przy własnem ognisku, jak u »Pana Boga za piecem«, i wszystkie bogate, zamożne damy, których pracowne życie nie utrudza, nie uważały za potrzebne iść w bój za »prawa kobiety«, te prawa bowiem dawały im środki materyalne i bez boju. Eleganckie panie zajmował co najwyżej »nowy wiew« o tyle, o ile niósł im rozgrzeszenie za swawolną igraszkę z ogniem miłości.

Na właściwą armię feministek złożyły się u nas, jak wszędzie, literatki, studentki, nauczycielki, różnego rodzaju urzędniczki,

czyli, albo entuzyastki, zapalające się do wszystkiego, co »nowe«, więc pociągające, albo malkontentki i zrozpaczone.

Szczęście, zadowolenie nie lubi zmiany, jest konserwatystą,— nieszczęście, ból życia czepia się gorączkowo każdej obietnicy »czegoś innego«, oklaskuje wszelkie rewolucye.

Około roku 1890 mniej więcej była u nas już liczna gromada malkontentek, protestujących coraz głośniej przeciw »tyranii mężczyzny«. Na tę bojowo usposobioną feministkę działały jeszcze w owym czasie dwa prądy: socyalizm i modernizm literacki. Socyalizm nauczył ją nienawiści do kapitału, trzymającego pracę w pętach niewoli, i światopoglądu przyrodniczego, modernizm zaś literacki wstrzyknął w nią świadomość i żądzę nieznanych dawniejszej kobiecie polskiej »nowych dreszczów«. Te modernistyczne »nowe dreszcze« tryskały, jak wiadomo, ze źródła chorobliwej miłości płciowej. Oświadczył przecież główny teoretyk modernizmu, Stanisław Przybyszewski, w przedmowie do swojego »De profundis«, w »Pro domo mea«: »jak nie moją winą, że w wiekach średnich przejawy psychiczne mają miejsce tylko w dziedzinie życia religijnego, tak też nie jestem w stanie zmienić faktu, że w naszych czasach przejawia się dusza we wzajemnym stosunku płci«.

Echa propagandy wolnej miłości pani George Sand i teoryi pani Ellen Key słychać wyraźnie w tem wyznaniu Przybyszewskiego. Nic też dziwnego, że jego »naga dusza, przejawiająca się we wzajemnym stosunku płci«, stoczyła się galopem w cuchnące bagno zwyrodniałej erotyki, że stała się chorą erotomanką.

Nasza nowa, postępowa kobieta była gotowa.

Potrzeba było tylko sposobności, aby ten cały, przez lat trzydzieści stopniowo gromadzący się materyał palny mógł wybuchnąć.

I sposobność przyszła... rewolucya polsko-rosyjska z r. 1905.

A sposobność doskonała, jaka się rzadko zdarza. Bo rewolucya w Rosyi i w Polsce z roku 1905 nie była tylko rewolucyą polityczną, lecz rewolucyą wogóle, dążeniem do »przewartościowania wszystkich wartości«, atakiem na cały porządek obecny, wywracaniem do góry nogami całej przeszłości.

W tak szerokich ramach zmieści się każda, choćby najdziwaczniejsza, od życia oderwana utopia, zwłaszcza, że ster rewolucyi wpadł od pierwszej chwili w gorączkowe ręce żywiołów najskrajniejszych, najczerwieńszych, — w ręce socyalistów i anarchistów.

Zawrzało w Rosyi i w Polsce, zakipiało w sercach i mózgach młodych piersi, młodych głów. Gdzie serca i mózgi kipią, tam wylatuje rozwaga z szyn, pędząc na oślep, nie wiadomo dokąd.

Tłumnie rzuciły się feministki w krwawe wiry rewolucyi. Było ich wszędzie pełno: na katedrach prelegentów, na trybunach agitatorów, w salach wiecowych, na ulicy, w pochodach demonstracyjnych, w tajnych stowarzyszeniach, w komitetach, w bojówce nawet.

Czegóż chciały, o czem marzyły? Odważniejsze, entuzyastycznie stanęły pod czerwonym sztandarem, spodziewając się od niego wywalczenia dla kobiety równouprawnienia politycznego i ekonomicznego, tchórzliwsze, chłodniejsze, rezonerki feminizmu, pięły się na wszelkie możliwe mownice i reformowały potokiem frazesów zwyczaje, obyczaje i pojęcia narodu. Pierwsze zapłaciły drogo za swój bezkrytyczny entuzyazm, bo: więzieniem, poniewierką w policyi, katorgą nawet. A drugie, te rezonujące?

Te drugie zdeprawowały, zdemoralizowały swoją »nową mądrością« tysiące młodych dziewcząt, przygotowały razem z modernizmem literackim grunt do obecnego kultu ciała, do bezwstydnej pornografii w literaturze i do grzesznej swobody w życiu, w rodzinie i poza nią.

Bo na czemże polegała ta robota reformatorska czerwonych działaczek?

Robotę swoją nazwały one »uświadamianiem etycznem«.

Etycznem?!

Byłoż etycznem wtajemniczanie dziewcząt trzynasto, czternastoletnich i chłopców tego samego wieku w życie płciowe, — byłoż etycznem rozmyślne, świadome obniżanie autorytetu rodziców i nauczycieli w sali, nabitej od góry do dołu dziećmi, zaszczepianie w ich wrażliwych sercach jadu samowoli indywidualistycznej, — byłoż etycznem plucie na religię, na chrześcijaństwo,

na przeszłość narodu, na jego bohaterów, co na polach bitew ginęli za ojczyznę?

Tę robotę »etyczną« oklaskiwała młodzież płci obojga, oklaskująca wszędzie i zawsze wszelkie nowinki, a popierał ją gorliwie cały legion żydów i żydówek oświeconych.

Odcięty »oświeceniem« od swojego naturalnego środowiska, od wiary mojżeszowej, wiszący w powietrzu między społeczeństwem chrześcijańskiem a żydowskiem, bezwyznaniowy, filozofujący żyd cieszył się, że mu rozkładowa robota »etycznych uświadamiaczów« otworzy zamknięte dotąd dla niego podwoje społeczeństwa chrześcijańskiego. Więc brał czynny, hałaśliwy udział w agitacyi uświadamiającej, dmuchał gorliwie w czerwony płomień, pożerający tradycye gojów. Gdzie się coś rysuje, pęka, zapada w jakiemś środowisku chrześcijańskiem, tam zarabia zawsze żyd.

A oświecona żydówka, zmysłowsza zawsze, gorętszej krwi od aryjki, wyzwoliwszy się z pęt surowej rodziny żydowskiej, powstrzymującej apetyty lubieżnej natury wschodniej, była bardzo rada, że »uświadamiaczki« pomagały jej burzyć »zwietrzałe przesądy«. Więc spieszyła nie tylko skwapliwie na każdy odczyt »etyczny«, oklaskując go z zapałem, lecz stawała sama na katedrze, na trybunie, wykrzykując swoje teorye »wolnościowe«, zachwalając literaturę wywrotową, zachwycając się »Dziejami grzechu« Żeromskiego.

* * *

Niefortunnym był debiut »nowej kobiety« w Polsce, jak niefortunnym był debiut rewolucyonistek francuskich. Liczny udział bezkrytycznych, przewrażliwych, za wiele mówiących działaczek politycznych, w boju o wolność psuł robotę rewolucyonistów, rwał podziemną przędzę ich planów. Znajdowały się między niemi niewątpliwie bohaterki, które płaciły życiem za swój entuzyazm, ale ani jedna spokojna, rozważna głowa.

A plon rezonerek? Niech odpowiedzą na to rodzice, którzy nie poznawali swoich dzieci po rewolucyjnem »uświadamianiu«. Lata

jeszcze miną, zanim się wrzody moralne, jedyny skutek tej roboty »etycznej«, zagoją.

I nie odnosi się to tylko do Królestwa. Męty i fermenty porewolucyjne przelały się przez kordon, rozniesione po Galicyi i po różnych miastach europejskich przez kształcącą się młodzież i przez bandytów, uciekających ze swojemi zbrodniami za granicę przed psami gończymi policyi.

VI.

Powie kto słusznie: kobieta rewolucyjna nie może być wcieleniem, wyobrażeniem przeciętnego typu kobiety postępowej wogóle.

Zapewne. Wulkan rewolucyi wyrzuca na wierzch albo przepalone żużle natur wykolejonych, albo wrzącą lawę skrajnych entuzyastek i utopistek.

Typu przeciętnej feministki trzeba szukać gdzieindziej, — w literaturze i w życiu.

Przedewszystkiem w literaturze, zwanej dziś nie wiadomo dlaczego piękną, beletrystyka bowiem jest zawsze plastycznem odbiciem życia danej chwili. Powieści, napisane przez kobiety, odsłaniają najlepiej marzenia i pojęcia współczesnej psychy niewieściej.

Analizując swojego »bohatera«, mówi H. O. Garlikowska w powieści p. t. »Misteryum, opowieść erotyczna«: »nigdy on nie dojdzie do tego stopnia wyższości, aby się wznieść nad dobro i zło; dusza jego wciąż pamiętać będzie o tych drobnych społecznych względach i płynąć równym szlakiem przeciętnej, tak zwanej uczciwości ludzkiej, która popełnia wielkie zbrodnie przeciw naturalnym prawom życia; był to niewolnik, który nigdy nie umiałby dojść do wolności, ponieważ nie rozumiał ani idei wolności, ani przyczyny niewoli, a nadewszystko nie czuł sam swojej własnej niewoli, w jaką dobrowolnie się oddał«.

Cóż takiego zbroił ten »niewolnik«, że go Garlikowska odsądziła od wszystkich cnót męskich? Może zdradził za srebrniki judaszowe jakąś świętą sprawę, albo sprzedał sumienie, uczciwość,

wolną wolę, żonę, dzieci dla jakichś celów osobistych? Nie! On, żonaty, poczuwający się do obowiązku wobec małżonki, bronił się odważnie przed żarami miłości zmysłowej zamężnej kobiety. »Niewolą, w jaką się dobrowolnie oddał«, jest małżeństwo, grzechem jego, zbrodnią przeciw »naturalnym prawom życia« — jego uczciwość.

Panna Eugenia Żmijewska w powieści p. t. »Dola« upodobała sobie pannę ubogą, niegdyś córkę zamożnych rodziców. Zmysłowa to na wskróś, erotyzmem tylko przesiąknięta dziewczyna. Nie zajmuje jej nic oprócz miłości, której szuka bezustannie. Gdyby jej rodzice nie byli stracili majątku, gdyby jej posag był pomógł w poszukiwaniu owej miłości, byłaby niewątpliwie znalazła rychło kogoś, ktoby ten jej trawiący głód zaspokoił w związku legalnym. Ale panny ubogie muszą czekać cierpliwie, często beznadziejnie.

Stąd tragedya jej życia. Pożerana płomieniami zmysłowych pożądań, zapada Dola p. Żmijewskiej na zdrowiu, co daje autorce sposobność do popisywania się znajomością fizyologii i patologii. Z całą, nagą rzeczywistością typu nowej kobiety maluje p. Żmijewska sceny w gabinecie lekarskim, które byłyby na miejscu tylko w jakiemś dziele medycznem, fachowem.

Ten szkielet powieści oplata autorka niedolą Doli — walką o byt dziewczyny ubogiej i walką z całą sforą zmysłowców, wyciągających po jej wdzięki ręce drapieżne. Tę drugą walkę zaopatruje komentarzem o »nieuczciwości męskiej« i t. d.

Gabryela Zapolska, autorka »Kaśki-Karyatydy«, jedyna naturalistka starszego pokolenia autorów, czekała długo na swoją chwilę. Ta chwila nadeszła. Temu lat dwadzieścia kilka odwracała się opinia publiczna od jej naturalizmu; dziś oklaskuje go, zachwyca się nim.

W swojej, z rzeczywistym talentem napisanej powieści p. t. »O czem się nie mówi« roztkliwia się nad zwykłą ulicznicą, Franią Wątorek, wynosi ją do wyżyn bohaterki miłości, a robi to tak umiejętnie, tak dobrze, że zniewala czytelnika do sympatyi dla upadłej dziewczyny.

Nawet Emma Jeleńska, która nie jest ani modernistką, ani

feministką nowego typu, poczciwa, zacna, po dzisiejszemu mówiąc, filisterska dusza, aczkolwiek nie miota gromów na »samolubnego mężczyznę«, składa w swojej powieści p. t. »Kobieto, puchu marny« daninę prądom chwili, wyraża się pobłażliwie o wolnej miłości.

Najwyraźniej, najpełniej rysuje się typ nowej kobiety, wyrosłej z fermentu modernistycznego i rewolucyjnego, w powieści p. t. »Orły« Alicyi Szamoty.

Jest tych orłów (właściwie orlic) kilka. Pierwszego z nich, młodą, ubogą dziewczynę, umysł bujny, wrażliwy »szarpie głód wiedzy, czynu«, »szarpią porywy kobiety jutrzejszej«, ale charakter chwiejny i ciężkie warunki życia nie pozwalają mu rozwinąć skrzydeł do śmiałego, wysokiego lotu. Zmuszony pracować n chleb powszedni, dusi się, szamoce się w ciasnych ramach zajęć pospolitych. Z tych pęt wyzwala go miłość, daje mu kochającego i ukochanego męża. »Orlica« miłuje swojego narzeczonego z całą potęgą młodości, a mimo to zachowuje się, jak histeryczka, lamentuje, płacze, wyprawia brewerye, bo gniewa ją, oburza ślub legalny, który czyni ją »czyjąś własnością«, bo wolałaby wolną miłość, ale nie ma odwagi przeciwstawić się tradycyom »ze strachu przed ślepiami opinii«. Małżeństwo daje jej ukochane dziecko, kochającego, dobrego męża, dobrobyt, własne gniazdo. Zdawałoby się, że tyle szczęścia pogodzi ją z niezisziczonemi marzeniami, porywami pensyonarki, że przykuje ją do obowiązku uczciwej żony i matki. Nie pogodziło jej, nie przykuło. Po kilku latach szczęśliwego pożycia małżeńskiego, rzuca ona dom, ognisko domowe i leci w świat po wiedzę, po »prawdę«.

Druga orlica, którą Cecylia Walewska nazwała w przedmowie powieści »zrozumieniem życia, śmiałością czynu, bezwzględną szczerością w deptaniu kompromisów«, czyli ideałem nowej kobiety, odważniejsza, energiczniejsza od pierwszej, idzie prostą drogą »kobiety jutrzejszej«. To jej zrozumienie życia, ta jej bezwzględna szczerość w deptaniu kompromisów polega na tem, że uczy się medycyny, zostaje lekarzem na prowincyi, zakochuje się w ładnem, zdrowem ciele przystojnego mężczyzny (tylko w ciele), staje się matką w związku nieprawym i że gdy ojciec jej dziecka okazuje się na tyle uczciwym, iż ofiaruje jej swoją

rękę i nazwisko, ona odrzuca »dumnie« legalne małżeństwo, bo zdążyła się tymczasem odkochać — dostrzegła omyłkę. Przenosi ona własną, osobistą wolność nad szczęście dziecka, znosząc »z pogardą mocnej duszy« prześladowanie opinii.

Trzecia orlica, społeczniczka, polityczka, rzuca się głową naprzód w pożar rewolucyi, za co płaci zdeptanem życiem, zesłaniem na daleką Północ.

Czwarta orlica opuszcza męża, dziecko i ucieka z kochankiem do Paryża, gdzie kształci się na gwiazdę teatralną.

Tak mniej więcej wygląda »nowa kobieta« w powieści, w literaturze niewieściej.

Mężczyznę zadziwia przedewszystkiem w tej literaturze niewieściej wybór tematów i sposób ich opracowania. Śmielej, odważniej od niego czerpie kobieta ze źródła przedmiotów, o »których się zwykle nie mówi« głośno w przyzwoitej rodzinie, w przyzwoitem towarzystwie. Z całą swobodą nauki malują, odtwarzają autorki sceny najdrażliwsze, odsłaniają tajemnice fizyologii i patologii seksualnej. Nie tylko odtwarzają, lecz lubują się niemi. A czynią to nawet panny.

Tam, gdzie mężczyzna-artysta, z wyjątkiem modernistów (Przybyszewski, Tetmajer) i pornografów (Srokowski Mieczysław, Grubiński) zadowalnia się lekkiem podszkicowaniem, markowaniem sytuacyi, albo gdzie zarzuca najczęściej zasłonę, kobieta-artystka mówi, maluje wszystko bez żadnych względów i ograniczeń.

I nietylko kobieta artystka. Trzeba było słyszeć w sali warszawskiej Filharmonii wykłady uświadamiaczek etycznych. Niema tak drażliwego, szpetnego tematu, któregoby nie poruszały z całą swobodą salonowego flirtu. Dojrzali mężczyzni opuszczali salę, zgorszeni, obrażeni tą szczególnego rodzaju odwagą.

Dawniej nazywała się taka metoda bezwstydem. Dziś nazywa ją nowa, postępowa, uświadomiona kobieta — szczerością.

I dziwi jeszcze mężczyznę w literaturze niewieściej niezwykła logika. Bo niezwykłą jest logika, utożsamiająca samowolę seksualną z ideą wolności wogóle, nazywająca uczciwość i obowiązkowość niewolą, głupotą (Garlikowska), albo zmienne upodobania

pociągi zmysłowe — dziś ten, jutro inny — »mocą ducha, zrozumieniem życia, śmiałością czynu, bezwzględną szczerością w deptaniu czynów« (Cecylia Walewska), dumą wkońcu.

Dumą? Dotąd była dumną kobieta, dla której chwilowe zachcianki, przemijające amory nie miały dostępu, która umiała się bronić i obronić pokusom zmysłów, pobić, pokonać królewskim giestem cnoty, godności niewieściej pożądliwości niesumiennego, chytrego uwodziciela. Nowa kobieta »przewartościowała« dawne, zwietrzałe pojęcia dumy, nazywając dumną tę kobietę, która, »omyliwszy się« w miłości, przekonawszy się, że kochała się na czas krótki tylko zmysłami, poświęca honor i szczęście własnego dziecka dla swojej wolności (Alicya Szamota). Takie pojęcie dumy niewieściej znieważa, policzkuje kobietę. Taką dumą może się pochwalić każda awanturnica i każda prostytutka.

Dwa rysy znamienne nowej kobiety rzucają się w oczy w powieści niewieściej. Wszystkim »orlicom« zdaje się, że wykształcenie uniwersyteckie wprowadzi je do jasnej świątyni prawdy, że otworzy dla nich upusty wszelkiej mądrości. Że mężczyzna, który szuka tej prawdy w różnych szkołach i księgach od lat tysięcy, nie spojrzał dotąd w jej oblicze — nie zraża ich wcale. Czego nie dokonał mężczyzna, one spełnią.

I wszystkie »orlice« potrząsają jawnie, śmiało łańcuchem małżeństwa, rodziny, obowiązku, domagając się swobody w miłości czyli wolności seksualnej, nie skrępowanej religią, prawem, tradycyami. Obowiązek stał się ich znienawidzoną zmorą, *la bête noire* przebujnego, swawolnego indywidualizmu, tyranem wolności, despotą, wrogiem, kajdanami. Przeciw niemu głównie zwróciła się w powieści nowa kobieta, co ma »odrodzić ludzkość grzęznącą w materyalizmie«, jak zapowiada Cecylia Walewska.

A w życiu?

Na pytanie to niech odpowiedzą księgarze, sprzedający kobietom najwięcej książek sensacyjnych, erotycznych, pornograficznych; niech odpowiedzą dyrektorowie teatrów, skarżący się na pustą salę, gdy wystawiają jakąś sztukę czystą, podniosłą, a chwalący się pełną, gdy na scenie chichoce cyniczny śmiech wroga »zwietrzałych przesądów« albo obnaża się sztuka podka-

sana; niech odpowiedzą młodzi mężowie, dziwiący się wstrętowi młodych połowic nowego pokroju do obowiązków żon i matek; niech odpowiedzą wkońcu kabarety i ulice, które patrzą u nas od pewnego czasu na pary chłopców i dziewcząt — on w pelerynie modernistycznej, ona w męskim kapelusiku z piórkiem, lub w męzkiej czapce i w męskim żakiecie — obnoszących jawnie po mieście swoją wolną miłość.

Trzeba mieć niezwykły tupet, aby z takiego materyału chcieć wytworzyć reformatorki, co »odrodzą ludzkość, grzęznącą w materyalizmie«.

VII.

Należy zapytać, dlaczego się dzisiejsza feministka tak dąsa, gniewa na mężczyznę, czego właściwie od niego chce?

Nazywa go tyranem.

Dlaczego?

Czy dlatego, że mu Stwórca przeznaczył inną rolę, aniżeli kobiecie, wyposażając go do tej innej roli innymi przymiotami, środkami, dając mu inną budowę ciała, mocniejsze nerwy, silniejsze ręce, większą siłę fizyczną wogóle? Ani to jego winą, ani zasługą. Tak było postanowione od początku istnienia rodu ludzkiego.

Postanowiły prawa natury, żeby kobieta była matką, mężczyzna zaś ojcem, czyli opiekunem, obrońcą i żywicielem żony i dziecka! A nie było jeszcze takiego mocarza, coby potrafił odwrócić, zmienić prawa natury. Nikomu nie udało się dotąd żyć bez pokarmu lub pokonać, zdławić śmierć. Bezsilnym jest człowiek wobec swojego przeznaczenia.

Mężczyzna był zawsze silniejszym od kobiety, musiał być silniejszym jako jej i jej dziecka obrońca i żywiciel, silniejszy zaś nagina na tej ziemi do swojej woli słabszego. Z tego stosunku kobiety do mężczyzny wynikły niewątpliwie ustawy i zwyczaje, krępujące swobodę ruchów płci słabszej, które należy naprawić, usunąć, co się w narodach oświeconych już dzieje. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej np. lepiej dziś, wygodniej urodzić się kobietą, niż mężczyzną.

Samowładztwo zresztą mężczyzny, kłujące w oczy feministki, nie jest taką rozkoszą, jakby się zdawało. Tak samo, jak kobietę, okuwa rodzina, jej obowiązki, i mężczyznę w kajdany. Nie tylko kobieta traci w małżeństwie wolność, lecz także mężczyzna. Tracą ją oboje, przykuwają się oboje instynktowo, dobrowolnie do taczki wspólnego ogniska. Ciężar tej taczki odczuwa najdotkliwiej cały proletaryat inteligentny i nieinteligentny, dziewięć dziesiątych ludzkości cywilizowanej, bo nie jest dziś rzeczą łatwą zaspokoić głowie rodziny jej potrzeby. Dużo musi sobie mąż i ojciec odmówić dla żony i dziecka, bardzo często ginie przedwcześnie z nadmiernego wysiłku.

I jestże on w istocie w domu takim władcą, jak lamentują feministki?

Mocny jest król, mocniejsze wino, a najmocniejsza kobieta — mawiał król Dawid. My rządzim światem a nami kobiety — podrwiwał nasz Krasicki.

I bywa tak najczęściej. Dużo mogłyby o tem powiedzieć dzieje ludzkości i kroniki rodzinne. Nawet taki mądrala, jak Sokrates, uciekał z domu przed humorami swojej Ksantypy, rejterując sromotnie przed pociskami jej ciętego języka, nawet taki rycerz bez śladu lęku na polu bitwy, jak nasz Jan Sobieski, stulał uszy przed swoją niewiele wartą Marysienką. We Francyi zwłaszcza i w Polsce bywał i bywa dotąd pantofelek magnifiki mocniejszym od gniewu pana męża, a w Ameryce komenderuje nawet z imperatorskim gestem szpady Napoleona I. Tak zwany władca, jeśli nie jest urodzonym brutalem, nie może patrzeć na łzy, złe humory, spazmy swojej »niewolnicy«. Woli dla miłej zgody ustąpić, poddać się, ugiąć.

Więc nie jest tak źle z owem władaniem mężczyzny, jak twierdzą feministki. Przeciwnie, możeby pożyteczniej było dla kraju, gdyby nasz mężczyzna umiał być więcej mężczyzną, więcej energicznym i wytrwałym w pracy, w obowiązku i w służbie publicznej.

* * *

Dąsa się także, gniewa się feministka na legalne małżeństwo. Dąsa się, gniewa się na swoją własną szkodę.

Przedewszystkiem myli się, mniemając, że t. zw. wolna miłość jest wyższą, nowszą formą miłości od legalnego małżeństwa, krokiem naprzód do wyzwolenia kobiety — postępem. Od niej przecież zaczął się stosunek mężczyzny do kobiety, ona kojarzy dotąd związki zwierząt. Więc jest wstecznictwem, dużym skokiem w tył, powrotem do zwyczajów istot jaskiniowych.

I nie jest zjawiskiem rzadkiem, kwiatem odwagi, »mocy ducha«. »Na wiarę« siedzi mnóstwo par z rynsztoków gminu, nie wiedzących nic o »śmiałych, dumnych« hasłach nowej kobiety postępowej.

A potem...

Legalne małżeństwo jest puklerzem, tarczą kobiety, broni ją przed zmiennością upodobań i pożądań mężczyzny. Małżeństwo daje jej własny dom, własne ognisko, daje jej miłość, treść jej życia, dziecko, najwyższe jej ukochanie, daje jej wkońcu byt, niewiele bowiem panien wnosi mężom posagi, całe zaś miliony żyją z pracy mężów. A wszystko to daje legalne małżeństwo kobiecie z pieczęcią sankcyi Kościoła, państwa i tradycyi, czyli z poszanowaniem jej godności ludzkiej, niewieściej.

»Nowa kobieta« nazywa małżeństwo niewolą. Tymczasem ma się rzecz odwrotnie. Małżeństwo wyzwala kobietę, wprowadza ją w świat, daje jej swobodę ruchów, z której pannie korzystać nie wolno. Raczej mężczyzna miałby prawo utyskiwać na »niewolę« małżeństwa, jemu bowiem wolno dużo przed ślubem, a po ślubie bardzo niewiele, najczęściej tylko pracować, harować, troskać się od świtu do nocy. On to traci pełną swobodę, którą cieszył się jako kawaler i traci dobrobyt, gdyż oddać musi wszystko, co zarobi, żonie i dzieciom, dla siebie zatrzymując niewiele.

Legalne małżeństwo zapewnia jeszcze kobiecie spokojną, szanowaną starość.

Dziękować powinnaby kobieta codziennie na kolanach Panu Bogu za instytucyę legalnego małżeństwa, bo czem byłaby bez niej w latach przekwitłych.

Wolna miłość, wspólne życie »na wiarę«?

Zmienną jest natura ludzka, męska i niewieścia, zmienne są jej upodobania, uczucia, zachcianki. Co ją dziś zachwyca, jutro ją fatyguje, nudzi. Wiadomo, jak prędko gasną t. zw. wielkie, wybuchowe miłości, których źródłem są zwykle tylko zmysły.

Wolna miłość? Służyłaby ona kobiecie tylko bardzo krótko, płeć słaba bowiem starzeje się, więdnie o kilkanaście lat wcześniej od mocnej. Gdyby Kościół, prawo, tradycye, wspólne legalne pożycie, wspólne dzieci, obowiązki, troski, interesy nie broniły kobiety przed dłuższą młodością mężczyzny i jej pożądliwościami, byłyby dziewięć dziesiątych »wolnych żon« w krótkim czasie »wolnemi wdowami«.

Trzeba nie znać natury ludzkiej, żeby marzyć o szczęściu w wolnej miłości. Samobójstwa, zabójstwa, oblewania kwasem karbolowym, siarczanym, witryolejem i t. p. narzędziami zazdrości i zawiedzionej miłości, zapełniałyby codziennie w gazetach rubryki wiadomości bieżących. Dzieje się to już w wielkich miastach po działalności »uświadamiającej« socyalistów, modernistów i nowej kobiety.

Małżeństwa dzisiejsze rozprzegają się bardzo często, tracą dawniejsze znaczenie — odpowiedzą feministki. Tym razem słusznie.

Małżeństwa w sferach inteligentnych, w większych miastach, kruszą się w istocie coraz częściej; mnożą się seperacye, rozwody, wichrzy niezgoda w rodzinach.

Ale winą-ż to małżeństwa, jako instytucyi »uświęconej« przez religię i prawo?

Winien tylko duch czasu ze swojem obniżeniem uczuć religijnych, ze swojem zmateryalizowaniem człowieka, z rozwydrzeniem indywidualistycznem i z żądzą użycia życia bez względu na drogi i środki, jakie prowadzą do tego używania. Winny wkońcu coraz cięższe warunki ekonomiczne.

A duch czasu przenika nie tylko mężczyznę, lecz także kobietę.

Głównym cementem dobrego małżeństwa bywał zawsze właściwy dobór małżonków. Dobrać powinni się mąż i żona, kochać się, lubieć, rozumieć powinni się i zdawać sobie dokładnie sprawę

z zadań i obowiązków twórców wspólnego ogniska i rodziny. Tak dobrani, zniosą łatwiej, chętniej trud i ból życia.

A ileż tak dobranych małżeństw?

Bogaty, zestosunkowany szuka w małżeństwie jeszcze więcej mamony, — zbogacony parweniusz koligacyi, tytułów, — urzędnik protekcyi, potrzebnej mu do karyery — ubogi jakiejś pomocy materyalnej. Właściwy cement małżeństwa bywa zwykle pomijany.

Odnosi się to zarówno do mężczyzny, jak do kobiety. Dzisiejsza panna umie rozważać i odważać doskonale wartość zajmowanego przez konkurenta stanowiska i obliczać jego dochody. Błyszczeć przecież pragnie w »świecie«, bawić się i być koniecznie »modną«, — zmieniać co kilka tygodni tualetę. A ta moda jest tak kosztowną...

Na kruchość dzisiejszego małżeństwa wpływa bardzo dużo rozwydrzenie indywidualistyczne, mające wstręt do wszelkiego twardego obowiązku. Młodego męża fatyguje wyczerpująca praca dla rodziny i dlatego albo szuka posagu albo nie żeni się wcale, — młodą żonę fatygują trudy matki i dlatego stara się ograniczyć liczbę swojej rodziny. Nie tylko we Francyi tak się dzieje. To samo zaczyna się już także w Niemczech i u nas.

Nie instytucya legalnego małżeństwa winna temu, że się związki małżeńskie i rodzinne rozluźniają, lecz winien temu człowiek dzisiejszy, koszlawiący tę rozumną, dla ludzkości niezbędną instytucyę. A człowiekiem jest przecież także i kobieta.

* * *

Zarzucają feministki mężczyźnie nieszlachetne, nieuczciwe, często wprost podłe uwodzicielstwo.

Bywa tak. Któżby przeczył.

Są urodzeni Don Juanowie, lubiący »zmianę wrażeń«, są rozpustnicy, są wkońcu próżniacy, zabijający czas przejściowemi miłostkami.

Ale na te wszystkie kategorye uwodzicielów istnieje sposób bardzo prosty: nie dopuszczać ich do siebie! Do kobiety, opancerzonej zbroją uczciwości i godności niewieściej, nie zbliży się żaden Don Juan, a gdyby się nawet odważył na ten krok ryzy-

kowny, można mu dać taką odprawę, iżby go odeszła raz na zawsze ochota zdobywania fortec niezdobytych. Łatwiej to kobiecie, aniżeli mężczyznie, kobieta bowiem nie odpowiada za obelgę, za obrazę na t. zw. »zwykłej drodze honorowej«. Niewiele ją kosztuje uśmierzenie Don Juana. Wystarcza odwrócić się od niego plecami, nie pozwolić się bałamucić.

Do wszelkiego wyzysku, takiego czy innego, potrzeba zawsze dwóch osób, tej, co chce wyzyskać, i tej, co chce być wyzyskaną. Zdarzają się wprawdzie od czasu do czasu gwałty, ale zdarzają się rzadko i to tylko w chwilach wielkiego podniecenia człowieka-zwierzęcia, albo w zapamiętałości zbrodni.

Niech kobieta będzie uczciwą, niech będzie dumną, niech czci i szanuje swoją godność niewieścią, swój honor, a zginie ród uwodzicielów. I niech będzie trochę lepszym znawcą natury męskiej, niżeli nim dotąd jest, wiadomo bowiem, że lgnie właśnie najchętniej, najprędzej do błyskotliwych flirterów i uwodzicielów, że Don Juanowie cieszą się u niej największem powodzeniem.

Zresztą?... Czy się tylko mężczyzna rodzi z talentem uwodziciela? Czy nie istnieją także Don Juanki?

Z natury swojego przeznaczenia, z instynktu niewieściego rozumie się kobieta daleko lepiej od mężczyzny na sztuce łowienia swojej drugiej połowy, budowania sobie własnego gniazda. Zręczniejsza od niego, umie »chłopa« tak przyprzeć do muru, że ani się biedak spodzieje, kiedy jest wzięty. Nibyto ją wybierają, a w istocie wybiera, zaszachowuje ona »pana i władcę«. Łatwiej jej przebierać, aż sobie dobierze tak, jak jej w danej chwili potrzeba, bo jej wolno dać sto koszów, mężczyzna zaś, który zrywa choć raz jeden dane słowo, bywa piętnowany epitetem: nieuczciwy, niehonorowy i t. d.

Że kobieta jest zręczniejszą w rzeczach miłości od mężczyzny, potwierdzi każdy mąż (a takich wielu), który dostał się n kobierzec ślubny, nie wiadomo jak, nie wiadomo dlaczego, który budzi się nazajutrz po ślubie ogromnie zdziwiony, że się dał wziąć słabej rączce na powróz, jak baran.

Ale to prawo kobiety, to jej wolno. Słabszy musi się w walce z mocniejszym posługiwać zręcznością, umiejętnością.

Nie o to chodzi. Idzie o to, czy i kobieta potrafi być błyskotliwą flirterką i uwodzicielką? Że umie, zwłaszcza ta nowa, ta wygimnastykowana umysłowo, ta oczytana, błyskać w oczy mężczyzny koziołki wywracającym dyalogiem, że umie zasypywać te oczy migotliwym piaskiem kuszącej frazeologii — to poświadczy każdy nowoczesny salon wielkomiejski. Ale umie ona jeszcze więcej, umie być zręczną, śmiałą Don Juanką. Nigdy nie jest Don Juan męski tak odważnym, tak obcesowym uwodzicielem, jak Don Juan żeński. Gdyby mężczyzni, miewający t. zw. szczęście u kobiet a nie poszukujący go, nie ubiegający się o nie, chcieli opowiedzieć swoje doświadczenia, wrażenia i obserwacye, przybyłaby do psychologii niewieściej bardzo ciekawa karta. Rzecz szczególna, że tego pomysłu nie wyzyskał dotąd żaden belletrysta albo satyryk. Byłoby to dzieło wielce zajmujące.

Kobieta niema prawa narzucać mężczyźnie monopolu bałamucenia i uwodzenia. Legion niedoświadczonych mężczyzn, który zginął i ginie ciągle marnie, zabity słodkiemi zrazu a wkrótce zatrutemi strzałami zmiennej miłości Don Juanek, równoważy zupełnie legion kobiet, sponiewieranych, zamordowanych zmiennością miłości Don Juanów.

Kobieta jest tak samo, jak mężczyzna, tylko człowiekiem i ponosi skutki jego ułomności i nieuczciwego samolubstwa.

* * *

Nowa kobieta zwala wszystko złe, co ją spotyka w życiu, na tyrana-mężczyznę, a zapomina o wrogach, których nosi w sobie, o hamulcach, powstrzymujących jej naturalny rozwój, jej pochód ku zrównaniu się z »despotą«. Jest ich dużo tych wrogów; najsilniejszymi są: erotyzm i moda.

Erotyzm jest treścią przeciętnej kobiety, na erotyzm przetapia ona wszystko, bez miłości płciowej nie rozumie życia, literatury, sztuki. Naturalne to, bez erotyzmu bowiem niema dziecka, rodziny, której właściwą twórczynią i stróżką jest żona, matka. Z chwilą jednak, gdy erotyzm przekracza granice legalnej rodziny, gdy się staje lubieżnikiem, rozpustnikiem, wówczas zmienia się we wroga rodziny, społeczeństwa, narodu. A właśnie ten

»wolny« erotyzm wysuwa nowa kobieta na pierwszy plan swojego programu.

A moda, gałganki i błyskotki?

Od najwyższych szczytów do najniższych nizin społecznych, od królowej począwszy aż do ostatniej robotnicy, tyranizują one kobietę, trzymają ją za gardło, nie wypuszczając z okrutnego uścisku. Chyba jakaś ascetka lub nędzarka wyzwala się z pod ich despotyzmu.

Oto wieczór towarzyski w miejscu kąpielowem.

Do sali płynie barwna, szeleszcząca, pachnąca fala. Kwiaty, pióra, wstążki na dużych, fantazyjnych kapeluszach, czerwone, niebieskie, fioletowe, białe, pomarańczowe, układają się w jaskrawy bukiet; szeleszczą jedwabie, aksamity, etaminy, fulary, tiule, cały sklep jubilerski błyszczy, lśni, migoce na włosach, w uszach, na szyjach, na ramionach, piersiach, rękach.

Ileż to ciężkiej, krwawej pracy ojców, mężów złożyło się na ten barwny, błyskotliwy obraz?

W szeptach gorzej ubranych pań, panien syczy wąż zazdrości, w oczach ich skrzy się upokorzenie, żal do życia, ból — w spojrzeniach i rumieńcach strojniejszych dostrzega się grę, pragnienie zwrócenia na siebie uwagi przedstawicielów rodzaju męskiego, podobania się temu »nikczemnemu brutalowi, którego bezbrzeżny i bezduszny egoizm spętał duszę i ciało kobiety«.

Pod oknem stoi czarna dama w kapeluszu markiz francuskich. Zacięta z niej feministka, krzewicielka niezależności kobiecej, apostołka pogardy dla gałganków, ale wszystkie jej zasady i przekonania nie powstrzymały jej bynajmniej od ustrojenia się, jak na raut wielkomiejski. A tam dalej dama światowa. Pięć razy na dzień przebiera się ta najmilsza córa mody, jej najwierniejsza poddanka, inaczej gdy z łóżka wstaje, inaczej do śniadania, inaczej na obiad, inaczej do teatru! Trzy czwarte życia poświęca kultowi mody. A pianistka, skrzypaczka, aktorka! Mają grać, deklamować. Każda z nich wystroiła się, jak na bal, każda z nich wyrzekłaby się bez namysłu wieńców, oklasków, gdyby jej kazano stanąć przed słuchaczami w wytartym kubraku, bez brylantów, rubinów, szmaragdów. I prelegentka jest, taka nowa, taka oświe-

cona, uświadomiona. I ta posztukowała swoją więdnącą urodę gałgankami, błyskotkami, siedziała godzinami przed zwierciadłem, trefiąc się, pudrując, opinając, ściskając gorsetem. Zarzut braku smaku, gustu zmartwiłby ją więcej od nieprzychylnej krytyki.

Po zebraniu rozgląda się tryumfująco Najjaśniejsza Pani Moda i monologuje sobie: rozległe jest królestwo moje, tak rozległe, jak ziemia; liczni są poddani moi, tak liczni, jak ród prawdziwej kobiety i dlatego spoglądam bez obawy na robotę feminizmu. Może on wywalczyć kobiecie, jeżeli się tak będzie podobało duchowi czasu, ewolucyi pojęć i potrzeb, różne ulgi, ustawy i przywileje, ale panowania mojego nie osłabi, nie zmieni. Bo piękno jest dziedzictwem kobiety, jej własnością, jej bronią. Tylko bardzo stare, bardzo ubogie, albo bardzo mądre nie korzystają z tego swojego prawa naturalnego.

Niewolnicą mody jest kobieta, wolna i niewolna, mądra i głupia, dawna i nowa. Każe jej moda włożyć na głowę garnek, rondel, kubeł — włoży go, każe jej się odziać w beczkę stalową (krynolina) — odzieje się, choćby wyglądała, jak spuchnięta dynia. Wszystko jedno; modne jest dla niej zawsze piękne, gustowne, choćby było śmieszne, potworne.

I niewolnicą błyskotek, gałganków jest kobieta. Dość widzieć, jak jedna kobieta lustruje drugą, od góry do dołu, od dołu do góry, badawczo, krytycznie, albo zazdrośnie, by zrozumieć jej niemoc i pożądliwość wobec błyskotek i gałganków.

A gdyby te błyskotki, te gałganki umiały mówić, opowiedziałyby miliony tragedyi: zburzonych rodzin, zniszczonych fortun, zbezczeszczonych czci niewieścich, splugawionych serc, zatraconych dusz — tragedyi grzechu, podłości i zbrodni.

VII.

Jak w każdej, ograniczonej pewnemi zasadami, grupie ludzkiej, są żywioły umiarkowane i radykalne, tak rozpadają się i dzisiejsze feministki na dwa odłamy, na rozważniejszy i bezwzględny. Pierwszy jest dalszym ciągiem prawidłowo rozwijającej się ewolucyi emancypacyi niewieściej, posuwającej się wolno,

rzec można ugodowo, do swoich celów, drugi leci na oślep, bez pamięci do mety krańcowej. Świadectwem brutalne wybryki i awantury sufrażystek angielskich, że radykalny feminizm rósł, kształcił się pod wpływem wywrotowców męskich, że płeć słaba potrafi być bardzo buńczuczną i gwałtowną.

W swoim radykalnym rozpędzie ogłosiły już czerwone feministki wyrok niewoli na mężczyznę. Nie poprzestają one na równouprawnieniu obu płci. Za mało im tego. Żądają wprost rządów kobiety nad mężczyzną, który jest według nich istotą podrzędną, »społecznym wyrostem«, — »biologiczną potrzebą«, niczem więcej.

A nie tylko tak mówią, rezonują czerwone feministki, lecz śmielsze z nich zmieniają swoją doktrynę w czyn. Doniosły dzienniki kalifornijskie, że głośny uczony, dr. Lee de Forest, znany wynalazca, rozwodzi się ze swoją żoną, zaciekłą agitatorką, podając za powód nieznośne jarzmo niewoli małżeńskiej.

Rozumie się, że tak skrajne stanowisko względem mężczyzny musiało wywołać równie radykalną reakcyę ze strony skazanej na pogrom, że znaleźli się między »społecznymi wyrostami«, między »potrzebami biologicznemi« gwałtowni nieprzyjaciele »pani świata«.

Nieprzyjaciół miała kobieta już wielką ilość. Wielbicielami jej nie byli reformatorowie religijni: Konfucyusz, Manu i Mahomet, mędrcy, filozofowie, historycy, politycy: Salomon, Pytagoras, Simonides, Demokryt, Katon, Tytus Liwiusz, Jan Jakób Rousseau, Schopenhauer, Hartmann Edward, Nietzsche — poeci: prawie wszyscy indyjscy, Wirgiliusz, Juvenalis, Kalderon i w. i. Wprost nienawistnie odnoszą się do kobiety współcześni moderniści literaccy pod komendą Strindberga, chociaż babrzą się głównie w miłości płciowej.

Najnowszych kobietofilów wydała Ameryka, co bardzo naturalne, bo »za wielkim stawem« założył sobie radykalny feminizm główną kwaterę.

Z Ameryki cisnął niedawno temu gromy na kobietę znany psycholog, dr. Maksymilian Baff, profesor Clark Uniwersyty, w Ameryce rozpoczęła się reakcya przeciw pracy kobiecej. Wiel-

kie przedsiębiorstwa fabryczne i wielkie kompanie kolejowe usuwają tam urzędniczki. Jeden z dyrektorów kolei Southern Pacific Raulway motywuje kampanię przeciw kobietom w sposób następujący: »Potrzebujemy urzędników, którzy pragną zarabiać coraz więcej, posuwać się naprzód, i którzy dlatego robią dobrze. Kobiety zaś usiłują tylko tyle zarobić, ile potrzebują w danej chwili, nie troszcząc się o przyszłość. Kobieta, przyjmując posadę, czyha tylko na to, aby ją jak najprędzej opuścić. Jedynym jej celem jest małżeństwo i z chwilą gdy się znajdzie kandydat do jej ręki, rzuca natychmiast biuro dla własnego ogniska. Nasze urzędniczki pracują u nas trzy lata, a potem wychodzą za mąż. A nawet gdy nie wychodzą za mąż i nie opuszczają z konieczności zajętego stanowiska, nie rozwijają się, nie doskonalą się w swoim fachu tak, jak mężczyźni, lecz stoją w miejscu. I dlatego nie są nam potrzebne«.

Iście amerykańskie rozcięcie sprawy... bussines, dolar...

Znalazł się i w Europie, w Niemczech, bezwzględny kobietożerca. Jest nim Maks Funke. Ten rozpędził się w swojej broszurze p. t. *Sind Weiber Menschen?* z takim rozmachem, że doleciał aż do absurdu, dowodzi bowiem, że »kobieta nie jest człowiekiem«.

Oto... Kto sieje wiatr, zbiera burzę.

Wichry sieją czerwone feministki i doczekają się burzy, jeśli się nie pomiarkują, że przeholowały. Bo mężczyzna nie może się przecież zgodzić na bierną rolę »potrzeby biologicznej«, czyli mniej uczenie się wyrażając, narzędzia w ręku kobiety i na szpetną rolę »wyrostu społecznego«.

Gdyby się czerwonemu feminizmowi udało ogarnąć szerokie koła niewieście, musiałoby przyjść do nienawistnego starcia między mężczyzną a kobietą, wprost o byt i władzę między obu płciami.

Całe szczęście, że obecna, najnowsza forma feminizmu jest tylko fermentem, fermenty zaś opadają, »klarują się«.

IX.

Streszczam się.

Nowa kobieta stawia swoją sprawę nie dość ściśle, żądając bezwzględnej równości obu płci. Bezwzględnej równości między mężczyzną a kobietą być nie może, choćby tylko z powodu odmiennych warunków fizyologicznych i odmiennego przeznaczenia. Inną jest kobieta, innym mężczyzna.

Może być tylko równorzędność, czyli równomierne oszacowanie wartości obu płci, ich celów, ich pracy, ich przymiotów.

Ta równorzędność należy się kobiecie niewątpliwie, jako matka bowiem i pani domu przyczynia się ona w równej mierze do istnienia i rozwoju ludzkości, jak ojciec, pracujący na żonę i dziecko. Ta równorzędność, poparta wspólnemi troskami, wytwarza się sama przez się w każdem dobranem małżeństwie bez pomocy feminizmu i sufrażyzmu. Kobieta i mężczyzna, łącząc się z sobą, dopełniają się nawzajem, sklejają się w jedną całość.

I należy się kobiecie na wypadek, gdyby źle wybrała, opieka ustawodawstwa czy przeciw brutalności, czy przeciw lekkomyślności, marnotrawstwu męża. Powinna ona mieć prawo rozporządzania swoją osobą i swoim majątkiem ku dobru swojej rodziny gdyby mąż i ojciec nie umiał albo nie chciał spełniać swoich obowiązków.

Kobieta niezamężna lub potrzebująca zarabiać na swoje utrzymanie, powinna być dopuszczona do tego warsztatu pracy, do jakiego czuje pociąg, upodobanie, bez względu na jego rodzaj. Sprawę tę rozstrzygnęła już, załatwiła siła większa od rezonerstwa teoretycznego, bo trudne, coraz trudniejsze w Europie warunki ekonomiczne, czyli po prostu głód. Niepodobna skazać kobiety na nędzę i niepodobna wytrącić z jej rąk czary wiedzy, jeżeli jej pragnie. Niech się uczy i pracuje.

Żaden rozumny mężczyzna nie będzie się dziś opierał tak pojętej emancypacyi niewieściej i nie będzie odmawiał kobiecie prawa do nauki. Przeciwnie, pogłębiona pracą i wiedzą dusza kobieca da mu towarzyszkę prawdziwą, bo nie tylko zwykłą ro-

botnicę albo bawidełko, ale towarzyszkę i rozumiejącą go towarzyszkę.

Ale żaden mężczyzna, który posiada pięć klepek w porządku, nie może zgodzić się na to, aby kobieta burzyła cały jego dorobek, cały gmach cywilizacyi i kultury, zbudowany wysiłkiem jego mózgu, jego nerwów, lat tysięcy. A burzy ten gmach ostatni typ »nowej kobiety«, sławiąc wolną miłość, bezwyznaniowość, anarchizm uczuć i pojęć, domagając się t. zw. pełni życia bez kontroli etyki. Wolna miłość rozbija rodzinę, bezwyznaniowość znieważa religię, anarchia pojęć rozprzęga, podminowuje porządek społeczny, pełnia życia wskazuje prostą drogę do rozpusty erotycznej.

Kupą plugawych gruzów stałaby się ludzkość, gdyby szła w kierunku, wskazanym przez »nową kobietę«.

Do tego nie może dopuścić choćby tylko zmysł samozachowawczy człowieka cywilizowanego, zarówno mężczyzny jak kobiety, nie może pozwolić na swawolne, niemądre niszczenie podwalin cywilizacyi.

Teodor Jeske-Choiński.

KWESTYA DROŻYZNY.

(Ciąg dalszy).

3. Trzecim czynnikiem, który tu należy uwzględnić, jest daleko idąca zmiana w społecznych funkcyach państwa: niższych związków prawno-publicznych, która wywołała potrzebę znacznego podwyższenia ciężarów publicznych. Rola państwa dawniejszego była stosunkowo dość ograniczona; poza wydatkami o znaczeniu wybitnie państwowem — na administracyę, sądownictwo, wojskowość — budżety wykazywały nieznaczne tylko kwoty na inne cele. Inny bowiem był stosunek społeczeństwa do państwa absolutnego. Były to niejako dwa organizmy zupełnie odrębne, z których każdy dbał niemal wyłącznie o własne interesy. Życie konstytucyjne zmieniło zasadniczo ten pogląd; państwo z instytytucyi stojącej poza społeczeństwem stało się jego organem. Od tej chwili zakres działania państwa powiększył się znakomicie, bo jego teraz stało się obowiązkiem zaspokajać wszystkie potrzeby społeczne, jeżeli tylko mają charakter ogólny, albo też jeżeli pokrycie ich jest zbyt trudnem dla poszczególnych grup lub jednostek. Podczas gdy dawniej, każde wkroczenie państwa w pewne dziedziny społeczne — n. p. szkolnictwo, przemysł i t. d. — dla rozszerzenia swego władztwa lub zyskania nowego źródła dochodów, społeczeństwo uważało za szkodliwe, obecnie domaga się od państwa działalności trwałej i niemal nieograniczonej na każdem polu, na którem pojawiają się doniosłe potrzeby. Stąd też zakres

działania związków prawno-publicznych rozszerzyły się ogromnie — powstały całe nowe działy administracyi społecznej, o których przedtem zupełnie nie myślano.

Jasną wobec tego jest rzeczą, że musiano powiększyć ciężary publiczne. W ostatnich paru latach podwyższono i pomnożono podatki we wszystkich prawie wielkich państwach. W Anglii, Francyi i Niemczech obowiązują już nowe systemy podatkowe, w Austryi wnosi się ciągle nowe projekty. Krytyka bardzo gwałtownie zwróciła się przeciw tym ustawom, zarzucając im niezgodność z zasadami skarbowości i tworzenie podatków nieracyonalnych. Otóż nie należy zapominać, że cała nauka skarbowości powstała na gruncie poglądu, że państwo ma swoje własne potrzeby, które musi zaspokoić, lecz że te potrzeby ograniczają się do obowiązku utrzymania porządku prawnego na wewnątrz i zewnątrz i do utrzymania nielicznych stosunkowo instytucyi, mających charakter mieszany, państwowo-społeczny. Cała olbrzymia dziedzina społeczno-gospodarcza, na którą nowożytne państwo musiało wstąpić, leżała poza sferą, która posłużyła jako podstawa dla stworzenia zasad zdrowej gospodarki skarbowej. Gdy więc życie zmieniło radykalnie rolę państwa, gdy setki milionów należy wydawać na cele dawniej nieznane lub lekceważone, musiano szukać nowych źródeł dochodu. W ten sposób powstały nowe ustawy i projekty, owe wyszydzane i potępiane »budżety podatkowe« — z pewnością niedoskonałe i nadające się do krytyki, bo mające charakter pierwszych prób nowej oryentacyi skarbowej, spowodowanej nowem pojęciem o zadaniach państwa.

Nowe podatki i opłaty, jakkolwiek przeznaczone głównie na akcyę gospodarczo-społeczną a tem samem na rozwój ekonomiczny społeczeństwa — stanowią niewątpliwie utrudnienie tak produkcyi jak i konsumcyi. Rozkład tych nowych ciężarów powinien być równomierny, t. zn. i wytwórcy i konsumenci winni przyczyniać się do ich uiszczenia w miarę swych sił materyalnych i korzyści, jakie odnoszą z rozszerzonej działalności państwowej. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się zupełnie inaczej, dzięki od dawna zakorzenionym poglądom na charakter podatku, jako opłaty składanej pod przymusem na rzecz instytucyi obcej, t. j.

państwa. Producenci, korzystając z tego, utrzymują, że ponieważ każdy nowy podatek zwiększa koszta produkcyi, przeto ceny towarów muszą być odpowiednio wyższe. Innemi słowy, oświadcza się konsumentom, że oni tylko mają ponieść nowy ten ciężar, produkcya natomiast ma być od niego wolna. Warstwy spożywające godzą się na to stanowisko, uznając je za zupełnie usprawiedliwione. Wskutek tego towar pod wpływem nowego opodatkowania drożeje bez żadnego oporu ze strony odbiorców i to drożeje niejednokrotnie silniej, aniżeliby tego domagało się samo przerzucenie podatku, bo zwyczajnie następuje t. zw. »zaokrąglenie w górę«. Podatki i opłaty rzadko kiedy wymierza się od artykułów znajdujących się rzeczywiście w obrocie a już prawie nigdy stopa ich nie liczy się z możliwością ścisłego rozdziału w drobnej sprzedaży. Podatki spożywcze przyjmują nieraz za podstawę wymiaru surowiec użyty do fabrykacyi lub wytwór bez koniecznej domieszki, n. p. spirytus zupełnie pozbawiony wody a nie wódkę, lub zacier zamiast piwa, podatki przychodowe pewne zewnętrzne znamiona gospodarstwa, jak rozmiar uprawnej ziemi, ilość zajętych robotników i t. p. Ponieważ w obrocie mamy do czynienia z gotowym i zdolnym do zaspokojenia potrzeb artykułem a nie każdorazową podstawą podatkową, przeto obliczenie w jakim stopniu podatek wpływa na wzrost kosztów produkcyi każdego poszczególnego wytworu daje w rezultacie bardzo często ułamek monetarny. Wówczas producent zaokrągla go aż do wysokości jednostki, żądając n. p. za $1^2/_5$ halerzy całych dwu halerzy. Usprawiedliwienie tego postępowania jest bardzo proste; skoro podatek jest kosztem produkcyi, który musi być zwrócony, przeto i owych $^2/_5$ wytwórca płacić nie może, a zwrócić mu je można tylko w całej jednostce pieniężnej.

Ten rozdział praw i obowiązków pomiędzy wytwórców i spożywców w dziedzinie podatkowej jest oczywiście zupełnie niesłuszny. Bez względu na to jaki charakter posiada podatek, powinni go ponosić i jedni i drudzy i to może w wyższym stopniu producenci aniżeli konsumenci, gdyż działalność państwową ekonomiczno-społeczną podjęto przedewszystkiem dla rozwinięcia produkcyi i obrotu. Przy t. zw. podatkach bezpośrednich nikt

nawet nie próbował tego usprawiedliwić, poprzestając na stwierdzeniu tylko, że producent dąży w imię własnego interesu do przerzucenia ciężaru podatkowego, co mu się najczęściej udaje, jako silniejszemu. Natomiast ogólne prawie panuje zapatrywanie, że przerzucenie podatków spożywczych jest uzasadnione w ich istocie, bo mają one obciążyć konsumcyę.

Otóż tezy tej nie można przyjąć bez poważnych zastrzeżeń. Bez wątpienia nie można żądać od wytwórców, ażeby pokryli sami całą wysokość któregokolwiek podatku spożywczego, bo przechodziłoby to ich możność ekonomiczną, t. zn. stwarzałoby nierównomierność podatkową. Lecz z drugiej strony niepodobna zapominać, iż system podatków spożywczych, który w skarbowem ustawodawstwie odgrywa główną rolę, powstał nie tylko ze względów zasadniczych lecz także z powodów technicznych. Główną funkcyą podatku jest w każdym razie zapewnienie skarbowi publicznemu dostatecznych dochodów, wszystkie inne zasady racyonalnego opodatkowania mają bądź co bądź drugorzędne znaczenie. Stąd też państwo szuka przedewszystkiem źródła wydajnego, technicznie łatwego do ujęcia, dającego dochody trwałe i bez nadmiernych kosztów poboru. Trudno pod tym względem o idealniejszy podatek od któregokolwiek podatku spożywczego od artykułów masowych. Pobierając go w chwili produkcyi, państwo chroni się przed ewentualnem ukryciem, a mając do czynienia z większemi przedsiębiorstwami, oszczędza znaczne sumy na kosztach poboru. Jeżeli więc skarbowość publiczna zwraca się chętniej ku łatwym podatkom spożywczym, aniżeli ku nader ciężkiemu i kosztownemu wymiarowi podatków przychodowych lub dochodowych, to czyni to nieraz nie ze względów ekonomicznych lecz wyłącznie skarbowych.

Przerzucenie podatkowe jest zjawiskiem niekorzystnem, gdyż ciężary publiczne przerzuca zawsze silniejszy na słabszego, pogłębiając jeszcze w ten sposób nierówności materyalne. Ta przewaga sił gospodarczych może być wprawdzie tylko chwilowa, lecz musi istnieć w czasie, gdy przerzucenie ma nastąpić. Otóż konsument rzeczywisty jest zawsze najsłabszy ze wszystkich gospodarzy, którzy biorą udział w procesie gospodarczym idącym

od produkcyi do spożycia wytworu. Jest on słabszy, bez względu na stan swych dochodów i majątku, po prostu dlatego, że nabywając towary w drobnych ilościach, nie odczuwa tak silnie różnicy cen jak ten, który sprzedaje je masowo. Stąd też wszystkie podatki opłaca zawsze konsument a uwalnia się od nich bądź producent bądź pośrednik handlowy. Wielkie przedsiębiorstwa produkcyjne, a przedewszystkiem związki kartelowe takich zakładów, przerzucą podatek najpierw na pośredników, którzy w ostatniej linii każą go płacić swym odbiorcom. Mali producenci będą musieli najczęściej z własnych zasobów uiścić podatek, bo kupcy nie dopuszczą do podrożenia towaru, lecz nie przeszkodzi im to żądać od swej klienteli ceny wyższej o cały podatek, tak że w tym razie podatek opłaca się dwukrotnie, raz przez producentów na rzecz skarbu publicznego, powtóre przez konsumentów, na rzecz pośredników handlowych.

Jasną jest rzeczą, że w tych stosunkach każdy wzrost ciężarów publicznych stanowi dla konsumcyi nowe utrudnienie. I jest to obojętnem, jaką formę przybiorą te nowe daniny. Jeżeli wprowadza się podatki lub opłaty spożywcze, płaci je konsumcya, bo ją tylko chciano obciążyć; jeżeli ma się do czynienia z podatkami innymi, znowu pokrywa je konsument, bo ceny wzrastają wskutek podniesienia się, dzięki owym daninom, kosztów produkcyi. I oczywiście, im konsumenci są więcej rozbici, a grupy produkcyjno-handlowe bardziej skupione i zoryentowane, tem to przerzucenie będzie łatwiejsze, dokładniejsze i zupełniejsze.

Zdawałoby się, że ulgi podatkowe powinnyby oddziaływać w przeciwnym kierunku, sprowadzać potanienie towarów. Tymczasem rzeczywiste życie dowodzi, że o ile każdy wzrost ciężarów powoduje natychmiast podwyższenie cen, o tyle obniżenie podatków i opłat dopiero po dłuższym czasie, pośrednio niejako, sprowadza spadek cen, a na razie wychodzi niemal wyłącznie na korzyść produkcyi i handlu. Tak np. wygórowane ceny mięsa w porównaniu w wartością bydła, tłumaczy się między innemi znacznemi kosztami przewozu i opłatami w rzeźniach. Uważa się za rzecz zupełnie naturalną, że zyski rzeźników nie mogą uledz zniżce wskutek tych ciężarów, że są to koszta produkcyi, które

ma zwrócić cena towaru. Jeżeli jednak, dla przeciwdziałania drożyźnie, obniży się taryfy przewozowe i opłaty od bicia bydła, cena mięsa utrzymuje się w dawnej wysokości. Bo przez to nastąpiło zaoszczędzenie kosztów produkcyi, a każda taka oszczędność powinna dać producentowi wyższe dochody. O ile nie przyjmuje on na siebie ciężarów podatkowych, o tyle znowu uważa, że ulgi, ułatwiające produkcyę czy obrót, są jego własnością, z której on tylko ma prawo korzystać. Dopiero później, pod wpływem konkurencyi może dojść do obniżenia cen, ale w dzisiejszych czasach taką rywalizacyę, zmniejszającą zyski dostawców, powstrzymują nader skutecznie organizacye kartelowe.

Tutaj właśnie, w dziedzinie ciężarów publicznych, należy szukać głównej przyczyny, dla której klasy żyjące z wynagrodzenia pracy osobistej — urzędnicza i robotnicza — silniej od innych cierpią pod wpływem drożyzny. Jakkolwiek są to warstwy wytwórcze — społecznie lub materyalnie — to jednak nie mają wytworu, a tem samem nie mogą podniesieniem jego ceny zrównoważyć wzrostu kosztów utrzymania. Drogą przerzucenia kupcy i producenci przesuwają na te warstwy cały ciężar opłat publicznych, one zaś biorąc udział w obrocie tylko jako nabywcy nie mogą się już od nich uwolnić: muszą drogo kupować, a nie mogą drogo sprzedawać. To też jedynym ich celem, jedynym środkiem polepszenia bytu, jest podniesienie wynagrodzenia pracy, jako jedynego towaru, którym rozporządzają. Lecz nawet gdy się im to uda, korzystna zmiana nie trwa długo. Jak już wskazałem powyżej, wzrost płac i zarobków staje się sam przez się czynnikiem ponownego podrożenia, bo wzmożona siła kupna klas pracujących umożliwia korzystniejszą sprzedaż towarów tym, którzy je posiadają.

4. Wkońcu należy jeszcze podnieść ogólny rozrost potrzeb pod wpływem rozwoju materyalnego, a przedewszystkiem cywilizacyjnego. Zjawisko to łączy się w pewnej mierze z poprzednio już omówioną tendencyą wzrostu płac, sięga jednak znacznie jeszcze dalej. Przemiana w potrzebach występuje we wszystkich warstwach ludności i idzie w kierunku bardzo wielkiego ich zróżniczkowania. Wskutek tego powstają nowe, przedtem nieznane

potrzeby, które nabierają niejednokrotnie takiego samego znaczenia jak potrzeby najniezbędniejsze. Przyczyny ich powstania, z których najważniejsze są naśladownictwo i skierowana w tym celu działalność produkcyjna, starająca się stworzyć odbyt na nowe towary, jako też akcya społeczna, wywołana względami dobra ogólnego — są dla naszej kwestyi dość obojętne, wystarcza bowiem stwierdzenie, że nowe potrzeby budzą się i szerzą stale i bezustannie. Wskutek tego zmienia się stosunek człowieka tak do pierwej już znanych potrzeb, jak i do całej wytwórczości. Konsumcya obok swego charakteru istotnego, polegającego na usuwaniu uczucia braku, które wywołuje każda niezaspokojona, a dość silnie uświadamiająca się potrzeba, ma spełnić najczęściej jeszcze jedną funkcyę, mianowicie sprawić spożywającemu pewną przyjemność. Właśnie dlatego na niejedne potrzeby zużywamy więcej środków, aniżeliby to było niezbędnem, a już wszystkie staramy się pokryć w sposób coraz więcej wykwintny, łącząc w ten sposób z koniecznością pewną sumę wrażeń przyjemnych. W zasadzie możnaby zaznaczyć w każdym akcie konsumcyi dwie potrzeby, z których jedna odnosi się do sposobu pokrycia. Ponieważ jednak w gospodarstwie zaspokajamy potrzeby przedmiotami, które równocześnie mają usunąć obie te potrzeby, przeto to odróżnienie nie ma praktycznej doniosłości. Otóż nowe potrzeby zmieniają najczęściej ilościowy rozmiar pragnień dawniejszych, gdyż punkt ciężkości przyjemności przesuwa się na nieznaną poprzednio nowość. Następuje redukcya dawnych potrzeb, albo do ich właściwego znaczenia, to znaczy do wysokości, w której rzeczywiście należałoby je zaspokoić, albo nawet poniżej tej granicy, gdy środki materyalne danego gospodarstwa nie wystarczają na zaspokojenie dawnych i nowych pragnień. Tak np. w zaspokojeniu potrzeb o charakterze wybitnie przyrodniczym, jak głodu i pragnienia, następuje niewątpliwie zniżka pod wpływem cywilizacyjnym. O ile dostrzegamy przy nich postęp w kierunku wyrafinowania i zróżniczkowania środków, o tyle sama ilość pożywienia i napojów przypadająca na jednostkę w klasach, w których odżywianie było zawsze dostateczne, zmniejsza się bezwarunkowo, bo wobec powstania nowych potrzeb, coraz mniejszą

cząstkę przyjemności szukamy w pokrywaniu głodu i pragnienia, w coraz wyższym stopniu liczymy się jedynie z właściwą rolą tego rodzaju konsumcyi.

W warstwach ludności przeto dość zamożnych, ażeby zadowolić wszystkie ważniejsze pragnienia, widać racyonalny rozwój konsumcyi, bo usuwa się dawniejszy nadmiar na rzecz nowopoznanych potrzeb. Gorzej jest w klasach uboższych. Tam również nowość działa tak silnie, że zaspokojenie tych pragnień wydaje się człowiekowi niezbędnem. Środki jednak są tu tak małe, że konsumcya jego i dawniej już była niedostateczna, albo zaledwie wystarczająca. O racyonalnem przeto zmniejszeniu pokrywania dotychczasowych potrzeb nie może być mowy, nowe więc potrzeby, które pragnie się zaspokoić za każdą cenę, muszą wywołać skutki ujemne, albo bowiem zmniejsza się nadmiernie konsumcyę artykułów ważniejszych, albo wydaje się więcej niż może, żyje się nad stan. Stosunki tego rodzaju widać niestety prawie na każdym kroku. Strona zewnętrzna życia zyskuje w warstwach średnich i uboższych coraz więcej na znaczeniu, kosztem potrzeb o wiele ważniejszych. Powodem jest z jednej strony wpływ nowości, zawsze bardzo silny, z drugiej zaś naturalna zupełnie dążność do pozornego choćby tylko zrównania się z zamożniejszymi, do zewnętrznego równouprawnienia.

Skutki tego rozwoju muszą się przejawić bardzo silnie w produkcyi i obrocie. Na towary służące nowym potrzebom zjawia się od razu popyt bardzo silny, co umożliwia oczywiście podniesienie ich cen. Widzimy to tak wyraźnie przy artykułach mody, które jak długo są modne, t. zn. dopóki ich nie wyprą nowe towary, sprzedają się — gdy uwzględni się realną ich wartość — po cenach nader wygórowanych. Każda produkcya, która potrafi dostarczyć nowego towaru i zdobyć dla niego zbyt, staje się nader zyskowną. Nie może to pozostać bez wpływu na działalność wytwórczą i to wpływu bardzo niekorzystnego. Przedewszystkiem ze względu na nadzieję zysków wprowadza się w produkcyę nader daleko idącą zmienność, stałem dążeniem staje się odkrywanie i wyrabianie coraz to nowych towarów, które wypierałyby dawniejsze. W ślad za tem musi iść reklama, coraz szersza i kosztow-

niejsza, bo tylko przez nią można zapoznać szersze warstwy z artykułami, które rzuca się świeżo na targ. Przez to cena tych towarów musi być bardzo wysoka, bo do innych czynników, które wpływają na cenę, dołącza się trzy nowe, mianowicie przeświadczenie, że nowe towary powinny dać zyski wyższe od przeciętnych, koszta reklamy, wreszcie wzrost wartości tej części tych towarów, których już się nie sprzeda wskutek pojawienia się w bliskiej przyszłości innej nowości, czyli bardzo wysoka premia ryzyka. Powtóre te gałęzie produkcyi, które łatwiej niż inne mogą korzystać z powszechnego dążenia do zmian, ściągają jako rentowniejsze, siły i kapitały w nadmiernym stosunku, podczas gdy inne działy wytwórcze rozwijają się powolniej, albo nawet dochodzą do zastoju. W wielkich rysach abserwujemy to, porównując rolnictwo z przemysłem, w ciaśniejszych granicach i w ustosunkowaniu różnych rodzajów przemysłu. Właściwa uzasadniona racyonalnem rozklasyfikowaniem potrzeb konsumcya traci na znaczeniu; na pierwszy plan wysuwa się zapotrzebowanie, które nabywając towary, zapewni ich właścicielom wyższe zyski. W ten sposób drożyzna, która na razie istniała, może tylko w kategoryi artykułów zbędnych rozszerza się na wszystkie towary. Wzrostowi ludności bowiem i polepszeniu się sposobu życia w pewnych warstwach nie odpowiada rozwój produkcyi masowej, jako mniej ruchliwej i zmiennej, a więc mniej rentownej. Po pewnym czasie przeto okazuje się, że popyt wzrósł znacznie silniej od podaży, a wówczas produkcya lub handel, wiedząc, że w każdym razie może liczyć na zbyt, podnosi ceny. I wówczas dochodzimy do zupełnie anormalnego stanu, w którym artykuły zbędne lub zbytkowne nabywa się po dawniejszych lub nawet tańszych cenach, podczas gdy dobra konieczne stają się coraz droższe. Do rezultatu tego, niewątpliwie szkodliwego, dochodzi się niejako automatycznie. Brak odpowiedniego rozwoju produkcyi towarów niezbędnych podnosi ich ceny, wskutek czego wyższy procent dochodów każdego gospodarstwa idzie na opędzenie niezbędnych potrzeb. Redukcya ich jest możliwa tylko do pewnej granicy, do której szersze warstwy pod naciskiem nowych potrzeb doszły już poprzednio, albo przynajmniej niewiele tylko od niej były odległe.

Stąd też wyższą cenę środków pożywienia, mieszkania i t. p. mogą one opłacić tylko o tyle, o ile zrzekną się zaspokojenia innych potrzeb. Zmniejsza się w ten sposób klientela artykułów zbytkowniejszych, chcąc przeto je pozbyć, muszą producenci i kupcy poprzestawać na mniejszych zyskach, muszą oddawać je taniej, a już w najlepszym dla siebie razie nie drożej niż dawniej.

Wkońcu ta tendencya produkcyi i obrotu ku dostarczaniu coraz to nowych artykułów, wywołuje ciągłą chwiejność gospodarczą, bezustanne wahanie się pomiędzy nadmiarem a brakiem towarów. W ślad za tem idą przesilenia produkcyjne. Po okresie braku, w którym ceny i zyski są wysokie, przychodzi hyperprodukcya, przynosząca konsumentom chwilową taniość, producentom nieraz straty, a niejednemu ruinę. Zdawałoby się, że przynajmniej w tym razie położenie konsumcyi się polepsza, jakkolwiek kosztem interesów ogólnych gospodarstwa narodowego. W istocie rzeczy przesilenie, spowodowane hyperprodukcyą jest dla spożywców równie szkodliwe jak dla wytwórców, a nawet może niebezpieczniejsze. Zniżka cen powoduje bowiem rozszerzenie konsumcyi, przynajmniej w tych gospodarstwach, które przedtem musiały się ograniczać. Równocześnie przychodząc po epoce drożyzny zastaje pewną liczbę przedsiębiorstw niezdrowych, które tylko dlatego mogły wytwarzać i utrzymywać się, że ceny były wysokie. Takie zakłady muszą upaść, skoro tylko wytwory swe muszą sprzedawać taniej, tak, że wobec znacznego wzrostu konsumcyi, wskazującej pozornie na wzrost dobrobytu odnośnych warstw, pojawiają się coraz liczniejsze upadki zakładów produkcyjnych. Wytwórcy w takim razie albo domagają się akcyi publicznej na swą korzyść, powołując się na szkody ogólne, które wywołuje ich upadek, albo idąc drogą samopomocy, organizują się w związki kartelowe. Kartel taki zastaje już w tym razie warunki ułatwiające mu podniesienie cen do znacznej wysokości. Hyperprodukcya wobec rozkwitu konsumcyi i upadku słabszych przedsiębiorstw nie jest zwykle tak znaczna, ażeby nie można było wprowadzić równowagi pomiędzy zapotrzebowaniem i pokryciem i w ten sposób zdobyć podstawy dla podniesienia cen. A motywem niejako etycznym, usprawiedliwiającym drożyznę

jest powołanie się na dotychczasowe straty, które tylu wytwórców doprowadziły do ruiny. Producenci, powiada się, muszą ustanowić takie ceny, ażeby mogli zamortyzować swoje poprzednie szkody, muszą sprzedawać dziś drożej, bo poprzednio musieli pozbywać zbyt tanio. Ze zmiany tej skorzystają wprawdzie tylko ci wytwórcy, którzy przetrwali epokę przesilenia, bo inni już upadli, skorzystają więc najsilniejsi tylko, lecz konsument będzie musiał płacić drożej: tem mniej będzie zdolny do obrony, im więcej pod wpływem poprzedniej chwilowej taniości przyzwyczaił się do intensywniejszego pokrywania danej potrzeby.

Wkońcu nie można pominąć jeszcze jednego czynnika, jakkolwiek charakter jego jest zupełnie odmienny od zjawisk dotąd omawianych, mianowicie celowej spekulacyi dla wytworzenia drożyzny. Dzisiejsza organizacya gospodarcza wykazuje tendencyę centralizacyjną, która przy artykułach powszechnego a masowego użycia doprowadziła do stworzenia dla nich jednego, wszechświatowego targu. Cały szereg towarów tego rodzaju, jak różne gatunki zboża, cukier, kawa, żelazo i inne kruszce, bawełna i t. d. posiadają cenę światową, normowaną na t. zw. giełdach towarowych, bardzo ściśle ze sobą związanych. Wskutek tego jednostki materyalnie potężne, albo skojarzone ze sobą grupy spekulantów, mogą z łatwością oznaczać ceny dla całego wielkiego handlu, a tem samem i dla konsumcyi. Wystarczy zmonopolizować w swem ręku najznaczniejszą część dostępnych zapasów danego towaru na krótki przeciąg czasu, ażeby stanowić ceny niemal dowolnie. Jasną bowiem jest rzeczą, że gospodarstwa społeczne w przeważnej części wypadków nie mogą czekać na chwilę, w której ten monopol zniknie, muszą się bowiem zaopatrzyć w niezbędne wytwory lub konieczny surowiec, pod grozą zupełnego zastoju czy to konsumcyi, czy produkcyi. Ma się tu do czynienia z jedynym większym dostawcą — inni bowiem, rozporządzając drobnemi tylko ilościami, nie wchodzą w rachubę — który może w swych żądaniach dojść aż do ostatecznej granicy, t. zn. może wyzyskać całą siłę kupna nabywców. Gdyby taka spekulacya miała trwać przez czas dłuższy, musiałaby się liczyć z materyalnem osłabieniem odbiorców, które sprowadziłoby z konieczności zmniejszenia odbytu. Ponieważ jednak

chodzi o wyzyskanie chwilowej konjunktury, przeto ta ewentualność niema żadnego praktycznego znaczenia. Spekulacya podniosła bardzo znacznie ceny danego towaru. Ci wszyscy, którzy nie mogą czekać, muszą je zapłacić. To już daje spekulantom zysk bardzo wysoki, prócz tego zaś wywołuje dalsze przejawy spekulacyi, które polegają na tem, że inni znowu, widząc ceny tak wygórowane i spodziewając się dalszego ich wzrostu lub przynajmniej utrzymania się w dotychczasowych rozmiarach, rzucają się do nabycia tych towarów, nie z potrzeby, lecz celem dalszej odsprzedaży. W ten sposób popyt szerzy się tak, że pierwsza grupa spekulantów sprzedaje resztę swego zapasu po cenach korzystnych i osiągnąwszy cel zamierzony, t. j. wyjątkowe zyski, wycofuje się z tej operacyi. Co się dalej stanie, jest dla niej już obojętne, bo jej spekulacya udała się najzupełniej. Po pewnym czasie pojawią się z pewnością upadłości, ale one dotkną już innych; całe gospodarstwo narodowe poniesie ciężkie szkody, lecz twórcy tej sytuacyi ich nie odczują. I w obecnej chwili mamy do czynienia z podobną akcyą, odnoszącą się do cen cukru i cyny, zmonopolizowanie ich na targach wszechświatowych przez paru potentatów finansowych, pędzi bezustannie w górę ich ceny.

W pewnej mierze oddają się takim spekulacyom także kartele i to jest może najgorsza ich strona, to jest ich funkcya, którą przedewszystkiem należy złamać przy użyciu środków prawnych. Kartele niewątpliwie nie mogą spekulować tak bezgranicznie, jak jednostki, którym chodzi o jednorazowe zyski, bo muszą się liczyć z trwałością produkcyi, która się zjednoczyła w kartelowym związku. Zarazem i dla ceny ustanawianej przez kartel istnieje granica bliższa, aniżeli zupełne wyzyskanie siły kupna odbiorców, bo wywołany takiem przeciągnięciem struny spadek konsumcyi w najbliższej przyszłości, mógłby zneutralizować osiągnięte zyski. Mimo to jednak kartele, opanowawszy całą, albo prawie całą produkcyę krajową danego rodzaju i uzyskawszy w ten sposób wybitnie monopoliczny charakter, podnoszą niewątpliwie ceny spekulacyjnie. Najzwyczajniejszym środkiem, którym posługują się w tym celu, jest t. zw. uwalnianie, liberowanie towarów na krótki okres czasu. Kartel nie tylko ogranicza ogólną produkcyę, przy-

stosowując ją do zapotrzebowania, lecz zarazem pilnie baczy, ażeby w żadnej chwili ilość towarów dostępnych odbiorcom nie przewyższała popytu. Dlatego też zarząd kartelu oznacza na każdą krótką część okresu wytwórczego, n. p. na każdy miesiąc, ogólną ilość towarów, którą można wystawić na sprzedaż, określając oczywiście zarazem ich cenę. Nabywca więc znajduje się zawsze w położeniu przymusowem, nigdy bowiem podaż nie jest większą od zapotrzebowania, a najczęściej nawet kartel liberuje tak skąpą ilość, że popyt jest stale silniejszy. Producenci nic na tem nie tracą, gdyż skoro pod koniec takiego okresu okaże się, że wystawiona przez kartel na sprzedaż ilość towarów była za szczupła, następuje liberowanie dodatkowe. Konsumcya wprawdzie jest pokryta, lecz bezustannie towarów jest tak mało, że można utrzymać ceny wysokie bez względu na ogólny stosunek produkcyi do zapotrzebowania. Dzięki temu kartel przerzuca na odbiorców wszystkie ciężary, przyzwyczaja ich do opłacania cen wygórowanych, a sam podnosi tylko swe zyski. I uważa się to za tak naturalne, że kartele nawet we własnem oświetleniu swego postępowania do tego się przyznają. Tak n. p. w ostatnich dniach opublikowany memoryał kartelu cukrowego w Austryi, usprawiedliwiając wyjątkowo wysokie ceny cukru w bieżącym roku, podnosi, że konsumcya musi zapłacić cały podatek spożywczy, opłatę kartelową, którą składają przedsiębiorstwa skoalizowane, udział w zyskach, który kartel przyznaje fabrykom cukru surowego, wreszcie cały wzrost kosztów produkcyi, spowodowany złym urodzajem buraków. A przytem wszystkiem jeszcze kartel podniósł, jak sam przyznaje, średnie zyski rafineryi w ostatnich pięciu latach o połowę. I wszystko to uważa on za zupełnie usprawiedliwione obciążenie konsumcyi!

II.

Drugą grupę przyczyn, podnoszących ceny, stanowią wszystkie te czynniki, które zwiększają koszta produkcyi. Ponieważ w działalności wytwórczej współdziała człowiek przy pomocy kapitału z przyrodą, pracując w danym ustroju społecznym, przeto działa tu przedewszystkiem wzrost wartości pracy ludzkiej i do-

chodu z kapitału, jako też zwiększenia ciężarów publicznych, o ile dotyka produkcyi, a więc powody, omówione już poprzednio. Wpływ ich jednak w charakterze kosztów produkcyi jest odmienny od ich znaczenia, jako ogólno-społecznych przyczyn drożyzny. Mówiąc o tych czynnikach poprzednio, chciałem stwierdzić, że wywołują one ogólną tendencyę wzrostu cen, dla zapewnienia właścicielom towarów wyższych dochodów. Zjawisko to społecznie jest ujemne, jakkolwiek indywidualnie może przedstawiać się jako korzystne, gdyż zmierza do utrudnienia bytu konsumentów, ażeby tem bardziej wzrósł dobrobyt producentów. Bez względu na to, w jakim stopniu zmieniły się wydatki produkcyjne, wytwórca lub kupiec widząc, że ogólne stosunki gospodarcze pozwalają mu podnieść ceny, idzie w tym kierunku, nie bacząc na straty, jakie przez to ponoszą spożywcy zaraz i jakie w niedalekiej może przyszłości dotkną produkcyę przez zmniejszenie zbytu. Skoro istnieją warunki dla chwilowego wzrostu zysków, zwiększa się je, bez względu na skutki tego postępowania dla otoczenia i przyszłości. Można przeto powiedzieć, że jest to stan rzeczy z punktu widzenia ogólnego gospodarczo nieusprawiedliwiony i z tego tytułu bezwarunkowo potępienia godny, bo daje przewagę prywatnemu interesowi jednostki nad potrzebami całego gospodarstwa narodowego.

Inaczej przedstawia się wpływ tych samych czynników jako kosztów produkcyi. Wprawdzie i w tym razie wywołują one podrożenie towarów, lecz najpierw jest ono proporcyonalne do zwiększonych wydatków, a więc etycznie i ekonomicznie usprawiedliwione, a powtóre zysków, płynących z wyższych cen, nie monopolizuje właściciel towaru, lecz rozdziela je już z góry pomiędzy inne gospodarstwa prywatne i publiczne. Podrożenie towarów pod wpływem wzrostu kosztów produkcyi jest przedewszystkiem proporcyonalne, t. zn. nie podnoszące czystych dochodów produkcyi. Wskutek tego zwiększenie niektórych tylko wydatków produkcyjnych nie musi bynajmniej utrudnić położenia konsumentów, jeżeli uda się te wyższe koszta zrównoważyć oszczędnościami na innem polu produkcyi. Lepsza organizacya przedsiębiorstw, powiększenie ich rozmiarów, co powoduje oszczędności w zarządzie ogólnym, a przedewszystkiem postęp techniki, pozwalają niejednokrotnie utrzymać

a nawet obniżyć dawniejsze ceny, choćby podniosły się zarobki i podatki. Teoretycznie drożyzna jest niewątpliwa, bo konsumcya zyskuje na postępie mniej, niżby skorzystała, gdyby nie podniosły się żadne kategorye kosztów, praktycznie jednak nie odczuwa się jej, bo nie płaci się za towar więcej niż dawniej. Wzrost kosztów produkcyi jest więc czynnikiem realnym, który działa tylko w razie istotnej konieczności, gdy chodzi o zwrot istotnych wydatków, a nie dogodnym pozorem do śrubowania cen i zysków. Jest to rzeczą zupełnie naturalną, którą łatwo zrozumieć, gdy się zwróci uwagę na skutki podrożenia pod wpływem kosztów. Producent ma wybitny interes w tem, ażeby zwiększyć swe dochody, lecz podniesienie dochodów cudzych jest dla niego obojętne. Otóż wydatki produkcyjne wychodzą z jego gospodarstwa, a wchodzą w gospodarstwa obce, robotników, dostawców narzędzi i surowców, wierzycieli, państwa i t. p. Wytwórca nie zyskując w tym razie nic na drożyźnie, a mogąc na niej stracić przez ograniczenie zbytu, będzie zmierzał ku zamortyzowaniu nadwyżki kosztów raczej oszczędnościami, aniżeli podwyżką ceny. Stąd też wpływ kosztów produkcyi na ceny jest dla konsumentów mniej niebezpieczny, czego dowodzi także i historya nowszego rozwoju gospodarczego. Jakkolwiek płace robotnicze i ciężary publiczne — dwie główne pozycye, któremi tak często usprawiedliwia się drożyznę — wzrosły znakomicie w ostatnich kilkudziesięciu latach, ceny towarów spadły, bo postęp techniki wprowadził znaczniejsze jeszcze oszczędności. Dopiero tendencya ku zwiększeniu indywidualnych dochodów, dla której wskazanie na koszta produkcyi były tylko pożądanym pozorem, sprowadziła stosunki dzisiejsze.

Zarazem najważniejsze pola, na których przejawia się wzrost kosztów produkcyi, są tego rodzaju, że ogólnie biorąc, wyniki są raczej dodatnie tak dla całego gospodarstwa społecznego, jak i dla warstw konsumujących. Największą rolę bowiem odgrywa w tej zmianie wzrost zarobków, ciężarów publicznych i cen surowców. Otóż podwyższanie się wartości pracy ludzkiej, jak już podniosłem poprzednio, jest ewolucyą nader pożądaną i podnosi w wysokim stopniu siłę konsumcyjną najszerszych warstw społecznych. Nowe czy podwyższone daniny publiczne idą głównie

na rzecz nowych, ekonomicznych i kulturalnych zadań ciał publicznych, a więc znowu na cele użyteczności publicznej o wielkiej doniosłości. Przytem następuje pod ich wpływem także racyonalniejsze ustosunkowanie sił społecznych, bo inwestycye tak materyalne, jak i społeczne, ułatwiają rozwój gospodarczy całego społeczeństwa, a nawet raczej słabszych jego grup, bo silniejsze prędzej mogą własnemi siłami stworzyć niezbędne dla siebie środki i zakłady. Wreszcie wyższy dochód dostawców surowców, dostaje się również w przeważnym stopniu do rąk gospodarzy mniej zamożnych i długo upośledzanych. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że zyskują na tem niejednokrotnie także przedsiębiorstwa potężne, lecz bądź co bądź i dziś jeszcze rolnictwo jest głównym zawodem produkcyi pierwotnej, a w niem drobne i średnie gospodarstwa odgrywają większą rolę, niż w którejkolwiek innej gałęzi produkcyi. Wskutek tego podnosi się dobrobyt szerokich warst ludności, a tem samem warunki tak produkcyi, jak i konsumcyi zmieniają się na lepsze. Stąd też wzrost kosztów produkcyi, czy to przez podniesienie płacy, czy też wskutek wyższych cen surowców, oddziaływa na stosunki ogólno-gospodarcze na ogół korzystnie. Powodując zwyżkę cen, równocześnie powiększa siłę kupna konsumentów, a więc nie pogarsza ich położenia, natomiast stanowi poważną sprężynę dla rozwoju wytwórczości narodowej, dostarczając jej tak nowych, jak i silniejszych odbiorców. Jedyne zastrzeżenie można zrobić co do tych wszystkich, którzy posiadają stałe dochody, nie ulegające zmianom, odpowiednio do zmian w warunkach gospodarczych. Te warstwy — a więc drobni kapitaliści, żyjący z procentów od papierów i kapitałów lokacyjnych, przedewszystkiem zaś urzędnicy i wszelkiego rodzaju funkcyonaryusze publiczni — rzeczywiście cierpią pod wpływem takiego rozwoju. Nie dostarczając dóbr materyalnych, nie korzystają ze zwyżki cen surowców, pobierając stałą płacę nie mogą liczyć na wzrost wartości pracy ludzkiej, a jako konsumenci, muszą płacić drożej za niezbędne środki do życia. Występuje tu jeden z tych antagonizmów gospodarczych, którego niepodobna inaczej usunąć, jak tylko uchyleniem jego zasadniczej podstawy, t. zn. owej niezmienności dochodów. Jest ona niewątpliwie ekonomicznie nieuzasadniona, gdyż wyso-

kość każdego dochodu, określa się zasadniczo doniosłością dla gospodarstwa społecznego tego czynnika, który dochód pobiera. To znaczenie zmienia się pod wpływem zmiany faktycznych stosunków produkcyjnych i ogólno-gospodarczych, stąd niezmienność dochodu jest instytucyą narzuconą, wytworzoną sztucznie, a tem samem z konieczności doprowadzającą do konsekwencyi niezamierzonych, a więc szkodliwych. Lecz omówienie środków sanacyi czy poprawy należy już do działu traktującego o akcyi, któraby przeciwdziałała skutecznie szkodliwym skutkom drożyzny wogóle, jako też, któraby powstrzymywała i usuwała niezdrowe przejawy drożyzny.

(Dok. nast.)

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Walka o Chrystusa. *Tadeusz Miciński.* Warszawa 1911. Str. 140.

Na Renanie zawiedli się ci, dla których Chrystus jest »znakiem, któremu się sprzeciwiają«. Renan podniósł świętokradzko rękę, by zedrzeć ze skroni Jezusa dyadem boskości. Lecz celu nie dopiął. Jak przed nim, tak i po nim, zarówno mędrcy, jak i prostaczkowie zginali przed Galilejczykiem kolana, a pensyonarka z wyższej klasy, która już była sądziła, że z »nauką« nie godzi się msza święta, przeczytawszy książkę Renana, zachwycała się Jezusem i znowu szła... do spowiedzi. Renan wbrew oczekiwaniom wielu, wbrew własnym intencyom, stał się dla wielu... piątym ewangelistą.

Ale Jezusowi muszą się sprzeciwiać na wieki: takie jest o Nim proroctwo. I otóż na zatrucie ducha tych, dla których On jest chlebem żywota, odświeżono pospiesznie i podlano nowym sosem zapleśniałe w powszechnem zapomnieniu preparaty Dupuisa, Reinacha, Straussa, ogłaszając je za ostatni wynalazek... sztuki kulinarnej? nie, — nauki! Nie dość odebrać Jezusowi bóstwo, bo kochać Go będą jeszcze jako człowieka; wmówić w ludzi, że Go wcale nie było, ani w niebie ani na ziemi — oto radykalny środek uśmiercenia wszelkiego kultu chrześcijańskiego. W tym kierunku poprowadziła kampanię przeciw chrystyanizmowi czereda przeważnie niemieckich fanatyków, drapujących się ku większej powadze w togi uczonych. Profesor filozofii na politechnice, Drews, stał się specyalnie *ad hoc* historykiem religii, a zarazem najgorliwszym propagatorem i popularyzatorem swoich i swoich kolegów »naukowych odkryć«. Dwa dogmaty są najpopularniejsze

w obozie tak zwanych »monistów«: jeden, że człowiek pochodzi od zwierzęcia, a drugi, że kult Chrystusa mitycznego rodzi się w głębiach kultów astralnych. Pierwszą tezę propaguje w imię biologii sam patryarcha monizmu Haeckel, posługując się nawet fałszerstwami naukowemi, drugą rozwijają Drews et Comp., za naukowe dowody podając swą bujną imaginacyę.

Niemieckim wrogom osobistym Boga pozazdrościł sukcesów wróg osobisty Boga polski, postanawiając prześcignąć nawet swych niemieckich kolegów. Ten, który przed paru laty tłumaczył na polskie Renana, kopnął teraz nogą piątego ewangelistę. Renan dowodził, że Jezus nie jest Bogiem tylko człowiekiem; Niemojewski zaraz na wstępie swego »dzieła«: »Bóg Jezus«, zapowiada, że naukowo, na podstawie badań cudzych i własnych dowiedzie, że się Renan myli: Jezus nie był człowiekiem, tylko właśnie bogiem, bogiem na równi z tylu bogami innymi. Czas mu już, powiada nowy apologeta, wrócić tę boską godność, którą mu płytki racyonalizm odebrał.

Książkę ową wydał Niemojewski prawie jednocześnie i po niemiecku; dlaczegóżby zresztą nie miał pójść w sukkurs swemi badaniami badaniom snać nie wystarczającym Drewsa, Jensena i innych mężów monistycznej nauki? I właśnie wtedy, gdyśmy święcili rocznicę zwycięstwa grunwaldzkiego, p. Niemojewski w Niemczech święcił tryumf zwycięstwa nad... Chrystusem. »Ta książka — tak pisała o książce Niemojewskiego *Frankfurter Zeitung* — jest jednem z największych zjawisk w literaturze wszystkich narodów. Będzie mieć za rezultat (co za pewność!) przewrót zupełny w życiu duchowem całej ludzkości, nada jej sprawom umysłowym nowy kierunek... Niemojewski uzyskał nieodparty dowód, że Ewangeliści nie są kronikarzami i że Ewangelie po prostu nigdy zrozumianemi nie były. Właściwy sens i duch Ewangelii jest astralny«. Podobno Drews nadesłał Niemojewskiemu telegram gratulacyjny z okrzykiem: Hurra!

Zapowiedziany przewrót w umysłowości całej ludzkości jeszcze nie nastąpił: msza św. po dawnemu jeszcze się odprawia, a nawet pensyonarki, na które, jako na przyszłe wychowawczynie, Niemojewski snać wiele liczył, te pensyonarki, które rozczulały się nad Jezusem Renana, teraz, gdy im czytano naukowe dzieło nowego mistrza, śmiały się do rozpuku, dziwując się wielce, że człowiek uczony ma tyle czasu na tworzenie takich zabawnych kombinacyi (fakt autentyczny!). A kiedy zwracano uwagę ich na 150 tytułów dzieł również uczonych, na które

Niemojewski się powołuje, zdumienie ich jeszcze bardziej wzmogło się, że to tylu jest na świecie uczonych dziwaków.

Dlaczego ktoś nie napisze naukowej odprawy Niemojewskiemu, zagadnął mię ktoś, gdy była mowa o książce »Bóg Jezus«. Delikatność nie pozwoliła mi powiedzieć wtedy tego, co myślałem. A myślałem właśnie to, że kto takie pytania stawia, ten nie ma pojęcia o dziele Niemojewskiego. Naukowo rozprawiać się z niem prawie że nie można. Uczonego tej miary i tej sumienności naukowej, jaką okazuje Niemojewski, należałoby wyprowadzić na plac publiczny i zdarłszy z niego przywłaszczoną togę, zabić go śmiechem gawiedzi. Zapewne, że to rzecz upokarzająca dla godności ludzkiej darzyć kogoś gestem głębokiej pogardy, jednak trzeba niekiedy przezwyciężyć kurtuazyę i pokonać w sobie uczucie delikatności, gdy ktoś sili się na to, by na taką pogardę w zupełności zasłużyć, a zasługuje na nią ten, kto po błazeńsku targa się na największą świętość ludzkości.

Tem się zapewne tłumaczy też, że chociaż wielu teologów przeczytało *chef d'oeuvre* Niemojewskiego, żaden dotąd nie wystąpił z obszerniejszą odprawą. Odprawy jednak takiej doczekał się Niemojewski z tej strony, z której chyba się jej nie spodziewał. Z szeregiem odczytów w Warszawie, a potem z książką wystąpił przeciwko niemu Tadeusz Miciński.

Kim jest Miciński? Napewno nie jest teologiem z zawodu, ani nawet historykiem religii. Jest to literat, trochę mistyk, od kół kościelnych trzymający się z daleka. Sama jego książka »Walka o Chrystusa« dowodzi, że nie księża go namówili do tego wystąpienia. W dwóch pierwszych rozdziałach i w rozdziale ostatnim swojej książki Miciński zdradza, że ma jakieś żale do duchowieństwa, że żywi jakieś podejrzenia względem niego. Sądzi, że potrzeba dowodzić takiej jasnej dla każdego tezy, jak ta, że religia nie jest sprawą tylko księży i dowodzi tej tezy w mniemaniu, że posiada jakichś przeciwników w szeregach duchowieństwa. Narzeka na to, że encyklika Piusa X o modernistach zamyka drogę do badań, mimo to przynajmniej częściowo badać usiłuje, tu i ówdzie sympatyzuje z Loisym, na Objawienie chrześcijańskie i jego stosunek tak do religii dawniejszych jak i do formuł dogmatycznych patrzy przez szkła filozofii modernistycznej (str. 116 i indziej). Z tego wszystkiego widać, że jeśli staje do walki z Niemojewskim, to chyba nie po to, by bronić tradycyjnych dogmatów katolickich i nie ze zbytniej przyjaźni ku hierarchii kościelnej.

Stanął jednak do walki. Dlaczego? Bo oburzyła go niesłychana

bezczelność »megalomana, który na kulturze tysiącletniej narodu opiera swą nogę, by niby sięgając gwiazd, przywalić nas pyłem guślarstw »naukowych«, stertą połamańców zodjakalnych, monstrualnością swych niestrawności myślowych, wmawiając, że my w t o wierzymy«. Oburzyła go i ta potulność Warszawy, pozwalającej p. Niemojewskiemu buszować, niby na swym folwarku, w umysłowości mieszkańców swoich.

Jak z zadania swego Miciński wywiązał się? Tak, jak tylko mógł i jak zasługiwał Niemojewski. Zdziera po prostu z szarlatana ten płaszcz naukowości, jakim on swą umysłową próżnię pokryć usiłował. Nie perswaduje mu, by sam ten płaszcz złożył, jako niezasłużony i nie do twarzy mu, ale literalnie zdziera zeń takowy ku uciesze i zabawie czytelnika.

Właściwy rozbiór książki Niemojewskiego mieści się w sześciu (na 12) rozdziałach książki Micińskiego, mianowicie od III do VIII włącznie, czyli na 77 stronach. Czyni M. ten rozbiór z mistrzowstwem wyboru, bo gdyby nad wszystkimi pomysłami Niemojewskiego chciał zastanawiać się, musiałby znacznie swą książkę rozszerzyć.

Najpierw tedy przypomina mu, że zapóźno dziś odgrzewać teoryę, która powstała wtedy, gdy wierzono, że religia była wynalazkiem kapłanów, a każdy oświecony umysł uważał za swój obowiązek *écraser l'infâme*. Astralna teorya Dupuis'a, przyjęta już wtedy burzą śmiechu, dziś tem mniej może liczyć na uznanie, kiedy genezę religii każdej, a tem bardziej chrześcijańskiej możemy badać w świetle nie imaginacyi, lecz nauki historycznej. Tymczasem właśnie Dupuis »stał się nieprzebranem źródłem, skąd Myśl Niepodległa czerpie swe byki, skorpiony, osły (astralne!), tusząc, że aż po ostatnie dni żywota w tym żłobie obroku moralno-umysłowego dla redakcyi nie zbraknie«. »Szczęśliwa — ironizuje Miciński — nakarmiając tłumy workiem powietrznym, dokonała zaiste czegoś większego, niż było nakarmienie pięciu tysięcy ludzi kilkorgiem chleba«.

Według Niemojewskiego nie posiadamy ani jednego dokumentu historyczności Jezusa. Ewangelie powstały wtedy, kiedy kult Jezusa już istniał i trzeba było z mitycznej postaci uczynić historyczną osobę, umieścić ją w czasie i przestrzeni. Wcześniejsze od ewangelii (tak się podoba p. Niemojewskiemu) listy apostolskie nie mają pojęcia, kiedy Jezus istniał. Autorowie ich to również postacie tylko mityczne. Świadectwa rzymskich historyków i pisarzy żydowskich albo są fałszerstwami chrześcijan, albo niczego nie dowodzą. Ewangelie są pełne bajek, a tak zwane nauki Jezusa — logia — pozbierane zostały nie-

dołężnie z różnych starszych źródeł i zszyte w jedno ręką partaczy. Czyż nie oczywisty tego dowód w 32 wykrytych przez p Niemojewskiego sprzecznościach ewangelicznych; czyż jeden i ten sam człowiek mógł n. p. raz powiedzieć: »Nie można dwom panom służyć«, a drugi raz: »Oddajcie, co jest cesarskiego, cesarzowi, a co boskiego — Bogu«? Przeciwko tak »naukowemu« traktowaniu rzeczy gromadzi Miciński dowody wiarygodności ewangelii, a dowody te pożycza nie tylko u uczonych katolickich, lecz i z obozu racyonalistycznego. Właściwie na tym rozdziale musiała się skończyć naukowa część pracy.

Zaczyna się humorystyka. Łukasz, wogóle autor trzeciej ewangelii, ktokolwiek nim był, według Niemojewskiego, był »niezrównanym literatem« i właściwie sam w historyczność Jezusa nie wierzył. Podał świadomie mit astralny; tylko Kościół swą egzegezą na wieki całe rozumienie tego pięknego mitu zaćmił. Klucz do zamkniętego sensu odnalazł dopiero Niemojewski. Jeśli więc Łukasz opowiada o dzieciństwie Jezusowem, to znaczy: Marya jest panną z zodyaku, żłób betleemski to jest jakaś gwiazda, wół i osieł to wół i osieł astralny, Jezus — to księżyc w nowiu, kiedyindziej — słońce, Jan i Jezus to »bliźnięta« astralne, podobnie jak Symeon i Anna, jak dwóch łotrów, jak Herod i Piłat, dwaj uczniowie z Emmaus i t. d. To wszystko ma stwierdzać astronomia i załączone przez p. Niemojewskiego tablice zodyakalne. Gdzie się nie klei, tam liczy się na niedopatrzenie czytelnika. Teorya wymagała, żeby Jezusa narodzenie astralne umieścić na 25 marca, tymczasem tradycya wskazuje na grudzień. Ale od czegóż dowcip? Niemojewski powołuje się na Łukasza, jako na świadka na korzyść marca, gdyż Łukasz pisze, że co rok na Paschę chodzili Józef i Marya do Jeruzalem, a raz wzięli ze sobą i Jezusa. Gdy z teoryi wynika, że gwiazdy powinny były krążyć w kierunku A, a astronomia przemawia za kierunkiem B, to i to Łukasz przewidział, mówiąc, że wtedy było z a m i e s z a n i e wielkie, bo każdy spieszył do miasta swego, by się zapisać i t. d. i t. d. bez końca. Te żarty z naiwnego czytelnika, który uległ pokusie kupienia sobie książki p. Niemojewskiego, żarty »niepodległe żadnemu zdrowemu sensowi«, wywołują nawzajem niemilknącą ironię, sarkazmy i anegdoty ze strony Micińskiego. Ale czy można mu mieć za złe, że w ten a nie inny sposób traktuje takie pomysły, jak ten, że nasze podniesienie przy mszy św. jest pozostałością podniesienia słupa Ozyrysa, albo, że Łukasz z Kleofasem byli astralnymi osłami, albo, że Jan Chrzciciel to stary Dagon, czczony pod postacią ryby, a Józef z Arymatei to byk? p. Miciński

posługując się metodą p. Niemojewskiego, udowadnia, że Jadwiga i Jagiełło są postaciami mitycznemi, astralnemi, bitwa grunwaldzka — to deszcz spadających meteorów w regionie Smoka, a już najbardziej niehistoryczną rzeczą jest proklamowanie Stanów Zjednoczonych w r. 1776.

Kto czytał książkę Niemojewskiego, ten i książkę Micińskiego z wielkiem zajęciem przeczyta. Przeczyta i ubawi się i autorowi podziękuje. Przytem utrwali się w przekonaniu, że mamy w Polsce o jednego uczonego mniej, niż wypadałoby według obliczeń Niemojewskiego.

Ks. J. Urban.

Z życia poety romantycznego. Seweryn Goszczyński w Galicyi. Nieznane pamiętniki, utwory i listy z lat 1832—1843; z 2 portretami S. Goszczyńskiego i 1 facsimile. *Zygmunt Wasilewski.* Lwów 1910. Nakładem Towarzystwa wydawniczego (8-ka, str. 205).

Na chlubę publicystyki poważnej trzeba powiedzieć, że jakkolwiek pracujący w niej targają codziennie nerwy i zdrowie, przecież nie brak pośród nich indywidualności wcale wybitnych, które, chwile, wolne od pracy zawodowej, poświęcają z zapałem badaniom, przynoszącym niejednokrotnie trwały pożytek literaturze naukowej. W grupie tej kategoryi działaczy, równocześnie na niwie publicystycznej, jak i naukowej, należy nie od wczoraj p. Wasilewski do najgorliwszych. Umiłował ludoznawstwo, to też — jakkolwiek redagowanie *Głosu* (warszawskiego) zabierało mu sporo czasu — wystąpił z monografią etnograficzną wioski »Jagodne« (w Bibliotece *Wisły*). A nie zaniedbywał zarazem badań naukowych w zakresie historyi literatury; Mickiewiczowi poświęcił sporo czasu, jak niemniej jego towarzyszom i epigonom; Goszczyńskiemu od roku 1894 (o ile mnie pamięć nie zawodzi) poświęca szereg prac biograficznych i swojem staraniem wydaje pisma jego (dotąd trzy tomy; całość obliczona na ośm). Kiedy zaś rychlejszemu wykończeniu dzieła zamierzonego stanęły na przeszkodzie względy natury materyalnej, daje książkę, zawierającą skarbnicę faktów, dokumentów, utworów dotąd nieznanych, tem ciekawszych dla szerszego ogółu, ile że pochodzą one wszystkie z lat po bytu poety w Galicyi i rzucają sporo światła na ówczesne ruchy spiskowe, jako że działalność w tych latach Goszczyńskiego wiąże się ściśle z dziejami piśmiennictwa w Galicyi i z dziejami jej polityczno-narodowemi.

To też niepodobna nie zgodzić się z szan. wydawcą, iż »spo-

czywa w kartach niniejszych fragment pięknego żywota jednej z najtęższych postaci polskich wieku XIX, fragment nie tylko osobistego życia poety i działacza; jest tam wiele krwi i ducha narodu całego. Trudno spotkać człowieka, któryby tak wiernie czas swój wyrażał, jak Goszczyński. Spędzał on w Galicyi najlepsze lata życia, lata wieku dojrzałego. Był to szczytowy punkt jego wzlotu, najpełniejsze objęcie całokształtu dążeń narodowych w twórczości poetyckiej i w czynie, dźwigających społeczeństwo z upadku. W osobie jego na terenie galicyjskim ziszcza się ideał ówczesny Polski bezkordonowej i jej pracy wewnętrznej, pracy codziennej a górnej, na długą przyszłość obliczonej, pracy demokratycznej, wszystko na pozór od nowa poczynającej, a jednak historycznej, organizującej wszystkie klasy w jednoduszny naród«.

Goszczyńskiego nigdy nie opuszczała wiara w zwycięstwo słusznej sprawy. Rewolucya wraz z upadkiem Warszawy była dla niego jeno jednym aktem sprawy nieskończonej. Ustępował niezłamany, ale bardzo smutny, »bo Niemcy dziś jeszcze, dziś nam broń zabiorą«. I szedł wraz z tysiącami innych kędyś w kraj daleki, ażeby stamtąd sprawę odrobić, wyjarzmić Polskę. Nie powędrował z tysiącami towarzyszy do Francyi, ale z serdecznym swoim druhem, Józefem Tetmajerem, stanął na ziemi galicyjskiej, okradziony z pieniędzy i odzieży, oddany na łaskę przyjaciół i losu, aby na nowo zacząć życie nową pracą. Pracy zaś tej, wytężonej i różnorodnej zarazem, jął się od pierwszej niemal chwili.

Wyobrażenia najlepszego o niej można nabrać ze »Wspomnień«, spisanych, co prawda w latach późniejszych. Trzeba jednakowoż mieć to na uwadze, że tego typu ludzie, co Goszczyński, nie mają czasu na prowadzenie dziennika swoich czynności. Więc kiedy po upływie szeregu lat postanowił uzupełnić nienotowane do roku 1843 dzieje swojego żywota, dobra pamięć, jaką odznaczał się Goszczyński, nie zawiodła go.

»Wspomnienia« zaś te stanowią kopalnię niewyczerpaną materyału, zarówno dobrze dla historyka literatury, jak też dla dziejopisa emigracyi polskiej. »Z końcem roku 1831 zaczął się dla mnie — pisze Goszczyński — okres bardzo ważny w mojem życiu, pielgrzymka w Galicyi, która trwała aż do pierwszych dni czerwca 1838 r., kiedy wyjechałem do Francyi, blizko 7 letnia. Był to szczyt mojego życia politycznego na starem politycznem polu — czasy największych niebezpieczeństw, a najpełniejsze świadectwami opieki Bożej nade mną, cudotwórczej, mogę powiedzieć. Pó-

żniej dopiero pojąłem ich znaczenie opatrzne w całości mojego żywota« ... (str. 17).

I cóż zatrzymało poetę w Galicyi, skoro »wszystko z wielką potęgą ciągnęło go do Francyi«?... Najważniejszemi przyczynami były »miłość instynktowa ziemi rodzinnej i nadzieja nowego rychłego powstania, do czego postanowił przyłożyć się ze wszystkich sił swoich«. Rok cały upłynął, zanim zaznajomił się z nowem polem działania. W rzeczy samej obeznawał się głównie z duchem ludności i pisał wiele. Na ten czas przypada tłumaczenie Ossyana, nie uważanego za apokryf. Zajęciom literackim wszelako poświęcał się tylko dorywczo. Zaledwie bowiem poznał w Tarnowie adwokata Poca, od razu powziął zamiar konspiracyjny. Poc miał zająć się organizowaniem ochotników do nowego powstania, Goszczyński zaś wypracował projekt przyszłego rządu polskiego. Rzeź w r. 1846 położyła koniec urzeczywistnieniu planu. Zamieszkawszy u Tetmajera w okolicach Nowego Targu, zaczął Goszczyński żyć życiem rodzinnem, o czem wiadomo z »Dziennika podróży do Tatrów«. Nowe znajomości mnożyły się obficie, ale nic nie zdołało poety tak ucieszyć, jak spotkanie się z przejeżdżającymi do Francyi Bohdanem Zaleskim i Stan. Worcellem, z którymi zwiedził dolinę Kościeliską. Nie wytrzymał wszelako Goszczyński długo pozornej bezczynności. Rzemiennym dyszlem puszcza się w czas najgorszy, bo w listopadzie, do odległego Lwowa, gdzie, z obawy pościgu policyjnego zamieszkał razem z Augustem Bielowskim, podając się za jego brata.

Lwów roił się emigrantami. Pomiędzy znajomymi spotkał kolegę z powstania Maurycego Gosławskiego, Zenona Chaborskiego, kolegę ze szkół bazyliańskich w Humaniu, a poznał Pola i Olizarowskiego. Nie zastał tylko Krechowieckiego, któremu pozwolono powrócić na Ukrainę.

Od zawarcia znajomości z Ignacym Kulczyńskim i Józefem Zaleskim zaczęła się robota konspiracyjna. Napisał tedy w 20 kilku artykułach organizacyę związku, nazwanego związkiem »D w u d z i e s t u j e d e n«. Rozwijając czynności tego związku, wyprawiono Pola na kontrakty kijowskie z listami do szlachty, od hr. Ksawerego Krasickiego, a zarazem postanowiono wydawać czasopismo. Kiedy zaś obecny na zgromadzeniu szlachty Aleksander hr. Fredro domagał się rękojmi, iż w piśmie projektowanem nie będą ukazywać się utwory w rodzaju »Uczty zemsty« Goszczyńskiego, upadł projekt cały, »a ja — wyznaje Goszczyński — straciłem dla Fredry szacunek i okazałem to jemu kilka lat później w rozprawie »Nowa epoka poezyi polskiej«.

Mimo prześladowań policyjnych, Goszczyński współdziała z Bielowskim nad wydaniem »Ziewonii« i umyka w różne schroniska, jak zając szczwany. Jasną rzeczą jest, że przyczyną tych sekatur policyjnych były knowania powstaniowe, które wszelako zaczęły znajdować niewiarę w sercu Goszczyńskiego. Na wiadomość o przygotowaniach do wyprawy nieszczęsnej Zaliwskiego, »przeczucie moje — wyznaje poeta — potępiło od razu tę robotę«... I nie omyliło się... Pomimo przenoszenia się nieustannego z miejsca na miejsce, z Lwowskiego w Tarnopolskie, to w Czortkowskie, Goszczyński zaczął pracę nad »Proroctwami księdza Marka«. W roku 1835 jest po raz pierwszy poza kordonem austryackim aż dwukrotnie w Rzeczypospolitej Krakowskiej. I tułaczka w dalszym ciągu. Dopiero w roku 1837 przebywa najczęściej we Lwowie, w lecie zaś na Podolu w Tarnopolskiem, gdzie omało co nie był uwięziony, ażeby roku następnego puścić się w podróż do Francyi i rzucić się od razu w wir walki, jaka się na emigracyi toczyła zajadle.

Część druga książki p. Wasilewskiego przynosi szereg fragmentów z poematu p. t. »Proroctwa ks. Marka«, który miał stanowić cząstkę obszerniejszej całości p. t. »Kościelisko«. A że Goszczyński nie ustalił był sobie ostatecznego planu utworu, trudno zatem silić się na określenie, w jakim stosunku do całości miał pozostać »Ksiądz Marek«. Zdaje się, że miał to być wielki poemat, poświęcony apoteozie dziejów Polski. Z okazyi wszelako samego tylko tematu nasuwa się samochcąc myśl następująca. Wiadomo, że Goszczyński mieszkał czas niejakiś w Paryżu u Słowackiego i że na ten czas przypada zainteresowanie się Słowackiego tematami, które Goszczyński miał w sobie. Z urywków wszelako tutaj przytoczonych niepodobna dojść do jakichkolwiek przypuszczeń w tej mierze. Pomimo to odnalezienie »Proroctw ks. Marka« jest dla historyka romantyzmu naszego wypadkiem pierwszorzędnego znaczenia. Trzeba bowiem przyznać najzupełniejszą słuszność p. Wasilewskiemu, kiedy powiada, że na ułamkach tego poematu można robić studya celem zbadania, jak rozrastała się dusza poety pod wpływem wypadków w kraju i oddalenia od miejsc rodzinnych, a zarazem, jak łączyły się w jeden związek psychiczny pierwiastki poetyckie, znane z dawniejszych utworów, z rodzącym się na emigracyi podziwem dla Polski i mogilnym, acz nie beznadziejnym, żalem po upadku powstania. Na poezyi z tego czasu możemy śledzić głębię i naturę wezbranych wówczas uczuć narodu, oraz falowanie wytrąconej z równowagi myśli. W takich chwilach, chyba dopiero na obczyźnie można skupić roz-

bitą świadomość rzeczy i dać wyraz artystyczny swojej samowiedzy. Potrzeba było tych szczególnych warunków, jakie miał Goszczyński, aby tłum wzruszeń i myśli po katastrofie dostatecznie zobjektywizować i widzieć obraz rzeczy, zwłaszcza poetycki. W kraju, w którym, jak słusznie wyraził się Słowacki, »po dniach nieszczęśliwych zostaje smutne pół-rycerzy żywych«, była depresya umysłów, ciemność i bezruch woli. Szukano środków zewnętrznych na zagłuszenie bólu W Galicyi hulano do upadłego...

Jedyni emigranci unosili ze sobą tajemnicę ducha narodowego — klucz poetycki, przy pomocy którego będą odcyfrowywać i formułować oniemiałą duszę narodową. Pierwszą księgą tej nowej epoki była Mickiewiczowska trzecia część »Dziadów«. Ale i Goszczyński chciał ze swego stanowiska obraz »konania« Polski ująć w ramy wielkiego poematu. I rzucił się do tego pomysłu, być może za mało licząc się z tem, czy sprosta zadaniu?... Te niewykończone pierwsze rzuty są tem cenniejsze, że chwytamy na nich poetę, jak na gorącym uczynku. Mamy próbkę jego psychiki ówczesnej i zamiarów artystycznych.

»Memoryał Goszczyńskiego i korespondencya z Polskiem Tow. Demokratycznem« stanowią przedmiot części trzeciej. W Paryżu główny podział między emigracyą dokonywał się na podstawie: na kogo liczyć ma sprawa polska: na ludy, czy na rządy? Powstały dwa zasadnicze obozy, z których jeden wierzył w miłość czynną ludów, drugi w pomoc państw. Stąd demokracya i arystokracya emigracyjna. Tymczasem Goszczyński stanął na jedynie wskazanem stanowisku, wykazując, że krajem nie można rządzić z emigracyi! Korespondencya w tym przedmiocie, arcyważna dla historyka myśli porozbiorowej polskiej we Francyi, przynosi szereg listów wybitniejszych osobistości, żeby wymienić tylko: W. Heltmana, T. Malinowskiego, Darasza, J. Alcyaty oraz samego Goszczyńskiego, żeby nie wspominać o samym »Memoryale«, który tutaj został wydany *in extenso*.

Rozdział ostatni jest równoważny z poprzednimi. Przynosi przedewszystkiem szereg pism urzędowych, dotyczących pościgu, urządzonego za emisaryuszami, z ramienia władz policyjnych austryackich, między innymi zaś dokumentami urywki z rękopiśmiennego pamiętnika Henryka Bogdańskiego, wreszcie szereg notatek, rzucających nowe światło na stosunki literacko-wydawnicze Goszczyńskiego, oraz nieogłoszonych dotychczas nigdzie listów Goszczyńskiego do Michała Grabowskiego,

Augusta Bielowskiego, N. L. Kamieńskiego, J. Woykowskiej i F. Chaborskiego.

Jak widać z tego pobieżnego przeglądu, książka p. Wasilewskiego przynosi ogrom materyałów cennych a nieznanych. Niechaj więc one same chwalą zapobiegliwość ich wydawcy. Jeszcze jedno. Wiadomo, że zbiorowe, kompletne wydanie pism Goszczyńskiego, podjęte z ogromnem znawstwem i niecodziennym pietyzmem przez autora omówionej książki, utknęło na tomie trzecim — z braku funduszów. Trudno skazywać wydawcę, który sporo trudu włożył w pracę nad twórczością Goszczyńskiego, na to, iżby musiał stanąć w połowie zaczętego dzieła. Wszak niemal dwie trzecie twórczości Goszczyńskiego spoczywa dotychczas w rękopisach, zawierających wiele materyału nie tylko odnoszącego się do twórcy »Króla zamczyska«, ale przedewszystkiem do Mickiewicza z epoki Towiańszczyzny. Dlatego życzyć należy, by jakaś patryotyczna dłoń umożliwiła wydawcy ukończenie rozpoczętego dzieła.

Dr. Stan. Zdziarski.

Wstęp do ekonomii społecznej chrześcijańskiej. *Henryk Romanowski.* Kraków—Warszawa. 1910.

O ile już w odległej starożytności można w pismach filozoficznych spotkać ślady myśli ekonomicznej, to ekonomia jako nauka odrębna jest daty dość świeżej. Skrystalizowanie to nastąpiło w epoce wybujałego liberalizmu i to odbiło się też na koncepcyi tej nauki.

Zasadnicze kierunki myśli ekonomicznej opierają się na światopoglądzie materyalistycznym. Z tego podłoża wypływa i kierunek liberalny i socyalistyczny i solidaryzm, blizkie mu są poglądy ekonomistów opierających się na podstawie protestantyzmu.

Ta przewaga materyalizmu w naukach ekonomicznych nie mogła pozostać bez reakcyi. Przeciw niemu powstaje, konsoliduje się kierunek, oparty na zasadach religii Chrystusowej, etyki katolickiej i rozwijając się bujnie tworzy ekonomię chrześcijańską.

Czy wyróżnienie ekonomii chrześcijańskiej, jako odrębnej gałęzi wiedzy, ma swoje uzasadnienie?

Jako przedmiot ekonomii społecznej podaje autor zbadanie praw rządzących dobrobytem materyalnym narodów. Definicya może niezbyt ścisła: w zasadzie jednak zgadza się ona z definicyami innych kierunków ekonomicznych. Przedmiot mamy zatem ten sam. Ale inne jest założenie i punkt wyjścia w ekonomii społecznej chrześcijańskiej. Stąd wniosek: ekonomia społeczna wszystkich kierunków stanowi jedną

gałąź wiedzy. Lecz jako kierunek, oparty na odrębnym światopoglądzie, należy wyróżnić ekonomię społeczną chrześcijańską.

Prawa, rządzące dobrobytem materyalnym społeczeństw, dzieli autor (str. 20 i 21) na trzy kategorye: 1) prawa moralne, obowiązujące człowieka również w dziedzinie ekonomicznej; 2) prawa naturalne (raczej natury) działające deterministycznie; 3) prawa ściśle ekonomiczne.

Prawa moralne należą do zakresu innej nauki, etyki; prawa natury do zakresu nauk przyrodniczych. Ekonomia nie bada samodzielnie tych dwu kategoryi praw: przyjmuje je od wymienionych nauk.

Prawa ściśle ekonomiczne dzieli autor na prawa realne i idealne. Pierwsze działają niejako automatycznie, o ile nie przeszkodzi im jakaś siła większa, np. władza państwa. Drugie są to właściwie prawidła postępowania: wskazują zasady, jakiemi działalność ekonomiczna społeczeństwa kieruje się lub winna się kierować.

Tu leży jedna z różnic między podstawami nauk ekonomii chrześcijańskiej, a ekonomii opartej na światopoglądzie materyalistycznym. Ekonomia chrześcijańska uznając, że prawa trzeciej kategoryi zależą od woli ludzkiej, żąda, by postępowanie swe normował człowiek prawami etyki i to etyki opartej na nauce Chrystusa. Natomiast ekonomia, nazwijmy ją dla krótkości, materyalistyczna, praw etycznych w działalności ekonomicznej nie uznaje.

Metoda ekonomii zależy też od religijno-filozoficznego punktu wyjścia jej przedstawicieli. Opierają się przeważnie na zasadzie dedukcyi, wyprowadzając prawidła ekonomiczne z kilku podstawowych zasad. Nie troszczą się jednak, czy te prawidła odpowiadają istotnie wymaganiom dobrobytu, czy są w zgodzie z potrzebami ludzkiemi. W ten sam błąd popadają również ekonomiści, posługujący się metodą indukcyjną. Rozpatrują to, co się dzieje w sferze ekonomicznej, uznając to *a priori* za dobre i konieczne. Wyprowadzają tedy z istniejącego stanu rzeczy prawidła, nie troszcząc się o ich celowość i dobroć.

Metoda jednak nie posiada w ekonomii tak rozstrzygającego znaczenia. Chwiejność co do obrania metody u pisarzy niekatolickich przypisać należy temu, że nie osiągając pożądanych wyników swych badań, przypisują to błędnej metodzie: tymczasem zaś jest to rezultatem ich błędnego religijno-filozoficznego stanowiska.

Ekonomia chrześcijańska posługuje się metodą zarówno indukcyjną, jak i dedukcyjną. Dedukcya służy do zbadania praw ekonomicznych idealnych, indukcya do sprawdzenia praw realnych oraz do wy-

próbowania praktycznej wartości praw idealnych, zdobytych drogą dedukcyi.

Po tym zasadniczym wstępie przechodzi autor do krytyki najważniejszych kierunków ekonomicznych. Liberalizm przez swój postulat bezwzględnej wolności w dziedzinie ekonomicznej doprowadza do rażących krzywd społecznych, wykopuje przepaść między prawodawcami a pracującymi; jego wynikiem wybujały kapitalizm, pauperyzm, walka klasowa i zupełna anarchia społeczna.

W socyalizmie znowu są błędy zarówno w założeniu religijno-filozoficznem, jak i podstawowych prawidłach ekonomicznych. Opiera się on na tej samej filozoficznej podstawie, co i liberalizm, na materyalizmie; wyciąga zaś zeń tylko ostateczne konsekwencye. Istota socyalizmu opiera się na dwóch teoryach: 1) na materyalistycznem pojmowaniu dziejów, i 2) na teoryi wartości. Rozbierając teoryę materyalistycznego pojmowania dziejów, odpowiada autor, że zapewne czynniki ekonomiczne wywierają wpływ na kulturę duchową i moralną, ale ten wpływ nie może oddziaływać wyłącznie. Przeciwnie, czynniki moralne i prawne wywołują rozwój ekonomiczny. Ewolucya społeczna i ekonomiczna nie odbywała się dotąd na tle walki klasowej. Rozwój dziejowy wskazuje, że walki klasowe były do niedawna zjawiskiem sporadycznem i dopiero od dwóch wieków stały się czemś stałem. Narody cieszyły się dobrobytem w epokach harmonijnego współdziałania wszystkich warstw społeczeństwa.

Teorya wartości opiera się na błędnem pojęciu, że wartość wytwarza wyłącznie praca ludzka. Tymczasem na wytworzenie wartości wpływają obok pracy przyroda i maszyny. Płaca robotnika nie mierzy się zawsze kosztami reprodukcyi siły człowieka, lecz na wymiar jej wpływają kwalifikacye moralne, umysłowe, fizyczne, techniczne robotnika.

Ewolucya dziejowa, jaką sobie wyobrażają socyaliści, niekoniecznie musi doprowadzić do koncentracyi kapitałów i bankructwa kapitalizmu. Z równem uprawnieniem można postawić twierdzenie, że rozwój ekonomiczny prowadzi do innego ułożenia sił społecznych. Wreszcie wykazuje autor, że obraz socyalistycznego państwa przyszłości, gdyby nawet się ziścił, nie będzie tak ponętny, jak to przedstawia doktryna.

Z kolei omawia autor solidaryzm. Nie zwalczając idei solidarności w stosunkach społecznych, którą również uznaje ekonomia społeczna chrześcijańska, wykazuje autor, że solidarność nie oparta o etykę katolicką nie ma rozumnej i stanowczej normy postępowania i wskutek tego doprowadza do rezultatów społecznie ujemnych.

Ekonomia społeczna, wyznawana w obozie protestanckim, opiera się na etyce, pragnącej pogodzić etykę chrześcijańską z etyką utylitarną materyalizmu. Te dwa czynniki jednak nie dadzą się pogodzić ze sobą, i stąd chwiejność i elastyczność etyki protestanckiej, a również i jej doktryn ekonomicznych.

Po tej krytyce najgłówniejszych kierunków ekonomicznych, przystępuje autor do przedstawienia zasad ekonomii społecznej chrześcijańskiej. Naprzód przedstawia jej religijno-filozoficzne podstawy. W sprawach ekonomicznych ludzie winni postępować zgodnie z etyką. Działalność ekonomiczna człowieka jest wypływem wolnej woli, stąd ma podlegać prawu moralnemu. Katolicyzm nie hamuje postępu ekonomicznego i dobrobytu, lecz owszem kultura obecna wypływa w znacznej części z działalności katolicyzmu. Tu autor jako przykład przytacza działalność ekonomiczną zakonów w wiekach średnich, a misyonarzy w czasach obecnych. Papieże, jak np. Leon XIII i Pius X, stawali w obronie dobrej organizacyi ekonomicznej. Naukami społecznemi zajmują się najwytrawniejsi katoliccy myśliciele. Kościół wreszcie jest jedyną potęgą, mogącą skutecznie stawić czoło dążnościom przewrotowym.

Ekonomia społeczna chrześcijańska wymaga uwzględnienia pierwiastka moralnego w dziedzinie ekonomicznej, mając na oku cel wieczny człowieka, do którego życie doczesne tylko przygotowuje.

Wychodząc z założenia, że przez grzech pierworodny doznała natura ludzka zepsucia, lecz mimoto są w niej pierwiastki dobre, żąda ekonomia chrześcijańska takiej organizacyi społecznej, któraby człowiekowi nie pozostawiała zbytniej wolności, ani też zbytnio go nie krępowała. W sprawach materyalnych może człowiek kierować się swym interesem materyalnym, lecz uwzględnić winien też zasadę sprawiedliwości wobec innych ludzi. Podstawami społeczeństwa są rodzina i własność, i ekonomia chrześcijańska domaga się szanowania tych instytucyi.

Płaca robotnika winna być tak wymierzoną, by wystarczyło mu na utrzymanie znośne rodziny. Umowy, choć dobrowolnie zawarte, normujące płacę niżej takiej normy, są nieważne i winny być uchylone. Z drugiej strony pracownik winien wykonywać pracę wedle obowiązku umową nań nałożonego, a w razie sporów używać środków sprawiedliwych. Państwo winno wkraczać tam, gdzie wymaga dobro ogółu, ale nie przywłaszczać sobie praw należnych jednostkom i mniejszym grupom społecznym. Winno tedy działać tam, gdzie nie mogą podołać

siły jednostek lub asocyacyi; również tam, gdzie organizacya społeczeństwa jest tego rodzaju, że jedna część krzywdzi drugą. W szczególności władza państwowa winna mieć pieczę o warstwy mniej zamożne, czuwać, by pracownicy otrzymywali sprawiedliwe wynagrodzenie, wydawać przepisy, zabezpieczające życie, zdrowie, moralność i sprawiedliwe wynagrodzenie pracujących. W razie potrzeby państwo winno wprowadzić przymusowe ubezpieczenie.

Państwo winno popierać asocyacye robotnicze, tworzyć instytucye złożone z pracodawców i robotników, jako organ doradczy władzy naczelnej, popierać rozwój drobnych kupców i rzemieślników, organizować te warstwy, czuwać nad handlem i obrotem wogóle, pewne przedmioty, których wolny obrót byłby niebezpieczny, zachować dla monopolu państwowego.

Obowiązkiem jest też państwa w ten sposób unormować kredyt państwowy, by to nie odbiło się ujemnie na stosunkach ekonomicznych szerokich warstw, a również czuwać nad operacyami kredytowemi prywatnemi.

Wymogiem jest też etyki chrześcijańskiej dobroczynność. Dobroczynność leży w sferze inicyatywy i działalności prywatnej, lecz jest rzeczą państwa stworzyć dla niej odpowiednie warunki prawne.

W kwestyi interwencyi państwa objawiają się między ekonomistami, stojącymi na gruncie katolickim, dwa kierunki. Jedni, głównie pisarze francuscy, nie wykluczając w zasadzie interwencyi państwa, pragną, by ona w jak najciaśniejszym zakresie działała, drudzy znacznie szersze granice jej zakreślają. Do ostatnich należy i nasz autor. Normy szuka w celu państwa. Celem zaś jest utrzymanie porządku i popieranie interesów społeczeństwa.

W duchu tych przytoczonych w krótkości zasad stara się ekonomia społeczna chrześcijańska rozwiązać kwestyę społeczną. Zasadniczą podstawą organizacyi społecznej musi być solidarność, lecz oparta na etyce katolickiej, owiana wzajemną miłością. Te zasady są podstawą kierunku, zwanego demokracyą chrześcijańską. Kierunek ten zajmuje się dolą klas pracujących i ubogich i domaga się takiej organizacyi społecznej i ekonomicznej, któraby je szczególnie uwzględniała, bez pokrzywdzenia innych warstw społeczeństwa.

Niektórzy przedstawiciele demokracyi chrześcijańskiej popełnili niektóre błędy częścią natury taktycznej, częścią doktrynalnej, które osłabiły znaczenie tego kierunku; niektórzy chcą akcyę oprzeć na samym ludzie, wykluczając inne klasy od niej. To jednak może dopro-

wadzić do nienawiści klasowej. Ryzykowne są też poglądy, że przemysł winien być zorganizowany na zasadzie spółdzielczości z pominięciem pracy najemnej, płacy zarobkowej i udziału pracodawców, oraz że ewolucya społeczna zmierza do republikanizmu.

Po części pierwszej krytyczno-dogmatycznej, kreśli autor w drugiej części historyę ekonomii społecznej chrześcijańskiej, przedstawiając rozwój odnośnego piśmiennictwa. Zaczyna od pisarzy, którzy w epoce liberalizmu nawiązali przerwaną przez rewolucyę francuską i liberalizm nić tradycyi katolickiej i choć niezupełnie są zgodni z zasadami ekonomii chrześcijańskiej, bardzo się do niej zbliżają. Jako pierwszego wymienia de Maistre'a (1754—1821). Po przytoczeniu szeregu protagonistów szkoły katolickiej, przedstawia autor tych uczonych, którzy stoją na gruncie umiarkowanej interwencyi państwowej. Między nimi poświęca obszerne uwagi Périnowi i Le Play'owi. Przechodząc do pisarzy stojących na gruncie szerszej interwencyi państwa, zaczyna od Niemiec, a tu od biskupa Kettelera, którego pisma szeroko rozbiera, szereg uwag poświęca Katringerowi, nie pomija też działalności polityczno-ekonomicznej Windhorsta. W Austryi zatrzymuje się dłużej nad działalnością pisarską Vogelsanga, w Anglii nad kardynałem Manningiem, we Francyi wysuwa na czoło de Mun'a. Z pisarzy włoskich bardzo obszernie przedstawia zasady ks. Liberatore. Wreszcie osobno przedstawia piśmiennictwo ekonomiczne polskie.

Kończy słowami Taine'a, a zatem pisarza o sympatye katolickie nie podejrzanego, który nazywa chrześcijanizm organem duchowym ludzkości, a Ewangelię najlepszą podporą instynktu społecznego.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad rozbiorem dzieła p. Romanowskiego, uważając, że dzieło omówione zasługuje na tego rodzaju wyróżnienie. Mamy w Polsce, chwalić Boga, dość pisarzy, którzy rozbierając kwestye ekonomiczne stoją na gruncie katolickim. Ale to przeważnie prace traktujące o pewnych tylko zjawiskach ekonomicznych, poświęcone rozbiorowi tej lub owej kwestyi. Dotąd zaś nie było w języku polskim dzieła, któreby zawierało całokształt doktryny ekonomicznej katolickiej, wykazało, czem ona się wyróżnia od innych kierunków i w czem leży jej bezwzględna wyższość. Dokonanie tej pracy, to niepodzielna zasługa autora.

Dr. A. Bielecki.

Z piśmiennictw obcych.

Études sur la théologie orthodoxe. *D. Placide de Meester O. S. B.* I série, Abbaye de Maredsens 1911, p. 117.

Die Genugtuung für die Sünde nach der Auffassung der russichen Orthodoxie. *Alois Bukowski S. J.* (Forschungen zur christlichen Literatur und Dogmengeschichte. XI Band, 1 Heft). Paderborn 1911, S. 212.

Uwaga teologów katolickich coraz częściej w ostatnich czasach zwraca się ku teologii Kościoła wschodniego, którą do niedawna albo zupełnie ignorowano albo uważano za niedostępną z powodu trudności językowych. Przed kilku laty mieliśmy pracę ks. d-ra Matulewicza: *Doctrina Russorum de statu iustitiae originalis;* przed rokiem rozpoczął O. Palmieri swoją *Theologia dogmatica orthodoxa,* z której w swoim czasie zdawaliśmy czytelnikom sprawę na tem miejscu. Dziś mamy do zanotowania dwie nowe prace, których tytuły wypisaliśmy.

1. Praca Benedyktyna Dom. Meester'a złożyła się z artykułów, drukowanych przezeń w *Revue Bénédictine,* uczonem czasopiśmie tego zakonu. Wypuszczając w świat pierwszą seryę swoich studyów o teologii prawosławnej, uczony autor tem samem zapowiada serye następne. Na tę złożyły się rozdziały o źródłach i rozwoju dogmatów, o Bogu, Trójcy świętej, o stworzeniu i stworzeniach: aniołach, świecie materyalnym i człowieku, o Opatrzności Bożej i przeznaczeniu. Przytaczając zdania teologów wschodnich, dotyczące wymienionych partyi teologii, Meester trzyma się tej samej metody, jaką wogóle w nowszych czasach przyswoili sobie piszący o teologii wschodniej: mało polemizuje, lecz za to stara się dokładnie informować, praca jego nie do polemicznej, lecz do porównawczej teologii należy.

Zestawiając pracę Meester'a z ostatnią książką Palmierego, trzeba powiedzieć, że ustępuje temu ostatniemu co do obfitości informacyi: daleki od tego, by wyczerpać całą literaturę, przytacza tylko kilku wybitniejszych i to nowszych teologów, tak rosyjskich, jak i greckich. Przewyższa za to Palmierego spokojem, gdy musi jakiś punkt nauki katolickiej, zaczepiony przez wschodnich teologów wyjaśnić, lub niesłuszne ich oskarżenia odeprzeć. Przytem odznacza się trafnością spostrzeżeń i sądów, gdy ogólnie charakteryzuje wschodnią teologię i jej różnice z teologią katolicką. W rozdziale o Trójcy świętej dość długi ustęp poświęca, jak się należało spodziewać, kwestyi pochodzenia Ducha

św. i od Syna *(filioque)*, sprowadzając całą tę kwestyę, w ślad za Régnonem, jako do źródła, do innego na Wschodzie niż na Zachodzie sposobu ujmowania umysłem tajemnicy Trójcy Przenajświętszej. Gdy jest mowa o sprawiedliwości pierwotnej i o grzechu pierworodnym, Meester słusznie różnicę między teologią wschodnią a zachodnią widzi głównie w zaniedbaniu na Wschodzie rozróżnienia między naturą a nadprzyrodzonym stanem człowieka. Czego trzeba żałować, to tego, że autor w rozdziale o *filioque* pominął poglądy rosyjskiego teologa Bołotowa, a jeszcze bardziej, że w kwestyi rozwoju dogmatów zdaje się nie zna wcale gruntownej pracy Sołowiewa, stanowiącej wstęp do *Historyi teokracyi*. Wogóle autor zbyt zacieśnił swoje badania, ograniczając je tylko do powszechnie uznanych i używanych »podręczników« teologii prawosławnej. Że transskrypcya rosyjskich wyrazów jest okropną, to już podobno jest los wszystkich słowiańskich języków, kiedy z nich poczną korzystać zachodni uczeni!

2. O pracy ks. Bukowskiego częściowo już pisaliśmy w *Przeglądzie Powszechnym* dawniej, pierwsze bowiem rozdziały książki wychodziły, jako artykuły, w wydawnictwie *Weidenauer Studien*. Obecnie autor uzupełnił swoje artykuły kilku nowymi rozdziałami. Spełniając podobnie, jak Dom. Meester, zadanie nie tyle polemisty, jak raczej informatora, O. Bukowski, w przeciwieństwie do uczonego Benedyktyna, ogranicza swą pracę do studyum jedynie autorów rosyjskich, za to — znowu w przeciwieństwie do tego autora — nie zadowala się badaniem kilku tylko podręczników, lecz poznać daje czytelnikowi wszystkich autorów, tak ostatniej doby, jak i starszych. Mamy tu omówione kwestye o zadośćczyniącej funkcyi dzieła Odkupienia, o potrzebie zadośćuczynienia za grzechy ze strony samego grzesznika nie tylko przez wewnętrzną pokutę, ale i przez uczynki zewnętrzne pokutne, czyli o znaczeniu satysfakcyjnem nakładanych na spowiedzi pokut, co nowsi teologowie rosyjscy odrzucają.

Rozdział o odpustach zaznajamia nas z polemiką rosyjskich teologów przeciwko katolickiej w tej mierze nauce, — polemiką, którą teolodzy ci, począwszy od Makarego Bułgakowa, zapożyczyli u protestantów a polegającą przeważnie na niezrozumieniu nauki naszego Kościoła i na tendencyjnem przekręcaniu i zmyślaniu faktów. Dość tu przytoczyć przykład, że jeszcze najnowsi teologowie rosyjscy opowiadają bez zająknienia się o taksach za grzechy, jakoby istniejących w naszym Kościele, o podobnychże taksach, jakoby dotąd wiszących w katedrze w Amiens, co już dawno zostało zdementowanem w pismach rosyjskich

przez ks. biskupa Symona, który wykazywał, że mniemana taksa za grzechy czy odpusty, jest taksą opłat za siedzenia w kościele.

Ostatni rozdział o stosunku rosyjskich teologów do katolickiej nauki o czyścu jest najciekawszy. Z niego widzimy, jak powierzchownie rzeczy biorą już nie rosyjscy, ale nasi polemiści, gdy powołują się w uzasadnieniu nauki o mękach czyścowych, jako na *argumentum ad hominem* na to, że i we wschodnim Kościele praktykują się modły za umarłych. Istota sporu w danym przedmiocie między nami a Wschodem nie polega na tem, że my przypisujemy skuteczność naszym modlitwom za umarłych, a oni nie; nawet nie na tem, czy czyściec należy uważać za osobne trzecie miejsce oprócz nieba i piekła i przypisywać mu takie lub inne męczarnie — w tych kwestyach teologia wschodnia nie jest zdecydowaną — lecz na tem, że my cierpieniom dusz w czyścu przypisujemy znaczenie zadosyćuczynienia za grzechy, a wschodni teologowie tymże cierpieniom, bez względu jakieby one były i gdzieby ich miejsce było, takiego znaczenia odmawiają. Jeśli, podług nas, i bez modlitw Kościoła dusze w czyścu się znajdujące doczekały się kiedyś wybawienia po wypłaceniu się sprawiedliwości Bożej własnemi cierpieniami, to, podług teologii rosyjskiej, takie wybawienie zdaje się być możliwem tylko dzięki modlitwom Kościoła i dobrym uczynkom żyjących wiernych. Odrzucają również wschodni teologowie hipotezę ognia materyalnego dla tych dusz, co zresztą i u nas nie jest dogmatem.

Cała praca O. Bukowskiego zmierza do tego, by wykazać, gdzie źródło różnic doktrynalnych między Kościołami w kwestyi zbawienia: źródło to zawiera się w negatywnych poglądach nowszych wschodnich teologów na uczynki nasze, jako na zadosyćuczynienie za grzechy. Oni sami z tego robią nam największy podobno zarzut, że my przypisujemy takie znaczenie naszym czynom czy cierpieniom, w tem życiu czy po śmierci. Teologom więc katolickim i polemistom pomaga ks. Bukowski zoryentować się i zwrócić uwagę na tę właśnie zwykle pomijaną kwestyę.

Ks. J. Urban.

Novum Testamentum D. N. Jesu Christi. Graece e codice vaticano latine e Vulgata. Paris 1911. J. Gabalda et Cie.

Świeżo wyszło u Gabaldy w Paryżu nowe opracowanie katolickie greckiego N. Testamentu. Aby się nie puszczać na bądź co bądź hipotetyczne pole krytyki tekstu, obrał sobie autor metodę bardzo praktyczną i prostą. Podobnie jak O. Knabenbauer w komentarzach do

ewangelii wziął jako podstawę kodeks B, tak samo zupełnie uczynił ks. Bodin; tylko tam, gdzie kodeks watykański jest uszkodzony, wziął do pomocy kod. aleksandryjski i synajski Tischendorfa, ale szczególniej uwzględniał Wulgatę św. Hieronima, która posiada wielkie powinowactwo z kod. B. Naturalnie posługiwał się także znakomitemi pracami nad Wulgatą Wortswortha i kodeksami Amiatinus i Fuldendis, przedstawiające najlepsze recenzye Wulgaty św. Hieronima. Nie kładł większego nacisku w swem wydaniu na recenzyę zachodnią, t. j. kodeksy D, Itali i Syrus Curetonus i Syrus Synaiticus, jako zbyt daleko odstępującą od kodeksu watykańskiego. Metoda jego, jak widzimy, jest zatem istotnie bardzo prostą. Ograniczył się na sumiennem oddaniu kodeksu watykańskiego, tylko tam, gdzie on zbyt daleko odstępuje od Wulgaty łacińskiej, starał się lekcye kodeksu watykańskiego zastąpić lekcyą jakiegoś innego ważniejszego kodeksu greckiego; ale w takim razie umieścił usuniętą lekcyę kodeksu watykańskiego na dolnym marginesie.

Zarzucić możnaby tylko autorowi pewną niekonsekwencyę w jego metodzie, gdyż bardzo często pomija zupełnie uwagę na Wulgatę i zatrzymuje lekcyę kodeksu watykańskiego; ale ta niekonsekwencya na ogół wychodzi tylko na korzyść tego wydania, gdyż czyni to autor w takich miejscach, gdzie według jednomyślnego zdania krytyków lekcya kodeksu watykańskiego jest z pewnością lepszą od Wulgaty. Tak n. p. konstatujemy to zaraz w pierwszym rozdziale ewangelii św. Marka. Mianowicie opuszcza w 4 wierszu rodzajnik przed βαπτίζων, powodowany oglądaniem się na Wulgatę, jednakże tutaj wbrew swej regule nie przytoczył swej poprawki na brzegu, choć ona widocznie zmienia sens tego zdania. W tym wypadku jego poprawka jest niekoniecznie szczęśliwą. Również w wierszu 10 tego samego rozdziału popełnia znów niekonsekwencyę, gdyż tutaj zostawia różnicę dość znaczną, jaka istnieje między kodeksem watykańskim a Wulgatą. Tem bardziej to zadziwia, że za Wulgatą przemawia lekcya z kodeksu Tischendorfa. Toż samo spotykamy w 14 wierszu, gdzie wtrąca w tekst swój τῆς βασιλείας za Tischendorfem i kodeksem aleksandryjskim i Wulgatą, nie zaznaczając jednak i tej poprawki. Może być, że autor nie uważał tych waryantów za dość ważne, by je uwzględnić, ale i tu widzimy, jak waha się zanadto daleko odstąpić od dotychczasowych rezultatów nad tekstem N. T. Takich naturalnie miejsc znajdujemy daleko więcej. Mat. 3. 5., D. II. 7. i t. d., ale jest to zawsze tam, gdzie krytyka doszła już do jednomyślnego sądu. Autor uwzględnił także w swem wy-

daniu wszystkie najnowsze badania nad krytyką tekstu ewangelicznego. Tak znajdujemy tutaj uwzględniony ciekawy dodatek do Mc. XVI, 14, odnaleziony w Egipcie w r. 1906 Akhmim. Również w przypisku do sławnego *comma Joanneum* (Jo. V. 7) dodaje uwagę, że lekcyi tej nie mają żadne manuskrypta greckie z przed XI, a łacińskie z przed VIII wieku i że pierwszy użył tych słów Priscillianus. Wydanie więc ks. Bodin, jak mówi ks. Lagrange, pomimo tej szczęśliwej niekonsekwencyi posiada prawdziwą wartość krytyczną i może ono oddać wielkie usługi teologom katolickim, zwłaszcza jako podręcznik przy egzegezie Nowego Testamentu. Jest to przytem wydanie bardzo wygodne w 16-ce a przedewszystkiem zaleca je nadzwyczaj nizka cena. W dodatku umieścił autor bardzo wyczerpujący zbiór miejsc paralelnych, odnoszących się do chrystologii, z szczególniejszym naciskiem zaś podnosi w tej konkordacyi tytuły i charaktery, jakie Nowy Testament przypisuje P. Jezusowi. Widocznie miał autor na względzie dzisiejsze błędy modernistyczne i racyonalistyczne i chciał w ten sposób czytelnikowi ułatwić oryentowanie się w chrystologii Nowego Testamentu, za co należy mu się szczególniejsza wdzięczność. Rzeczywiście cieszyć się trzeba, że właśnie kapłan katolicki spełnił życzenie wszystkich wybitnych krytyków biblijnych i dał tekst jak najwięcej objektywny. Przy pomocy Tischendorfa, Hetzenauera i Nestlego, uwzględniając przytem wydanie ks. Bodin, będzie sobie mógł każdy teolog wyrobić dość jasny pogląd na tekst biblijny i jego dzieje.

Ks. Wilhelm Michalski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Szkice historyczne. Serya trzecia. Wojna moskiewska 1654—1655. *Dr. L. Kubala.* Warszawa 1910.

Sam autor i jego dotychczasowe prace, to zjawisko może jedno z najpopularniejszych w naszej historyografii. To też serya III »Szkiców« będzie zapewne powitaną z tem samem zajęciem, jak i to, co dotąd już znane. Zalety te same, co prac poprzednich. Przy barwnem a potocznem przedstawieniu, treść oparta na poważnej pracy naukowej.

Dwulecie, które przedstawia, obfite jest w zdarzenia. Bunt Chmielnickiego wre w całej pełni: Chmielnicki po różnych wahaniach w tę i ową stronę, poddaje się Moskwie. Stąd wojna Moskiewska, główna osnowa opowiadania. A obok niej już wisi w powietrzu najazd szwedzki, sposobi się Rakoczy: słowem, widzimy

tu zalążki tych klęsk, które już w najbliższych latach spadną na Polskę.

Ganić niewieleby się znalazło, chwalić ma się co chwila sposobność. Wśród tych stron dodatnich podnieść należy we wstępnym rozdziale bardzo trafną charakterystykę tego, który jest osią tej książki, a i wogóle całej prawie historyi panowania Jana Kazimierza, Chmielnickiego.

A. B.

Przędziwo Arachny Z pogranicza sztuki i filozofii. *Michał Sobeski.* Kraków 1909.

Zbiór interesujących bardzo rozpraw filozoficznych, przeważnie na temat sztuki. Mamy uwagi o stosunku sztuki do natury, idei do twórczości, krytykę Taine'a, wyszukanie spólności w poglądach Kanta i Nietzschego i t. d.

Uchwycić tok myśli autora jest łatwo, forma bowiem ich podania przystępna jest nawet dla umysłu mniej filozoficznie wyszkolonego. A tajemnica tego bardzo prosta. Autor zaczyna od obserwacyi np. »Wiosny« Botticellego. Od obserwacyi przechodzi do analizy zjawisk obserwowanych, by wreszcie z tej analizy wyprowadzić ogólne prawidła.

A. B.

Odbudowanie Polski. *Marks-Engels-Liebknecht.* Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione, z wstępem historycznym i objaśnieniami. Nakładem wydawnictwa »Życie«.

Po historycznym wstępie p. St. Zawieruchy mamy tu zebrane artykuły Marksa z czasów obrad frankfurckich (1848), rozprawę Engelsa »Klasa robotnicza a kwestya polska« (1866), proklamacyę polską z 11 czerwca 1874 r. Engelsa, szereg artykułów Liebknechta pod zbiorowym tytułem »Odbudowanie Polski«, a w dodatku mowę Marksa o odbudowaniu Polski i list do socyalistów polskich podpisany przez Marksa, Engelsa, Pawła Lafargue i F. Lassalla.

A. B.

Moje wakacye na wsi. *M. Brzeziński.* **Na zgliszczach Zakonu.** *Z. Morawska.* **W szkole przyrody.** *Lilian Gask.*

Nasza młodzież lubi czytać książki, lecz książki podniecające wyobraźnię i ciekawość, — mniejsza o to jakie, byle zajmujące. Dlaczego? Bo czyta dziatwa dla zabawy. Czy potępić ją za to? Nie, lecz starać się, by książeczki dobre i pożyteczne były zarazem zajmująco napisane. Do takich właśnie książeczek należą trzy wyżej przytoczone, których treścią jest miłość wsi polskiej, miłość ziemi polskiej i miłość przyrody wogóle.

S. K.

Die Demut nach der Lehre des hl. Benediktus. In zwanglosen Erwägungen dargestellt von einem Benediktiner des Klosters Ettal. Herder, Freiburg u. Wien. 1911. (VI—166).

Nie suchą rozprawę o pokorze przedłożył nam autor, lecz nader zajmujący, a przytem na bogatym materyale źródłowym oparty wykład myśli wielkiego Zakonodawcy. Umiejętne zaś dostosowanie się do potrzeb i wymagań naszych czasów czyni lekturę tej książeczki tem przyjemniejszą.

S.

Opuscula ascetica selecta Ioannis Cardinalis Bona O. Cist. (Biblioteca ascetica mystica). Herder. Freiburg u. Wien. 1911. (XIV—386).

Szczęśliwa to była myśl utworzenia biblioteki klasycznych a nieraz dawno zapomnianych pisarzy asce-

tycznych. Obecny też tomik, zawierający doborowe dziełka kardynała Bony, jak z jednej strony karmi czytelnika starą, ale gruntowną i prawdziwie męską ascezą, tak z drugiej strony dzięki głębokiej znajomości duszy ludzkiej oraz subtelnego odczucia przeróżnych jej poruszeń, nawet w XX wieku bardzo jest na czasie.

S.

Der hl. Gertrud der Grossen Gesandter der göttlichen Liebe. Nach der Ausgabe der Benediktiner von Solesmes von *Johann Weissbrodt.* Dritte Aufl. Herder. Freiburg i. Breisgau. (XVI—620).

»Budzić i wzmagać miłość Bożą«, oto co głosi »Posłaniec« św. Gertrudy, tej niezwykłej i od Boga nadzwyczajnemi łaskami obdarzonej Świętej. Bogactwo wielkich myśli, namaszczenie i wdzięk stanowią cechę wynurzeń i zachwytów tej mistycznej duszy.

T.

Das Vaterunser. Zehn Betrachtungen von *P. Sebastian van Oer.* Erste und zweite Auflage. Herder. Freib. i Br. (VIII—256).

Na tle modlitwy Pańskiej rozwinął autor w formie swobodnych a ujmujących rozważań, czego Bóg od nas wymaga, czego my po Bogu spodziewać się możemy. O. van Oer, dobry znawca naszego wieku i ludzi, nie zacieśnił się w ramy prawd teoretycznych tylko, ale sięgnął praktycznie w głąb współczesnego życia rodzinnego i społecznego, przez co uprzystępnił dziełko szerszym warstwom społeczeństwa.

T.

Der Beruf. Vierundzwanzig Konferenzen. Von *J. B. Krier.* Herder. Freiburg im Br.

W odpowiedzi na najdonioślejsze pytania dorastającej młodzieży: »Jaki zawód w życiu obrać?« podaje autor cenne wskazówki, jak poznawać i badać głos Boży. A nie ograniczył się jedynie do omówienia powołania do stanu kapłańskiego i zakonnego, lecz nadto trafne a nie jednostronne podaje uwagi o zawodach świeckich, jak prawników, lekarzy, wojskowych, kupców i t. d. Nie tylko młodzież, ale także wychowawcy i rodzice znaleźć mogą w tej książce niejedną świeżą a pożyteczną myśl.

T.

Die Bekenntnisse des heiligen Augustinus. Buch I—X. Übersetzt von G. Fr. v. Hertling. Vierte und fünfte Aufl. Herder, Freiburg im Breisg. (X, 520).

Nowe wydanie mistrzowskiego przekładu tej prastarej a wiecznie nowej autobiografii wielkiego Doktora Kościoła, uskutecznione dla szerszych kół czytelników, zdaje się świadczyć o tem, że dzisiejsze umysły umieją ocenić wartość »Wyznań«. Czy nie wartoby się pokusić o podobny przekład »Wyznań« na język polski?

T.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nowy książę-biskup krakowski.

Od XVI wieku nie pamięta historya kościelna tak licznej kreacyi kardynalskiej, jak była ostatnia z dnia 27 listopada, która kardynalską godnością obdarzyła 18 kandydatów, między nimi dwóch austryackich dygnitarzy kościelnych: arcybiskupa wiedeńskiego Nagla i ołomunieckiego Bauera. Obok tego na tym samym Konsystorzu prekonizował Pius X wielką liczbę nowych biskupów, w liczbie których znajduje się także nowy książę-biskup krakowski, książę Adam Sapieha. Wybór ten z pewnością spotka się z wielką sympatyą w kraju i dyecezyi krakowskiej, gdyż za ks. Sapiehą nie tylko przemawiają prerogatywy jego wysokiego pochodzenia, lecz powszechnie także znane są zalety jego charakteru i serca, do których dołącza się gruntowne doświadczenie w sprawach Kościoła, nabyte na ostatniem stanowisku u boku Ojca świętego. Witamy więc nowego arcypasterza starej i sławnej dyecezyi krakowskiej z szczerą radością oddanych mu synów i żywimy uzasadnioną nadzieję, że tak dyecezya krakowska, jak i społeczeństwo polskie znajdą w nim męża wielkich ideałów i pełne zrozumienie potrzeb naszego czasu — *Ad multos annos.*

Katolicki wiec Austryi Dolnej w Wiener-Neustadt.

Hasło wydane aby zamiast niemożliwego wiecu ogólno-austryackiego, urządzano przynajmniej wiece katolickie w pojedynczych krajach, zaczyna się pięknie urzeczywistniać. Po wiecach w Przemyślu i w Bernie Morawskiem odbył się niedawno, bo na początku listopada w Wiener-Neustadt wiec dolno-austryacki. Były obawy, że wobec różnych trudności nie dojdzie do skutku, że się nie uda, ale przebieg wiecu dał wymowne świadectwo, że obawy te były zupełnie bezpodstawne. Wiec udał się znakomicie i należy do najświetniejszych tego roku. Liczą 8000 uczestników wiecu. Tak licznego udziału komitet się nie spodziewał, to też sale naznaczone dla różnych zebrań okazały się za małe i trzeba było urządzać równocześnie dwa i trzy zebrania o tym samym przedmiocie. Za tem poszło, że i liczne mowy były tylko improwizowane. Wszystkie jednak ważniejsze kwestye znalazły należyte uwzględnienie: kwestya szkoły, organizacyi, robotnicza, kobieca i wiele innych, które są zwyczajnym tematem obrad wiecowych.

Wiec dolno-austryacki dał znowu najlepszy dowód, że zbyt niedowierzamy żywotności katolicyzmu w Austryi, a brak nam tylko śmiałej inicyatywy i zdrowego optymizmu, aby katolicyzmowi wywalczyć należne mu stanowisko i znaczenie. Jest nieraz wprost śmiesznem, jak katolicy liczą się z opinią prasy żydowskiej i wolnomyślnej i sądzą, że tą drogą przysługują się dobrej sprawie. Miejmy nadzieję, że wiece katolickie, które się po różnych miastach monarchii nadspodziewanie udały, przyczynią się nie tylko do większego rozbudzenia ducha katolickiego, ale także do uświadomienia katolików o ich wspólnej sile i konieczności wspólnej akcyi.

11-ty wiec katolików węgierskich w Peszcie.

Niedawne to czasy, kiedy katolicyzm węgierski uważano nie bez słuszności za *quantité negligeable*, kiedy zebrania katolików węgierskich raczej były świadectwem ich rozstroju i gnuśności, aniżeli znakiem żywotności ich akcyi katolickiej. Te czasy minęły i miejmy nadzieję, że bezpowrotnie. Ostatni wiec katolików węgierskich, który się odbył od 11—14 listopada w Peszcie, był imponującą manifestacyą

żywego ruchu katolickiego i głębokiego przeświadczenia o nader ważnych zadaniach katolicyzmu na Węgrzech. Zadatkiem lepszej przyszłości dla węgierskich katolików jest fakt, na który z chlubą mógł wskazywać w inauguracyjnej mowie swojej prezydent wiecu, hr. Jerzy Majlath, że mianowicie komitet wykonawczy wieców bardzo wydatną rozwija działalność. Zrozumieli więc Węgrzy, że wiece katolickie są za drogą manifestacyą, która się nie opłaca, jeżeli niema energicznego komitetu wykonawczego, czuwającego nad wykonaniem wniosków wiecu. W tem też tkwi z pewnością tajemnica, dla której w stosunkowo krótkim czasie katolicyzm węgierski doszedł do tak potężnej organizacyi, jaką jest węgierski związek ludowy, liczący już 250.000 członków, który, według zapewnień biskupa Boromissiy, ma do przyszłego wiecu o połowę się zwiększyć. *Sapienti pauca!*

Najświetniejszą była mowa byłego ministra wyznań hr. Alberta Apponyiego o konfesyonalizmie, wyraz, który w walce przeciw katolicyzmowi na Węgrzech stał się teraz hasłem, aby oznaczyć zgubny dla narodowej jedności wpływ katolicyzmu. W mistrzowskiej mowie wykazał hr. Apponyi, że napaści na naród i konstytucyę węgierską nigdy nie wyszły z obozu katolickiego i udowodnił bezpodstawność obaw wyrażonych słowem konfesyonalizmu. Mowa Apponyiego poruszyła temat nader aktualny nie tylko na Węgrzech, ale także w innych krajach monarchii, gdyż wszędzie można się spotkać z głosami niechętnymi dla ugrupowania wyznaniowego i religijnego katolików. U żydów uważa się to za rzecz samo przez się zrozumiałą, ale żeby z szeregów katolickich utworzyć jedność, żeby je skupić, to uważa się za zbędne, niesympatyczne, tak że katolików w Austryi tylko ostateczna konieczność zmusza do tego ugrupowania wyznaniowego i wyznaniowych organizacyi. Szkoda, że nie mamy świetnej mowy Apponyiego przed sobą *in extenso*, gdyż wartoby niektóre ustępy z niej na tem miejscu przytoczyć.

Także posiedzenia pojedynczych sekcyi i organizacyi były bardzo interesujące. Tyczyły się szkoły, organizacyi młodzieży, robotników, sług, kobiet, spoczynku niedzielnego urzędników i subjektów handlowych. Bardzo instruktywna i aktualna była na

ostatniem publicznem posiedzeniu mowa posła d-ra Aleksandra Simonyi-Semadama o sekularyzacyi dóbr kościelnych, która to kwestya, jak wiadomo, jest w programie żydów węgierskich i ich chrześcijańskich sojuszników. Na podstawie historyi wykazał, że niema żadnego słusznego tytułu do sekularyzacyi i że jedynym motywem tego postulatu jest życzenie, aby w ten sposób dobra katolików łatwiej mogły przejść w ręce żydowskie, w których ziemia węgierska po wielkiej części się już znajduje. Po bardzo przychylnie przyjętej mowie gwardyana O. Antoniego Buttykaya o prasie katolickiej, wystąpił z mową końcową arcybiskup Kaloczy dr. Gernoch, zakończył przeglądem dotychczasowych prac katolików węgierskich i zachętą do dalszych, kładąc szczególny nacisk na obowiązek, aby każdy odrodzenie katolicyzmu rozpoczął od siebie samego, we własnem życiu i własnym domu. Katolicyzm na Węgrzech tętni więc życiem i żałować tylko trzeba, że z powodu zbyt silnych antagonizmów między Austryą i Węgrami, niema widoku, żeby w blizkiej przyszłości katolicy austryaccy i węgierscy poszli ręka w rękę, złączeni do wspólnego dzieła w wielkiej węgiersko-austryackiej Unii katolickiej.

Święta wojna.

Od czasów rewolucyi francuskiej w wojnach świata zachodniego kwestya religijna albo nie odgrywa już żadnej roli, albo jest przynajmniej czynnikiem bardzo podrzędnym. Inaczej rzecz się przedstawia i dziś jeszcze w wojnach Zachodu ze Wschodem. Obecna walka o Trypolis coraz więcej przybiera formę wojny religijnej, chrześcijaństwa z islamem. Zapewne nie religijne pobudki kierowały rządem włoskim, gdy wnosił żagiew wojny na wybrzeże afrykańskie, ale obrona przed najazdem organizuje się nie tylko pod hasłem ratowania posiadłości politycznej, ale także — co jej nadaje szczególne znaczenie — pod hasłem obrony religii Mahometa. Mnożą się świadectwa, że nienawiść Turków z powodu napaści włoskich powoli przenosi się na chrześcijan w ogólności a usiłowanie Włoch, aby przynajmniej pozornie wciągnąć w całą akcyę przeciw Turcyi Stolicę apostolską, przemawia za tem, że i Włosi chcieliby chętnie rabunkowi nadać charakter świętej wojny chrześcijaństwa

przeciw islamowi. Zanadto głęboko wryły się w pamięć Europy wiekowe krwawe walki z nacierającym zewsząd na chrześcijańską kulturę islamem, aby moment religijny kiedykolwiek w wznowionej walce z półksiężycem mógł ustąpić na drugi plan albo zupełnie z niej być usunięty. O ile zaś słabszy jest interes religijny ze strony chrześcijańskiej Europy i mocniejszy ze strony Turcyi, o tyle zachodzi obawa, że nawet w przypuszczeniu zaboru Trypolisu przez Włochy, spotęguje się siła i propaganda islamu i panislamizmu na Wschodzie na niekorzyść chrześcijaństwa i że Turcya terytoryalne straty powetuje sowicie wzrostem religijnego fanatyzmu a tem samem większej odporności przed wpływami kulturalnymi Zachodu. Gospodarka Młodoturków, ulegających bardzo silnie wpływom zachodnim, dawała nadzieję, że kultura zachodnia szybkie poczyni postępy na Wschodzie, ale wobec wojny włosko tureckiej nie ulega wątpliwości, że fanatyczna reakcya, przez nią wytworzona, dzieło kulturalne przynajmniej na czas jakiś powstrzyma. Powstrzyma ale nie zatamuje. Wobec powoli dokonywującego się podziału Persyi między Rosyę i Anglię i wobec ustawicznego kurczenia się tak terytoryalnego państwa jak i politycznego wpływu tureckiego, prędzej czy później kultura islamu ulegnąć musi silniejszym wpływom kultury chrześcijańskiej. Z tego względu wojna obecna szerszego nabiera znaczenia i tłumaczy się fakt, że z ust dygnitarzy kościelnych padły słowa przychylne dla akcyi rządu włoskiego, słowa, które w prasie katolickiej bynajmniej nie znalazły uznania.

Bezpośredniem następstwem wojny włosko-tureckiej będą różne szykany katolików i katolickich misyonarzy na Wschodzie i utrudnienia dla misyi katolickich, a może nawet z tego wynikną większe nieporozumienia między Niemcami i Francyą w sprawie protektoratu nad katolikami na Wschodzie.

Signum temporis.

Szeroki odgłos znalazła w prasie wiadomość, że wiedeński dziennik *Vaterland* po 52 latach rzetelnej walki w interesie katolicyzmu, 31 grudnia 1911 r. przestanie wychodzić. Jako organowi feudalnej szlachty austryackiej, stojącemu na gruncie katolickich przekonań, coraz ciężej było żyć w naszych demokratycznych i liberalnych czasach. Tylko przy pomocy hojnej sub-

wencyi ze strony szlachty i biskupów, w ostatnich czasach także ze strony *Piusvereinu*, mógł się on do tego czasu utrzymać, aż urwała się i subwencya, a wskutek tego losy *Vaterlandu* zostały zadecydowane. Zasłużona dobrze gazeta, która tak świetnie rozpoczęła swoją akcyę pod dyrekcyą barona Vogelsanga, przestaje istnieć. Prześladowało *Vaterland* jakieś fatum, które trudno zrozumieć. Po baronie Vogelsangu kierowali nią ludzie, którzy prawie bez wyjątku stosunków austryackich nie znali, bo w nich nie wyrośli, sprowadzono ich z zagranicy. Zagadkowe zwłaszcza pozostanie powołanie na głównego redaktora *Vaterlandu* Karola Kollera, człowieka, który pracował w redakcyi wolnomularskiej liberalnej gazety, sam był wolnomularzem i do tego zupełnie przejęty madyarskiemi ideami. Ciekawe to było małżeństwo, a że za takie związki natura się mścić zwykła, stąd też od czasów Kollera zaczyna się już upadek *Vaterlandu*. Przyczyniły się do niego także nieporozumienia między jego partyą a młodą partyą chrześcijańsko-społeczną Luegera. Trudno przypuścić, żeby główną i ostateczną przyczyną upadku *Vaterlandu* był *Bacillus catholicus*, jak to z pewnej strony podnoszono, gdyż przecież dla dwóch dzienników niemieckich, stojących na stanowisku katolickiem, jest miejsca i abonentów jeszcze dość w katolickiej Austryi, trzeba raczej przypuścić, że główną przyczyną była nieznajomość i stąd pochodzący brak dostrojenia się do stosunków politycznych i społecznych doby obecnej czyli skrajny, niezdrowy konserwatyzm, rażąco odbijający od społecznych prądów dzisiejszego społeczeństwa. Jakiekolwiek zaś były przyczyny, zmuszające *Vaterland* do ustąpienia z pola pracy i walki, żałować trzeba, że nie znalazły się środki i drogi, aby tak zasłużonemu dziennikowi stworzyć warunki nie dalszej marnej wegetacyi, ale nowego życia i rozkwitu. Może to tylko pochodzić stąd, że miarodajne sfery, pomimo smutnego doświadczenia, nie chcą odstąpić od swego politycznego i społecznego programu, który już nieraz stał się klęską dla obozu katolickiego w Austryi. Na korzyść partyi *Vaterlandu* to z pewnością nie wyjdzie, gdyż zostaje na placu tylko *Reichspost*, energiczny organ partyi chrześcijańsko-społecznej.

Ks. A. Starker.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1910.

(Dokończenie)

Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości, istniejące dopiero od lat czterech, imponuje wprost rezultatami swoich usiłowań w każdym kierunku. Wystarczy zaznaczyć, że liczba jego członków dosięgła cyfry 1463 (w tem delegatów i korespondentów 60, założycieli 22, wieczystych 11, protektorów 150 i zwyczajnych 1220. Udział Galicyi był śmiesznie mały, przedstawia go bowiem aż dwóch członków z Krakowa!... Dochody wynosiły 7.508 rb., wydatki 7.248 rb. Majątek Tow. składały pozycye następujące: ruchomości rb. 710, biblioteka rb. 3.640, zbiory 3.249 rb., nieruchomości 1.500 rb. Nabytki w nieruchomościach: Zdzisław ks. Lubomirski wyraził w imieniu spadkobierców śp. J. T. ks. Lubomirskiego gotowość spełnienia woli ojca, mocą której ruiny zamku dawnych biskupów krakowskich w Iłży przechodzą na własność Tow. Wieża w Wojciechowie koło Nałęczowa, wzniesiona w połowie XV w. została zaofiarowana Tow. przez obecnego właściciela na własność Tow. Co się tyczy prac konserwatorskich, rozważono roboty około ruin zamkowych w Czersku, w Chęcinach i w Iłży a nadto sprawę: rozszerzenia kaplicy Matki Boskiej Cudownej na Jasnej Górze, zabudowań poklasztornych dawnego opactwa w Sulejowie i wieży w Wojciechowie. Z szeregu prac wewnętrznych wyszczególniamy następujące: z uwagi na to, że księgozbiór ofiarowany przez Józefa hr. Tyszkiewicza zawierał sporo dzieł, nieodpowiadających kierunkowi prac Tow., postanowiono przekazać je Bibliotece publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie. Z całego tedy księgozbioru 338 dzieł zatrzymano na własność swoją, 277 wybrała biblioteka lubelska, resztę zaś wystawiono na sprzedaż. W r. ub. utworzono też Wydział inwentaryzacyjny, który wytknął sobie za zadanie: 1) spisywanie i opisywanie wszelkich zabytków przeszłości i kultury polskiej, 2) utrzymywanie w porządku zbiorów Tow., 3) dostarczanie zarządowi wskazówek i materyałów bibliograficznych. Zbiory Tow. powiększyły się o kilkanaście przedmiotów muzealnych. Wydział »Starej Warszawy« skierował swoje starania ku zabezpieczeniu dzielnicy staromiejskiej. Owocem szerszego zainteresowania się ogółu w tym kierunku było odwoływanie się do kompetencyi Tow. w przedmiocie restauracyi fasad domowych. W działalności wydziału malarsko-rzeźbiarskiego wyszczególnić należy sprawę polichromii kościołów, omówioną

i opracowaną w szeregu posiedzeń z punktu jej widzenia ogólniejszego. Wydział architektoniczny zajmował się restauracyą 49 kościołów, 6 zamków i 7 ratuszów oraz domów. Ponadto delegaci przywieźli z wycieczek sporo materyału, dotyczącego rzeczy nieznanych, będących wykwitem sztuki na wskróś rodzimej, związanej ściśle z odwieczną kulturą kraju.

* * *

Polskie Towarzystwo krajoznawcze wykazuje rozwój stateczny we wszystkich kierunkach. Jedynie fluktuacya członków była nieproporcyonalnie wielka, skoro nowych przybyło 391, wykreślono zaś 74, w czem 53 za niepłacenie przez dwa lata wkładek. Oddziałów prowincyonalnych otworzono w r. ub. trzy nowe, przez co ogólna ich liczba wzrosła do 24. Zorganizowano również dwie nowe komisye naukowe: etnograficzną i górską i ogłoszono dwa konkursy: jeden dla młodzieży na zbiory przyrodnicze, drugi zaś na opis krajoznawczy miejscowości. Zebrań miesięcznych odbyto 10, na których mówili między innymi: p. A. Jaworski »O Łysogórach«, p. Z. Pietraszczyński »O badaniach gleboznawczych na terenie łysogórskim«, p. W. Wróblewski »O Grodnie«, L. Włodek »O Polakach w Stanach Zjednoczonych«. Z. Gloger »Grody Piastowskie«, J. Kosmowska »Krajoznawstwo, jako podstawa pracy społecznej«, M. Wisznicki »Szlakiem Jagiełły«, St. Thugut »Krakowskie Przedmieście«, W. Jasiński »Skarby polskie w Tatrach«, J. Warcholik »O Śląsku austryackim«, dr. L. Sawicki »Trzy bramy karpackie«. Komisya wydawnicza z chwilą rozpoczęcia wydawnictwa tygodnika *Ziemia* przeniosła cały punkt ciężkości swoich starań ku temu organowi. Wobec niepewności przedsięwzięcia pod względem finansowym, zredukowała swoją działalność w innych kierunkach, tak, że rozpoczęła tylko druk pracy ks. A. Pleszczyńskiego »Opis historyczno-statystyczny parafii międzyrzeckiej na Podlasiu«. Budżet *Ziemi* wynosił 14.736 rb., mimo to zakończono rok niedoborem parotysięcznym. Wydział meteorologiczny zorganizował 7 stacyi obserwacyjnych, wyposażając je w potrzebne przyrządy. Co się tyczy badań naukowych, urządzono ekspedycyę przyrodniczą do Zamojszczyzny, zupełnie prawie dotychczas pod względem fizyograficznym niezbadanej. Zebrane przez ekspedycyę materyały przedstawiają cyfrowo: okazów fauny około 1000, flory około 150. Uporządkowano okazy: gadów, skrzeków, ryb, chrząszczy, drzew, krzewów i paprotników. Ze względu na krótki czas trwania ekspedycyi

oraz na porę dżdżystą wyniki należy uważać za bardzo pomyślne. Komisya muzealna uporządkowała działy: zoologiczny — 535 okazów, botaniczny — 273 okazów, mineralogiczny — 455 okazów, geologiczny — 118 okazów, etnograficzny — 552, archeologiczny 141 i numizmatyczny — 580 okazów. Muzeum było otwarte przez 331 dni. Zwiedziło je 3000 osób. Z pośród licznych wycieczek krajoznawczych wymienić należy: do zamku pilickiego, do b. opactwa w Czerwińsku, do Białowieży. Wycieczek miejskich odbyło się 14, a podmiejskich 10. Komisya etnograficzna znajdowała się w stadyum organizacyjnem. Biblioteka otrzymała 494 numerów w 1204 jednostkach bibliotecznych. Korzystało z niej zaledwie tylko 46 osób. Komisya popularyzacyi krajoznawstwa urządziła 14 konferencyi z 25 referatami, z których wymieniamy: A. Chętnika »Rybołowstwo na Narwi«, J. Domaniewskiego »Ptaki ginące u nas«, I. Milarskiej »Zwyczaje weselne w Polsce«, P. Słonimskiego »Podole«, W. Laskowskiego »Puszcza Kampinoska«. Dochody wynosiły 14.312 rb., z czego wydano 14.119 rb.

W oddziałach prowincyonalnych wygłoszono między innymi następujące odczyty: w Częstochowskim: p. Jasiński »O bogactwie kopalnianem kraju naszego«, dr. Biegański »O powietrzu morowem w dawnej Polsce«, p. Mańkowski »O zabytkach architektury drzewnej w Polsce«; w Chełmskim: p. A. Michalski »O pochodzeniu Słowian«, J. Papużyński »O formacyi kredowej«; w Kaliskim: p. A. Parczewski »Wędrówki po starym Kaliszu«, W. Jacuński »Skarby polskie w Tatrach«; w Kieleckim: p. J. Cholewiński »Kometa Halleya i o przewidywanym końcu świata«, p. K. Stołychwo »O człowieku przedhistorycznym na ziemiach słowiańskich«; oddział Kujawski gromadził przedewszystkiem zbiory, które pomieszczono w 19 szafach i gablotach, dary zaś i depozyty napływają stale, biblioteka liczyła 198 dzieł; z odczytów wymieniamy: p. Rzeszotarskiego »Zarys historyczny ziemi Dobrzyńskiej«, G. Moczarskiego »Z biegiem Wisły od Włocławka do Gdańska«; oddział Lubelski: p. Lewiński »Geologiczna budowa ziem Polski«; oddział Łódzki: p. Fr. Bąkowski »Pomorze polskie«, dr. Z. Mierzyński »Znaczenie nazw miejscowych«, Fr. Hirschberg »Rys geologiczny wyżyny łódzkiej«, M. Janowski »Gopło«; oddział Łomżyński: p. K. Bzowski »Królestwo Polskie pod względem geologicznym«; oddział Łowicki: p. A. Chmielińska »Kobieta w społeczeństwie«. Biblioteka posiada 2584 tomów; muzeum zwiedziło 2829 osób; oddział Piotrkowski:

ks. St. Szabelski »Z Prus zachodnich«, M. R. Witanowski »Kazimierz Wielki w opowiadaniach ludu«, »Jurydyka zw. Biskupie w Piotrkowie«, »Wojciech Borzymowski, nieznany malarz polski XVI wieku«; oddział Radomski zorganizował muzeum, złożone z tysiąca okazów; oddział Siedlecki liczył w zbiorach okazów mineralogicznych 121, numizmatycznych 196, zoologicznych 59, pudełek owadów, zabytków historycznych 23, książek 118, albumów 5 i map 11. Odczyty: p. K. Rakowiecki »Zakon krzyżacki w Polsce«, ks. K. Piotrowski »O przemyśle ludowym« (drukowany w osobnej broszurze); oddział Suwalski: prof. A. Sądag »Budowa geologiczna ziem polskich«, p. B. Rydzewski »Bogactwa mineralne ziem polskich«. Muzeum oddziału wzmogło się znakomicie. Z pośród nowych nabytków zwracamy uwagę na zbroje polskie, ubiory ludu litewskiego, szkice Grottgera i Pruszkowskiego, autografy Wyspiańskiego, oraz wycinanki ludowe; oddział Zagłębia: p. W. Wrzosek »O archeologii przedhistorycznej«; oddział Zawiercki: ks. Chodorowski »O Kołłątaju«.

* * *

Stowarzyszenie nauczycielstwa polskiego pokonywało trudy iście syzyfowe. Zrzeszyło 387 członków, w tej liczbie 50 na prowincyi, pomimo podniesienia wkładki rocznej do 12 rb. Znacznie gorzej, niźli w r. 1909, przedstawia się sprawa oddziałów. Oddział lubelski został zamknięty, jako niewykazujący żadnej działalności, łódzki przerwał czynności wskutek warunków miejscowych, w piotrkowskim pracy nie widać; jedynie kielecki rozwija się normalnie, o zalegalizowanie zaś oddziału w Częstochowie poczyniono starania. Pamiętając o tem, iż Stow. ma na celu rozwój i doskonalenie sił nauczycielskich, baczono przedewszystkiem na pomyślny rozwój: biblioteki, sekcyi i pisma. Biblioteka zwiększyła się w r. ub. o 142 tomy i liczy 2486 tomów w 2262 numerach. Czasopism otrzymywano 90. Wydatki na bibliotekę wynosiły 331 rb. Ilość osób korzystających z biblioteki wzrosła znacznie, mianowicie ze 150 na 201, książek wypożyczonych z 550 na 829. Na miejscu korzystało z pism i książek 1169 osób (w r. ub. 779). W sekcyach urządzono między innymi następujące odczyty: K. Appela »Nauczanie języków wobec postępów językoznawstwa«, d-ra Chodackiego »Okres dojrzewania płciowego a szkoła«, d-ra T. Markowskiego »Hygiena szkoły początkowej«. Poza tem dyskutowano na tematy najróżnorodniejsze, ale zostające w związku ścisłym z pedagogią. Organem *Stow. N. P.* było *Wychowanie*, które na łamach

swoich odbijało poglądy członków Tow. na sprawy wychowania i nauczania. Pismo to otrzymywali wszyscy członkowie. Komisya wydawnicza ogłosiła następujące prace: W. Osterloff »Prorok pedagogii nowoczesnej H. Pestalozzi«, St. Sobiński »Uwagi o nauczaniu historyi«, Z. Rutkowski »Śpiew i muzyka w szkole elementarnej«. Książki te, włączone do seryi p. t. *Książnica wychowawcza,* stanowią część wydawnictwa, mającego plan utworzenia »encyklopedyi wychowawczej dla nauczycieli ludowych«. Sprzedaż wydawnictw jednakowoż idzie po dawnemu ospale. Rachunki zamknięto kwotą rb. 17.176. Pięć lat minęło od założenia tej instytucyi. A w ciągu ich pozbawiono się wielu złudzeń i nabrano przekonania, że mimo twardych warunków pracy, nie wolno rąk opuszczać, a trzeba trwać i stać się potężnym organizmem, budującym własnym wysiłkiem trwałe fundamenty pod byt tyle ważnej instytucyi — duszą żywą i rozległym planem twórczego życia wpływać ożywczo na życie innych; zwątpiałym nieść otuchę, ospałych budzić, wyczerpanym nowych sił dodawać!...

* * *

Towarzystwo prawnicze liczyło z końcem r. ub. członków 321, t. j. o 18 mniej, aniżeli w roku 1909, choć powinno było zrzeszyć wszystkich prawników warszawskich bodaj ze względu na sprawy, jakie poruszono na licznych posiedzeniach czteru sekcyi naukowych Towarzystwa. Między innymi wygłoszono następujące odczyty: w sekcyi prawa cywilnego: mec. K. Dunin »Prawo międzynarodowe prywatne w ważniejszych kodeksach europejskich«, K. Lutostański »O charakterze władzy mężowskiej w naszem prawie cywilnem«, M. Jackowski »O spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością«, A. Wróblewski »O przedawnieniu własności hipotecznej ze stanowiska dogmatycznego i porównawczego«, J. Światopełk-Zawadzki »O wpisach subhastacyjnych i o ich wpływie na transakcye hipoteczne«, I. Dworzaczek »Etyka w działalności zawodowej prawniczej ze szczególnem uwzględnieniem praktyki cywilistycznej«. W związku z sekcyą pozostaje komitet redakcyjny, pracujący nad wydaniem kodeksu cywilnego, który posunął swe prace tak daleko, że przystąpić było można do druku tego wydawnictwa. Sekcya prawa karnego spała tak, że wymienić można tylko referat p. J. Konczyńskiego p. t. »Przestępczość w Królestwie Polskiem«. W sekcyi prawa państwowego i administracyjnego wygłosili odczyty pp. Wł. Grabski »Niektóre sporne sprawy w zakresie gospodarstwa lokal-

nego w Król. Polskiem«, F. Ochimowski »O projekcie samorządu na Litwie i Rusi«, wreszcie H. Konic referował »Projekt finlandzki«. Sekcya ekonomiczno-społeczna objawiła ruch najżywszy, na tematy aktualne: E. Chwalewik »Pierwiastki ekonomiczne kwestyi żydowskiej«, St. Koszutski »O dawnych społecznikach polskich«, J. Lewiński »Powrót do Adama Smitha«, St. A. Kempner »Prawa ekonomiczne w zakresie podziału dochodu«, Z. Grotowski »Poglądy na reformy gospodarcze ekonomistów polskich na początku XIX wieku«, wreszcie J. Konczyński »Statystyka przestępczości (dlaczego nie »występności«? przyp. aut.) ludności Król. Polskiego w ostatniem 30-leciu«. Nadto pracowano w komisyach, przygotowując w dalszym ciągu zobrazowanie statystyczne Król. Polskiego. Biblioteka wzrosła w r. ub. o dzieł 385 w 514 tomach, t. j. liczy 1246 dzieł. Ruch czytelniczy wzmógł się w porównaniu z r. 1909. Dochody wynosiły 8.108 rb., wydatki 3.239 rb.

* * *

Towarzystwo lekarskie warszawskie, drugie, obok Kasy imienia Mianowskiego, najzasobniejsze zrzeszenie naukowe w Królestwie, rozwinęło, dzięki silnej podstawie materyalnej, działalność naukową nadzwyczaj intensywnie. Nestorem wszystkich polskich stowarzyszeń nazwać je można, liczy bowiem 93 lat istnienia, a jednak tętni życiem młodocianem, pełnem rozpędu we wszystkich kierunkach. Najlepiej uwidoczni to zestawienie kilku cyfr: w r. ub. odbyto posiedzeń klinicznych 28, na których wygłoszono 36 odczytów oraz dokonano 47 pokazów. Najliczniejsze posiedzenie miało 112 członków, najmniej liczne 27. Największa ilość odczytów — 10 wygłoszona została z działu medycyny wewnętrznej, następnie 6 z chirurgii, po 4 z neuropatologii i dermatologii, po 3 z chorób kobiecych i bakteryologii, po 2 z klimatoterapii i balneologii, wreszcie po 1 z laryngologii, ginekologii i historyi medycyny. Najbardziej uczęszczane były prelekcye w sprawie metody Ehrlicha z preparatem »606«, dyskusya zaś wyczerpująca stawiała posiedzenia *T. L. W.* na równi z posiedzeniami pierwszorzędnych stowarzyszeń zagranicznych. Z kolei wyróżnić należy sprawę wszechstronnego opracowania choroby Gravesa, wyłuszczoną w odczytach d-ra Puławskiego i Rzętkowskiego; w dziale medycyny wewnętrznej: d-ra Janowskiego o niemiarowości tętna, Gałeckiego i Budzyńskiego o działalności środka leczniczego J. K. Szprenglera na przebieg gruźlicy, d-ra Otto o wpływie niko-

tyny na serce; w dziale chirurgii: prof. Kryńskiego w sprawie operacyjnego leczenia choroby Basedowa i o granicach dla zabiegów operacyjnych w przypadkach nowotworów złośliwych; z dziedziny neurologii: d-ra Łapińskiego »Uraz a choroby umysłowe«, d-ra Bychowskiego »Podstawy teoretyczne leczenia porażeń spastycznych metodą Foerstera«; z bakteryologii: d-ra Karwackiego »O wartości dyagnostycznej przeciwciał lokalnych w gruźlicy«; z zakresu historyi medycyny: d-ra Sokołowskiego »Fundacya imienia Koczorowskiego«. Co się tyczy pokazów, najwięcej, bo 13 było z medycyny wewnętrznej, bakteryologicznych 10, z neurologii 6, z ginekologii 4, z otyatryi 3, z chorób skórnych 2. W r. ub. zatem widzimy nadzwyczajną rozmaitość tematów z różnych specyalności, tematów jednak prawie wyłącznie dotyczących kliniki, przy braku prawie zupełnym odczytów, poświęconych medycynie teoretycznej i pracom doświadczalnym. Liczba pokazów w porównaniu z r. 1909 zmniejszyła się również. W pracowni naukowej *T. L. W.* wykonano w ciągu lat 1909/1910 prac naukowych 31, które ogłoszone zostały drukiem w czasopismach fachowych polskich i niemieckich. Wieczorów demonstracyjnych odbyto 6. Ponadto urządzono dwukrotnie wykłady dla lekarzy, w których wzięło udział 91 osób. Dokonano wreszcie 3 analiz wód: w Busku, Brzeziu, Wieńcu i pod Tomaszowem-Rawskim.

Pamiętnik pod redakcyą K. Rzętkowskiego zawierał 7 prac oryginalnych, które zajęły 23 arkusze druku, przegląd piśmiennictwa polskiego za r. 1908 na 21 ark. dr., reszta przypada na protokóły posiedzeń. Koszta tego wydawnictwa wynosiły 1961 rb. Biblioteka wzrosła o 720 tomów skatalogowanych; liczy obecnie 28.791 dzieł. Wydatki na nią wyniosły 1480 rb. Nagrody konkursowe otrzymali: im. W. Koczorowskiego — dr. Fr. Borach za pracę »Włókna Duercka na ścianach naczyń krwionośnych, ich rola i zmiany, jakim ulegają przy miażdżycy naczyń«; im. J. Wszebora — dr. R. Hertz za rozprawę »O wywołanem doświadczalnie szpikowem przeistaczaniu śledziony«; oprócz stypendyów przyznanych studentom, udzielono pożyczek na studya zagraniczne: dr. St. Borowieckiemu rb. 600 i dr. Cz. Otto rb. 400; z procentów od funduszu im. d-ra J. Chwiećkowskiego przyznano między innymi ś. p. M. Brzezińskiemu rb. 400 na wydanie dwu popularnych książek z dziedziny przyrodoznawstwa. Zapisy, otrzymane w r. ub., były nieliczne; z nich wymienimy: d-ra A. Sokołowskiego franków 5000, z których procentów co lat cztery ma być nagradzana praca z dziedziny chorób dróg oddechowych, anatomii patologicznej,

patologii doświadczalnej lub kliniki; d-ra K. Dobrzyckiego rb. 1000, na utworzenie z powyższej sumy dwu nagród po rb. 500, wypłacać się mających co lat pięć za najlepsze prace z dziedziny balneologii lub klimatologii. Należy wreszcie wymienić dar w książkach lekarskich, ocenionych na 988 rb., p. Z. Karczewskiej.

Bilans w stanie czynnym wykazuje sumę **500.848 rb.** (w tem listy zastawne rb. 144.425, realność 239.822 rb.); w stanie biernym długi na nieruchomościach ciążące wynoszą 138.000 rb. Członków liczyło *T. L. W.* ogółem 398 (w tem 14 honorowych, 322 czynnych, 3 przybranych, 59 korespondentów). Działalność jego, jak niemniej pokrewnych stowarzyszeń galicyjskich, odbiega daleko w kierunku dodatnim od ogółu zrzeszeń naukowych polskich. Aleć też — w pieniądzach siła!...

Działalność *Warszawskiego Towarzystwa Hygienicznego* była tak rozległa, że ograniczyć się musimy podaniem jedynie najważniejszych dat. Zanotować tedy trzeba nowe zorganizowanie oddziału Radomskiego, oraz założenie nowego oddziału w Sosnowcu i urządzenie wystawy bardzo ważnej, choć niezbyt okazałej, miast-ogrodów. W wydziałach tow. wygłoszono między innymi następujące referaty; wydział biologiczny: p. M. Lipińska »O hygienie moralnej«, dr. F. Malinowski »O znaczeniu preparatu 606«; wydz. hygieny ludowej zajmował się dwiema wielkiej wagi sprawami, t. j. kąpielami dla ludu i budowlami wiejskiemi; wydz. hygieny miast, dyskutował nad kwestyonaryuszem d-ra J. Zawadzkiego w sprawie potrzeb małych miast pod względem zdrowotnym; wydz. balneologiczny: dr. B. Malewski »O dyetetycznem leczeniu chorych«, dr. St. Kozłowski »Ojców, jako uzdrowisko podgórskie i zakład dyetetyczny«, dr. J. Bączkiewicz »Wieś Wisła, jako letnisko i uzdrowisko«; wydz. wychowawczy: dr. Wernic »Stosunek lekarza szkolnego do szkoły«, K. Kujawski »Sprawozdanie ze skandynawskiego Zjazdu pedagogicznego w Stokholmie«, Fr. Jaros »Badania psychometryczne w szkole«. Komitet do zwalczania i badania raka nadał nagrodę 300 rb. pracy konkursowej d-ra J. Steinhausa p. t. »Komórka rakowa« i postanowił wydać rozprawę popularną »O wczesnem rozpoznawaniu raka«. Organ Tow., miesięcznik *Zdrowie,* pomieścił w r. ub. 43 prac oryginalnych, ogółem zaś 97 referatów, nie licząc rubryk ubocznych. W oddziałach prowincyonalnych odbywały się również odczyty, z których wymienimy: częstochowski — dr. L. Batawia »O dziedziczności«, dr. J. Polak »O zadaniach i zakresie działalności samorządu miejskiego pod względ-

dem sanitarnym w związku z projektem samorządu w Król. Polskiem«. Główna działalność oddziału była ześrodkowana w urządzeniu wystawy hygienicznej, którą w ciągu dwu miesięcy zwiedziło 15.000 osób. Oddział wydał pracę d-ra J. Brzezińskiego »O gruźlicy«, odczytów publicznych zaś urządził dziesięć. I tak mówili pp.: dr. St. Nowak »O budowie ciała ludzkiego«, dr. L. Batawia »O suchotach«, p. W. Wojciechowski »O roślinach pokarmowych«, dr. Kon »O wodzie ze stanowiska hygieny«. Oddział łódzki wydał trzy broszury popularne, które zostały rozpowszechnione w 10.000 egzemplarzy. Sprawozdanie rachunkowe wykazuje w dochodach 3.791 rb. Przewyżka dochodów nad wydatkami wynosiła 202 rb. Samo wydawnictwo *Zdrowia* pochłonęło 2.342 rb. Czysty majątek Tow. wynosił 10.491 rb., nie licząc kapitałów sanatoryum w Rudce.

Polskie Towarzystwo okulistyczne liczyło zaledwo 40 członków. Posiedzeń odbyto siedm, na których wygłoszono następujące odczyty: L. Endelmann »Leczenie dróg nosowo-łzawych za pomocą drenowania stałego«, p. Bychowski »W sprawie nierówności źrenic«, dr. St. Kopczyński »Przyczynek do stosowania trepanacyi paliatywnej przy grożącej ślepocie skutkiem wzmożonego ciśnienia śródczaszkowego«, Br. Ziemiński »Badanie czynności oka przy zupełnem zaćmieniu jego środków łamiących światło«. Poza tem na każdem posiedzeniu urządzano pokaz kliniczny chorych na oczy i odpowiednich preparatów. Dochody Tow. wynosiły 284 rb., pozostałość kasowa na rok następny 44 rb.

Skromne liczebnie warszawskie *Towarzystwo odontologiczne* skupiło zaledwie 54 członków, którzy odbyli w r. ub. 10 posiedzeń naukowych. Preliminarz na rok 1911 był również skromny, ograniczył się bowiem sumą 683 rb.

Nawet galicyjskie obydwa towarzystwa politechniczne razem wzięte nie mogą żadną miarą być zestawiane ze *Stowarzyszeniem techników* warszawskiem. Wystarczy wziąć pod uwagę to, co stanowi najważniejszy wszędzie *nervus rerum* t. j. majątek instytucyi warszawskiej, reprezentowany sumą **565.704 rb.**, ażeby cała różnica, zachodząca pomiędzy stosunkami naszymi a Król. Polskiego, wyszła na jaw w okazałości rażącej!... Wszystko tu imponuje rozmachem nadzwyczajnym, celowością działania i intensywnością, poczynając liczbą członków, których *Stow. techników* skupiło 1711. W samej Warszawie mieszkało ich 880... To dosyć chyba.

O niesłabnącem zainteresowaniu się członków *Stow.* świadczy wy-

mownie liczba posiedzeń, przewyższająca o 4 liczbę posiedzeń z r. 1909, a o pięć liczbę przeciętną z lat ubiegłych. Z długiego szeregu odczytów wymienimy jedynie najdonioślejsze, a zatem pp. J. Kaczkowskiego »Sprawa emerytalna pracowników prywatnych«, d-ra Silbersteina »Teorya elektronów i zagadnienia pokrewne«, M. Pożaryskiego »O postępach telegrafii bez drutu«, K. Grabowskiego »O energetycznych podstawach nauki o wytrzymałości«, prof. A. Rotherta »O nowych metodach pracy robotniczej«, Korniłowicza »Teorya ultramikroskopu i jego pokazy«, odczyt zbiorowy »O moście warszawskim«, prof. d-ra J. Kowalskiego »O najnowszych wynikach badań nad promieniowaniem«, A. Twardzickiego »Kilka słów o przyszłości przemysłu żelaznego w Król. Polskiem«, M. Lutosławskiego »O budowie domu żelazno-betonowego«, F. Kucharzewskiego »Mechanika polska XVIII wieku«, W. Kuszla »O wpływie stopy procentowej na układ stosunków społecznych«, prof. W. Zalewskiego »O wyrobie cegły piaskowej«. Ogółem posiedzeń naukowych odbyło się 29, liczba zaś członków, uczęszczających na nie, wahała się w granicach 75 do 125. Poza tem zorganizowano cały szereg wycieczek naukowych do zakładów przemysłowych i fabryk.

Nieporównanie mniej interesu budziła w członkach *Stow.* biblioteka, której zmniejszona frekwencya w porównaniu z r. 1909 wykazała jedynie 428 zgłoszeń, jakkolwiek wzrost jej był dostateczny, zarówno z zakupów, jak i z darów. Czytelnia otrzymywała 66 czasopism zawodowych, a ponadto 10 dzienników, co pochłonęło wcale poważną sumę, wyrażającą się 1375 rb.

Z działalności sekcyi, istniejących w łonie *Stow. techn.*, na pierwsze miejsce wysuwa się Koło architektów, które odbyło 26 posiedzeń, ogłosiło pięć konkursów publicznych (w tem na kościoły we Włocławku i w Makoszynie), rozstrzygnęło zaś cztery, między nimi na kościół w Orłowie. Odczytów zaś miało 10 i to nader ważnych, a mianowicie: J. Witkiewicza »Sprawa opracowania planu przyszłej Warszawy«, T. Stryjeńskiego »Zadania delegacyi i zjazdów architektonicznych«, Z. Mączeńskiego »Architektura wojenna średniowiecznego Krakowa«, Fr. Lilpopa »O konkursie na projekt wielkiego Krakowa«, St. Szyllera »Architektura dojazdu do trzeciego mostu w Warszawie«.

Koło chemików, zaledwie drugi rok istniejące, może śmiało poszczycić się wprost wspaniałymi rezultatami. Dość powiedzieć, że na 20 posiedzeniach, przy średniej frekwencyi 34 członków, zostały

wygłoszone przez 27 prelegentów 33 odczyty — z tego 14 oryginalnych prac chemicznych, takież 2 z zakresu historyi chemii, 15 referatów i 2 pokazy przyrządów. Z pomiędzy nich wymieniamy: d-ra Centnerszwera »O rozpuszczalności soli w podniesionej temperaturze«, W. Syniewskiego »Obecny stan wiadomości o dyastazie«, d-ra L. Biera »Organizacya kontroli środków spożywczych«, prof. J. Zawidzkiego »O widmach absorbcyjnych«, dr. E. Neugebauera »O filtrze domowym«, d-ra Leśkiewicza »Badania nad żywicą sosny«, d-ra K. Smoleńskiego »O reakcyi Cammidge'a«, K. Drozdowskiego »Filtry zeolitowe«, J. J. Boguskiego »O działaniu magnezu na mocznik«, prof. Br. Pawlewskiego »O natężeniu barwnej fluorescencyi ciał«, Wł. Lepperta »Szkic rozwoju chemii w Polsce w epoce Śniadeckiego«, Otolskiego »O zakładach przemysłowych chemicznych«, St. Rostworowskiego »O problemacie azotowym«, K. Drozdowskiego »O barwnikach naturalnych«, wreszcie d-ra L. Nowakowskiego »O oznaczaniu rafinozy w burakach«.

Co się tyczy wydawnictw, organem Stow. był *Przegląd techniczny*, redagowany nadzwyczaj starannie, ale też potrzebujący mnóstwa pieniędzy, co jest nieodłączne przy publikacyach, w których dobrze odbite ilustracye starczą niejednokrotnie dla mądrej głowy za tekst pisany, nie mogący z natury swojej dać uzmysłowienia tego, o czem mówi, chociażby najbardziej szczegółowo przeprowadzony był cały opis. Ale też nie mogło się to czasopismo uskarżać na brak nie tylko już uznania, bo niem cieszyło się w całej pełni, ale bodaj na brak prenumeratorów. Poza tem Komitet X-lecia Tow. Technicznego przystąpił do druku dzieła p. H. Czopowskiego p. t. »Mechanika teoretyczna«, a druk postąpił o tyle, że tom pierwszy ukazał się w tych dniach, drugi zaś wyjdzie przed upływem b. r. Wydawnictwo to zaś jest wcale kosztowne — dodać należy. Co prawda, dotąd rynki potrzebujących wydawnictw tego rodzaju zaopatrywała Galicya...

Prowincya. Łódź. *Tow. lekarskie* liczyło 3 członków honorowych, 17 korespondentów i 102 czynnych. Posiedzeń odbyto w r. ub. 22, na których odczytano 17 wykładów i wygłoszono 4 dłuższe przemówienia. Pod względem treści, z dziedziny dyagnostyki: dr. Maybaum mówił »O postępach w rozpoznawaniu chorób żołądka«; z okulistyki: dr. Garliński »O badaniu dna ocznego za pomocą przyrządu Bauma«; z chirurgii: dr. Krusche »O chorobach gruczołu tarczowego i ich leczeniu«, dr. Tomaszewski »O wolu u dzieci«; z dziedziny chorób

wewnętrznych: dr. Sterling »O postępach w dziedzinie lecznictwa chorób płuc i serca«, oraz »Z kliniki gruźlicy«; z dziedziny chorób nosa, uszu i gardła: dr. Grabowski »O inhalacyi suchej«, dr. Przedborski »Jakie usługi oddaje wiedzy lekarskiej nowoczesna laryngo-rhino i otologia«; z psychiatryi i chorób nerwowych: dr. Kopciński »O objektywnem badaniu inteligencyi u umysłowo chorych«; z pedyatryi: dr. W. Jasiński »O drgawkach u dzieci«, dr. Lipszyc »Kropla mleka w walce ze śmiertelnością niemowląt«. Chorych pokazano 33, preparatów anatomo-patalogicznych 24. W porównaniu z r. 1909 o 1 wykład i o jedno przemówienie więcej. Na Zielone Święta 1911 r. zwołano zjazd lekarzy prowincyonalnych.

Radom: *Tow. lekarskie* liczyło 48 członków i odbyło 8 posiedzeń naukowych, na których wygłoszono 7 odczytów oraz przedstawiono 7 pokazów. Pod względem treści były: 2 odczyty z dziedziny chorób wewnętrznych, 2 z dziedziny chorób kobiecych, 1 z dziedziny chorób wenerycznych, 1 z chorób zakaźnych, i 1 z hygieny. Między innymi mówili pp. Fidler i Kosak na temat »Przyczynek do epidemologii i charakterystyki duru brzusznego«, Fidler »O chemioterapii«, dr. Szczepaniak »Ruch chorych zakaźnych w Radomiu za sierpień i wrzesień 1910 r.«, J. Wojczyński »Wynik badania bakteryologicznego wód studziennych m. Radomia i wpływ rozczynów o różnem stężeniu kwaśnego siarczanu sodu na bakterye przebywające w wodzie«. Biblioteka Tow. zawiera dzieł 1082 w 1260 tomach, nie licząc nie skatalogowanych jeszcze stukilkudziesięciu. Czasopism prenumerowano 19, co kosztowało 131 rb. Dochody Tow. wynosiły 631 rb., wydatki 544 rb.

Kielce: *Tow. lekarzy gub. kieleckiej* liczyło 28 członków. W ciągu r. ub. odbyło 7 posiedzeń, na których wygłoszono następujące odczyty: d-rowie Kozieradzki i Daszewski »Patologia źrenicy w cierpieniach narządów wewnętrznych i nerwowych«, dr. Szenk »Fumor lienis«, dr. Ryttel »Rany postrzałowe jamy brzusznej«, dr. Kopczyński »Lues cerebri«. Ponadto odbyły się 4 demonstracye chorych.

* * *

Wilno. Na Litwie, co tyle katuszy przecierpiała, na ziemi wyniszczonej trzeba było podejmować pracę od fundamentów, skoro z dawnych przybytków nauki polskiej nie pozostał ani kamień!... Celem uniknięcia szkodliwego rozpraszania się zestrzelono całą dzia-

łalność w *Towarzystwie Przyjaciół Nauk*, kultywującem wszystkie dziedziny wiedzy.

Najdonioślejszym faktem w kronice r. ub. jest ponad wszelką wątpliwość rozpoczęcie budowy własnego gmachu na placu, podarowanym *T. P. N.* przez p. K. Łęskiego. Dobroczyńca ten, przyszedł nadto z pomocą materyalną pod postacią pożyczki, bez której Tow. nie mogłoby było pokusić się o podjęcie budowy. Członków skupiło w sobie Tow. ogółem 357.

Prace naukowe obracały się przeważnie około przygotowania materyałów do IV-go tomu *Rocznika*, oraz około porządkowania i konserwacyi zbiorów, wzrastających systematycznie. W r. ub. otrzymano ogółem 2.549 dzieł w 3.983 tomach, tak, iż obecnie zawiera biblioteka 15.343 dzieł w 24.037 tomach. Co się tyczy materyałów archiwalnych, otrzymano ich 82 tek. Z pomiędzy nich zasługują zwłaszcza na uwagę: korespondencya ks. bisk. Wołonczewskiego, oraz korespondencya naukowa ś. p. Jana Karłowicza. Zbiory muzealne zostały znakomicie powiększone darem ś. p. Elizy Orzeszkowej. Dzielą się na siedm grup, z których każda ma swego osobnego konserwatora. W r. ub. skatalogowano 1300 monet, 271 medali, 31 pieczątek, 320 przedmiotów przedhistorycznych, 260 etnograficznych, 35 rysunków i obrazów, wreszcie 372 minerałów. Ponadto w r. ub. ofiarowało 144 osób 4990 przedmiotów muzealnych, w tem z zakresu prahistoryi 451, numizmatyki 1308, medali 271, kultu religijnego 146, sfragistyki 31, etnografii 267, sztuk pięknych 590, przyrody 1293, historyczno-obyczajowego 493, wreszcie 140 *varia*. Z pomiędzy nich zasługują na wzmiankę: 39 listów Kościuszki, listy króla Stanisława Augusta, Niemcewicza i Albertrandy'ego do Sierakowskiego, autografy cesarzy, królów i kurfirstów do Zygmunta III i Władysława IV, jedwabny pokrowiec na kanapę, zdobyty pod Wiedniem, turecka zbroja i pistolety, bronzowy zegar z końca XVII wieku, dwa obrazy śp. Jana Stanisławskiego p. t. »Ogród« i »Dniepr«, bardzo cenny zielnik prof. d-ra M. Raciborskiego, zbiór porcelany koreckiej, wreszcie insygnia masońskie.

Niepodobna wreszcie przemilczeć, że wszystkie wydatki zdołano opędzić stosunkowo skromną sumą półtora tysiąca rubli!... Jakżeż nikły to wydatek w porównaniu z tem, co zań potrafiono ocalić od zniszczenia i uprzystępnić nauce?!...

Kijów — o ileż w tyle pozostał za Wilnem, jak gdyby nie otrząsł się potąd z osławionej »bałagulszczyzny«?!... Jedyne ognisko ruchu literackiego nad Dnieprem — *Ogniwo*, zmieniło w ciągu r. ub. cha-

rakter swój w kierunku nadspodziewanie niepożądanym, przekształcając się niemal zupełnie na klub, którego podstawą: karty, dobra kuchnia i piwnica. A szkoda!... Bo przy 326 członkach i obrocie kasowym, wykazującym w rubrykach dochodów i wydatków po 21.134 rb., — cały rozchód na karmę umysłową wyniósł aż... 365 rb. na bibliotekę i prenumeratę pism łącznie. Urządzania odczytów zaniechano zupełnie. Ot, jak szlachta polska pojmuje swoje obowiązki na kresach!...

Co jednak w tym samym Kijowie zdołało dokonać 55 osób, zrzeszonych w *Polskiem Tow. Lekarskiem!* Cały niemal dochód roczny w wysokości 275 rb. obrócono w przeważnej części na przedpłatę pism i utrzymanie biblioteki. Dodać należy, iż Tow. majątku żadnego nie posiada, a zawiaduje tylko kapitałem z ofiar prywatnych na mający powstać w Kijowie szpital polski dla ubogich. Kapitał ten obecnie przedstawia sumę 16.800 rb. Natomiast na posiedzeniach naukowych wygłoszono 12 odczytów i przeprowadzono 4 demonstracye. Z pośród odczytów wymieniamy: d-rów A. Januszkiewicza »Wpływ alkoholu na serce i naczynia krwionośne«, M. Łążyńskiego »Wrażenia z klinik zagranicznych«, S. Trzebińskiego »O problemacie życiowym«, J. Reisego »O leczeniu przymiotu przetworem Ehrlicha«, M. Pietkiewicza »Przyczynek do kazuistyki schorzeń moczowodów«, A. Modrzewskiego »Badania drobnowidzowe za pomocą metody tuszowej«, R. Wellera »O porażeniu przestankowem kończyn górnych«.

A teraz niechaj czytelnik bezstronny raczy zestawić działalność tych dwu stowarzyszeń i sam wyciągnie wnioski, jakie całą siłą nasuwają się. Żeby w Kijowie, który sławił się ongi słusznie Akademią mohylańską, w pierwszej połowie XIX wieku uprawiał na wszechnicy naukę polską, upadł do tego stopnia interes dla nauki, to daje smutne świadectwo o wartości naszego społeczeństwa kresowego, nieumiejącego czy niezdolnego do uzyskania bodaj najskromniejszych owoców z możności zrzeszania się dla pracy poważnej. Toć w Petersburgu inne znajdujemy w tej mierze stosunki.

* * *

Zabór pruski. Ruch naukowy był w tej prastarej dzielnicy piastowskiej nadzwyczaj słaby; ale z tego powodu nie można bezwarunkowo winić ani ogółu ani jednostek. Na taki bowiem, smutny bez wątpienia stan rzeczy złożyły się przyczyny charakterystyczne tem więcej, jako wytworzone polityką eksterminacyjną rządu pruskiego. Dzielnica

ta cała przecież została ogołocona niemal zupełnie z sił naukowych polskich, nie mogących liczyć bodaj na posady nauczycieli gimnazyalnych, powtóre zaś, wytężywszy wszystkie swoje siły w kierunku walki z germanizacyą i podłem sprzedawczykostwem, nie mogła dostarczyć ich w pożądanej mierze nauce. Z uwagi tedy na tak wyjątkowe stosunki, godzi się przyznać, że to, co zdziałać zdołano dla nauki, zasługuje najzupełniej na uznanie rzetelne.

Na posiedzeniach wydziału historyczno-literackiego *Towarzystwa Przyjaciół Nauk* w Poznaniu wygłoszono między innymi następujące odczyty: dr. T. Jaworski »Wyspiański, jako poeta-malarz«, ks. dr. K. Miaskowski »Fryderyk II a Kościół katolicki w zabranych Polsce dzielnicach 1771—1786 r.«, ks. dr. Trzciński »O katalogu rękopisów biblioteki kapitulnej w Gnieźnie do XVI wieku«, ks. dr. K. J. Kantak »Próby reformy Bernardynów polskich i powstanie Reformatów«, dr. St Karwowski »O komandoryi i kościele św. Jana Jerozolimskiego w Poznaniu«. Dyskusye nad odczytami były ożywione.

Znacznie ruchliwszy był wydział lekarski, który odbył 15 posiedzeń, na których przedstawiono 20 referatów, z których wymienimy: d-ra Wł. Bugiela »O życiu i działalności Józefa Strusia«, d-ra Jerzykowskiego »W sprawie nowego prawa o zabezpieczeniu państwowem«, d-ra F. Malinowskiego »Choroby płciowe a małżeństwo«, d-ra H. Święcickiego »O życiu i działalności L. Gąsiorowskiego«, St. Szumana »O wzburzeniach wzruszeniowych i o stanach autohypnotycznych w przypadku histeryi urazowej«, prof. d-ra Zanietowskiego »O postępach elektromedycyny w świetle najnowszych badań i własnych doświadczeń«. Prawie żadne posiedzenie nie odbyło się bez demonstracyi chorych lub preparatów, objaśnianych krótkimi referatami. Demonstracyi przeprowadzono 36. Wreszcie na dwu specyalnych posiedzeniach poddano dyskusyi projekt nowej ustawy o zabezpieczeniu państwowem.

Wydział przyrodników i techników odbył posiedzeń 12, na których mówili między innymi: dr. Fr. Chłapowski »Poglądy dawniejsze na wulkanizm i trzęsienie ziemi«, St. Domagalski »O najnowszych ulepszeniach w centralnem ogrzewaniu«, St. Suwalski »O budownictwie w Ameryce«, W. Maćkowiak »O nowoczesnych stopach żelaza«, Powidzki »O odpowiedzialności architektów wobec nowej ustawy o zabezpieczeniu pretensyi budowlanych«, W. Paliszewski »O zastosowaniu żelazo-betonu w budownictwie

z uwzględnieniem sufitów cegłowych«. Ponadto poruszono myśl utworzenia w muzeum *T. P. N.* oddziału etnologicznego obok bardzo już obszernego prehistorycznego i omawiano sposoby rozpoczęcia zbierania okazów, odnoszących się do ludoznawstwa polskiego. Wreszcie p. K. Malinowski podjął się uporządkowania i opisania zbiorów botanicznych i florystycznych. Tow. Komisya terminologiczna pracowała w dalszym ciągu nad opracowaniem słownika technicznego. Skromne środki materyalne były powodem, dla którego musiano ograniczyć się wydaniem tomu XXXVI-go *Roczników*.

Zamiast sprawozdania *Towarzystwa Naukowego w Toruniu* podaję dosłownie list, otrzymany od Przewielebnego ks. St. Kujota: »Z szarej codzienności naszej cóż donieść o T. N.? Członków było 593, **w tem księży 384**, pracujących zaś na polu naukowem zaledwie 24! Z Prus zachodnich było 533, co jest dowodem, że Tow. utrzymać się może, nie tyle materyalnej, jak literackiej pomocy z Ks. Poznańskiego, Królestwa i Galicyi potrzebuje. Obrót kasowy wynosił w dochodach 4122 marek (same wkładki członków 3645 mk. 50 fen.), w rozchodach 3.319 mk. 71 fen. (w tem wydawnictwa 2.152.72, biblioteka 324·75, komorne i asekuracya 736 mk.) Biblioteka pomnaża się powoli darami członków i egzemplarzami zamiennymi. W r. ub. wydano *Rocznik* t. XVII, poświęcony wyłącznie klęsce krzyżackiej pod Grunwaldem, nra 9—12 *Zapisków*. Jedynie *Fontes* XIV dla trudności, zachodzącej pod względem przysposobienia materyału, którego część z Płocka zasięgnąć wypadło, wyjdzie w lipcu r. 1911. Na ogół żyjemy i pracujemy nie upadając na siłach ani na duchu — brzmi koniec listu ks. Kujota. Wielką byłoby ulgą, gdybyśmy się w wydatkach pozycyi na komorne mk. 709 pozbyć mogli. Lecz na kupno kamienicy dla zbiorów i biblioteki odważyć się nie możemy«.

Śląsk austryacki. *Polskie towarzystwo ludoznawcze* w Cieszynie nie raczyło pomimo czynionych zabiegów nadesłać swego sprawozdania.

Rok zaledwie istniejący *Beskid* zdołał zgromadzić 141 członków. Jak na początek, wcale pokaźna to cyfra. Dochody wykazały 416 kor., wydatki tylko 42 kor. Ponadto dzięki ofiarności d-ra Ratajskiego, adwokata w Raciborzu, uzyskało Tow. grunt pod schronisko w Ropiczce. Na razie urządzono tylko cztery wycieczki bardzo ożywione i liczne, w których brali udział Polacy ze Śląska austryackiego i pruskiego.

Walka o szkoły polskie w gminach najbardziej zagrożonych pod względem narodowym i konieczność utrzymania w takich miejscowo-

ściach szkół prywatnych, odwraca uwagę społeczeństwa naszego od szkolnictwa publicznego, które, zdane na łaskę politykujących władz niemieckich, podlega zazwyczaj wpływom wrogiej dla nas polityki szkolnej Niemców i renegatów śląskich ze szkodą oczywistą dla naszych interesów narodowych i kulturalnych. Szkodliwe wpływy niemiecko-renegackie na wychowanie publiczne młodzieży polskiej stara się osłabić przedewszystkiem *Polskie Towarzystwo Pedagogiczne*, liczące obecnie 483 członków (w tej liczbie 1 honorowego i 82 nadzwyczajnych). *P. T. P.* przedstawia bardzo poważną i silną organizacyę polskiego nauczycielstwa, która przy energicznem poparciu całego społeczeństwa powinnaby uwolnić szkolnictwo publiczne od niepożądanych wpływów obcych i zastosować je do potrzeb ludu polskiego. Z 506 nauczycieli i nauczycielek szkół polskich i utrakwistycznych na Śląsku, przeszło $^2/_3$ należy do *P. T. P.* W pracy nad polskiem wychowaniem publicznem Tow. osiąga wyniki znacznie mniejsze. Powodem tego są niekorzystne warunki, w jakich odbywa się sprawa. Stan i poziom wychowania publicznego w warunkach normalnych zależy od wykształcenia i pracy nauczycielstwa, od stosunku społeczeństwa do szkolnictwa publicznego i od kierownictwa władz szkolnych. Do tych trzech naturalnych czynników wychowawczych przyłącza się na Śląsku czynnik nienaturalny, bo pozbawiony charakteru wychowawczego, t. j. różni przeciwnicy narodowości polskiej. Stosunek społeczeństwa do szkolnictwa zależy przeważnie od pracy nauczycielstwa w szkole i od jego działalności oświatowej poza szkołą. W tym kierunku otwiera się szerokie pole działania »Kółkom pedagogicznym«, z których niejedno wykazuje pod tym względem piękne wyniki. Zarząd *P. T. P.* odbył 6 posiedzeń, wziął udział w konferencyi z nauczycielstwem czeskiem w konferencyi delegatów wszystkich organizacyi nauczycielskich śląskich, powołał do życia stałą komisyę do spraw prawno-służbowych, uzyskał subwencyę sejmową w kwocie 200 kor. rocznie na bibliotekę pedagogiczną Tow., wreszcie dostarczył materyału do publikacyi francuskiej o szkolnictwie polskiem. *Miesięcznik pedagogiczny* wychodził w 600 egz. pod redakcyą prof. Fr. Popiołka. Dochody Tow. wynosiły 444 kor., wydatki 307 kor.

* * *

Petersburg. *Związek polski lekarzy i przyrodników* rozpada się na pięć wydziałów: lekarski, przyrodniczy, farmaceutyczny, techniczny i odontologiczny. Liczba członków dosięgła poważnej wysokości — 430.

Posiedzeń odbyto: 4 lekarskich, 4 technicznych, 3 farmaceutyczne, 1 przyrodnicze, 5 ogólnych naukowych, t. j. razem 17. Streszczenia wykładów pomieszczono w *Przeglądzie lekarskim*. Z zamknięcia rachunkowego okazało się, że z końcem r. ub. było w kasie 2.167 rb., a w kasie Komitetu budowy szpitala polskiego w Petersburgu 5845 rb. 55. kop. Biblioteka liczy obecnie 568 tomów.

* * *

Z przeglądu naszego rzucają się w oczy własną siłą dwa fakty znamienne: jeden dodatni, drugi ujemny. Bo podczas gdy stowarzyszenia naukowe w Królestwie Polskiem wykazują działalność żywą, opartą o własne środki, towarzystwa galicyjskie istnieją w przeważnej części jedynie dzięki subwencyom. Ujemną stronę ostatnich stanowi też i to, że w znacznej mierze działają w nich jedni i ci sami ludzie, co jest objawem anormalnym. Gdzie niema równomiernego podziału pracy, tam musi się być przygotowanym na niedorozwój, zwalanie zaś całego ciężaru na barki jednostek wpływa nieodbicie niekorzystnie na wyniki usiłowań, choćby najintensywniejszych. Objaw dodatni widzimy w wzmagającym się stale rozwoju zrzeszeń naukowych w Król. Polskiem, którego owoce z roku na rok dają się zauważyć coraz piękniejsze i obfitsze, pomimo trudności, o jakich w Galicyi niema się pojęcia. Wobec tego możemy śmiało spoglądnąć w przyszłość i zakończyć nasze rozważania słowami hymnu prastarego: *Gaude mater Polonia!*...

Dr. Stanisław Zdziarski.

Druk ukończono 12 grudnia 1911 r.

DRUGI KONKURS „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“ NA ROCZNICĘ SKARGI.

Artykuł nasz o zbliżającej się rocznicy Skargi wywołał w kraju pewne sympatyczne odgłosy. Między innemi przysłał na nasze ręce ks. J. Nauwczyński, proboszcz w Wieliszewie, 500 rub. (1255 kor. w. a.) na cele tej rocznicy. Z tej kwoty przeznacza 455 kor. na pomnik Skargi w Krakowie. Jeżeli idea pomnika, dość żywa skądinąd i popularna w społeczeństwie, zacznie się realizować, pieniądze te doręczymy odnośnemu komitetowi.

Resztę kwoty, to jest 800 koron, przeznacza ofiarodawca na konkurs *Przeglądu Powszechnego,* na temat: »działalność społeczna Skargi«. W granice tematu wchodzi nie tylko organizacyjna praca Skargi w tworzeniu dzieł, jak *mons pietatis*, ale także działalność społeczna w szerszem znaczeniu, o ile cała działalność Skargi znaczyła ślady w życiu społecznem narodu. Tak pojęta rozprawa nie ma mieć charakteru historyczno-naukowego, ale raczej charakter publicystyczny. Nie wyłączne odtworzenie przeszłości jest jej celem, ale zbliżenie ducha Skargi do dni dzisiejszych, uplastycznienie pierwiastków rodzimych tego ducha, w tym zamiarze, aby wielka tradycya Skargi i wielki jego duch odżyły napowrót w narodzie. Nie cel więc teoretyczny ma być myślą przewodnią tej rozprawy, ale cel praktyczny, a jest nim ukazanie wielkiego rodzimego wzoru pracy narodowej i katolickiej i odrodzenie przezeń życia religijnego i narodowego.

Rozmiary pracy wynosić mają około pięciu arkuszy druku.

Termin nadsyłania prac kończy się z dniem 1 czerwca 1912 r.

Sąd konkursowy składają PP. Dr. Dr.: Józef Tretiak, Stanisław Krzyżanowski, Wiktor Czermak, Lucyan Rydel, ks. J. Pawelski T. J.

Redakcya *Przeglądu Powszechnego* zastrzega sobie prawo pierwszego druku nagrodzonej rozprawy, za co, prócz nagrody zapłaci autorowi zwykłe swoje honoraryum. Natomiast autor ma obowiązek po ukazaniu się pracy w *Przeglądzie Powszechnym* wydać ją swoim kosztem w osobnej broszurze.

Rękopisy zaopatrzone godłem, wraz z zamkniętą kopertą, temże godłem naznaczoną, w której mieścić się ma karta z nazwiskiem i dokładnym adresem autora, należy nadsyłać pod adresem: Redakcya *Przeglądu Powszechnego*, Kraków, ul. Kopernika 26.

Wszystkie pisma uprzejmie upraszamy o powtórzenie niniejszej odezwy.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

KONGRES MARYANSKI W PRZEMYŚLU.

Po latach ożywionego ruchu na polu społecznej akcyi katolickiej w kraju, nastąpiło kilka lat zastoju, jakby zniechęcenia, a nawet jak gdyby zaniku ufności we własne siły. W niejednym dziale praca rozwijała się pomyślnie, przybywały nawet nowe ogniska pracy, zniknął jednak ten ożywczy powiew, który górą ponad całością wysiłków przeciąga. Zasunął się w cień potężny, przewodni duch, który sam jeden prowadzi do zwycięstw.

W tym stanie rzeczy, zwołanie zjazdu katolickiego do Przemyśla było ryzykiem. Przed ideą takiego zjazdu stała do rozwiązania zagadka następująca: czy pod popiołami powszechnego zniechęcenia jest jeszcze iskier tyle, że dadzą się rozdmuchać w silny płomień, czy przeciwnie, będzie to wysiłek bezowocny? W drugim wypadku zjazd taki pogorszyłby położenie, powiększyłby bowiem a nawet może przepełniłby miarę zniechęcenia.

Z prasy codziennej już wiadomo, że stało się inaczej, że zjazdowi temu świeciła szczęśliwa gwiazda. Powodzenie zjazdu było tak wielkie, że przeszło wszelkie oczekiwania. Sam fakt, że sprawa zjazdu nie schodzi po dziś dzień z łamów prasy, że prasie radykalnej burzy wciąż krew i nie daje spokoju, świadczy wymownie o powodzeniu zjazdu.

To powodzenie stwierdzające, że inicyatywa zjazdu była bardzo szczęśliwym pomysłem, mieściło w sobie jeden bardzo doniosły moment.

Oto stało się naocznem, że skory duch dla sprawy katolic-

kiej w kraju bynajmniej nie osłabł, że jest wielu ludzi tej sprawie oddanych, dużo dla niej zapału i ognia. Wystarczył jeden znak, jedno zwołujące hasło, a zjawiają się wszyscy. To usposobienie obecne społeczeństwa godzi się zapamiętać i mieć jako wskazówkę na przyszłość przed oczyma.

I nie gardźmy tem usposobieniem, jako jednostronną skłonnością do świątecznych demonstracyi i słów! Choćby te słowa na kongresie nie miały innego znaczenia jak informujące znaczenie kursów społecznych, to już byłoby wiele. Zresztą można żądać słusznie, żeby po słowach przyszły czyny, nie godzi się jednak potępiać słów, bo bez uprzednich idei i słów tem bardziej nie będzie czynów.

Było jednak w Przemyślu coś więcej, niż słowa.

Dziś, gdy z przebiegu tych podniosłych chwil, jakie przeżyliśmy w Przemyślu, w ciszy i rozwadze zdajemy sobie sprawę, gdy streszczamy w duszy wielkie i potężne słowa, które tam popłynęły z ust naszych Biskupów i przewódców akcyi katolickiej, odnosimy — nie wrażenie, ale niezłomne przekonanie, że przez te dni wybrane wyraźnie Bóg mówił do nas, do naszych dusz, serc, sumienia, że On sam przez usta swoich zastępców wskazał nam stanowiska, które mamy zająć, stanowiska pracy z zaparciem i poświęceniem w duchu Bożym, oraz walki z rozkładem i bezbożnością — ale orężem Bożym.

Trzy nuty zadźwięczały najdonośniej w całym przebiegu Kongresu, unosząc się czystym a potężnym dźwiękiem ponad wszystkie inne tony brzmiące harmonijnie z piersi tej wielkiej rzeszy pod hasłem Maryi zebranej.

Pierwszą nutą, której brzmienie musiało dojść do ucha, to praca katolicko-społeczna w kraju.

Poprzednie kongresy nasze, bez żadnej wątpliwości poczucie k o n i e c z n o ś c i pracy społecznej wśród nas rozbudziły i dlatego nie były bezskuteczne.

Na dzisiejszy Kongres stawiły się zastępy ludzi duchownych i świeckich już pracujących — i zapracowanych na tem polu od szeregu lat, a stawili się nie tylko z wezwaniem do pracy i projektami takowej, ale z d o r o b k i e m p r a c o w i t o ś c i swojej.

Trzeba było iść na poszczególne sekcye, obradujące w niedzielę popołudniu i w poniedziałek od rana, aby się przekonać, że niwa nasza ojczysta jest już usilnie uprawianą w kierunku społecznym i religijnym.

Dyecezya przemyska wykazuje w grubem sprawozdaniu z działalności »Związku katolicko-społecznego« co się robi nieustannie po wsiach i miasteczkach dyecezyi łącznie z innemi obok rozwijającemi się stowarzyszeniami.

Sodalicye maryańskie wskazują przez usta referenta swego w prostych a jasnych faktach, iż nie tylko liczebnie wzrosły, lecz że gdzie tylko istnieją, tam wkładają swe siły w pracę społeczną, w kierunkach miłosierdzia, oświaty, religijnym i t. p.

Młode jeszcze a chętne, z łona lwowskiej Sodalicyi Panów zrodzone Towarzystwo imienia X. Piotra Skargi wykazało już piękny plan pracy oświatowej katolickiej po wsiach i miastach naszych — a urządzony przez Towarzystwo pawilon wydawnictw swych własnych i innych wydawnictw katolickich, był jawnym dowodem, z jaką energią, przedsiębiorczością i umiejętnością to Towarzystwo służy sprawie katolickiej w kraju, oddając już rzetelne usługi Kościołowi w Polsce na polu zdrowej oświaty ludu. Zasługuje ono na czynne poparcie nie tylko wszystkich Sodalicyi ale tych, co chcą przyłożyć rękę do odrodzenia naszego duchowego.

Praca Związku Niewiast katolickich wykazuje zespół najwybitniejszych sił niewieścich, skupiających swą energię i poświęcenie na niwie społecznej.

Praca skuteczna opieki nad sługami, Kółka Ziemianek coraz liczniejsze, wykazują, że nasze niewiasty w miastach i po wsiach przyłożyły już rękę do czynu.

Związek katolickich uczniów rzemieślniczych w Krakowie i dyecezyi krakowskiej i we Lwowie, kroczący wciąż naprzód i powoli rozszerzający swą działalność i w mniejszych miasteczkach, stwierdza fakt niesłychanej doniosłości, że ci najbardziej do niedawna zapomniani z młodzieży naszej — już dziś mają opiekę, poparcie i widoki przyszłości pomyślniejszej.

Nie piszę tu ścisłego sprawozdania, tylko rzut oka daję na

ten dział żywotności katolickiej w kraju naszym, która się wzmaga Bogu dzięki. Co było rzeczywiście pięknem w tym dziale, to brak chełpliwości — pychy, zadowolenia ze siebie i gotowości spoczęcia już na gotowych laurach — przeciwnie, w odnośnych referatach, dyskusyach, postulatach wszędzie dźwięczała nuta zdrowa, domagająca się ulepszenia i wskazująca braki w dziełach istniejących; rezolucye nie wskazywały by nowe dzieła tworzyć, jak raczej te co są udoskonalać, rozwijać na gruncie rdzennie katolickim, z nakładem czasu, sił i poświęceń.

Kto sobie zdawał sprawę z całokształtu prac katolickich w kraju, przyznać musi, iż pod jednym osobliwie względem postąpiliśmy t. j. w łączności na polu pracy. Wiele bowiem stowarzyszeń, jak widać ze sprawozdań, zamiast po naszemu — ignorować się, boczyć i wykluczać, podają sobie ręce i wspólnemi siłami przeprowadzają zadania doniosłe. Na ten punkt ogromny trzeba kłaść nacisk, bo w tem tkwi dzielny środek poprawczy naszej wady narodowej, który doprowadzi do wielkiego zwycięstwa nad naszem ja, tylko z dobrem sprawy.

Poważni mowcy poruszyli niesłychanie doniosłą prawdę, tyczącą się naszych prac i pracowników, zaznaczając (jak nigdy dotąd) konieczność wyrobienia i wartości moralnej tych, co pracują, aby dzieła przez nich poruszone istotnie skutecznemi i trwałemi być mogły.

Można więc ufać, że Kongres przemyski nowe siły wzbudzi, nowych pracowników zastępy wzmoże i umiejętność pracy pogłębi.

Drugi ton rozbrzmiewał silnie w Kongresie, silniej niż kiedykolwiek dotychczas, ton bojowy — t. j. koniecznej obrony czynnej skarbów duszy narodu, a więc wiary, czystości, bogobojności w rodzinie, w dziecku, u robotnika i u włościanina.

W tym przecież celu był zwołany obecny Kongres, jak to na wstępie zaznaczył Naj. Ks. Biskup Pelczar, by otworzyły się oczy katolickiego społeczeństwa na bezkarnie dotychczas grasujące niebezpieczeństwa i usiłowania pozbawienia nas tego, co najdroższe i najświętsze.

Wszystko w tym Kongresie opatrznościowo zmierzało do tego, by się oczy ogółowi otwarły, by poznał wrogów, i obmyślał

środki zwalczania takowych. Najwybitniejsi mowcy duchowni i świeccy dobitnie wskazywali nie tylko zakusy nieprzyjacielskie, lecz nadto udowodnili jasno, do jakich rozmiarów już dziś dochodzi w duszy narodu rozkład i upadek wszystkiego, co wielkie i piękne.

Punktem kulminacyjnym w tej mierze był odczyt hr. Stanisława Tarnowskiego. Z właściwą sobie znajomością psychologiczną duszy spółczesnej przedstawił ten szermierz niestrudzony i nieustraszony wyznawca wiary, grozę obecnych prądów bezkarnie godzących w wiarę i czystość ducha, serca i życia społeczeństwa naszego, ująwszy swe głębokie myśli w dylemat niezawodnie streszczające stan obecny: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i niech będzie Jezus Chrystus wyrzucony, poniżony i zapoznany«. Słuchano go też ze zrozumieniem i skupieniem, a rezolucye znakomitego mowcy, tchnące logiką i prostotą chrześcijańską, jednogłośnie przyjęto.

Jakie trucizny podaje dzisiejsza literatura nasycona duchem dekadentyzmu, określał referat p. Jeske-Choińskiego.

Do jakiego zaś stopnia rozpanoszył się u nas jad pornografii, jak zabija młodzież, jak coraz śmielej zatruwa społeczeństwo; co czynić, by z nią do jawnej a skutecznej walki stanąć, znakomicie wypowiedział prefekt Sodalicyi Panów lwowskich, szambelan Adam Konopka. Niepodobna pominąć referatu dyrektora gimnazyum Krotoskiego; wykazał on rzeczowo a zwięźle braki obecnej szkoły i sposoby zaradzenia takowym.

Dały się również słyszeć podczas obrad sekcyjnych głosy czyste i dzielne z łona naszej młodzieży, z których wnioskować można, że mamy już i pośród nich bojowników świętej sprawy. Niestety jednak stwierdzić musieliśmy, że prócz członków Sodalicyi i pracowników w Tow. Piotra Skargi, inteligentna nasza młodzież prawie zupełnie usunęła się od udziału w tem wielkiem zebraniu całej katolickiej Polski. Czem to wytłumaczyć? Odpowiedź na to bardzo smutna: Sprawy, dla których Kongres był zwołany, ogółu młodzieży naszej nie zajmują! Ona nic z niemi wspólnego nie ma — to wszystko jest poza sferą ich życia — a więc wiara i jej sprawy, praca społeczno-katolicka

i względem niej zobowiązania, niebezpieczeństwa i wrogowie duszy narodu...

Tak jest niestety.

Inne kraje, w których rozkład daleko głębiej już sięga, mają zastępy tysiączne zorganizowane młodzieży katolickiej; my niestety tego nie wykażemy.

Jeden z mowców na sekcyi Solidacyi Maryańskich postawił ten bolesny fakt przed oczy setkom Solidacyi obojga płci i wołał do czynu!

Czas dla nas ostatni, byśmy praktycznie do uregulowania tej kwestyi palącej przystąpili i wszyscy starsi, mający wiarę i miłujący kraj, ponad wszystko pracę i usiłowania skierowali ku ocaleniu młodzieży naszej.

Tu same Solidacye nie są wystarczające, trzeba przygotowywać młodzież do obecnych obowiązków rodzinnych przez wychowanie i przykład, trzeba nadto osobliwie pracy profesorów na uniwersytetach naszych, by, nachylając się ku młodzieży dobrej woli, a takiej u nas niemało, pomagali im tworzyć zastępy zorganizowane i jawnie katolickie, któreby podjęły akcyę obronną najświętszych ideałów wśród swych rówieśników.

Kongres zbliżał się ku końcowi, wszystko, co żyło przepełniło halę, śpiesząc na ostatnie plenarne posiedzenie.

Najprzew. Ks. Biskup Wałęga miał je zamknąć swem słowem. I mówił ten Biskup, a mówił jak prawdziwy ów pasterz ewangeliczny »który zna swoje«.

Odkrywał ranę po ranie naszego społeczeństwa, kładł na nią palec — nie po to, by drażnić, ale na to, by opatrzyć i leczyć. Nieubłaganą logiką udowadniał swe twierdzenia. Miało się uczucie słuchając Go, że nie mówi, lecz patrzy głęboko, myśli nad tem, co ujrzał i odsłania to, czem przeważnie błądzimy.

Ostateczny sens tej iście biskupiej, tchnącej Duchem Bożym mowy, był ten: że czas a to dziś »z pieśni przejść do czynu« — a nie tylko w ogólnem słowa znaczeniu, lecz każdy ma zacząć od siebie. Działanie zaś oprzeć należy na życiu w łasce i miłości

Bożej — czerpiąc doń siłę w modlitwie, t. j. w przestawaniu z Bogiem.

Sądzę, że to był moment najpoważniej i najdonośniej brzmiący w całym Kongresie, że wstrząsnął i dotarł do głębi dusz słuchaczy, nie tylko wywołując poklaski, ale uczucie prawd wypowiadanych z powagą posłannika Bożego. Ten moment musi wzbudzić czyny, leczące nas z ran, czyny trwałej budowy podwalin życia prawdziwie, głęboko katolickiego.

Ciśnie mi się pod pióro jeszcze jedno słowo, które za głęboko wyryło mi się w duszy, bym je miał pogrzebać w milczeniu.

Na żadnym Kongresie, który miał miejsce w kraju naszym, tak bardzo wyraźnie nie kładziono nacisku z ambony i z mownicy w sali na doniosłość i konieczność życia n a d p r z y r o d z o n e g o, a to w każdym z osobna i we wszystkich, co się uważają za katolików. Stawiano je w y r a ź n i e jako warunek konieczny do rozwoju trwałego wszelkiej akcyi społecznej, wskazując tłumom słuchaczy wszelkiego wieku i stanu p o k a r m t e g o ż y c i a i zarazem źródło tego rodzaju w c z ę s t e j, c h o ć b y c o d z i e n n e j K o m u n i i. *Digitus Dei est hic.*

I to była trzecia nuta, nuta o czysto religijnym dźwięku!

Żeby moc tego dźwięku usłyszeć, trzeba było być obecnym w noc sobotnią w oświeconej rzęsiście katedrze.

Na wielki ołtarz wstąpił w blaskach swego wyniszczenia Pan Jezus, a ogromną świątynię wypełniło morze głów ludzkich, pochylonych w szczerej i kornej modlitwie.

Nikogo tu z kongresistów nie brakło — wszyscy się zbiegli, by wielką, publiczną adoracyą Najśw. Sakramentu cześć mu oddać, związek swej duszy z nim utrwalić lub odnowić.

Nie tylko we wszystkich konfesyonałach zasiedli kapłani, ale wszędzie, gdzie tylko spojrzałeś, widziałeś spowiednika, otoczonego tłumem wiernych.

Wielki to był widok.

W niedzielę wszystkie te rzesze z rąk trzech Biskupów brały Chleb żywy, na nowe życie, nowe siły do pracy i na męstwo do walki o świętą sprawę.

Po wspólnej Komunii św. wszedł na mownicę Ks. Arcy-

biskup Bilczewski i z właściwem sobie namaszczeniem i prostotą iście apostolską mówił, jak Marya prowadzi nas do Jezusa nie tylko po zgonie — ale w życiu, do Jezusa, Syna swego tu dla nas żyjącego w Najświętszym Sakramencie Ołtarza.

Po sumie pontyfikalnej przemawiał Ks. Arcybiskup Teodorowicz, a tłumy zwarte, nieprzesycone, w najgłębszej ciszy i skupieniu brały w swe dusze słowa ewangeliczne, płynące z natchnionych ust Arcypasterza. Po skończonem kazaniu książęta Kościoła otoczyli cudowną statuę Matki Boskiej, umieszczoną na bogatym tronie, który po kolei unosiły wszystkie stany wśród brzmienia dzwonów, blasków słońca i śpiewu litanii, w uroczystym pochodzie do kościoła Serca Jezusowego. Procesya ta była jakby obrazem wyjętym z dziejów panowania Maryi na ziemi. Marya na ratunek nasz zstępuje i wiedzie wiernych przez wieki, walki i burze, prowadząc tu na ziemi do Kościoła Syna swego, by stamtąd zawieść zwycięskie zastępy aż do Nieba, do oglądania chwały Syna. Marya idzie, a za nią wpatrzone w blaski tej gwiazdy zarannej, idą i idą wszystkie stany wołając: »Módl się za zami«, abyśmy szli — doszli i spoczęli.

W kościele Serca Jezusowego wystawienie Najśw. Sakramentu a potem ogniste słowa Ks. Biskupa Bandurskiego o znaczeniu poświęcenia się Sercu Jezusowemu.

Jak brzmiała przez cały Kongres, tak odezwała się wspaniale na samym końcu ta nuta religijna, nuta szczerego podniesienia serc ku Bogu.

W poniedziałek po plenarnem i końcowem posiedzeniu wszyscy uczestnicy na wezwanie Dostojnego Gospodarza Kongresu przepełnili katedrę, a gdy przed Wielkim Ołtarzem ustawili się w złocistych kapach Arcypasterze, zajaśniał w blaskach Monstrancyi Najśw. Sakrament i zabrzmiał olbrzymi tłum pieśnią: *Te Deum laudamus, Te Dominum confitemur.* Ciebie Boga chwalimy, Ciebie Panem być wyznajemy. Ciebie chwalić duszą, sercem, życiem, pracą i walką — to zadanie, które bierzemy z Kongresu.

Ks. St. Bratkowski.

JUBILEUSZ CHYROWSKIEGO ZAKŁADU.

Śliczną uroczystość obchodził konwikt chyrowski w dniach 16 i 17 września. Z okazyi dwudziestej piątej rocznicy otwarcia tego zakładu zjechali dawni jego wychowankowie, dzisiaj po całej Polsce i daleko poza jej granicami rozsypani, aby odświeżyć wspomnienia czasów szkolnych, zaczerpnąć nowej siły do zawodowej pracy, odnowić związki koleżeńskiej przyjaźni a zarazem i przedewszystkiem złożyć hołd szkole, która ich wychowała i wykształciła, i wziąć udział we wspólnej radości.

W tych 25 latach zakład chyrowski rozrósł się i spotężniał, zaopatrzył się we wszystko, co potrzebne do gruntownego, z postępem wiedzy zgodnego udzielania nauki, rozwinął się pod każdym względem. Jak wzrosły drobne niegdyś drzewka, sadzone na pustem polu, a dzisiaj uroczystym szumem towarzyszące głosowi świątecznych dzwonów i poważnym modłom i śpiewom, tak z drobnych początków wzrósł zakład chyrowski na pierwszorzędną instytucyę wychowawczo-naukową i przerósł już może najśmielsze nadzieje swoich założycieli. Wzrosły też szeregi jego wychowanków, tych widomych owoców jego pracy, a zdrowe myśli w nich wpajane, żłobią sobie coraz szersze i głębsze koryto w pojęciach społeczeństwa naszego.

W czasie powstawania zakładu i w pierwszych jego latach nie brak było głosów zawistnych i niechętnych, nie brak było sceptycznej krytyki a najczęściej pojawiał się zarzut, że wychowanie chyrowskie nie da młodzieży podstawy polskiej, że dając

jej silny grunt katolicki, zaszczepi w nich indyreferentyzm narodowy.

Głosy te, dyktowane różnymi względami, musiały z czasem ucichnąć, gdy wychowańcy zakładu weszli w życie społeczne i poczęli w niem działać, jak ich w zakładzie nauczono. Sumienną i gorliwą pracę zakładu musieli uznać i ocenić wszyscy, którzy mogli przypatrzeć jej się dokładniej, ale musieli także uznać i ocenić wszyscy, którzy spotkali się gdziekolwiek z młodzieżą, z zakładu tego wychodzącą, pełną zapału i uwielbienia dla przeszłości narodu i wiary w jego przyszłość.

Dość było posłuchać natchnionych słów gospodarza zjazdu, J. E. Ks. Biskupa Pelczara, gorących przemówień rektora zakładu i jednego z profesorów, dalej nacechowanych szczerą wdzięcznością przemówień byłych i teraźniejszych wychowanków, aby przekonać się, jaki duch w zakładzie panuje i z niego się po ziemiach naszych rozchodzi, a także aby ocenić ścisłą duchową łączność między wychowawcami a wychowankami, łączność, jaką wytworzyć może tylko silna, niezachwiana podstawa wychowania, wspólna wiara i narodowość.

To też wszyscy, którym dane było uczestniczyć w pięknej jubileuszowej uroczystości, rozjechali się z Chyrowa z podniosłem uczuciem zadowolenia, że brali udział w szczerym, serdecznym, rodzinnym obchodzie.

A wywieźli stamtąd jeszcze jedno przekonanie. Mówi się u nas wiele o wzorowo urządzonych szkołach i zakładach wychowawczych u obcych. Przeciwstawia się tym zakładom różne niedostatki i braki naszych szkół, a nie ocenia się tego dobrego, co w trudnych a ciężkich warunkach u nas stworzono dzięki śmiałej inicyatywie i wytrwałej a rozumnej pracy. Zakład chyrowski spełnia dzisiaj i od dawna już zadania wzorowo urządzonego zakładu wychowawczego, dbając pod każdym względem o prawdziwe dobro swych wychowanków. Nie szczędzi żadnych trudów ani kosztów, aby nie tylko młodzież sobie powierzoną ustrzedz od złego, ale aby jej zapewnić wszelkie korzyści moralne, intellektualne i hygieniczne, a czyni to bez rozgłosu i próżnej chwalby. Za mało o nim i o jego urządzeniach wie się w kraju

naszym, za mało naśladuje się to wszystko, co z małym stosunkowo nakładem pracy i pieniędzy wszędzie zaprowadzićby się dało. Dla wielu jeszcze zakład założony i prowadzony przez Jezuitów wydaje się jakimś straszakiem. Wprawdzie coraz mniej tych głosów się odzywa, ale zawsze jeszcze zawiele.

Wychowankowie dawni zakładu chyrowskiego, zjechawszy się tam, nie poprzestali na udziale w uroczystości, ale zapragnęli stworzyć trwałą tego zjazdu pamiątkę. Ma nią być »Związek wychowanków chyrowskiego zakładu«, stowarzyszenie, mające na celu przedłużenie i rozszerzenie związków koleżeństwa i przyjaźni, zawartych na ławach szkolnych i w murach konwiktu. Pragną oni związki te przedłużyć i przenieść w późniejszy okres życia w postaci takiej, jaka warunkom tego życia odpowiada. A więc wzajemna pomoc w każdej niedoli i w każdem położeniu, a więc dbałość o młodszych kolegów, wychodzących w świat, a więc łączność między sobą i utrzymywanie stosunków.

Przyrzekają to sobie zwykle omal nie wszystkie zjazdy koleżeńskie, których tak wiele się odbywa; przyrzeka to sobie prawie każda klasa najwyższa, opuszczając szkołę średnią po egzaminie dojrzałości, a jak mało tych przyrzeczeń i uroczystych ślubowań doczekało się zisżczenia. Piękne przedsięwzięcia i gorące uczucia rozwiewa zimny powiew praktycznego życia i twarde warunki rzeczywistości.

Co do postanowień »Związku wychowanków chyrowskich« obawy tej nie mam. Gorące ich powitanie i serdeczne stosunki dają miarę gorących uczuć, ożywiających męskie ich piersi. Wytrwałości nauczyli się w chyrowskim zakładzie a gniazdo, które ich w świat wypuściło, niezawodnie samo starać się będzie, by piękną myśl wykołysać i wyhodować, aż zmieni się w czyn i wyda owoce.

Z przebrzmiałych dzisiaj uroczystych dźwięków jubileuszu pierwszego dumny może być zakład chyrowski, następne niewątpliwie zwiększą plony i zasługi.

Dr. Ludomił German.

† KARDYNAŁ PUZYNA.

Dostojny Zmarły nie wyciągnął na życie łatwego losu. Miał być symbolem idei katolickiej, pojętej ze strony twardego obowiązku, nie wchodzącego w żadne kompromisy.

Określenie to mówi wiele, bynajmniej jednak nie oddaje trudności warunków, jakie życie to otaczały. Znalazł się na pierwszym planie społeczeństwa, w samym środku rozgwaru ludzkiego, człowiek, który rozgwaru jak wroga unikał i czuł nieprzezwyciężony wstręt do rozgłosu. Miał działać w epoce intelektualizmu, wymagającej od dnia każdego tuzina nowych idei, On, który był człowiekiem jednej tylko idei, a raczej człowiekiem czynu. Miał działać w społeczeństwie, lubującem się w demonstracyach, w retorycznym efekcie, w artystycznych aspiracyach, w społeczeństwie uczuciowem, wrażliwem, naginającem się łatwo do każdej zmiany okoliczności, miał w tych warunkach działać człowiek, który to wszystko poczytywałby u siebie za słabość i blichtr, a zwalczanie tej słabości w społeczeństwie za obowiązek swego sumienia uważał.

Więc przyjść musiały starcia. Żelazny charakter i pełne poczucia odpowiedzialności sumienie nie pozwalały mu na ustępstwa. Brał życie przebojem, szedł w poprzek antypatyi, uprzedzeń i niechęci — szedł sam jeden.

Nie chwila po temu, aby wdawać się w szczegółowe roztrząsania czy stanowisko Zmarłego w sprawach publicznych było zawsze słuszne. Jako człowiek mógł się mylić; sam uznawał swoją pomyłkę, co do słynnego *veto* przy wyborze papieża. Co do innych spraw, to trzeba jeszcze pewnego oddalenia, ażeby sąd mógł

wypaść dokładnie. Już dziś pewne rzeczy przedstawiają się inaczej, niż przedstawiały się w chwili walki. Weźmy taką sprawę, jak projekt sprowadzenia zwłok Słowackiego na Wawel, sprawę, która około Kardynała rozpętała wprost burzę. Najpierw już wtenczas projekt ten nie był projektem ogółu, forsowały go głównie organizacye młodzieży i grupki artystów. Już wtenczas można się było spotkać niejednokrotnie ze zdaniem poważnych ludzi, i to z różnych obozów, opowiadających się za sprzeciwem Kardynała Dziś już zdanie jest dość ogólne, że sprzeciw ten był nawet obywatelską zasługą, z tego względu, że wstrzymawszy pierwszy poryw, zostawił czas do rozwagi; przed stworzeniem podobnego precedensu warto się dobrze zastanowić.

W tych wszystkich starciach, jedno wszystkim, nawet przeciwnikom, było widoczne, — że pobudki Księcia Kościoła były zawsze czyste. W poglądach na dobro publiczne różnił się od wielu, ale tylko to dobro, tak Ojczyzny jak Kościoła, miał zawsze na oku. Starcia wynikały zwykle z okazyi demonstracyi i obchodów. »Mniej obchodów a więcej pracy i to pracy od podstaw«, to było Jego hasło.

I drugi przymiot w tych starciach uderzał i wprawiał w podziw. Siła duszy i niezłomność! Zdecydowawszy się na jakiś krok, brał na siebie całą gorycz odpowiedzialności. Nie zasłaniał się nikim, przed nikim się nie usprawiedliwiał, — milczał i pozwalał walczyć wszystkim przeciw sobie. Temu, co uznał za dobre, nawet w drobnych rzeczach, pozostał wiernym aż do końca. Czuło się, że pierwej świat cały rozleci się w drzazgi, niż Jego postanowienie się zmieni. I tak było przez życie całe, w całym szeregu spraw i obowiązków dostojnego urzędu, w wielu rzeczach, o których ogół nie miał nawet pojęcia. Dopiero w tem oświetleniu rozumie się, że to była siła społeczna pierwszego rzędu, że ta siła musiała wyorać głęboki ślad swojem działaniem, tem bardziej cenna, że w Polsce, gdzie takich charakterów brak. Jeżeli czasem, wbrew najlepszym zamiarom, natężenie tej siły nie wychodziło na korzyść społeczną, to jest to zwykły bieg rzeczy ludzkich; z reguły wprzężoną była ta siła w jarzmo wielkiej idei i jej urzeczywistnianiu oddała się całkiem.

Jaką była ta idea?

Gdy spiż Zygmunta jął obwieszczać mieszkańcom Krakowa, że życie Biskupa zagasło, wszyscy tę ideę odczuli. Była wtedy chwila jakiejś dziwnie podniosłej ciszy w duszach ludzkich. Doczesne cienie rozwiały się, ziemskie rozterki i nieporozumienia, związane z tem życiem, poszły na moment w zapomnienie, a na pierwszy plan wysunęła się świadomość, że w tej chwili przed tron Boga, na rachunek z włodarstwa swego, idzie sługa wierny.

Bogu samemu i Bożym sprawom, bez najmniejszych zastrzeżeń, w całopaleniu zostało złożone to życie. O tem wiedziała Polska cała, o tem wiedziano i daleko poza granicami Polski. Najbardziej niechętni, najwięksi przeciwnicy Kardynała, na wieść o śmierci pochylili z hołdem czoło przed nieskazitelnością i dostojnością tego życia.

Oddawszy się sprawie świętej, oddał się jej cały, poświęcił jej wszystkie siły duszy i ciała, zapomniał o sobie zupełnie. »Bóg, Kościół, wiara święta«, to były jego najczęstsze i najulubieńsze wyrazy, to były gwiazdy przewodnie jego życia, dla nich tylko żył, pracował, cierpiał, poświęcał wszystko, czem był i co miał. W doczesne zabiegi nie pozwalał się zepchnąć. Nawet najszlachetniejsze z uczuć ludzkich, czynną miłość ojczyzny, z tą miłością sprawy Bożej nierozerwalnie zespolił. Powiedział sobie, że każdy powinien wytrwale uprawiać zagon powierzony sobie przez Boga, a całość sama się złoży — zwłaszcza ten zagon, z którego wykwita odrodzenie religijne i obyczajowe.

W tem pojmowaniu sprawy świętej i swego obowiązku panowała w nim przedziwna prostota poglądu, jakiś bezpośredni refleks wiary prostej i dziecięcej, idącej nie w kierunku rozumowań i uczuć, ale w kierunku czynu. To był przedewszystkiem człowiek czynu; oryentował się od razu w tem, co najbliższe i najważniejsze do zrobienia i od razu brał się do pracy, by to urzeczywistnić. Uderza to w dziełach jego zewnętrznych, jak restauracya katedry na Wawelu, budowa seminaryum, odzyskanie dóbr biskupich, zakładanie burs dla młodzieży, jak zainicyowane przez niego a tak doniosłe dzieło budowy kaplic w Galicyi wschodniej — ale uderza przedewszystkiem w pracy jego na duchowem polu. Sam siebie najpierw urobił na modłę zasad wiary, a potem z umysłem w stronę wieczności stale zwróconym, jął te zasady wszczepiać

w dusze, najpierw i najpilniej w powierzonem sobie duchowieństwie, następnie wśród społeczeństwa. »Katechizm« i »dobre życie«, oto znowu dwa ulubione wyrazy, w jakich krystalizowała się jego prosta i dziecięca, w stronę czynu zwrócona, wiara.

Mamy w ręku dokument, który doskonale tę stronę oświetla. Gdy przed kilku laty rozpisaliśmy w *Przeglądzie Powszechnym* ankietę na temat: »Jakie są dzisiejsze zadania katolicyzmu w Polsce«, udaliśmy się najpierw do ks. Kardynała z prośbą o współudział. Dał natychmiast na pytanie ankiety ustną odpowiedź i pozwolił ją spisać. Poddawał ją jeszcze kilkakrotnym poprawkom, przed samem jednak oddaniem do druku zawahał się. »Po mojej śmierci« — powiedział.

Ciekawy ten dokument, w pierwszej redakcyi, brzmi następująco:

»O sprawie, poruszonej w waszej ankiecie, z obowiązku stanowiska mego, myślałem nieraz. Trzy sprawy uważam za najważniejsze.

1) Dobre życie i wykształcenie duchowieństwa. Kładłem zawsze na to największy nacisk. Celem wykształcenia duchowieństwa starałem się, by zdolniejsi alumni jechali za granicę do wyższych uczelni. Jako przymiot duchowieństwa najważniejszy uważam miłość Bożą, żywą i czynną, zdolną do poświęceń i do ofiarności na cele publiczne.

2) Praca nad ludem. Wiem dobrze, że w ludzie naszym spoczywają ogromne skarby i sądzę, że wielką odpowiedzialność przed Bogiem ponoszą ci, którzy zaniedbują obowiązki swoje względem ludu. Jako obowiązek najważniejszy pracy katolickiej nad ludem uważam naukę katechizmu. Wiara naszego ludu jest gorąca, ale brak jej podstaw. Te podstawy daje tylko katechizm.

3) Praca katolicyzmu nad inteligencyą należy do najtrudniejszych spraw. Miasto dzisiejsze jest nieuchwytne. Jak wszędzie, tak i tu należy rozpocząć pracę od podstaw. Za jeden z rodzajów takiej pracy uważam zakładanie burs dla młodzieży, w któ rychby w młode dusze wszczepiano usilnie chrześcijańskie zasady życia. Ta młodzież dojdzie w wieku męskim do głosu i będzie umiała rządzić społeczeństwem.

Te trzy rzeczy uważam za najważniejsze«.

Wprost znamienną cechą tego dokumentu jest ogromna prostota w ujęciu sprawy i skierowanie jej całe w stronę czynu. W tym zaś czynie naczelnem zawsze hasłem jest praca od podstaw. Praca obowiązkowa, praca szarego dnia, cicha, nie tylko bez rozgłosu, ale i bez pretensyi do rychłego plonu; nie praca żniwa, ale praca orki i siejby. Owoców swej pracy oglądać nie pragnął, pracował nie dla siebie, ale dla przyszłości; niech następcy zbierają plony. Ten charakter pracy był dla niego probierzem wartości pracy, probierzem, który stosował do nowszych zjawisk. I dlatego, w ostatnim peryodzie życia akceptował i usilnie popierał katolicki ruch społeczny, że dojrzał w nim pracę od podstaw.

I nie tylko ufać ale pewność mieć można, że z tej cichej orki i siejby wynijdzie bogate żniwo. Już nie tylko szereg dokonanych dzieł, na które patrzymy, ale sama wybitność indywidualności, tak żywym duchem wiary owianej, jest najlepszą rękojmią. Praca tego człowieka kierowała się przedewszystkiem ku wzrostowi dusz; tam jej największy depozyt, najbogatsza zasługa i zapewne najobfitszy plon.

Niezwykłą była ta postać, niezwykłą zwłaszcza dziś. W dzisiejszych przesubtelnionych czasach sprawiał on wrażenie wielkiego odłamu granitu, rzuconego na stos muślinów i jedwabiu. Bez rozdźwięków i rozłamów w duszy, zwarty, jednolity, jakby ze spiżu wykuty, człowiek czynu, człowiek jednej idei, człowiek żelaznego hartu i żelaznej konsekwencyi, sprawiał wrażenie postaci przeniesionej w świat dzisiejszy z dawnych, zdrowszych i szczęśliwszych epok. Było w tej postaci tyle zdrowia duchowego, tyle prawdy, a zwłaszcza tyle oddania się swojej idei, że samem istnieniem swojem postać ta była żywą apologią tej idei.

Ks. J. Pawelski.

Z teki pośmiertnej Elizy Orzeszkowej.

ŻYCZENIA.

Na cóż się smucić, na cóż boleć na tym świecie mamy? Czyż wszystko wkrótce nie minie? Przechodzą lata, dni i miesiące, prowadzą za sobą nowe rozkosze, troski i cierpienia; jedni się cieszą, inni płaczą, a wszystko razem przemija. Myśli lecą szybkie i gonią przeszłość niepowróconą nigdy i zgadują przyszłość, skrytą w obłokach tajemnic. Czynności idą jedne za drugimi, wrażenia jedne ustępują drugim i czas ulata w bezdenny ocean przeszłości.

Szczęśliwy stokroć, kto w tem przelotnem istnieniu umie myślą wznieść się wysoko, umie spojrzeć ku niebu i przesłać do Stwórcy myśl, pełną wzniosłości ducha. Szczęśliwy, kto w swojem życiu dopełnił dobrego czynu, kto otarł z oka bliźniego łzę trosk i niedoli, komu w ostatniej godzinie przyjazna dłoń rękę uściśnie, na czyim grobie spadnie łza kochającego serca.

Chciałabym życie przejść z pracą i czynem, przez dni doczesne cieszyć się szczęściem sprawianem, a potem umrzeć w objęciu istoty kochanej, czytać w jej oczach najwyższą boleść rozstania.

Chciałabym potem, aby na pogrzebie moim nie było mnóstwa dam w piękne strojnych szaty, aby za trumną moją nie jaśniał milion świec jarzących, lecz aby mi do mogiły towarzyszył pierwszy: kapłan ze rzewnem błaganiem na ustach — drugi: przyjaciel ze łzą szczerego żalu w oku, a trzeci ten, komukolwiek uczyniłam dobrze, komu ulżyłam troski, komu włożyłam w usta słowa: »Bóg zapłać«! A gdyby z takich osób składał się ów orszak pogrzebowy, dusza moja radośnieby uleciała ku niebu, bo trzy modlitwy szłyby tam za nią: modlitwa wiary, westchnienie przyjaźni i cichy pacierz wdzięczności.

KATOLICY NIEMIECCY W DREŹNIE

W SPRAWIE NASZYCH ROBOTNIKÓW.

Bawiąc w piewszych dniach września b. r. w Monachium, mówiłem z prof. Lujo Brentano, światowej sławy ekonomistą, o sprawie naszego wychodźtwa sezonowego do Niemiec. Sędziwy uczony powiedział mi: »Macie jedyną broń, którą moglibyście odpowiedzieć na prześladowania rządu pruskiego, to niedopuszczenie $^1/_2$ mil. waszych robotników do Niemiec. Nasze rolnictwo i nasz przemysł bez waszych rąk roboczych obejść się nie mogą; to jedyny punkt, na którym wy jesteście silniejsi«. Odpowiedziałem mu na to, że jeszcze przed paru laty wzywałem w prasie (w *Nowej Reformie*, *Kuryerze Warszawskim* i t. d.) do zorganizowania podobnego bojkotu Prus, ale rzecz przeszła bez głębszego echa. Niektóre dzienniki sprawę przemilczały, bo nie była przez nie podniesiona, a nasi posłowie i mężowie stanu mieli tyle innych spraw na głowie, które poczytywali za ważniejsze, że zwłaszcza wobec obojętności ogólnej uświadomienie polskiego ludu roboczego, wyszukanie dla niego nowych miejsc zarobkowania i zatrudnienie części w domu przez stworzenie silnej organizacyi publicznych biur pośrednictwa pracy, wydać się musiało przedsięwzięciem zbyt trudnem i przerastającem nasze siły finansowe, przynajmniej te, które w interesie publicznym byłyby skłonne ponieść znaczniejszą ofiarę. Ponadto jak w wielu innych sprawach, tak i w tej bez solidarnego działania wszystkich, o które u nas tak trudno, wykonanie myśli mojej, której potwierdzenie usłyszałem z ust człowieka tak

znakomitego, nie byłoby zgoła możliwe. Wobec tego zaś nasi wychodźcy z Królestwa i Galicyi, nie znajdując dostatecznego utrzymania w domu, będą i nadal szli na roboty do Niemiec w nieprzejrzanych tłumach co roku i bodaj na czas najbliższy musimy pogodzić się z tym stanem rzeczy, tak bardzo naszą niemoc wykazującym i tak upokarzającym dla nas, boć przecie świadomie służymy największym naszym wrogom i to wcale nie dlatego, jakobyśmy wybaczyli im nasze krzywdy wiekowe, ale po prostu dlatego, że gdyby nie praca u nich, choćby większa część naszych »nadliczbowych« w domu umarłaby z głodu.

Wobec tego postanowiłem przynajmniej stworzyć dla tych ludzi opiekę prawną. Przedsięwzięcie tego rodzaju wykonane pod firmą polską, przedstawiało następujące trudności: naprzód mogło wypaść partyjnie, a w takim razie wobec naszych, niekończących się walk, zawiści i podejrzeń byłoby narażone na pociski tej strony, któraby do udziału zaproszoną nie była; międzypartyjnej instytucyi zaś, a więc złożonej z ludzi zwalczających się nawzajem na innych polach, groziłaby i podkopywała ją wzajemna nieufność członków zarządu. Przytem na każdą instytucyę polską rząd pruski patrzałby nieprzyjaźnie i czyhałby tylko na pozór, aby przypisać jej groźne dla państwa pruskiego tendencye i ją rozwiązać, działaczy zaś humanitarnych pociągać do odpowiedzialności karnej za »przygotowywanie powstania i niepodległego państwa polskiego«.

W tych warunkach udać się mogłem tylko do katolików niemieckich, pragnąc dziełu temu zapewnić trwałe podstawy, a przytem urządzić rzecz tak, żeby Polacy, uczestniczący w tem dziele, mieli przeważny udział w pracy i opiece. Szczęśliwy przypadek dopomógł do wykonania tej myśli. W zachodnim kąciku Niemiec, w Fryburgu Badeńskim, istnieje główna siedziba wielkiego towarzystwa dobroczynności »Caritasverband für das katholische Deutschland«, towarzystwa, które ma za sobą szereg lat pracy zasłużonej i spotykającej się wśród Niemców z największem uznaniem, a które na polu opieki dla młodocianych, dla kobiet, dla robotników włoskich w Niemczech tudzież wogóle we wszystkich dziedzinach miłosierdzia położyło już niepospolite zasługi. Zaproszony przed dwoma laty do współudziału w tej pracy od-

mówiłem, motywując odmowę tem, że towarzystwo tak wybitne ponosi pewnego rodzaju winę zaniedbania, nie troszcząc się nic o polskich robotników, których jest przynajmniej 8 razy więcej w Niemczech niż włoskich i oświadczyłem, że dopóty do towarzystwa należeć nie będę, póki ono pracy tej się nie podejmie. Upłynął rok przeszło. Bawiąc na kuracyi w Szwajcaryi w styczniu b. r., otrzymałem zaproszenie przyjazdu do Fryburga dla odbycia konferencyi z ks. Werthmannem, zasłużonym prezesem tego towarzystwa, które obecnie pragnie myśl moją wykonać. Przyjechałem i zadecydowaliśmy urządzić wielką konferencyę na temat zbadania losu robotników sezonowych, przybywających do Niemiec: Polaków, Rusinów, Czechów, Słoweńców, Niemców austryackich tudzież obmyślenia sposobów i środków usunięcia złego. W konferencyi ks. Lipski, ks. Helbich i ja mieliśmy referować o losie polskich robotników, ks. Hanyckyj z Nowego Bierunia o losie Rusinów, ks. Vonavka o Czechach i Słoweńcach, jeneralny sekretarz stowarzyszenia, Klieber o Włochach, którymi się towarzystwo tak wzorowo opiekuje; nadto redaktor dr. Mattern z Braunsbergu o Litwinach a jeneralny prezes, Edelhausen z Hallu w Tyrolu o Niemcach austryackich. W punkcie środkowym obrad stała atoli od początku sprawa polska, przedewszystkiem dlatego, że inne narodowości w stosunku do Polaków dostarczają znikająco małej liczby robotników. Ks. Werthmann wysłał zaproszenia do wszystkich polskich biskupów w Galicyi i Królestwie, prosząc o przysłanie delegatów na odbyć się mającą konferencyę w Dreźnie. Odniósł się również do biskupów niemieckich z prośbą o poparcie usiłowań stowarzyszenia i na wiecu katolickim w Moguncyi postawił wniosek, jednomyślnie przyjęty, — w którym nie omieszkał z godną uznania lojalnością i mnie, jako jednego z inicyatorów podpisać, — a domagający się opieki socyalnej dla cudzoziemców czasowo w Niemczech w rolnictwie, górnictwie i przemyśle pracujących.

Przedwstępne intensywne prace komitetu trwały kilka miesięcy. Wreszcie 25—28 września odbył się wspaniały wiec »Caritastag« w Dreźnie przy udziale króla i rodziny królewskiej, ks. biskupa Schäfera, licznych dygnitarzy dworskich i t. d. Całemu wiecowi przewodniczył ks. Werthmann, konferencyi w sprawie opieki

nad wychodźcami sezonowymi filantrop światowej sławy, założyciel i twórca Towarzystw św. Rafała w Niemczech, Austryi, Włoszech, Szwajcaryi i Stanach Zjednoczonych, Piotr Cahensly, który całe swoje życie poświęcił sprawie opieki nad wychodźcami a specyalnie dla polskich wychodźców położył wybitne zasługi, utrzymując od szeregu lat kosztem własnym księży polskich w Hamburgu i Bremie, człowiek nieposzlakowanej prawości, gorący katolik, pełen dotąd młodzieńczego zapału mimo siódmego krzyżyka, jaki dźwiga na swych barkach.

Ks. Werthmann, zagajając konferencyę nie wspomniał nic o przygotowawczej żmudnej pracy towarzystwa, natomiast obszernie rozwodził się nad moją książką o emigracyi, udziałem moim w konferencyach środkowo-europejskich towarzystw gospodarskich w Berlinie i Budapeszcie i nad moją inicyatywą przy dojściu do skutku konferencyi niniejszej. Ta daleko idąca lojalność, bezstronność i brak wszelkiej zawiści wywołały u obecnych Polaków smutne porównania ze stosunkami panującymi w Galicyi i Krakowie.

Następnie ks. W. zaznaczywszy, że Niemcy bez obcych robotników obejść się nie mogą, wspomniał, że konferencya postawiła sobie za cel omówienie stosunków społecznych i moralnego stanu rzeczy, panującego wśród robotników cudzoziemców, ich potrzeb religijnych i interesów gospodarczych. Po nim głos zabrał urzędnik niemieckiej »Feldarbeitercentrale« ze Stuttgartu, hr. Bniński, który w wymownych słowach przedstawił działalność tej potężnej instytucyi, powołanej do wydawania kart legitymacyjnych obcym robotnikom i zajmującej się również ich pośredniczeniem.

W latach 1908 na 1909 robotników obcych było w Niemczech północnych zatrudnionych:

w rolnictwie	335 824
w przemyśle	229 247
razem	565 071

W r. 1909 na 1910:

w rolnictwie	363 985
w przemyśle	242 232
razem	606 217

zaopatrzonych kartami legitymacyjnemi. Nie są tu więc liczeni robotnicy zagraniczni przebywający w Bawaryi, Wirtembergii, w Wielkiem Księstwie Badeńskiem i Wielkiem Księstwie Hesskiem, w tych bowiem państwach przymus legitymacyjny dotąd zaprowadzonym nie jest. Trzeba przytem i o tem pamiętać, że pewna część robotników zręcznie uchyla się przed przymusem legitymacyjnym. Z pomiędzy zaopatrzonych kartami legitymacyjnemi obcych robotników, było w Niemczech północnych Polaków z Galicyi w roku 1909/10 zatrudnionych

w rolnictwie	64 456
w przemyśle	15 239
razem	79 695

z zaboru rosyjskiego:

w rolnictwie	217 357
w przemyśle	15 652
razem	233 009

Ponadto Polaków obywateli państwa niemieckiego pracowało w okręgu przemysłowym reńsko-westfalskim przeszło 300.000, a mianowicie w okręgu düsseldorfskim 85.000, w Westfalii naliczono w r. 1906 229.697, dziś jest ich oczywiście więcej.

Wedle statystyki, zestawionej podług poszczególnych prowincyi i państw związkowych niemieckich, Polaków w Niemczech, posiadających karty legitymacyjne było w r. 1909

z zaboru austryackiego	84 360
z zaboru rosyjskiego	219 109
razem	303 469

a oprócz tego Rusinów z zaboru austryackiego 74.931.

P. hr. Bnińskim mnie udzielono głosu. Powiedziałem co następuje:

»W wielkiem dziele miłosierdzia, dokonywanem skądinąd tak wzorowo w Waszej ojczyznie, widoczną jest ogromna luka. Oto dla robotników obcych, przezwanych ptakami przelotnymi, którzy setkami tysięcy zbierają żniwa Wasze, którzy w kopalniach i fabrykach pracują na nowe miliardy dla was — niema ani do-

statecznej pieczy ze strony społeczeństwa, ani prawa ochronnego ze strony państwa. Podczas gdy Wielka Brytania stworzyła takie prawo dla chińskich kulisów w Singapore, a w Danii wysoce humanitarna ustawa z r. 1908 bierze polskich robotników w obronę przed wyzyskiem i nadużyciami — polityka antypolska Niemiec nie dopuściła dotąd do stworzenia analogicznego prawa w obronie moich rodaków.

Zaiste, trafnie mówi poeta: *Politisch Lied, ein garstig Lied!* Atoli mimo wszystko, wierzę głęboko, że niema tak jaskrawych przeciwieństw narodowościowych, któreby potrafiły powstrzymać nas od spełnienia najelementarniejszych obowiązków chrześcijanina. Wierzę, a wy, Panowie, z pewnością zdanie to podzielacie: *res sacra miser.* I dlategoto staję przed Wami, nie, aby pouczać Was, znacie bowiem stosunki Wasze lepiej ode mnie i nie po to także, aby zachęcić Was do czynu, bo niewątpliwie Panowie, czujecie głębiej, niż ja, co Wam należy przedsięwziąć w interesie honoru niemieckiego katolicyzmu, ale po to, aby odbyć z Wami wspólnie naradę nad kwestyą, jakbyście ten Wasz obowiązek honorowy jak najrychlej i z jak najlepszym skutkiem mogli wypełnić.

Setki tysięcy polskiego ludu roboczego przefrymarczane przez niesumiennych agentów i tak zwanych przodowników i włodarzy, za prowizyą dochodzącą od głowy do 20 i 33 marek [1], przybywają corocznie z Królestwa Polskiego i Galicyi do Niemiec. Ludzie ci opuściwszy strzechę rodzinną — rodzin nie wolno im przecie z sobą zabierać, chyba żeby żona także oddawała się pracy w polu — wchodzą w stosunki i urządzenia zupełnie im obce, młodzi bez dozoru rodziców korzystają z niezwykłej swobody, do której bynajmniej nie dojrzeli, z powodu nieznajomości języka niemieckiego nie mogą korzystać z opieki proboszcza czy nauczyciela w miejscu; dziewczęta narażone są na uwiedzenie ze strony parobków, czeladzi, włodarzy i urzędników dominialnych. Zapłatę otrzymują częstokroć nie od zarządu dóbr lub fabryki,

[1] Do 20 marek za robotników z Galicyi, do 33 marek za robotników z Królestwa Polskiego. Stwierdza to Stojentin na VI kongresie publicznych biur pośrednictwa pracy we Wrocławiu z 27—29 października 1910. Stenogr. sprawozd. str. 193.

lecz od agentów lub przodowników, i to w niższych kwotach! Nadwyżkę zatrzymują bezprawnie ci agenci, zwani we Włoszech *padrone*, od nich też cały system przyjmowania i wypłacania robotników za ich pośrednictwem otrzymał nazwę. Ponadto robotnicy obowiązani są zakupywać wszystkie potrzebne artykuły żywności w ich szynkowniach i sklepach i oczywiście je przepłacać (system *trucku*). Przodownicy i agenci nakłaniają ich poza tem do łamania kontraktów, wskutek czego robotnicy tracą prawo do wynagrodzenia kosztów podróży powrotnej, a agent zarabia prowizyę po raz drugi. W domu zaś, w stronach rodzinnych, pozostała żona z dziećmi przez 9 miesięcy przymiera głodem. Węzły małżeńskie rozluźniają się, wychowanie dzieci cierpi wskutek nieobecności ojca rodziny, a uprawą ojczystego zagonu zająć się muszą niedołężni starcy i dzieci [1].

Oto podłoże nędzy i krzywdy naszej, z którego wyrasta wspaniały kwiat Waszego bogactwa, Wasz wielki przemysł, potężne Wasze rolnictwo.

Wprost bezradnym jest robotnik nieumiejący po niemiecku wobec elastycznych warunków kontraktu roboczego. Jeżeli dozorca czy włodarz mniema, że robotnik chorobę udaje, albo jeżeli robotnika podczas pracy spotka pijanego, albo też jeżeli robotnik mimo ostrzeżenia nie pilnuje zaprowadzonego »porządku domowego«, wówczas nakłada się na niego za każde takie wykroczenie karę pieniężną, którą wytrąca mu się z zarobku. Niezależnie od tego pracodawca zastrzega sobie prawo natychmiastowego rozwiązania umowy. Jeżeli robotnik nie usłuchał służbowych zarządzeń swoich przełożonych, mimo dwukrotnego polecenia roboty mu wskazane niedokładnie wykonał lub dręczył zwierzęta pracodawcy — są to wszystko warunki dosłownie zaczerpnięte z kontraktów, a możność rozciągłej ich interpretacyi jest oczywistą — pracodawcy służy również prawo natychmiastowego zerwania kontraktu, wówczas zaś robotnik nie tylko traci koszta podróży powrotnej, które w razie prawidłowego trwania umowy byłby po-

[1] Podobny sąd wypowiada tajny radca prof. Stieda na wzmiankowanym kongresie wrocławskim. Por. Sten. spraw. str. 166.

niósł pracodawca, nie tylko płaci umowną grzywnę, ale nadto utworzoną z zatrzymanej w pierwszych tygodniach części płacy kaucyę, z której pracodawca pokrywa koszta poniesione na podróż robotnika do Niemiec i na faktora czy agenta. Niesumienny pracodawca, wspierany może jeszcze przez pomysłowych agentów, w ten sposób usuwa nieraz z łatwością robotników i przed upływem zakontraktowanego czasu, skoro ich tylko już nie potrzebuje.

Robotnika w pisemnym kontrakcie poucza się tylko o jego obowiązkach, o jego prawach niema tam ani słowa. W najnowszych formularzach umów pisemnych nastąpiła tylko ta zmiana, że powołany jest paragraf niemieckiego kodeksu cywilnego, w którym bez określenia konkretnych wypadków jest tylko ogólnie mowa o prawie rozwiązania umowy, gdy zachodzą »ważne przyczyny«. Jakie być mogą te ważne przyczyny, to już zostawia się w każdym poszczególnym wypadku swobodnemu uznaniu sędziego. Że wobec tego niema chyba mowy o jednolitej praktyce sądów i że tem więcej wśród robotników obcej narodowości, częstokroć nie umiejących nawet czytać we własnym języku a już z pewnością nieobeznanych z arkanami jurysprudencyi niemieckiej, panuje chaos w kwestyi zakresu praw, jakie im tu jeszcze pod pruskim rządem pozostały, to się chyba samo przez się rozumie. Jeżeli taki robotnik nie może już wytrzymać u Was z powodu czynnej zniewagi, poniewierania lub niemoralnych napaści ze strony personalu dominialnego, i porzuca nareszcie pracę, władza policyjna nie udzieli mu poświadczenia o prawidłowem rozwiązaniu poprzedniej umowy bez zgody dotychczasowego pracodawcy, robotnik więc nowego miejsca uzyskać nie może, dopóki landrat sprawy nie rozstrzygnie, a z tem oczywiście nie zanadto się on spieszy. W razie sporu robotnik już z tej przyczyny zawsze ponosi stratę dotkliwą, bo od chwili porzucenia pracy aż do ostatecznego rozstrzygnięcia przez landrata lub sąd, nie ma dachu nad głową, ani utrzymania (w Danii w toku procesu dany pracodawca musi go żywić i dać mieszkanie).

Czy mam mówić Panom jeszcze o niezwykle giętkich kontraktach akordowych np. w cegielniach, o zatrzymywaniu płac lub ich części mimo ustawowego zakazu, o bezprawnych wlicza-

niach w płacę świadczeń w naturze, o szkodliwych dla zdrowia halach pracy lub odpoczynku dla robotników w niektórych gałęziach Waszego przemysłu?

Wszystko to odnosi się wszakże nie tylko do obcych przybyszów, ale i do robotnika niemieckiego, więc w dzisiejszych ramach mówić o tem nie będę.

Prawa wyjątkowe, skierowane przeciwko tym armiom robotniczym, bez których udziału i pracy wspaniały rozwój ekonomiczny Niemiec nie byłby mógł być osiągnięty, usprawiedliwia się w opinii publicznej względami patryotyzmu.

Tak twierdzi p. Stojentin ze Szczecina, sekretarz generalny »Izby rolniczej pomorskiej, że »zakaz pobytu w Niemczech robotnika polskiego w czasie od 20 grudnia aż do 1 lutego następnego roku jest środkiem, który powitać trzeba z radością tak ze względu na interesy narodowe, jak i ogólno-ekonomiczne« [1]. Z drugiej jednak strony przyznaje, że ten krok »patryotyczny« jest z korzyścią wydatną dla junkrowskiej kieszeni, bo dzięki temu zarządzeniu rządu nie potrzeba w miesiącach zimowych utrzymywać zbytecznego robotnika i ponosić za niego ciężarów szkolnych, budowlanych i t. d. [2]. Zakaz pobytu jest oczywiście doskonałym interesem, a dzięki niemu robotnik polski staje się także pokorniejszym, bo obawiać się musi, że ilekrotnie upomni się o godne człowieka obchodzenie się, może być uznanym za »uciążliwego cudzoziemca« i odstawionym do granicy; dlaczegóżby więc nie okazać się wdzięcznym i w zamian nie sławić rządu broniącego kresów wschodnich przed najazdem polskim?!

Przedstawiciele przemysłu kopalnianego i hutniczego w Niemczech twierdzą wprawdzie [3], że w czasie od grudnia do lutego roboty jest szczególnie dużo i dlatego ów zakaz pobytu oddziaływa bardzo szkodliwie na górno-szląski przemysł górniczy, osadnictwa zaś Polaków obawiać się nie potrzeba, ponieważ intencya ich skierowaną jest jedynie na to, by jak najwięcej zaoszczędzić pieniędzy i następnie w stronach rodzinnych nabyć kawałek

[1] Sten. spr. j. w. str. 184.
[2] Jak wyżej str. 194.
[3] Jak wyżej str. 221.

gruntu. To zapatrywanie odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy a tę samą opinię wypowiadali również wytrawni rolnicy w Krajowem kolegium rolnem (Landesökonomie Kollegium). Jeżeli mimo to rząd pruski zakaz pobytu robotników polskich i nadal utrzymuje w mocy, to służy tem samem raczej interesom narodowym polskim, a nie swoim własnym, gdyż uniemożliwia w ten sposób asymilacyę przybyszów, dając im owszem możność utwierdzenia się w uczuciach narodowych przez poczucie własnej krzywdy i zetknięcie się w domu corocznie z ziomkami.

Przemysł niemiecki jest zdania, że nie ma żadnej korzyści z kart legitymacyjnych i że i »centrala dla robotników rolnych« żadnej mu korzyści nie przynosi [1], ale nad tą kwestyą nie chcę się tu rozwodzić; pomijam również jako zbyt małe mający szanse urzeczywistnienia postulat przyznania robotnikom rolnym cudzoziemcom prawa koalicyi, skoro rząd pruski tego prawa nawet własnym obywatelom robotnikom rolnym przyznać nie chce.

Natomiast wspomnę tu o innym projekcie, przeciw któremu nie dałoby się przytoczyć ani narodowo, ani gospodarczo zabarwionych wykrętów. Mam na myśli stworzenie na wzór inspektoratów przemysłowych inspektoratów także i dla robotników rolnych i to tak niemieckich, jak i obcych. Do zakresu działania takiego inspektoratu należałby dozór mieszkań robotniczych, ich odżywiania i warunków pracy, w razie zaś sporów czynność rozjemcza między pracodawcą a robotnikiem. Chociażby nawet pracodawcy, przyzwyczajeni do bezkarnego wyzyskiwania swych robotników, nie byli z powstania instytucyi takiej zadowoleni, to jednak sądzę, że ze stanowiska katolickiego żądaniu temu nic się nie da zarzucić.

Podobnie jak w kwestyi czasowego zakazu pobytu, tak i w kwestyi przepisów wyjątkowych odnośnie do praw o ubezpieczeniu społecznem odgrywa rozstrzygającą rolę nie używany jako parawan wzgląd pseudo-patryotyczny, ale najpospolitszy interes pieniężny. Ustawy te zmierzają do tego, by uszczuplić prawa najbiedniejszych, gdzie to tylko z powodu niedostatecznej obrony ze strony rządu austryackiego i rosyjskiego da się z zyskiem usku-

[1] Jak wyżej, str. 223.

tecznić. Jeżeli robotnik rolny, pochodzący z Galicyi lub Królestwa, w Niemczech wskutek nieszczęśliwego wypadku utraci życie, wtedy pozostała w domu rodzina nie ma prawa do renty. Do robotników przemysłowych i budowlanych, pochodzących z Austryi, przepisy te się nie stosują, są oni bowiem po większej części Niemcami, podczas gdy robotnicy rolni w przeważnej części składają się z Polaków.

Podobnie rzecz się ma, gdy robotnik rolny galicyjski lub z Królestwa Polskiego wskutek nieszczęśliwego wypadku utraci zdolność do pracy. Robotnik przemysłowy lub budowlany austryacki otrzymuje i w tym razie pełną rentę, należną mu z mocy prawa, a natomiast robotnik rolny z Królestwa Polskiego lub Galicyi poprzestać musi w tym wypadku na odprawie w wysokości potrójnej renty rocznej.

W jednym i drugim razie przytacza się wymówkę, że rodzina tego robotnika rolnego względnie robotnik sam nie miał »zwyczajnego swego miejsca pobytu« w Niemczech, ale zamilcza się o tem, że »zwyczajny ten pobyt« uniemożliwia sam rząd czasowym zakazem pobytu, jako też zakazem zabrania ze sobą rodziny. I jedni i drugie doznają więc szkody materyalnej ze strony rządu za to, że nie mogą spełnić warunków, których spełnienie sam rząd uniemożliwił.

Jest to chyba krzywdą wołającą o pomstę do nieba.

Wynikiem tych stosunków jest to, że losem wdów i sierót po ludziach zabitych, jako też losem robotników uniezdolnionych do pracy w służbie niemieckiego kapitału, zaopiekować się muszą gminy w Galicyi względnie w Królestwie Polskiem, z których pochodzą. Ludzi tych zatem uznaje się za godnych uiszczania opłat ubezpieczeniowych, ale gdy chodzi o to, aby dać im za nie to, co ustawa przyznaje nie tylko robotnikom niemieckim ale i cudzoziemcom, a to bez względu na prawa ubezpieczeniowe, istniejące w ich ojczyznie, wtedy łamie się w sposób rażący prawo i w dodatku usiłuje się usprawiedliwić ten postępek koniecznością zgniecenia polskiego żywiołu.

Mniej więcej to samo zachodzi przy ubezpieczeniu na wypadek niezdolności do pracy. Pracodawca opłacać musi za robot-

nika zagranicznego połowę wkładek, ale ubezpieczeni żadnej z tego nie mają korzyści.

Oto w krótkim zarysie obecny stan rzeczy. Dla jego uchylenia potrzebne jest prawo, które powinnoby:

a) dać robotnikowi możność dokładnego poznania warunków i treści kontraktu i w tym celu nałożyć obowiązek tłumaczenia umowy o pracę na język zrozumiały robotnikowi, wręczania mu książki robotniczej, ułożonej w dwóch językach oraz objaśniania każdego robotnika o znaczeniu i treści swego zobowiązania i to przed podpisaniem umowy;

b) zawierać zakaz i uznanie za nieważne wszelkich wypłat dokonywanych do rąk osoby trzeciej, a nie samego robotnika; dalej zakaz obowiązywania robotników, by w sklepach przodowników lub agentów zaopatrywali swoje potrzeby;

c) ustalić ze stanowiska wymogów higieny minimalne wymogi ustawowe, odnośnie do pożywienia i mieszkania robotnika;

d) uchylić zakaz zabierania z sobą rodzin przez robotników żonatych, jako wprost demoralizujący;

e) zakazać i karami sądowemi obłożyć nastręczanie, sprowadzanie i zatrudnianie jako robotników osób płci obojga poniżej lat 18;

f) zapewnić jak najszybsze rozstrzyganie wszystkich sporów, wynikających z kontraktu roboczego, tudzież zapewnić robotnikowi utrzymanie i mieszkanie aż do prawomocnego rozstrzygnienia jego sprawy;

g) przyznać robotnikowi prawo jednostronnego rozwiązania kontraktu roboczego w przypadku czynnej zniewagi, przeciwnego umowie uszczuplenia płacy, mieszkania lub żywności, tudzież nieobyczajnego zachowania się wobec niego pracodawcy, członków jego rodziny, domowników, urzędników lub sług;

h) uchylić różnice panujące między robotnikami zagranicznymi i niemieckimi co do ubezpieczenia w razie choroby, nieszczęśliwego wypadku i niezdolności do pracy; ustalić materyalne (nie tylko formalne, ograniczające się do wzajemności międzypaństwowej) równouprawnienie obu kategoryi robotników pracujących w służbie niemieckiego kapitału, a to bez brania pod uwagę praw obowiązujących w ich krajach ojczystych.

Ponadto dobroczynne towarzystwa katolickie, istniejące w tych wszystkich miejscowościach Niemiec, w których przebywają większe ilości zagranicznych robotników sezonowych, winny się za nimi ujmować w razie potrzeby, wypełnić to zadanie przez odpowiednie rozszerzenie statutów i przybranie urzędników pomocniczych, znających odnośny język i w ten sposób zapewnić robotnikom w potrzebie poradę prawną, pouczenie i pomoc — wszystko w zamian za uiszczenie drobnej wkładki lub dobrowolnej ofiary ze strony robotników.

Dla przeprowadzenia powyższych zadań należałoby rozdzielać między robotników w ich ojczyznie drukowane wykazy odnośnych już istniejących lub tworzących się dopiero w rozmaitych stronach Niemiec katolickich towarzystw dobroczynnych. Należałoby dalej, by duszpasterze wprost wskazywali im te towarzystwa, aby robotnicy w potrzebie zwracali się do nich z całem zaufaniem.

Sądzę, że powiedziałem dosyć. Fakta są aż nadto wymowne. One wyrażają także i to, co tłumię w sobie, mój ból, który jest także waszym bólem, moją ufność w pomoc Bożą i głębokie moje przekonanie, że Panowie i szlachetne niemieckie Centrum nie spoczniecie, aż ustaną te smutne stosunki, aż na zawsze znikną te obrazy z »najciemniejszych Niemiec«, a w ich miejscu także i w rządzących kołach zapanuje chrześcijańska *caritas*. Daj to, Boże!«.

Następnie zabrał głos ks. Lipski z Dessau, jako drugi referent. Treść jego wywodów była następująca:

»Polskich robotników sezonowych znaleźć można we wszystkich prowincyach polskich i we wszystkich państwach związkowych, nie wyłączając i najbardziej na zachód położonych. W Prusach, z wyjątkiem wschodnich prowincyi, mogą być oni używani jedynie przy pracy rolnej. Ze względu, że ci robotnicy po największej części są młodociani, że przebywają w Niemczech około 9 miesięcy, że dalej języka niemieckiego wcale nie znają a wreszcie nie udają się z powodu braku zaufania o opiekę w razie potrzeby do reprezentantów własnych rządów, prywatna zaś piecza wykonywana z zagranicy nie byłaby ani możliwą, ani skuteczną, pożądaną i konieczną jest organizacya religijno-karyta-

tywnej pieczy nad nimi ze strony katolików niemieckich przy współudziale Polaków, obywateli państwa niemieckiego.

Do bliższego rozpatrzenia się w tej sprawie niech służą następujące myśli przewodnie:

A. 1) Stała religijna piecza nad sezonowymi robotnikami należy do miejscowego, niemieckiego, świeckiego kleru. Piecza ta podlega kierownictwu biskupów, do których mamy najzupełniejsze zaufanie.

Prawdziwa miłość chrześcijańska i gorliwość około pieczy duchownej, dodały już siły niejednemu niemieckiemu kapłanowi przy zwalczaniu znacznych trudności, jakie pokonać muszą Niemcy ucząc się języka polskiego. Aby prędzej cel osiągnąć, udawali się oni bodaj na kilka tygodni na wschód do czysto polskich okolic.

W ten sposób uczyli się ci kapłani równocześnie poznawać lepiej i charakter ludu polskiego i jego obyczaje.

Za to obecnie cieszą się największem zaufaniem polskich sezonowych robotników. Ich konfesyonały oblężone są w każdą niedzielę.

2) Jeżeli piecza duchowna ma być skuteczną, to konieczną jest częstsza wymiana zdań i styczność między kapłanami kraju ojczystego, a miejsca zarobkowania wychodźców. Prawdziwe miłosierdzie zburzyć winno mur wzajemnych nieufności.

3) Często słyszy się użalania na niedostateczne uczęszczanie sezonowych robotników na niedzielne msze święte. Aby temu położyć tamę, urządzono osobne nabożeństwa dla Polaków. Odprawiano cichą mszę świętą z polskimi śpiewami, a gdzie to było rzeczą niemożliwą, tam czytano po sumie ewangelię, oraz krótkie kazania polskie i odprawiano nabożeństwo dodatkowe z błogosławieństwem po polsku. Doświadczenie nauczyło, że w ten sposób osiągnięto najlepsze rezultaty.

4) Niedzielne kazania polskie, niemożliwe dla braku księży, próbowano w wielu miejscowościach zastąpić w ten sposób, iż w poszczególnych koszarach dostarczano lektury religijnej treści; ksiądz zamawia wtedy na poczcie gazety niedzielne polskie, a ludzie chętnie płacą prenumeratę.

5) Dobrzy i sumienni włodarze, to sprawa pierwszorzędnego

znaczenia dla religijnego i moralnego życia robotników. Dużo możnaby osiągnąć w tym kierunku przez zgodne współdziałanie między klerem a pracodawcami. Gdzie to nie jest możliwem do osiągnięcia, tam musi duszpasterz mieć w każdych koszarach robotniczych swego męża zaufania. Wyszukanie i wskazanie ich należy do kapłanów ojczystych.

6) Brak kapłanów mówiących po polsku, spowodował kilku biskupów do starania się o religijne potrzeby Polaków w ten sposób, że sprowadzali misyonarzy wędrownych z pomiędzy polskich duchownych kleru świeckiego lub zakonnego. Ci odwiedzali wszystkie probostwa co lata raz do dwóch razów. W innych dyecezyach udziela się najchętniej potrzebnych upoważnień, jeżeli polscy księża w wolnym czasie sami się ofiarują dla sprawowania funkcyi religijnych na rzecz swoich ziomków. Pierwszy sposób praktykowania w dyecezyi Paderbornskiej i Hildesheimskiej zasługuje na pierwszeństwo przed drugim.

7) Bardzo ważnem dla pieczy dusz Polaków jest nawiedzanie mieszkań robotniczych przez miejscowy kler i misyonarzy. Polak odczuwa serdeczną potrzebę spotykania się ze swoimi duszpasterzami także i poza kościołem. W ten sposób wzrasta zaufanie u ludu i zwiększa się liczba spowiadających się. Sprawowanie duszpasterstwa bez wiedzy i aprobaty duchowieństwa miejscowego nie powinno mieć miejsca.

B. 1) Musimy pracować nad tem, aby handel ludźmi na wschodnich granicach Niemiec, uprawiany na wiosnę, ustał zupełnie.

Robotnicy powinni być werbowani przez nadzorców i przodowników, a nie przez biura i agentów, jak to obecnie się dzieje.

W interesie obu stron pożądania godnem jest przyjście do skutku kontraktu zawieranego bezpośrednio między pracodawcą i robotnikiem.

Niezakontraktowanemu już robotnikowi nie powinno być wolno przekraczać granicy.

2) Misya istniejąca na dworcach kolejowych winna być rozszerzoną także i na polskich przejeżdżających robotników.

Szczególnie potrzebną jest pomoc na stacyach granicznych

i to od 1 marca do 15 kwietnia a w jesieni na większych stacyach jak Halle, Magdeburg i Berlin dla powracających do domu.

3) Przyczyną niezadowolenia i łamania kontraktów ze strony sezonowych robotników są w większości wypadków niesumienni dozorcy, którzy wyzyskują i oszukują robotników. Z wdzięcznością należy przyznać, że niemieccy księża często zajmują się losem tych biednych uciśnionych. Ponieważ jednak ich pomoc nie może być wystarczającą a częstokroć i udzielenie jej jest niemożliwe, przeto należałoby przy stowarzyszeniu św. Rafała ustanowić większą liczbę sekretarzy dla spraw robotników sezonowych, względnie płatnych mężów zaufania. Ci zaś mogliby interweniować w wypadkach nieporozumień i krzywd i robotnikom być pomocnymi słowem i czynem.

Stanowczo zwalczać należy kantyniarzy i handel domokrążny po koszarach robotniczych.

4) Ze względu, że stosunki zdrowotne w niektórych koszarach robotniczych są okropne, jest rzeczą konieczną przeprowadzanie częstych rewizyi ze strony wyższych władz sanitarnych. Spowodowanie tego byłoby naprawdę pięknem dziełem miłosiedzia katolickiej prasy i zasłużonych posłów niemieckich«.

Po naszych dwóch referatach nastąpiła ożywiona dyskusya. Pierwszy zabrał głos baron Bussche Kessel, dyrektor potężnej »Feldarbeitercentrale«, mój wymowny oponent z kongresu peszteńskiego, z którego przebiegu w tem miejscu przed niespełna rokiem zdawałem sprawę [1]. Irytował się ostremi mojemi wycieczkami przeciw rządowi pruskiemu, przypisywaniem junkrom motywów interesu pieniężnego, usprawiedliwiał, jak mógł, ustawy wyjątkowe i wkońcu zapewniał, że nadużyć i niesprawiedliwości nie bierze w obronę i osłaniać nie będzie, owszem obiecał gorące współdziałanie w tępieniu nadużyć i udzielaniu sprawiedliwej opieki robotników, ilekroć o odnośnych faktach otrzyma wiadomość. Zapewnił też, że do dworów dopuszczających się nadużyć zabroni na przyszłość dostarczać robotników, oświadczył jednak, że nie uznaje potrzeby ani osobnej ustawy, ani działalności spo-

[1] *Przegl. Pow.* 1910, zeszyt z grudnia.

łecznej, dostatecznej bowiem opieki udziela już »Feldarbeitercentrale«.

W zgoła odmiennym duchu przemówił ks. biskup Schäfer. Ze słodyczą, szlachetnem współczuciem i wielką miłością mówił o Polakach, których wielkie przywiązanie do wiary katolickiej go buduje. »Dla tych ludzi, tak wierzących i tak wdzięcznych warto pracować«. Do tej pracy zachęcał też wszystkich Dostojny mowca, wyrażając w szczególności cześć ks. biskupowi Zdzitowieckiemu za jego wzorowe zarządzenia w kierunku dostarczania duchownej opieki polskim robotnikom sezonowym, a uznanie kapłanom przez niego do pracy misyjnej w Saksonii przeznaczonym.

Następną mówczynią była pani Bachmanowa, która w pięknem przemówieniu opowiadała o działalności stowarzyszenia kobiet, katoliczek berlińskich, opiekującego się naszemi dziewczętami i kobietami, o ich opuszczeniu i wdzięczności za opiekę. W tym samym duchu mówiła także pani Bontant-Klehe, prezesowa misyi dworcowej w Berlinie. Po kilku jeszcze mowcach, wśród których był także nasz poseł na Sejm Rzeszy, p. Brejski, redaktor *Wiarusa* w Bochum, zabrał głos raz jeszcze baron Busche-Kessel, aby uzupełnić pierwsze swe przemówienie w kilku punktach. Wreszcie przyszła kolej na nas jako referentów.

Podziękowawszy ks. biskupowi Schäferowi za jego gorące słowa a zacnej p. Bachmanowej za całą jej szlachetną działalność, rozprawić się musiałem z dyrektorem Centrali dla robotników rolnych. Zapewniłem go, że o jego osobistej dobrej woli jestem przekonany; to mi jednak nie wystarcza, bo choćby nawet stale zatrzymał kierownictwo Centrali, to i tak sam przyznaje, iż legitymując wszystkich robotników polskich przynajmniej do północnych Niemiec w liczbie przeszło 313.000, dostarczył jako pośrednik pracodawcom niemieckim wszystkiego ledwie 70.000 robotników różnych narodowości, a więc mniej niż $^1/_4$ część; choćby więc złych pracodawców chciał ukarać, odmawiając im na przyszłość pośrednictwa, to znajdą oni dosyć innych agentów, którzy się tej misyi dla nich podejmą. Powtóre żadna akcya ustawodawcza lub socyalna nie może być zaniechaną przez wzgląd na osoby choćby największe budzące zaufanie. Nie mam go za przeciwnika, jakkolwiek w Budapeszcie całe dwa dni obrad kongresu

wypełniliśmy naszą polemiką, raczej jestem przekonany, że w gruncie rzeczy chcemy tego samego i wobec tego apeluję do niego a przez niego do wszystkich pracodawców niemieckich, by składając tem dowód dobrej woli również przyłożyli rękę do zaproponowanej przezemnie akcyi ustawodawczej i społecznej. Przechodząc do szczegółów nie mogę brać na seryo jego twierdzenia, że ogólne wskazanie na § 626 kodeksu cywilnego, traktujący o »ważnych przyczynach« przedwczesnego rozwiązania umowy w formularzu umowy o pracę ma starczyć za objaśnienie robotnika o zakresie jego uprawnień wobec pracodawcy. Również nie wystarczy wskazówka, że wedle nowego prawa niemieckiego (Lohnbeschlagsgesetz) nie wolno potrącać z płacy roboczej żadnej kary umownej lub doznanej szkody, skoro do niedawna pracodawcy zastrzegali sobie to prawo wyraźnie w kontrakcie a i dziś niemal powszechnie je — acz wbrew ustawie — praktykują. A polscy robotnicy przecież nie znają ani § 626 kodeksu ani ustawy o zakazie potrącań i właśnie pracodawcy niemieccy i »centrale« starają się o to, by się o tych prawach robotnicy nie dowiedzieli — inaczej bowiem i w kartach legitymacyjnych i w umowach o pracę wydrukowaliby odnośne przepisy z odpowiednimi komentarzami i pouczali wszystkich o ich treści. Jeżeli p. baron Bussche-Kessel twierdzi, że czasowy zakaz pobytu Polaków przypisać należy wyłącznie tylko względom politycznym, to zapomina o doniosłych ekonomicznych korzyściach, jakie ten zakaz przysparza niemieckim wielkim rolnikom. Stąd łatwe podejrzenie, że te korzyści przy wydaniu owego zakazu odegrać musiały rolę decydującą, zwłaszcza skoro pusta frazeologia haseł pseudo-patrotycznych, pominąwszy nawet w danym wypadku ich mocno nadszargany grunt etyczny, jest tak bardzo widoczną. Chyba słusznem również jest moje żądanie, aby robotnik polski, który płaci wkładkę ubezpieczeniową otrzymał za nią wynagrodzenie w razie nieszczęśliwego wypadku w tej samej rozciągłości jak robotnik niemiecki, tudzież by jego wdowa i sieroty po nim mogli pobierać rentę w tej samej wysokości, co wdowa po robotniku niemieckim. Na to odpowiada się nam, że póki prawo ubezpieczeniowe w Austryi i Rosyi nie stanie na wyżynie niemieckiego, żądania moje nie mogą być brane pod rozwagę. Ale w takim razie proszę mi wytłumaczyć, jakiem

czołem bierze się od polskiego robotnika wkładkę ubezpieczeniową, nie dając mu w zamian tego, co mu się z prawa należy. Przecież to jest pospolite gwałcenie umowy i to dokonywane przez sam rząd! Powtóre dlaczego tej zasady nie trzyma się rząd pruski np. wobec niemiecko-austryackich robotników budowlanych, dlaczego ci ludzie względnie ich wdowy i sieroty po nich, otrzymują pełną rentę — a tylko Polacy i Rusini (bo szykana odnosi się do robotników rolnych wogóle) poprzestać muszą na rencie trzyletniej a ich wdowy i sieroty wychodzą zupełnie z kwitkiem? Przecież i dla Niemców i dla Słowian w Austryi jedne i te same istnieją ustawy o ubezpieczeniu społecznem.

Jeżeli pracodawca płaci za polskiego robotnika także wkładkę do funduszu ubezpieczenia na wypadek niezdolności do pracy *(Invaliditätsversicherung)* to oczywiście tę wkładkę uwzględnia przy kalkulacyi płacy roboczej czyli wlicza ją pośrednio w płacę. Stąd nie jest obojętnem dla robotnika, czy w zamian za tę wkładkę pracodawcy — choć sam od udziału we wkładkach jest wolny — otrzymuje jakąś korzyść lub też nie. Otóż faktem jest, że nie otrzymuje w tym wypadku ani feniga; za co więc pracodawca płaci? Pan baron powiada, że gdyby nie płacił, miałby premię za zatrudnianie cudzoziemców — a ja twierdzę, że nie tylko nie wolno go karać wyrządzaniem uszczerbku za postępowanie wobec braku własnych sił roboczych nieuchronne i nawet z najbardziej szowinistycznego, niemieckiego puktu widzenia zgoła nienaganne, ale nadto, że w wielu wypadkach pracodawca, nie płacąc tej niemoralnej zgoła wkładki, mógłby daną kwotę obrócić na polepszenie płacy, wiktu, mieszkania polskiego robotnika, co właśnie uniemożebnia pobieranie tej wkładki od pracodawcy. W ten sposób przyczynia się ostatecznie proletaryusz Polak do niesłusznego wzbogacenia zasobnego skarbu pruskiego, z którego pokrywać się musi ewentualny niedobór wszelkich funduszów ubezpieczeniowych.

Przemówił jeszcze doskonale ks. Lipski i nareszcie o ½6 wieczorem skończyła się dyskusya polska. Wśród ogólnego zmęczenia wygłaszali następnie swe referaty inni wymienieni już mowcy (ks. Helbich niestety nie przyjechał), poczem p. Cahensly podziękował referentom a ja p. Cahenslemu za przewodnictwo i ks. Werth-

mannowi za szlachetną gotowość ujęcia doniosłej tej sprawy w swoje ręce i zwołanie konferencyi.

Gdy obrady się skończyły, przyszło mi na myśl, że będzie zapewne tak, jak to stale bywa u nas. Rozchodzimy się, nagadawszy się do ochrypnięcia, a wszystko pozostaje po dawnemu. Ale łaska Boska widocznie czuwała nad sprawą najuboższych, tych najbliższych Jezusowemu sercu.

Znalazła się szlachetna pani polska, która przez cały dzień z największą uwagą przysłuchiwała się naszym obradom, hr. Przeździecka z Warszawy. I ona nazajutrz po konferencyi oświadczyła na poufnem zebraniu polskiem gotowość dostarczenia 5000 marek na założenie sekretaryatu robotniczego dla robotników Polaków. Sekretaryat ten powstanie w najbliższym czasie w środku Niemiec; obok kierownika biura będą zamianowani w każdym zakątku mężowie zaufania Polacy, którzy pełnić będą swe funkcye zupełnie bezinteresownie. Wydatki stanowić będą tylko portorya, koszta podróży i koszta zastępstwa prawnego. Gdy sekretaryat wejdzie w życie a robotnicy nasi przekonają się o jego pożytecznej działalności, sami dobrowolnemi ofiarami przyczynią się do jego utrzymania. Ale na początek potrzeba było znaczniejszej kwoty, aby od Niemców nie przyjmować ofiar pieniężnych, a w ludzie naprzód obudzić zaufanie, nim się od niego zażąda przyczynienia się do kosztów.

Fundusze potrzebne znalazły się w sposób prawdziwie opatrznościowy. Publiczna cześć i wdzięczność należy się tej przezacnej Polce, która czynem swoim, tak po prostu i skromnie spełnionym, umożliwiła rozpoczęcie wielkiego dzieła chrześcijańskiego miłosierdzia i która, wśród walk partyjnych, szarpiących dziś wszystkie dzielnice Polski, zrozumiała, niestety jedna z nielicznych, g d z i e nasz główny obowiązek i u k o g o najpilniejszy nasz dług do spłacenia.

Leopold Caro.

ODEZWA NA ROCZNICĘ SKARGI [1].

Trzysta lat dochodzi od śmierci Skargi. Głos jego zamilkł, ale echo tego głosu w każdem naszem narodowem nieszczęściu, w każdym nowym ucisku, w każdej nowej boleści odzywa się żalem, że się wszystkie jego przepowiednie sprawdziły, że się jego przestrogi na nic nie zdały, że ten głos wielkiej miłości Boga i Ojczyzny, wielkiej mądrości nie był na czas słuchanym i wziętym do serca.

Skarga to w najwznioślejszem polskiem słowie, najwznioślejszy polski duch i najmędrszy rachunek polskiego sumienia. Bóg daje takich ludzi; a ludzie nie chcąc ich rozumieć i słuchać nie chcąc, przez wieki potem żałują w goryczy serca i w zgryzocie.

My naprawdę zrozumieliśmy Skargę dopiero po spełnieniu się jego przepowiedni, po rozbiorach: ale też dziś wiemy, że on stoi w pierwszym rzędzie między tymi, co nam dobrze chcieli i dobrze radzili na chwałę Boga, na chwałę i dobro Polski.

---

[1] Odezwa niniejsza, pióra St. hr. Tarnowskiego, uchwaloną została przez Komitet obywatelski w Krakowie, na zebraniu wstępnem, dnia 6 listopada b. r. Analogiczną odezwę, pióra prof. J. Kallenbacha, wydał kilka tygodni temu Komitet obywatelski miasta Lwowa. *Redakcya.*

Czcimy jego postać, czcimy jego pamięć, chcemy uczcić tę trzechsetną rocznicę jego śmierci.

Dobrze robimy. Obchodziliśmy pamiątkę wiedeńskiego zwycięstwa, pamiątkę Trzeciego Maja, pamiątkę Grunwaldu. Należy się obchód i Skardze. Inny charakter tego obchodu. Królowie zwyciężali nieprzyjaciół. W ich pamiątce było jakieś uczucie radości, tryumfu. Skarga nie odniósł zwycięstwa nad nami, nad »temi chorobami, z których moglibyście się leczyć, byleście chcieli«. Jego rocznica wywołuje uczucia smutne, żałosne, że wszystko, co się na ziemiach polskich dzieje, daje nam czuć coraz żywiej prawdę jego słów, wyrzut polskiego sumienia za ubiegłe wieki i za własne dzisiejsze winy.

Niemniej dlatego, owszem dlatego tem więcej, powinniśmy obchodzić rocznicę śmierci Skargi. Powinniśmy oddać mu cześć, a zarazem w tę rocznicę, przy jego grobie, przyrzec jemu i sobie, że chcemy brać do serca i pamiętać jego nauki i leczyć się z tych chorób, które w sobie nosimy, jak nasi ojcowie, jego współcześni, z których jak oni, »leczyć się możemy bylebyśmy chcieli«.

Pamiętajmy, weźmy to do serca, że ten najwznioślejszy duch polski, duch miłości Ojczyzny, połączony jest nierozerwalnie i ściśle z duchem katolickim; że w tem połączeniu jeden i drugi przemawia do nas swoim najwyższym wyrazem. Uczy, przypomina, wbija w samą głębię serca, że te duchy rozdzielone nie są, że wierność katolickiemu Kościołowi jest dopiero doskonałością ducha polskiego, jego siłą żywotną, warunkiem i rękojmią jego przyszłości?

Związek ten rozrywają wszelkiemi siłami nieprzyjaciele obcy i swoi, liczniejsi i straszniejsi jak za życia Skargi.

Przyrzeczmy jemu, przyrzeczmy sobie, przyrzeczmy Bogu, że tego związku zerwać nie damy, że go będziemy bronić ze wszystkich sił, aż do ostatniego tchu życia.

W tych uczuciach obchodzimy trzechsetną rocznicę śmierci Skargi. Obchodzimy ją wszędzie na ziemi polskiej, gdzie tylko możemy, ale przedewszystkiem tu, w tem mieście, w tym Krakowie, gdzie z ambony głosił wzywanie do pokuty i kazania sej-

mowe. Wszędzie dobrze, wszędzie potrzebnie, ale w Krakowie koniecznie.

Dzień obchodu, 27 września, dzień śmierci Skargi. Szczegółowy program będzie ogłoszony, jak będzie ustanowionym. Na dziś tylko to ogólne zawiadomienie.

Komitet Obywatelski.

OD MOGIŁY TRYBUNA LUDU.

Gdy na sznurach spuszczono w grób trumnę księdza Stojałowskiego i za tym ostatnim widomym a znikającym śladem istnienia biegły oczy nielicznej tylko garstki zwolenników, narzuciło się gwałtem myśli pytanie: jestżeż to cały plon tego, tak zabiegliwego, pracowitego i burzliwego życia?

Był czas, gdzie tego człowieka tysiące ludu, jak tryumfatora nosiło po ulicach miasta, był także czas, gdzie milion ludu stało za nim w zwartym szeregu. Jego nazwisko było słowem, w którem streszczała się cała Polska ludowa, jej duch i jej istota, jej sztandar i jej programowe hasła.

Były chwile, gdzie na widnokręgach jego działalności powstawać zaczęła wielka budowla nowego uspołecznienia. Ale wkrótce przyszły chwile inne, chwile katastrofy, gdzie cała ta budowla legła w ruinie. Twórca ruchu ludowego i nieograniczony przez chwilę władca ludu, musiał patrzeć, jak w państwie przez niego stworzonem rządzą inni ludzie i inne prawa, on zaś sam, jak banita, wyzuty z władzy, uroku a nawet szacunku, błąkał się u granic tego państwa, jak pokutujące widmo.

Jakiś tragizm zawisł nad losami tego człowieka, jakaś nemezis rwała co chwilę każdy nowy wątek jego zamiarów i prac. Określić istotę tego tragizmu, to znaczy określić istotę tego życia.

Nie jest to dzisiaj łatwe zadanie. Kiedyś historya z pewnego już oddalenia od bieżących spraw i żyjących osób, z pełnym zwojem dokumentów w ręku, będzie mogła dokładnie rozdzielić cienie

i światła, krzyżujące się wpływy wewnętrznych tego człowieka usposobień i zewnętrznych nacisków i wydać dokładny wyrok, która szala przeważa. Ale i dziś da się pewien ogólny pogląd naszkicować. A pogląd ten tem bardziej odtworzyć warto, że wiąże się z nim kilka zagadnień, bardzo doniosłych dla chwili obecnej.

Pierwszą prawdą w tej sprawie, zbyt oczywistą, ażeby ją udowadniać trzeba, jest to, że ksiądz Stojałowski miał niewątpliwie wyższe posłannictwo do ludu polskiego. Miał ten lud obudzić do życia, wskazać mu ścieżki kultury i dobrobytu, uszlachetnić i podnieść go do rzędu współczynnika społecznego i narodowego i w ten sposób powiększyć energię narodową o miliony nowych pracowników. Posłannictwo to było złożone w ręce księdza a więc całą tę akcyę miał owiewać wysoki idealizm dążeń i zasad chrześcijańskich. Miała to być era ruchu chrześcijańsko-ludowego, lub ogólniej rzecz ujmując, ruchu chrześcijańsko-społecznego, era, którą stworzył w Niemczech Ketteler, w Austryi Lueger, a w całym świecie katolickim Leon XIII.

Gdy rozpoczynał pracę ksiądz Stojałowski, nie było jeszcze wzoru Luegera ani wskazań Leona XIII. I warunki pracy były u nas odmienne. Nie było u nas jeszcze wtedy kwestyi robotniczej, była tylko kwestya ludowa. A i ta właściwie nie była wtedy jeszcze kwestyą, kwestyę z niej zrobił dopiero ksiądz Stojałowski. Lud nasz to była drzemiąca od wieków masa, odłóg zachwaszczony nędzą i ciemnotą, wysunięty, nie ustawą ale siłą faktów, poza miedzę pracy i przynależności społecznej i płynących z niej praw i obowiązków.

Na te odłogi pierwszy ksiądz Stojałowski wytoczył pług. Stawał do tej pracy młody, z wielkim ideałem, z ognistym temperamentem, wyposażony, zdawałoby się, we wszystko, co do tej pracy potrzebnem być mogło, a więc obdarzony i bystrym umysłem, wyprzedzającym ewolucyę kwestyi ludowej o lat trzydzieści, obdarzony gorącem sercem, potężny w słowie i w agitacyi, zasobny zwłaszcza w niezmożoną energię. I w ujęciu i postawieniu kwestyi ludowej był szczęśliwy; nie było w tem ujęciu ani śladu pierwiastka stanowego, wyłącznej chłopomanii, tak znamiennej w historyi późniejszych ludowców. Jak dalekim był

w początkach od wszelkiej wyłączności i od chęci jątrzenia, świadczy fakt, że objeżdżał dwory obywatelskie, przekonywał je o potrzebie podobnej akcyi i starał się pozyskać ich poparcie. Na wydawanych przez siebie pisemkach ludowych *Wieniec* i *Pszczółka*, obok herbów Polski, Litwy i Rusi, zamieszczał stale hasło Krasińskiego: »Z polską szlachtą polski lud«. Z tą stroną społeczną kwestyi ludowej umiał połączyć harmonijnie stronę jej ekonomiczną, wszystko zaś oprzeć na podkładzie religijnym i narodowym.

Było od razu znać w tej pracy odpowiedniość jej do celu i dążność do urzeczywistnienia się w wynikach praktycznych. W pisemkach i w przemówieniach na wiecach ludowych, które pierwszy zainaugurował we wsi polskiej, miał śmiały reformator dźwięk tego tonu, który od razu łączył go z duszą ludu. Mówił i pisał tak, że nie tylko musiał być zrozumiany, ale musiał być słuchany chętnie; nie tylko budził uśpionych ale i zmuszał, żeby za nim szli. A przedewszystkiem czuć było w tej pracy, że to nie bawienie się ale czyn, że na wsi polskiej zaczyna się coś dziać, że wznosić się w niej zaczyna nowy społeczny gmach, w którym dola chłopska znaleźć ma schronienie i oparcie. Widomym znakiem tego była inicyatywa księdza Stojałowskiego w zakładaniu »Kółek rolniczych«, tych samych, które dziś tak ważną odgrywają rolę w kraju; podobnym widomym znakiem było późniejsze założenie »Związku chłopskiego« i wyborczych komitetów ludowych. Najbardziej zaś wpadającym w oczy objawem było rosnące z dniem każdym uświadomienie społeczne ludu i budzenie się w nim poczucia obywatelskiego.

Praca ta na wsi bynajmniej jednak nie była sielanką. Już samo wbijanie żelaznego pługa w oporny grunt skostniałego odłogu, jakim była dusza naszego chłopa, nie było zadaniem łatwem. Natrafić jednak trzeba było wkrótce w tej pracy na skalistą opokę, wobec której i żelazo kruszeje, a którą jedyna tylko siła usunąć mogła, siła cierpienia i męczeństwa.

Co było tą opoką wymieniać nie potrzeba. Chodziło tu przecież o tę samą zasadniczo sprawę ludową w Polsce, której bezskutecznie orędował wielki Skarga, co do której płonne śluby

składał Jan Kazimierz, której za późno z pomocą śpieszyć usiłowała Konstytucya 3 Maja. Nałóg wieków, i to nałóg społeczny, związany z kierowniczą rolą, nałóg taki, była to zbyt potężna siła, ażeby nie miała się oprzeć ruchowi, wprowadzającemu na widownię nowy czynnik społeczny, a tem samem w dalszem następstwie i pewną zmianę w dotychczasowym stanie politycznego posiadania. Jeżeli każda nowa idea, w kwestyach nawet najbardziej teoretycznych, musi przejść swoją próbę ogniową, cóż dopiero żywotne idee i ruchy społeczne?

Nic zatem dziwnego, że na całą tę akcyę zaczęto patrzeć z niepokojem, zaczęto dopatrywać się w niej wichrzycielstwa i sprowadzania ludu na bezdroża, do czego swoją drogą, nie sam rodzaj pracy, ale, jak zobaczymy zaraz, pewne strony charakteru i życia ks. Stojałowskiego zaczęły już wtedy dawać jakąś podstawę. Zaczęła się konfiskata pisemek, przychwytywanie ich na pocztach, zaczął się dla reformatora ciężki szereg lat, pełny udręczeń i prześladowań. Jak obliczono, był więziony 27 razy i łącznie przesiedział w więzieniu 9 lat. Najsmutniejszy okres przyszedł wtedy, gdy zaczęto mu w prasie stawiać zarzuty i wytaczać procesy, które zabijały go moralnie, tem więcej, że nie były bez powodu.

I tu czas spojrzeć na odwrotną stronę medalu. Jest to tem bardziej niezbędne, że, wobec walki, jaką rozpoczęła wówczas z księdzem Stojałowskim również i władza duchowna, utarło się przekonanie, akcentowane silnie niejednokrotnie, a zwłaszcza obecnie w nekrologach, że Konsystorze galicyjskie i Kurya watykańska dały się użyć za narzędzie władzom politycznym, że duchowieństwo wraz ze szlachtą odegrało w tym wypadku ponownie rolę gasicieli światła i postępu. Jest w takiem stawianiu kwestyi chęć i próba stworzenia galicyjskiego Galileusza.

Że władze polityczne instygowały władze duchowne do energicznego wystąpienia przeciw księdzu Stojałowskiemu, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ale były na tyle dyskretne i przezorne, że poddawały władzy duchownej powody ściśle kanoniczne, religijne i obyczajowe. I niestety, powody te były ściśle rzeczowe i bardzo poważne.

Nie piszemy wprawdzie nekrologu, któryby nas zobowiąży-

wał do dyskrecyi, zbyt jednak blizko jesteśmy mogiły, żeby nas dyskrecya nie miała wiązać. Pozostaniemy zatem w ogólnikach. Otóż, pierwszy krok władzy duchownej przeciw księdzu Stojałowskiemu, usunięcie go z probostwa w Kulikowie, miał poważne powody ściśle kanoniczne — jak to można stwierdzić w aktach — i był krokiem niezbędnym. Raz stwierdzona niekarność życia stworzyła precedens do nieufności Biskupów, której ksiądz Stojałowski, nie tylko, że nie usiłował złagodzić, ale nowemi wykroczeniami na różnych polach ustawicznie podsycał. Ten stan psychologiczny trzeba mieć na oku przy drugim kroku władzy kościelnej, to jest przy zakazie czytania pisemek księdza Stojałowskiego. W pisemkach tych zszedł ksiądz Stojałowski wkrótce z pierwotnej wyżyny. Ścigany, dręczony, nie ustępował na krok z pola pracy nad ludem, ale ustępował z zasad wytycznych tej pracy. Całą gorycz duszy i cały jad przeciw prześladującym go niesłusznie możnowładcom przelewał obecnie w swoje gazetki tem zacieklej, że była to jedyna broń, którą miał w ręku. Zaczął uprawiać na modłę socyalistów walkę klasową, zaczął wstrząsać prawo własności, zaczął wichrzyć i jątrzyć i przelewać w dusze ludu swój własny płomień nienawiści i buntu. Władza kościelna, milcząca wobec takiej akcyi księdza, wzięłaby na siebie ciężką odpowiedzialność. Zwłaszcza, że nie było widać kresu, na czem to wszystko się skończy, zwłaszcza, że była słuszna obawa, czy niepohamowany temperament wichrzyciela nie zaprowadzi ludu nie tylko do anarchii ale i do apostazyi? I jak na dobitek, jakby na potwierdzenie tych obaw, zaczyna ksiądz Stojałowski publikować zdania, już wprost z dogmatem katolickim sprzeczne. Wtedy dopiero spadła nań ekskomunika z Rzymu. I, niestety, po tej ekskomunice nastąpiła długa chwila niepewności, która, jak czarna chmura, zaciemniła cały widnokrąg wsi galicyjskiej... Czy za księdzem Stojałowskim i zaj ego hasłem »nie pójdziemy do Kanossy«, nie zechce pójść lud?

Skończyło się wszystko na pozór pomyślnie. I ksiądz Stojałowski poszedł do Kanossy i przywódcy galicyjskiej polityki, widząc, że prześladowanie zwiększa tylko pożar, podali prześladowanemu zgodną dłoń. Mówimy, że skończyło się na pozór po-

myślnie, bo skutki tej walki pokutują po dziś dzień. Pokutują w duszy ludu, który nasiąknąwszy niechęcią i nieufnością ku klasom przewodnim i ku duchowieństwu, długo jeszcze ten osad w sercu nosić będzie. Pokutują też skutki w naszej krajowej polityce, której równowaga moralna raz zawichrzona, dotąd nie może się ustalić.

W walce tej idea ludowa zwyciężyła; za stratowanym księdzem Stojałowskim lud przeszedł bramy dotychczas zamknięte. Przyszli potem następcy w przewództwie ludowem, którzy lud poprowadzili dalej, przyszło wkońcu ustawodawstwo, które na całe to dzieło położyło pieczęć trwałości. Ale zwycięstwo to przypłaciła ta idea wielkiem kalectwem. Przestała być ideą chrześcijańsko-ludową. W ogniu mściwej wojny opalił jej skrzydła Chrystusowe sam ksiądz Stojałowski, co później mało skutecznie udawało mu się naprawić, a kalectwo to powiększyli usuwający go na bok następcy, którzy zrazu o Chrystusie nie chcieli nic wiedzieć, a obecnie, ze względów oportunistycznych, Chrystusa tolerują. Właściwa era chrześcijańsko-ludowa jest obecnie dalszą od urzeczywistnienia się, niż była przed księdzem Stojałowskim.

Wina za to spada na krótkowidztwo i zaciekłość naszych sfer kierowniczych, ale i na usposobienie księdza Stojałowskiego. Posłannictwo wysokie, jakie miał, domagało się niezbędnie związku z doskonałością życia i charakteru. Gdyby była w nim ta dostojna sakra życia, nie byliby się ważyli jego przeciwnicy polityczni na pewne rodzaje walki, nie byłoby zatargu z władzą duchowną, nie byłoby w chwili walki odstępstwa od własnych zasad, nie byłoby w ostatnim peryodzie życia tego przerzucania się z jednego obozu politycznego do drugiego. Nie byłby go przedewszystkiem odstąpił lud do tego stopnia, że przy śmierci jedyny znak działalności, jaki mu pozostał, pisemko ludowe, innemu musiał zapisać stronnictwu.

Gdyby była w nim ta doskonałość, to przedewszystkiem opanowałby naczelną swoją namiętność, niesforny, autokratyczny indywidualizm, który niósł go przez życie, jak wicher niesie liść jesienny. Ten nie znoszący żadnych karbów indywidualizm wyprowadził go po 12 latach z zakonu, do którego młodzieńcem wstąpił,

i ten był właściwym tragizmem całego życia. Ten indywidualizm, nie znoszący żadnej przeszkody i żadnego przeciwieństwa sprawiał, że w braku innej broni, gotów był uderzyć o przeszkodę nie tylko własną piersią, ale i własnem dziełem, własnemi zasadami, byle na widowni pozostać. Indywidualizm ten rozbijał przedewszystkiem najwłaściwsze jego dzieło, pracę nad ludem. Praca taka stać mogła tylko organizacyą, indywidualizm zaś nie dawał mu się wtłoczyć na dłuższy czas w żadną organizacyę. Nie tylko, że nie był zdolny do dzielenia się władzą z kimkolwiek, ale nawet nie potrafił obok siebie kogokolwiek tolerować, lub z kimkolwiek współdziałać — wszystkich musiał mieć poniżej siebie. Więc w końcu pozostał sam.

Najtragiczniejszem było w nim to, że miał za cel życia budowanie społeczne a naturę miał destrukcyjnie antyspołeczną.

Wynik życia tego ten, że było ono obfitem źródłem ruchu ludowego i strumieniem odprowadzającym fale tego źródła, ale fale zaraz z początku zamulone, i po krótkim biegu wpadające do rzeki głównej. A mógł sam być rzeką główną, przepływającą przestworza ziemi polskiej, nad którą rozścielone wsie i kościółki wiecznie błogosławiłyby jego czynom.

Ale i zasługi źródła pozostaną w pamięci.

Ks. J. Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
† Kardynał Puzyna. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*
Z teki pośmiertnej Elizy Orzeszkowej. Życzenia.	6*
Katolicy niemieccy w Dreźnie w sprawie naszych robotników. Przez *d-ra Leopolda Caro*	7*
Z okazyi ostatniego utworu Deotymy. Przez *W. Czeczotta*	1
Walka przeciw alkoholowi w Irlandyi. Przez *ks. Ch. Schoonjansa T. J.*	20
Stannica. Obrazek. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską*	41 212
Falsyfikacye i prawo biogenetyczne Haeckla. (Dokończenie). Przez *ks. F. Chmurę T. J.*	55
Przeżycia estetyczne a moralność. (Dokończenie). Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.*	66
Odezwa na rocznicę Skargi	1*
Od mogiły trybuna ludu. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	4*
Nowa kobieta. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* .	139 361
Kwestya drożyzny. Przez *prof. d-ra Włodzimierza Czerkawskiego*	153 383
Nowe prądy w socyalizmie francuskim. (C. d.) Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	174 347
Z teki pośmiertnej Elizy Orzeszkowej	187
Harnack i Geffcken w kwestyi aktów męczeńskich. Przez *ks. Karola Ranoszka T. J.*	191
Na otwarcie wystawy sztuki kościelnej w Krakowie. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	281
W sprawie Unii katolickiej. Przez *ks. A. Starkera T. J.*	291
Idea ewolucyi w teologii katolickiej. Przez *ks. d-ra F. Gabryla*	301
Teorye budowy materyi w świetle najnowszych badań J. J. Thomsona. Przez *ks. F. Hartyńskiego T. J.*	323
Cztery ostatnie kazania Lutra. Przez *ks. H. Grisara T. J.*	335

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Elekcya Zygmunta I. Sprawy dynastyi Jagiellońskiej i unii polsko-litewskiej. L. Finkel. *(Ks. K. Konopka T. J.)* 83
Miłość w życiu Zygmunta Krasińskiego. Studyum biograficzne. Hoesick F. *(Antoni Mazanowski)* 85
Geneza religii w świetle nauki i filozofii. Ks. Idzi Radziszewski. *(Ks. Antoni Zawistowski)* 224
Walka o Chrystusa. Tadeusz Miciński. *(Ks. J. Urban T. J.)* . . . 400
Z życia poety romantycznego. Seweryn Goszczyński w Galicyi. Nieznane pamiętniki, utwory i listy z lat 1832—1843. Zygmunt Wasilewski. *(Dr. St. Zdziarski)* 405
Wstęp do ekonomii społecznej chrześcijańskiej. Henryk Romanowski. *(Dr. A. Bielecki)* 410

Z piśmiennictw obcych.

Pädagogische Grundfragen. Von Dr. Phil. et Theol. Fr. Krus S. J. *(H. W.)* 93
Ethik und Aesthetik. Von P Dr. Magnus Künzle O. M. Cap. *(Ks. L. Rudnicki T. J.)* 95
The yellov van by R. Whiteing. *(T. Wodzicka)* 97
The Necromancers by R. H. Benson. *(T. Wodzicka)* 101
Z belletrystyki francuskiej. *(T. Wodzicka)* 238
Études sur la théologie orthodoxe. D. Placide de Meester O. S. B. Die Genugtuung für die Sünde nach der Auffassung der russischen Orthodoxie. Alois Bukowski S. J. *(Ks. J. Urban T. J.)* 416
Novum Testamentum D. N. Jesu Christi. Graece e Codice vaticano latine e Vulgata. *(Ks. Wilhelm Michalski)* 418

Zapiski bibliograficzne.

Współczesna Polska w cyfrach i faktach. Grabiec J. *(C. K.)* . 103
Obwiniam prasę polską. Historya t. zw. rewolucyi okresu 1905—1907 r. A. Wolberg. *(Dr. A. B.)* 104
Wiedza i wiara. Ks. dr. Fr. Barda. Dawne i nowe badania Haeckla nad zagadnieniem o człowieku. Ks. E. Wasmann. O zwierzęcem pochodzeniu człowieka. Ks. dr. K. Wais. Poza Kościołem niema zbawienia. Ks. S. Wesołowski. Religia nowoczesna. *(J. U.)* 106
Nowe szkice literackie. S. Krzemiński. *(J. U.)* 107
Polska nieśmiertelna. G. Dauchot. *(Dr. A. B.)* 107
Wespazyan Kochowski na tle współczesnem jako poeta. Dr. S. Turowski. Samuel ze Skrzypny Twardowski i jego poezya na tle współczesnem. Tenże. *(A. B.)* 107
Zarysy literacko historyczne. A. Kraushar. *(K.)* 108
Kartki z pamiętnika Alkara. *(K. K.)* 108
Die Legende der drei Lebenden und der drei Toten und der Totentanz. Dr. K. Künstle. *(St. Z.)* 108
Jahrbuch der Zeit- u. Kulturgeschichte. 1909. Dritter Jahrgang. *(B. L.)* 109

Str.

Zur innerkirchlichen Krisis des heutigen Protestantismus. Dr. K. Rieder. *(B. L.)* 109
Lehrbuch der Philosophie auf aristotelisch-scholastischer Grundlage. Vierter (Schluss-) Band: Moralphilosophie. 2 Aufl. *(E. M.)* 110
Czariwna diwczyna i Na chytkij dorozi. Hirnyczenko Jarema. *(St. Z.)* 110
Neo-Confessarius practice instructus. P. J. Reuter S. J. *(E. M.)* 111
Struna. Poeziji. 1883—1908. Kononenko Musij. *(St. Z.)* 111
De la méthode dans les Sciences. *(St. Z.)* 111
Historya włościan w Polsce. Czasy najdawniejsze do początków XIII wieku. Wolna ludność wieśniacza. Napisał A. Marylski-Łuszczewski. *(Dr. A. B.)* 249
Finlandya i sprawa finlandzka Wł. Studnicki. *(A. B.)* 249
Ćwierćwiecze walki. Księga pamiątkowa »Roli«. *(Dr. A. B.)* . . . 250
Siódme amen Imci Pana Mokrzeckiego. Powieść z czasów saskich. Wiktor Gomulicki. *(A. B.)* 250
Klucz brzozowski biskupstwa przemyskiego w wieku XVIII. Jan Rutkowski. *(B.)* 251
Gesammelte kleinere Schriften. Von Moritz Meschler S. J. *(L. B.)* . 251
Die Andacht zum göttlichen Herzen Jesu, erläutert für Priester und gebildete Laien von M. Meschler S. J. *(X. B.)* 251
Seelenschmuck zum göttlichen Gastmahl. Von M. Meschler S. J. *(X. Bar.)* 252
Das Messbuch der hl. Kirche (Missale Romanum) lateinisch und deutsch mit liturgischen Erklärungen. Von P. A. Schott O. S. B. 14 Aufl. Oremus. Skrócenie poprzedniej książki tegoż autora. *(X. B.)* 252
Das Betrachtende Gebet. Unterweisungen über die verschiedenen Arten der Betrachtung von René von Maumigny nach der vierten Auflage ins Deutsche übersetzt vom Grafen v. Montgelas. *(X. B.)* 252
Szkice historyczne. Serya 3. Wojna moskiewska 1654—1655. Dr. L. Kubala. *(A. B.)* 420
Przędziwo Arachny. Z pogranicza sztuki i filozofii. M. Sobeski. *(A. B.)* 421
Odbudowanie Polski. Marks-Engels-Liebknecht. *(A. B.)* 421
Moje wakacye na wsi. M. Brzeziński. — Na zgliszczach zakonu. Z. Morawska. — W szkole przyrody. Lilian Gask. *(S. K.)* . . 421
Die Demut nach der Lehre des hl. Benedictus. In zwanglosen Erwägungen dargestellt von einem Benediktiner des Klosters Ettal. *(S)* 421
Opuscula ascetica selecta Ioannis Cardinalis Bona O. C. *(S.)* 421
Der hl. Gertrud der Grossen Gesandter der göttlichen Liebe. Johann Weissbrodt. *(T.)* 422
Das Vaterunser. Zehn Betrachtungen von P. Seb. van Oer. *(T.)* . . 422
Der Beruf. Vierundzwanzig Konferenzen. Von J. B. Krier. *(T.)* . . . 422
Die Bekenntnisse des hl. Augustinus. *(T.)* 422

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Najprzew. ks. biskup-sufragan dr. Edward Likowski. — Kurs przygotowawczy dla rekrutów. — 20 września

Str.

w Rzymie. — Zwrot w kwestyi wieców katolickich. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 112
STOWARZYSZENIA NAUKOWO-LITERACKIE W R. 1910. (C. d.) Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 118
Z WYDAWNICTW KATOLICKICH. Przez *T. Wodzicką* 131

LISTOPAD.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Zatargi w Kościele ormiańskim. — Kościół katolicki w Rosyi. — Zamach na ks. biskupa Chomyszyna w Stanisławowie. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 255
ZE ŚWIATA ARTYSTYCZNEGO. Kultura dawna a dzisiejsza. Przez *Franciszka Kleina* 258
STOWARZYSZENIA NAUKOWO-LITERACKIE W R. 1910. (C. d.) Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 265

GRUDZIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA. Nowy książę-biskup krakowski. — Katolicki wiec Austryi Dolnej w Wiener-Neustadt. — 11-ty wiec katolików węgierskich w Peszcie. — Święta wojna. — Signum temporis. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 423
STOWARZYSZENIA NAUKOWO-LITERACKIE W R. 1910. (Dok.). Przez *d-ra St. Zdziarkiego* 429

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: KS. JAN PAWELSKI T. J.